

DAVID DRAKE

KRÓLOWA
DEMONÓW



David Drake

Królowa Demonów

(Queen of Demons)

Przełożył Zbigniew A. Królicki

Jennie Faries,
*niezwykle miłej osobie,
uwielbianej przez całą naszą rodzinę,
do której należy*

PODZIĘKOWANIA

Przy pisaniu tej książki pomogli mi: Dan Breen, który potrafiłby znaleźć błędy nawet w najlepszym tekście; Mark L. Van Name i Allyn Vogel (owszem, zamęczyłem kolejny komputer); Sandra Miesel i John Squires, których wysiłkom *Królowa demonów* zawdzięcza swój ostateczny kształt; oraz moja żona Jo, niezmiennie pomocna w chwilach, gdy pod wpływem wywołanego pracą stresu moje zachowanie coraz bardziej odbiegało od normy. Powinienem również wspomnieć mojego wydawcę, Dave'a Hartwella, który okazał wielkoduszną powściągliwość w sytuacji, w której mniej ufni ludzie publicznie daliby upust swym obawom, czy kiedykolwiek zobaczą zamówioną książkę.

Dziękuję wam wszystkim.

OD AUTORA

Czytelnicy, którzy domyślą się, że Celondre to Horacy, będą mieli rację. Zamieszczone w książce wiersze przełożyłem osobiście. Mój Aldebrand nie jest Macrobiusem, lecz raczej jego mniej utalentowanym odpowiednikiem. Lektura *Saturnaliów* Macrobiusa była dla mnie źródłem radości i zdumienia. Mam wykształcenie historyka, lecz temperament antykwariusza, a to znaczna różnica. W świecie fikcji literackiej czuję się znacznie lepiej, niż kiedykolwiek czułbym się w tym kłębowskiu żmij, jakim jest środowisko akademickie.

Tak jak poprzednio, religia Wysp jest oparta na wierzeniach Sumerów.

Magiczne słowa (*voces mysticae*), wypowiedane w tym tomie przez czarodziejów, są prawdziwymi zaklęciami z dawnych czasów. I chociaż nie wierzę w ich moc, niegdyś wierzyły w nią miliony ludzi równie inteligentnych jak wy czy ja.

Każdy może mieć własne zdanie na ten temat, ale zapewniam, że pisząc *Władcę Wysp*, nie wypowiedziałem żadnego z tych *voces mysticae*.

PROLOG

Valence III, koronowany Władca Wysp, zadrzał pomimo niezwykle ciepłej nocy, gdy czarownik Silyon kreślił słowa zaklęcia na progu skruszonej przez czas bramy. Księżyc od dwóch dni był w nowiu i kiedy w końcu wzejdzie, będzie ledwie widoczny. Jedyne źródłem światła była latarnia, której płomyk pełgał za szybami wyciętymi z płytek miki tak cienkich, że niemal przezroczystych.

Leżąca w pobliżu odurzona ofiara westchnęła przez sen. Z daleka jedwabny worek skrywał dziewczęce kształty, lecz Attaper i pozostali eskortujący ich żołnierze Krwawych Orłów musieli wiedzieć, co król i czarnoksiężnik zabrali ze sobą, udając się do tych starożytnych ruin.

Krwawe Orły będą milczeć równie lojalnie, jak bronić króla – aż po grób. Mimo to Valence dostrzegł obrzydzenie w oczach Attapera, gdy dowódca gwardzistów patrzył, jak władca i Silyon sami taszczą worek w ruiny.

Valence prychnął ze złości. Jak on śmie go osądzać? Żołnierz powinien znać swoje obowiązki: zabijać lub ginąć, ale nigdy nie kwestionować rozkazów. Król musi radzić sobie z bardziej skomplikowanymi sytuacjami, w których dobro nigdy nie różni się wyraźnie od zła.

Mimo wszystko Valence znów zadrzał.

Silyon skończył kreślić słowa zaklęcia – krąg znaków Dawnego Pisma. Miał tatuowane ciało i kawałki kości przewleczone przez przekłute małżowiny uszne. Ustawił w kręgu mały trójnóg, a potem włożył haftowane srebrem rękawiczki. Uśmiechnął się do Valence'a.

Król podejrzewał, że wyszyte na tych rękawiczkach symbole to tylko ozdoba, chociaż czarnoksiężnik utrzymywał, że kryją sekrety ciemnych mocy.

– Szybciej! – warknął.

Irytował go fakt, że po tym wszystkim, co robili, ten paskudny karzeł z Dalopo może go traktować tak, jakby byli sobie równi.

– Jak sobie życzysz, panie – rzekł Silyon, wciąż z krzywym uśmiechem. Z zamszowego mieszka wyjął magiczne lustro, będące gładką i wielką jak pięść łzą zielonkawego obsydianu, po czym starannie umocował je na srebrnym haku zwisającym z obrotowego ramienia wieńczącego trójnóg. Valence nie miał pojęcia, w jaki sposób w cienkim i kruchym końcu wulkanicznej bryły zdołano wywiercić otwór tak, że kryształ nie pękł, lecz była to najmniej istotna właściwość tego przedmiotu.

Silyon zaczął nucić i w miarę wymawiania kolejnych czarodziejskich słów dotykał ich sztyltem z czarnego drewna, pochodzącego z jego rodzinnej Dalopo.

– *Hayad pikir tasimir...*

W oddali odezwał się lelek. Zaraz zamilkł, lecz inny bliżej podjął jego zew.

– *Wakuem gabiyeħ worsiyeħ* – powiedział czarodziej, z trudem wymawiając słowa, których nie był w stanie zrozumieć żaden człowiek. Nie były one bowiem przeznaczone dla ludzkich uszu, lecz kierowane do sił rządzących kosmosem. Te moce nie były bogami ani demonami. To one sprawiały, że gwiazdy bez końca krążyły po swoich orbitach, na Ziemi zmieniały się pory roku, a wszystko poruszało się – wolniej lub szybciej.

Rządziło tym Słońce, symbol światła i życia, oraz Malkar, symbol ciemności i śmierci. Tylko jak zwykły śmiertelnik mógł zrozumieć, co jest czym?

– *Archedama phochense pseusa rerta...*

Zrujnowany pałac, w którym klęczeli Valence i czarownik, należał do tyranów Valles. Najpierw

ojciec, a potem syn i wnuk – wszyscy nosili imię Eldradus. Dzięki magii władali Ornifal jeszcze siedemdziesiąt lat po upadku Dawnego Królestwa, po czym zostali obaleni przez zbuntowaną szlachtę. Po rządach tyranów wyspa zaczęła dźwigać się z mroków barbarzyństwa, w wyniku czego jej władcy byli teraz – przynajmniej formalnie – Władcami Wysp.

Pierwszy Eldradus postawił swój pałac kilka kilometrów od portu Valles. Ci, którzy obalili tyranów, przenieśli siedzibę władcy do miasta i wzniesiona przez tyrana budowla przez dziewięćset lat powoli obracała się w gruzy. Korzenie roślin rozsadzały kamienne ściany; sklepienia runęły, gdy spróchniały podtrzymujące je belki.

Dziewięćset lat... Jednak podziemna krypta na środku pałacowego kompleksu była znacznie, znacznie starsza.

– *Threkisithphe amracharara ephoiskere...* – nucił Silyon. Cienie poruszały się na polerowanej powierzchni wulkanicznego szkła nie ukazującego odbicia trójnogu, na którym zawieszono kryształ.

Tyrani Valles zbudowali swój pałac na ruinach skrytych w głębi prastarego boru. Zanim Eldradus kazał wyciąć drzewa i wyrównać teren, nikt – poza samym czarodziejem – nie wiedział, że znajdują się tam fundamenty ogromnych murów z czarnego bazaltu.

Na środku nowego pałacu tyran wznosił czworoboczny łuk triumfalny, nad starożytną kamienną cembrowiną, otaczającą owalny otwór w sklepieniu ogromnej, schowanej pod ziemią komnaty.

Ta komora mogła być w odległej przeszłości kryptą lub magazynem, a nawet częścią systemu kanalizacyjnego. A może czymś zupełnie innym bądź też – jak mimo woli pomyślał teraz Valence – pełniła wszystkie te trzy funkcje.

– *Thoumison kat plauton!* – zakończył Silyon, wykrzykując ostatnie sylaby. Sam kosmos zdawał się tłumić głos wypowiadającego tak potężne zaklęcie czarownika, który z trudem wydobył te słowa z suchego jak piasek gardła.

Obsydianowym lustrem wstrząsnął śmiech Bestii.

– Pozdrawiam was, ludzie – rzekł głuchy głos w myślach Valence’a. – Przynieśliście mi pożywienie?

Bestia ponownie ryknęła śmiechem. Uśmiech zastygł na ustach Silyona, a twarz króla miała w sobie taki wyraz jak nie heblowana deska. Valence nienawidził siebie za to, co robił, lecz królowa nie pozostawiła mu żadnego wyboru.

W szklistym wnętrzu zielonego kryształu kłębiła się jasna mgła, lecz nie dostrzegł w niej jeszcze niczyjego oblicza. Niedługo po tym, jak Dalopańczyk przybył do króla ze swoim lustrem i czarami, Valence wrzucił zapaloną pochodnię do otworu w sklepieniu podziemnej komnaty. Jasne światło ukazało jedynie kamienne bloki upstrzone plamami mchu, czyli dokładnie to, czego należało oczekiwać w pomieszczeniu, które pozostawało zamknięte od prawie tysiąca lat.

Jednak w połowie drogi do znajdującej się prawie dwadzieścia metrów niżej podłogi pochodnia znikła tak nagle, jakby jej nigdy nie było. Valence zakładał, że w ten sam sposób znikają ofiary, które wrzucali tam z Silyonem, ale nigdy nie miał ochoty – lub odwagi – by na to patrzeć.

– Tych czworo, których ściagała królowa, wymknęło się jej – powiedziała bestia. – Dwoje ludzi i dwoje Mieszkańców, którzy przybyli z Haft. Zwabię ich tutaj.

Valence klęczał, ponieważ rozmawiając ze stworem, którego przywołał Silyon, nie był w stanie opanować drżenia nóg.

– Jak się nazywają? – zapytał.

– A cóż mnie obchodzą imiona ludzi? – odparła Bestia. Król nie usłyszał tego strasznego głosu, który rozbrzmiewał tylko w jego myślach. – Wszyscy smakują tak samo, obojętnie jak się zwą!

Mgła w obsydianie rozeszła się i wyłonił się z niej trójkątny gadzi łeb. Valence drgnął, chociaż

wiedział, że to tylko refleks światła na powierzchni kamienia. Czasem widział ten gadzi łeb wewnątrz lustra, a czasem zastępował go równie potworny ssak – pies, niedźwiedź lub psiogłowa małpa.

A czasami Valence dostrzegał tylko ogromny kształt, którego rozmiarów nie był w stanie oszacować. W lustrze nie było niczego, z czym mógłby go porównać.

Bestia zaśmiała się chrapliwie i węzowy łeb znikł we mgle. Strach Valence'a rozbawił stwora.

– To Garric or-Reise i Sharina os-Reise – powiedziała Bestia. W bezgłośnej mowie nadal pobrzmiwało rozbawienie. – On jest potomkiem króla Lorcana, który ukrył Tron Malkara, mający – zdaniem królowej – zapewnić jej władzę nad kosmosem. Mieszkańcy to Cashel or-Kenset i Ilna os-Kenset. Ich ojciec był człowiekiem, a matka duszką. Sprowadzę tu tych, którzy są mi potrzebni, a oni mnie uwolnią.

– Każę ich aresztować, gdy tylko... – zaczął Valence. Urwał. – Gdy tylko będzie to możliwe.

Chciał powiedzieć „gdy tylko zjawią się w moich włościach”, lecz jakie były te włości Valence'a III?

Z pewnością nie władał wszystkimi Wyspami. Od czasu upadku Dawnego Królestwa, a więc od tysiąca lat, żaden król nie był prawdziwym Władcą Wysp. Przed dwudziestoma laty, kiedy Valence zasiadł na tronie po śmierci swojego wuja, mógł przynajmniej nazywać się władcą Ornifal. Teraz, kiedy poplecznicy królowej za pomocą czarów usuwali jego ludzi z kolejnych stanowisk, rozkazy Valence'a były wykonywane bez wahania jedynie w murach jego pałacu. I może nawet tam wkrótce nie będzie bezpieczny.

Królowa nie pozostawiła mu wyboru. Dla dobra królestwa i swojego własnego musiał sprzymierzyć się z Bestią.

– Jak chcesz – zagrział głos, odbijając się echem, jakby Bestia stała w podziemnej komnacie u jego stóp. – Ten mężczyzna ma większe prawo do tronu niż ty. Musisz tylko mnie nakarmić, a ja zajmę się resztą.

Po drugiej stronie wiszącego lustra twarz czarownika wykrzywił mimowolny grymas. Czyżby i on żałował tego okropnego przymierza?...

Przywiązali sznur do liny pętającej dziewczynę. Potem powoli opuścili ją na dół, czując, jak niewidoczne ciało kołysze się w ciemności. Pozostała im jeszcze połowa długości liny, kiedy ciężar na jej końcu znikł – ofiara spoczęła na dnie komnaty.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Valence skinął głową i cofnął się o krok. Silyon wrzucił resztę sznura do otworu i szybko złożył swój aparat.

Pospiesznie wrócili do czekających przy koniach gwardzistów. Kołysząca się w królewskiej dłoni latarnia rzucała zniekształcone cienie na ruiny pałacu. Las już dawno ponownie zarósł oczyszczone przez tyranów miejsce.

Krwawe Orły stanęły na baczność. Ich twarze były tak zimne i nieruchome, jak metal ich nienagannie lśniących zbroi.

– Wasza Wysokość – powiedział Attaper, trzymając łeb królewskiego rumaka i obracając go tak, by władca mógł wsiąść.

W ruinach za ich plecami rozległ się przeraźliwy krzyk. Żaden z mężczyzn nie poruszył się i nic nie powiedział przez kilka długich sekund, przez jakie przetaczał się echem po okolicy.

Kiedy krzyki dziewczyny ucichły, dowódca Krwawych Orłów powoli obrócił głowę i splunął. Potem znów spojrzął na króla.

Twarz Attapera była zupełnie pozbawiona wyrazu.

DRUGI DZIEŃ CZWARTEGO MIESIĄCA (CZAPLI)

Garric or-Reise opierał się o balustradę balkonu, który istniał tylko w jego wyobraźni. Obserwował, jak na dole jego ciało radzi sobie w czasie lekcji szermierki. Nie spał, lecz jego umysł oddzielił się od ciała. W takim transie spotykał się i rozmawiał z duchem zmarłego przed tysiącem lat przodka.

Wskazał na swoje ciało, które siekło słup obciążonym ołowiem mieczem.

– To równie nudne jak oranie pola – rzekł. – Po orce zostaje przynajmniej bruzda, którą można pokazać.

– Machanie mieczem wymaga siły, chłopcze – powiedział król Carus, stojący przy balustradzie obok Garrica. Uśmiechnął się ujmująco. – A przynajmniej zawsze mówiono mi, że ją mam, i nawet najgorsi wrogowie nigdy nie odmawiali mi umiejętności posługiwania się mieczem. Żeby być naprawdę dobrym, musisz ćwiczyć tak długo, aż każdy ruch będziesz wykonywał zupełnie odruchowo.

Udał, że spogląda na chmury, które wyglądały jak namalowane na błękitnym niebie.

– Oczywiście – dorzucił – zawsze możesz oszczędzić sobie fatygi i pozwolić mi przejąć kontrolę nad swoim ciałem, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Róże pięły się po filarze i zwieszały swe czerwone kwiaty z wyglądającego na prawdziwy, kamiennego balkonu. Będąc w takim transie, Garric miał wrażenie, że poza polem jego widzenia nie ma nic i jeśli dostatecznie szybko obróci głowę, ujrzy kłębiącą się mgłę zamiast ściany budynku, z której wystawał balkon.

Garric uśmiechnął się do króla, udając, że nie dosłyszał tęsknoty w głosie człowieka, który od tysiąca lat nie miał własnego ciała.

– Ojciec nie wychował mnie na lenia unikającego obowiązków – powiedział. – I nie zamierzam składać na cudze barki ciężarów, które sam powinienem dźwigać.

Carus zaśmiał się z entuzjazmem człowieka skłonnego do gwałtownych emocji – radości, miłości i wybuchów gniewu, który łamie wszelkie przeszkody.

– Mogłeś mieć gorszego ojca niż Reise – powiedział. – I nie jestem pewny, czy mógł trafić ci się lepszy.

Skupił uwagę na postaci na dole. Ciało Garrica machało tępy, ćwiczebnym mieczem. Ludzie strzegący posiadłości mistrza Latiasa, bogatego kupca z Erdinu, który udzielił schronienia Garricowi i jego przyjacielom, obserwowali te ćwiczenia z zawodowym zainteresowaniem i aprobatą.

– Zawsze wyprowadzasz atak z prawej nogi – rzekł Carus, obrazując słowa gestem. – Pewnego dnia jakiś sprytny przeciwnik zauważy, że twoja stopa wysuwa się odrobinę szybciej niż ręka. A wtedy jego ostrze trafi w twoją pierś, zanim twój miecz dosięgnie celu.

– Jestem zmęczony – rzekł Garric. – Chcę powiedzieć, że moje ciało jest strudzone.

Carus uśmiechnął się, lecz w jego szarych oczach pojawił się stalowy błysk.

– Tylko ci się zdaje, że jesteś znużony, chłopcze – rzekł łagodnie. – Kiedy przeżyjesz to na jawie, poznasz, co to prawdziwe zmęczenie.

– Przepraszam – mruknął Garric. Zawstydził się, zaledwie te słowa padły z jego ust.

Wypowiedział je, nie słuchając, co się do niego mówi. Uśmiechnął się. – Przy koszeniu pracują prawie te same mięśnie, ale zboże nigdy nie kładzie się w moją stronę. Będę ćwiczył, aż dojdę do wprawy.

Twarz króla znów rozpromienił szeroki uśmiech.

– Tak, z pewnością – powiedział. – Siła, z jaką zadajesz ciosy, już wystarczyłaby w starciu z większością przeciwników.

Obaj stojący na tym iluzorycznym balkonie mężczyźni byli tak podobni do siebie, że ktoś, kto by ich zobaczył, ani na chwilę nie wątpiłby w ich pokrewieństwo. Carus miał czterdzieści lat, gdy na skutek rzuconego przez maga czaru morze pochłonęło jego statek. Był barczysty, wysoki i poruszał się z gracją, jakiej mogłyby pozazdrościć mu unoszące się na wietrze mewy.

Garric za miesiąc miał skończyć osiemnaście lat. Był równie wysoki i silny, lecz w porównaniu ze stojącym obok królem wydawał się kościsty. Obaj byli opaleni i zdrowi jak ludzie prowadzący aktywny styl życia. Garric miał bose nogi, wełnianą tunikę i spodnie wieśniaka z Haft. Carus nosił niebieski aksamitny kaftan, zamszowe bryczesy i wysokie buty z barwionej na jasnoczerwony kolor skóry. Na głowie miał złoty diadem Władcy Wysp, który zatonął razem z nim tysiąc lat wcześniej.

– Król Wysp musi umieć coś więcej niż tylko sprawnie posługiwać się mieczem – rzekł Carus. Oparł łokcie o balustradę i na chwilę złożył brodę na splecionych palcach, w dziwnie kontemplacyjnej pozie, jak na człowieka, który nieustannie był w ruchu. Obrócił się i spojrzał na Garrica. – Jedną z przyczyn tego, że zawiodłem i straciłem królestwo – powiedział – było to, że zawsze próbowałem rozwiązywać każdy problem za pomocą miecza. Chociaż miecz także jest ci potrzebny, chłopcze, kiedy jesteś królem.

– Ja nie jestem królem! – powiedział Garric, krzywiąc się. – Jestem tylko...

Kim naprawdę był? Młodzieńcem z Haft, podupadłej od czasów upadku Dawnego Królestwa. Wieśniakiem, który umiał czytać i doceniać starożytnych poetów dzięki ojcu Reisemu – wykształconemu człowiekowi, który niegdyś służył w królewskim pałacu w Valles, a później był sekretarzem księżnej Haft w Carcosie.

Wieśniakiem, który stawił czoło i zabił czarodzieja zamierzającego przywołać wszystkie siły zła. Młodzieńcem, który rozmawiał z duchem swego przodka, ostatnim i największym władcą, jakiego kiedykolwiek miały Wyspy.

– Cóż, ja nie jestem królem – zakończył niezgrabnie.

– Ale będziesz nim – rzekł Carus tonem uprzejmym, lecz tak pewnym, jak cięcie miecza. – Nie dlatego, że jesteś z mojej krwi. To tylko pozwala mi rozmawiać z tobą, chłopcze. Zostaniesz Władcą Wysp, ponieważ się do tego nadajesz. Jeśli jest inaczej, schyłek cywilizacji po mojej klęsce, w porównaniu z tym, jaki nastąpi po twojej, będzie wyglądał jak dziecinne igraszki. Tym razem świat pograży się w rozlewie krwi, plagach i rzeziach, aż nie pozostanie na nim żadna żywa istota.

Carus uśmiechnął się.

– Nie pozwolimy, żeby tak się stało – powiedział. – Przysięgam na nasze dusze, że nie dopuścimy do tego, królu Garricu! Prawda?

W ogrodzie na dole dwójka towarzyszy Garrica właśnie dołączyła do widzów. Cashel or-Kenset był prawie równie wysoki jak Garric i zbudowany jak pień starego dębu. On i jego siostra Ilna pochodzili z tej samej wioski co Garric – z Barca's Hamlet na wschodnim wybrzeżu Haft. Garric i jego jasnowłosa siostra Sharina przyjaźnili się z nimi od dziecka.

Tenoctris, staruszka stojąca teraz obok Cashela, pod każdym względem stanowiła dokładne jego przeciwieństwo. Jakaś moc, której nie chciała zwać przeznaczeniem, porwała ją i przeniosła o tysiąc lat w przyszłość, wyrzucając ją na brzeg przy Barca's Hamlet. Tenoctris była czarodziejką. Jak

powiadała, była czarodziejką obdarzoną bardzo skromną mocą, ale starała się ją zrozumieć, podczas gdy inni tylko korzystali ze swoich umiejętności, ściągając zgubę na siebie i swoje otoczenie.

– Nie – powiedział Garric. – Nie pozwolimy na to.

Oddałby wszystko, byle wrócić do dawnego życia i znów być synem karczmarza w małej wiosce, gdzie nie oczekiwano żadnych zmian oprócz pór roku. Jednak nie mógł cofnąć czasu.

Rządzące kosmosem siły zmierzały do kolejnego, tysiącletniego starcia. W czasach króla Carusa potężny czarnoksiężnik doprowadził do rozpadu królestwa na wiele oddzielnych wysp, toczących nieustanne wojny wewnętrzne i zewnętrzne. Cywilizację powoli odbudowywano z ruin, lecz gdyby ten upadek się powtórzył, Barca's Hamlet zostałaby wdeptana w błoto tak jak niegdyś, po śmierci króla Carusa, wielkie miasta Dawnego Królestwa, w tym również ich stolica, którą była Carcosa na Haft.

– Dołącz do przyjaciół – rzekł z miłym uśmiechem Carus. – Ponadto nie powinieneś przesadzać z tymi ćwiczeniami, inaczej zaczniesz bardziej walczyć mięśniami niż głową. Mówię ci to, chociaż jesteś młody i pewnie nie uwierzysz w to tak samo, jak ja nie chciałem wierzyć, gdy byłem w twoim wieku.

Król, balkon i niebo nad nim nagle zniknęły. Duch Garrica wrócił do spoconego i zdyszanego ciała na placu ćwiczeń. Tarcza na lewym ramieniu ciążyła mu jak ołów, a wszystkie mięśnie prawej połowy ciała miał obolałe od machania mieczem. Zatoczył się w tył, łapiąc oddech. Przy każdym uderzeniu w twardej cel jego dłoń absorbowała wstrząs. Teraz miał wrażenie, że przetoczył się po niej wyładowany wóz. Wbił miecz w udeptaną przez siebie ziemię.

– Hej! – powiedział, ciężko dysząc. Sięgnął do paska, który częściowo przenosił ciężar tarczy na barki. Wielkie dłonie Cashela chwyciły ramię wcześniej i podniosły ciężki puklerz z kilku warstw twardego drewna z taką łatwością, jakby była to koronkowa serwetka.

Dowódca strażników wystąpił naprzód. Serianie, do których należał mistrz Latias, byli pacyfistami nie stosującymi przemocy wobec innych ludzkich istot. Jednakże to nie powstrzymywało ich od zatrudniania ludzi, którzy mieli inne zasady. Strażnicy pilnujący tej rezydencji w Erdinie niewątpliwie należeli do elity swego fachu, a ich dowódca wyglądał na takiego, który bez trudu poradziłby sobie z dwoma najsilniejszymi ze swych podwładnych.

– Mówiłeś, że nie umiesz władać mieczem, panie – powiedział do Garrica. – Patrząc na to, co przed chwilą widziałem, odniosłem zupełnie inne wrażenie.

Garric złapał oddech i zdołał odpowiedzieć z krzywym uśmiechem:

– Mój przodek był wielkim szermierzem. Może odziedziczyłem część jego umiejętności.

Dotknął piersi. Pod tuniką wisiał na jedwabnej wstążce medal koronacyjny króla Carusa. Ojciec dał go Garricowi wtedy, kiedy morze wyrzuciło Tenoctris na brzeg przy Barca's Hamlet. Od tamtego dnia wszystko się zmieniło...

– Tenoctris i ja postanowiliśmy przejść się po porcie – rzekł Cashel. Mówił powolnym, spokojnym i głębokim głosem, doskonale odzwierciedlającym jego charakter. Wzruszył ramionami. – Moja siostra tka razem z Shariną i Liane. Twierdzi, że to będzie coś specjalnego.

Cashel i jego siostra Ilna zostali sierotami w wieku siedmiu lat i od tej pory radzili sobie sami, dzięki swym umiejętnościom i zdecydowaniu. Garric był silniejszy od większości znanych mu ludzi, ale wiedział, że jego przyjaciel Cashel był silniejszy od każdego mężczyzny, jakiego kiedykolwiek spotka.

– Minęło wiele lat od czasu, gdy nazywano mnie dziewczyną, a nikt nigdy nie uważał mnie za dobrą tkaczkę – powiedziała Tenoctris. Mówiła różnym, wesołym głosem, który czynił ją znacznie młodszą, niż świadczył o tym jej wygląd. – Pomyśleliśmy, że może zechcesz przyłączyć się do nas,

ale jeśli zamierzasz nadal ćwiczyć?...

Ruchem głowy wskazała słup. Tępe ostrze ćwiczebnego miecza pozostawiło wiele głębokich nacięć w twardym drewnie.

– Nie, na dzisiaj skończyłem – odparł Garric. – Tylko się umyję i pójdę z wami.

Zachichotał.

– Jeśli przesadzisz z ćwiczeniami, zaczniesz walczyć mięśniami, a nie głową.

Ani jego przyjaciele, ani strażnicy nie rozumieli jego rozbawienia, lecz ukryty gdzieś w głębi jego jaźni król zaśmiał się z aprobatą.

Maszerując wraz z przyjaciółmi po ruchliwym nabrzeżu Erdinu, Cashel or-Kenset był zadowolony z życia. Był to typowy dla niego stan ducha. Cashelowi niewiele było potrzeba do szczęścia i przekonał się, że ciężką pracą może zdobyć wszystko, czego pragnął – prócz jednego.

Oprócz siostry Garrica, Shariny, którą Cashel skrycie kochał od wielu lat. A teraz i ona była w pobliżu.

Cashel i Garric maszerowali w tempie, które odpowiadało Tenoctris. Mimo podeszłego wieku poruszała się znacznie szybciej niż owce, które najczęściej dotrzymywały towarzystwa Cashelowi.

Od kiedy skończył siedem lat, pilnował stad na pastwiskach leżących na południe od Barca's Hamlet. W miarę jak dorastał, coraz częściej wynajmowano go do prac wymagających znacznej siły: kopania rowów, ścinania drzew, przenoszenia głazów w miejscach zbyt ciasnych lub niedogodnych, aby można było wykorzystać zaprzęg mułów. Ludzie w osadzie szybko przekonali się, że Cashel starannie wykona każdą pracę, jakiej się podejmie.

– Czy to świątynia Pani? – zapytał Garric. Ruchem głowy wskazał ołtarz na końcu ceglaneanego mola, wychodzącego w głąb kanału rzeki Erd. Niegrzecznie byłoby pokazywać palcem boginię, a w obcym miejscu – jakim niewątpliwie Erdin był dla wieśniaków z Haft – takie nieokrzesanie mogłoby zirytować tubylców.

Chociaż nikt pochopnie nie zaatakowałby ludzi o posturze Cashela czy Garrica, młodzieńcy byli dobrze wychowani i nie chcieli nikogo obrażać.

Ołtarz przedstawiał rzeźbę kobiety trzymającej w dłoniach płytką misę, w której trzej marynarze palili kadzidła. Postać miała na sobie luźne spodnie i kamizelkę bez rękawów, odsłaniającą jej nagie kamienne piersi. Cashel jeszcze nigdy nie widział takiego stroju, a już na pewno nie na Pani, Królowej Niebios. Zapach kadzidła podrażnił mu nozdrza, wywołując kichanie.

– Oto Pani, której oddają cześć na Shengy – powiedziała Tenoctris. Uśmiechnęła się smutnie. – Powinnam powiedzieć, że za moich czasów taki strój nosiła Pani na Shengy. Musicie jednak pamiętać, że wtedy Erdin był jeszcze bezludnym bagniskiem, a earlowie Sandrakkanu bandą piratów, mieszkających w zamku na wschodnim krańcu wyspy.

– Przecież ci marynarze nie pochodzą z Shengy, prawda? – rzekł Garric. – Słyszałem, że tamtejsi mieszkańcy są niscy i ciemnoskórzy.

– Marynarze są skłonni do korzystania z każdej duchowej pomocy, jaką mogą uzyskać – odparła Tenoctris. – Ponieważ lepiej niż inni ludzie zdają sobie sprawę z tego, w jakim stopniu ich bezpieczeństwo zależy od różnych czynników, na które nie mają żadnego wpływu.

I znacznie ciszej, kierując słowa bardziej do siebie niż do swoich młodszych towarzyszy, stara czarodziejka dodała:

– Czasem żałuję, że nie wierzę w Wielkich Bogów. Widzę jedynie siły, które tylko ludzka słabość każe mi nazywać Dobrem i Złem. Jestem pewna, że kosmos nie opatruje takimi etykietami mocy, które nim rządzą.

– Kosmos może nie dbać o to, czy ludzie służący Malkarowi pogrążą Wyspy w morzu – rzekł Garric, dotykając medalionu, który nosił pod tuniką. – Jednak nas to bardzo interesuje i nie dopuścimy do tego.

– Wierzę w Panią i Pasterza – rzekł spokojnie Cashel. – Wierzę, że Duzi pilnuje stad Barca's Hamlet... A mimo to jestem potrzebny naszym owcom, tym głupim stworzeniom.

Tenoctris była ząną i mądrą kobietą, lepiej wykształconą od Garrica. Może sobie wierzyć, w co chce. Jednak Cashel miał dość zdecydowane poglądy i przekonania innych ludzi w żadnym razie nie były w stanie ich zmienić.

Był ogromny. Poruszał się ostrożnie, gdyż już dawno przekonał się, że człowiek o jego rozmiarach i sile w pośpiechu łatwo łamie różne rzeczy. Liczył na palcach i umiał się podpisać tylko dlatego, że Garric nauczył go tego po długich i ciężkich trudach.

Wielu ludzi uważało Cashela za głupca. No cóż, może nim był. Jednakże wielu ludzi sądzi, że muł jest głupi, ponieważ jest silny, powolny i robi swoje bez takich kaprysów jak koń.

Ci, którzy uważają, że muł jest głupi, mylą się.

Troje towarzyszy minęło stos twardego drewna, wyładowywanego z dziwnie wyglądającego frachtowca o podwójnym kadłubie. Belki miały na przekroju wyraźne słoje, które pozwolą pociąć je na deski tak równe jak splot materiału tkanego przez Ilnę.

– Tygrysie drewno z Kanbesy – rzekł z podziwem Garric. – Przewiezione przez całe Morze Wewnętrzne, aby ozdobić dom jakiegoś tutejszego kupca. Erdin naprawdę urósł w siłę od czasu upadku Dawnego Królestwa.

Cashel krytycznym spojrzeniem obrzucił belki. Niezłe drewno, ale on wolał dębowe lub hikorowe, z jakiego była zrobiona jego laska, którą nosił w Erdinie, tak samo jak niegdyś na pastwiskach Haft.

Pałka Cashela nie była tylko bronią. Własnoręcznie wyciął ją z twardego drewna. Była częścią Haft i nieodłączną towarzyszką Cashela, zanim jeszcze opuścił Barca's Hamlet, żeby wędrować po Wyspach. Gładka, znajoma powierzchnia hikorowej laski dodawała mu otuchy wśród tych stłoczonych budynków i tłumów gęstych jak chmury much na wiosnę. Dlaczego nie miałyby jej nosić?

– Czy na Sandrakkanie nie ma lasów? – zapytał. Zdziwiły go słowa Garrica o Dawnym Królestwie. Cashel mógł zrozumieć, że Tenoctris często wspominała świat sprzed tysiąca lat – przecież żyła w tamtej rzeczywistości. Jednakże Garric też czasem przemawiał tak, jakby pamiętał tamte czasy.

– Jest tam mnóstwo lasów, szczególnie na północy – powiedział Garric – lecz nie rosną tam takie cenne gatunki jak tygrysie drzewa. To sprowadzono na pokaz, żeby bogacz mógł się chwalić, że sprowadził drewno z dalekiej wyspy, aby wyłożyć nim ściany jadalni.

Cashel zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tym, co chciał powiedzieć. Mijający go kupiec zrobił przerażoną minę. Jego ochroniarz chwycił za rękojeść miecza, z pewnością nie noszonego tylko od parady. Cashel nie zwrócił na to uwagi.

– Są tu towary z niemal każdej istniejącej wyspy – zauważył. Znowu uśmiechnął się spokojnym uśmiechem młodzieńca z Barca's Hamlet. – Nie zdziwiłbym się, gdybym zobaczył worki z wełną z Haft. Ludzie wyglądają na zadowolonych. Wszędzie panuje spokój i wszyscy są zajęci swoimi sprawami.

Tenoctris skinęła głową, czekając, aż Cashel dojdzie do sedna sprawy. Garric również uważnie słuchał przyjaciela.

– Jeśli jednak dojdzie do wojny i nad światem zapanują demony oraz żywe trupy, wszystko to stracą – dokończył z mocą Cashel. – Dlaczego na to pozwalają? Dlaczego ludzie tak postępują?

Stara czarodziejka pokręciła głową.

– Częściowo dlatego, że ludzie już tacy są, Cashelu – odparła. – Z pewnością nie ty i nie ja. Ja nigdy nie pragnęłam władzy, chciałam tylko w spokoju studiować księgi.

I z szerokim uśmiechem, który odmłodził ją o dziesięć lat, zakończyła:

– Nie pragnęłam władzy, ale wygląda na to, że nie będę mogła spokojnie zajmować się moimi badaniami, gdyż musimy zapobiec temu, co ciebie tak niepokoi. – Spochmurniała. – Jest jeszcze coś: tysiąc lat temu gwałtowny wzrost sił spowodował upadek państwa, które dzisiaj nazywacie Dawnym Królestwem. Zewnętrzne siły same w sobie nie mogą wywołać katastrofy, lecz potęgują niepokoje, swary, wygórowane ambicje i zawiść.

Tenoctris spojrzała na rzekę. Cashel odgadł, że spoglądała na obrazy o wiele bardziej odległe niż barki sunące po brązowych wodach Erd czy większe statki, przywożące ładunki ze wszystkich Wysp.

– Teraz czarodzieje odkrywają, że mają znacznie większą moc niż niegdyś – ciągnęła cicho. – Mogą zatapiać wyspy lub przywoływać demony potrafiące obracać w perzynę miasta. Jednak magowie wcale nie rozumieją swej sztuki lepiej niż kiedyś.

Przenikliwym, orlim spojrzeniem obrzuciła Garrica, a potem Cashela.

– A kiedyś niczego nie rozumieli, chociaż wydawało im się, że wiedzą wszystko. Głupcy!

– Ty jednak rozumiesz – rzekł Garric, kładąc szeroką i opaloną dłoń na ramieniu Tenoctris. – I tym razem nie pozwolimy Malkarowi wygrać. Zło nie może zwyciężyć.

Cashel w zadumie podrapał się w lewe ucho. Wydawało się, że Sharina na zawsze opuściła Barca's Hamlet. Nie wiedziała, co on do niej czuje, ponieważ Cashel nie miał – i nigdy nie będzie miał – odwagi jej o tym powiedzieć. Tak więc i on opuścił dom, ruszając prosto przed siebie – byle jak najdalej od miejsca, z którym wiązało się tyle wspomnień. W końcu odnalazł Sharinę i uratował ją, gdy nikt inny nie zdołałby tego dokonać. Nikt prócz Cashela or-Kenseta.

– Myślę, że wszystko będzie dobrze – powiedział głośno. – Zwykle tak jest, kiedy tylko się postarasz.

Tamci spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Cashel uśmiechnął się. Garric i Tenoctris byli mądrymi ludźmi, którzy czytali wiele ksiąg. Cashel mógł opierać swoje sądy jedynie na tym, co sam przeżył. Inni mogli wierzyć, w co chcieli, lecz to nie zmieniało przekonań Cashela.

Poszli dalej, mijając ludzi wyładowujących przyprawy z seriańskiego statku o kwadratowym dziobie. Szczupli, brązowoskórzy marynarze wynosili z ładowni statku niezliczone skrzynie, a miejscowi tragarze ładowali je na wózki i przewozili do magazynu. Sandrakkański nadzorca pilnował rozładunku. Właściciel frachtu, odziany w jedwabie seriański szlachcic, wyższy i grubszy od marynarzy, czekał spokojnie ze swoim sekretarzem, który prowadził rachunki w notatniku z bambusowych tabliczek.

– Gdyby Wyspy znów się zjednoczyły – powiedział Garric – handel rozkwitłby jeszcze bardziej. Może o to chodziło w tym śnie.

Teraz Cashel spojrział ze zdziwieniem na przyjaciela. Takich snów nie miewają wieśniacy z Haft, pomyślał.

– Siły skupiające się wokół Malkara nie są sobie przyjazne – rzekła Tenoctris. Ta myśl nie wynikała bezpośrednio z tego, o czym dotychczas rozmawiali, ale przystawała do rozmyślań Cashela. – Źli ludzie równie zaciekle nienawidzą siebie nawzajem, jak tego, co możemy nazywać dobrem. Właśnie na tym polega przewaga dobra nad złem. – Uśmiechnęła się krzywo. – Niestety – dodała – niewiele jest rzeczy, które są czystym dobrem.

Mijali średniej wielkości statek, z którego właśnie rozładowywano suszone owoce w zamkniętych pokrywami koszach. Załoga wykorzystywała maszt i reję jako dźwig, za pomocą

którego wyciągano kolejne kosze z ładowni i przenoszono na zaprzężone w muły wozy.

Błaszana tabliczka przybita do dziobnicy ukazywała mewę i wyrytą w metalu nazwę. Kapitan był rudobrodym mężczyzną, równie potężnie zbudowanym jak Cashel, ale nie tak wysokim. Kierował z pokładu pracą swoich ponurych ludzi, podczas gdy odbierający towar kupiec czekał przy pierwszym z szeregu wozów.

Cashel przystanął. Skóra swędziała go, jakby zbyt mocno opalił się na słońcu, co raczej mu się nie zdarzało, gdyż większość czasu spędzał na otwartej przestrzeni. Uważnie przyjrzał się statkowi.

– To „Ptak fal” – powiedział Garric, myśląc, że przyjaciel usiłuje odczytać napis.

– Dziwna rzecz, ale... – zaczął Cashel i powoli przesunął lewą dłoń po lasce.

Garric chciał coś powiedzieć, lecz natychmiast zamknął usta. Tenoctris przyklęknęła na ceglach przystani i podniosła źdźbło słomy, którą zabezpieczono ładunek.

– Hej! – krzyknął gniewnie jeden z woźniców. – Zejdźcie z drogi albo was rozjadę!

Cashel stanął między Tenoctris a pierwszym mułem zaprzęgu. Oparł okuty żelazem koniec laski o ziemię i spojrzał na woźnicę.

– Wracaj na swoją farmę! – warknął tamten, ale skierował zaprzęg w bok. Trzaskając batem, ominął stojącą na nabrzeżu trójkę, wioząc ładunek terakotowych dzbanów z ziarnem.

Tenoctris nakreśliła w kurzu kilka słów. Potem wymamrotała zaklęcie, kolejno dotykając poszczególnych znaków źdźbłem słomy. Następnie wypuściła z ręki słomkę, która odleciała, porwana niewyczuwalnym wiatrem. Upadła na beczułkę, właśnie ładowaną na pierwszy wóz.

– Myślę... – zaczęła drżącym głosem czarodziejka. Spróbowała wstać, ale upadłaby, gdyby Garric jej nie podtrzymał. Płaciła słoną cenę za korzystanie z magicznych mocy. – Myślę, że powinniśmy się dowiedzieć, co jest w tej beczce.

– Racja – mruknął Cashel. Mocniej chwycił laskę. Razem z Garrikiem ruszyli w kierunku kupca.

Zaraz dowiedzą się, co się znajduje w tej baryłce. Nie powinni mieć z tym jakichkolwiek trudności – jak zwykle.

Sharina przerwała pracę i przyglądała się, jak Ilna obraca czółenko, przewleka je między nitkami i ubija splot w znacznie krótszym czasie, niż zrobiłaby to ona czy siedząca przy trzecim krośnie Liane.

– W twoim wykonaniu wydaje się to takie proste – powiedziała żałośnie.

Ilna popatrzyła na nią i uśmiechnęła się. Jej palce nadal z niemal nadludzką szybkością i precyzją przesuwały czółenko z jednego boku ramy na drugi.

– Bo to jest proste – powiedziała. – Tylko wymaga większej wprawy.

Miała trochę racji. Każda wiejska dziewczyna na Haft umiała tkać tak samo, jak gotować, lecz w ciągu ostatnich ośmiu lat najlepsze tkaniny w Barca's Hamlet były dziełem Ilny os-Kenset. Większość pozostałych kobiet tylko dostarczała jej przędzę.

Tkaniny Ilny były gęściejsze, wzory bardziej wyraźne, a tempo pracy dziesięciokrotnie szybsze niż jej największej rywalki w wiosce, starej Chantre os-Chulec. Nawet Chantre przyznawała to wieczorami, kiedy wypila o jedno piwo za dużo w gospodzie Reisego.

Jednak wprawa nie była jedynym wytłumaczeniem i zręczność, z jaką Ilna tkała w chwili, gdy opuściła wioskę, była niczym w porównaniu z talentem, jaki posiadała teraz. Coś się zmieniło i sądząc z wyrazu twarzy Ilny, było to coś więcej niż tylko szybkość, z jaką jej palce poruszały się nad warsztatem.

Podczas tych długich miesięcy, które nastąpiły po tym, jak drogi Ilny i Shariny się rozeszły, Sharina stawiała czoło śmierci i demonom. Oczy Ilny zdradzały, że widziała i przeżyła znacznie

gorsze rzeczy.

– Ilno – powiedziała Liane, dziewczyna, którą Sharina ujrzała u boku Garrica zaledwie trzy dni wcześniej, kiedy spotkała go w Erdinie. – Mój ojciec wiele podróżował po świecie. Wracając, przywoził prezenty dla mamy i dla mnie. Widywałam materiały z różnych Wysp, a nawet dalej położonych krain, lecz nigdy nie widziałam tkaniny, która mogłaby się równać z twoją.

Kazała się nazywać Liane os-Benlo, ale Garric wyjawiał Sharinie, że Liane pochodziła z rodu szlachetnie urodzonych bos-Benlimanów. Jej ojciec, czarodziej, umarł w sposób, o jakim Garric nie chciał nawet mówić.

Włosy Liane były równie czarne jak Ilny, lecz cerę miała białą jak większość sandrakkańskich szlachcianek, podczas gdy skóra Ilny – tak samo jak Garrica – była tak śniada, że prawie ciemnoorzechowa. Obie dziewczyny były piękne, ale Liane miała kruchą, delikatną urodę, podczas gdy Ilna... Nikt nie nazwałby jej pospolitą, ale pierwszym słowem, jakie na jej widok cisnęło się na usta, było „posepna”.

– No cóż – powiedziała Ilna. – Może w ten sposób los wynagradza mi to, że nie umiem czytać książek, tak jak ty i Garric?

Liane zaczerwieniła się.

– Nauczę cię czytać, Ilno – wtrąciła szybko Sharina. – Wiesz, że proponowałam ci to już wiele razy. Zawsze mówiłaś, że nie masz na to czasu.

Nie знаła Liane, ale wiedziała, że Garric lubi tę dziewczynę i wiele razem z nią przeszedł. Sharina bardzo dobrze znała Ilnę. Nie zamierzała pozwolić na to, żeby przyjaciółka kąsała nie zasługującą na to Liane swoim jęczyzkiem, ostrym jak nóż z kościaną rękojeścią, którego używała w kuchni.

Myśląc o tym nożu, przypomniła sobie o własnej broni, wiszącej teraz za jej plecami na wbitym w ścianę haku, przeznaczonym do wieszania zimowych płaszczy. Rękojeść kordelasa była zrobiona z czarnego, żłobkowanego rogu, a ciężkie ostrze miało długość jej przedramienia. Był to nóż łowcy fok z wyspy Pewle na Morzu Zewnętrznym, leżącej daleko na północ od głównego kręgu Wysp. Człowiek, do którego należała ta broń, Nonnus, przybył do Barca's Hamlet na długo przed narodzinami Shariny i wiódł życie pustelnika w tamtejszych lasach. Żywił się zwierzyną, którą upolował drewnianym oszczepem, i warzywami, które uprawiał. Potrafił nastawiać złamane kości oraz leczyć gorączkę lub kaszel naparami sporządzanymi z hodowanych przez siebie ziół. Poza tym unikał ludzi.

– Och, nie sądzę, żebym miała talent do czytania – powiedziała Ilna, bardziej z rezygnacją niż ze smutkiem. Jej palce poruszały się nadal, nie przyspieszając, ale też nie opuszczając ani jednego splotu. – W końcu nie jest to dar potrzebny wieśniakom. Ani tkaczkom, o ile mi wiadomo.

Sharina wstała od krosna. Zamierzała zaraz wrócić do warsztatu, chciała tylko rozprostować kości. Została wychowana jako córka karczmarza. Jej obowiązki polegały raczej na chodzeniu i noszeniu niż siedzeniu w bezruchu i kręceniu młynka palcami.

Zamieszkali w jednym z budynków należących do otoczonej wysokim murem rezydencji mistrza Latiasa. Ich kwatery składała się z jednego dużego pomieszczenia, poprzegradzanego składanymi papierowymi parawanami, ozdobionymi malowidłami przedstawiającymi piękne pejzaże. Mieli tu dla siebie więcej miejsca niż w największej z chat Barca's Hamlet.

Mistrz Latias dostarczył im także krosna i przędzę. Cashel oddał seriańskiemu kupcowi przysługę, a Latias w zamian traktował Cashela i jego towarzyszy jak członków swojej rodziny. Proponował jedwab, ale Ilna powiedziała, że wełna w zupełności spełni swój cel.

Jakikolwiek był ów cel. Sharina zgodziła się, kiedy Ilna poprosiła, by razem z Liane spędziły to

popołudnie przy krosnach. Nie rozumiała, o co chodzi, ale Ilna bardzo rzadko o cokolwiek prosiła i zawsze sownie rewanżowała się za każdą przysługę.

– Czytanie to sposób, by spotkać się z ludźmi z odległych czasów i miejsc – powiedziała Liane. Właściwie nie spierała się, ale miała na ten temat własne zdanie i nie zamierzała spokojnie słuchać, jak umniejsza się wartość tego, co było dla niej ważne. – A skoro jakieś dzieło przetrwało upadek Dawnego Królestwa, to musi mieć swoją wartość. Celondre powiedział: „Moje wiersze są pomnikiem, który przetrwa dłużej niż brąz”, i miał rację.

– W naszych czasach i tutaj jest wielu ludzi, których jeszcze nie spotkałam – powiedziała Ilna. Parsknęła z rozbawieniem i lekką pogardą. – I jeszcze więcej takich, których poznałam i bardzo tego żałuję. Na przykład takich, jak mój wuj Katchin.

Sposępniała, chociaż do tej pory też miała niewesołą minę. Dodała:

– No cóż, są tacy, którzy to samo powiedzieliby o mnie. I obawiam się, że mają po temu powody.

Sharina dotknęła rękojeści pewłańskiego noża, tkwiącego w skórzanej pochwie z czarnej skóry impregnowanej foczym sadłem. Nie zamierzała do niego podchodzić. Chciała tylko rozprostować...

Bolały ją nie tylko mięśnie. Ludzie z Pewle byli twardzi, nawykli do broni i trudów życia. Generałowie wynajmowali ich i tworzyli z nich zaciężne oddziały, towarzyszące kawalerii i regularnej piechocie.

Nonnus służył jako najemny żołnierz. Na wojnie dokonał czynów, po których na resztę życia osiadł na Haft, by modlić się do Pani o przebaczenie. Zżył się z Shariną bardziej niż z którymkolwiek z mieszkańców Barca's Hamlet. Opuścił z nią wyspę, kiedy potrzebowała towarzysza, któremu mogłaby bezgranicznie zaufać, i w końcu umarł dla niej, otoczony wałem zabitych wrogów.

Zrobił to, ponieważ była jasnowłosa i piękna, a także dlatego, że nie mógł już nic zrobić dla tego jasnowłosego i pięknego dziecka, któremu ze śmiechem poderzwał gardło pewnego straszliwego popołudnia, kiedy król walczył o koronę i nie liczyło się nic prócz zwycięstwa.

Sharina oddałaby wszystko, aby przywrócić życie Nonnusowi, ale w głębi serca wiedziała, że śmierć była tym, czego pustelnik pragnął najbardziej – poza przebaczeniem. Mogła się tylko modlić, tak jak modlił się sam Nonnus, aby Pani okazała łaskę temu człowiekowi i jego ludzkiej słabości.

Odwróciła się. Pozostałe dwie kobiety spoglądały na nią, chociaż palce Ilny nadal poruszały się nad warsztatem.

– Co tkasz, Sharino? – zapytała z udawaną beztroską Liane. Natychmiast spojrzała na swoje krosna.

– Kołnierz z czerwonej włóczki – odparła ze słabym uśmiechem Sharina. Czubkami palców nadal dotykała rękojeści wielkiego noża. – Drobną rzecz, ale jedna z nielicznych, jakie umiem robić w miarę dobrze. Mogłabym tkać całe życie i nigdy nie mogłabym równać się z Ilną.

Popatrzyła na przyjaciółkę.

– Ilna – powiedziała. – Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co uczyniłaś, albo co ci się zdaje, że uczyniłaś. Musisz jednak pamiętać, że to nieważne, gdyż to nie czyni cię złą.

Zamilkła, przełknęła ślinę i wypaliła:

– Nonnus popełnił znacznie gorsze czyny niż ty, a na całym świecie nie było lepszego człowieka niż on. Nigdy!

Sharina nie spodziewała się, że wybuchnie płaczem. Liane była wrażliwą dziewczyną, wychowaną w bogatej rodzinie, w której nie ukrywano uczuć. Nic dziwnego, że wstała ze stołka i uściśnęła jej dłoń. Jednak Sharinę najbardziej zdziwiło to, że Ilna chwyciła ją za drugą rękę, zaciśniętą na rękojeści pewłańskiego noża.

Zauważywszy nadchodzącego Garrica i Cashela, kupiec odwrócił się plecami do opuszczanej na jego wóz baryłki. Jego zdziwienie szybko zmieniło się w niepokój, gdy zobaczył, jak potężnie zbudowani są ci dwaj nieznajomi.

– Hej, za kogo wy się macie? – zawołał.

Kapitan chwycił młot ze stojaka u podstawy masztu. Ku zdziwieniu Garrica sześciu zwykłych marynarzy nie przerwało pracy przy rozładunku. Oczekiwał jakiejś reakcji z ich strony, choćby dlatego, że widok nieznajomych ludzi powinien być bardziej interesujący niż wyciąganie beczek z ładowni.

– Jesteśmy przyjaciółmi – powiedział spokojnie do kupca. Ruchem głowy wskazał statek. – A przynajmniej pańskimi przyjaciółmi. Nie jestem pewien, czy temu szyprowi spodoba się to, co mam do powiedzenia.

– Co to ma znaczyć? – ryknął kapitan. Zeskoczył na pomost. Popułnił błąd, gdyż teraz było wyraźnie widać, że jest o wiele niższy od obu młodzieńców. Dębowy młot, którym wymachiwał, nie mógł równać się z pałką, którą niedbale kołysał w ręku Cashel.

– Jestem synem karczmarza, panie – ciągnął Garric, ignorując kapitana. – Garric or-Reise z Haft. Czy płacisz za pełne baryłki?

– Oczywiście, że płacę za pełne baryłki – odparł kupiec. – Co to za pytanie?

Był czujny, lecz już pozbył się lęku, i zapomniał o gniewie. Woźnice zeszli z kozłów swoich wozów, trzymając w dłoniach bicz, ale trzymali się w bezpiecznej odległości od rozmawiających.

– Widzisz tę wilgotną smugę na tej beczce? – zapytał Garric. – To nie jest słona woda.

Baryłka stała już na końcu wozu. Garric pociągnął palcem po mokrej smudze, którą zauważył, gdy beczka była jeszcze w powietrzu. Marynarze opuszczali ładunek, jakby na przystani nie działo się nic ciekawego.

Garric obwąchał palec i tak jak się spodziewał, wyczuł ostry zapach alkoholu. Podsunął palec pod nos kupca, by powąchał. Królewski cyder, który leżakował przez zimę. Zbierając z powierzchni płynu lód, zręczny producent mógł uzyskać trunek znacznie mocniejszy od zwyczajnego jabłecznika. Prawdziwa gratka dla amatorów, taki napitek Reise rzadko miewał w swojej gospodzie.

– Wydaje mi się, że ktoś wywiercił dziurkę w beczce i wypił część zawartości – rzekł Garric, nonszalancko uśmiechając się do wściekłego kapitana. – Otwór zalepiono woskiem, ale na twoim miejscu sprawdziłbym, ile zostało, zanim zapłacisz rachunek.

– Niech Siostra porwie cię do piekła za to łgarstwo! – wrzasnął kapitan. Broda zjeżyła mu się jak czerwone kolce. – Te baryłki są w takim samym stanie, w jakim załadowałem je na Valles!

Ludzie, którzy ciężko pracują razem, rozumieją się w lot, inaczej prędzej czy później coś wypadnie im z rąk i zmiążdży kończynę któremuś z nich. Cashel i Garric przez prawie dziesięć lat taszczyli wspólnie pnie drzew i głązy. Nie musieli naradzać się, co robić dalej.

Cashel postukał okutym końcem laski w beczkę. Zadudniła, najwyraźniej prawie pusta.

– Masz rację! – rzekł kupiec. – Nazywam się Opsos, panowie. Otwórzmy ją!

– Na Panią! – zawołał kapitan. – Jeśli chcesz otworzyć beczkę, najpierw musisz mi za nią zapłacić. Przecież wszystko wyleje się na ziemię!

Chociaż kapitan nadal udawał gniew, robił to już bez przekonania. Ponure spojrzenie, jakie posłał w kierunku załogi, wyraźnie świadczyło o tym, kogo obwinia o kradzież. Marynarze spuścili linę do ładowni, zabierając się do wyciągania następnej baryłki.

Cashel wskoczył na wóz, podparłszy się laską jak tyczką. Oś zatrzeszczała, jakby postawiono na wozie drugą beczkę.

– Niech mnie Siostra! – rzekł kapitan, z odrazą rzucając młotek na ziemię. Niespokojnie zerknął

na statek, najwyraźniej zastanawiając się, ile jeszcze beczek opróżnili jego ludzie podczas podróży.

Cashel uniósł laskę niczym drzewce sztandaru, po czym uderzył metalową nasadką w beczkę. Jedna z trzech klepek pokrywy wyleciała w powietrze wraz z kawałkiem przytrzymującej ją obręczy, ale nie dało się słyszeć plusku, jaki powinien towarzyszyć rozbiciu pełnego antałka.

Opsos wgramolił się na kozioł wozu. Garric pozostał na ziemi, zasłaniając Tenoctris przed naporem zbiegających się gapiów.

Cashel krzyknął i rzucił laskę Garricowi, który zręcznie ją złapał. Wolnymi rękami, Cashel przechylił beczkę tak, że zdołał wsunąć dłoń pod jej dolną krawędź. Uniósł ją nad głowę, czego nawet on nie zdołałby zrobić, gdyby baryłka była wypełniona setkami galonów królewskiego cyderu, po czym wylał pozostałą zawartość na bruk. Garric odskoczył.

W środku pozostało zaledwie tyle trunku, by opryskać cegły. W beczce były zgięte wpół, zakonserwowane w alkoholu wypitym przez nieświadomych tego marynarzy, zwłoki. Nie było to ludzkie ciało, a przynajmniej niezupełnie ludzkie. Miało dwie ręce i dwie nogi, ale skórę szarą i gruzłowatą, pokrytą łuskami. Stworzenie było bezwłose, o łbie wielkości ludzkiej głowy, ale płaskim i trójkątnym, niczym u wielkiej żmii.

– Łuskowaty – powiedziała Tenoctris, gdy tłum z wrzaskiem pierzchnął na wszystkie strony. – Zaiste, wielkie niebezpieczeństwo grozi temu światu, skoro znów przybyli nań Łuskowaci.

– Nic mi nie jest – powiedziała Sharina. Nabrała tchu. Ilna skinęła głową i cofnęła się. Liane podała jej chusteczkę, którą miała przygotowaną od chwili, gdy zerwała się ze stołka.

Sharina nie zauważyła kawałka obszytego koronką jedwabiu. Wyjęła z rękawa Ilianą chusteczkę i otarła oczy, a potem wytarła nos. Ilna prychnęła z rozbawieniem, widząc, jak Liane szybko skrywa zmieszanie. Ta bogata dziewczyna musi się dopiero nauczyć, że inni ludzie nie chcą lub nie potrzebują pomocy. Przynajmniej niektórzy.

– Skończę mój kołnierz – powiedziała Sharina, znów opanowanym głosem. Zerknęła na Ilnę. – A może chcesz, żebym go poszerzyła?

– To twój wzór – powiedziała Ilna. Obejrzała dzieło przyjaciółki.

Pasek czerwonego materiału ożywi tunikę jakiejś wiejskiej gospodyni, składającej ofiarę Dziesiątej Nocy – kilka kropli piwa i trochę płatków rozsypanych przed domowym ołtarzykiem z miniaturowymi Pani oraz jej małżonka, Pasterza. Podczas największych uroczystości, takich jak śluby czy doroczna procesja Tithe, kiedy do wioski przybywają z Carcosy kapłani ciągniętymi przez muły wozami, na których wiozą naturalnej wielkości posągi bogów, ta kobieta przystroi wstążkami barwny strój zakupiony u wędrownego handlarza. Oczywiście, jeśli stać ją na takie ozdoby, ale Barca's Hamlet było zasobną wioską, w której wszystkim chętnym do pracy powodziło się całkiem nieźle.

– Ładna rzecz – powiedziała Ilna. Sharina kiwnęła głową, zadowolona z pochwały.

Wszyscy mieszkańcy wioski wiedzieli, że Ilna nigdy nie kłamie. Najwyżej zachowa swoją opinię dla siebie. A nawet wtedy, ponieważ ta uprzejmość była raczej wyjątkiem niż regułą, jeśli ktoś się uprze, usłyszy z ust Ilny prawdę wypowiedzianą z delikatnością żaren mielących ziarno.

Ilna powoli przesunęła palcami po kołnierzu. Tkanina mówiła do niej takie rzeczy, jakich często nie wiedzieli o sobie przędący wełnę i tkający materiał ludzie. Zawsze posiadała taką umiejętność, tak jak zawsze dostrzegała wzór tam, gdzie inni widzieli tylko ramę i mnóstwo włóczki czekającej na tkaczkę.

Nigdy z nikim nie rozmawiała o tym swoim darze. Ani z jej bratem Cashelem, ani z Garrikiem, którego kochała od zawsze, niczym nie zdradzając swoich uczuć. Szczególnie z Garrikiem. Jeśli inni w ogóle myśleli o Ilnie os-Kenset, to tylko jako o dobrej tkaczce i osobie, której opinii o innych

rzadko bywały pochlebne, ale prawie zawsze słuszne.

Tkanina Shariny mówiła Ilnie o Barca's Hamlet, o prostych chatach i miłym spokoju tego miejsca, w którym z łatwością można przewidzieć wszystkie wydarzenia, nawet te niepożądane. Ani to, ani skryta w tym wzorze siła i uczciwość nie zaskoczyły Ilny, która знаła Sharinę od dziecka.

Głęboki żal był czymś nowym, ale Ilna widziała, jak przyjaciółka płakała, wspominając pustelnika, który zginął w jej obronie. Nowe były również uczucia wobec Cashela. Ilna gwałtownie oderwała palce od tkaniny, jakby dotknęła wrzątku. Prawda bywa trudna do zniesienia.

– Skończyłam – powiedziała Liane, kończąc rąbek swojej tkaniny. Wstała i odsunęła stół, tak by Ilna miała dostęp do ramy.

Kiedy Ilna opuściła wioskę, arogancja i determinacja zawiodły ją do miejsca, które najpierw uznała za szary niebyt, a później za piekło. Wróciła stamtąd jako służka piekiel, obdarzona umiejętnościami, jakich nie powinien posiadać żaden człowiek.

Zachowała je. Uwolniono ją od tego czegoś, co ją posiadało, lecz nic nie mogło wyzwolić jej od zła, jakie czyniła, gdy to coś posługiwało się nią tak, jak jej palce używały krosien.

Liane stała sztywno wyprostowana, czekając, aż Ilna obejrzy jej dzieło i wyrazi swoją opinię. Bez mrugnięcia okiem napotkała jej spojrzenie. Zbyt dobrze znała Ilnę, by oczekiwać litości, a duma nawet nie pozwalała jej tego pragnąć.

Ilna uśmiechnęła się z ironią skierowaną głównie pod swoim adresem. Przynajmniej równie dobrze jak ta bogata dziewczyna wiedziała, czym jest duma.

Pochyliła się i obejrzała tkaninę, nie dotykając jej. Zamiast utkać wąski pas materiału przez całą wysokość ramy, tak jak uczyniła to Sharina, Liane przewlokła nitki na samym środku krosna. Zrobiła kawałek materiału nie większy od swej dłoni, ze skomplikowanym rdzawoczerwonym i żółtym wzorem. Finezyjna i doskonała robota.

Nabywcy materiałów, którzy sprzedawali wyroby Ilny bogatym ludziom na wszystkich Wyspach, dostarczali jej różne wzory z Erdinu i Valles, ale takiego jeszcze nigdy nie widziała. Spojrzała na Liane i zapytała:

– Czy to wzór z Sandrakkanu? A może widziałas go, kiedy byłaś w Valles?

– Nie – odrzekła Liane. – Taki kilim wisiał nad moją kołyską, kiedy byłam dzieckiem. Przywiózł go mój ojciec, nie wiem skąd. Jak już mówiłam, często podróżował.

Wargi Ilny wygięły się w szerokim – jak na nią – uśmiechu.

– A wykonanie? Czy nauczono cię tkać w szkole dla dziewcząt?

– Nie – odparła krótko Liane. – Oczywiście, pani Gudea uczyła w swej szkole tkania wraz z innymi umiejętnościami, jakie uważała za przydatne dla młodych panien, ale matka nauczyła mnie tego wcześniej. Była bardzo utalentowana, ale nie tak jak ty.

Ilna prychnęła.

– Ty też nie jesteś, Liane – powiedziała. – Jednak nie spotkasz nikogo innego, kto tkałby lepiej od ciebie. Chyba minęłaś się z powołaniem.

I gdy tamte dziewczyny przetrwały to, co im powiedziała, Ilna dopiero teraz dotknęła prostokąta tkaniny.

Twarde i mocno napięte nitki przedzy sprawiały, że tkanina wydawała się śliska. Ilna pozwoliła swoim myślom wnikać w materiał, stapiając się z nim.

Kozy skubały liście krzewów, wędrując po łagodnych, skalistych wzgórzach. W oddali wznosiły się ruiny zamku zbudowanego z cyklopowych murów. Ilna ujrzała miejsce, skąd pochodził ten wzór, chociaż tak samo jak pasące się kozy nie wiedziała, gdzie też mogło ono się znajdować.

Pozostałe dwie dziewczyny cicho ze sobą rozmawiały. Ilna nadal gładziła materiał. Zdawała

sobie sprawę z istnienia otaczającego ją świata, lecz przez moment nie była jego częścią. Usłyszała jakieś zamieszanie przy drzwiach. To wracała Tenoctris i obaj młodzieńcy. Wszyscy troje jednocześnie usiłowali coś powiedzieć.

Osobowość Liane rozświetlała tkaninę jak słońce oświetlające powierzchnię morza. Była spokojna, stała i miła, o wewnętrznej sile, której nie można złamać, dopóki dusza nie opuści ciała. Liane bos-Benliman naprawdę była taka, jaka się wydawała.

Ilna odsunęła się od krosna i zadrżała.

– W dokach znaleźliśmy stwora ukrytego w beczce! – powiedział z hamowanym podnieceniem Garric. – Przysłano go tu z Valles, ale...

Urwał, spojrzawszy na Ilnę.

– Chcesz usiąść, Ilno? – spytała Tenoctris. Cashel, bez słowa, lecz stanowczo, jedną ręką już podsunął siostrze taboret, a drugą posadził ją na nim.

– Nic mi nie jest – powiedziała Ilna, ale pozwoliła mu na to. Kiedy jej brat uznał, że ktoś powinien usiąść, nie było sensu się opierać. Uśmiechnęła się do Garrica, a potem do Liane. – Naprawdę, nic mi nie jest – powtórzyła. – Co odkryliście w dokach?

Wcale jej to nie obchodziło. Nawet gdyby wszystkie Wyspy wraz z ich mieszkańcami zapadły się w morze, w tym momencie nie zrobiłoby to na niej żadnego wrażenia.

Garric zajdzie wysoko. Miał siłę, rozum i – dzięki swemu ojcu – wykształcenie dorównujące każdemu szlachcicowi z Valles. Poza tym Tenoctris powiedziała, że to Garric, a nie Sharina, jest prawdziwym potomkiem dawnych Władców Wysp.

Tkanina nie kłamała Ilnie, a Ilna nie okłamywała siebie. Nie mogła już dłużej wmawiać sobie, że bogata i wykształcona Liane bos-Benliman nie jest odpowiednią towarzyszką dla Garrica.

Taką, jaką nigdy nie będzie niepiśmienna wieśniaczka Ilna os-Kenset.

Garric spoglądał na swoich towarzyszy, wiedząc, że jest wśród nich ktoś, kogo nie zdołają dojrzeć ludzkie oczy: król Carus, uważnie obserwujący wszystko z jakiegoś miejsca pomiędzy rzeczywistością a snem. Uśmiechał się, jak zwykle, lecz jego dłoń jak zawsze spoczywała na rękojeści wielkiego miecza.

– Łuskowaci zamieszkują zupełnie inną płaszczyznę kosmosu – powiedziała Tenoctris. – Tak odległą od naszej, że tylko raz doszło do spotkania między nimi a ludźmi. I nawet ten jeden kontakt jest bardziej mitem niż historycznym faktem.

Uśmiechnęła się.

– A raczej był mitem. Wciąż dowiaduję się czegoś nowego o sprawach, które uważałam za mity. Chyba włącznie z Dobrem i Złem.

– To demony? – spytał Cashel, lekko nachylając się do niej. Wyglądało to tak, jakby przechylił się głaz. – Łuskowaci są demonami?

Pytał z zaciekawieniem. Rozluźnił mięśnie ramion jak zapaśnik przed walką. Sharina powiedziała, że gołymi rękami pokonał demona. Cashel nie mówił Garricowi ani o tym, ani o innych swoich czynach, które można by uznać za przechwałki.

Pokój był urządony w seriańskim stylu – stołki na pajęczych nóżkach, mających zaledwie kilka centymetrów wysokości, stały wokół równie niskiego stołu. Liane i Tenoctris usiadły na taboretach, dziewczyna z większą swobodą niż staruszka, ale czwórka byłych mieszkańców Barca's Hamlet zasiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze.

Byli do tego przyzwyczajeni. W gospodzie Reisego i w starym młynie, w którym mieszkali Ilna i Cashel, były krzesła, ale w chatach większości wieśniaków jedynym meblem była kamienna ława

pod jedną ze ścian.

– Nie, to nie demony – odparła Tenoctris. – To istoty podobne do ludzi i wcale nie potężniejsze od nas. Jednak zgodnie z legendą...

Znów uśmiechnęła się, drwiąc ze swoich dotychczasowych przekonań.

– W czasach Żółtego Króla pewien czarnoksiężnik sprowadził tu Łuskowatych. Sądził, że Bestia pomoże mu objąć Tron Malkara. Żółty Król zniszczył czarodzieja i uwięził bestię w klatce z żywego ognia.

Liane wydeła usta.

– Według Ethomana, Żółty Król rządził przez tysiąc lat – powiedziała sucho, beznamiętnym tonem głosu podkreślając absurdalność takiego twierdzenia. – Kiedy umarł, wody wezbrały i stworzyły Wyspy w miejscu, gdzie niegdyś istniał kontynent.

– Jak powiedziałam, tak głosi legenda – przytaknęła Tenoctris, kiwając głową.

– Tron Malkara nie jest mitem – rzekł Garric.

Tak jak nie było mitem, że król Lorcan, założyciel królewskiego rodu Haft, ukrył ten tron w miejscu, które może odkryć tylko jego potomek. Z tego powodu czarnoksiężnicy pożądamy mocy Malkara, uosobienia zła, tropili Garrica i Sharinę.

– Ten Łuskowaty też nie jest mitem – przypomniał Cashel. – Podejrzewam, że wciąż leży tam, gdzie rzuciłem go na bruk. Chyba że ktoś już zepchnął go do rzeki.

Tenoctris powiedziała, że Łuskowaty nie jest ważny sam w sobie, a tylko to, co sobą reprezentuje. Pewnie jacyś wędrowni kuglarze zabiorą ciało i będą pokazywać na jarmarkach. Chociaż...

Łuskowaty był tak podobny do człowieka, że to wspomnienie jeszcze teraz niepokoiło Garrica. Może Cashel miał rację i rzeka Erd już niosła ciało tego stwora do morza.

– Niepokoi mnie to, że jeśli Łuskowaci ponownie pojawili się w naszym świecie... – zaczęła Tenoctris. Wygładziła fałdę tuniki, rozmyślając o dawno minionych wydarzeniach. – ...to być może zjawiała się na nim również Bestia, której oddawali cześć. Jeżeli wydostała się z więzienia, to nasz świat ma poważne kłopoty. Ponieważ jestem pewna, że...

Uśmiechnęła się promiennie, chociaż jej słowa zabrzmiały dość ponuro.

– ...że nie ma tu Żółtego Króla, który wpakowałby go tam z powrotem.

– My tu jesteśmy – przypomniał Garric. – Przecież możesz coś zrobić, prawda? A my możemy ci pomóc.

– Nie wiem, czy zdołam coś na to poradzić – odparła stara czarodziejka – ale mogę spróbować. I z pewnością przyda mi się pomoc.

– Będziemy musieli udać się do Valles? – zapytała Liane. – Mam jeszcze pieniądze, które zostały mi po ojcu.

Garric z cichą dumą zauważył, że Liane milcząco liczyła na udział w tej wyprawie. Po szlachetnie urodzonych należało oczekiwać odwagi, lecz po dotychczasowych doświadczeniach Liane z pewnością wiedziała, że narazi się nie tylko na niebezpieczeństwa, ale także na brud i niewygodę. U dziewczyny wychowanej w dostatku i wygodach takie zdecydowanie było naprawdę rzadką zaletą.

– Sądzę, że powinnam wspomnieć o czymś jeszcze – rzekła Tenoctris. – Być może ciało Łuskowatego przysłano tutaj, aby zwabić nas do Valles. To może być pułapka zastawiona przez potężnego wroga. Lub kogoś posiadającego ogromną moc.

– Przecież to nie ma znaczenia, prawda? – powiedział Cashel. – Chcę powiedzieć, że mamy zamiar go odszukać. Jeśli on też chce nas znaleźć, to dobrze. Potem zobaczymy, kto jest silniejszy.

Garric miał wątpliwości, czy wszelkie planowanie należy sprowadzać do zasad obowiązujących w zapasach: dążyć do zwarcia, by sprawdzić, kto kogo rzuci o ziemię. Chociaż powątpiewał w sens takiego planu, wyglądało na to, że Cashel ma rację. Jeśli nawet źródło zagrożenia nie znajdowało się w Valles, to z pewnością stamtąd pochodził ładunek statku. Zatem tam powinni rozpocząć poszukiwania.

– *A Valles jest teraz stolicą Wysp, chłopcze* – zachichotał król w głębi umysłu Garrica.

– Kiedy opuściłam dom – powiedziała Sharina – sądziłam, że płynę do Valles. Ojciec uczył nas, żeby kończyć to, co się zaczęło, prawda, Garricu?

Posłała bratu łobuzerski uśmiech i z rozmysłem położyła dłoń na ramieniu Cashela. Ten niczym nie okazał, że zdaje sobie z tego sprawę, tylko znieruchomiał, jeszcze bardziej niż zwykle upodabniając się do głazu.

– Wzbogaciłam się na tym, co robiłam tutaj, w Erdinie – powiedziała Ilna. – Zło przynosi spore korzyści. Od kilku dni, od kiedy przestałam rujnować życie ludziom, nie widziałam mojego pośrednika, ale z pewnością mogę dostarczyć wam dowolną potrzebną sumę.

Spojrzała na Liane, a potem na Garrica. Jej głos i oczy były spokojne jak zawsze. Zawarte w tych słowach samopotępienie wyraźnie słyszeli ci wszyscy, którzy ją znali, lecz tylko oni. Garric wyciągnął ręce nad stołem. Ilna cofnęła swoje dłonie. Lekko mu się skłoniła.

– Jak powiedziałam – ciągnęła – pomogę wam, dostarczając wszystko, czego zażądacie. Jednakże sama nie opuszczę Erdinu. Nie jestem taka głupia, by wierzyć, że zdołam naprawić całe zło, jakie tu wyrządziłam. Tkaniny, które tu sprzedawałam, rujnowały życie ludziom i doprowadzały do samobójstw. Mimo to muszę spróbować.

Garric wstał. Nie było sensu spierać się z Ilną, kiedy już podjęła decyzję. Nie rozumiał jej. Znał ją przez całe życie i nadal nie potrafił przewidzieć, co uczyni – ale wiedział, że Ilna os-Kenset zrobi dokładnie to, co obiecała, albo zginie.

– Spróbuję znaleźć statek, który przewiezie nas do Valles – rzekł Garric. – Całą piątkę.

– Ilno, żałuję, że nie płyniesz z nami – powiedziała Liane. Ujęła dłonie Ilny tak, jak chciał to zrobić Garric.

Ilna spojrzała na rywalkę.

– Tak – powiedziała. – Wiem, że tak myślisz. No cóż, myślę, że pod moją nieobecność dobrzy ludzie nie będą tak rzucać się w oczy. Dziękuję za zaproszenie, ale troje to już tłum. Byłoby co najmniej o jedną osobę za dużo.

Cashel wstał z leniwą gracją niedźwiedzia, przymierzającego się do wypróbowania pazurów na pniu drzewa.

– Popłynę z tobą, Garricu – oznajmił. – Nigdy nie lubiłem przebywać za murami, nawet jeśli jest za nimi tyle miejsca, ile ma tu mistrz Latias.

Wszyscy wstali. Sharina wyciągnęła rękę do Tenoctris.

– A ja – powiedziała Ilna, zamykając dyskusję – skończę materiał, który zaczęłam tkać dziś po południu. Chcę, by był gotowy...

Skłoniła się Liane.

– ...zanim odpłyniecie.

TRZECI DZIEŃ CZAPLI

Nawet przycumowana dziobem i rufą do mola „Łaskawa Pani” lekko zadrżała, gdy Garric wyszedł z kajuty, w której umieścił bagaże kobiet. Gospoda Reisego tak samo dygotała podczas najgorszych zimowych wichrów ze wschodu. Chociaż nieszkodliwy, ten ruch był lekko niepokojący.

Statek miał prawie trzydzieści metrów długości i w swoich dwóch ładowniach mógł zapewne pomieścić sto ton ładunku. Dach mieszczącej trzy kajuty nadbudówki był jednocześnie pokładem, na którym sternik siedział przy wiośle sterowym. Liane i Sharina zajęły jedną kabinę, Tenoctris i bagaż płynęły w drugiej, a kapitan prawdopodobnie miał spać w trzeciej.

Garric i jego przyjaciele byli jedynymi pasażerami. Zakładał, że razem z Cashelem zajmą trzecią kajutę, lecz kiedy Cashel oznajmił, że będzie spał na pokładzie z marynarzami, Garric postanowił przyłączyć się do nich. Wolałby spać w przytulnej kajucie, która przypominała mu pokój na poddaszu gospody, ale byłby skrupowany, mając ją całą dla siebie, podczas gdy dziewczyny musiały tłoczyć się w jednej.

– Tenoctris? – zapytał. – Czy ludzie często robią coś, ponieważ tak wypada, nawet jeśli jest to głupie?

Czarodziejka powiodła palcem po sosnowych deskach pokładu. Spojrzała na Garrica.

– No cóż, za moich czasów ludzie zawsze nosili płaszcze, niezależnie od pogody – powiedziała. – A przynajmniej w tych kręgach społecznych, do których należała moja rodzina.

Garric zaśmiał się.

– A więc nie jestem wyjątkiem, tak? No cóż, sądzę, że nocami będziemy cumować przy małych wysepkach, zamiast płynąć po ciemku.

Tenoctris ponownie dotknęła desek.

– Nie spodziewałam się, że ten statek będzie tak stary – powiedziała. – Powiedziałabym, że jest starszy ode mnie, ale oczywiście jest tylko starszy, niż ja byłam tysiąc lat temu.

– Chcesz powiedzieć, że nie jest bezpieczny? – zdziwił się Garric. Wykupił miejsca na „Łaskawej Pani” tylko dlatego, że wypływała do Valles z wieczornym przypiływem. Statek wydawał mu się dość solidny...

– O rany, ja naprawdę nie znam się na statkach – odparła zaskoczona Tenoctris. – Niewiele wiem oprócz tego, co wyczytałam w księgach. Chciałam tylko...

Machnęła ręką.

– Poza tymi nielicznymi, które zostały wymienione, te deski mają ponad sto lat. Morze odciska swoją pieczęć na wszystkim, co stworzy człowiek. Czułam to w gospodzie twojego ojca, gdyż belki powały zostały zrobione z resztek statków, które rozbiły się na waszym brzegu.

I tak cicho, że Garric usłyszał te słowa tylko dlatego, że w tym momencie patrzył na czarodziejkę, Tenoctris dodała:

– Wolę myśleć o tych wszystkich portach, do których zawijał ten statek, niż o tym, co możemy znaleźć w Valles. I co może znaleźć tam nas.

Grotmaszt „Łaskawej Pani” wznosił się dokładnie na środku pokładu. Sharina siedziała na rei, oparłszy boscie nogi o zwinięty żagiel szorstkiego płótna, ufarbowanego na rdzawy kolor. Z tego miejsca, piętnaście metrów nad pokładem, widziała całe miasto.

Ponieważ miasto Erdin zostało zbudowane na podmokłym nadrzecznym terenie, wszystkie budynki miały dwa, najwyżej trzy piętra. Postawienie wyższej budowli w takim miejscu wymagałoby zbyt kosztownych, solidnych fundamentów.

Barca's Hamlet nie miała portu, tak więc zazwyczaj przybijały tam tylko łodzie rybackie, które można było wyciągnąć na zwirowaty brzeg. Pomimo to morze było obecne tuż za wychodzącymi na wschód oknami gospody. Siedząc tak wysoko, Sharina czuła znajomy zapach słonego morskiego powietrza, a nie nadrzecznych bagien, cuchnących naniesionym przez wodę, żyznym szlamem.

Sharina opuściła Barca's Hamlet, ponieważ wysłannicy króla Valence'a powiedzieli jej, że jest córką księżnej Tery, zamordowanej przed siedemnastu laty podczas zamieszek w Carcosie. Teraz pochodziła z królewskiego rodu Haft, wywodzącego się od króla Carusa, ostatniego władcy zjednoczonych Wysp. Przeznaczeniem Shariny, oznajmili emisariusze, jest zająć miejsce w pałacu w Valles.

Miała wrażenie, że od tej pory nie przeżyła ani jednego szczęśliwego dnia, ale nie mogła wrócić do wioski i udawać, że wysłannicy nigdy tam nie przybyli. Ponadto Tenoctris twierdziła, że nad Wyspami gromadzą się złowrogie siły, które mogą je zniszczyć.

I nie tylko dlatego, że źli czarnoksiężnicy zwrócili się ku Malkarowi, aby zdobyć jego tron i tymczasowe panowanie nad światem. Siły dobra również szykowały się do natarcia, które mogło być równie niszczycielskie dla istniejącego świata, gdyż ten nigdy nie był wyłącznie dobry lub zły.

Barca's Hamlet nie mogło umknąć przed siłami, które rządziły kosmosem. Sharina wiedziała, że lepiej zrobi, biorąc udział w zmaganiach, niż pozwalając nieść się wydarzeniom.

A jeśli od chwili opuszczenia domu nie przeżyła ani jednego w pełni szczęśliwego dnia, to miała jednak chwile triumfu... i zupełnie nieoczekiwaną świadomość, że jej przyjaciel Cashel jest częścią znacznie większych sił i opoką, na której mogła polegać.

Teraz stał na pokładzie, opierając się na lasce i żując źdźbło trawy, które zerwał z brzegu jednego z wielu kanałów będących głównymi arteriami komunikacyjnymi miasta. Wydawało się, że jest zupełnie spokojny i niczego się nie obawia. Mierzył się już z wrogami z tego i innych światów i zawsze ich pokonywał.

Odwrócił się, zsunął na tył głowy kapelusz z szerokim rondem i popatrzył na Sharinę. Uśmiechnął się i pomachał jej ręką.

Sharina też pomachała do niego i uspokoiła się. Nie mogła wrócić do dawnego życia w Barca's Hamlet, lecz w tym chaotycznym świecie, w jakim się teraz znalazła, miała pewne oparcie.

Dotknęła rogowej rękojeści zupełnie niekobiecej broni, którą nosiła u boku. Nóż z Pewle i Cashel być może nie wystarczą, by pokonać wszystkie niebezpieczeństwa, jakie napotka w przyszłości, lecz na razie ich pomoc okazała się wystarczająca.

Ulica Wodna biegła wzdłuż rzeki Erd. Jej szeroki bruk pełnił nie tylko rolę ulicy, ale również tymczasowego składu dla ogromnej ilości towarów, jakie przechodziły przez port, wyładowywanych z zawijających statków lub przywożonych tu z magazynów, aby zapełnić ładownie i pokłady odpływających jednostek. Cashel obserwował uliczny ruch, który fascynował go w ten sam sposób, co chmury przesuwane się latem po niebie nad Barca's Hamlet. Nie miał pojęcia, skąd się biorą i dokąd są wysyłane te wszystkie towary. Przez siedemnaście lat nie opuszczał rodzinnej wioski. Jesienią na Święto Barana do Barca's Hamlet ściągali kupcy i handlarze bydła, a na wiosnę i procesję Tithe przybywali z Carcosy znudzeni kapłani, aby zebrać daninę dla Wielkich Bogów, Pani i Pasterza. To wszystko.

Wargi Cashela powoli rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Niewiele wiedział o tym ogromnym

świecie, w którym teraz się znalazł, lecz to samo mógłby rzec, gdyby nie opuścił wioski. Garric i Sharina umieli czytać i pisać, ich rodzice służyli w wielkich pałacach, a Ilna z jej tkackim talentem była po prostu jeszcze jedną z wielu osób, które posiadały umiejętność, o której Cashel nie miał zielonego pojęcia.

Jednak Cashel or-Kenset wiedział, jak wykonywać postawione przed nim zadanie, jakiegokolwiek by ono było. To zupełnie wystarczało w Barca's Hamlet i podejrzewał, że również w życiu.

Szyper wracał na „Łaskawą Panią” w towarzystwie jednego z brakujących członków załogi i na pół podtrzymując, a na pół niosąc drugiego, który wciąż był zbyt pijany, aby iść o własnych siłach. Odpływ mocno napinał liny cumownicze statku. Cashel wiedział, że wkrótce wypłyną z portu.

Nie spojrzał ponownie na maszt, ale uśmiechnął się jeszcze szerzej, żując żdźbło trawy. Teraz jego zadaniem było zapewnić bezpieczeństwo Sharinie, i zamierzał robić to aż do śmierci.

– Ilna? – powiedziała Liane do stojącej obok niej dziewczyny. – Na pewno chcesz?...

Ilna skrzywiła się z irytacją. Nigdy nie lubiła jałowej gadaniny, nawet w najlepszych intencjach. Może ta dziewczyna przywykła do ludzi, którzy często zmieniali zdanie. Pani wie, że takich nie brakuje na świecie.

– Wzywają mnie ważne sprawy, którymi muszę się zająć – powiedziała Ilna, skrywając rozgoryczenie. – Ty i... pozostali macie swoje sprawy. Zanim jednak odpłyniecie, chcę...

Tak naprawdę, Ilna chciała przeprosić. Nie mogła, nie dlatego, że obawiała się słów przeprosin, lecz że Liane nie zrozumiałaby ich powodu. Liane była osobą zbyt uczciwą, aby pojąć, jak źli potrafią być inni ludzie. Spierałaby się, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła Ilna, był tego rodzaju spór.

Umknęła spojrzeniem w bok. Kiedy piątka pasażerów i Ilna przybyli do portu, pokład „Łaskawej Pani” wznosił się nad pomostem. Teraz był odpływ i poziom wody w rzece opadł tak, że reling statku znalazł się na tym samym poziomie co krawędź mola. Ilna nie musiała patrzeć na spoglądającego na nie ze źle ukrywanym niepokojem Garrica, żeby wiedzieć, że Liane powinna już wejść na pokład.

– To nie potrwa długo – powiedziała krótko. – Załedwie chwilkę. Chcę, żebyś to wzięła. Noś to, jeśli chcesz, ale staraj się zawsze mieć ją przy sobie.

Wręczyła Liane szarfę, którą skończyła tkać, kiedy opuścili posiadłość mistrza Latiasa. Utknęła ją z wełny w naturalnych kolorach, tworząc brązowy wzór na kremowym tle, przypominający łagodne wzgórza, wśród których leżała Barca's Hamlet. Ilna nosiła taką samą szarfę, utkaną jednocześnie z tą i oddzielną dopiero po zdjęciu z ramy.

– Jest śliczna! – zawołała Liane. – Dziękuję ci za ten podarunek, Ilno. Ja...

Oderwała wzrok od szarfy i spojrzała Ilnie w oczy.

– Chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami – powiedziała. – Mam nadzieję, że zostaniemy nimi pewnego dnia.

– Tak. Jestem pewna, że tak sądzisz – odparła z lekkim rozbawieniem Ilna. – Jednak ta szarfa ma służyć nie tylko do przewiązywania tuniki. Gdybyś była kiedyś w potrzebie, prawdziwej potrzebie, rozerwij materiał. Po prostu rozerwij szarfę. Jeśli to zrobisz, będę wiedziała, że jesteś w niebezpieczeństwie, i pomogę ci w miarę swoich możliwości.

– Ja... – zaczęła Liane. W ekskluzywnej szkole nauczono ją ukrywać zdziwienie, ale dość dobrze. – Ja... Jakiego rodzaju pomoc masz na myśli, Ilno?

– Przekonasz się, jeśli będzie ci potrzebna, prawda? – warknęła Ilna. Nie mogła się powstrzymać. Chciała być wielkoduszna, słodka, tak jak ta bogata dziewczyna. A jednak nie umiała, nawet przez te kilka ostatnich minut... – Poza tym – dodała – pewnie wcale nie będziesz potrzebowała mojej pomocy. Żegnaj, Liane. Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Wyciągnęła rękę. Liane przysunęła się i uścisnęła ją. Ilna z rozpaczą patrzyła, jak Liane odwraca się i wskakuje na pokład „Łaskawej Pani”.

Nie potrafiła udawać, że lubi Liane, i nie jest rozgoryczona, tracąc Garrica na rzecz tej wykształconej szlachcianki. Mogła jednak wynagrodzić Liane niczym niezasłużoną nienawiść, jaką żywiła do niej w przeszłości. To dlatego utkała dwie bliźniacze szarfy i dała jedną rywalce. Choć Liane nawet nie miała pojęcia, że są rywalkami...

– Szczęśliwej podróży! – zawołała Ilna do pięciorga ludzi, którzy byli jej bliscy na tym świecie. Odwróciła się i szybko odeszła, zanim ktoś z nich zdołał dostrzec jej łzy.

DZIEWIĄTY DZIEŃ CZAPLI

Beltar or-Holman był umiarkowanie bogatym kupcem, kiedy Ilna przybyła do Erdinu. Tkała wstążki, wiążące mężczyzn z kobietami, które je nosiły. Beltar był jej pośrednikiem. Jego interesy kwitły. Wykupił sąsiednie budynki zajmowane uprzednio przez kuźnię, w której naprawiano łańcuchy zaprzęgów i podkuwano starte na twardym miejskim bruku podkowy.

Ilna z nikłym uśmiechem weszła do sklepu. Zastanawiała się, jak poradzi sobie Beltar, kiedy będzie musiał sprzedawać tylko zwyczajne materiały. No cóż, przyszła tu, by wybawić go z tego kłopotu.

Mimo wczesnego popołudnia w sklepie było jeszcze kilka klientek, a każdej towarzyszyła służąca z koszem na zakupy. Dwie damy trajkotały nad stołem z próbkami. Ekspedientka pokazywała trzeciej brokat seriańskiej roboty.

Podniosła głowę, gdy do sklepu weszła Ilna. Sprzedawczyni była filigranową kobietką w wymyślnej peruce, upiętej mnóstwem grzebieni i spinek z bursztynowymi łebkami.

– Przyszłam zobaczyć się z Beltarem – powiedziała Ilna. Ruszyła w kierunku drzwi na zaplecze, nie zasłoniętych kotarą, ale sznurami rzeźbionych drewnianych paciorków.

Sprzedawczyni spojrzała na skromną suknię Ilny i zwój tkaniny w jej rękach.

– Dostawcy wchodzą tylnym wejściem – rzuciła ostro. – Jednak sądząc po twoim wyglądzie, tylko tracisz czas. Nasi klienci są wybredni.

Ilna uśmiechnęła się do niej.

– A więc tym różnią się od ciebie, ty głupia ladacznico – powiedziała spokojnie. – Chyba ubierałaś się po ciemku, skoro nałożyłaś perłowy żakiet do wściekle czerwonej kiecki. A ten jedwab, który właśnie próbujesz sprzedać... Pokaż klientce ten koniec, który podwinęłaś pod spód, niech zobaczy plamę od wody.

– Co takiego? – spytała służąca damy. Chwyciła koniec materiału przewieszzonego przez ramię ekspedientki i podsunęła pod nos swojej pani.

Sprzedawczyni zatrzęsała się ze zgrozy.

– Panie Beltar! – krzyknęła. – Panie Beltar!

Zachręściły paciorki, gdy Beltar or-Holman pospiesznie wyszedł z zaplecza. Nadal trzymał gęsie pióro, którym nanosił kolumny zapisanych na woskowych tabliczkach cyfr do trwalszej księgi z papierowymi lub bambusowymi kartkami. Ze zdumieniem spojrzał na Ilnę.

– Pasterzu, miej mnie w opiece! – wyrzeził. – Myślałem, że nie żyjesz. Kiedy twój dom spłonął... modliłem się, żebyś zginęła!

Bławatnik przytył od czasu ich pierwszego spotkania, lecz jego rude włosy przerzedziły się, a twarz wyraźnie przybladła.

– Nie winię cię za to – powiedziała bez urazy Ilna – ale moje modlitwy też nie zostały wysłuchane. Porozmawiamy w twoim biurze.

Siła jej osobowości sprawiła, że Beltar posłusznie przeszedł z powrotem za zasłonę z paciorków. Kobiety w sklepie ze zdumieniem spoglądały za wychodzącymi. Na wprost wejścia na zaplecze znajdowały się schody prowadzące do części mieszkalnej. W pomieszczeniu po lewej stronie znajdowało się krzesło i sekretarzyk, segment z przegródkami mieszczącymi zwoje próbek opatrzonych metkami oraz stół pod jedynym oknem, gdzie Beltar mógł oglądać materiały przy

dziennym światłem. Lampa oświetlała księgi, które właśnie uzupełniał. Jej przezroczyste osłonki były zrobione z rybich pęcherzy.

– Przeniosłam się z moimi krosnami do czynszówki w Crescent – powiedziała Ilna. – Mieszkanie w slumsach jest tanie, a pieniądze są mi teraz potrzebne na ważniejsze rzeczy niż utrzymywanie rezydencji przy placu Pałacowym.

Beltar ciężko opadł na krzesło. Na stoliczku obok stała karafka i fajansowy kielich. Kupiec próbował go napełnić, ale więcej wina rozlał na stół, niż wlał do pucharu. Ściskając drżącymi rękami karafkę, napił się prosto z niej.

– Nie masz powodu, by się mnie bać – rzekła z pogardą Ilna. – Nigdy nie miałeś.

Beltar odstawił karafkę. W blasku lampy zadrgały wielobarwne kręgi wycięte w szkłe. W końcu kupiec wziął się w garść.

– Twój dom został splądrowany i wszędzie leżały trupy – rzekł cicho Beltar. – Zobaczyłem to i pomyślałem, że po raz pierwszy, od kiedy cię poznałem, wzeszło słońce. Chociaż nigdzie nie widziałem twojego ciała.

– Rzeczywistość nie cieszy mnie bardziej niż ciebie – odparła Ilna. – To jednak niczego nie zmienia.

Położyła na stole kawałek materiału, który przyniosła ze sobą.

– Nadal potrzebuję pośrednika, który zajmie się moimi interesami – wyjaśniła – i będzie sprzedawał to, co utkam. Teraz jednak będą to inne materiały.

– Nie – powiedział Beltar. Nie patrzył na Ilnę, lecz na karafkę z winem. – Nie będę już dla ciebie pracował. A jeśli znów spróbujesz namieszać mi w głowie...

Spoglądał na nią jak przerażony królik, zahipnotyzowany przez węża.

– ...zabiję się! Zrobię to! Nie zamierzam znowu być... sprzedawcą...

Beltar upuścił karafkę. Wino trysnęło na nogi krzesła i stolika. Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Ozdobne naczynie wyszczerbiło się, ale jego żłobkowana powierzchnia nie pękła. Solidna robota, pomyślała Ilna. Dotknęła czubkami palców dłoni Beltara, z delikatnością, o jaką nie podejrzewałby jej nikt z tych, wśród których dorastała.

– Biedny Beltarze – powiedziała. – W końcu zdobyłeś się na odwagę, tak? Może jednak to, co uczyniłam, przyniesie coś dobrego.

Wyszła z pokoju i napełniła kielich wodą ze stojącego pod schodami dzbana. Z górnego piętra spojrział na nią chłopczyk o rudych włosach Beltara. Kobięca ręka pociągnęła go do tyłu. Ekspedientka nie rozpoznała Ilny os-Kenset, ale rodzina kupca nie popełniła tego błędu.

Ilna podała Beltarowi wodę, a potem rzuciła mu kawałek kiepsko haftowanego lnu, który nadawał się tylko do wycierania nosa. Złożywszy ręce na podołku, zaczęła, aż otrze sobie twarz.

Beltar spojrział na nią.

– Wolę umrzeć – powiedział.

Ilna kiwnęła głową.

– Nie będę cię zmuszać, żebyś został moim pośrednikiem – powiedziała – ale przypominam ci, że poprzednio też cię nie zmuszałam. Sprzedawałeś moje wstążki, ponieważ uczyniły cię bogatym. I robiłeś to nadal, nawet kiedy miałeś już niezbite dowody, że rujnują życie wielu ludziom. A ty stałeś się bardzo bogaty.

– Oddałbym te pieniądze, gdyby wszystko znów mogło być tak, jak dawniej – powiedział kupiec. – Dam ci te pieniądze, jeśli obiecasz mi, że odejdziesz.

– Mamy tu coś do zrobienia – powiedziała Ilna. – Och, wiem, że nie zdołamy wszystkiego naprawić, lecz odpowiednio wykorzystane pieniądze mogą wiele zdziałać. A wzór, który teraz

tkam...

Podniosła zwój, który przyniosła do sklepu, i rozwinęła go. Pół metra cienkiego sukna utkanego z wełnianej włóczki. Wzór był szeregiem lekko wygiętych, brązowych i rdzawych pasków, prawie, lecz niezupełnie równoległych. Przypominał nadmorski las, targany falami przyływu.

Beltar wyprostował się na krześle. Spojrzał ostrożnie, już bez nienawiści i pogardy.

– Jak widzisz, sprawia, że ludzie czują się lepiej – powiedziała Ilna. – Pewnie trochę ich oszukamy, ale tylko dla ich dobra. Zawieszając ten kawałek w miejsce zasłony z paciorków, zrobisz dobry początek.

Kupiec przełknął ślinę.

– Są inni, którzy chętnie poprowadzą twoje interesy – powiedział.

– Owszem – przytaknęła Ilna – ale oni nie mają na sumieniu grzechów, które chcieliby odkupić.

A przynajmniej nie związanych z moją osobą, tak jak ty.

Beltar skinął głową. Wstał z krzesła i zmarszczył brwi ze zdziwienia, widząc, że stoi w lepkiej kałuży rozlanego wina.

– Cóż, dobrze – powiedział. Ze zdumieniem pokręcił głową. – Wmówiłem sobie, że nie żyjesz. Nie powinienem się łudzić.

Ilna rzuciła zwój materiału na stół.

– A teraz chodź ze mną, żebyś wiedział, gdzie mieszkam – powiedziała. – Z początku będziesz odwiedzał mnie co drugi dzień, a potem może będziemy musieli zwiększyć częstotliwość wizyt, kiedy wieść się rozejdzie.

Beltar wyszedł za nią ze sklepu. Ilna wiedziała, że wymusiła na nim zgodę, ale zrobiła to dla jego własnego dobra.

Woda Morza Wewnętrznego mieniła się wszystkimi barwami, od zieleni po fiolet. W miejscach, gdzie dno morza zbliżało się do powierzchni, widać było czerwone, pomarańczowe lub żółte ryby i korale. Garric przechylił się przez reling na rufie, jakby przyglądał się łódce, która podskakiwała na falach na końcu sześciometrowej liny, przywiązanej do pachołka. W myślach stał na balkonie wraz z królem Carusem, obserwując przygotowania do bitwy.

– Wyspy są zbyt liczne, by rządzić nimi inaczej niż za zgodą wszystkich poddanych – rzekł Carus, mierząc krytycznym spojrzeniem oddziały. Uśmiechnął się i dodał: – A przynajmniej bez zgody większości. Kilka głów zawsze trzeba ściąć.

Królewska armia składała się z lekkozbrojnych żołnierzy z długimi włóczniami, ustawionych z niespieszną precyzją w kwadraty liczące po szesnaście szeregów. Zeszła na ląd ze stu okrętów, które wyciągnięto na brzeg i otoczono palisadą.

– Większość ludzi chce, by nimi rządzono, chłopcze, przynajmniej jeśli władca nie jest całkiem do niczego. Och, nie pragną płacić królewskiej daniny tak samo, jak nie lubią płacić innych podatków. Chcieliby, żeby twój ojciec za darmo poił ich piwem w swej gospodzie, prawda?

Król odwrócił się i popatrzył na Garrica. W kącikach oczu miał kurze łapki, zdradzające wesołe usposobienie, lecz jego spojrzenie było równie twarde jak miecz, który nosił u boku.

– Gdyż ludzie nie chcą, by piraci przybili do ich brzegu i pozabijali wszystkich – ciągnął Carus. – Tak jak nie chcą, by tuzin miejscowych łotrów gwałcił wszystkie kobiety i kradł wszystkim owce.

Na dole oddział zbrojnych jeźdźców nadjechał z nieprzyjacielskiego obozu, usiłując rozbić królewskie wojska, zanim staną w szyku. Harcownicy ruszyli im na spotkanie, rzucając włóczniami w konie i uskakując. Jeźdźcy cięli i oganiali się jak zgraja ogierów, których opadły gzy. Szarża straciła impet. W końcu jeźdźcy wrócili do obozu, z którego wyjechali: jedni szli pieszo, inni ciągnąc

opierające się wierzchowce, rozdrażnione sterczącymi z ich ciał włóczniami.

– Uznają twoje rządy – rzekł Carus – jeśli rządysz dobrze, lub choćby zadowolająco, i jeżeli uważają, że robisz to, co trzeba. Rozprawa z księciem Hitto z Blaise...

Z satysfakcją wskazał pole bitwy pod oplecionym różą balkonem, na którym stał z Garrikiem.

– ...była nieunikniona. Mnóstwo ludzi na Blaise nie chciało płacić podatków Carcosie, ale wolało to, niż dać się obrabować Hitto, który potrzebował pieniędzy na uzbrojenie wojska mającego uczynić go Władcą Wysp. Kawaleria, chłopcze! Zamierzał użyć ciężkiej kawalerii do podboju wysp!

Każda ze stu leżących na plaży królewskich trirem miała obsadę stu siedemdziesięciu wiosłarzy. Na ładzie zamieniali wiosła na długie piki lub metrowe metalowe proce i ładownice z ołowianymi kulami, mającymi znacznie większy zasięg niż wystrzeliwane przez tubylczych łuczników strzały.

Falanga ruszyła naprzód, nieuchronnie jak fala przyływu. Między maszerującymi oddziałami pikinierów uwijali się procarze. Harcownicy zajęli miejsca na skrzydłach maszerującej armii.

Z tyłu, jako oddział odwodowy i mający zadać decydujący cios, gdy falanga otoczy wroga, maszerowało pięciuset zakutych w pancerze wojowników uzbrojonych w miecze. Ich hełmy i szyszaki skrzyły się w słońcu, inkrustowane srebrem i złotem.

Na ramionach czterech krzepkich tragarzy kołysała się lekka lektyka, przypominająca siedzenie fotela. Stał na niej król Carus, obserwując przebieg bitwy. Pod pachą trzymał hełm, który zamierzał nałożyć, gdy przyjdzie czas, by prowadzić, a nie dowodzić. Jego obleczona w stalową rękawicę dłoń spoczywała na rękojeści miecza.

– Pamiętaj, chłopcze – rzekła postać spoglądająca na to z widmowego balkonu. – Każdego można zmusić, by robił to, co chcesz. – Zachichotał. – Ja przynajmniej mogłem, a ty również masz po temu odpowiednią siłę. Jednak walcząc z dwoma wrogami, trudno czasem nie odwrócić się plecami do jednego z nich. Jeśli będziesz rządził jakimś królestwem, postaraj się, by wszyscy byli zadowoleni z twoich rządów.

W dole zakuci w stal jeźdźcy księcia pędzili przed sobą tłuszcę wieśniaków z Blaise zbrojnych w toporne dzidy i łuki używane do polowań na króliki. Mimo grożących im mieczy wieśniacy rozpierzchli się, gdy pierwsza salwa ołowianych kul spadła na nich jak grad na łan pszenicy.

Falanga maszerowała różnym krokiem. Pierwsze trzy szeregi opuściły piki. Groty pozostałych połyskiwały w słońcu niczym stalowy baldachim.

– Tylko dlaczego ja? – pytał Garric. – Jakie mam prawo być królem? Jak mogę być kimś więcej niż tylko wieśniakiem z Haft?

– To nie jest prawo, chłopcze – odparł król. – To obowiązek, ponieważ twój przodek przed tysiącem lat poniósł klęskę. Ja przegrałem. Nie z braku chęci, lecz one same nie wystarczyły. Ty musisz zrobić to dobrze, królu Garricu...

Uśmiechnął się. Carus na polu bitwy zeskoczył ze swej ruchomej platformy, by poprowadzić atak na wroga. Jego miecz zamigotał jak język żmii.

– W przeciwnym razie nie będzie następnej szansy. Nie tym razem.

– Ziemia na horyzoncie! – zawołał ktoś. Te słowa rozprysły się kaskadą w umyśle Garrica, lecz minęła chwila, zanim uświadomił sobie, że opiera się o drewniany reling „Łaskawej Pani”, a nie o balustradę ze zwietrzałego kamienia.

– Trzy rumby na prawej burcie widzę Pandah! – zawołał stojący na oku marynarz.

Liane siedziała kilka metrów dalej, oparta plecami o reling. Czytała zbiór poezji Celondre’a. Kiedy usłyszała, że Garric poruszył się, popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

Przez moment na skraju pola widzenia na północnym horyzoncie zamigotało zielone światełko. Uznał, że to pozostałość jego majaków.

Cashel stał na dziobie oparty prawą dłońią o nachylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni fokmaszt. Z tego, co widział podczas rejsu, ten mały żagiel zawieszony przed grotmasztem służył głównie do manewrowania statkiem. Młodzieniec jeszcze nie dojrzał Pandah, ale wiedział, że tworzące się na środku czystego nieba chmury zostały tam wzniesione przez prądy powietrza unoszące się nad jeszcze skrytym za horyzontem lądem.

– Czyż nie będzie miło znaleźć się na noc na stałym lądzie, a nie na piaszczystym pagórku pośrodku morza? – powiedziała Sharina. – I napić się świeżej wody!

– To prawda, ta z okrętowych beczek trąci smołą – przytaknął Cashel. Nie miał nic przeciwko pływaniu statkiem. Kołysanie nie przeszkadzało mu i dopóki miał nad głową czyste niebo, nie czuł się jak więzień.

Marynarz ześliznął się po rei grotmasztu, lądując niedaleko Garrica i Liane. Dziewczyna pomachała Cashelowi, gdy zauważyła, że patrzy przez ramię w jej stronę. Garric spoglądał na północ, osłaniając oczy dłonią.

Sharina dostrzegła zainteresowanie brata. Przeszła pod fokmasztem i stanęła przy prawej burcie. Relingi były tylko na dziobie i rufie. Cashel nie mógł nic dojrzeć, ponieważ fok zasłaniał mu widok.

– Cashelu – powiedziała Sharina. – Podejdz i spójrz na to.

Zamiast przeciskać się pod fokmasztem, Cashel przeszedł nad jego drzewcem. Jakiś marynarz przybiegł poprawić żagiel, wpadł na młodzieńca i zawołał coś gniewnie. Cashel zignorował go, obserwując morze oczyma pasterza przyzwyczajonego do wypatrywania ukrytych niebezpieczeństw.

Bryza popychała „Łaskawą Panią” naprzód, w tempie stada owiec gnającego na pastwisko. Wiatr był za słaby, by unieść białą pianę z grzbietów fal.

Ryba wyskoczyła na powierzchnię i błysnęła w słońcu srebrzystym bokiem, zanim znów zniknęła w morzu. Był to spokojny widok i niczym nie różnił się od tych, jakie widywali podczas dotychczasowej podróży.

Cashel poczuł dziwne mrowienie u nasady karku. Wyciągnął rękę, trzymając w niej poprzecznie laskę, jakby tworzył barierę przed sobą i Shariną. W pobliżu marynarze ustawiali żagle, przy wtórce rozkazów i wesołych połajanek kapitana. Chcieli jak najszybciej zawinąć do portu i nie widzieli żadnych powodów do niepokoju.

– W morzu coś było – powiedziała Sharina z wymuszonym spokojem człowieka trzymającego nerwy na wodzy. – Wydawało się odległe o wiele kilometrów. Było szare lub zielone i nie pamiętam, jaki miało kształt. Teraz już go nie widać i nie ma po nim śladu.

Tenoctris wyszła z kabiny, w której odpoczywała. Zerknęła na Cashela, a potem na morze na prawej burcie.

– Może to był wieloryb albo... – zaczęła Sharina.

Szary soczewkowaty lej pojawił się nad wodą trzydzieści metrów od statku. Cashel widział przezeń fale i horyzont, ale mętne i dziwacznie zniekształcone. Szarość przecięła błyskawica barwy zaśniedziałego brązu. Ryk podobny do szumu nieprzeliczonych rojów pszczoł zagłuszył wrzaski marynarzy.

Lej niczym fala przyływu runął na „Łaskawą Panią”.

Sharina oburącz chwyciła się burty, jakby przed nadciągającym sztormem. Nawet nie pomyślała o tym, żeby schować się w kajucie. Cienkie ścianki kabiny nie stanowiłyby żadnej ochrony i chyba nawet w ładowniach statku nie byłaby przed tym czymś bezpieczna.

Cashel stanął na szeroko rozstawionych nogach, trzymając pałkę przed sobą, jakby walczył ze

zwykłymi śmiertelnikami. Zaczął obracać nią ze wschodu na zachód, z coraz większą szybkością przekładając laskę z jednej ręki do drugiej. Iskry ześlizgiwały się z metalowych końców i zawisały w powietrzu, tworząc błękitną mgiełkę.

Z wanty na dziobie zwisało kilka wstążek jako wiatrowskaz ostrzegający przed zmianą kierunku wiatru. Obwisły na moment przed tym, zanim żagle również opadły w nienaturalnej ciszy.

„Łaskawa Pani” gwałtownie zakołysała się na fali. Spowił ją lej. Słońce zgasło.

Cashel nadal kręcił laską. Twarz miał spokojną, lecz wcale nie przypominał młodzieńca, którego znała Sharina. Teraz jego oblicze równie dobrze mogłoby spoglądać ze ściany jakiejś starożytnej świątyni jako Pasterz-Obrońca, a nie częściej ukazywany, zwinny i przystojny małżonek Pani.

Błyskawica strzeliła z szarości i odbiła się z trzaskiem od kuli błękitnego światła otaczającej Cashela i Sharinę. Nadburcie rozleciało się i fokmaszt rozsypał się w drzazgi. Olinowanie i płócienny żagiel przez chwilę paliły się słabym czerwonym płomieniem, aż połknął je mrok.

„Łaskawa Pani” rozpadała się. Pokład stanął dęba i jedna z wielkich belek łączących obie burty uniosła się w górę. Wrzaski marynarzy utonęły w potwornym łoskocie gromu, który uderzył po błyskawicy.

Cashel i Sharina znajdowali się w kokonie nieruchomego powietrza. Za ich plecami wicher rwał żagiel. Sharina ujrzała lecącego w powietrzu kapitana, którego unióś wiatr.

Garric jedną ręką chwycił wiosło sterowe, a trzymanym w drugiej mieczem ciął przytrzymujące je sznury. Liane przyklęła przy nim, przywiązując do wiosła siebie i Tenoctris kawałkiem olinowania. Kiedy Garric je puści, wiosło będzie unosić się na wodzie, lecz Tenoctris może nie zdoła utrzymać się go do czasu przybycia pomocy z Pandah.

Co do Shariny i Cashela...

Ryk urwał się nagle. Sharina miała wrażenie, że płynie w powietrzu – może nawet tak było. Nie widziała niczego prócz Cashela i skrzęcej się niebieskiej kuli, którą tworzyła wokół nich laska.

Oślepiło ją słońce. Z pluskiem wpadła w ciepłą słoną wodę Morza Wewnętrznego. Cashel upadł obok niej. Wciąż ścisnął pałkę, lecz jego twarz miała apatyczny wyraz człowieka, który wykonał nadludzką pracę.

Zanurzył się twarzą pod wodę. Sharina podtrzymała go jedną ręką. W pobliżu unosiła się łódka ze zwisającym z dziobu strzępem grubej liny, na której uprzednio była uwiązana. Sharina podpłynęła do niej, młócąc wodę wolną ręką i nogą. Kiedy uniosła głowę, by nabrać tchu, ujrzała płynącą z Pandah galerę. Gładko pruć wodę, popychana uderzeniami wielu wiosł.

Na powierzchni morza nie pozostały żadne szczątki – nie było ani śladu po „Łaskawej Pani”.

DZIEWIĄTY DZIEŃ CZAPLI (PÓŹNIEJ)

Sztorm huczał wokół nich. Garric przeciął górne mocowanie, ale nadal nie mógł wyciągnąć wiosła. Widocznie przytrzymał je jeszcze jakiś sznur schowany w głębi kadłuba, gdzie nie mógł dosięgnąć go mieczem.

Wiatr napierał nań jak ściana walącego się budynku. Wiedząc, że „Łaskawa Pani” wkrótce się rozpadnie, Garric zaparł się nogą o reling. Wepchnął miecz do pochwy, żeby oburącz chwycić za wiosło.

Widocznie pomógł mu Carus, gdyż koniec miecza natychmiast trafił w wąski otwór i wsunął się aż do końca. Sam Garric na pewno nie zdołałby zrobić tego jedną ręką, szczególnie że podmuchy wiatru szarpały na wszystkie strony ostrzem, pochwą i ręką.

Grotmaszt pękł w połowie wysokości, równo jak przecięty nożem. Złamał się tuż pod reją, z której zwisały zaledwie strzępy olinowania. Potężne belki, nadal złączone ze sobą, zawirowały i odleciały w przesywaną błyskawicami ciemność.

Garric chwycił wiosło. Wicher dał ze sterburty, wpychając „Łaskawą Panią” w szare szczęki leja. Zwrócony twarzą w przeciwną stronę, Garric z trudem oddychał. Lina była gruba, elastyczna i potwornie mocna.

Liane przywiązała sznur do pasa Garrica oraz do liny, która łączyła ją z Tenoctris. Zawięzała końce, starając się jak najlepiej zacisnąć węzły. Tenoctris przytuliła się do dziewczyny, z całej siły obejmując ją szczupłymi rękami.

Garric ciągnął ze wszystkich sił, ale bezskutecznie. Oczy wychodziły mu z orbit, żyły nabrzmiały na szyi, a mięśnie piekły jak posypane rozżarzonymi węglami.

Liane i Tenoctris powinny być bezpieczne, dopóki będą osłonięte sterówką. Jeśli wiatr się zmieni, ich tuniki – dłuższe i luźniejsze niż męskie – w mgnieniu oka...

Rozległ się donośny trzask. Garric z wiosłem w rękach wpadł do wody. Przez głowę przemknęła mu triumfalna myśl, że zerwał grubą linę. „Łaskawa Pani” rozsypywała się. Garric wpadł w spienioną wichrem wodę i modlił się, by Liane i Tenoctris były na końcu liny, którą miał przywiązaną do pasa.

Wiatr był niczym ciężkie brzemie, a skotłowana woda jak Siostra ciągnąca dusze zmarłych do podziemnego świata. Garric objął ramionami grube wiosło, które waliło go w pierś za każdym razem, gdy obracał ich wir.

Nie wiedział, kiedy jego twarz wynurza się z fal, jeśli w ogóle się wynurzała. Przy każdym oddechu krztusił się słoną wodą. Płuca paliły go, jeden bok twarzy miał zdrętwiały od uderzenia i nie był pewny, czy nadal trzyma wiosło.

Przestał się poruszać. Podejrzewał, że umiera, lecz już go to nie obchodziło. Otoczyło go łagodne zielone światło, a potem nie było nic, tylko ciemność.

We śnie Garric stał na marmurowym balkonie. Odsłonięte powierzchnie kamienia były chropowate od deszczów, wiatrów i mrozów, lecz rzeźbione gzymsy poniżej pozostały gładkie jak lustro.

Spojrzał na swoje ciało rozciągnięte na błotnistym brzegu. Obok leżało wiosło, a więc jednak nie wypuścił go z rąk. Kobiety zaczęły się poruszać.

– Muszę zejść na dół! – powiedział.

– Jeszcze nie – odparł król Carus z ożywieniem, jakie chyba po raz pierwszy Garric widział u niego podczas tych spotkań. – Twoje ciało potrzebuje odpoczynku, chłopcze. Pracowałeś za dwóch.

Niebo miało ponurą zielonkawą barwę. Trzydzieści metrów dalej zobaczył pół tuzina mężczyzn zmierzających w kierunku rozbitków. Mężczyźni byli uzbrojeni w pałki, topory lub dzidy. Gdyby któryś z nich pojawił się w Święto Barana w Barca's Hamlet, zostałby przepędzony jako włóczęga.

– Jeszcze zdążysz – powiedział z przekonaniem Carus. Poglądził balustradę balkonu. Garric wiedział, że w ten sposób władca powstrzymuje odruchową chęć zaciśnięcia dłoni na rękojeści miecza. Carus wiedział, że ma rację, ale niecierpliwił się tak samo jak Garric.

– Hej, tam leży ciało! – zawołał jeden z mężczyzn. – Żyje! Ona żyje albo niech mnie Siostra!

Liane zmagala się z węzłem liny, którą przywiązała do pasa Garrica. Gdy mężczyźni zaczęli biec ku niej, wyjęła spod tuniki sztylet. Miał klingę ostrą jak brzytwa.

– Uwaga na nóż! – zawołał któryś. Napastnicy zbliżali się tyralierą. Ich stopy z pluskiem człapały po mokrej ziemi.

– Tamten ma miecz! – ryknął mężczyzna z toporną maczugą, wystruganą ze złamanego wiosła. – Ten miecz będzie mój! Na Panią, będę miał miecz! Jeśli nie da mi go Rodoard, wezmę ten!

Lina grubości kciuka była z sizalu, w dodatku nasiąkniętego słoną wodą. Liane przecięła ją trzema szybkimi cięciami sztyletu. Podparła się jedną ręką, wstała i spojrzała na opryszków.

– Oo! – powiedział łotr z włócznią. – Możesz wziąć sobie ten miecz, Othelmie. Ja chcę ją!

– Może kiedy skończy z nią Rodoard – prychnął inny. – I jeśli ta jego wiedźma nie zechce pozbyć się rywalki.

– Jest tu też stara kobieta – powiedział ten, który był uzbrojony w toporek wzięty ze skrzynki narzędziowej cieśli okrętowego. – Może od razu trzaśniemy ją w łeb.

– No, chłopcze – rzekł król Carus głosem tak cichym, jak świst wyjmowanego miecza. – Już czas.

Zielone niebo nie było tak jasne jak we śnie Garrica. Patrząc na swoje nieprzytomne ciało, wiedział, jak bardzo muszą go boleć wszystkie kości i mięśnie po walce, którą stoczył o życie, ale ból, jaki odczuł, powracając do niego, można było porównać z tym, jaki poczułby, skacząc do dołu z wapnem.

Zwinnie zerwał się z ziemi. Białe światło rozbłysło mu w oczach, oślepiając go. Wyrwał z pochwy miecz, wywinął nim w powietrzu i rzekł ochryłym głosem:

– Który chce umrzeć pierwszy? A może wszyscy chcecie zakosztować smaku tego ostrza?

Miecz był dobrą bronią. Kupił go w Erdinie, a król Carus z aprobatą kiwał głową w głębi jego jaźni. W takim stanie, w jakim teraz był Garric, nie zdołałby pokonać wszystkich sześciu łotrów – a może nawet jednego. Chociaż może wystarczyłby jeden...

– Niech mnie Siostra! – krzyknął z przerażeniem jeden z opryszków. Wszyscy odskoczyli jak oparzeni. – Myślałem, że on nie żyje!

Garric lewą ręką chwycił koniec miecza i lekko wygiął klingę. Nie był pewien, czy wystarczy mu sił, by utrzymać broń w jednej ręce, a w ten sposób mógł użyć obu.

Tenoctris wyszeptała jakieś zaklęcie. Garric natychmiast poczuł, że ustępuje mu skurcz mięśni prawego ramienia. Staruszka w miarę swoich możliwości dodawała mu sił.

– Zaprowadzicie nas do Rodoarda! – powiedziała Liane stanowczo i wyraźnie jak szlachcianka nawykła do wydawania rozkazów. Z rozmysłem wepchnęła sztylet do ukrytej pod tuniką pochwy. – I pójdziecie przed nami. Zrozumiano?

Tamci popatrzyli po sobie. Żaden nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za decyzję. Po chwili mężczyzna z dzidą odwrócił się bez słowa i poczłapał z powrotem w tym kierunku, z którego przyszli. Pozostali zwartą grupką poszli za nim.

Garric i kobiety ruszyli za nimi. Garric dwukrotnie upadłby, gdyby nie podtrzymała go Liane, która była przy nim.

Sharina siedziała w podskakującej na fali łódce, trzymając na kolanach głowę Cashela. Jego policzki odzyskały normalną barwę – znikły z nich gorączkowe wypieki, jakie miał, odpierając swą laską nieoczekiwany atak.

Sharina była wyczerpana. Nie tylko podholowała Cashela do łodzi, ale musiała go na nią wciągnąć. A to oznaczało, że musiała stanąć w łódce, chwycić za rękę unoszącego się na falach Cashela i przeciągnąć go przez burtę.

Sharina była silną dziewczyną, lecz Cashel był tak bardzo ciężki, że z trudem sobie poradziła. Na szczęście łódka była płaskodenna i dość szeroka, więc nie wywróciła się w trakcie tych zmagania.

Sharina nie wiedziała, w jaki sposób Cashel ich ocalił. Podejrzewała, że on też tego nie wie. Była jednak przekonana, że gdyby nie on, oboje poszliby na dno razem z „Łaskawą Panią” i wszystkim, co wiozła na pokładzie.

Galera z Pandah podpłynęła bliżej. Ładny i szybki statek, z pięćdziesięcioma wiosłarzami siedzącymi na ławeczkach. Na pokładzie leżał maszt ze zwiniętym wokół niego żaglem. Stawiano je przy sprzyjającym wietrze, lecz tak krótką odległość, jaka dzieliła ich od portu, galera szybciej pokonała na wiosłach.

Na dziobie stał dwudziestoparoletni mężczyzna, przechylając się przez ozdobny reling z brązu. Płaszcz z papuzich piór świadczył o tym, że nieznajomy jest szlachcicem. Nieco starszy mężczyzna, najwidoczniej służący lub doradca, stał w pobliżu, gotowy złapać młodzieńca, gdyby ten wypadł za burtę.

Obok szlachcica stał jeszcze młodszy mężczyzna w czerwonej aksamitnej todze, haftowanej w srebrne astrologiczne wzory. Sharina nie wybrałaby na morską podróż piór ani aksamitu, lecz arystokraci i czarodzieje zazwyczaj przywiązują sporą wagę do swego wyglądu.

Oprócz mężczyzn, na dziobowym pokładzie była też duża małpa, która w pewnej chwili nonszalancko zwiesiła się z relingu i próbowała zanurzyć dłoń w odkosie dziobowym galery. Na rozkaz stojącego na rufie oficera w hełmie na głowie wiosłarze podnieśli wiosła. Małpa podciągnęła się na pokład i znów stanęła między ludźmi. Powiedziała coś do czarodzieja i chociaż zdumiona Sharina nie dosłyszała słów, mag najwyraźniej odpowiedział na zadane pytanie.

– Cała wstecz! – zawołał oficer. Wiosłarze wstali z ławek i pochyliłi się, by pchnąć wiosła, zamiast je ciągnąć. Galera zatrzymała się sześć metrów od łódki. Wokół kadłuba statku wirowała woda, wzburzona idealnie odmierzonymi uderzeniami wiosel.

Zamiast rozmaitych strojów, jakie Sharina widziała na marynarzach z Sandrakkanu i Ornifal, ci wiosłarze nosili identyczne spódniczki z szafranowym pasem na rąbku. Ta liberia wyraźniej niż szata z ptasich piór świadczyła o tym, że młodzieniec jest władcą Pandah albo jego synem.

– Rzuć im linę, Tercisie! – warknął młodzian do sługi, którego niebotyczne zdumienie sugerowało, iż równie dobrze mógł kazać mu latać.

– Ja to zrobię, Wasza Wysokość – powiedział czarodziej. Chwycił cumę i szerokim zamachem rzucił zwój prosto w ręce Shariny. Przywiązała ją do dziobu łódki i pozwoliła, by czarodziej przyciągnął ich bliżej. Wiosła pozostały na pokładzie „Łaskawej Pani” i poszły wraz z nią na dno.

Cashel nadal był nieprzytomny.

– Mojego przyjaciela trzeba będzie wciągnąć na pokład – ostrzegła Sharina, gdy łódka stuknęła o prawą burtę galery. Czuła się nieswojo, bacznie obserwowana przez władcę, jego czarodzieja i wielką małpę, która teraz wisiała głową w dół z relingu.

– Kapitanie Lashin! – powiedział władca. – Wciągnijcie tego człowieka na pokład. Zabierzemy go do pałacu.

Pochylił się jeszcze bardziej i wyciągnął rękę do Shariny.

– Ciebie również, panienko. Jestem Folquin, król Pandah. Ktoś tak urodziwy jak ty musi pochodzić ze szlacheckiego rodu.

Nie czekając na dalsze rozkazy, czterej wioślarze weszli na pokład łódki, a kolejny mocno przytrzymał ją przy burcie galery. Sharina weszła na pokład dziobowy, żeby nie przeszkadzać marynarzom przenoszącym Cashela, który nawet dla czterech krzepkich mężczyzn był sporym ciężarem. Inni marynarze ułożyli go na zwiniętym żaglu.

– Nie jestem... – zaczęła Sharina. Na pokładzie dziobowym było za mało miejsca, żeby czuła się tu swobodnie wśród obcych ludzi.

– Śliczna samica, jak na człowieka – rzekła małpa chrapliwym głosem. – Czy ten wielkolud to jej samiec?

– Zahagu! – skarcił go czarodziej. Był wysoki i chudy. Wyglądał jak żrebak, który musi dopiero nabrać ciała. – Nie powinienesz tak mówić w obecności damy.

Odchrząknął i dodał:

– Jestem Halphemos, czarodziej króla Folquina. Czy możesz nam wyjaśnić, w jaki sposób zniknął twój statek, pani?

– Nie wiem – odparła Sharina. Galera już ruszyła z powrotem. Wioślarze na jednej burcie popychali wiosła, a na drugiej ciągnęli za nie, w wyniku czego statek obrócił się prawie w miejscu. – Wszystko stało się tak nagle... To był jakby sztorm, ale jakiś dziwny.

Spojrzała na podekscytowane, zatroskane twarze obcych, patrzących na nią i rozmyślających o sprawach, których nie potrafiła im wyjaśnić.

– Jestem Sharina os-Reise – powiedziała. – I jestem...

Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie była księżniczką, ale nie była już tylko córką karczmarza. A jeśli królewscy emisariusze powiedzieli prawdę, to nie była nawet córką Reisego.

– Jestem... – powtórzyła. I zupełnie wyczerpana, z ulgą powiedziała coś, co przynajmniej było prawdą: – Jestem wam wdzięczna za to, że uratowaliście mnie i mojego przyjaciela Cashela!

Idąc wraz z kobietami za bandą obwiesiów przez las liściastych drzew, jakie widział po raz pierwszy w życiu, Garric powoli odzyskiwał siły. Wiedział, że jeszcze przez dzień czy dwa będzie odczuwał skutki rozpaczliwych zmagania z wiosłem sterowym, lecz w tym momencie łagodne ćwiczenie, jakim był ten spacer, zapobiegało bolesnym skurczom mięśni.

Wepchnął miecz do pochwy. Z dźwięcznym brzękiem prosty żelazny jelec uderzył o skuwkę. Othelm obejrzał się przez ramię. Garric wykrzywił wargi w pogardliwym uśmiechu, który bardziej przypominał warknięcie. Opryszek szybko odwrócił głowę.

Niebo pozostało całkowicie zielone. Nie było na nim jaśniejszej plamy sugerującej obecność słońca za warstwą zgniłozielonych chmur. Roślinność – zarówno krzewy, jak i dwudziestometrowe drzewa – miała węzłaste pnie, a gałęzie tak splecione i rozrośnięte jak krzaki róż.

Garric zerknął na Tenoctris. Nieznacznie potrząsnęła głową, co Garric zrozumiał jako znak, że dla niej to otoczenie również jest nieznanym. Kierując się zdrowym rozsądkiem, wszyscy troje milczeli, czekając, aż dowiedzą się czegoś więcej o tym, co się tu dzieje.

Ponieważ prowadzący ich obwiesie przeklinali, potykając się pod ciężarem wiosła, Garric wątpił, by usłyszeli ich rozmowę. Mimo to nie zamierzał ryzykować.

Pilnie rozglądał się za każdym razem, gdy usłyszał jakieś szmery w gąszczu. W tej krainie nie było poszycia, trawy, a nawet pnączy. Jedynymi zwierzętami, jakie dostrzegł, były szczury. Podobnie jak ludzie, były zapewne rozbitkami ze statków, które zatoneły tu tak samo jak „Łaskawa Pani”.

Garric uśmiechnął się kącikiem ust. Tak samo jak karaluchy czy muchy, które bzyczały i latały wszędzie, gdzie spojrzał. Cieszył się z tego, że on i jego przyjaciółki ocalały, ale w ten sposób znaleźli się w niezbyt szacownym towarzystwie.

Ścieżka poszerzyła się. Pilnujący jej strażnik wyglądał równie podejrzanie jak banda, która znalazła rozbitków. Uderzył w bęben zrobiony z wydrążonego pnia przeszło metrowej średnicy.

Pod wpływem niskich tonów, które w wilgotnym powietrzu niosły się na wiele kilometrów, Garrica przeszedł dreszcz. Wyprostował się i zauważył, że jego towarzyszki zrobiły to samo.

Z lasu wychodzili mężczyźni – i kobiety – żeby gapić się na rozbitków. Większość nosiła przyodziewek zrobiony z kory i włókien wydartych z długich wąskich liści miejscowych drzew, lecz niektórzy silniejsi i lepiej uzbrojeni mężczyźni mieli na sobie części odzieży, które z pewnością nie pochodziły z tej wyspy.

– Dlaczego nie zabraliście mu miecza? – wyzywająco zapytał jeden z nich Othelma.

– Ponieważ zabiłbym ich wszystkich, gdyby próbowali mi go odebrać! – rzekł Garric. W rodzinnej wiosce przywoływał zabłąkane w lesie owce. W tym cichym i ciemnym miejscu jego głos zadźwięczał jak dzwon. – Może chcesz spróbować?

Pytający był przysadzistym jednookim trollem, z kółkiem w nosie. Splunął na ziemię, ale cofnął się przed nadchodzącym Garrikiem.

Wyszli na szeroką błotnistą plażę, otaczającą lagunę. Garric nie mógł dostrzec, gdzie kończy się woda. Na porośniętej trzinami powierzchni unosiły się tratwy, a po drugiej stronie były ledwie widoczne sylwetki ludzi. Rozsiane rzadko jak mech pokrywający kamień, wzdłuż linii drzew wznosiły się palisady lub chaty, lecz te budowle najwyraźniej nie miały dachów. Ponieważ nie świeciło tu słońce i nie padały deszcze, budynki służyły tylko jako kryjówka, a nie schronienie.

Liane położyła dłoń na ramieniu Garrica i szepnęła mu do ucha:

– W niektórych z tych łodzi nie siedzą ludzie – mruknęła. – Mają twarze porośnięte futrem.

Sądząc po liczbie chat, w tym mrocznym świecie żyło około tysiąca osób. Prawie sto z nich wyszło zobaczyć rozbitków. Równie liczna gromada czekała przed dwoma tronami zrobionymi z wyrzuconego na brzeg drewna i stojącymi przed największym z budynków, gdzie na podobnym do szubienicy wsporniku wisiał gong z brązu.

– Przynieśliśmy wspaniały łup, Rodoardzie! – zawołał Othelm. – To wiosło jest z sezonowanego dębu, a na okuciach jest sporo metalu!

Na tronach zasiadał ogromny mężczyzna i postawna kobieta, prawdopodobnie po czterdziestce. Była jeszcze przystojna, lecz nieprzyjemny błysk w jej oczach wzbudził instynktowną niechęć Garrica.

– A więc tym razem nasi poszukiwacze przynieśli niezły łup – powiedział mężczyzna, Rodoard. – Podejdź bliżej, chłopcze.

Garric zrobił krok naprzód.

– Trzymajcie się blisko mnie – mruknął do przyjaciółek.

Rodoard miał na sobie kilka warstw jedwabnej i aksamitnej odzieży. Ubrania były poplamione morską wodą i ubłocone, a zestawienie kolorów byłoby odrażające nawet w pełnym blasku słońca. W tym miejscu prawdziwy materiał był oznaką bogactwa i tylko to liczyło się dla Rodoarda.

Metal również świadczył o bogactwie właściciela. Rodoard nosił krótki i bardzo poręczny miecz, a przed sobą, na pokrytych brokatem poręczach tronu umieścił berdysz z ciężkim i ostrym jak brzytwa ostrzem osadzonym na krótkim trzonku. Obuch topora miał kształt nabijanego kolcami haka.

– Półberdysz – szepnął Garric, powtarzając nazwę, którą wyszeptał w jego myślach król Carus. *Nieporęczna i wymagająca użycia obu rąk broń, którą tylko głupiec posługiwałby się w walce...*

Garric zatrzymał się trzy metry od tronów.

– Jestem Garric or-Reise – powiedział głośno. – To moje przyjaciółki, Tenoctris i Liane os-Benlo. Nasz statek rozbił się.

Siedząca na tronie kobieta wstała i ruszyła do niego. Z dreszczem zgrozy zauważył, że jej długa szata była zrobiona z ludzkich palców: wysuszonych, przewierconych i nanizanych na cienkie sznurki. Cicho podzwaniały przy każdym jej ruchu. Kobieta obdarzyła go leniwym uśmiechem.

– Zostaw go w spokoju, Lunifro – rzekł Rodoard. W jego głosie Garric usłyszał lekką irytację. – Może później. Jeśli okaże się grzecznym chłopcem.

W pobliżu tronów stał tuzin dobrze zbudowanych strażników. Byli uzbrojeni we włócznie i miecze, a niektórzy z nich mieli na sobie fragmenty zbroi. Nawet oni z niepokojem spoglądali na kobietę.

Lunifra zachichotała gardłowo. Oparła dłonie na biodrach i poruszyła nimi w sposób, który Garric uznał za równie obraźliwy, jakby splunęła mu w twarz. Stojąc tak blisko, roztaczała zapach śmierci.

– Wyglądasz na krzepkiego młodzieńca, Garricu – powiedział Rodoard jowialnym tonem, który nie zwiódłby nawet dziecka. – Przydasz się nam, kiedy wyruszymy, by raz na zawsze rozprawić się z Ersanami. Na razie jednak musisz oddać swój miecz i kobiety. To ja decyduję o wszystkim, co dzieje się na Brzegu.

– Jestem z Haft – odparł Garric. Nie podniósł głosu. – Tam każdy jest sobie panem.

– Zapomnij o Haft! – rzekł Rodoard, pochylając się i zaciskając prawą dłoń na rękojeści berdysza. Miał prawie trzydzieści lat, wzrostem niemal dorównywał Cashelowi i chociaż zbyt opasły, niewątpliwie był silnym mężczyzną. – Zapomnij o świecie, który znasz, bo nie ma do niego powrotu. Teraz jesteś na Brzegu, a tutaj jedynym prawem jest słowo Rodoarda!

– Co do mojego miecza – odparł spokojnie Garric, jakby odpowiadając na poprzednie żądanie – możesz go mieć, jeśli zdołasz mi go odebrać. Chcesz spróbować, Rodoardzie?

Rodoard zerknął na boki, upewniając się, czy jego strażnicy nadal są na swoich miejscach. Garric położył dłoń na rękojeści miecza, Przez głowę przemykały mu wspomnienia innego człowieka. Miecz migotał, siekąc tłum kozłonogich stworów, uzbrojonych w oręż z brązu. Odcięte kończyny i rozłupane rogate czaszki broczyły krwią, zbyt czerwoną, aby mogła być ludzka...

Widząc wyraz twarzy Garrica, Rodoard przywarł plecami do tronu. Podniósł berdysz i spojrzał na niego tak, jakby pierwszy raz widział tę broń. Z trzaskiem odłożył ją na poręcz tronu.

Garric zamknął usta. Zaszło mu w gardle, a jego ręce drżały z żądy krwi, która wstrząsnęła nim bardziej niż widok upiornej szaty Lunifry.

– Zostawcie nas w spokoju, a pomożemy wam! – powiedziała Liane. – Ale pomożemy wam jako wolni obywatele Wysp. Rozumiecie?

Lunifra szeptała coś pod nosem. Trzymaną w prawej ręce przezroczywą różdżką postukiwała o ziemię. Garść piasku uniosła się w górę, tworząc toporną ludzką postać, która zaczęła podrygiwać jak niedźwiedź na łańcuchu.

Lunifra spojrzała na Garrica. Znów się uśmiechała, lecz na jej czole perlily się krople potu z wysiłku, jaki włożyła w zakłęcie.

Stojąc obok Garrica, Tenoctris mruknęła:

– *Oreobazagra rexichthon hippochthon...*

Piaskowa postać rozpadła się na dwie, na cztery, na osiem – a każdy fragment wirował osobno i dzielił się na kolejne połowy. Po chwili tylko dwudziestocentymetrowej szerokości pas piasku podrygiwał lekko i coraz słabiej.

Lunifra wściekle poderwała głowę. Skrzyżowała ramiona przed sobą, jakby usiłując odeprzeć niespodziewany atak. Jej różdżka była sporządzona z kości penisa jakiegoś wielkiego drapieżnika, niedźwiedzia lub olbrzymiego kota.

– Siadaj, Lunifro – rzekł Rodoard. Z rozmysłem zdjął dłonie z berdysza. – Powiedziałem ci, żebyś zostawiła ich w spokoju.

Z kamienną miną spojrzał na Garrica.

– Na razie w porządku, chłopcze – powiedział. – Możecie odejść. Josfredzie, znajdź im coś do jedzenia i jakieś miejsce do spania, jeśli zechcą.

Mówił obojętnym głosem – znacznie groźniejszym od najstraszliwszych grózb. Nie bez powodu został królem tej bandy nędznych łotrów.

Z tłumu wysunął się mężczyzna tak niski i szczupły, że Garric w pierwszej chwili wziął go za dziecko. Razem z kilkoma innymi, nie większymi od niego, stał trochę na uboczu.

– I wiesz co, Josfredzie? – dodał Rodoard. – Postaraj się, żeby Garric spotkał się z Ersanami. Chcę, żeby wiedział, na kim wkrótce wypróbuje swój miecz.

DZIESIĄTY DZIEŃ CZAPLI

Cashel uzmysłowił sobie, że jest przytomny. Leżał w mocno naciągniętym hamaku. Kunsztownie rzeźbione kraty zasłaniały okna, a porastająca wokół winorośl rozpraszała światło, zmieniając je w miękką, zieloną poświatę.

Usiadł. Nad nim wisiał wachlarz z wielobarwnych papuzich piór. Widząc, że Cashel się poruszył, sługa mający go wachlować zaczął energicznie deptać nogami pedały maszyny.

– Gdzie jestem? – zapytał Cashel.

Sharina weszła przez jedno z dwojga drzwi i uśmiechnęła się promiennie, widząc, że Cashel jest przytomny.

– Oszczędzaj siły – powiedziała, podchodząc do łóżka. – Masz, weź mnie za rękę. A może mam zawołać służbę?

– Nic mi nie jest – rzekł Cashel. Uśmiechnął się wstydliwie: przecież zawsze się tak mówi. – Chcę powiedzieć, że tym razem naprawdę nic mi nie jest.

Podał rękę Sharinie i wstał z łóżka, nie wspierając się na niej. Zaszumiało mu w głowie, ale tylko przez chwilę. Czuł się zaskakująco rześko. Mętnie przypominał sobie, że chyba przez całą wieczność podtrzymywał niebo, tylko że to nie było niebo i nie jego mięśnie wykonywały tę pracę.

Uśmiechnął się, spoglądając na dłoń Shariny. Była wysoką i bynajmniej nie drobną dziewczyną, a mimo to miał wrażenie, że trzyma zabawkę. Ona widocznie pomyślała to samo, gdyż jednocześnie roześmiali się i odsunęli od siebie.

Sharina miała na sobie beżową lnianą tunikę z rąbkiem ozdobionym błękitnym geometrycznym haftem. Mieszkańcy Barca's Hamlet zwykle nosili prosty wełniany przyodziewek, ale od swojej siostry Ilny Cashel wiele nauczył się o materiałach i modzie. Kiedy o tym pomyślał, doszedł do wniosku, że ona też wiele dowiedziała się o owcach.

Spojrzał na siebie. Miał na sobie podobną tunikę, tylko z wyraźnymi śladami pospiesznego zszywania z dwóch mniejszych. Uśmiechnął się. Widocznie nieczęsto można było tu spotkać ludzi jego wzrostu.

Gdziekolwiek było to „tu”.

– Czy jesteśmy na Pandah? – zapytał.

Małpa weszła na czworakach do komnaty, wyprostowała się i rzekła gardłowym głosem do Shariny:

– Wracaj. Teraz twój ruch.

– Małpa mówi! – zdumiał się Cashel.

Stwór ściągnął wargi w pogardliwym uśmiechu lub warknięciu. Był prawie równie duży jak dorosły mężczyzna, chociaż jego krótkie nogi w pierwszej chwili zwiodły Cashela. Szeroka pierś i muskularne ramiona czyniły go budzącym respekt przeciwnikiem.

– Czy wy, ludzie, jesteście za głupi, żeby odróżnić małpę od małpoluda? – warknęła. – Może powinnaś poprosić Halphemosa, żeby zwiększył inteligencję tego osobnika, Sharino. Chociaż myślę, że lepsze wyniki uzyskałabyś z psem. Albo z osłem.

Cashel wybuchnął śmiechem.

– To cudowne! – powiedział. – Zatem ona naprawdę mówi i myśli?

– Idiota! Idiota! Idiota! – wrzasnęła małpa, czy też małpolud. Dostoczyła do okna i z furją

potrzęsnęła kratą.

Sharina też się roześmiała.

– To jest Zahag – wyjaśniła. – Król Pandah, Folquin, uprzejmie udzielił nam gościny po tym..

Sharina nieznacznie zmarszczyła brwi i dokończyła nieco ściszym tonem:

– Po tym, jak sztorm zniszczył statek. Jego nadworny czarodziej, Halphemos, obdarzył Zahaga ludzkim umysłem. Właśnie gramy w szachy.

Zahag odskoczył od okna.

– Chodź! – rzucił rozkazująco, łapiąc Sharinę za rękę. Palce miał groteskowo długie i porośnięte szorstkim rudawym futrem. – Teraz twój ruch!

Małpolud nie udawał gniewu. Kraty w oknie były zrobione z twardego drewna. Kły Zahaga pozostawiły głębokie ślady na środkowej rosecie.

Czarodziej obdarzył małpę ludzkim rozumem, lecz ten stwór nadal miał mentalność zwierzęcia. Kiedyś do Barca's Hamlet przybył sandrakkański handlarz wełną, który trzymał małpę jako maskotkę, ale tamta była mała – nie większa od kota. Trzymanie maskotki o kłach takich, jakie miał Zahag, wydawało się kiepskim pomysłem, a obdarzanie rozumem silnego i sprytnego zwierzęcia, które miewa ataki szału – jeszcze gorszym.

– Za chwileczkę, Zahagu – powiedziała Sharina, wrywając dłoń z jego uścisku. – Cashelu, czy jesteś gotowy spotkać się z królem Folquinem? Nie ma pośpiechu, jeśli nie czujesz się na siłach.

Sługa – czyżby niewolnik? – obserwował tę scenę, nie przestając poruszać wachlarzem. Dla postronnego obserwatora wydawał się mieć tyle osobowości co maszyna, którą obsługiwał.

– Teraz! – krzyknął Zahag. Przykucnął, jakby zamierzał skoczyć na dziewczynę.

Cashel, poruszając się jak zawsze w razie potrzeby – szybciej niż myśl – zasłonił Sharinę własnym ciałem. Z milczącym zdecydowaniem spojrzał na małpoluda, tak jak w przeszłości stawiał czoło demonom.

Zahag pisnął ze strachu. Skoczył na sługę, przewracając zaskoczonego człowieka, odbił się i uczepił wachlarza. Sznury zatrzeszczały pod dodatkowym ciężarem, a wydarte z ramy pióra zawirowały w powietrzu niczym płatki olbrzymiego kwiatu.

Cashel cofał się, zasłaniając własnym ciałem Sharinę. Zauważył, że dziś nie miała u boku noża pustelnika. Domyślał się, że w pałacu nie wolno nosić broni.

Zahag zeskoczył na podłogę z heblowanych i froterowanych desek. Nonszalancko podrapał się, ale nadal niespokojnie spoglądał na Cashela.

– No dobrze, gra chyba może zaczekać – mruknął.

Cashel odkaslnął.

– Owszem, chciałbym podziękować królowi – powiedział.

Wyszli z komnaty. Sharina szła pół kroku przed nim, a małpolud za nimi. Sługa mocno trzymał sznur wachlarza, powstrzymując kołysanie.

Nieźrównoważony umysł Zahaga był kolejnym powodem do zmartwienia, ale dopóki Cashel jest przy niej, Sharina nie ma powodów do obaw.

– W jaki sposób mierzycie tu czas? – zapytała Liane, gdy Jofred prowadził ich szlakiem biegnącym z osady.

Garric podejrzewał, że przespał co najmniej dwanaście godzin, gdyż jego mięśnie odpoczęły po wysiłku, jakiemu musiały sprostać podczas sztormu. Niebo i las nie zmieniły się od czasu, gdy – wyczerpany – zasnął w szałasie z gałęzi, do którego zaprowadził ich Jofred.

Przewodnik wzruszył ramionami.

– Przybysze zawsze o to pytają – rzekł. – Na Brzegu czas nie ma żadnego znaczenia. Ci, którzy urodzili się tutaj, nie potrafią was zrozumieć.

Szlak był niegdyś szeroką aleją wiodącą do laguny, lecz teraz porastały go krzewy podobne do piołunu, tylko delikatniejsze. Garric nie miał pojęcia, jak szybko rosną rośliny na Brzegu, ale podejrzewał, że ruch na tej drodze ustał co najmniej rok czy dwa lata wcześniej.

– Tam! – powiedział Jوسفred. – Banda Ersan zrywa śliwki. Chyba nie powinniśmy podchodzić bliżej, panie Cashelu, chociaż pewnie i tak nie sprawią żadnych kłopotów. Ma pan stalowy miecz, panie Garricu.

Głos przewodnika był pełen goryczy. Garric nie wiedział, czy ten szurkowaty człowieczek bardziej zazdrości mu miecza czy Liane. Jوسفred najwidoczniej nie uważał kobiet za ludzi. Garric musiał założyć, że takie nastawienie jest mniej więcej typowe dla wszystkich mieszkańców Brzegu.

Chociaż... Lunifra nie była niczym popychadłem, nawet Rodoarda.

Tuzin porośniętych rzadkim futrem humanoidów zrywało ciemnoniebieskie owoce z rosnących w równych rzędach krzaków, sięgających im do pasa. Te, które Garric jadł z przyjaciółkami, zanim wyruszyli z Jوسفredem, były wielkości pięści i wyglądem oraz smakiem wcale nie przypominały śliwek. Nawet ich kolor byłby jaśniejszy w dziennym świetle. Rozbitkowie nadawali znajome nazwy roślinom rosnącym na Brzegu, lecz poza nazwą w tej „śliwce” nie było niczego znajomego.

Ersanie przerwali pracę i odstawili kosze, do których zbierali owoce. Zbili się w gromadę, bacznie przyglądając się ludziom. Wojownicy podnieśli włócznie i maczugi. Ich drewniana broń miała groty i ostrza zrobione z wydobytych z laguny muszli.

Największy z Ersan – dorównujący wzrostem Garricowi, ale szczuplejszy – miał włócznie o wąskim grocie zrobionym z okrętowego ćwieka. Pomachał nią Garricowi i zawołał:

– Odejdźcie, ludzie.

Łatwiej było go zrozumieć niż Jوسفreda.

– Lepiej chodźmy – rzekł nerwowo przewodnik.

– Muszę z nimi porozmawiać – powiedziała Tenoctris. Poszła przez pole, uważnie omijając krzaki.

Garric otworzył usta, by zaprotestować, a potem ruszył za czarodziejką. Liane chwyciła go za rękę.

– Zostaw miecz – szepnęła.

– Sam powinienem o tym pomyśleć – mruknął Garric.

Jeśli podejdziesz do tamtych uzbrojony, poczują się zagrożeni, chociaż nie miał wobec nich żadnych złych zamiarów.

Odpiął pas. Nie było to proste: klamra miała dwa zaczepy i solidną metalową osłonę, która je chroniła. W ten sposób nosił swą broń król Carus...

– Co robisz? – zapytał niespokojnie Jوسفred.

Garric zignorował go. Podał broń Liane i pospiesznie dołączył do Tenoctris, zanim dotarła do groźnie spoglądających Ersan.

– To nasze pole – rzekł wódz Ersan. – Jeśli spróbujecie zabrać naszą żywność, będziemy z wami walczyć.

Z daleka Garricowi wydawało się, że Ersanie są podobni do kotów. Z bliska nie przypominali żadnego ze znanych mu zwierząt – i nie wyglądali też jak kosmaci ludzie. Prawdę mówiąc, szarobrązowe futro było jedną z najmniej szokujących cech ich wyglądu.

Głowy mieli okrągłe. Otwory uszne były zwykłymi dziurami, lecz porozumiewali się między sobą dobrze rozwiniętymi małżowinami usznymi wielkości ludzkich dłoni. Mieli szczęki, które poruszały

się na boki, a oprócz rogowych powiek ich oczy były przesłonięte błonami mrużnymi, nieustannie i błyskawicznie otwierającymi się i zamykającymi.

– Nie jesteśmy waszymi wrogami – powiedział Garric. Ersanie byli obcymi, ale wyglądali godnie i czysto, czego nie można było powiedzieć o mieszkających na Brzegu ludziach. – Nie chcemy wyrządzić wam krzywdy.

– Dopiero tu przybyliśmy – powiedziała Tenoctris. – Nasz statek rozbiła jakaś nie znana mi siła. Czy wy lub wasi przodkowie w ten sam sposób znaleźliście się na Brzegu?

Oczy Ersan były szerzej rozstawione od ludzkich. Tak jak owce, mieli szerokie pole widzenia. Ich uszy poruszały się w bezgłośnej mowie, jak flagi na wietrze.

– Nasi ojcowie stworzyli to miejsce, by uciec przed wrogami – odparł w końcu przywódca. – Przez wiele pokoleń mieszkaliśmy tu sami. Kiedy pojawili się pierwsi ludzie, pozwoliliśmy im zostać. I jeszcze przez wiele pokoleń wszystko było dobrze. Teraz przybyli inni ludzie, którzy mają broń i zabierają nasze pola. Ludzie, to nasza ziemia!

Potrząsnął włócznią. Przy każdej dłoni miał cztery palce – po dwa przeciwstawne i osobny kciuk.

– Wracajcie zaraz albo was zabijemy! – krzyknął.

Cała gromadka groźnie poruszyła się. W umyśle Garrica król Carus analizował sytuację. W pojedynku człowiek z pewnością poradziłby sobie z Ersaninem, lecz ich gromada walczyłaby w idealnie zgodnym szyku, któremu nie zdołałaby sprostać nawet najlepiej wyćwiczona ludzka armia.

– Dziękuję, że zechcieliście z nami porozmawiać – rzekła Tenoctris. Skłoniła się nisko. – Przyjdziemy znowu, żeby porozmawiać.

Garric też się uklonił. Ostrożnie omijając krzewy, poszedł za starą czarodziejką przez pole.

– Widocznie ten Brzeg został stworzony przez jakiegoś ersańskiego czarodzieja – powiedziała cicho Tenoctris. – Nie ma żadnych wzmianek o Ersanach, nawet w almanachach największych magów, którzy przez całe życie prowadzili badania tylko po to, żeby wzbogacić naukę. Tacy jak Cadilorn i Mansel z Eyre lub Uzuncu Czaszka, jeśli nie była mitem tak jak Żółty Król, któremu służyła.

Uśmiechnęła się do Garrica.

– Byłabym jedną z nich, gdybym posiadała moc – powiedziała. – Lecz oczywiście nie miałam jej. Ponieważ jednak jestem z tobą, Garricu, dowiaduję się rzeczy, o których nie miała pojęcia nawet Uzuncu.

Roześmiała się dźwięcznym i wesołym śmiechem, który rozjaśnił ponury dzień.

– Może rację mieli ludzie, którzy twierdzili, że lepiej być szczęściarzem niż mędrce – dodała.

– Nie wydaje mi się, żeby pobyt tutaj był wielkim szczęściem – mruknął Garric. Niepokoiła go myśl, że to przez niego znaleźli się na Brzegu. – Szczególnie jeśli nie można się stąd wydostać.

– Ależ można – powiedziała Tenoctris z niezłomną pewnością siebie. – Nie wiem, czy to ja będę w stanie wydostać nas stąd, ale wydaje mi się, że wiem, jak mógłby tego dokonać umiarkowanie potężny czarodziej.

Dotarli do pozostałych. Liane zwróciła Garricowi miecz i uścisnęła mu dłoń.

Josfred przestępował z nogi na nogę.

– Nie powinniście tego robić! – wypalił. – Mogli was zabić i co wtedy powiedziałbym Rodoardowi?

– Nic takiego, co obchodziłoby wówczas Garrica – odparła Liane, rozładowując w ten sposób swój wcześniejszy niepokój. – Nie ma sensu mówić o tym, co się nie zdarzyło.

Garric zerknął przez ramię. Ersanie znów zbierali owoce. Ponieważ ich poczucie wspólnoty było bardziej rozwinięte niż ludzkie, mieli wszelkie powody, by czuć się zagrożeni przez ludzką rasę, do

której należeli tacy osobnicy jak Rodoard i Lunifra. Pomimo groźby, którą przywódca Ersan zakończył rozmowę, zdawali się rozumieć to, że Garric i Tenoctris nie są do nich wrogo usposobieni.

– Jوسفredzie – rzekł Garric, gdy ruszyli z powrotem szlakiem do osady – powiedziałaś, że urodziłaś się na Brzegu. Jak długo żyli tu twoi przodkowie?

Człowieczek gwałtownie pomachał rękami.

– Mówiłem wam, że nie ma sensu o to pytać! Jesteśmy tu od zawsze.

Urwał, nagle zdając sobie sprawę z tego, że nawet na Brzegu czas można mierzyć ważnymi wydarzeniami.

– Tylko że najpierw byliśmy niewolnikami Ersan, dopóki morze nie wyrzuciło innych ludzi, uzbrojonych tak jak ty. Wtedy zewnętrzny brzeg był jeszcze bagniskiem.

– Myślę, że co najmniej przed tysiącem lat – orzekła z zadowoleniem Tenoctris. – Podczas poprzedniej kulminacji sił. Brzeg jest zamkniętym światem. Nie wiem nawet, czy przedtem był częścią naszego kosmosu, ponieważ Ersanie istnieją tylko tutaj, na Brzegu.

– Kosmos jest wszystkim, co było lub będzie – wtrąciła ostro Liane. – Prawda? A zatem nie może istnieć nic innego!

– Zazwyczaj tak to wygląda z ludzkiego punktu widzenia – odparła Tenoctris. Uśmiechnęła się, łagodząc ukrytą naganę.

Liane przystanęła i uścisnęła staruszkę.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam... Tak się boję. Zmienia się wszystko, czego się spodziewałam.

– Rodoard uczynił nas silnymi – oznajmił Jوسفred. – Nie jesteśmy już niewolnikami Ersan!

Garric nie potrzebował mądrości króla Carusa, by wiedzieć, że Rodoard byłby bardzo złym władcą, gdyby nie miał ersańskich wrogów, którzy trzymali go w ryzach. A nawet brutalne rządy Rodoarda byłyby lepsze od kapryśnego sadyzmu, jakiego można było oczekiwać po Lunifrze.

– Rodoard przybył tu razem z sześcioma innymi – powiedział z zadowoleniem Jوسفred, gdy wracali szlakiem do osady. – Mieli broń ze stali. Jeden z ludzi myślał, że może rozkazywać Rodoardowi, ale ten mu się sprzeciwił.

Chichot Jوسفreda był jak plusk wody wylewającej się z pękniętego dzbanka.

– Rozpruł mu brzuch i zostawił na ziemi. A tamten pisał i pisał, aż umarł.

– Czy Rodoard był w zewnętrznym świecie strażnikiem tego człowieka? – zapytała spokojnie Liane. Garric zerknął na nią, zaskoczony zarówno pytaniem, jak i spokojem, z jakim je zadała.

Jوسفred rozdziawił usta.

– Kobieto, czy jesteś czarodziejką jak Lunifra? – spytał z przerażeniem. – Skąd o tym wiesz?

– Rodoard ma tatuaże zbrojnego z Blaise – powiedziała Liane. W zadumie mówiła dalej: – Oni często wynajmują się, żeby strzec kupców. Mój ojciec czasem ich zatrudniał.

I napiętym, bezbarwnym tonem dodała:

– Nie, nie jestem taka jak Lunifra. Wcale nie.

– Lunifra jest zręczną czarodziejką – powiedziała Tenoctris. – Zręczną, a nie potężną, chociaż ma sporą moc. – Zachichotała. – W każdym razie większą od mojej.

– Czy mądrze było zdradzać Lunifrze, że też jesteś czarodziejką? – spytał spokojnie Garric. Tenoctris zwykle skrywała swoje umiejętności, więc był zaskoczony, kiedy otwarcie skorzystała z nich, niweczając zaklęcie Lunifry.

– Ona już to wiedziała – powiedziała Tenoctris. – Poznałam to po jej uśmiechu, kiedy na mnie patrzyła. Ona widzi rzeczy, a nie tylko zmusza moce, by wykonywały jej życzenia. I jest bardzo inteligentna.

Garric odkasznął. Jeśli dobrze rozumiał to, co mówiła Tenoctris...

– Tenoctris? – powiedział nagle. Najpewniejszym sposobem uzyskania odpowiedzi jest zadać pytanie. – Czy chcesz, żeby Lunifra przyłączyła się do nas? Została naszym sprzymierzeńcem?

Tenoctris zatrzymała się na środku szlaku. Położyła dłoń na ramieniu Garrica, który odwrócił się twarzą do niej. Idący kilka kroków przed nimi Josfred nie zauważył tego, ale Liane przystanąła i z niezbyt umiejętnie skrywanym niepokojem spojrzała na przyjaciół.

– Garricu – zapytała Tenoctris – kiedy patrzysz na Lunifrę, co czujesz?

– Wywraca mi się w żołądku – odparł młodzian, jak zwykle prosto z mostu.

– To dobrze – stwierdziła Tenoctris – bo jeszcze nigdy w moim długim życiu nie spotkałam nikogo, kto wydawałby się takim uosobieniem bezsensownego zła. Lunifra nie pożąda władzy ani żadnej innej rzeczy, jakie zwykle wiodą ludzi do zła, do Malkara. Ona jest jak błyskawica lub fala przyływu: niszczy wszystko, co napotka na drodze.

– I pomaga Rodoardowi? – zdziwiła się Liane.

– To on tak myśli – odparła staruszka. – Kiedy już zniszczy wszystko, przyjdzie kolej i na niego.

Josfred podszedł do nich i z niepokojem przysłuchiwał się rozmowie.

– Lunifra też przybyła z zewnątrz – powiedział. – Niewiele kobiet tu przybywa. Jednak od kiedy zjawił się tu Rodoard, pojawiło się tu ponad stu mężczyzn, ze stalą i drewnem twardszym niż to, jakie rośnie na Brzegu.

Człowieczek spojrzał z ukosa na miecz Garrica.

– Ludzie, którzy nie chcą służyć Rodoardowi, umierają! – szepnął. – Wszyscy muszą służyć Rodoardowi, który uwolni nas od Ersan!

– Tak – mruknął Garric. – Dobrze rozumiem, o czym mówisz.

Większość ludzi wyrzucanych na Brzeg z pewnością była marynarzami, zahartowanymi przez trudy i niebezpieczeństwa. Mieszkańcy urodzeni na Brzegu byli w porównaniu z nimi karłami, a stalowa broń rozbitków pozwoliła im bez trudu podbić istniejące tu społeczeństwo. Nowo przybyli niekoniecznie musieli być złymi ludźmi, lecz większości z nich Brzeg wydawał się rajem – choć niektórzy rzeczywiście byli źli.

Tych, którzy nie chcieli służyć łotrowi w rodzaju Rodoarda, szybko mordowano, zanim zdążyli rozpowszechnić swoje pokojowe idee. Garric na razie zachował życie, ponieważ nie okazał wrogości, lecz zareagował w sposób, który czynił go niezwykle groźnym przeciwnikiem.

Pamięć podsunęła mu obraz króla Carusa przebijającego się przez tłum wrogów. Miecz władcy poruszał się z szybkością i siłą błyskawicy.

Marynarz nie miałby odwagi przeciwstawić się Rodoardowi, a kupiec nie miałby siły i umiejętności, które czyniłyby groźbę wiarygodną. Garric or-Reise, wieśniak z Barca's Hamlet, sam być może także nie zdołałby tego dokonać – ale on nie był sam.

Król Carus zachichotał, niewidzialny, lecz zawsze obecny, nawet kiedy Garric wcale nie spał.

– Musimy wykończyć Ersan – rzekł Josfred, z uciechą zacierając dłonie. – Przybyło tu wielu waszych, z twardym drewnem i metalem na broń. Teraz Ersanie będą naszymi niewolnikami – a może zabijemy ich wszystkich!

Jeśli to zrobicie, pomyślał ponuro Garric, Rodoard pokaże wam, czym jest prawdziwe niewolnictwo. Chociaż nawet to będzie lepsze od tego, co z Brzegu uczyni Lunifra.

– Mam lepszy pomysł – powiedziała spokojnie Tenoctris. – Myślę, że możemy wszyscy opuścić to miejsce i pozostawić je Ersanom, zamykając za sobą przejście, żeby już nikt nie został tu uwięziony.

– Opuszczenie tego miejsca – powiedziała z przekonaniem Liane – to najlepszy pomysł. Oby

stało się to jak najprędzej!

Sharina dotknęła dłoni idącego z nią Cashela. Oplatające kolumnadę rośliny kwitły, roztaczając aromatyczne zapachy i szumiąc rojami owadów. Ten widok był egzotyczny dla mieszkańca Barca's Hamlet, ale także krzepiąco spokojny.

– Szybciej! – nalegał Zahag. Ręce miał dwukrotnie dłuższe od nóg. Posuwał się naprzód jak skacząca żaba.

– Dojdziemy – rzekł Cashel, powstrzymując odruchową reakcję Shariny, która już chciała przyspieszyć, ponieważ ktoś jej to kazał. Zaśmiała się i zwolniła kroku, zrównując się z nim. Miło było iść u boku Cashela. On nigdy się nie spieszył, ale w razie potrzeby poruszał się naprawdę szybko.

– Phi! – prychnął z niesmakiem Zahag. Wskoczył na rzeźbione nadproże, a potem na dach kolumnady. Po chwili dudnienie stóp małpoluda o dach ucichło.

Pałac króla Folquina miał kształt prostokątnego „U”, z biegnącą od zewnętrznej strony kolumnadą, do której wychodziło się z każdego pokoju. Przez oba skrzydła ciągnęły się korytarze wiodące na wewnętrzny dziedziniec, gdzie miały miejsce najważniejsze wydarzenia. Tylko z królewskich apartamentów drzwi wiodły prosto na dziedziniec.

– To miłe, że król nam pomaga – rzekł Cashel. Ktoś inny na jego miejscu bardziej zdecydowanie wyraziłby swe wątpliwości. Cashel dodał: – Dlaczego to robi?

– Ponieważ... – zaczęła Sharina, zastanawiając się nad tym trudnym pytaniem. – To, co stało się z naszym statkiem, było stąd dobrze widoczne. Błyskawice i gromy. Mistrz Halphemos twierdzi, że przez moment widział wielki dysk, ukazujący nocne niebo i gwiazdy. Dlatego tak się ucieszyli, kiedy znaleźli rozbitków, chociaż nie mogłam im wyjaśnić tego, co się zdarzyło.

Pałacowa służba mieszkała na piętrze. Matki nawoływały dzieci bawiące się na murawie za porośniętą pnąciami kolumnadą. Ubrania schły w słońcu na suszarkach, a z kuchni niesły się zapachy przygotowywanych potraw. Obywatele Pandah mieszkali bliżej siebie niż w Barca's Hamlet, ale też byli ludźmi.

Łukowate przejście na dziedziniec wiodło między filarami w kształcie wiązek trzciny. Pałac był zbudowany z kamienia, lecz przybywając tu z portu, Sharina zauważyła, że zwyczajni ludzie przeważnie mieszkali w lepiankach.

– A ponadto... – ciągnęła Sharina. Musiała być całkowicie szczerą wobec Cashela, nawet jeśli to ją krępowało. – Król Folquin jest romantykiem. Halphemos powiedział mu, że poślubi księżniczkę, która przybędzie tu na skutek czarów. Folquin myśli, że to ja.

– Och – mruknął Cashel. Wzruszył ramionami, rozluźniając w ten sposób tunikę. Kiedy napinał swe potężne mięśnie, często pękała mu odzież. – A kim jest ten Halphemos?

– Nadwornym czarodziejem – powiedziała Sharina. Rozmyślnie zwolniła kroku, lecz i tak zbliżali się do końca krótkiego korytarza. – To chłopiec, ale całkiem miły. Myślę, że pasowałby do Barca's Hamlet. Mimo to jest czarodziejem.

– A więc chodźmy do niego – rzekł spokojnie Cashel. – I do króla Folquina.

Sharina nigdy nie widziała Cashela rozgniewanego, nawet kiedy bronił jej i swojego życia. Ogromny dąb też się nie złości, ale kiedy na ciebie pada, możesz tylko uciec albo zostaniesz zmiążdżony.

Stanęli na dziedzińcu. Folquin siedział na fotelu, którego cztery nogi kończyły się rzeźbionymi, wygiętymi rybimi ogonami. Miał na sobie lnianą tunikę i tylko pióropusz na jego głowie przypominał Sharinie szatę z piór, którą miał na sobie, kiedy ją ratował. Obok niego stało kilku dworzan –

włącznie z Halphemosem, tym razem nie w oficjalnym stroju. Około stu obywateli Pandah i trochę cudzoziemców stało na otwartym końcu dziedzińca, czekając na audiencję lub po prostu obserwując wydarzenia.

Trzej akrobaci popisywali się na koniu. Byli zręczni, lecz Sharina odniosła wrażenie, że przewroty i stójki wykonywali nie tyle z entuzjazmem, ile zaciekle rywalizując ze sobą. Byli tutaj, ponieważ nakazywała to dworska etykieta. Czekając na swoją kolej, dwie zgrabne młode kobiety z ksylofonem gawędziły z brzuchatym kupcem i jego sekretarzem.

Folquin siedział, podpierając dłonią brodę. Dwie kobiety w sukiennych szalach narzuconych na tuniki wytaczały swoje racje, mierząc się gniewnymi spojrzeniami. Przy każdej stał dworzanin mający trzymać je w ryzach.

Zahag przykucnął przy stoliku szachowym ustawionym za królewskim tronem. Iskał się. Halphemos melancholijnie spoglądał w dal. Kiedy zauważył Sharinę i Cashela, rozpromienił się i pospieszył do nich.

– Mistrzu Cashel! – rzekł z entuzjazmem. – Panna Sharina mówi mi, że to ty uratowałeś ją z objęć burzy, która zatopiła wasz statek. To dla mnie zaszczyt spotkać tak potężnego czarodzieja!

Wyciągnął rękę, by uścisnąć przedramię Cashela, jak dwaj handlarze podczas Święta Barana. Stojąc tak obok Cashela, wyglądał jak łodyga bambusa przy pniu dębu.

– Nie jestem czarodziejem – rzekł Cashel. Ze szczerym zażenowaniem wzruszył ramionami. – Po prostu... Naprawdę nie pamiętam, co się stało. Napierał na mnie potworny ciężar i usiłowałem go odepchnąć.

Cashel odchrząknął, odwrócił się, by splunąć, i przypomniał sobie, że znajduje się na królewskim dworze. Przełknął ślinę.

Większość zebranych obserwowała akrobatów lub prowadziła rozmowy, czekając na swoją kolej złożenia petycji. Na końcu dziedzińca staruszka z kubkiem opowiadała coś grupce słuchaczy, a w kącie jakieś podejrzanе indywiduum demonstrowało wieśniakowi grę opartą na szybkim manewrowaniu trzema łupinami orzecha i ziarnkiem grochu.

Wyjątkiem była kobieta w długiej białej szacie, z tatuażami na obu policzkach. Przykucnęła z dala od innych, zaostrzoną kością rysując coś w piachu pod nogami. Wodziła wzrokiem za Cashelem jak wąż obserwujący nornicę. Kiedy zorientowała się, że Sharina zauważyła ją, uśmiechnęła się głupio i spojrzała na znaki, które nabazgrała na piasku.

– Mistrzu Cashel – rzekł szczerze Halphemos. – Ja sam nie jestem zbyt biegły w sztuce, lecz mój przyjaciel Cerix doskonale rozumie się na czarach. Czy mogę prosić, żebyś odwiedził nas w naszej kwaterze, może dziś wieczorem? On jest kaleką i rzadko wychodzi z domu.

Małpolud zauważył ich i przybiegł w podskokach. Potrącił tron Folquina, który posłał mu groźne spojrzenie.

– Sharino! – rzekł Zahag. – Teraz twój ruch! Chodź!

Cashel rzekł:

– Hm, nie mam nic przeciwko spotkaniu z tym twoim Cerixem, lecz przede wszystkim musimy odnaleźć przyjaciół, którzy płynęli razem z nami na...

Małpolud niecierpliwie wyciągnął rękę, usiłując chwycić dłoń Shariny. Cashel przesunął się w bok, blokując mu drogę. Zahag odskoczył w tył. Człowiek na jego miejscu wpadłby na Cashela i odbił się.

Sharina zerknęła na króla. Pochwycił jej spojrzenie i skrzywił się. Wyraźnie postanowił wysłuchać do końca obu przekupek i zakończyć ich spór.

– Skończę partię – powiedziała Sharina do Cashela, przepaszająco wydymając usta. – To nie

potrwa długo.

Uśmiechnęła się, podążając za chichoczącym Zahagiem. Małpolud zachowywał się jak rozkapryszone dziecko, ale tak jak i ono, nic nie mógł na to poradzić. Człowiek – w każdym razie taki człowiek jak Cashel – zwykle reagował na natarczywość stworzenia o rozmiarach Zahaga jak na zaczepki dorosłego potrafiącego kontrolować swoje zachowanie. Takie podejście było niewłaściwe.

A przynajmniej Sharina je za takie uważała. Z drugiej strony Cashel mógł mieć rację, uważając, że jeśli raz ciśnie małpoludem o dach pałacu, to Zahag nauczy się zachowywać jak należy.

– To jeden z powodów, dla jakich chciałbym, żebyś spotkał Cerixa – ciągnął Halphemos. – Z jego wiedzą i twoją... hm... naszą siłą, może uda nam się odnaleźć waszych przyjaciół.

Sharina przykucnęła przy stoliku szachowym. Dworska etykieta na Pandah nie była nazbyt sformalizowana, ale nie pozwalała, by ktokolwiek siedział na krześle czy stołku, kiedy król przyjmował petentów. Ten wymóg nie był wcale kłopotliwy dla dziewczyny z Barca's Hamlet.

Spojrzała na szachownicę. Szachy były szlachetną grą, w którą w wiosce nie grał nikt oprócz Shariny i jej rodziców – Lory i Reisego. Lora zadbała o to, by Sharina poznała zasady gry w szachy i wszystkie inne aspekty dworskiego życia, jakich mogła nauczyć ją w wiejskiej karczmie.

Lora i Reise służyli w pałacu tej nocy, kiedy buntownicy zabili księcia i księżnę Haft. Sharina wyrosła na smukłą blondynkę, zupełnie niepodobną do krępych i ciemnowłosych mieszkanek Haft, lecz bardzo podobną do przedstawicieli szlacheckich rodów Ornifal, jakim był książę Niard, władca Haft poprzez małżeństwo. Jego żona, księżna Tera, wywodziła się ze starego rodu Władców Wysp. Lora zawsze była pewna tego, co powiedzieli królewscy emisariusze: Sharina była córką Tery, urodzoną tego samego dnia co Garric i wychowaną przez Lorę oraz Reisego.

Lora była złośliwą i kłótniwą kobietą. Żywiła nadzieję, że pewnego dnia wychowane przez nią dziecko zasiądzie na tronie, a ona zajmie miejsce o jeden szczebel niżej. Kiedy jednak emisariusze króla Valence'a zabrali Sharinę na spotkanie tego, co – jak twierdzili – było jej przeznaczeniem, zostawili Lorę w wiosce. Nie było dla niej miejsca w królewskich planach ani w życiu Shariny. Dziewczyna współczuła jej, lecz nie była w stanie znaleźć w sercu żadnych cieplejszych uczuć dla kobiety, którą nadal uważała za matkę.

Mimo wszystko umiejętność gry w szachy okazała się przydatna na dworze króla Folquina.

Sharina oceniła sytuację na szachownicy, a następnie wyprowadziła w pole gryfona. Jej figurki były rzeźbione z ciemnoczerwonego drewna, a figurki Zahaga z drewna tak jasnego, że tylko patrząc pod odpowiednim kątem, można było dostrzec słoje.

Pandah była jedyną dużą wyspą na środku płytkiego Morza Wewnętrznego. Było tam wiele wysepek, do których statek mógł przybić na noc, lecz większość nie oferowała niczego poza przystanią. Żywność, słodką wodę oraz wszelkie uroki cywilizacji można było znaleźć tylko na Pandah.

Jako bardzo uczęszczany port, Pandah szybko stało się sporym ośrodkiem handlowym, gdzie towary ze wszystkich wysp były kupowane lub przeładowywane. Ta szachownica mogła pochodzić z dowolnej z nich, choć groteskowo rzeźbione figurki nasuwały Sharinie podejrzenie, że zrobiono je na Dalopo.

Popatrzyła na tłum. Kobieta, którą zauważyła poprzednio, znów patrzyła na Cashela. Podobno mieszkańcy Dalopo noszą tatuaże...

Zahag zachichotał z uciechy. Przesunął pozostałego czarodzieja i zbił żółwia Shariny.

– Masz! – zawołał. – Nie zauważyłaś!

Sharina przewidziała ten ruch. Grała już kilka razy z Zahagiem i na podstawie dotychczasowych doświadczeń słusznie osądziła, że małpolud pospieszy się z biciem figury.

Folquin osądził, że koza jest własnością jednej ze stron, jednocześnie nakładając na nią grzywnę za szkody wyrządzone przez zwierzę drugiej stronie. Obie kobiety zawyły z oburzenia. Cashel nadal rozmawiał z Halphemosem. Młody czarodziej pokazywał mu swój sztylet z ostrzem z żółtego kła morsa.

Sharina ponownie wykonała ruch gryfonem.

– Szach – powiedziała – i mat.

– Ach, panno Sharino – powiedział król Folquin. – Zechcesz przedstawić mnie swojemu obrońcy?

Sharina odwróciła się i zaczęła wstawać. Zahag wydał przeraźliwy wrzask, głośny jak zgrzyt rozrywanego metalu. Odrzucił stolik na bok, aż figurki rozsypały się na wszystkie strony, po czym złapał Sharinę, zaciskając potężne palce.

Folquin krzyknął gniewnie. Siedzący pod ścianą gwardziści zerwali się na równe nogi. Większość pobiegła w kierunku Shariny, lecz jeden stracił głowę i zaczął napinać łuk.

Cashel nie tracił czasu na słowa czy zbyteczne gesty. Szerokimi dłońmi chwycił przedramiona Zahaga i ścisnął tak mocno, że małpolud nie mógł utrzymać dłoni Shariny. Puścił ją i próbował ugryźć Cashela w rękę. Cashel rozłożył ramiona, nadal nie puszczając małpoluda. Zahag przeciągnął mu po brzuchu tępymi pazurami tylnych łap.

Małpolud pienił się ze złości. Wrzaski gości powiększały zamieszanie. Halphemos stał z boku, nie odrywając oczu od tych zmagania i rzucając jakieś zaklęcie. Lekko wymachiwał sztyletem. Wargi czarodzieja wymawiały sylaby prastarej mowy. Twarz miał białą jak kreda.

Gwardziści z obnażonymi, zakrzywionymi mieczami przedzierali się przez tłum. Ich dowódca miał hełm zwieńczony kitą orlich piór. Sharina zastąpiła im drogę i podniosła rękę.

– Stójcie! – zawołała. – Niech Cashel się nim zajmie!

Wiedziała, że Cashel przytrzyma małpoluda, dopóki ten się nie uspokoi. Jeśli wtrąca się do tego nerwowi żołnierze, nie wiadomo, co się może stać.

– Zejdź z drogi! – krzyknął dowódca straży, usiłując odepchnąć Sharinę. Złapała go i wykręciła mu rękę, w której trzymał miecz. Hełm spadł mu z głowy i potoczył się po ziemi. Mieszkańcy Pandah byli drobnej budowy, a lęk jeszcze dodał sił Sharinie.

Jeden z gwardzistów upuścił miecz i próbował odciągnąć Sharinę od dowódcy. Pozostali wahali się, nie wiedząc, co robić w tak skomplikowanej sytuacji.

Cashel podniósł Zahaga nad głowę, przymierzając się, by przerzucić go przez dach pałacu. Małpolud był znacznie silniejszy niż mężczyzna jego wzrostu. Mocno uczeplił się przegubu Cashela i nie dał się strząsnąć. Cashel mruknął coś pod nosem i ruszył w kierunku ściany budynku, zamierzając roztluc na miazgę to uparcie trzymające się jego ręki stworzenie.

– *Meueri puripeganux!* – zawołał w nagłej ciszy Halphemos. Machnął sztyletem.

Powietrze wokół Cashela i Zahaga rozjarzyło się tęczą barw, a potem rozbłysło czerwienią. Małpolud, człowiek oraz kawał ubitej ziemi, na której stał Cashel – wszystko znikło.

Sharina i zaskoczeni gwardziści odsunęli się od siebie. Dziewczyna z niedowierzaniem spojrzała na Halphemosa. Ten z przerażeniem patrzył na puste miejsce.

– Ja tego nie zrobiłem! – powiedział. – Na Panią, chciałem ich tylko unieruchomić!

Tatuowana kobieta wstała niepostrzeżenie. Bosą nogą starła znaki, które nakreśliła na ziemi. Odeszła, kiedy wszyscy wokół paplali ze zdumieniem.

Budynek, w którym zamieszkała Ilna, miał tak cienkie ścianki, że jego fundamenty utrzymywały trzy kondygnacje, a nie dwie, do czego ograniczałyby jego wysokość ściany normalnej grubości.

Pokoje – jeden pełniący rolę warsztatu, a drugi mieszkalny – znajdowały się na drugim piętrze. Dach nad nimi nie przeciekał, a Ilna nie uważała, by warto było płacić wyższy czynsz, żeby tylko nie chodzić po schodach.

Ściany i podłoga w pokojach Ilny chyba po raz pierwszy były idealnie czyste, dosłownie tak czyste, że można by z nich jeść. Szorowała je przez półtora dnia i do tynku wciąż przywierała woń użytego przez nią ługu.

Rozmyślała o przeszłości, przerzucając czółenko tam i z powrotem przez podwójne krosno. Tkala cienki materiał szerokości dwóch łokci. Można będzie powiesić go jako kilim w przedsiionku rezydencji lub nad świetlikiem takiego mieszkania jak to. Jeszcze nie zdecydowała, co z nim zrobi: sprzeda jakiemuś szlachcicowi, gotowemu dobrze zapłacić za błogosławieństwo, jakie ten materiał sprowadzi na jego domostwo, czy też podaruje kilkuset nieznanym jej ludziom, którzy żyli w brudzie budzącym w niej niesmak.

Dług pozostaje długiem, niezależnie od tego, czy lubisz lub szanujesz wierzyciela. Zło, jakie Ilna sprowadziła swoimi miłosnymi czarami, dotknęło bezpośrednio lub pośrednio wszystkich mieszkańców Erdinu. Teraz pozostawało jedynie pytanie, czy lepszą rekompensatą będą pieniądze, czy też odpowiedni prezent.

Ilna nie myślała o przyszłości. Przeszłość i złamane serce przysparzały jej dość bólu.

Po każdym przejściu instynktownie naciskała pedał, by pozbyć się tej czy innej kępki niepotrzebnych nitek. Ponieważ myślami była na statku uwożącym Garrica w dal, minęło kilka chwil, zanim uświadomiła sobie znaczenie subtelnych detali tkanego wzoru.

Przerwała pracę i przesunęła palcami po ciasno utkanym materiale. Przeszłość, terażniejszość i przyszłość kosmosu były tą samą materią, a od kiedy Ilna os-Kenset powróciła z piekła, nie było wzoru, który pozostawałby dla niej tajemnicą.

Prychnęła. Od czasu, gdy zamieszkała w Crescent, zdołała sobie wmówić, że ludzie są lepsi, niż byli naprawdę. Oczywiście, podjęła stosowne środki ostrożności.

Wstała od krosna i włożyła płaszcz z ciemnoniebieskiej wełny. Sama utkała ten materiał. W dotyku był jak ciepłe mleko. Zdjęła z wieszaka pętlę z cieniutkiego jedwabiu i ukryła ją pod płaszczem.

W pewnym sensie używanie jedwabiu w takim celu było luksusem, lecz Ilna nigdy nie oszczędzała na narzędziach.

Okna pokoju były zwykłymi otworami w ścianach. Wychodząc, Ilna nie zamknęła i nie zaryglowała okiennic. Zamknęła drzwi, przekręcając klucz w nieskomplikowanym zamku tylko dlatego, że wydałoby się podejrzane, gdyby tego nie uczyniła.

Czynszówka była prostokątnym budynkiem z podwórkiem na środku. W każdym narożniku znajdowały się schody, chociaż zwykle były zavalone śmieciami.

Zamykając drzwi, Ilna dostrzegła dziesięcio- lub dwunastoletniego chłopca kryjącego się w głębi brudnego korytarza. Szmata, którą owinał sobie czyrak na lewym łokciu, od początku była brudna, a teraz pokrywała ją żółta skorupa wykrystalizowanej ropy.

Ilna udała, że nie zauważyła stojącego na czatach chłopca, i pomaszerowała do najbliższych schodów. Ledwie znikła mu z oczu, gdy usłyszała przenikliwy gwizd.

Klatka schodowa była wilgotna i cuchnąca. Bawiły się w niej dzieci, z przeraźliwym wrzaskiem przeskakując przez dziurę po brakującej desce. Wyglądały na zadowolone, chociaż Ilna nie miała pojęcia dlaczego.

Zamiast wyjść na ulicę, Ilna zeszła na pierwsze piętro i pomaszerowała do schodów na drugim końcu korytarza. Nie było tu żadnych okien, a większość drzwi po obu stronach była zamknięta. Szła

jak przez tunel, oświetlony jedynie błyskami światła sączącego się przez szpary w drzwiach.

Na podeście czuliła się jakaś para. Mężczyzna zaklął, gdy Ilna przecisnęła się obok nich, zmierzając na swoje piętro. Zignorowała ich tak samo, jak nie zwracała uwagi na zaschnięte pod ścianami ekskrementy.

Ilna mogła zmieniać świat i robiła to najlepiej, jak potrafiła. Jednak nie była w stanie zmienić wszystkiego od razu.

Wyszła na korytarz. Drzwi do jej mieszkania były wyłamane. Chłopiec z czyrakiem stał obok nich, czujnie spoglądając w kierunku schodów, którymi zeszła Ilna. Wszystkie inne drzwi na korytarzu były zamknięte: sąsiedzi postarali się niczego nie widzieć i nie słyszeć.

Ilna cicho przeszła przez korytarz. Mimo to chłopiec chyba usłyszał szmer jej bosych stóp na deskach podłogi, ponieważ zaczął się odwracać w chwili, gdy zarzuciła mu pętlę na szyję. Energicznym szarpnięciem przyciągnęła go do siebie, tłumiąc krzyk. Wolnym końcem sznura związała mu ręce i nogi razem, jakby pętała królika na targ. Chłopiec spoglądał na nią z przerażeniem. Twarz nabiegła mu krwią, ale nadal mógł oddychać, jeśli lekko odchylił głowę w tył, by rozluźnić pętlę.

Ilna ostrzegawczym gestem przyłożyła palec do ust. Potem podeszła do drzwi swojego mieszkania.

Jeden z dwóch krępych mężczyzn, którzy znajdowali się w środku, trzymał w rękach zapas jej przędzy – dwa wiklinowe kosze z luźno dopasowanymi pokrywkami. Drugi stał przy podwójnym krośnie i mówił:

– Nie, za to dostaniemy znacznie więcej, ale musimy to zdjąć z...

Dostrzegł stojącą w progu Ilnę.

– Niech Siostra porwie tego bezużytecznego bachora! – warknął. Zza szerokiego skórzanego pasa wyciągnął pałkę i ruszył w kierunku Ilny.

Pociągnęła sznurek przy framudze drzwi, zwalniający siatkę z cienkiego jedwabiu, którą umocowała pod sufitem. Siatka spowiała złodziei niczym mgła łakę.

– Niech Siostra zeżre ci serce! – krzyknął mężczyzna i zamierzył się pałką. Broń zaczepiła o siatkę, ściągając ją na jego głowę i ramiona. Tak samo byłoby, gdyby miał w ręku miecz. Tylko najcieńsze z ostrzy zdołałoby przeciąć tę elastyczną materię i nie uwięznąć w niej. Włamywacze szamotali się jak szarańcze w pajęczej sieci. Po chwili obaj runęli na podłogę.

Ilna ostrożnie sięgnęła ręką i podniosła pałkę, którą upuścił napastnik, usiłując oburącz rozedrzeć sieć. Z takim samym skutkiem mógłby próbować podnieść budynek. A prawdę mówiąc, prędzej udałoby mu się dźwignąć tę nędzną czynszówkę, niż rozerwać materiał utkany przez Ilnę...

– Przyszliście po moją własność – powiedziała Ilna, z zimnym rozbawieniem spoglądając na jeńców. – I zabierzecie ze sobą jej część: tę sieć. Macie razem podpełznąć do okna i wyskoczyć.

– Ty głupia suko! – warknął jeden z mężczyzn. – Lepiej nas puść albo...

Ilna uderzyła go w czoło jego własną pałką. Twarde dębowe drewno spadło z trzaskiem przypominającym dźwięk młotka wbijającego klin. Złodziej postawił oczy w słupek i legł bezwładnie jak pusty worek. Cios rozciął mu czoło. Ilna z niesmakiem spojrzała na krew na pałce, po czym rzekła do drugiego włamywacza:

– No dobrze, zanieziesz przyjaciela do okna i wyskoczysz razem z nim. Jeśli zrobisz to umiejętnie, może nic ci się nie stanie. Rozumiesz?

– Pasterzu, broń mnie! – szeptał tamten z zamkniętymi oczami. – Pasterzu, broń!

Ostrożnie podniósł się na klęczki i zdołał podnieść towarzysza. Ilna starannie rozdzielała splecione pasma sieci, tak by ta nadal pętała złodzieja, lecz pozwalała mu dotrzeć do okna.

Dowlóknął się do parapetu, położył na nim kompana i obejrzał się.

– Skacz – powiedziała uprzejmie Ilna.

Wyraz jej twarzy bardziej przeraził złodzieja niż pałka, którą trzymała w ręce. Poderwał się i z rozpaczliwym krzykiem zniknął za oknem. Ilna cisnęła za nim pałkę.

Podeszła do drzwi, ustawiając sprzęty poprzewracane przez myszkujących, a potem usiłujących się uwolnić złodziei. Jeszcze kilka minut, a pewnie złamaliby ramę wielkiego krosna. No cóż, to też dałoby się naprawić.

Niektórzy sąsiedzi pootwierali drzwi. Pospiesznie schowali się, kiedy Ilna wyszła na korytarz, lecz jedna flejtuchowata baba wciąż szamotała się z więzami pętającymi chłopca.

– Zostaw go, zanim go udusisz – warknęła Ilna.

Twarz chłopca była prawie sina. Kobieta podniosła głowę.

– Nie możesz tak traktować Maidusa! – powiedziała. – To mój bratanek!

– Wracaj do swojego chlewa albo potraktuję cię jeszcze gorzej – powiedziała Ilna, popierając słowa lodowatym uśmiechem.

Kobieta odskoczyła, przerażona, i stała jak skamieniała, gdy Ilna przerzuciła sobie chłopca przez ramię i wróciła do swojego mieszkania. Niosła jeńca jak worek fasoli, głową w dół, żeby zmniejszyć ucisk pętli na szyi. Rozsupłała węzły równie sprawnie, jak je zawiązała, a potem znów zwinęła pętlę, gotową do ponownego użycia. Mały Maidus leżał, łkając na podłodze, rozcierając prawą ręką szyję.

W drugim pokoju stało drewniane pudełko z licznymi przegródkami, chroniące żywność przed muchami. Ilna wyjęła z niego butelkę taniego wina, którego używała do sosów, oraz nóż z kościaną rękojeścią, który wykorzystywała do krojenia. Wróciła do chłopca.

Zapiszczał ze strachu, gdy Ilna wepchnęła mu pod lewy łokieć zwój szorstkiej tkaniny.

– Będzie bolało – powiedziała, przecinając brudny bandaż. Nabiła łachman na koniec noża i machnięciem wyrzuciła przez okno. – Leż spokojnie albo zaboli bardziej.

– Co?... – zaczął chłopiec. Ilna chwyciła jego rękę powyżej i poniżej łokcia, po czym naciskając kciukami, wycisnęła czyrak.

Maidus rozdziawił usta. Ku jej lekkiemu zdziwieniu, nawet nie krzyknął. Rąbkiem czystej tkaniny otarła skórę wokół wrzodu. Po wyciśniętej ropie w ciele pozostał głęboki otwór szerokości paznokcia.

– Teraz też zaboli – ostrzegła Ilna. Nalała do rany kwaśnego wina. Maidus jęczał. Wolną ręką ocierał sobie łzy z twarzy.

Ilna starannie wepchnęła do rany zwitek gazy. Pozostawiła na zewnątrz jej koniec, po czym zabandażowała łokieć tkaniną z wzorem przyspieszającym gojenie. Znalazła ją dopiero po chwili, gdyż złodzieje zrobili spory bałagan, którego uporządkowanie zajmie jej co najmniej godzinę. Wyprostowała się.

– Możesz już wstać, Maidusie – powiedziała. – Idź do domu. Wróc za trzy dni, to wyjmę ci opatrunek.

Uśmiechnęła się, widząc wyraz jego oczu.

– Tak, to też będzie bolało – powiedziała. – Ale wrzód już się nie odnowi. To jeden z tych przypadków, kiedy trzeba trochę pocierpieć.

Maidus ostrożnie wstał. W korytarzu słychać było głosy – przerażone szepty sąsiadów.

– Nie wiedzieliśmy, że jesteś czarodziejką, pani – powiedział do Ilmy.

– I nadal nie wiecie! – odparła. – Mam jednak nadzieję, że twoi przyjaciele i wszyscy tutaj rozumieją, że Ilnie os-Kenset lepiej nie wchodzić w drogę – prychnęła. – I radzę ci, żebyś w przyszłości trzymał się z daleka od tych dwóch łobuzów – dodała. – Jeśli nie ich nieuczciwość, to powinna cię niepokoić ich nieudolność.

Maidus kiwnął głową. Zerknął na drzwi.

– Mogę?...

– Tak, możesz odejść – warknęła Ilna. – Czasem jednak potrzebny mi chłopak na posyłki. Jeśli chcesz pracować, możesz przyjść tu rano.

– Tak, pani! – powiedział chłopiec i pobiegł do drzwi.

– Nie płacę dużo! – zawołała za nim Ilna.

Podniosła wyłamane drzwi, zastanawiając się, jak najlepiej umocować je do czasu, aż ściągnie cieślę, który wymieni zawiasy.

Nie cały świat, nie wszystko naraz, ale coś zmieniała.

JEDENASTY DZIEŃ CZAPLI

Księżyc powinien być w trzeciej kwadrze, a nie w pełni, a właśnie taki Cashel ujrzał nad sobą, kiedy otworzył oczy. Poza tym nie powinna to być noc, chociaż czuł się tak źle, że był skłonny uwierzyć, że leżał nieprzytomny przez wiele godzin.

Ostrożnie wstał. Żaby rechotały wesoło. Uśmiechnął się. Nie umiały śpiewać tak samo jak on: żaby, mewy i Cashel or-Kenset. Kumkanie było znajomym dźwiękiem, a w pobliżu usłyszał basowe pochrząkiwanie ropuchy, tak jak na moczarach na południe od Barca's Hamlet.

Cashel spojrzął na nocne niebo. Gwiazdy też wyglądały trochę dziwnie. Nadal była wiosna – było na to tysiąc dowodów, od grania owadów do podmuchu wiatru – lecz Kleszcze widniały już nad południowym horyzontem.

Gdyby miał swoją laskę, pogładziłby hikorowe drewno, żeby poczuć jego miły dotyk. Nie miał jej jednak i podejrzewał, że nie ma to żadnego znaczenia.

Coś poruszyło się w pobliżu wśród niskich drzew. Cashel odwrócił się w tym kierunku i lekko się przygarbił. Rozłożył ramiona.

– Jeśli ktoś tam jest, niech lepiej pozdrowi mnie jak człowiek, inaczej pomyślę, że mam do czynienia z robakiem – zagrzmał.

– Sprawdzalem tylko, czy dobrze się czujesz – powiedział gardłowo Zahag. – Widzę, że doszedłeś do siebie?

– Stań tak, żebym mógł cię widzieć – polecił Cashel i wyprostował się z ulgą. Nie miał powodu, by darzyć sympatią tę gadającą małpę, ale Zahaga nie musiał się obawiać. Zawsze to znajome oblicze, chociaż paskudne.

– Mało nie urwała mi rąk i nóg, ciskając nas tutaj – narzekał małpolud, wychodząc z zarośli. Szedł na czworakach, najwyraźniej gotowy czmychnąć na drzewo, gdyby Cashel chciał podjąć przerwana walkę.

– Nie masz powodów do obaw – rzekł z lekką wzgardą Cashel. – To nie ja zacząłem. Jednak przysięgam na Pasterza, małpoludzie, że jeśli znów mnie sprowokujesz, to naprawdę zrobię ci krzywdę.

– Nie musisz pokazywać kłów – rzekł ponuro Zahag. – Zbyt długo przebywałem między ludźmi i zapomniałem, jak się należy zachowywać.

Podrapał się w sam środek pleców. Cashel zamrugał oczami. Taki gest umożliwiały Zahagowi nie tylko długie ramiona, ale i wyjątkowa elastyczność stawów.

– Chciałbym wrócić na Sirimat – powiedział małpolud. – Chciałbym znowu być taki jak przedtem, zanim Halphemos kazał mi mówić.

Cashel poruszył ramionami, rozluźniając mięśnie. Miał wrażenie, że naciągnął wszystkie mięśnie.

– Czy wiesz, gdzie jesteście? – spytał spokojnie.

– Och, nadal na Pandah – odparł Zahag, siadając u stóp Cashela. – Linia brzegowa jest taka sama i raki smakują tak samo. Tylko miasto przeniosło się na drugą stronę zatoki i gwiazdy są inne.

Położył długą, nieoczekiwanie miękką dłoń na kolanie Cashela. U człowieka byłby to błagalny gest. Zapewne u małpoluda również.

– Nie chciałem pokazywać się ludziom, dopóki nie dojdiesz do siebie – rzekł Zahag. – Patrz, już przyniosłem ci jedzenie.

Pokazał garść owoców i raków, które ułożył na płaskim glazie w pobliżu. Cashel nie zauważył ich, gdy rozglądał się wokół. Raki nadal poruszały ogonami, ale nie mogły uciec, gdyż małpolud poobrywał im nogi.

– Proszę – rzekł Zahag. – Mogę dołączyć do twojego stada?

– To bardzo małe stado – powiedział Cashel. Zastanawiał się, jak ma odnaleźć Sharinę. Nie wątpił, że to mu się uda, tylko nie wiedział, jak tego dokonać. – Pewnie, będę rad z twojego towarzystwa. Tylko zachowuj się przyzwoicie.

Małpolud zabalgotał radośnie. Wskazał cypel po drugiej stronie zatoki, wyraźnie widoczny na tle oblanych księżycem, spienionych fal.

– Teraz tam znajduje się miasto.

– Zaczekamy do rana – rzekł Cashel. – To nieuprzejme budzić ludzi w środku nocy.

Przypomniawszy sobie o jednej z pierwszych rzeczy, jakie powiedział mu Zahag.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że cisnęła nas tutaj? – zapytał. – Czy wiesz, w jaki sposób nam się to przytrafiło?

– Och, to przez Silyę – odparł Zahag. Wygiął w rękach gałąź, aż złamała się z głośnym trzaskiem. Cashel też mógł to zrobić, ale to przypomniawszy mu, jak silny jest małpolud. – To czarodziejka z Dalopo, która od ponad tygodnia kręci się po pałacu.

Złamał następną gałąź. Splatał z nich gniazdo do spania, ponieważ Cashel powiedział mu, że spędzą tu noc.

– Doszedłem do wniosku, że ona chce zająć miejsce Halphemosa – ciągnął małpolud. – On nawet nie wiedział, że ona jest czarodziejką.

– Dlaczego go nie ostrzegłeś? – spytał Cashel. Jego głos zabrzmiał jak pomruk odległego gromu. W Barca's Hamlet ludzie troszczyli się o swoich sąsiadów.

Zahag przerwał pracę i popatrzył na człowieka.

– Halphemos uczynił mnie takim, jaki jestem, wodzu. Gdybym mógł, rozdarłbym mu gardło.

– Ach tak – mruknął Cashel. Pomyślał o tym, jak czuje się ktoś, kto nie ma swego miejsca. On tak się czuł, kiedy Sharina opuściła wioskę, zabierając ze sobą wszystkie jego niewypowiedziane nadzieje. – No cóż, to chyba wasze sprawy.

Zahag podjął splatanie gniazda, pracując jednocześnie rękami i nogami.

– Myślę, że Silya chciała pozbyć się ciebie, ponieważ ty też jesteś czarodziejem – rzekł.

– Nie jestem... – zaczął Cashel, ale temu zaprzeczeniu brakowało poprzedniej stanowczości. Już nie wiedział, co jest prawdą. Z pewnością nie była ona tak prosta jak wtedy, kiedy pilnował owiec w Barca's Hamlet.

– I domyślam się, że król Folquin obwinia o wszystko Halphemosa – ciągnął Zahag. – W ten sposób Silya pozbyła się was obu.

Zaśmiał się cicho i przeciągle.

– Wiesz co? Folquin z pewnością szaleje z wściekłości.

– Folquin niesłusznie aresztował Halphemosa – mruknął gniewnie Cerix do Shariny. Przerwał, by powdychać dym z kulki czarnej żywicy, którą ogrzewał w zamkniętym naczyniu. – Jeśli chłopiec twierdzi, że tego nie zrobił, to nie zrobił. Może w pobliżu są potężniejsi czarodzieje od Halphemosa, chociaż – na Panią – ja jeszcze takiego nie spotkałem. Halphemos nigdy nie popełniał błędów i nie uzyskiwał nieoczekiwanych efektów. Nigdy.

Cerix był mężczyzną w średnim wieku, z wianuszkami czarnych włosów wokół szerokiego placka łysiny. Miał wydatny brzuch, lecz silnie umięśnionych ramion i barków mógł mu pozazdrościć każdy

ciężko pracujący farmer z Barca's Hamlet. Siedział na wózku inwalidzkim o dużych tylnych kółkach, które mógł chwytać za obręcze i poruszać się, kiedy nie miał go kto popchnąć. Nogi miał amputowane w połowie ud i narkotyk, który wdychał, nieco łagodził nieustanny ból, ale nie eliminował go.

– To ja popełniłem błąd – rzekł z goryczą. Gestem wskazał na amputowane nogi. – Chłopak nigdy by tego nie zrobił.

Cerix i Halphemos mieszkali niedaleko pałacu, w podobnym do niego domu podzielonym na dwa bliźniacze mieszkania. Sharina dziwiła się, że czarodziej mieszka w pobliżu, a nie w samym pałacu, ale szybko zrozumiała, że Cerix straszliwie wstydzi się swojego kalectwa.

Kiedy znalazła jego dom, dobrze po północy, sam otworzył jej drzwi. Nigdzie nie widziała służących, chociaż w budynku tej wielkości powinno być ich co najmniej kilku.

– Ostatnio nawet bardzo słabi czarodzieje potrafią rzucać potężne czary – powiedziała. – Czy Halphemos mógł popełnić błąd w sztuce?

Cerix przeszył ją wzrokiem.

– Nic nie wiesz o magii, prawda?

– Nie – odparła Sharina, śmiało napotykając jego spojrzenie. Przyszła do Cerixa z wieściami i prośbą o pomoc, najszybciej jak mogła – zaraz po tym, jak król Folquin kazał uwięzić Halphemosa jako winnego całego zamieszania. – Mam jednak przyjaciół wśród magów.

– Masz rację, że ostatnio zaszły duże zmiany – rzekł Cerix. – Nie słuchałaś jednak tego, co ci mówiłem o tym chłopcu. On miał instynkt. Kilkakrotnie uczyłem go zaklęć, których nie chciał użyć, mówiąc, że nie należy tego robić. Cóż wie taki młokos? – pomyślałem. I pewnego dnia wypłem prawie całą butelkę wina, a potem pokazałem mu.

Inwalida zaśmiał się, lecz ten śmiech zaraz przeszedł w szydery chichot. Chwycił rurkę inhalatora i znów głęboko wciągnął dym nosem. Woń narkotyku drapała Sharinę w gardle. Podeszła do dzbanka z wodą i napełniła sobie jeden z zawieszonych na krawędzi kubków. Ładnie uformowane naczynie było zrobione z wypalanej w niskiej temperaturze gliny. Przechodząca przez porowate ścianki i parująca woda sprawiała, że pozostała zawartość miała temperaturę niższą niż powietrze.

– Jak poznałeś Halphemosa? – zapytała Sharina.

– Byłem Wielkim Cerixem, który posiadał klucz do tajemnic kosmosu – odparł Cerix, odkładając inhalator. – Występowałem na Sandrakkanie. Nie w jakimś znanym miejscu, lecz w zabitej dechami osadzie składającej się z kilkunastu chałup.

Tak pewnie nazwałby też Barca's Hamlet, pomyślała Sharina, ale nie powiedziała tego głośno.

– Po pokazie podszedł do mnie chłopiec – ciągnął Cerix. – Alos or-Noman – Alos Niczyjsyn. Powiedział, że chce być moim uczniem i uczyć się ode mnie magii.

Prychnął.

– Miałem już chłopaka, który zbierał dla mnie datki. Był moim siostrzeńcem i bezwartościowym łobuzem. Nie potrzebowałem drugiego dzieciaka. Powiedziałem to Alosowi.

Cerix podtoczył wózek do dzbanka z wodą. Sharina już chciała zaproponować mu pomoc, ale powstrzymała się w porę. Mimo to inwalida posłał jej gniewne spojrzenie, nalewając sobie wodę. Wypił.

– Jeden z obrazów, jakie demonstrowałem podczas pokazu, przedstawiał pałac królewski w Valles – powiedział Cerix, kręcąc głową na samo wspomnienie. – Miałem kawałek dachówki zerwanej przez wiatr z dachu pałacu. Dzięki niej odtworzyłem cały budynek. Byłem dumny z tego efektu. Za każdym razem, gdy go pokazywałem, było to tak, jakbym sam orał twardą ziemię.

Sharina pokiwała głową. W jej wiosce właściciele mułów pomagali sąsiadom, którzy nie mieli

własnych zaprzęgów – tak trzeba. Doskonale rozumiiała to porównanie. Żona trzyma rączki pług, a mąż go ciągnie, albo jeszcze gorzej, dziecko kieruje lemieszem, a owdowiała matka usiłuje go poruszyć.

– A wtedy ten chłopiec robi to samo, powtarzając słowa, które wypowiedziałem podczas występu – mówił Cerix. – Pojawia się pałac, wiszący w powietrzu, tylko że w tym widać przechadzających się po dziedzińcu ludzi, a chłopak nawet się nie spocił. Dwunastoletni Alos Bękart, który sam nauczył się czytać, chociaż, rzecz jasna, nie Dawne Pismo. I jest sto razy lepszym czarodziejem, niż ja kiedykolwiek będę. Zabawne, no nie?

Cerix zaczął płakać. Otarł oczy wolną ręką, a potem cisnął kubek o cembrowinę studni, rozbijając go na kawałki.

– Chciałem go nienawidzić, ale nie mogłem – powiedział. – Podźwignął się z gorszej nędzy niż ja i chciał tylko, żebym nauczył go, jak ma wykorzystywać swój talent. Żałuję tylko, że Pani nie dała mi dość rozumu, bym go słuchał, zamiast próbować dowieść, że jestem równie dobrym czarodziejem jak on, podczas gdy nie dorastałem mu do pięt!

Sharina odwróciła się, odkaszlnęła i powiedziała:

– Halphemos sądził, że możesz pomóc Cashelowi i mnie odnaleźć naszych przyjaciół, którzy zniknęli razem ze statkiem, którym wszyscy płynęliśmy. Czy możesz mi pomóc najpierw znaleźć Cashela?

Cerix miał na kolanach serwetkę. Hałaśliwie wytarł w nią nos, a potem wytoczył swój wózek na podwórze. Zręcznie wrzucił zmiętą serwetkę do kosza na bieliznę stojącego przy otwartych drzwiach sąsiedniego pokoju.

– Halphemos wiedział, że ja nie mogę rzucić tego zaklęcia – rzekł ze znużeniem Cerix, szybkimi i energicznymi ruchami rąk kierując wózek z powrotem do Shariny. Napełnił wodą następny kubek. – Powiedział, że odnajdzie waszych przyjaciół, jeśli nauczę go zaklęcia, prawda? Nadal nie umie czytać Dawnego Pisma.

Sharina usiłowała przypomnieć sobie, co dokładnie powiedział młody czarodziej na moment przed tym, zanim na pałacowym dziedzińcu wybuchło zamieszanie.

– Zdaje się, że to miał na myśli – powiedziała. – Ale ty przecież też jesteś czarodziejem?

– Już nie – odparł posępnie Cerix. Jego inhalator stał na podłodze przy palenisku z węglem drzewnym, na którym go podgrzewał. Mag podtoczył tam swój fotel. – Pewnie tego nie zrozumiesz. Słowa zaklęć stawiają opór. Im potężniejsze zaklęcie, tym większy opór. Właśnie dlatego nie każdy może być czarodziejem.

Cerix odkręcił końcówkę inhalatora i odłożył na bok. Pojemnik urządzenia był zrobiony z pięknej porcelany ozdobionej zielonym wzorem, przedstawiającym oplątującego go węża, połykającego własny ogon. Cerix odwrócił pojemnik do góry dnem i drewnianą szpatułką wyskrobał wyschnięte resztki kulki, wysypując je na podłogę.

– Ale ty jesteś czarodziejem – powiedziała spokojnie Sharina. Potrzebowała pomocy Cerixa i jego uzalanie się nad sobą budziło w niej niesmak. Dotknęła rękojeści pewłańskiego noża. Jediną rzeczą, jaką Nonnus wiedział o magii, było to, że należy jej unikać, lecz Sharina wiele by dała, żeby zawsze opanowany pustelnik mógł jej teraz towarzyszyć.

– Byłem nim – odparł ostro Cerix. Sięgnął po pudełeczko z kulkami czarnej żywicy, po czym odłożył je i znów spojrzał Sharinie w oczy. – Studiowałem tę sztukę – wypalił. – Kopiowałem zaklęcia z dzieł starożytnych mistrzów, czarodziejów Dawnego Królestwa i starszych. Miałem wszystko, czego potrzeba, aby być wielkim czarodziejem – oprócz siły pozwalającej wykorzystać tę wiedzę. Mimo to moja moc rosła, gdyż rosły otaczające mnie siły.

Uśmiechnął się zimno na to wspomnienie.

– Tak jak mówili ci przyjaciele. Wiedziałem, że Halphemos ma siłę, której ja nie posiadałem, ale nie rozumiałem, że posiada również umiejętność oceny sytuacji, której mi brakowało. A umiejętność oceny sytuacji oznacza więcej niż moc.

Cerix wzruszył muskularnymi ramionami.

– Odkryłem zakłęcie, które otwiera okno do innego wymiaru – rzekł. – Halphemos nie chciał go wymówić. Było to dwa lata temu, kiedy dawaliśmy pokazy w Erdinie, a ja marzyłem o tym, by zostać nadwornym czarodziejem earla Sandrakkanu. Pod nieobecność Halphemosa sam wypowiedziałem zakłęcie.

Łzy popłynęły z oczu Cerixa. Ciągnął drżącym głosem:

– To nie było okno, lecz drzwi. Chciałem przez nie przejść. Ocaliła mnie tylko moja słabość – nie zdołałem dokończyć zaklęcia i drzwi zamknęły się, zanim przez nie przeszedłem.

Cerix podniósł pudełeczko z narkotykiem. Ręce drżały mu tak, że nie mógł odsunąć wieczka. Sharina wyjęła mu pudełko z dłoni, otworzyła i starannie umieściła żywiczną kulkę na środku ceramicznego pojemnika.

– Moje nogi nadal są po drugiej stronie – powiedział nieco spokojniej Cerix. Ponownie przykręcił górną część inhalatora i postawił pojemnik na węglach. – Wydane na pastwę demonów. A one szarpia je w każdej minucie, każdego dnia. I kiedy teraz próbuję wymówić jakieś zakłęcie, słowa więzną mi w gardle.

– Rozumiem – powiedziała Sharina. – Bardzo mi przykro.

W wiosce byli ludzie, którzy stracili palce lub nawet całe kończyny. Niektórzy z nich przez resztę życia skarżyli się na ból tych utraconych części ciała. Nie miało to nic wspólnego z demonami, lecz dla ofiar było równie dokuczliwe jak każdy inny ból. Sharina zmarszczyła brwi. Ona nigdy nie uważała, by demony miały coś wspólnego z narzekaniami starej Jael, skarżącej się na ból zmiażdżonej kołami wozu stopy, którą straciła jako dziewczynka. Sharina założyła, że Cerix się myli, ponieważ powiedział jej coś, czego nie wiedziała. Takie podejście było równie niewłaściwe jak bezkrytyczne akceptowanie każdej informacji.

Cerix wciągnął nosem opary i odstawił inhalator.

– Halphemos ściągnął mnie na Pandah – rzekł. – Powiedziałem mu, jak sprawić, by małpa zaczęła mówić jak człowiek, a to zwróciło uwagę króla.

Wzruszył ramionami.

– Do tej pory król Folquin był dobrym panem. Zaoszczędziliśmy trochę pieniędzy, dość, by opłacić przeprawę na inną wyspę. Również dla ciebie.

Kaleki czarodziej uśmiechnął się do Shariny.

– Wydostań Halphemosa z więzienia – dodał. – To tylko klatka dla pijanych marynarzy. Na Pandah nie ma przestępców.

Ponownie podniósł inhalator.

– Uwolnij mojego chłopca – rzekł – a wtedy obaj zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby odnaleźć wszystkich twoich przyjaciół.

– Dobrze – powiedziała Sharina. – Wrócę, kiedy obmyślę plan.

Poszła do drzwi, muskając palcami rękojeść pewłańskiego noża. Za nią Cerix westchnął, znów wciągając nosem narkotyk.

– Nigdy nie ufałem czarodziejom – rzekł król Carus, obserwując z Garrikiem, jak na polance pod nimi Tenoctris rzuca zakłęcie. – Obawiałem się ich, chociaż nigdy się do tego nie przyznałem.

Dym ze szczap miękkiego drewna unosił się w pozbawione słońca niebo. Wokół ogniska Tenoctris nakreśliła krąg słów. Dym drżał przy każdym uderzeniu gałązki, którą stara czarodziejka posługiwała się zamiast różdżki.

– Większość magów nie miała pojęcia o czarach, a w dodatku posiadali większą moc, niż mogli sobie wymarzyć – dodał król. – Byli niczym banda ślepców, biegających i wymachujących tasakami.

Ciało Garrica siedziało z Tenoctris i Liane na niewielkim pagórku niedaleko miejsca, gdzie poprzedniego dnia spotkali Ersan. Otaczające ich drzewa były wysokie i miały segmentowane rozgałęzienia, bez poskręcanych koron jak większość miejscowych roślin.

Carus pokręcił głową, bolejąc nad błędami, jakie popełnił tysiąc lat przed narodzinami Garrica. Przy tym ruchu zamigotała złota obręcz, przytrzymująca jego czarne i gęste włosy.

– Zamiast ignorować problem, powinienem był postarać się o czarodzieja, który radziłby mi w tych sprawach. Ignorując magię, pozwoliłem, by czarnoksiężnik posłał na dno moją flotę i mnie – a przy tym całe królestwo. Na całe tysiąc lat.

Pagórek był zaledwie trzy lub cztery metry wyższy od otaczającego go terenu, lecz nawet to było rzadkością na Brzegu. Nieco dalej, na polu, grupka Ersan nacinała pnie drzewek ostrymi krawędziami muszli i drewnianymi szpatułkami oddzierała wewnętrzną warstwę kory.

– Ci czarodzieje, których znałem... – zaczął Garric. Jego senne ja uśmiechnęło się na myśl o życiu, jakie wiódł od czasu opuszczenia Barca's Hamlet. Na polance poniżej, ciało Garrica siedziało z mieczem na kolanach. Czasem mrugało, a jego pierś unosiła się i opadała w miarowym oddechu. – Z tych, których znałem, zazwyczaj było więcej szkody niż pożytku. Usiłowali robić rzeczy, których nie rozumieli, a przy tym dysponowali tysiąc razy większą siłą niż jeszcze kilka lat wcześniej. Tak samo było za twoich czasów, gdyż wówczas również moce osiągnęły szczyt swej potęgi.

Dym z ogniska Tenoctris wygiął się w powietrzu, jakby porwany przez wiatr. Na Brzegu nie wiały wiatry, a dym był białą smugą, nie skażoną przez zieleń nieba.

– Ale Tenoctris żyła za moich czasów – przypomniał Carus, wskazując ją ruchem głowy. – Lecz to nie ja ją znalazłem, a ty.

– To ona mnie znalazła – sprostował Garric. – Morze wyrzuciło ją na brzeg przy Barca's Hamlet. Ja tylko zaniósłem ją do gospody.

– Znalazłeś ją, chłopcze – rzekł król z szerokim uśmiechem zadowolenia. – Znalazłeś ją, tak jak znalazłeś mnie i – na Panią! – nie pozwolimy, by królestwo znów się rozpadło.

Carus nagle zafalował w powietrzu, tak jak balkon, na którym stali, deformując się i rozwiewając. Znikli w kręgu drzew.

Garric zamrugał oczami, zaskoczony tym, że nagle oddychanie przychodzi mu z takim trudem. Lewą dłońią chwycił medalion króla Carusa, a potem zwinnie podniósł się z ziemi. Ersanie nie przerwali pracy, lecz zaczęli gwałtownie poruszać uszami i pilnie śledzić ruchy intruzów.

Liane dotknęła dłoni Garrica, uradowana, że przestał błędzić myślami. Przyzwyczaiła się do tych jego medytacji. Nie przerywała ich i nigdy go nie pytała, o czym myślał.

Garric wiedział, że powinien jej powiedzieć prawdę, ale nie miał pojęcia, jak ma to wyjaśnić. Wiedział, że Carus jest prawdziwą osobą, a nie tylko postacią z odległej przeszłości, lecz nie potrafił tego udowodnić i nie chciał bezpodstawnie twierdzić, że rozmawia z kimś, kto utonął przed tysiącem lat.

Tenoctris uśmiechnęła się ze znużeniem. Garric i Liane pomogli jej wstać. Była zdumiewająco krucha i lekka jak piórko.

– Znalazłam rdzeń, wokół którego uformowano to miejsce – powiedziała. – Trochę bałam się, że

czarodziej, który stworzył Brzeg, mógł zniszczyć źródło swej mocy po ukończeniu dzieła.

Tenoctris nadal trzymała się towarzyszy, może szukając nie tylko oparcia, lecz i ciepła. Miała zimne dłonie. Widocznie rzucanie czarów było równie wyczerpujące jak kopanie rowów – lub toczenie bitew.

– Gdyby tak zrobił – ciągnęła Tenoctris z uśmiechem podszytym autoironią, która była dominującą cechą jej charakteru – nie byłoby stąd ucieczki. Nie mówiłam wam tego. Tymczasem mogę ponownie otworzyć przejście, wymawiając we właściwym miejscu zakłęcie.

– Czy ono znajduje się tam, gdzie wskazuje dym?

– Tak – potwierdziła staruszka. – Tak więc musimy uzyskać zgodę Ersan, żeby tam dojść.

Albo poczekać, aż Rodoard wymorduje ich wszystkich, pomyślał Garric. Na samą myśl skrzywił się z niesmakiem.

– A zatem zapytajmy ich od razu – rzekł. – Chyba że...

– Możemy to zrobić od razu – powiedziała Tenoctris. Wyprostowała się i jej głos z każdą sylabą nabierał siły. Uśmiechnęła się krzywo. – Chociaż będę musiała trochę odpocząć, zanim wypowiem zakłęcie. Ktoś posiadający tak niewielką moc jak ja, tylko dlatego może próbować otworzyć to przejście, że tworzące go siły nie pozostają w stanie spoczynku, lecz równowagi.

– To tak jak wyciągnięcie zwornika z łuku zamiast podnoszenia całego budynku – rzekł ze zrozumieniem Garric. – No cóż, zobaczymy, czy Ersanie w ogóle pozwolą nam podejść do tego łuku, dobrze?

Prowadząc towarzyszy ku czekającym Ersanom, Garric zaczął pogwizdywać miłosną serenadę. „Jej włosy były jak burzowa chmura, nim lunie z niej deszcz...”

Owce lubiły tę melodię, gdy grał im ją na piszczałkach w Barca's Hamlet. Przypominała mu o tych czasach, kiedy był chłopcem, a życie – patrząc teraz wstecz – było takie proste.

Wysoki Ersanin, z którym rozmawiali poprzedniego dnia, teraz dowodził grupką uzbrojonych samców, którzy dołączyli do robotników. Garric poszedł ku niemu. Tenoctris szła po prawej ręce Garrica. Objął ręką jej ramiona, podkreślając w ten sposób, że jego oręż nie jest zagrożeniem dla Ersan. Nie miał zamiaru pozostawiać broni na pagórku, gdzie mogłaby skusić jakiegoś człowieka lub Ersanina.

– Jestem Garric or-Reise – powiedział do wysokiego przywódcy. – Zechcesz podać mi swoje imię, panie?

Uszy humanoida zatrzepotały jak pranie schnące na wietrze.

– Możesz nazywać mnie Graz – powiedział przywódca. Opuścił włócznię, tak że jej ostry grot mierzył w pierś Garrica. – Po co tu przyszliście? Musicie odejść!

– Zamierzamy opuścić Brzeg – powiedziała Tenoctris. Dotknęła dłoni Garrica, którą trzymał na jej ramieniu. – Chcemy wrócić do domu. Aby to zrobić, muszę zobaczyć i wykorzystać miejsce, które znajduje się na waszym terytorium.

Ruchem brody pokazała kierunek wskazywany przez dym.

– Myślę, że wiecie, gdzie ono jest, a jeśli nie, to sama je znajdę. Nie wyrządę żadnej szkody ani temu miejscu, ani wam. Otworzę drzwi, przez które będziemy mogli stąd odejść.

Ersanie podskoczyli, wyraźnie wzburzeni. Dwa samce, znacznie niższe i pewnie młodsze od Graza, splotły ramiona i zaczęły zawodzić.

– Odejdźcie! – krzyknął Graz, potrząsając włócznią przed nosem Tenoctris. – To bluźnierstwo! Odejdźcie natychmiast!

Garric wysunął się przed staruszkę i założył ręce do tyłu.

– Przepuście nas – powiedział spokojnie, nie zważając na żelazny grot oddalony zaledwie

o centymetr od jego gardła – a zabierzemy z Brzegu wszystkich ludzi. Będziecie mieli ten świat tylko dla siebie.

Te słowa same ułożyły się w jego myślach. Nie wiedział, czy ich autorem był on sam czy król Carus.

– Tak – potwierdziła Tenoctris, znów stając u jego boku. – Zamknę przejście tak, żeby już więcej nie połykało ludzi z zewnętrznego świata, którzy sprawialiby wam kłopoty.

Garric wiedział – a zapewne czarodziejka także – że kiedy ludzie znikną z Brzegu, następna grupka przybywających tu obcych nie została by zamieniona w niewolników, lecz wymordowana. Mimo wszystko Ersanie byli mniej skłonni do rozlewu krwi niż ludzie, więc propozycja czarodziejki była dla nich korzystna.

Gniew i oburzenie Ersan zastąpiło równie intensywne uczucie, być może będące odpowiednikiem ludzkiej nadziei. Dwa zawodzące samce uspokoiły się i spojrzały na ludzi. Cała gromada gwałtownie poruszała uszami – wszyscy prócz Graza. Przywódca Ersan stał nieruchomo jak drzewa w tutejszym lesie.

– Czy możecie otworzyć przejście dla nas? – zapytał. – Czy możecie posłać nas do domu?

– Mogę was przeprowadzić na drugą stronę – odparła szczerze Tenoctris – ale nigdy nie traficie do domu. Nie jestem w stanie znaleźć miejsca, skąd przybyliście. I obawiam się, że będzie wam lepiej na Brzegu niż w świecie zamieszkanym przez ludzi.

Starej czarodziejce nawet nie przyszło do głowy, że mogłaby skłamać. Garric też by tego nie zrobił, chociaż nie wiedział, czy nie lepsza byłaby bardziej dyplomatyczna odpowiedź, pozostawiająca jednak odrobinę nadziei...

Nie. Prawda zawsze jest najlepsza. Zła najczęściej wcale nie czynią źli ludzie. Zło czynią porządni obywatele, którzy uważają, że jakieś kłamstewko, drobna kradzież czy oszustwo to nic takiego.

Graz uderzył drzewcem włóczni o miękką ziemię.

– Tak – rzekł. – Możecie użyć Dłoni, jeśli zabierzecie z Brzegu wszystkich ludzi.

Garric odetchnął z ulgą.

– W porządku – rzekł. – Teraz pójdziemy wyjaśnić sytuację innym.

Liane wcale nie musiała z niepokojem marszczyć brwi. Dobrze wiedział, że przekonanie ludzkiej społeczności Brzegu będzie zapewne o wiele trudniejsze niż negocjowanie z Ersanami.

DWUNASTY DZIEŃ CZAPLI

Dziesięć osłów z wiklinowymi koszami goździków dreptało tuż przed Cashelem i Zahagiem. Podobna karawana podążała tuż za nimi. Na wiodącej do miasta drodze już panował spory ruch, chociaż słońce jeszcze nie wyszło zza horyzontu na bezchmurne niebo. Miejscowi podróżni z przyjaznym zaciekawieniem spoglądali na Cashela i małpoluda.

Młodzieniec uśmiechnął się. Razem zapewne wyglądali jak para wędrownych aktorów zabawiających ludzi na placach miasta.

– Siłacz i jego tresowana mała – mruknął do kompana. – Może zarobimy na posiłek, zanim dowiem się, gdzie jesteśmy.

– Pewnie – zgodził się Zahag. – Możesz zarzucić sobie na plecy takiego kłapoucha, a ja powiem, że jesteś rzadkim okazem dwunogiego osła, którego schwytałem na odległej wyspie.

Cashel zachichotał.

– Przepraszam – poprawił się. – Jego tresowany małpolud.

Brama z wapienia miała prawie siedem metrów wysokości. Rzeźby upamiętniały coś lub kogoś, lecz były zbyt zatarte przez czas i kaprysy pogody, aby Cashel zdołał dostrzec coś więcej prócz tego, że przedstawiały jakieś postacie. Mury wzniesione z wysuszonej na słońcu cegły były otynkowane. W miejscach, gdzie tynk popękał, pokruszone cegły osypywały się ciemnobrązowymi kaskadami.

Pola goździków i innych przypraw podchodziły aż pod mury miasta. Robotnicy obojga płci krzatali się przy uprawach. W powietrzu unosiła się dusząca woń ściętych podczas żniw liści.

Ten widok był dziwnie obcy. Wprawdzie Cashel nie zaniepokoił się, ale wolałby zobaczyć...

– Czy oni mają tu owce? – zapytał Zahaga. – No... czy mają owce na tej Pandah, z której przybyliśmy?

– A po co ci owce? – zdumiał się małpolud. – Znałem żaby, które miały więcej rozumu od najmądrzejszej owcy!

– Po prostu jestem do nich przyzwyczajony, to wszystko – odparł przepraszająco Cashel.

Zahag wyduł wargi.

– No tak – powiedział. – Cóż, od kiedy Halphemos zabrał mnie z Sandrakkanu, nie widziałem ani jednej owcy i nie mogę powiedzieć, że bym tego żałował.

Tak wczesnym rankiem wszyscy podróżni zmierzali w kierunku miasta: handlarze z koszami z warzywami na targowisko czy zamożni farmerzy wiozący do doków przyprawy na eksport. Przy bramie ruch zwalniał, więc ubrani w skórzane spódniczki i czapki strażnicy wydawali się stać tam raczej dla ozdoby niż na wypadek prawdziwego zagrożenia.

Za zakrętem droga przez pięćdziesiąt kroków biegła wzdłuż brzegu. Czekać na swoją kolejkę, Cashel patrzył na port. Na środku basenu portowego zobaczył wyspę, płaski kawał skały. Na nim wznosiła się wieża bez okien, zbudowana z różowego kamienia, bardziej podobna do zabawki niż do prawdziwej budowli. Z otaczającej ją wody buchały czerwone płomienie.

– Cóż to za dziwna rzecz – mruknął Cashel. – Co to takiego?

– O czym mówisz? – spytał małpolud. Powiódł wzrokiem za spojrzeniem Cashela i wzruszył potężnymi ramionami. – A skąd mam wiedzieć? – odparł. – Na tamtej Pandah nie ma niczego takiego. Ani wieży, ani wyspy. I co to za głupie miejsce na wyspę. Widzisz, jak łodzie muszą ją omijać?

Kolejka wolno posuwała się naprzód. Cashel nadal przyglądał się wyspie. Podejrzewał, że drzwi

do wieży znajdują się po przeciwnej stronie, jednakże to nie wyjaśniało braku okien. I skąd się brały te płomienie?

Na szczycie wieży pojawiła się jakaś postać – dziewczyna o rudych jak ogień włosach. Była mała jak lalka, nawet ładna, jeśli ktoś lubi lalki. Sharina była smukła, ale prawie równie wysoka jak Cashel...

Ostatni osiołek, postukując kopytkami, przeszedł przez kamienny próg. Cashel ruszył za nim. Już widział domy za bramą, wąskie i dwu – lub trzypiętrowe. Z pokrytych pastelowymi tynkami ścian sterczały drewniane balkony.

Cashel niespokojnie przyglądał się domom. Zapuszczając się w tak ciasne uliczki jak te, zawsze miał wrażenie, że wchodzi do jaskini, a wolał przebywać pod gołym niebem.

– To oni! – wykrzyknął podniecony strażnik. Przytknął wargi do ustnika kobzy i wydobył z niej trzy piskliwe dźwięki. Cywile zaczęli rozglądać się ze zdziwieniem, a osioł wydał z siebie ryk, niemal dokładną imitację dźwięku kobzy.

Nadbiegli następni strażnicy, niektórzy pospiesznie zakładali hełmy lub dopinali pasy z mieczami, poluzowane dla wygody przy stole.

Cashel stanął jak wryty na rozstawionych nogach. Brakowało mu laski. Chętnie podniósłby ją teraz w górę, żeby ostrzec tamtych, że nie da sobą pomiatać.

Zahag pokazał kły, warknął i próbował zawrócić. Strażnicy już ich otoczyli. Cashel postanowił, że jeśli będzie musiał walczyć, to złapie jednego z chudszych i posłuży się nim jak pałką...

Oficer z przyczepionym do skózanego hełmu blaszanym medalionem w kształcie ryby wybiegł z pobliskiej jadłodajni, rozlewając resztkę wina z pucharu, który trzymał w dłoni.

– Panie! – zawołał na widok Cashela. – Och, Boska Panienska wysłuchała naszych modlitw!

Cashel obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, czy tamten nie mówi do kogoś stojącego za nim. Strażnicy wstrzymali cały ruch, tak że zaprzężone w osły pojazdy nie napierały na niego i Zahaga. Jeden ze zbrojnych napotkał spojrzenie Cashela i nisko się skłonił.

– O co tu chodzi? – zapytał Cashel. Zahag uspokoił się, usiadł na ziemi i zaczął się iskać. Cashel zaniepokoił się jeszcze bardziej niż przed chwilą, kiedy myślał, że zostaną zaatakowani. Wtedy wiedziałby przynajmniej, co ma robić.

Oficer, pulchny i niski, wydał rozkazy jednemu ze swoich podwładnych. Ten pobiegł ulicą, krzykiem domagając się wolnej drogi. Oficer odwrócił się, przyklęknął i skłonił głowę przed Cashelem.

– Panie – rzekł – nasza nadworna wieszczka Tayuta przepowiedziała, że wielki czarodziej w towarzystwie małpy pojawi się i uratuje księżniczkę Arię.

– Nie jestem... – zaczął Cashel.

– Nie jestem małpą! – wrzasnął Zahag i skoczył na oficera.

Cashel złapał małpoluda za kark i przytrzymał.

– Zachowuj się! – zagrzmiał. – Nie będziesz przynosił mi wstydu!

Zahag skulił się, skarcony. Cashel postawił go na ziemi i rzekł do zdumionego oficera:

– Przepraszam. Widzisz, on niezupełnie jest człowiekiem.

– Istotnie, widzę – rzekł strażnik. Wyprostował się – przy potężnym Cashelu wyglądając jak owca udająca muła – i dodał: – Dziś jest ostatni dzień, zanim Ilmed przybędzie zaślubić Arię. Proszę, chodź ze mną zaraz do pałacu. Mamy mało czasu.

– Ja... – zaczął Cashel. Nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi ten człowiek. Przecież nie mogli czekać na niego i na Zahaga, ponieważ...

To było tak nielogiczne, że Cashel zapomniał języka w gębie. Jednak ten człowiek mówił

o niebezpieczeństwie grożącym jakiejś dziewczynie, a także o braku czasu...

– Chodźmy – powiedział Cashel.

Oficer potruchtał, pospiesznie machnąwszy na swoich ludzi. Kiedy strażnicy ustawili się przed nim i za nim, Cashel podniósł Zahaga, który nie umiał szybko biegać, po czym żwawo ruszył krętymi uliczkami. Mieszkańcy miasta schodzili z drogi idącym, patrząc na nich z nadzieją w oczach. Jedna mała dziewczynka i jej matka rzuciły im nawet kilka chryzantem zerwanych z kwietnika na okiennym parapecie.

Ulice Pandah były ubitą gliną pokrytą zwierzęcymi odchodami. Cashel był z tego rad, ponieważ chodząc lub biegając po bruku, miał wrażenie, że trzeszczą mu wszystkie stawy, od palców nóg po podstawę czaszki.

Miejscowe budynki najwidoczniej nie stały tutaj długo. Tylko niektóre z nich, głównie świątynie, zostały wzniesione z kamienia i przed wieloma laty. Fundamenty jednej z nich, owalnej i otoczonej kolumnami, osiadły głęboko poniżej poziomu ulicy i okolicznych budynków. Widocznie całe to miasto wzniesiono na gruzach poprzedniej metropolii.

Zahag siedział na plecach Cashela, obejmował go w pasie chwytnymi stopami i przenosząc ciężar ciała z jednej strony na drugą, oglądał miasto.

– Nie ma niczego takiego tam, skąd przybyliśmy – oznajmił. Nie był zaniepokojony, tylko zaciekawiony. – Ludzie wyglądają prawie tak samo, ale domy są zupełnie inne.

Cashel usłyszał w oddali dźwięki kobz i trąb. Wąska jak owcza ścieżka uliczka skręciła w prawo, wychodząc na brukowany plac. Po obu jego stronach wznosiły się kamienne budynki, z łączącą je kolumnadą. Na samym końcu placu znajdowała się następna kolumnada, która przylegała do portu.

Z budynków wybiegali strażnicy i urzędnicy w jedwabnych i bawełnianych szatach. Na widok Cashela zaczęli wiwatować.

Z budowli po prawej wyszła postawna kobieta w wachlarzowatym czepku z tęczowego jedwabiu, dopasowanego do jej szaty. Towarzyszyły jej dwie służki, ubrane w równie piękne, choć mniej kosztowne stroje. Tuż za nimi szła czwarta kobieta w prostej sukni z czarnej wełny.

Oficer straży, zasapany po długim biegu, pokłonił się jej i zdołał wykrzyknąć:

– Lady Sosio! Twoja córka jest uratowana!

Pokojówki zaczęły trajkotać z teatralną radością. Kobieta w czepku – Sosia, według wszelkich znaków na niebie i ziemi – odwróciła się i uściskała odzianą na czarno towarzyszkę.

– Módlcie się! – powiedziała tamta. Cashel ocenił, że jest o kilka lat starsza od Sosi, chociaż obie były w średnim wieku. – Podziękujcie Boskiej Panience, że przysłała nam nie tylko znak, ale i obrońcę!

Obie uklęknęły na kamieniach. Służki również osunęły się na kolana. Cashel uznał, że to bardzo niewygodna pozycja. Sam przystanął na skraju brukowanego placu.

– Podejdź bliżej! – powiedział oficer, drżąc ze wzburzenia i niecierpliwości. – Proszę, panie! Zły Ilmed może w każdej chwili zabrać księżniczkę!

Cashel postawił Zahaga na ziemi i warknął:

– Zachowuj się!

Kiedy pozwolił małpoludowi przyłączyć się do niego, wziął za niego odpowiedzialność. Owce rzeczywiście były głupie, ale przynajmniej nie musiałeś się obawiać, że mogą ugryźć królową...

– Panie – wykrztusił oficer, nadal z trudem łapiąc oddech. – Czy mogę poznać twoje imię? Wówczas będę mógł przedstawić cię Sosi, sukcesorce i prawnuczce tej, której Boska Panienska powierzyła pieczę nad Pandah, kiedy sama wróciła do nieba.

– Skończ z tymi formalnościami, Gasonie – ucieła Sosia. Wstała już razem z towarzyszką, ale teraz skłoniła się Cashelowi, ku jego rosnącemu zmieszaniu. – Dziś jestem matką, nie sukcesorką.

Uścisnęła dłonie Cashela i dodała:

– Zechcesz wejść do pałacu, panie? Damy ci wszystko, co będzie ci potrzebne.

– Jestem Cashel or-Kenset – rzekł Cashel. – Proszę, nie nazywaj mnie panem. Mów mi Cashel.

Najchętniej wyrwałby swoje twarde dłonie z zadziwiająco delikatnego uścisku Sosi. Nikt w Barca's Hamlet nie miał tak miękkiej skóry jak ta władczyni. Kobieta w czerni położyła ręce na ramionach Cashela i Sosi.

– Proszę, wejdź do środka – zachęciła. – Zwę się Tayuta, panie Cashelu. Nie jestem czarodziejką tak jak ty, ale wieszczką, która przepowiedziała twoje przybycie.

Weszli do budynku, z którego uprzednio wyszły. Zahag człapał za nimi. Cashel doszedł do wniosku, że to dobrze, że małpolud znalazł się w środku, gdzie będzie można mieć go na oku. Teraz musiał tylko pilnować, żeby małpolud nie zaczął huścić się na kosztownych zasłonach lub nie zrobił czegoś jeszcze gorszego.

Grube podwójne drzwi były zrobione z wielu małych desek, a żadna z nich nie była grubsza od ramienia Cashela. Widocznie na Pandah rosły nieduże drzewa, a może mieszkańcy wyspy lubili takie dekoracje. Drewno było ozdobione filigranem z brązu, jednym wielokrotnie powtarzającym się wzorem. Gdyby była tu Sharina, mogłaby mu wyjaśnić, czy było to pismo.

Na myśl o Sharinie serce ścisnęło mu się w piersi. No nic, znajdzie ją.

Widocznie wszyscy słudzy wybiegli z pałacu na wieść o przybyciu Cashela, gdyż teraz obie pokojówki wpadły z tuzinem innych służących do środka i zaczęły uwijać się wokół.

Główną część budynku stanowiła obszerna komnata, której ściany i sufit były pokryte oślepiająco białym wapiennym tynkiem, ozdobionym czerwono-niebieskimi geometrycznymi wzorami. Cashel nie dostrzegł żadnych zasłon ani gobelinów, ale doszedł do wniosku, że Ilnie spodobałby się ten symetryczny wzór na ścianach.

Sosia usiadła na tronie ze złoczonego drewna. Tayuta stanęła przy niej i szepnęła jej coś do ucha. Cashel niepewnie spojrział na podsunęty mu przez sługę fotel podobny do tronu Sukcesorki, chociaż nie tak zdobny i bez złocień.

Zahag nie był tak uprzejmy jak Cashel. Ryknął śmiechem i powiedział:

– Czy wszyscy ludzie są głupi? A może potrzebujecie drewna na rozpałkę? Bo tylko drzazgi zostaną z tego krzeselka, jeśli siądzie na nim mój wódz!

– Postoję – rzekł Cashel. – Ja, hm... Czego właściwie ode mnie oczekujecie? Zrobię to i pójde szukać mojej przyjaciółki. Przyjaciół.

Sosia i Tayuta wymieniły spojrzenia.

– Moja córka Aria urodziła się przed osiemnastu laty – powiedziała pospiesznie Sosia. – Dziś wieczorem upłynie osiemnaście lat od tej chwili. Trzy dni później w mojej komnacie pojawił się mężczyzna, który kazał się zwać Ilmedem. Mówię, że pojawił się, gdyż strażnik przysięgał, że nikt tam nie wchodził.

– Nie było mnie wtedy na Pandah – dodała Tayuta. Pogładziła Sosię po głowie, poniżej wspaniałego czepca z jedwabiu. – Biedna Sosia nie miała przy sobie nikogo, kto by znał się na magii i mógłby jej pomóc.

Cashel chrząknął. Nie podobało mu się napuszone zachowanie Tayuty. Ponadto mimo woli zastanawiał się, kim był ojciec Arii i gdzie się podziewał, kiedy po pałacu włóczyli się czarodzieje.

– A więc jesteś czarodziejką? – zapytał Tayuty z twarzą nieruchomą jak kamień.

Tayuta zacisnęła wargi i splotła dłonie.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Nie jestem. Studiowałam tę sztukę, lecz umiem jedynie przepowiadać przyszłość. Przepowiedziałam twoje przybycie, panie Cashelu, ale sama nie potrafię pomóc Sukcesorce.

Cashel zganił się w duchu. Nie powinien się jeżyć tylko dlatego, że Tayuta miała dobre zdanie o sobie.

– Posłuchajcie, jestem Cashel – powiedział. – Pilnuję owiec.

Do komnaty weszło dwoje służących, niosąc tace z owocami i napojami. Zahag doskoczył do nich, podpierając się długimi rękami. Pospiesznie zaczął sobie wpychać do ust zawartość obu tac naraz.

Słudzy wytrzeszczyli oczy.

– Przestań! – krzyknęła jedna z pokojówek i zrobiła krok w kierunku małpoluda.

– W porządku, Ivris! – zawołała Sosia. – Powiem ci, kiedy zechcę, by ktoś decydował, jak należy jeść w mojej obecności.

Pokojówka była wstrząśnięta. Wybiegła z komnaty, chowając twarz w dłoniach. Cashel lekko zeszywniał. Przez tę dziewczynę tracili czas, którego niewiele mieli do stracenia, lecz nie lubił, gdy kogoś traktowano jak głupca, nawet zasłużenie. Wiedział, że ludzie traktowaliby tak jego, gdyby nie był taki duży.

– Ilmed oznajmił, że postanowił, iż moja córka będzie jego żoną – ciągnęła Sosia, jakby nic się nie stało. – I natychmiast pojąłby ją za żonę, ale ślub nie mógł się odbyć, dopóki Aria nie skończy osiemnastu lat. Był potężnym czarodziejem, więc powinniśmy czuć się zaszczytzeni – tak powiedział.

Uśmiechnęła się chłodno na to wspomnienie.

– Byłam obolała i w złym humorze – powiedziała i Cashel łatwo mógł sobie wyobrazić, że była zła trzy dni po porodzie. – Kazałam służbie zachłostać Ilmeda na śmierć i wrzucić go do morza. A on znikł. Rozwiązał się w powietrzu.

Zahag kręcił się między Cashelem a kobietami, siorbiąc jakiś biały płyn z emaliowanego kubka. Zawartość naczynia była za rzadka na mleko, nawet rozcieńczone. Jakaś żywica lub sok, domyślił się Cashel.

– Tej samej nocy była pełnia – ciągnęła Sosia – i Ilmed wrócił. Widziałam go, ale nie mogłam się poruszyć. Nikt z nas nie mógł. Przyprowadził ze sobą kilka potworów.

– Łuskowatych Ludzi – wtrąciła Tayuta. – Nie są wyżsi od normalnych ludzi, ale...

– Wiem, jak wyglądają – powiedział Cashel. – A więc zabrali dziecko?

Wieszczka zamilkła. Po raz pierwszy wyraz jej twarzy zdradzał zdumienie jak również respekt dla mocy, jaką przypisywała Cashelowi.

– Tak – potwierdziła Sosia. – Zabrali Arię. A kiedy znów mogliśmy się poruszać, na środku portu była wyspa, a na niej wieża. Otaczające wyspę płomienie buchają z wody, ale palą wszystko, czego dotkną: drewno, metal, a nawet kamień. I ciało. Przez te długie lata próbowaliśmy wszystkiego, ale nie zdołaliśmy przedrzeć się przez płomienie i uratować Arię.

– Kiedy dziecko rosło – powiedziała Tayuta – czasem widywaliśmy ją na szczycie wieży. Z początku w towarzystwie jednego z Łuskowatych, ale ostatnio samą.

– Teraz wychodzi tam bardzo rzadko – powiedziała Sosia. – Widziałam ją dzisiaj, ale tylko przez chwilę. Obawiam się, że po dzisiejszym dniu już nigdy nie ujrzę mojej córki.

Chociaż doskonale panowała nad sobą, Sosia lekko zadrżała, lecz nie poddała się rozpacz. *Ilna doskonale rozumiałaby tą kobietę...*

Pomyślawszy to, Cashel również zaczął ją rozumieć.

– Pomógłbym ci, gdybym mógł, pani – rzekł – ale nie wiem, co mogę zrobić. Ja... – Pokazał jej

swe wielkie dłonie. – Pani, gdyby tam był jakiś demon, z którym mógłbym walczyć, to... hm... zrobiłbym to. Nie mogę jednak zмагаć się z ogniem.

– Kręciłeś swoją różdżką – powiedziała Tayuta, patrząc w przestrzeń na wspomnienie tego obrazu. – Widziałam to na powierzchni wody. Twoja różdżka utorowała przejście w ścianie ognia. Potem ta zamknęła się za tobą i wizja znikła.

– Różdżka? – rzekł ze zdziwieniem Cashel. – Mówisz o mojej lasce? Przecież nie mam jej tu, została tam, gdzie Sharina.

Zmarszczył brwi. Czyżby utracił laskę, kiedy tonęła „Łaskawa Pani”?

Ze zgrozą uświadomił sobie, że bardziej przejmuje się tym kawałkiem drewna niż losem Shariny i pozostałych przyjaciół, ale był pewny, że nic im się nie stało. Tę laskę wystrugał sobie, kiedy był jeszcze chłopcem, i w pewnym sensie, tworząc to solidne narzędzie, stworzył także mężczyznę zwanego Cashelem or-Kensetem.

Zahag drwiąco prychnął.

– Myślisz, że na Pandah nie mają dostatecznie dużego drzewa, którym mógłbyś wywijać? – powiedział do Cashela. – A więc użyj masztu okrętowego! Ten byłby dla ciebie w sam raz, no nie?

Kobiety spojrzały po sobie. Pokojówka, która wcześniej wybiegła z komnaty, teraz wróciła. Przestała już płakać, ale twarz miała nadal czerwoną ze wstydu.

– Och – rzekł Cashel – nie pomyślałem o tym. Grotmaszt chyba powinien się nadawać. Oczywiście.

Splótł palce i poruszył ramionami, rozluźniając mięśnie.

– No cóż, pani – rzekł. – Zrobię, co będę mógł.

Zastanawiał się, czy ten w wieży to będzie Ilmed czy też tylko księżniczka. Łobuz, który porywał małe dzieci, chyba zasługuje na wszystko, co go spotka?

Zahag odskoczył w popłochu, gdy zobaczył wyraz twarzy Cashela.

Strażnik z rumorem otworzył drzwi celi, sprawiając, że dwaj siedzący w niej więźniowie zamrugali w promieniach zachodzącego słońca. Światło wpadało do środka przez dwa okienka umieszczone we wschodniej ścianie, za ich plecami.

– Jest tutaj, panienko – powiedział strażnik. – Ten drugi to stary Demito. Uważaj, żeby nie ochlapał cię wczorajszym winem. Zwykle mniej więcej o tej porze wymiotuje.

– Panienska Sharina? – zdziwił się Halphemos. – Och, nie powinnaś tu przychodzić. To okropne miejsce.

Rzeczywiście takie było, chociaż Sharina widziała gorsze. Wychowana na wsi dziewczyna nie boi się ubrudzić, przynajmniej nie po tym, jak pomagała przy świniobiciu. Sharina pochyliła głowę i weszła do celi.

Więzienie było barakiem z cegieł, którego wewnątrz zagłębiono trzy metry w litą skałę. Naprzeciw drzwi, wzdłuż całej długości ściany biegła długa kamienna ława. W murze nad nią i w podłodze były osadzone kajdany do zakuwania rąk i nóg.

– Przeważnie wsadzamy tu tylko marynarzy z obcych statków – rzekł przepaszająco strażnik. – Miejscowi odpracowują krzywdę, jaką wyrządzili ofierze. Albo zostają ścięci, oczywiście, jeśli popełnili zabójstwo i nie są w stanie zapłacić grzywny.

Więźniowie siedzieli na ławie – bezwładnie oparty o ścianę pijak na jednym końcu, a Halphemos na drugim. Lewe ręce mieli przykute do ściany, a obie nogi do podłogi. Mogli jeść wolnymi rękami, lecz nie byli w stanie poruszyć się więcej jak kilka centymetrów w jedną lub drugą stronę.

– Mistrzu Halphemosie – powiedziała spokojnie Sharina – twój przyjaciel Cerix przysyła ci zwój

hymnów do Pani. Proponuję, żebyś skorzystał z niego, gdy ja wypiję kielich wina z twoim strażnikiem. Uprzejmie zezwolił, abyś dla dobra twojej duszy przeczytał te nabożne teksty do zachodu słońca.

Halphemos był zaskoczony, czemu trudno się dziwić. W Barca's Hamlet ludzie spełniali nakazy religii. Może niezbyt wierzyli w sens składania na domowym ołtarzyku ofiary z sera i piwa przed posiłkami, ale niemal wszyscy to robili i chociaż narzekali na daninę dla Wielkich Bogów, płacili ją także, gdy raz na rok przybywali do wioski kapłani z Carcosy.

Cerix zdecydowanie nie wierzył w bogów. Zaprzeczał ich istnieniu równie silnie, jak wierzył w nich pustelnik Nonnus – a teraz Sharina, choćby z szacunku dla człowieka, który zginął w jej obronie. Cerix był na Pandah ostatnią osobą, która mogłaby przysłać Halphemosowi zwój pobożnych wersów.

Strażnik był dość życzliwy – i powinien taki być, ponieważ Sharina wręczyła mu bukłak z winem, który przyniosła ze sobą. Pomimo to pilnował, by razem ze zwojem nie dała więźniowi piłki do metalu lub wytrycha. Rozwinął zwój, nie po to, by czytać – chociaż pierwsze dziesięć kolumn rzeczywiście było hymnami do Pani – lecz by upewnić się, że w środku niczego nie ukryto.

Kiwnąwszy głową więźniowi, Sharina pokonała trzy stopnie i wróciła na korytarz. Strażnik zatrzasnął drzwi i zasunął gruby rygiel.

Będzie musiała sobie umyć nogi w morzu, kiedy ich statek wyruszy z wieczornym odpływem.

– Skosztowałeś wina? – spytała wesoło strażnika.

– Jeszcze nie, panienko – odparł. – Usiądźmy wygodnie w mojej chacie.

Strażnik nie miał kluczy do kajdan. Jeśli przeważnie zamykano tu marynarzy, istniała poważna obawa, że ich towarzysze mogą napaść na strażnika, odebrać mu klucze i uwolnić kompanów. A kajdany były tak grube, że próba ich rozbicia niechybnie zakończyłaby się połamaniem nóg więźnia.

Cerix wymazał tekst z dalszej części zwoju, otrzymując sporo wolnego miejsca, na którym zapisał zaklęcie w Dawnym Piśmie oraz kanciastym współczesnym pismem. Halphemos nie umiał czytać Dawnego Pisma, lecz mógł skopiować symbole na brudnej powierzchni ławy i wymówić sylaby zaklęcia, fonetycznie napisane na zwoju.

Nawet w bólu i pośpiechu Cerix pisał równo i czytelnie. Sharina zastanawiała się, czy był kopistą, zanim stał się czarodziejem, kaleką i narkomanem.

W stojącej obok więzienia budce strażnika stał taboret, stolik i małe palenisko do podgrzewania jedzenia lub wina, lecz pomieszczenie było ciasne i bez łóżka. Sharina podejrzewała, że po zachodzie słońca więzienia pilnuje inny strażnik, lecz nie chciała ryzykować, zadając pytania, które mogłyby wzbudzić podejrzenia.

Strażnik podsunął Sharinie stołek i odkorkował bukłak z winem. Był to mocny trunek z Shengy, z dodatkiem konserwującej żywicy. Sharina wsypała do napitku pokruszoną kapsułkę narkotyku Cerixa.

– Ty pierwszy – odparła na nie zadane pytanie.

Strażnik pociągnął długi łyk, energicznie poruszając grdyką, a potem odjął bukłak od ust.

– Ach! – westchnął z zadowoleniem, podając Sharinie pojemnik z winem. Zmarszczył brwi i powtórzył niepewnie: – Ach! Nie mam tu kubków, panienko. Może mógłbym...

Z powątpiewaniem spojrzął na ulicę. Więzienie stało między portowymi magazynami, na południe od mieszkalnych dzielnic miasta. Nawet o tak późnej porze ulicą ciągnęły szeregi obładowanych osiołków i tragarzy, ale po drodze Sharina nigdzie nie dostrzegła tawerny ani jadłodajni.

– Nie, nie trzeba – powiedziała, podnosząc do ust drewniany wylot bukłaka. Zatkąła otwór końcem języka i udawała, że pije równie tęgo jak strażnik.

– Dlaczego przejmujesz się tym więźniem? – zapytał strażnik, z wdzięcznością biorąc od niej bukłak. Nachylił się i rzekł konspiracyjnym szeptem: – Słyszałem, że czarami próbował zamordować króla!

– Sądzę, że to był wypadek – odparła spokojnie Sharina. Nietoperz zatrzepotał skrzydłami, przeleciał nisko pod okapem pobliskiego magazynu, po czym znikł w półmroku. Niebo nadal było jasne, ale wątpiła, by Halphemos mógł odczytać zwój w ciemnej celi. – Poza tym to mój towarzysz zniknął, ale nie sądzę, żeby coś mu się stało. Po prostu został gdzieś przeniesiony i muszę go odnaleźć.

Obdarzyła strażnika nieszczerym uśmiechem. W duchu modliła się: *Pani, Pani Niebios, bądź przy Cashelu. Pasterzu, Obrońco Życia, strzeż Cashela tak, jak on strzeże swych stad.*

W bukłaku zaburczało jak w brzuchu głodnego, gdy strażnik ponownie pociągnął łyk. Beknął z satysfakcją, po czym oddał bukłak Sharinie. W ciszy usłyszała: „...*esmigaddon maarchama kore...*” Ściany więzienia były grube, lecz Halphemos wykrzykiwał słowa zaklęcia, żeby zwiększyć ich moc i przewyciężyć bezwład kosmosu.

– Twoje zajęcie wydaje mi się takie interesujące! – powiedziała różnym głosem Sharina. Miała nadzieję, że nie przesadziła, ale musiała szybko coś powiedzieć, żeby zagłuszyć młodego czarodzieja. – Często pilnujesz zamkniętych w więzieniu zdrajców?

– Zdrajców? – powtórzył ze zdziwieniem strażnik. – Och, mówisz o takich, którzy próbują zamordować króla. Nie, skądże... Chciałem powiedzieć, że rzadko. Ale masz rację, często siedzą tutaj niebezpieczne typki.

Przez ceglane ściany więzienia zaczęła przeświecać różowa poświata. W środku obręcze kajdan na ręce i nogach więźnia pękły z głośnym szczękiem.

– Jesteś bardzo odważny – powiedziała Sharina. Spróbowała oddać mu bukłak, mimo że nawet nie udawała, że pije. – Ja...

Bolec blokujący rygiel na drzwiach więzienia ze szczękiem upadł na ziemię. Pijak dzielący ławę z Halphemosem wrzasnął ze strachu. Strażnik z krzykiem zerwał się na równe nogi. Chwycił broń – pałkę nabijaną żelaznymi gwoździami. Rygiel poruszył się, choć nie dotknęło go nic prócz drżącej szkarłatnej poświaty. Wysunął się z obejm i upadł na podłogę.

Drzwi powoli zaczęły się otwierać. Strażnik stanął przed nimi i podniósł pałkę, mimo że twarz miał ściągniętą z przerażenia. Sharina chwyciła stołek za nogę i stanęła za plecami mężczyzny, gotowa ogłuszyć go, zanim uderzy Halphemosa.

Z celi wyłoniła się postać z czerwonego blasku. Miała kształt małpoluda Zahaga, lecz rozmiary osła. Przez tę płonącą zjawę Sharina widziała celę i samego Halphemosa. Czarodziej mamrotał zaklęcia, poruszając zwiniętym zwojem jak różdżką.

Strażnik wrzasnął z przerażenia. Rzucił się do ucieczki, lecz potknął się i runął jak długi, wypuszczając pałkę.

Świetlista zjawą powiększała się jak chmura dymu wokół skwierczącego knota świecy. Przez moment Sharina stała w różanej poświacie, która zaraz znikła.

Halphemos wszedł po schodach, chwiejąc się z wysiłku. Próbował wepchnąć zwój za pazuchę, ale nie trafił. Sharina jedną ręką złapała pergamin, a drugą podtrzymała Halphemosa. Zrobiła to odruchowo: zwój był zbyt cenną rzeczą, aby go zgubić, chociaż jako narzędzie spełnił już swój cel.

– Szybko! – powiedziała i na pół ciągnąc, na pół niosąc wyczerpanego czarodzieja, ruszyła w kierunku doków. Cerix wykupił dla nich miejsca na statku płynącym do Erdinu. Nie mieli tam nic

do załatwienia, ważne było tylko to, że ten statek wyruszał z wieczornym odpływem.

Gdy skręcali za róg, Sharina obejrzała się przez ramię. Strażnik nadal leżał na ziemi, przyciskając ręce do piersi. Gapił się na otwarte drzwi celi i bełkotał coś bez sensu.

Mgła nad laguną przypominała Garricowi te, które widywał tysiącami w ciche poranki, nad nisko położonymi łąkami wioski, tylko że ta mgła wcale się nie zmieniała. Słońce nigdy nie rozjaśniało jej i nie rozpraszało, a bryza nigdy nie rozdzierała jej na strzępy.

Widmowe postacie stały na splecionych z trzciny tratwach, łowiąc ryby w lagunie. Nawet sokolooki Garric z odległości trzydziestu kroków nie potrafił odróżnić ludzi od Ersan. Brzeg miał ograniczone zasoby, lecz przynajmniej było tu dość miejsca, aby obie te rasy mogły żyć w pokoju.

– Może tak działa to miejsce – powiedziała cicho Liane. Albo domyśliła się powodu posępnego spojrzenia i miny Garrica, albo pomyślała o tym samym. – To zielone światło mrozi mnie aż do szpiku kości. Może kiedy zabierzemy ludzi do prawdziwego świata, to będą...

Garric spojrzał na nią, zastanawiając się, jakie słowo wybierze Liane. *Lepsi? Szczęśliwsi? Uczciwsi?*

Zamiast tego, uśmiechnęła się smutno.

– No cóż, miejmy nadzieję, że tak będzie – powiedziała, tak samo jak Garric nie potrafiąc dokończyć tego zdania.

– Brzeg został stworzony dla grupy Ersan przez jednego z nich – powiedziała Tenoctris. Spojrzała na niechlujne szalasy ludzkiej społeczności z takim samym beznamietnym zaciekawieniem, jakie okazywała na widok niezwykłych okazów tutejszych roślin. – Powinien odpowiadać im bardziej niż ludziom, chociaż nie jestem pewna, czy i dla nich jest idealnym miejscem. Im jestem starsza – a w tym momencie mówimy o tysiącu lat...

Uśmiechnęła się. Liane objęła ją ramieniem.

– Im jestem starsza – podjęła Tenoctris – tym większej nabieram pewności, że żaden w pełni rozumiejący swoją sztukę czarodziej niczego nie będzie próbował osiągnąć czarami. Ta reguła zapewne odnosi się również do tego Ersanina, który stworzył to miejsce.

Siedzący przed swoimi chatami ludzie odwracali głowy, gdy Garric przechodził obok ze swymi towarzyszami, lecz ukradkiem odprowadzali go wzrokiem. Garric pomachał ręką do dwóch kobiet miażdżących korzenie w moździerz zrobionym z dużego pnia. Pochyliły głowy i zaczęły tłuc mocniej, gubiąc dotychczasowy rytm i przeszkadzając sobie wzajemnie.

– A co z tobą? – zapytał Garric. – Ty nigdy niczego nie pogarszasz. Przynajmniej nie widziałem.

Tenoctris roześmiała się.

– Chociaż nie twierdzę, że wszystko rozumiem – odparła – moje czarodziejskie umiejętności są tak skromne w porównaniu z moją wiedzą, że chyba jestem szczególnym przypadkiem. W każdym razie taką mam nadzieję.

Zbliżali się do domostwa Rodoarda. Brama była zamknięta, lecz ktoś już przyniósł tu wiadomość, gdy tylko Garric i jego towarzyszkę pojawili się w polu widzenia.

Domostwa po obu stronach domu Rodoarda należały do jego siepaczy, łotrów, którzy przybyli i osiedli tu niedawno. Teraz z bronią w rękach stali w drzwiach domów, gotowi odeprzeć atak. Napotykając spojrzenie Garrica, w głuchym milczeniu nie reagowali na jego uśmiechy.

Dzieci, które przed chwilą bawiły się w błocie, teraz zerkały przez szpary wiklinowych ścian. Idącym przyglądały się również ich matki, od czasu do czasu widoczne jako cienie przesuwające się na tle ażurowych ścian.

Gdy Garric zacisnął dłoń na rękojeści miecza, poczuł, jak król Carus rośnie w jego myślach, aż

było ich dwóch, Garric i jego przodek, w jednym ciele. Wyjął miecz z pochwy, czemu towarzyszył cichy brzęk lekko wyginającego się ostrza z przedniej stali. Othelm, były żeglarz, który spróbowałby odebrać mu miecz na plaży, gdyby śmiał, podniósł maczugę, ale odskoczył w popłochu.

Garric gałką rękojeści uderzył w gong. Brąz zagrzmiał, basową nutą wtórując cichemu brzękowi stali.

– Przynoszę dobre wieści, Rodoardzie! – zawołał Garric do zamkniętej bramy. – A jednak możemy stąd uciec!

Odwrócił się i pomachał do wszystkich. Zaciekawieni mieszkańcy osady wychodzili z szałasów i pobliskiego lasu. Urodzeni na Brzegu nie patrzyli w oczy trojgu przybyłym, tylko zbliżali się ruchem powolnym i tak nieuchronnym jak wsiąkanie syropu w materiał.

Garric ponownie uderzył w gong.

– Wychodźcie! – zawołał, dobrze wiedząc, że jego głos ledwie przedrze się przez metaliczny brzęk.

Jedna połowa bramy otworzyła się. Rodoard stanął w niej w hełmie, napierśniku i z przypasowanym mieczem. W ręku trzymał krótki berdysz.

Był blady z wściekłości.

Garric cofnął się. Rodoard zadał zamaszysty cios, nie wymierzony w młodzieńca. Ciężkie ostrze przecięło nie tylko przytrzymujące gong powrozy, ale całą belkę. Metalowy dysk zawirował w powietrzu i z pluskiem wpadł w błoto, w którym natychmiast ucichł jego oburzony brzęk.

– Pozwoliłem ci żyć, chłopcze – rzekł głuchym głosem król – ponieważ uznałem, że możesz być użyteczny. Czyżbym się pomylił?

Nad jego domostwem zaczął się unosić kolorowy dym. Lunifra nie pokazała się, ale Garric słyszał jej głos, dobiegający zza palisady. W rytm jej zawodzenia dym rozwiewał się lub gęstniał jak skóra uderzanego bębna.

– Mam dobrą wiadomość, Wasza Wysokość – rzekł Garric. – Moja przyjaciółka Tenoctris znalazła klucz, który otworzy nam przejście. A Ersanie pozwolą nam z niego skorzystać i wrócić do naszego świata. Wszystkim!

Garric wiedział, że wiele ryzykuje, tak zuchwale przemawiając do Rodoarda, który był nieobliczalny. Gdyby jednak próbował go prosić, Rodoard wyśmiałby go, zamiast wysłuchać jego propozycji. Przybywając z mieczem w ręku, Garric zmuszał Rodoarda, by traktował go jak równego sobie.

– A więc – rzekł Rodoard, stając tak blisko Garrica, że mogli się wzajemnie chwycić za nosy. – Paktowałeś z Ersanami, tak? Co zaproponowałeś tym zwierzakom, Garricu or-Reise?

Mieszkańcy osady otoczyli ich kołem. Urodzeni na Brzegu trzymali się z tyłu, by móc umknąć w bezpieczne miejsce, gdyby zaczęła się walka. Siepacze Rodoarda byli niebezpiecznie blisko. Pamięć podsuwała Garricowi wspomnienia gwałtownych starć, w których Władca Wysp wyrąbywał sobie drogę z podobnych opresji, lecz król Carus nigdy nie musiał strzec przy tym dziewczyny i staruszki...

Garric odchylił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Nie zdołałby obronić Liane i Tenoctris przed taką cizbą wrogów. Tak więc nie zamierzał próbować: odrąbie głowę Rodoardowi, a potem będzie rąbał i kłuł tych łotrów, aż go usieką.

Nic więcej nie mógł zrobić. Przynajmniej odda światu przysługę, uwalniając go od kilku takich obwiesiów.

Garric nieco opuścił miecz, chwytając koniec ostrza kciukiem i wskazującym palcem, żeby nie prowokować ataku i nie chować broni do pochwy. Jego śmiech zaskoczył Rodoarda.

– Jedyne, co zaproponowałem Ersanom, to szansa uwolnienia się od naszej obecności – powiedział Garric, podnosząc głos tak, by wszyscy go słyszeli. – A wam proponuję...

Odwrócił się i powiódł wzrokiem po tłumie.

– Wszystkim! – zawołał. – Każdemu z nas! Możecie znów zobaczyć słońce, poczuć wiatr i być wolni! Bo w tym zielonym podziemnym świecie nikt nie będzie wolny.

Tenoctris klęczała i kreśliła coś w błocie lewym palcem wskazującym. Zamiast różdżki trzymała zieloną gałązkę. Liane stała między Tenoctris a tłumem. Splotła ramiona na piersiach, chowając dłonie w rękawach. Trzej siepacze Rodoarda stali przy niej tak blisko, że prawie mogli jej dotknąć.

– A więc – rzekł Rodoard. Jego głos brzmiał dziwnie piskliwie, jak na tak rosnącego mężczyznę. Brzmiała w nim uraza. W przeciwieństwie do Garrica, Rodoard nie nawoływał owiec na zielonych wzgórzach i nie nauczył się posługiwać swoim głosem. – Othelmie, czy tak ci się spieszy z powrotem na Erdin? A tobie, Bassis? Myślisz, że zapomnieli o tobie w Valles? Nie będę przypominał, co tam zrobiłeś!

Rybacy, których gong zwabił z laguny, wciągali swoje łodzie na błotnisty brzeg. Na dnie niektórych splecionych z sitowia łodzi trzepotały ogonami żerujące przy dnie ryby o opancerzonych łbach. Polowali na nie drewnianymi widełkami ze sprężystego drewna, którymi nie przebijali zdobyczy, lecz chwyтали ją. Nie mając metali ani możliwości obróbki kamienia, tylko takimi narzędziami mogli się posługiwać.

– A co z wami? – zawołał Rodoard. Pozornie odzyskał dobry humor, lecz za każdym jego słowem kryła się groźba. – Jofredzie, czy chcesz żyć tam, gdzie słońce spali ci skórę w lecie, a ziąb zmrozi cię na kość w zimie – jeśli do niej dożyjesz?

Tenoctris szeptała zaklęcia, kolejno dotykając różdżką nakreślonych na ziemi znaków. Dla wszystkich prócz niej, nawet tych, którzy – tak jak Garric i Liane – potrafili czytać znaki Dawnego Pisma, te symbole były tylko bezsensownymi bazgrołami.

– Ja uczyniłem was królami Ersan, którzy was niewolili! – wołał Rodoard. – Dzięki mnie zdeptaliście karki tych bestii! Czy chcecie...

W środku domu wrzasnęło dziecko, przeraźliwym krzykiem, który zagłuszył jego słowa. Rodoard nie obejrzał się, chociaż gniewnie zmarszczył brwi.

– Czy chcecie... – powtórzył.

Brama za jego plecami nadal była otwarta. Wybiegło z niej trzy- lub czteroletnie dziecko, brocząc krwią z ran na szyi i podbrzuszu. Wpadło na Rodoarda, odbiło się od jego nóg i runęło na ziemię, miotając się w konwulsjach, gdy z jego ciała wypływała resztką krwi.

Lunifra stanęła w progu, skąpiana w ciemnej posoce, która trysnęła z przeciętych tętnic dziecka. Była naga. W dłoni trzymała nóż z wulkanicznego szkliwa, a jej uśmiech był jak brama piekieł. Dziecko było tak straszliwie okaleczone, że Garric nie potrafił powiedzieć, jakiej było płci. Machnął mieczem, mierząc w kostki Rodoarda. Król odskoczył, usiłując zastawić się berdyszem, ale potknął się o ciało dziecka. Otworzył usta i przeraźliwie wrzasnął, gdy ostrze Garrica przecięło jego tkanki z taką łatwością, jakby porcjował w kuchni kurczaka.

Zimny gniew dodał młodzieńcowi sił, tak że cios równie dobrze mógłby przeciąć kość udową króla, a nie tylko stawy w kostkach nóg. Ta para obwiesiów nie będzie więcej zabijała dzieci!

Othelm pisnął, przyciskając obie dłonie do rany pod żebrami. Liane pchnęła zakrwawionym sztyletem w twarz drugiego łotra, który na nią skoczył. Uchylił się przed pchnięciem, lecz miecz Garrica odciął mu sporą kępkę włosów razem z kawałkiem czaszki.

Palisada zmieniła się w masę falującego cielska. Drewno przeistoczyło się w zmię o ciele mającym metr grubości i długość palisady. Lunifra zaśmiała się histerycznie. Drewniany ogon po

lewej ręce Garrica zadrgał. Drugi koniec oderwał się od ziemi, rozdziawiając owalny jak u minoga pysk.

Zebrani, zarówno siepacze Rodoarda, jak i zwykli mieszkańcy osady cofnęli się przerażeni. Garric oburącz ścisnął długą rękojeść miecza i uniósł go nad głowę, chociaż dobrze wiedział, że ten cios będzie nieskuteczny. Drewniane szczęki otoczyły Lunifrę i zacisnęły się. Zęby przesunęły się tnącym ruchem, przecinając ją na dwie połowy. Ledwie zdążyła wrzasnąć.

Tenoctris osunęła się na ziemię, wyczerpana zaklęciem. Garric chwycił ją lewą ręką, w pośpiechu traktując czarodziejkę jak belę mokrego materiału, a nie dobrą przyjaciółkę. Wszyscy mieszkańcy osady uciekali w popłochu. Wyczarowany z drewna stwór wił się jak robak na gorącym kamieniu.

– Tędy! – zawołała Liane, wskazując na lagunę. Zwoje drewnianego cielska konwulsyjnym ruchem śmignęły w jej stronę. Przeskoczyła przez nie z dziecinną łatwością.

Garric ruszył za Liane, trzymając wysoko miecz, żeby przypadkowo się nim nie zranić. Pomyślał o ojcu, który skrzyczał go kiedyś, widząc, jak Garric biegnie z kosą w rękę. Ta sytuacja była o wiele bardziej niebezpieczna, lecz nie miał czasu, by otrzeć śmiercionośne ostrze i wepchnąć je do pochwy.

Wyczarowany z drewna stwór zacisnął zęby na swoim ogonie i zaczął go połykać. Z pyska leciały mu brązowe i żółte drzazgi. Tutaj, na Brzegu, w miękkich tkankach wszystkich roślin kryły się wzmacniające włókna, zupełnie niepodobne do rdzenia i miększu tych, które znał Garric.

Liane wgramoliła się do największej spośród łodzi, zrobionej z trzech związanych ze sobą wiązek trzciny i chwyciła kij służący do odpychania łódki od dna.

Garric wsadził Tenoctris do łodzi, obejrzał się, sprawdzając, czy nikt go nie ściga, po czym wepchnął miecz w wiązkę trzciny, żeby nikogo nie zranić. W wolnej chwili wyczyścił i wytrze ostrze, a potem naostrył je na kamieniu, przywracając do poprzedniego stanu. Na pewno nie stąpiło się na kostkach Rodoarda, lecz czaszka drugiego łotra to zupełnie inna sprawa...

Mocno oparł się o rufę łódki. Poślizgnął się w wodzie, wbił palce stóp w dno i spróbował ponownie. Łódka odbiła od brzegu, zanurzona w wodzie znacznie głębiej, niż powinna. Była zrobiona dla jednego i lekkiego mieszkańca osady. Ciężar Liane i Tenoctris w każdej chwili mógł ją zatopić.

Garric brodził w wodzie, pchając łódź, aż stracił grunt pod nogami. Wtedy zaczął płynąć, trzymając się rufy, a Liane pomagała mu, odpychając łódkę drągiem.

– Kieruj nas na drugi brzeg! – powiedział. Urwał, by wypluć błotnistą wodę, która dostała mu się do ust, a potem dodał: – Musimy dotrzeć do Ersan, zanim tamci ruszą w pościg!

Jeden z siepaczy Rodoarda wbiegł po pas do laguny i rzucił włócznią. Ta wpadła do wody o pół metra od Garrica. Młodzieniec płynął dalej, nie zważając na nic, myśląc tylko o tym, aby dotrzeć do chwilowo bezpiecznego drugiego brzegu.

Tenoctris powiedziała coś do Liane. Garric usłyszał jej głos, lecz plusk wody zagłuszył słowa. Czarodziejka dochodziła do siebie dzięki Pasterzowi. Garric wiedział, że Tenoctris nigdy nie wyczarowałaby takiego potwora jak ten, który sam się pożerał w osadzie. Zmieniając potężne zaklęcie, rzucone przez Lunifrę, staruszka zupełnie opadła z sił.

Kiedy Garric podniósł głowę, zobaczył trzciniowe łodzie Ersan, odbijające od przeciwległego brzegu. Płynący w nich trzymali w rękach włócznie, które na pewno nie służyły im do łowienia ryb.

Ersanie byli ostrożni, lecz i tak nie będą w stanie nic zrobić, jeśli mieszkańcy osady przypuszczą zmasowany atak. Garric mógł tylko mieć nadzieję, że upłynie kilka dni, a przynajmniej godzin, zanim zbiorą...

– Zabijcie te bestie! – wrzasnął donośnie Rodoard, pomimo bólu uciętych stóp. Rana zadana ostrym mieczem, szczególnie w stawie, mogła się zasklepić, zapobiegając śmierci w wyniku wykrwawienia. Garric zrozumiał, że powinien był...

Lodowato spokojny głos w umyśle Garrica uciszył go, przerywając nie dokończoną myśl. *Nie było czasu na nic prócz tego, co konieczne – zrobiłeś to doskonale.*

– Zabijcie ich wszystkich! – ryczał Rodoard. – Zabijcie wszystkich, zanim użyją swych czarów przeciwko nam!

Garric przebierał nogami, skupiając się tylko na tym, co konieczne. Gdy tylko dopłyną do brzegu, zajmie się następną niezbędną czynnością – naostrzy miecz.

DWUNASTY DZIEŃ CZAPLI (PÓŹNIEJ)

Otoczona płomieniami wyspa znajdowała się sześć metrów od siedzącego w szalupie Cashela. Kapitan galery Sukcesorki stał na dziobie. Dał znać wiosłarzom, żeby przestali wiosłować, po czym skłonił się Sosi i rzekł:

– Nie powinnaś podpływać bliżej, Wasza Wysokość. To niebezpieczne. Czarodziej i jego towarzysz dotrą na wyspę sami.

Sosia wychyliła się spod ozdobionego frędzlami baldachimu z kremowego jedwabiu i uściskała siedzącego tuż przy burcie Cashela.

– Uratuj moją córkę – powiedziała. – Cokolwiek się zdarzy, nie pozwól, żeby zabrał ją Ilmed.

Ku ogromnemu zmieszaniu Cashela, pocałowała go w czoło. Przyjął to z kamiennym wyrazem twarzy, ale i tak lekko się zaczerwienił.

Buchające przed nim z wody, czerwono-pomarańczowe płomienie były ciche jak ostrza mieczy, lecz od ich poświaty już czuł mrowienie w kościach.

– A więc czas ruszać – mruknął, unikając spojrzenia Sosi. Obejrzał się przez prawe ramię i spytał: – Jesteś gotowy, Zahag?

Siedzący na rufie szalupy małpolud wpatrywał się w swoje palce. Poruszał wargami, jakby recytował fragmenty wiersza. Między Zahagiem a Cashelem leżał zwój liny, splecionej z wici olbrzymich małży. Był cieńszy od cięciwy łuku, lecz Cashel wypróbował go, szarpiąc z całej siły – i sznur wytrzymał.

– Zahagu, odpowiedz! – rzekł. – Albo zostawię cię tutaj. Jeśli tego chcesz, to zostań.

Zahag gniewnie uderzył obiema rękami o powierzchnię wody. Sosia odskoczyła, gdy brudna portowa ciecz ochlapała pastelowy jedwab jej sukni. Marynarz podniósł pałkę do ciosu, lecz stanowczym gestem powstrzymała go.

– Zostanę z tobą! – powiedział małpolud. – Jesteś głupcem i obaj przez ciebie zginiemy, ale boję się zostać sam.

Cashel obrócił się w lewo i napotkał niespokojne spojrzenie oficera.

– Odepchnijcie nas – powiedział.

Oparł koniec laski o burtę galery, kierując dziób szalupy na ścianę ognia.

Sosia i jej wieszczka siedziały obok siebie na połączonych fotelach, ustawionych na środku pokładu. Załoga galery, tuzin krzepko zbudowanych mężczyzn, zwykle stała plecami do rufy lub dziobu, poruszając długimi wiosłami. Teraz dwaj z nich pchnęli szalupę w kierunku bezgłośnie kołyszących się płomieni.

Cashel wstał. Szalupa zakołysała się nieznacznie. Cashel poruszał się zwinnie, ze zręcznością nabytą w trakcie codziennych spacerów po skałach i ścieżkach, gdzie w każdej chwili jakiś kamień może się osunąć spod nóg.

– Wiosłuj, Zahagu! – rozkazał, przesuwając w dłoniach pałkę i usiłując znaleźć punkt równowagi, który zawsze odnajdywał zupełnie instynktownie, kiedy trzymał utraconą hikorową laskę. – Powiedzieliśmy, że to zrobimy, więc nie możemy się wycofać!

– Ludzie! – warknął małpolud. – Głupi jak owce! Oczywiście, że możemy się wycofać!

Zanurzył dłonie w wodzie i mocno pociągnął. Miał tak długie ręce, że mógł wiosłować obiema rękami jednocześnie.

Szalupa zaczęła płynąć w kierunku płomieni. Zahag narzekał, ale nadal miarowymi ruchami popychał łódź po nieruchomej wodzie.

Na brzegu portu tłum obserwował to wydarzenie. Wielu mieszkańców miasta pomachało szarfami lub słomianymi kapeluszami, gdy zauważyli, że Cashel spojrział w ich kierunku.

– Chyba ją lubią – orzekł. Ludzie w Barca's Hamlet nie przejmowali się księciem Lascargiem z Carcosy, nie mówiąc już o Władcy Wysp w zamorskim Valles.

– Phi! – parsknął małpolud. – Patrzą, bo chcą zobaczyć, jak spłonimy. Według Tayuty ilu śmiałków przed nami pochłonęły płomienie? Dwudziestu trzech?

– Czy wy, małpoludy, żyjecie wiecznie, jeśli nie spłoniecie? – zapytał Cashel. Nieznacznym ruchem, którego nikt nie zauważył, poprawił chwyt na drzewcu.

Czuł już działanie tych płomieni: włoski brody zaczęły mu się skręcać i zapiekły go oczy. Zaczął kręcić pałką, którą dworscy stolarze pospiesznie zrobili, zgodnie z jego wskazówkami. Była jodłowa, nie z hikorowego czy innego twardego drewna. Niektórzy wierzyli w twarde i ciężki dereń, ale Cashel zawsze uważał, że sprężysta hikorowa laska jest mniejszym obciążeniem dla dłoni i pozwala zadawać równie mocne ciosy. Nie było takiego, który ustałby na nogach po tym, jak Cashel or-Kenset rąbnął go swoją pałką.

Uśmiechnął się. Jeszcze nigdy nie walczył z ogniem za pomocą laski. Może do tego celu najlepsze byłoby drewno z krzewu gorejącego?

Pałka miała prawie trzy metry długości i grubość przegubu Cashela. Obracał nią z łatwością, tworząc rozmazany krąg przed dziobem szalupy. Rzemieślnicy wygładzili i nawoskowali drewno, lecz nic nie zdołało nadać mu gładkości, jaką hikorowa laska uzyskała po latach przesuwania w dłoniach Cashela.

Mimo to uważał, że nowa laska spełni swoją funkcję. Nie należał do tych, którzy nie chcą podjąć się jakiejś pracy z braku takiego czy innego narzędzia.

Płomienie buchały prosto z wody. Nie dostrzegł pary ani pęcherzyków powietrza, lecz Sosia powiedziała, że próby przepłynięcia pod wodą zakończyły się równie fatalnie jak próba przedarcia się przez ognistą barierę w statku okrytym wołowymi skórami nasączonymi octem.

Ryba wypłynęła na powierzchnię i wolno zapadła w toń. Jeden bok miała srebrny, a drugi jasnoczerwony, oparzony przez magiczne płomienie.

– Dwudziestu czterech głupich ludzi – mamrotał Zahag – i jeszcze głupszy małpolud, który wiedział, czym to grozi!

Cashel kręcił laską. Już nie czuł żaru. Teraz znalazł rytm, tak samo jak znajdował środek ciężkości gązdu, który zamierzał podnieść. Sam nie wiedział, jak to robi, lecz to nie miało znaczenia.

Szybciej, jeszcze szybciej. Z okuć pałki trysnął błękitny ogień, tworząc najpierw pierścień, a potem tunel światła, którym powoli płynęła łódka.

Rzemieślnicy, którzy zrobili Cashelowi laskę, okuli jej końce zgodnie z jego wskazówkami, ale zamiast zwykłych żelaznych nasadek użyli mosiężnych, pięknie rzeźbionych pierścieni. Na jednym były dwa walczące wieloryby, a na drugim orle zaloty wśród chmur. W żadnym z domostw Barca's Hamlet nie było równie pięknego dzieła sztuki jak to, którym ci rzemieślnicy Sosi ozdobili przedmiot tak pospolity, jak koło od wozu.

Dłoń za dłonią, krzyżować i prostować przeguby, wykorzystując siłę bezwładności laski. Mężczyzna, nawet tak potężny jak Cashel, mógłby podskoczyć podczas walki w powietrze, a wirująca pałka obróciłaby go o sto osiemdziesiąt stopni.

Jasny błękit napotkał pomarańczowy ogień. Płomienie zaszumiały, lecz laska Cashela wdarła się między nie jak klin w drewno. Obrót za obrotem, ani szybciej, ani wolniej, pomimo wściekłości

warczących płomieni.

Ta praca miała swój własny rytm. Tak jak nadchodzące i mijające pory roku, jak chmury gnające po niebie czy prądy zmieniające kolor morza, tak Cashel kręcił laską w sposób odpowiadający jego potrzebom w tej sytuacji.

Zahag bełkotał coś za jego plecami. Chwilami małpolud bluźnił, wzywając Siostrę i innych ludzkich bogów, ale przeważnie pisał ze zwierzęcego strachu. Cashel nie zwracał uwagi na towarzysza i jaskrawe włócznie ognia, które uderzały o wirującą laskę i odbijały się.

Mylili się, nazywając go czarodziejem. On po prostu był częścią kosmosu, ni mniej, ni więcej. Każda praca wymaga nie tylko siły, ale punktu oparcia. Cashel instynktownie znajdował ten punkt i stosował odpowiednią siłę.

Ściana ognia znów powstała za rufą łódki. Szalupa minęła barierę i jej dno zazgrzytało o kamienie u podstawy wieży. Cashel wyszedł z łódki i zachwiał się. Zahag, podskakujący i popiskujący z radości, podtrzymał go jednym długim ramieniem, a drugą ręką chwycił zwój liny. Cashel podniósł laskę nad głowę i krzyknął:

– Przedostaliśmy się! Dzięki pomocy Pasterza przedostaliśmy się!

Bogowie rzeczywiście mu pomogli, lecz jego budząca podziw całej wioski siła również przyczyniła się do tego zwycięstwa. A jeśli nawet Cashel był dumny z tego, że potrafił dokonać czegoś, czego nikt inny nie umiał, to miał powody do dumy!

Garric dotknął piersią dna, zanim łódka osiadła na drugim brzegu laguny. Zdołał uklęknąć, a potem wstał, wyjmując swój miecz z wiązki trzcin. Po jego prawej i lewej ręce łódki Ersan dobijały do brzegu, na którym czekał Graz z grupką wojowników. Ersanie milczeli, lecz ich ruchliwe uszy poruszały się i łopotały.

Tenoctris wysiadła sama, zanim Liane zdążyła jej pomóc. Staruszka z wyszukaną uprzejmością skłoniła się Grazowi i powiedziała:

– Ludzie postanowili zostać na Brzegu i nie wracać do naszego świata. Oczywiście, większość z nich urodziła się tutaj. Pozabijają was, jeśli tylko zdołają. Garric lepiej osądzi, czy to jest możliwe, ale Rodoard uważa, że tak.

Garric zdał sobie sprawę z tego, że wszyscy obecni Ersanie spojrzeli na niego. Było to niepokojące wrażenie, gdyż znacznie szersze od ludzkiego pole widzenia pozwalało Ersanom robić to bez poruszania głowami.

– Ilu was tu jest? – zapytał Garric. – Mam na myśli wojowników.

Ersanin-samiec dorównywał siłą urodzonemu na Brzegu człowiekowi. Gdyby było ich dostatecznie wielu, może zdołaliby powstrzymać chaotyczny atak silniejszych i lepiej uzbrojonych ludzi.

– Dwustu trzydziestu dwóch – odparł beznamiętnie Graz. – I ty, jeśli będziesz walczył.

– Och, będę – powiedział Garric. Poczuł, że gaśnie w nim nadzieja. W jego umyśle król Carus analizował sytuację z chłodną rozważą pasterza decydującego o tym, jaką część stada poświęcić jesienią, aby reszta przetrwała zimę i doczekała nowej trawy. – Tylko że to nic nie da. Obawiam się, że wszyscy zginiemy.

Garric spojrział na swój miecz. Chciał wytrzeć ostrze, ale nie miał ani kawałka suchej szmatki. Liane pochwyciła jego spojrzenie i dała mu chusteczkę, którą wyjęła z rękawa. Ersańskie dziecko wybiegło zza kręgu wojowników i podało Garricowi zwitek łupin nasion. Były suche, szorstkie i wchłaniały płyn równie dobrze jak tykwy, używane przez mieszkańców Barca's Hamlet do mycia zamiast gąbek.

Graz skinął głową – ludzkim gestem, tak samo jak posługiwał się ludzką mową w rozmowie z Garrikiem i jego towarzyszami. Jednocześnie zatrzepotał uszami i czterej ersańscy wojownicy pobiegli czterema różnymi ścieżkami w głąb lasu. Gońcy, domyślił się Garric, mający ostrzec pobratymców przed nadchodzącą masakrą. Znajdujące się w pobliżu samice i dzieci odeszły razem najszerszą z tych ścieżek.

– Jeśli pozwolicie mi użyć tego, co nazywacie Dłonią – powiedziała Tenoctris – mogę otworzyć przejście nie tylko dla nas, ale i dla was. Nie taki miałam zamiar, ale teraz nie widzę innego wyjścia.

– Tak – odparł Graz. – I tak kazałem memu ludowi zgromadzić się na Pierwszym Miejscu. Nasi przodkowie przybyli tamtędy na Brzeg. Przystoi więc, aby nasze istnienie właśnie tam dobiegło kresu.

On i jego wojownicy jednocześnie odwrócili się i ruszyli szeroką drogą, pokrytą deskami. Miejscowe rośliny były zbyt miękkie i nie nadawały się do tego, lecz nieustannie wymieniając popękane lub starte deski, Ersanie mogli suchą nogą wędrować po podmokłych terenach Brzegu. Ludzie po drugiej stronie laguny nie zbudowali niczego takiego.

Garric odrzucił zwitek łupin i wepchnął miecz do pochwy. Liane wzięła Tenoctris pod rękę, chociaż staruszka wydawała się znów w pełni swych sił. Nikt nie wiedział, jak czarodziejka zniesie kolejne potężne zaklęcie po wysiłku, jaki włożyła w zneutralizowanie czarów Lunifry, ale cała trójka dawała z siebie wszystkie siły.

Liane skinęła na Garrica, żeby poszedł pierwszy. Tylne straże nie były potrzebne. Ludzie nie próbowali przepłynąć przez lagunę, tak więc atak miał nastąpić z którejś flanki lub obu. Garric minął towarzyszkę i zwawo dołączył do wojowników. Podążający z tyłu Ersanie rozstąpili się, przepuszczając go do swego wodza.

– Gdyby moi przodkowie zabili pierwszych i wszystkich następnych ludzi, którzy przybyli na Brzeg – powiedział Graz, nie odwracając głowy – byłibyśmy teraz bezpieczni.

– Na Sandrakkanie mamy takie powiedzenie – zawołała z tyłu Liane. Miała słuch wyostrzony jak sowa polująca nocą w lesie. – Człowiek ma tylu wrogów, ilu niewolników.

Graz tak nagle zatrzymał się na środku ścieżki, że zaskoczył nawet swoich wojowników. Odwrócił się, balansując włócznie.

Garric spoważniał. Opuścił dłonie wzdłuż boków, gotowy rzucić się na Ersanina, gdyby ten uniósł włócznie do rzutu lub ciosu.

– Czterech niech poniesie starą samicę – rzekł Graz, tak by ludzie mogli go zrozumieć, a jednocześnie przekazując uszami rozkaz swoim wojownikom. – Jeśli Ersanie przeżyją dzisiejszy dzień, to tylko dzięki niej.

Poszedł dalej. Szedł swobodnie, stawiając nieco krótsze kroki niż człowiek jego wzrostu. Nie było sensu męczyć się bieganiem: ludzie musieli przejść spory kawałek wzdłuż brzegu laguny, tak więc miało upłynąć co najmniej pół godziny, zanim zaatakują.

– Sądzisz, że gdybyśmy od początku traktowali was jak równych sobie – powiedział cicho Graz – to by się nie zdarzyło?

Garric wzruszył ramionami.

– Chciałbym tak powiedzieć, ale sam nie wiem – przyznał. – My, ludzie, lubimy się swarzyć, nawet między sobą.

Graz pisnął jak duszony zając. Garric chwycił za miecz, ale zaraz zrozumiał, że Ersanin się śmieje.

– My też nie jesteśmy idealni – powiedział Graz. – Tylko śmierć jest doskonała. No cóż, my, Ersanie, musimy mieć nadzieję, że nadal będziemy żyć, i być niedoskonalimi w waszym świecie,

człowieku.

Wykładany deskami szlak wiódł przez las na pole jadalnych roślin i krzewów uprawianych przez Ersan. Niektóre owoce miały kształty i kolory, jakich Garric nie widział po drugiej stronie laguny.

– Pierwsze Miejsce – oznajmił Graz, wyciągając rękę. Chociaż szlak biegł prosto, jak strzeł, nawet tutaj teren był lekko pagórkowaty, tak że widok dwunastu drzew o bulwiastych pniach był zupełną niespodzianką dla przybysza wychodzącego z lasu. Garric jednak nie zdziwił się. Często zdarzało się, że owcy nie było widać na łące pozornie tak płaskiej, że można by sądzić, iż nawet polna mysz nie zdołała się tam ukryć.

Ersanie w różnym wieku gromadzili się w tym gaju. Niektórzy z nich rozmawiali, szczególnie dzieci i ich matki, lecz i tak zachowywali się znacznie spokojniej niż równie liczna gromada ludzi w obliczu takiego zagrożenia.

Samice i starsze dzieci niosły kosze, kufry i torby zrobione z kory jakiegoś drzewa. Garric nie dostrzegł żadnych naczyń, chociaż w osadzie ludzi widział kilka dzbanów.

Dorośle samce nosiły tylko broń: pałki i włócznie. Kilka tych ostatnich miało metalowe grot. Chłodny obserwator w umyśle Garrica zauważył brak jakiejkolwiek broni miotającej pociski. Widocznie żadne z tutejszych drzew nie było dostatecznie sprężyste, by nadawało się na drzewca łuków, a z proc byłyby tu niewielki pożytek, wobec braku kamieni, metali czy choćby kawałków twardej gliny nadających się na pociski.

– Tyle kobiet i dzieci – powiedziała Liane. Niepostrzeżenie dołączyła do Garrica, kiedy wojownicy posadzili Tenoctris na lektycy z drzewców włócznie. – Musi tu być ze dwa tysiące Ersan, ale niewielu wojowników.

– Racja – przytaknął Garric. – No cóż, kiedy indziej będę się zastanawiał nad tym, jak funkcjonuje ich społeczność.

Prawdę mówiąc, wcale go to nie dziwiło. Stosunek dorosłych samców do samic i potomstwa był zbliżony do tego, jaki widział w stadach owiec, których pilnował we wiosce. W przypadku zwierząt domowych o liczebności decydowała selekcja. Właściciel zabijał młode tryki na mięso, ale pozostawiał większość owiec, które dostarczały mleko i młode na wiosnę.

Garric nie widział innego sposobu, w jaki Ersanie mogliby utrzymać takie proporcje swojej populacji. Pod wpływem tej myśli ponownie zaczął się zastanawiać, czy ersańska niewola rzeczywiście była takim lekkim brzemieniem dla ludzi zamieszkujących Brzeg.

Być może wyraz twarzy zdradził dręczące go wątpliwości. Liane dotknęła jego ramienia.

– Dokonał się wybór – powiedziała. – Ersanie z pewnością też nie są święci, ale lepsi od tamtych.

– Racja – rzekł z ponurym uśmiechem Garric. – Chyba powinniśmy podziękować Rodoardowi, że ułatwił nam wybór.

Graz obserwował ich kątem oka, ale nic nie powiedział.

Weszli do gaju, rozgarniając jedwabiste listowie, które zwisało długimi pasmami do ziemi, tworząc gęste kotary. W normalnym świetle te liście byłyby bezbarwne, lecz tutaj miały ten sam kolor co jadowicie zielone niebo. Pnie drzew wyglądały jak napelnione wodą pęcherze.

Między tymi drzewami biegł szeroki trakt do okrągłego ziemnego kopca, nieco wyższego od największego Ersanina. Ten kopiec był jedyną budowlą, jaką Garric widział po tej stronie laguny. Ujrzał wąski otwór, przez który ledwie zdołałby się przecisnąć, nie odwracając się bokiem. Erszańskie samice i dzieci wyszły spomiędzy drzew i stanęły w pobliżu tej budowli, lecz wojownicy trzymali się z daleka. Ci, którzy nieśli Tenoctris, postawili ją na ziemi i wrócili do swoich towarzyszy oczekujących ataku ludzi. Graz skłonił się i obiema rękami dotknął progu wąskich drzwi.

– Wejdźcie, ludzie – powiedział. Znów parsknął nieprzyjemnym, piskliwym śmiechem. – Nie musicie oddawać czci Dłoni, gdyż nawet wasza obecność w tym gaju jest najgorszym bluźnierstwem.

Tenoctris zwawo weszła do środka, zaledwie skinieniem głowy kwitując religijne skrupuły Graza. Staruszka widziała zmagania sił, których nie dostrzegali inni, nawet czarodzieje, lecz nigdy nie spotkała Wielkich Bogów. Garric szanował Tenoctris i rozumiał jej stanowisko, ale sam wierzył w różne rzeczy, których nigdy nie widział.

Liane powiodła spojrzeniem od Garrica do Graza.

– Lepiej wejdę?... – mruknęła.

– Słusznie – powiedział Garric, chociaż nie miał pojęcia, co naprawdę jest słuszne. Może tylko bezczęścili święte miejsce Ersan na moment przed zagładą całej ich rasy. – Musimy spróbować – powiedział.

Uśmiechnął się. Nie był pewny, czy były to wyłącznie jego własne słowa, czy też podsunął mu je król Carus, jednakże były prawdą.

Graz spojrział na niego. Garric zastanawiał się, jakie myśli kryją się za nieprzeniknioną miną ersańskiego wodza.

W pobliżu dały się słyszeć ludzkie głosy. Metal uderzał o drewno. Te dźwięki bardziej przypominały odgłosy warsztatu ciesielskiego niż bitewny zgiełk znany Garricowi.

– Słusznie – powtórzył i dobył miecza, który zakupił w Erdinie.

Ostrze było z dobrej stali. Lśniło nawet w tym nikłym blasku pochmurnego nieba.

I zaledwie przed godziną zabił nim człowieka.

Przypomniawszy sobie, jak obrócił się i zobaczył Liane walczącą z jednym z siepaczy Rodoarda. Refleks i ręka Garrica or-Reise'a – nie niczyje inne, nawet zmarłego króla, obecnego w ciele Garrica – zadały mieczem cios tak wymierzony, by ominął dziewczynę, lecz rozciął czaszkę zbira, pozbawiając go życia.

Zrobił to i dopiero teraz to sobie uświadomił. Kolana zaczęły pod nim drżeć tak silnie, że przestraszył się, iż zaraz upadnie.

– Zostań z samicami – powiedział Graz z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – Bitwa sama do ciebie przyjdzie.

Garric oblizawszy wyschnięte wargi. Już się uspokoił, dzięki własnej sile ducha i pomocy króla Carusa, który wojował przez całe życie.

– Nie obawiam się śmierci – powiedział Garric. Wódz Ersan już wchodził między drzewa, kierując się w stronę odgłosów walki. – A nawet nie obawiam się zabijać. Boję się tylko, że zostanę człowiekiem, który zabija ludzi.

I powinieneś się bać, chłopcze, szepnął bezgłośnie król. Jednak jeszcze gorzej jest być człowiekiem, który nie potrafi zrobić tego, co powinien, choćby wiele miało go to kosztować.

W głębi lasu nadal słyhać było wrzaski, lecz bitwa na chwilę została przerwana. Przednia straż ludzi napotkała ersańskich wojowników i po krótkim starciu wycofała się, aby poczekać na przybycie posiłków.

Ersańskie samice przeważnie stały twarzami do ściany lasu, ale dzieci kręciły głowami we wszystkie strony. Jedno z nich podeszło do Garrica i dotknęło skraju jego wełnianej tuniki. Kiedy matka małego zauważyła, co się dzieje, natychmiast odciągnęła malca, gniewnie pochrząkując.

Tenoctris śpiewnie recytowała zaklęcia, chociaż z miejsca, w którym stał, Garric nie zdołał rozróżnić ani jednego słowa. Ponownie popatrzył w tę stronę, z której przed chwilą dobiegały odgłosy walki, a potem wepchnął miecz do pochwy. Pierwsze Miejsce było świątynią, a więc nie powinien tam wchodzić z bronią w ręku.

Wślizgnął się do środka.

Znalazł się w kręgu mającym piętnaście metrów średnicy – mniejszym, niż przypuszczał. Ziemienny wał miał ponad trzy metry grubości. Otaczał równie głęboki wykop, w którym na środku pozostawiono słup ziemi. Tę kolumnę, sterczącą na wysokość pierwotnego poziomu gruntu, wzmocniono plecionką z wikliny, zapobiegając osypywaniu się ziemi.

Na niej spoczywała ludzka dłoń, zrobiona z macicy perłowej lub całkiem nią pokryta. Lśniła silniejszym blaskiem, niż można by oczekiwać w tym przyćmionym zielonym świetle, jakie sączyło się z nieba. Była uosobieniem piękna, potęgi i zła.

– *Archedama phochense pseusa...* – powiedziała Tenoctris. Na ziemi wokół kolumny nakreśliła znaki Dawnego Pisma. Teraz krążyła wokół nich, wypowiadając słowa, akcentując każdą sylabę machnięciem różdżki, którą sporządziła z kawałka cienkiej gałązki. – *Rerta thoumison kat huesemmigadon!*

Nad nakreślonymi symbolami zaczął tworzyć się cylinder światła barwy jaśniejszej Dłoni. Garric spojrział w niebo. Nie potrafił powiedzieć, gdzie to światło spotyka się z pochmurnym niebem, lecz ten jasny strumień z pewnością sięgał znacznie wyżej niż zielonkawe obłoki.

Liane w milczeniu obserwowała czarodziejkę, w każdej chwili gotowa przyjść jej z pomocą. Twarz dziewczyny miała nieprzenikniony wyraz przestraszonej osoby, która jest zbyt opanowana, aby okazać strach.

Napotkała spojrzenie Garrica i uśmiechnęła się. Mrugnął, zastanawiając się, jaką on sam ma minę, po czym wyszedł ze świątyni. Za plecami usłyszał głos Tenoctris:

– *Maarchamma zabarbathouch...*

Za laskiem toczyła się zażarta bitwa. Dolatywały stamtąd krzyki i przekleństwa atakujących ludzi oraz gniewny klekot broniących się Ersan. Na tle tych odgłosów trzask oręża narastał i cichł, po czym znów się wzmagał, czemu akompaniował chór wrzasków.

Garric ujął rękojeść miecza.

– Garricu! – zawołała Liane. – Garricu, już czas! Powiedz im, żeby wchodzili do środka, dopóki Tenoctris...

– Chodźcie! – krzyknął Garric. Ersanie obejrzeli się, ale nie ruszyli się z miejsca. Czy te samice rozumiały ludzką mowę? Garric złapał najbliższą stojącą za ramię. Pod futrem namacał kości, grubsze niż oczekiwał. – Chodźcie! – powtórzył, machając ręką na pozostałych. Pociągnął – jeńca? ofiarę? – w kierunku wejścia.

Liane właśnie wchodziła na drewniane schodki, wznoszące się z dna kręgu. Garric popchnął w jej kierunku Ersankę, niezbyt mocno, ale zdając sobie sprawę z tego, że jeśli będzie tak musiał robić ze wszystkimi, to przyjdzie mu się przy tym zestarzeć.

Liane łagodnie przyciągnęła do siebie Ersankę. Cylinder światła zmienił się w przezroczystą ścianę. Garric nie mógł przez nią dostrzec przeciwległej ściany kręgu, lecz Dłoń jarzyła się niczym słońce na bezchmurnym niebie.

– *Zadachtoumar didume chicoeis* – powiedziała Tenoctris, z twarzą pobrużdżoną zmarszczkami zmęczenia. Wciąż krążyła wokół pierścienia zaklęć. Staruszka będzie chodzić tak, aż upadnie, co na pewno nastąpi, i to raczej wcześniej niż później.

– Przechodź! – powiedziała Liane, pokazując Ersance kolumnę zimnego światła. – Szybko! Ersanka bez wahania weszła w ścianę blasku i znikła, jakby pochłonął ją nocny mrok.

Garric odwrócił się. Przed wąskim przejściem, które tarasował swoim ciałem, czekali kolejni Ersanie, kobiety z dziećmi. Oskoczył do tyłu, przeklinając swoją głupotę. Powinien się domyślić, że jeśli pierwszy osobnik z tej owczej rasy pójdzie, reszta ruszy za nim.

Ersanie kolejno wchodzili w ścianę cylindra. Stali w kolejce, zagradzając przejście. Obwałowanie kręgu było na tyle niskie, że Garric mógłby się na nie wspiąć, szczególnie z rozbiegu. Napiął mięśnie, lecz dostrzegł coś kątem oka i znieruchomiał.

Tenocris nie była już sama. Obok niej kroczyła naga kobieta z opalizującego, migotliwego światła, takiego samego jak cylinder. Tenocris najwyraźniej nie widziała towarzyszącej jej zjawy.

Liane zauważyła zdziwioną minę Garrica, powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i znów popatrzyła na niego z niepokojem.

– Co się stało, Garricu? – zapytała.

Widmowa kobieta uśmiechnęła się leniwie i wyciągnęła do niego rękę. Jej ciało było idealnie piękne, lecz zamiast oczu ujrzał dwie piekielne czeluście. Cofnął się, oszołomiony, jak po niespodziewanym ciosie.

– Zabijcie wszystkich! – piskliwy wrzask Rodoarda przedarł się przez bitewny zgiełk. – Pozarzynaście te zwierzęta!

Garric rozpędził się i wskoczył na szczyt obwałowania. Wyjął miecz. Wiedział, że nie tylko dołącza do swoich sojuszników, ale także ucieka przed czymś, czego nie rozumiał, jednak był już najwyższy czas, by włączyć się do walki.

Ersańscy wojownicy zostali zepchnięci na sam skraj lasu. Carus wprawnym okiem ocenił, że zginęła ich już prawie połowa. Pozostali osłaniali grupkę samic i młodych, która szybko zmniejszała się, w miarę jak następne znikwały w wąskim przejściu.

Ludzie atakowali chaotycznie, lecz zawzięcie. Spomiędzy drzew wypadł mężczyzna niemal równie wielki jak Cashel. W obu rękach trzymał ciężkie pałki, na prawym ramieniu miał czerwony tatuaż, a na lewym niebieski. Z rykiem skoczył na obrońców, wywijając obiema pałkami. Erszańscy wojownicy rozstąpili się przed nim, jak woda przed wpadającym w nią kamieniem. Graz pchnął włócznią przebiegającego obok tatuowanego. Ten parł naprzód, atakując erszańskie samice.

Garric zastąpił drogę napastnikowi, który podniósł pałkę nad głowę. Drugą osłaniał się przed ciosem. Garric pchnął, mierząc w dłoń trzymającą pałkę. Wiele razy wykorzystywał tę sztuczkę w turniejach podczas wiejskich festynów. Zamiast mierzyć w ciało przeciwnika, uderz w rękę trzymającą broń, a dopiero potem w nie osłonięte już ciało.

Tatuowany wrzasnął ze zdumienia i bólu i wypuścił pałkę ze zranionej dłoni. Cofnął się i postawił oczy w ślup. Krew trysnęła mu nosem i runął jak ścięty dąb. Pchnięcie, którym Graz przeszył mu płuca, w końcu wywarło skutek.

Garric stał sam między liniami. Atakujący chwilowo wycofali się, wszystkie erszańskie samice weszły do kręgu, a wojownicy zajęli pozycje na obwałowaniu. Garric pospiesznie cofnął się i stanął przy wejściu.

Za kurtyny listowia znów wyłonili się ludzie. Ośmiu urodzonych na Brzegu mężczyzn niosło nosze, na których siedział Rodoard. Kikuty nóg miał owiązane czerwonym jedwabiem.

– Zabić wszystkich! – wrzasnął Rodoard, wymachując krótkim berdyszem. – Do ataku!

Noszowi niezdarnym kłusem ruszyli w kierunku Garrica. Pierwszym z prawej był Jوسفred. Jego wykrzywiona strachem, szczurza twarz błyszczała od potu.

– Garricu! – krzyknęła rozpaczliwie Liane.

Garric obejrzał się. Erszańscy wojownicy w milczeniu jednocześnie zeskoczyli do kręgu. Garric, nie widząc ich i nie rozumiejąc znaków, jakie dawali sobie uszami, znów został sam.

Zaatakowali go trzej krzepcy marynarze z dzidami zrobionymi z przywiązanych do żerdzi noży. Mieli zbite z desek tarcze, niezbyt wytrzymałe, ale wystarczające przeciwko lekkiemu uzbrojeniu Ersan. Inni zaczęli wspinać się na obwałowanie. Garric wycofał się do przejścia, mając nadzieję, że

marynarze z tarczami spróbują wejść za nim. Zatarasowaliby na chwilę wąski otwór, co pozwoliłoby mu umknąć wraz z towarzyszami.

– Zabić wszystkich! – pisał Rodoard.

Graz rzucił się w cylinder światła i znikł, jakby nigdy nie istniał. Był ostatnim z Ersan. Liane jedną ręką obejmowała Tenoctris w pasie, pomagając staruszce krążyć wokół znaków. Tenoctris poruszała wargami, lecz Garric nie słyszał już słów zaklęcia. Dłoń jarzyła się oślepiającym światłem. Wydawała się jasna jak słońce, lecz nie rzucała cieni ani nie oświetlała ścian kręgu.

Garric zeskoczył na dno jamy. Kobieta z perłowego światła zastąpiła mu drogę. Poglądziła go po policzku palcami miękkimi jak skrzydło motyla. Cofnął się, zaskoczony. Zjawa parsknęła śmiechem dźwięcznym jak kryształ, czystym i zimnym jak ostrze noża.

– Garricu! – ponaglała Liane. – Na co czekasz?

Ruszył ku niej. Pierwsi ludzie dotarli już na szczyt obwałowania i nawoływali kamratów, by dołączyli do nich, zanim skoczą na dół. Perłowa kobieta zacisnęła dłoń na szyi Liane. Znużenie i niepokój Liane nagle zmienił się w przerażenie. Puściła Tenoctris i próbowała chwycić to coś, co ścisnęło jej gardło. Jej palce napotkały tylko powietrze. Garric uderzył gałką rękojeści w skroń zjawy. Rozwiała się pod ciosem jak dym – i jak dym znów się scalała. Zaśmiała się, jeszcze mocniej ściskając szyję Liane. Dziewczyna zaczęła sinieć. Tenoctris chwiejnie krążyła wokół pierścienia mocy, recytując słowa zaklęcia. Zapewne nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Pierwszy z marynarzy wyłonił się z ciasnego przejścia nad Garrikiem. Inni ześlizgiwali się po obwałowaniu, z zaciętymi minami i bronią w rękach.

Garric zrobił krok naprzód i uniosł miecz. Przekraczając barierę światła, poczuł nieprzyjemne mrowienie całego ciała. *Ktoś przeszedł po moim grobie*, pomyślał. Z całej siły rąbnął mieczem, przecinając Dłoń.

Usłyszał przeraźliwy skowyt. Może był to świst wiatru, który porwał go i cisnął w płomienisty mrok. W gwałtownym rozbłysku światła ujrzał Tenoctris i Liane, a potem wszystko spowiła ciemność, równie głęboka jak piekielne czeluście pustych oczu zjawy.

Sharina nadal ścisnęła dłoń Halphemosa, lecz młody czarodziej powoli zaczął iść o własnych siłach. Kiedy opuścili więzienie, Halphemos z początku potykał się co kilka kroków, lecz nie padał tylko dzięki pomocnej dłoni dziewczyny. Nie miała pojęcia, co naprawdę zrobił, lecz dostatecznie często widywała skutki korzystania z czarów, by wiedzieć, że uprawianie magii jest zajęciem równie wyczerpującym jak koszenie w upalny dzień.

– Dokąd idziemy? – wysapał Halphemos pierwsze zrozumiałe słowa, od kiedy wykrzyczał ostatnie sylaby rzucanego zaklęcia.

– W porcie stoi statek, który zaraz odpływa do Erdinu – powiedziała Sharina, ścisząc głos, by nie usłyszeli jej przechodnie. – Na pokładzie czeka na nas Cerix.

Cerix napisał na zwoju tylko zaklęcie otwierające zamki i rygle. Zjawa, którą przywołał Halphemos, była wyłącznie jego tworem. Sharina podejrzewała, że czarodziej kiedyś już tak czynił, co dowodziło, że miał w zanadrzu kilka takich sztuczek.

Nabrzeże Pandah było równie tłoczne i hałaśliwe jak to, które Sharina widziała w Erdinie – stolicy i głównym porcie jednej z najważniejszych wysp królestwa. Seriańskie statki o prostokątnych dziobach i skośnych żaglach stały tuż obok katamaranów z Dalopo, pękatek barkasów do transportu zboża z Ornifal oraz stateczków do przewozu wina, cytrusów lub metali z tuzinów różnych wysepek, czasem tak małych, że nie nazwanych nawet przez zamieszkujących je ludzi.

Jeszcze przed kilkoma miesiącami Sharina myślała, że nigdy nie opuści Barca's Hamlet.

Różnorodność tutejszych widoków wydawała jej się podniecająca i wspaniała. Rozmyślając o cudach, o których świadczyła obecność tych statków, na chwilę zapomniała o ponurej tajemnicy, jaką było zniknięcie jej przyjaciół.

W przeciwieństwie do nędznych domostw z suszonej na słońcu gliny i wikliny, jakie przeważały w mieście, port Pandah był zbudowany z kamienia. Papuga przekomarzała się z mewą na rei przycumowanego frachtowca, a kury, przenoszone w klatce na pokład stojącego obok statku, akompaniowały im nerwowym gdakaniem.

Obok magazynu przy najbliższej przystani była zacumowana dwudziestowiosłowa galera. Sharina dostatecznie dużo wiedziała o handlu, aby zdziwiła ją obecność tego okrętu.

Galery były okrętami wojennymi lub jachtami bogatych podróżnych, których stać na to, by zapłacić za pewność, że nie będą musieli tygodniami czekać na pomyślny wiatr. Miały bardzo małą ładowność i załogę kilkakrotnie liczniejszą niż na żaglowcu. Ten statek nie miał wojskowego wyposażenia ani luksusów, jakich należałoby oczekiwać na jachcie.

„Morświn”, sandrakkański frachtowiec, na który Cerix wykupił miejsca, stał przy następnym pomoście. Sharina słyszała załogę śpiewającą szanty przy kabestanie, stawiającą reję i żagiel spoczywające na pokładzie podczas postoju w porcie.

Jakiś człowiek wyszedł zza sterty desek, wyładowanych z ornifalskiego statku i jeszcze nie przewiezionych do miejsca przeznaczenia. Stał na tle słońca, które podświetlało jego przysadzistą postać. Zagroził drogę Sharinie.

Idący obok dziewczyny Halphemos nie zauważył nieznajomego, dopóki nie przystanęła. Sięgnęła po pewlański nóż.

– Zamierzasz wypróbować go na mnie, dziecko? – zapytał znajomy głos.

– Nonnus – powiedziała Sharina. Zadrżała. Nie była w stanie trafić końcem noża w szczelinę pochwy. – Nonnus?

– Kim jesteś? – zapytał Halphemos podniesionym głosem. Sharina nagle zdała sobie sprawę z tego, że jest bardzo młody. Halphemos był mądry i kilka lat starszy od niej, lecz pod pewnymi względami był jeszcze chłopcem.

Nonnus był dojrzałym mężczyzną. Decyzje podejmował błyskawicznie, chociaż nie pochopnie. I zawsze doskonale panował nad sobą, aż do śmierci.

– Nonnusie, przecież ty nie żyjesz – szepnęła Sharina, jakby odmawiała modlitwę.

– Sharino? – rzekł Halphemos, odrywając wzrok od nieznajomego i spoglądając na nią. – Co?...

– Przysłano mnie, ponieważ byłem jedynym posłańcem, któremu możesz zaufać, dziecko – rzekł Nonnus. – Musimy natychmiast ruszać. Od tego zależy los tego świata.

Sharina przysunęła się do niego, by dobrze mu się przyjrzeć w krwawym blasku zachodzącego słońca. Twarz i głos niewątpliwie należały do człowieka, który zginął w jej obronie w komnacie pełnej piekielnych bestii.

– Cashel zniknął – powiedziała. – Zamierzamy odnaleźć go, a potem pozostałych.

Załoga „Morświna” zamocowała fały przytrzymujące żagiel. Kapitan dał rozkaz, by oddano cumy.

– Cashelowi nic się nie stanie – odparł Nonnus. – Twój przyjaciel...

Chłodnym wzrokiem obrzucił drżącego Halphemosa.

– ...może odnaleźć Cashela bez twojej pomocy. A nawet gdyby nie zdołał, są ważniejsze sprawy. Mam tu statek. Musimy natychmiast odpłynąć.

– Ja... – zaczęła Sharina.

Nonnus położył dłoń na jej ramieniu.

– Ufasz mi, prawda, dziecko? – Ruchem głowy wskazał galerę. Wioślarze siedzieli na ławeczkach i tylko jedna cuma łączyła dziób okrętu z pachołkiem na molo. – Musimy ruszać.

Sharina odwróciła się do Halphemosa.

– Muszę iść – powiedziała. – Kiedy dopłyniesz do Erdinu, znajdź Ilnę os-Kenset. To siostra Cashela. Ona ci pomoże.

– Ale... – zaczął czarodziej.

Idąc z Nonnusem w kierunku galery, Sharina zawołała przez ramię:

– Nie musisz rozumieć. Idź już!

DWUNASTY DZIEŃ CZAPLI (PÓŹNIEJ)

Cashel z podziwem patrzył, jak Zahag wspina się po ścianie wieży, niosąc na ramieniu zwój liny. Z daleka wydawało się, że budowlę wzniesiono z bloków różowego kamienia, lecz stojąc u jej podstawy, stwierdził, że jest z jednego kawałka, gładkiego jak emaliowany garnek. Małpolud piął się po niej jak nadrzewna żaba po ścianie stodoły.

– Co za głupota – marudził Zahag, wyszukując uchwyty dla rąk i nóg. – Kiedy wejdziemy do środka, Ilmed nas zabije...

Wyciągnął kończyny na całą długość, obejmując nimi sporą część obwodu wieży, jednak nie tyle, aby wspinać się bez punktów oparcia.

– Albo po prostu spłonimy... – dodał Zahag. Przesuwał kolejno każdą kończynę, wyszukując uchwyty na ścianie, która Cashelowi wydawała się zupełnie gładka. Mur był chropowaty jak powierzchnia skały nadkruszona przez wiatry i deszcze, lecz i tak żaden człowiek nie zdołałby znaleźć tam ani jednego punktu oparcia. – W ogniu, w drodze powrotnej!

Wypowiadając to ostatnie słowo, złapał się ręką krawędzi wieży i znikł Cashelowi z oczu. Ten szybki, niespodziewany ruch był jak śmignięcie żabiego języka, chwytającego przelatującą muchę, zanim patrzący na to człowiek zauważy otwierający się pysk.

– Hej! – zawołał uradowany Cashel. Wzdłuż ściany wieży spadła lina, rozwijając się w powietrzu. Owiązał ją wokół laski, pozostawiając spory kawałek, który przywiązał do drugiego końca, dla równowagi.

– No chodź już! – domagał się małpolud, wyglądając zza krawędzi wieży. Cashel niczego nie był w stanie wyczytać z wyrazu jego pyska. U ludzi wyszczerzone zęby oznaczałyby wściekłość, ale wydawało się bardziej prawdopodobne, że Zahag uśmiecha się z zadowoleniem. – Mam cię wciągnąć na górę? A może po prostu wyniesiemy się stąd, zanim wróci czarodziej?

– Już idę – zawołał Cashel.

Z całych sił pociągnął za linę, nie chcąc spaść z wysokości piętnastu metrów na głazy. Miał ochotę zapytać Zahaga, czy jest pewny, że przywiązał sznur do czegoś, co utrzyma jego ciężar, ale małpolud był gorszy niż dziecko. Mógł wpaść w furję, gdyby Cashel powątpiewał w jego umiejętności.

Śludzy pałacowi chcieli dać mu rękawiczki razem z liną, której zażądał. Nie mógł pojąć dlaczego, aż zobaczył ich białe, delikatne dłonie i wyobraził sobie, jak te ręce wyglądałyby, gdyby ich właściciele wciągnęli na wieżę obiekt ważący tyle co Cashel. Pasterz z Barca's Hamlet miał dłonie twardsze od rękawiczek z cielęcej skóry, które mu proponowali.

Ponieważ sznur nie urwał się przy pierwszym szarpnięciu, Cashel oparł się jedną nogą o ścianę i napiął potężne mięśnie klatki piersiowej. Lina lekko sprężynowała, lecz była owiązana wokół czegoś dostatecznie mocnego, by utrzymać Cashela. Mocno ją ściskając, Cashel zaczął powoli piąć się w górę.

Otoczające wysepkę płomienie tworzyły przezroczystą kurtynę, lecz zdawały się tłumić wszelkie dźwięki z zewnątrz. Ludzie na brzegu wiwatowali niemo, machając rękami i różnymi częściami wierzchniej garderoby. Cashel nie był przyzwyczajony do czegoś takiego. We wiosce ludzie nie gapili się na innych, tak samo jak nie przyglądali się chmurom – i tak wszyscy wiedzieli, co kto robi i jaka będzie jutro pogoda. Erdin był wielkim miastem, w którym nikt nie interesował się innymi,

szczególnie wsiokami z takiej zapadłej wyspy jak Haft.

Tymczasem tutaj, na Pandah – a przynajmniej na tej Pandah – Cashel był czarodziejem mającym uratować księżniczkę Arię. Zastanawiał się, czy jest w mieście ktoś, kto teraz na niego nie patrzy. Niezbyt podobało mu się to uczucie.

Kiedy Cashel był jeszcze dwa metry od szczytu wieży, Zahag wychylił łeb zza krawędzi.

– No, jesteś! – rzekł z urazą. – Myślałem, że wróciłeś i zostawiłeś mnie tutaj!

Cashel nie wiedział, czy małpa jest w takim sarkastycznym nastroju, czy też naprawdę się boi. Przywykł do tego, że ludzie narzekają na jego flegmatyczny sposób bycia. Nic nie szkodzi, że małpa podjęła tę samą śpiewkę.

Oczywiście, nikt nie był w stanie zmusić Cashela do pośpiechu. Robił swoje w takim tempie, jakie mu odpowiadało. Taki już był i podejrzewał, że Zahag zrozumie to wcześniej czy później. Ludzie w wiosce rozumieli.

Cashel położył dłoń na murze, drugą nadal ściskając linę. Podciągnął się, zarzucił nogę na krawędź i wgramolił się na szczyt wieży. Pewnie nie wyglądało to zbyt widowiskowo, ale tym też się wcale nie przejmował.

Krawędź sięgała mu do kostek – dostatecznie wysoka, by się o nią potknąć i by uniemożliwić odpływ deszczówki, lecz nie nadająca się do niczego innego. Woda mogła ściekać przez otwory odpływowe, chyba że te zamrzły, co zapewne rzadko zdarzało się na Pandah. Mimo to była to idiotyczna konstrukcja. Dziwaczne zakrętasy, zdobiące brzeg różowego kamienia, pogłębiły pogardę Cashela dla budowniczego tej wieży.

No cóż, przedtem też nie żywił dla Ilmeda żadnych cieplejszych uczuć.

Na środku wieży stał wysoki słup z przymocowanymi na końcu, błyszczącymi soczewkami. Zahag przywiązał do niego linę. W pobliżu słupa znajdował się właz zamykany gładką i różową jak ściany wieży klapą, której obie połowy były teraz otwarte.

– Co jest w środku? – zapytał Cashel, wciągając laskę. Nie wiedział, jak skuteczna okaże się ta broń, ale w razie kłopotów na pewno będzie lepsza niż żadna.

– A skąd mam wiedzieć? – prychnął Zahag. – To ty chciałeś tu przyjść! Ja nie miałem ochoty wchodzić sam w pułapkę.

Cashel podszedł do włazu i spojrzał w dół. Zobaczył komnatę wyglądającą na schludną sypialnię, do której wiodły spiralne schody. Ich stopnie były z różowego filigranu, tak delikatnego, że Cashel przez moment miał ochotę poprosić lżejszego małpoluda, żeby poszedł pierwszy.

Tylko straciłby czas. Ostrożnie stanął na pierwszym stopniu, trzymając w poprzek laskę. Gdyby stopień trzasnął jak pękający w wiosennym słońcu lód, Cashel zawisłby na lasce, wygramolił się z powrotem na dach i zastanowił, co robić dalej.

Schody nawet się nie zatrzęsły. Stopnie w gospodzie Reisego, z grubego na dwa centymetry dębu, były bardziej elastyczne od tych. Cashel obrócił laskę w dłoni i zaczął schodzić.

Całe to piętro było jedną owalną komnatą, z łóżkiem z boku schodów i szeregiem szaf pod ścianami. To, co nie było różowe, było białe. Do tej pory tyle różowości w jednym miejscu Cashel widywał tylko o zachodzie słońca, a i wtedy temu kolorowi towarzyszyły bardziej zdecydowane barwy.

Między dwiema komodami stało lustro osadzone w uchwytych tak, aby można je przechylać. Cashel przejrzał się w nim. Jeszcze nigdy tak się nie oglądał, a przynajmniej nie w prawdziwym lustrze o tafli znacznie gładziej od powierzchni stawu czy kawałka metalu. Gdyby nie trzymał w ręce laski i nie widział ostrożnie schodzącego za nim Zahaga, Cashel wziąłby to odbicie za prawdziwego człowieka: rosnącego młodzieńca w tunice delikatniejszej od ciała, które okrywała.

Składany parawan pod ścianą naprzeciw lustra był haftowany w róże i jakieś nie znane mu ptaki o długich ogonach. Młodzian podszedł tam, podczas gdy Zahag obserwował to z połowy schodów.

Cashel odsunął parawan, częściowo spodziewając się ataku jakiegoś potwora. Zamiast niego ujrzał coś, co przez moment wydało mu się kolejnym lustrem, lecz to ukazywało okolicę wokół wieży, aż po horyzont. Małpolud zeskoczył na dół, żeby lepiej się temu przyjrzeć.

– Zobacz, to pałac! – powiedział. – A tam w porcie to statek! Płynię!

– Czy to magia? – zapytał Cashel, mrużąc oczy, by dojrzeć szczegóły. Zobaczył ludzi w porcie. Kiedy popatrzył zupełnie z bliska, dostrzegł, że poruszają ustami.

– Nie, nie – odparł lekceważąco Zahag. – To tylko światło odbijające się od szeregu luster. Pierwsze znajduje się na słupie na szczycie wieży. Nie widziałeś go?

– Nie wiedziałem, do czego służy – odparł z prostotą Cashel. Ruszył w kierunku schodów. W końcu przybyli tu uratować księżniczkę Arię, a nie obserwować ludzi próżniaczących się w porcie.

Cashel nadal nie miał pojęcia, jak światło mogło przesączyć się przez dach – a raczej, skoro o tym mowa, czym przechodzące przez sufit światło różni się od czarów. Przywykł, że ludzie złością się, kiedy czegoś nie rozumiał, więc kiedy słyszał w czyimś głosie ten urażony ton, nie nalegał na wyjaśnienie, chyba że bardzo tego potrzebował.

Zahag zazwyczaj był urażony i gniewny, kiedy usiłował wyjaśnić coś Cashelowi. Pod tym względem Zahag niczym nie różnił się od wielu ludzi.

Młodzieniec zszedł po schodach piętro niżej. Zahag poszedł za nim, gryząc jabłko, które wziął z kryształowej misy stojącej na stoliku obok łóżka. Małpolud żarł niechlujnie: pestki i kawałki miększu spadały na kark Cashela.

W tej komnacie znajdowała się biblioteka. Pod ścianami stały regały z przegródkami na wepchnięte w nie zwoje oraz półkami na opasłe księgi. Różowe ruchome schodki pozwoliłyby nawet małej dziewczynce dosięgnąć najwyższych półek.

Na tym piętrze też nie było nikogo.

Ani w tej, ani w znajdującej się piętro wyżej komnacie nie było okien. W suficie umieszczono tafle przezroczystego szkła, przez które Cashel zobaczył przesuwające się po niebie chmury. Wydawało się, że w suficie jest otwór z widokiem na niebo – bo żadne szkło nie jest aż tak przezroczyste – lecz Cashel wiedział, że na podłodze sypialni leży gruby dywan. Pewnie znów jakieś czary, pomyślał.

Z drewnianych kołków zwojów zwisały tabliczki z opisami, a grzbiety ksiąg miały złożone tytuły. Trochę złośliwie Cashel zapytał:

– Umiesz czytać, Zahagu?

– Pewnie – odparł małpolud. Rzucił ogryzek jabłka na gruby biały dywan i wziął z półki jedną z ksiąg. – Chociaż to strata czasu.

Zahag otworzył księgę, przytrzymując ją długą, niezwykle zwinną ręką.

– Pasia os-Melte z Erdinu wychowała się jako sierota po tym, jak jej matka umarła w połogu – zaczął. – Chociaż była biedna, nauczyła się skromności i samokontroli. Często miewała sen, który przepowiadał jej szczęśliwe życie i niezwykły los.

Zahag cisnął księgą przez komnatę.

– Jaki z tego pożytek? – zapytał. – Czy można się tym najeść?

– Niektórzy ludzie to lubią – rzekł Cashel.

Małpolud podrapał się pod pachą.

– Kiedyś próbowałem zjeść książkę – rzekł w zadumie. – Smakowała jak suche liście. Ta może

byłaby trochę lepsza, bo jest z pergaminu i skóry. – Rozejrzył się wokół. – Nie ma tu jabłek?

– Nie sądzę – odparł Cashel.

Tylko kilkoro mieszkańców wioski umiało czytać i pisać. Nie była to umiejętność potrzebna do uprawiania ziemi czy pasienia stad. Reise or-Laver, ojciec Garrica, był wykształconym człowiekiem. Nauczył syna i córkę czytać dzieła poetów i historyków, którzy pisali przed tysiącem lat, w czasach Dawnego Królestwa.

Garric wiele razy siedział pod świętym dębem na południe od wioski i czytał na głos Cashelowi. Opowieści o bitwach, niezwykłych przygodach, jak również miłosne sonety do dziewcząt, których ciała już od wielu, wielu pokoleń zmieniły się w proch. Dziewcząt, które być może istniały tylko w wyobraźni poety, jak mówił Garric.

Teraz Cashel wyruszył w wielki świat. Widział dziwy równie niezwykłe jak te w książkach, które czytał mu Garric. Oraz bitwy... Cashel odruchowo zacisnął dłonie na lasce.

Był jednak inny świat, do którego mogli wejść tylko ci, którzy umieli czytać. Garric i Sharina pokazali mu kawałek tego świata, lecz Cashel w głębi serca wiedział, że nigdy nie stanie się jego częścią.

No cóż, nie można mieć wszystkiego.

– Czy pasłeś kiedyś owce, Zahagu? – zapytał, znowu idąc w kierunku schodów.

– Co takiego? – zadziwił się małpolud. – Po co miałbym to robić?

– Tak też sądziłem – mruknął Cashel.

Ponieważ właśnie obrzucił ostatnim spojrzeniem półki z książkami, Cashel zauważył rudowłosą dziewczynę, która weszła po schodach, dopiero wtedy, gdy powiedziała:

– Kim wy?...

Cashel spojrzał na nią ze zdumieniem. Dziewczyna wrzasnęła i zaczęła zbiegać po schodach.

– Na pomoc! – krzyczała. Miała na sobie strój złożony z wielu warstw białej gazy, który unosił się wokół niej jak obłok. Każda z warstw była tak cienka, że niemal przezroczysta, lecz wszystkie razem były białe jak atlas. – Ratujcie mnie przed potworami! Pomocy!

– Księżniczko Ario! – zawołał Cashel. Pokłusował za nią, stawiając stopy na każdym kolejnym stopniu, zamiast sadzić susami w pośpiechu. Te kręte schody nie były zbudowane dla kogoś jego rozmiarów, a poza tym już dawno przekonał się, że przy jego wadze i sile musi uważać, co robi. Wielu ludzi uważało Cashela za głupca, ale nikt nigdy nie twierdził, że jest idiotą.

Schody kończyły się na następnym piętrze. Tu też było jedno pomieszczenie, tym razem kuchnia ze stołem i krzesłem równie delikatnej roboty jak pozostałe sprzęty w tej wieży.

Dziewczyna, która musiała być Arią, gdyż poza nią nie było tu nikogo, jadła posiłek, kiedy głosy Cashela i Zahaga sprowadziły ją do biblioteki. Na stole stała sałatka z rzeżuchy i grzybów oraz małe kawałeczki mięsa w brązowym sosie. *Gołębie piersi*, pomyślał Cashel, choć oczywiście mogły to być piersi każdego innego ptaka.

Aria skuliła się przy mosiężnych drzwiach osadzonych we wklęsłej ścianie. Cashel był pewien, że nie prowadziły na zewnątrz.

Drzwi otworzyły się na oścież.

– Ratujcie mnie przed potworami! – powtórzyła Aria.

Łuskowaty stwór, bliźniaczo podobny do tego, którego Cashel znalazł w beczce, stał w progu, trzymając wygięty miecz. Rzucił się na Cashela, unosząc broń do ciosu. Dwaj następni deptali mu po piętach.

Nazwała mnie potworem!, pomyślał Cashel. *Nawet Zahag jest bardziej podobny do człowieka niż te Łuskowate...*

Jedną ręką dźgnął laską jak dzidą, miażdżąc pierś napastnika i odrzucając go na dwóch kompanów. Miecz trafionego – mordercza broń, groźna w bezpośrednim starciu – odbił się od sufitu i ściany, po czym z brzękiem upadł na podłogę. Metal wyglądał jak brąz, nie stal, lecz odłupał kawałek twardej ściany.

Następny napastnik potknął się o ciało pierwszego. Trzeci – lub trzecia, Łuskowaci nosili bowiem nabijane ćwiekami pasy oraz pendenty, lecz żadnych określających płeć szat – ominął swoich towarzyszy i z groźnym grymasem rzucił się na młodzieńca.

Cashel przyciągnął pałkę i zadał potężny cios, który najpierw wytrącił miecz z dłoni stwora, a w następnej chwili rozwalił mu łeb. Poruszał się zwinnie i instynktownie jak wtedy, kiedy podnosił jakiś ciężar. Nie było czasu, by zastanawiać się nad tym, co trzeba zrobić, a Cashel wcale nie musiał się namyślać. To było dla niego czymś tak naturalnym jak oddychanie.

Ostatni Łuskowaty podniósł się z podłogi. Wielki owalny pokój był opryskany krwią i kawałkami innych tkanek. Krzesło pozostało całe, lecz stół zmienił się w kupkę lśniących drzazg leżących pod ścianą. Księżniczka Aria stała z szeroko otwartymi oczami, wydając gulgoczące dźwięki.

– Posłuchaj, możemy... – zaczął Cashel, zwracając się do trzeciego Łuskowatego. Ten wydał gardłowy okrzyk, pierwszy dźwięk, jaki padł z ust całej trójki, po czym rzucił się naprzód z wyciągniętym mieczem.

Cashel podciął mu nogi kolejnym poziomym uderzeniem, tym razem zadany w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Łuskowaty padł na wznak, a Cashel wykończył go szybkim ciosem w głowę, jak żmiję na polu fasoli.

Nowa laska spisywała się dobrze. Nie była tak ciężka jak ta, do której się przyzwyczaił, i może nie była równie mocna, ale wystarczająca do tej roboty. Cashel nie znajdował żadnej przyjemności w zabijaniu, ale z tym robactwem nie można było dyskutować. Sądząc po ich zachowaniu, Łuskowaci byli bezmyślnie agresywni jak niektóre gzy, a w dodatku znacznie więksi od tych owadów.

– Księ... – zaczął Cashel. Zaschło mu w ustach i w gardle. Dotknął językiem policzków, żalując, że w sypialni na piętrze nie wziął sobie jabłka, po czym podjął: – Księżniczko Ario, twoja matka przysłała mnie, żebym zabrał cię do...

Aria z rozpaczliwym okrzykiem usiłowała umknąć przez drzwi z brązu. Cashel złapał ją, zanim zdążyła to zrobić. Za tymi drzwiami widział tylko kłębiącą się mgłę.

– Zahagu! – zawołał. Kiedy pojawili się Łuskowaci, małpolud uciekł schodami na górę. To nie zdziwiło Cashela, ale teraz – gdy księżniczka wrzeszczała i próbowała ugryźć go w rękę – przydałaby mu się pomoc.

Obrócił się tak, że stanął między Arią a drzwiami, których w tym momencie nie mógł zamknąć, po czym rzekł:

– Chcemy cię uratować, księżniczko. Czarodziej...

Zahag zbiegł po schodach, wydając piskliwe wrzaski, które wcale nie przypominały ludzkiej mowy. Przystanął przy drzwiach, jedną ręką wskazując za siebie, a drugą zasłaniając oczy.

Cashel odepchnął dziewczynę na bok. Jeśli mu ucieknie, to trudno, może to będzie lepsze, niż gdyby miała tu zostać i stawić czoło temu, co ściga Zahaga.

Z góry spłynął mężczyzna o śnieżnobiałych włosach, odziany w srebrzystą szatę. Ramiona miał założone na piersi, a haftowanymi pantoflami nie dotykał schodów.

– Ilmedzie! – zawołała uradowana Aria. – Przybyłeś mnie uratować!

Twarz Ilmeda była gładka i nieruchoma jak marmurowe oblicze posągu Pasterza. Wyciągnął prawą rękę w kierunku Cashela. Zacisnął pięść, tak że wielki szafir, będący oczkiem pierścienia, złowrogo błysnął w oczy młodzieńca.

Cashel oburącz trzymał przed sobą laskę. Zaczął powoli obracać nią zgodnie z ruchem słońca. Instynkt odradził mu atak na unoszącego się w powietrzu czarodzieja.

– *Prokunete nuktodroma biasandra!* – powiedział Ilmed.

Cashel szybciej zakręcił laską. Z okuc trysnęło błękitne światło o tym samym delikatnym odcieniu, jaki ma jajeczko rudzika. Przed Cashelem powstała migotliwa tarcza. Uśmiechnął się z satysfakcją rzemieślnika, który wie, że dobrze wykonuje swoją pracę. *Kiedy dobrze chwycisz ciężar i poczujesz, że odrywa się od ziemi, wtedy...*

– *Kalisandra katanikandra!* – powiedział Ilmed. Twarz miał cętkowaną z wysiłku i ślina pociekła mu z kącików ust.

– *...to już tylko kwestia...*

– *Laki!* – wrzasnął Ilmed. Z pięknie rżniętego szafiru wystrzelił błękitny płomień.

– *...czasu!*

Wypuszczony przez Ilmeda płomień uderzył w jasnoniebieską tarczę Cashela i odbił się, rozwalając schody. Cashel zachwiał się pod silnym ciosem. Zdrętwiały mu dłonie i przeguby, ale nie wypuścił laski. Ilmed z wrzaskiem runął na podłogę. Szatę miał w strzępach i płonęły jego włosy oraz broda.

Aria patrzyła na to ze zgrozą, przyciskając obie pięści do ust. Zahag zerknął przez sękaty paluchy, a potem z szerokim uśmiechem przeturlał się po podłodze.

– Hooo! – zawył triumfalnie. – Wielki wódz! Wódz zwycięża!

Gładkie różowe ściany nagle pokryły się drobną siateczką pęknięć. Sufit z trzaskiem przecięła długa szczelina, rozgałęziająca się na końcu jak wierzchołek dębu. Kawał muru wielkości pięści upadł na podłogę i rozsypał się w proch.

Ilmed zabalgotał i znieruchomiał. Oddech czarodzieja przestał gasić ruchliwe czerwone płomyki trawiące mu brodę. Oczy miał otwarte, a rzęsy opalone. Aria szlochała, kryjąc twarz w dłoniach.

Zahag zawył, nagle zaniepokojony. Podskoczył i chwycił krawędź dziury w suficie, pozostawiając po zniszczonych schodach. Kamień rozsypał się w proch w dłoni małpoluda, który z rozpaczliwym skowytym spadł na podłogę. Cała wieża waliła się i tylko drzwi z brązu pozostały nietknięte.

– Chodźcie! – powiedział Cashel. Wolną ręką złapał Arię i skoczył do drzwi. – Tędy, Zahagu!

Po drugiej stronie była rozległa równina. Wschodzące słońce miało ten mdły pomarańczowy kolor jak płomień trawiące brodę czarodzieja. Szlak biegł na wschód między głazami, kamieniami oraz rzadkimi kępami kolczastych roślin.

– Faj! – prychnął małpolud, który wyszedł w ślad za Cashelem. – Co to za miejsce?

– Nie mam pojęcia – odparł Cashel.

Powietrze było chłodne, chociaż sądząc po wyglądzie otoczenia, słońce bardzo szybko je rozgrzeje. Nigdzie nie było ani skrawka cienia. Cashel zerknął przez ramię. Z tej strony drzwi były prostokątem słabego światła, bardziej widmem drzwi niż prawdziwym przejściem. Puścił ramię dziewczyny, której wcale nie zamierzał przytrzymywać, jedynie wyciągnąć z walącego się budynku szybciej, niż mogłaby to zrobić o własnych siłach. Ze zduszonym okrzykiem wskoczyła w lśniące drzwi.

– Hoo! – krzyknął podniecony Zahag, bynajmniej nie przejęty ucieczką dziewczyny.

Cashel rzucił się za nią i wolną ręką złapał ją za nogę w kostce. W tym momencie nie była to z jego strony świadoma decyzja, lecz zwyczajny odruch. Sam przy tym aż po ramiona wsadził głowę w drzwi.

I natychmiast się cofnął, wyciągając dziewczynę, chociaż w tym momencie wcale o niej nie myślał. Zadrżał.

– Pasterzu, strzeż mnie – szepnął. – Pani, okryj mnie Twoim płaszczem.

Aria jęczała. Toczyła wokół błędnym wzrokiem.

– Co tam widziałeś? – zapytał Zahag, zaciekawiony i jak zwykle nie przejęty losem ludzi. –

Czyżby czarodziej jednak nie zginął?

– Tam niczego nie ma – odparł Cashel. – Widziałem tylko poruszającą się czerwień i nic więcej.

Nie ma tam nawet powietrza, którym można by oddychać.

Dziewczyna zaczęła płakać. Jej suknia, wcześniej podarta i opryskana krwią Łuskowatych, teraz była wysmarowana tłustą ziemią po upadku przy drzwiach.

Cashel wstał i wytarł do czysta laskę kawałkiem gazy, który oddarł z sukni Arii, kiedy ją chwycił. Robiąc to, bacznie rozglądał się wokół.

Szlak nie był bitym traktem, lecz tylko śladem pozostawionym w miękkiej ziemi i na startych kamieniach. Jednak Cashel nie widział żadnego innego.

– Chyba powinniśmy ruszać – rzekł. – Wkrótce zrobi się zbyt gorąco, by iść.

Na pół podniósł, a na pół postawił dziewczynę na nogi. Wciąż szlochała, ale przynajmniej nie próbowała się opierać. I nie zapytała go, dokąd zmierzają.

To bardzo dobrze, gdyż Cashel sam tego nie wiedział.

Garric wyszedł z ciemności, potknął się i runął na twarz na trawiaste zbocze pagórka. Nie stracił przytomności i nie wypuścił miecza, chociaż ręka zdrętwiała mu aż do łokcia.

Tenoctris leżała w pobliżu. Liane również, chociaż już zaczęła siadać. Dłonią masowała sobie szyję, a mimo to zdołała uśmiechnąć się do Garrica z zadowoleniem i ulgą.

Garric również się uśmiechnął, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że był to nikły uśmiech. Był wstrząśnięty. Na Panią, naprawdę był wstrząśnięty!

Znajdowali się na łące. Wierzchołki otaczających ich wzgórz były porośnięte gęstymi gajami, okolica bardziej pagórkowata niż teren wokół ich wioski, a drzewa również większe i obficie ulistnione. Drzewo było cennym surowcem w Barca's Hamlet. Prawo zbierania chrustu w należącym do wspólnoty lesie, znajdującym się na zachód od wioski, było cennym przywilejem, cenionym na równi z posiadaniem domu i ziemi uprawnej.

Tutaj rosły dęby i brzozy. Na brzegach polanek wyrastały niskie derenie, lecz i te były większe od rosnących na Haft, a ich liście miały nie gładkie, lecz ząbkowane brzegi. Mimo wszystko było to znajome drzewo, nawet jeśli nieznaney odmiany, podczas gdy roślinność na Brzegu była dla Garrica równie obca jak matowozielone niebo.

Równie obca jak sami Ersanie.

Ci krążyli wokół w niewielkich grupkach. Badając nową krainę, przypuszczał Garric. Graz i garstka lepiej uzbrojonych wojowników stali na skraju polanki, piętnaście metrów dalej. Wódz Ersan formalnie skinął głową, gdy napotkał spojrzenie Garrica.

Opodal, wśród drzew, wznosiła się marmurowa budowla. Smukłe kolumny podtrzymywały kopułę dachu. Garric dostrzegł tylko jej zarysy między pniami drzew. Kiedy jednak zauważył pierwszą budowlę, szybko zobaczył następne: rzeźbioną niszę, z której strumyk z bulgotem sphywał po zboczu, grotę z wejściem obmurowanym klinowatymi głazami, a na odległym wzgórzu kolumny, które początkowo wziął za pnie uschniętych sosen. Belkowanie runęło i leżało bezładną stertą u podstawy tych filarów.

Garric pochylił się i zerwał bławatek. Z kwiatu już zaczynały wysypywać się nasiona. Widocznie wcześniej nadchodziła tu zima. Garric zastanawiał się, dlaczego polana do tej pory nie porośla krzakami i drzewami. Nie zauważył odchodów owiec ani innych trawożernych zwierząt, jakie

mogłyby powstrzymać inwazję lasu. Ludzie, którzy sądzili, że w naturze nic się nie zmienia, nigdy nie żyli blisko z naturą.

Co oznaczało, że to miejsce, gdziekolwiek się znajdowało, nie było tworem natury.

Upewniwszy się, że na razie nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo, Garric przełożył miecz do lewej ręki. Rozluźnił mięśnie prawej, przywracając w niej czucie.

– Co się stało w Pierwszym Miejsu? – zapytała Tenoctris.

Doszła do siebie po ogromnym wysiłku, jakim było rzucanie zaklęcia. Usiadła, krzyżując nogi, jak to miała w zwyczaju. Ta pozycja wciąż wydawała się dziwna Garricowi, wychowanemu w Barca's Hamlet, gdzie ludzie przykucali na piętach.

Liane wracała z nad płynącego u podnóża pagórka strumyka, niosąc wodę we wklęsłym liściu łopianu. Garric zauważył na jej szyi sińce, pozostawione przez palce zjawy.

– W jamie była z nami kobieta – rzekł na tyle głośno, by usłyszały go towarzyszki. – Myślę...

Nie wiedział, jak to wyrazić. Nie był czarodziejem.

– Chyba nikt oprócz mnie jej nie widział – podjął. – Ona... hm... pomachała do mnie. A potem zaczęła dusić Liane. A ponieważ nie mogłem jej dotknąć, pomyślałem, że jeśli rozbiję Dłoń...

Liane przytrzymała wklęsły liść, żeby Tenoctris mogła się napić. Nie było w nim wiele wody, ale dość, by zwilżyć usta i gardło wyschnięte od powtarzania słów, które były narzędziami – i które, tak samo jak narzędzia, oddziaływały na tego, kto się nimi posługiwał.

– Ja sądziłam, że to powietrze – powiedziała Liane. – Pomyślałam, że wdycham truciznę, która mnie zabije.

Garric otrząsnął się na samo wspomnienie.

– Nie wiem, dlaczego rozbiłem Dłoń – powiedział. – Chyba dlatego, że nigdy nie widziałem czegoś takiego, jak... hm... duch czy ona. Rozbiłem ją, ponieważ nie mogłem powstrzymać tej kobiety.

Była to jego własna decyzja, nie króla Carusa. Wieśniak równie dobrze jak król wie, że w krytycznej sytuacji najgorsza jest bezczynność, lecz podjęte przez Garrica działania mogły...

– Mogłem uwięzić nas wszystkich na Brzegu, prawda? – rzekł z przygnębieniem. – Albo między nim a tym miejscem, w ciemności.

– Garricu – powiedziała Liane. Wstała i objęła go, pozostawiając liść łopianu obok Tenoctris. – To coś chciało mnie zabić. Umarłabym, gdybyś nie rozbił tego paskudztwa.

– Tak – potwierdziła Tenoctris, usiłując podnieść się z ziemi, w czym zaraz pomogli jej młodzi towarzysze. – Chociaż podejrzewam, że śmierć byłaby przyjemniejsza od tego, co ta istota szykowała dla Garrica.

– Wiesz, kim ona była? – spytał Garric.

Tenoctris przecząco pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Myślę jednak, że wiem, czym była.

Staruszka uśmiechnęła się krzywo, co oznaczało, że odzyskała już siły.

– Oczywiście, to tylko mit – powiedziała – a gdybym miała uwierzyć w półbogów w rodzaju Kusicielki przysłanej, by odwieść Pasterza od pełnienia obowiązków, to musiałabym uwierzyć także w Wielkich Bogów, prawda? Czy możecie mi powiedzieć, co wówczas stałoby się z moim racjonalizmem?

Garric obejrzał swój miecz. Niedaleko końca, w miejscu, gdzie zwięziona na czubku klinga odzyskiwała pełną szerokość, coś wygryzło kawałek ostrza. Stal nie była nadkruszona ani wyszczerbiona. Gładki brzeg ubytku wyglądał tak, jakby stal stopiła się w potwornym żarze. Tak jakby Garric przeciął nią piorun kulisty, a nie starą kość pokrytą macicą perłową.

– Ersanin, który stworzył Brzeg, był potężnym czarodziejem, z którym żaden człowiek nie mógł

się równać – powiedziała w zadumie Tenoctris. – A jednocześnie był to ktoś niewiarygodnie głupszy od najgłupszego z ludzi. Chociaż zarówno ja, jak i wy, widzieliśmy sporo ludzi mających więcej władzy niż rozumu.

Spoważniała i dokończyła z kamiennym wyrazem twarzy, nieprzeniknionym jak oblicze Sprawiedliwej:

– Tylko kompletny szaleniec może posłużyć się czymś tak złym jak ta Dłoń, żeby stworzyć bezpieczną przystań!

Garric pomyślał o Rodoardzie i jego siepaczach, o mieszkańcach osady, a szczególnie o Lunifrze. Z pewnością nikt z nich nie był święty, zanim przybył na Brzeg, lecz być może nie tylko dlatego tak szybko stoczyli się tam do poziomu zwierząt.

– Może niesprawiedliwie osądziłem Rodoarda – powiedział cicho. – I Lunifrę.

– Nie – zaprzeczyła Liane. – Na pewno nie. On był potworem, a ona była gorsza od niego. Nieważne, dlaczego tak się zmienili.

Graz ruszył w ich kierunku. Poruszał się sztywno, w sposób z daleka zdradzający w nim obcego.

– Tenoctris? – zapytał Garric. – Czy wiesz, gdzie jesteśmy?

– Tak – odpowiedziała stara czarodziejka. – W każdym razie wiem, co to za miejsce. Myślę, że można to nazwać czymś w rodzaju mostu. I myślę, że możemy stąd wrócić do naszego świata. Muszę tylko dokładnie rozważyć sytuację i wybrać odpowiednie miejsce, z którego uczynimy następny krok.

– A co się stanie z ludźmi na Brzegu? – zapytała cicho Liane. Była spięta, lecz po tonie jej głosu Garric nie potrafił powiedzieć, czy niepokoił ją los ludzi żyjących pod tym zielonkawym niebem, czy też obawiała się, że mogą dogonić tu zbiegów.

– Nic im nie będzie – odparła Tenoctris. – Chcę powiedzieć, że nie spotka ich żadna krzywda, jakiej sami sobie nie wyrządzą. To może okazać się wystarczająco nieprzyjemne.

– Sami wybrali – powiedział Garric. Przypomniawszy sobie Josfreda, marzącego o dniu, kiedy ludzie wymordują Ersan. – Oni wszyscy dokonali wyboru, nie tylko Rodoard.

– Owszem – przytaknęła Tenoctris. Wzruszyła ramionami. – Kiedy zniszczyłeś Dłoń, na zawsze zamknąłeś przejście – w obie strony. Brzeg nie będzie już porywał ludzi z naszego świata, a jego mieszkańcy nigdy go nie opuszczą. Nawet gdyby trafił do nich czarodziej znacznie potężniejszy ode mnie.

– Dziękuję Pani za tę łaskę – powiedziała Liane, gdy dochodził do nich Graz.

SZESNASTY DZIEŃ CZAPLI

Sharina ocknęła się z ciemności, ze zduszonym okrzykiem w gardle. Nie pamiętała, co jej się śniło, lecz w dłoni trzymała pewlański nóż i ścisnęła go tak mocno, że zdrętwiały jej palce.

Robiąc powolne, głębokie wdechy, zaczekała, aż serce przestanie jej walić jak młotem, a potem wygramoliła się z namiotu. Nadal trzymała długi nóż, chociaż już nie tak kurczowo.

– Panienko? – powiedział stojący przed namiotem marynarz.

– Wszystko w porządku! – odparła Sharina, ponownie rozżłoszczona tym, że Nonnus kazał pilnować jej we dnie i w nocy.

Spojrzała w niebo. Na wschodzie chmury wisiały nad horyzontem, lecz widoczna była tylko wielka błękitna gwiazda głowy Oracza. O tej porze roku oznaczało to, że do świtu pozostała jeszcze godzina, chociaż niebo pojaśniało już na tyle, by można dostrzec zarysy przedmiotów.

Po zachodzie słońca przybili do bezimiennej wysepki. Mały statek legł na brzegu, przechylony na bok, oparty na prawej burcie i płocie z wiosła, wepchniętych piórami w piasek. Większość załogi spała pod osłoną kadłuba, natomiast Sharina miała brezentowy namiot, rozpięty na szkielecie z gałęzi.

Pilnujący jej marynarz włożył dwa palce do ust i zagwizdał. Spojrzała na niego.

– Po co to zrobiłeś? – warknęła.

– Przepraszam, panienko – powiedział.

To nie była odpowiedź, lecz z dotychczasowych doświadczeń wiedziała, że innej się nie doczeka. Żwawym krokiem ruszyła wzdłuż brzegu w tym kierunku, w którym odszedł Nonnus, kiedy zjadł z nią kolację.

Morze Wewnętrzne było usiane maleńkimi wyspami. Tylko na nielicznych była słodka woda, lecz statki miały gdzie przybić na noc, a ich załogi mogły przespać się na lądzie. Wiele z tych wysp aż po linię wody pokrywała roślinność. Na tej bujnie rosły figowce, chociaż ich owoce zapewne były małe i kwaśne nawet późnym latem, w porze dojrzewania.

Sharina zauważyła migotliwe czerwone światło dopiero wtedy, kiedy zgasło. Przystanęła. Nie chciała zastanawiać się teraz nad znaczeniem tego faktu, jeszcze nie. Przez chwilę wierceła bosą stopą w piasek, żeby poczuć grunt pod nogami. A potem poszła dalej.

Kiedy wychodziła z namiotu, nad północnym krańcem wysepki unosiła się różowa poświata. Ten blask był zbyt słaby, żeby ją zaciekawić, lecz zarejestrowały go jej wyostrzone zmysły.

Kiedy strażnik gwizdnał, blask znikł. Dopiero ta zmiana obudziła jej podejrzenia. To światło było nikłą poświatą tego samego rodzaju, która towarzyszyła rzucaniu czarów. Sharina zacisnęła dłonie na rękojeści pewlańskiego noża – nie jak na broni, lecz jak na modlitewniku. Z mroku przed nią wyłoniła się jakaś postać.

– Sharino? – powiedział Nonnus. – Wcześniej wstałaś, dziecko.

– Ty również – powiedziała Sharina. W krzakach coś zaszeleściło. Na niektórych wysepkach żyły kozy lub świny, pozostawione tam niegdyś, aby dostarczały mięsa przyszłym podróżnikom. Na tej były tylko szczury. – Miałam sen i zbudziłam się.

Nonnus skinął głową.

– Sprawdzalem pogodę – rzekł. Mówił i zachowywał się jak człowiek, którego Sharina знаła od dziecka, pustelnik modlący się codziennie do Pani, aby wybaczyła mu grzechy przeszłości. – Dziś

znów będzie piękny dzień. Powinniśmy szybko płynąć.

– Tak jak wczoraj? – zapytała. – Połowa wiosłarzy będzie odpoczywać i co godzina zmieniać się przy wiosłach?

– Tak, to najlepszy sposób, by szybko przebyć sporą odległość – odparł Nonnus. – Dla załogi to ogromny wysiłek, lecz ci ludzie są do tego przyzwyczajeni.

– Dokąd płyniemy, Nonnusie? – spytała. – Proszę, chyba teraz możesz mi już powiedzieć?

Od opuszczenia Pandah płynęli na wschód, lecz Sharina nie miała pojęcia, jak daleko dotarli. Pomyślała, że nawet doświadczony marynarz nie byłby w stanie ocenić odległości, jaką przebył w tym tempie okręt.

– Jeszcze nie, dziecko – odparł Nonnus. Niebo pojaśniało na tyle, że mogła dostrzec znajome rysy jego kanciastej i brodatej twarzy. – Musisz mi zaufać.

Wyciągnął rękę, przezornie trzymając ją poza zasięgiem pewlańskiego noża, który Sharina trzymała w dłoniach.

– Chodź, zobaczymy, czy owsianka już jest gotowa.

– Nonnusie? – zapytała nagle. – Czy mam ci oddać twój nóż? Noszę go tylko dlatego, że... to pamiątka po tobie.

– Od kiedy przybyłem, by ci pomóc, nie dotykam żelaza – odparł gładko Nonnus. – Zatrzymaj go, jeśli chcesz, chociaż moi ludzie i ja dopilnujemy, żeby nic ci się nie stało.

Niebo już pojaśniało i Sharina dostrzegła jakiś przedmiot, wetknięty za sznur, którym Nonnus przepasał swoją tunikę.

– Masz inny nóż – zauważyła.

– Ten? – spytał Nonnus, ujmując go kciukiem i wskazującym palcem. W jego głosie pobrzmiwała nuta irytacji. – Tak, ale z kamienia. A raczej ze skamieniałej kości. A teraz wracajmy na statek.

– Tak, oczywiście – powiedziała Sharina, posłusznie odwracając się. Strażnik stał w pobliżu. Wepchnęła pewlański nóż do pochwy, lecz palcami prawej dłoni nadal dotykała jego rękojeści z czarnego rogu.

Kamienny nóż nie był bronią: jego rękojeść oraz ostrze były pokryte magicznymi symbolami Dawnego Królestwa. Sharina skręcała się ze złości. Czy ta istota, która udawała Nonnusa, sądziła, że ona nie rozpozna magicznego sztyletu czarodzieja?

Oczywiście, myślał, że tego nie zauważy. Przerwała mu, kiedy rzucał zaklęcie, zapewne usiłując przepowiedzieć pogodę. Jakby Nonnus – czy którykolwiek wieśniak z Barca's Hamlet – nie potrafił bez czarów powiedzieć, że ranek będzie piękny!

Sharina oddała się w ręce wroga podającego się za osobę, której wierzyła bez zastrzeżeń. A ta wysepka była za mała, żeby się na niej ukryć, nawet gdyby zdołała uciec otaczającym ją ludziom.

Ilna pracowała przy otwartych drzwiach, więc słyszała, jak Maidus biegnie korytarzem od schodów. Uwiała ostatnią nitkę, zawiązała węzełek i wyszła zza krosna, stając przed wpadającym do komnaty chłopcem.

– Panienko Ilno! – powiedział Maidus. – Idzie do ciebie jakiś mężczyzna. Jest ze straży miejskiej, ale na pewno nie z tej dzielnicy. Myślę, że przychodzi z biura kanclerza!

Ilna spojrzała na wzór, który właśnie tkła, lecz nie dostrzegła niczego niepokojącego. Zmarszczyła brwi. Gdyby kanclerz przysłał kogoś, żeby kupić tkaninę bezpośrednio od Ilny, a nie za pośrednictwem sklepu Beltara, nie wybrałby posłańca, który tak przestraszył Maidusa...

– Ach – uśmiechnęła się nagle. – Krępy mężczyzna około czterdziestki? Z poważną miną i pałką,

którą umie się posługiwać?

Maidus energicznie pokiwał głową.

– To on, panienko – przytaknął. – Straszny człowiek!

– Może nie straszny, ale na pewno twardy – powiedziała Ilna. – Nazywa się Voder or-Tettigan.

No cóż, wiedziałam, że tu przyjdzie, gdy tylko zdecyduje, co ma ze mną zrobić. Teraz zmykaj, Maidusie. Dzisiaj nie będziesz mi już potrzebny.

Uśmiechnęła się blado.

– Może nie tylko dzisiaj.

– Co on chce zrobić, panienko? – spytał chłopiec.

– Odejdź, Maidusie – odparła z lodowatym spokojem. – Nie będę ci powtarzać.

Chłopiec czmychnął z pokoju, zmrożony jej zimnym spojrzeniem. Ilna nie złościła się, lecz gniew zniósłby łatwiej niż to skupione spojrzenie. Taki sam wyraz twarzy miała kucharka, kiedy starała się jak najlepiej pokroić na obiad kurę.

Voder nadszedł korytarzem w tej samej chwili, gdy Maidus zniknął na schodach na drugim końcu. Oficer mocno stukał obcasami w uginające się deski podłogi, zapowiadając swoje przybycie. Wzdłuż korytarza pospiesznie zamykały się drzwi i tylko te do mieszkania Ilny pozostały otwarte.

Voder wszedł do środka i zamknął je za sobą.

– Dzień dobry, panienko – rzekł, obrzucając pomieszczenie pozornie roztargnionym spojrzeniem. Zapewne potrafiłby powiedzieć, ile nitek rozpięto na podwójnym krośnie, które stało w rogu. – Kiedy odwiedziłem cię ostatnio, nie musiałem chodzić po schodach.

Posłał jej leniwy uśmiech. Nie zauważyła żadnych nowych szram, ale stracił gdzieś ten nadmiar sadła, jaki miał, kiedy odwiedził ją w rezydencji, którą wynajmowała przy placu Pałacowym. Zapewne schudł, kiedy Ilna kazała wpakować go do więzienia, aby nie pokrzyżował jej planów.

– Kiedy widziałeś mnie ostatnio – powiedziała – nie miałam tyle długów do spłacenia.

Sięgnęła za warsztat i wyciągnęła taboret, na którym pracowała.

– Obawiam się, że nie mogę zaproponować ci krzesła – powiedziała – ale skorzystaj z tego. Nie podejmuję tu gości.

Voder roześmiał się.

– Dosyć się nasiedzę, od kiedy awansowali mnie i posadzili za biurkiem. – Pomacał się po brzuchu. – Kiedyś nie miałem tyle sadła. Oczywiście, nie jestem już taki młody.

Ilna wyprostowała się i założyła ręce do tyłu.

– Panie Voder – powiedziała. – Skrzywdziłam cię. Przepraszam za to. Sam zdecydujesz, jakiej zażądać za to rekompensaty.

Voder pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać.

– Groziłem ci – powiedział – a potem odwróciłem się do ciebie plecami. Za długo patrolowałem ulice, by nie wiedzieć, że tak się nie robi.

Przeszedł obok Ilny do okna. Teraz poruszał się bezszelestnie, chociaż jego buciorzy miały grube podeszwy, nabijane ćwiekami.. Kopnięty takim butem nieszczęśnik na pewno będzie o tym pamiętał następnego ranka – o ile w ogóle będzie coś pamiętał.

– Tę makatkę, którą nam przysłałaś, powiesiliśmy na ścianie naprzeciw pieca – rzekł Voder, nie odwracając się. – Wiesz, większość czasu spędzamy w kuchni. Oczywiście, kiedy jestem w domu. Żona urządziła pokój stołowy dla gości, ale niech Pani ma w opiece mnie i dzieciaki, gdybyśmy narobili tam bałaganu.

– O ile wiem, jest zapotrzebowanie na makatki tej wielkości – powiedziała Ilna. – W każdym razie Beltar wciąż podnosi ceny na te, które mu dostarczam.

– Ja również mógłbym sporo zażądać za jedno z moich dzieci – rzekł Voder, odwracając się z gracją człowieka w pełni kontrolującego swoje ciało. – Mówię o średniej córce. Śliczny dzieciak. Nikt z moich krewnych ani z rodziny mojej żony nie miał takich blond włosów, ale sądzę, że w tej sprawie nie powinienem być zanadto dociekliwy, co?

Nie tylko żona Vodera i jego dzieci przeżyły ciężkie chwile z powodu tego, co robiła Ilna. Teraz z przygnębieniem patrzyła na tego człowieka i myślała o wielu innych, którym przysporzyła cierpień, zaledwie zdając sobie sprawę z ich istnienia.

Voder uśmiechnął się. Był miłym człowiekiem, który uśmiechałby się, nawet wyjmując pałkę zza szerokiego skórzanego pasa.

– Żona ma kuzyna tutaj, w Erdinie, i ja również – rzekł, odpowiadając na nie zadane pytanie. – Radziła sobie, kiedy mnie nie było.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Zawsze mówiła mi, że źle skończę, jeśli nie nauczę się całować tyłków – dodał. – Myślę, że była zdumiona, kiedy wypuścili mnie z więzienia i awansowali.

Voder ponownie spojrział w okno. Odchrząknął, po czym mówił dalej:

– Nie przyszedłbym ci za to dziękować, ale skoro już tu jestem...

– Nie masz żadnego powodu, aby mi dziękować – odparła szorstko Ilna. – Za nic.

– Mimo to dziękuję – rzekł Voder, nie odwracając się. – Przyszedłem powiedzieć, że rozpytują o ciebie jacyś ludzie. Prawdopodobnie uliczni zaklinacze... ale może nie tylko.

Odwrócił się i teraz uśmiechał się z przymusem. Nie chciał głośno powiedzieć „czarodzieje”, broniąc się przed tą myślą. Ilna zmarszczyła brwi.

– Nie znam żadnych czarodziejów – powiedziała. Potem na jej ustach pojawił się zimny uśmiech i Voder doskonale zrozumiał jego znaczenie. – A przynajmniej żadnych żywych czarodziejów. Jak wyglądają?

Policjant wzruszył ramionami.

– Starszy, Cerix, nie ma nóg – powiedział. – Drugi to jeszcze chłopiec. Nazywa się Halphemosem, lecz kiedy przed kilkoma laty przybył tutaj z Cerixem, był tylko Alosem. A Cerix miał wtedy nogi. Przez rok nie było ich w Erdinie, a teraz wrócili i rozpytują o ciebie.

Teraz Ilna wzruszyła ramionami.

– Nie mam zielonego pojęcia, czego oni chcą – rzekła. – Jeśli chcesz, możesz ich do mnie przysłać.

– Jeżeli podejrzewasz, że chcą sprawiać jakieś kłopoty – powiedział Voder, obracając się bokiem, tak że nadal nie mówił bezpośrednio do niej – mogą bardzo szybko opuścić miasto. To, co robiłaś przez ostatnie tygodnie, pomogło bardzo wielu ludziom.

– Nie boję się ich, Voderze – powiedziała Ilna. Zaśmiała się chrapliwie. – Obawiam się tylko tego, co sama mogę zrobić.

I ruchem głowy wskazując pokój, który pełnił funkcję stołowego, dodała:

– Mogę cię czymś poczęstować? Mam chleb, ser i bardzo kiepskie wino. A ponadto wodę ze zbiornika, którą chłopiec z osiołkiem przywozi wieczorami. To mój jedyny luksus. Jeszcze nie nauczyłam się pić wody z kanału... – I dodała, poważniejąc: – Chociaż robi to większość mieszkańców tej dzielnicy.

Voder skinął głową.

– Ja również pijałem wodę z kanału – rzekł. – Skłamałbym, gdybym powiedział, że od kiedy się wzbogaciłem, brakuje mi jej słonego smaku. – Szarymi oczami spojrział prosto w jej piwne oczy. – Wciąż zastanawiam się, co robiłaś, panienko. Mówię o tym, co było przedtem. Nawet wtedy

wiedziałem, że nie chodziło ci o pieniądze.

Ilna prychnęła.

– Powiedzmy, że robiłam z siebie idiotkę z powodu mężczyzny – odparła. – Obawiam się, że to historia stara jak świat. I niezbyt interesująca.

Voder skinął głową.

– Daj mi znać, gdybyś zmieniła zdanie co do Cerixa i tego drugiego – powiedział, tak zręcznie powracając do poprzedniego tematu rozmowy, jakby wcale z niego nie zbaczał. – Możesz znaleźć mnie w głównej kwaterze. Albo w domu, jeśli chcesz. Mieszkamy na pierwszym piętrze przy ulicy Pospiesznej. Myślę, że moja żona z przyjemnością by cię poznała.

Znowu spojrział w kąt pokoju i odchrząknął.

– A skoro mowa o pracy – dodał – w Crescent jest taki kapitan straży, niejaki Bonbo or-Wexes. Powiedział kanclerzowi, że kierujesz bandą rabusiów, którzy ciężko pobili kilku bogatych obywateli podróżujących w lektykach przez tę dzielnicę. Kanclerz puścił to mimo uszu, ale Bonbo może nadal próbować, aż w końcu mu się uda.

Ilna skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Ten wasz Bonbo utrzymywał kochankę z zysków ciągniętych z dziecięcego burdelu, który mieścił się w sąsiednim budynku. Ten lokal zakończył już działalność. Zajął się tym grupka miejscowych obywateli.

– Twoja robota? – spytał Voder.

– Można tak powiedzieć – zgodziła się. – W każdym razie chciałabym tak myśleć. Większości sąsiadów dałam materiał na franki. Teraz żyją zgodniej i chcą przyczynić się do tego, żeby wszystkim mieszkało się tu lepiej. – Ona także spojrzała za okno. – Kiedy zamykano burdel, ucierpiało paru jego klientów – dodała. – Chociaż nie tak bardzo, jak moim zdaniem powinni ucierpieć.

Spojrziała na Vodera jak sokół na rysia.

– Jeśli ten Bonbo zamierza sprawiać kłopoty – powiedziała – to chyba powinnam się nim zająć.

– Nie – wykrztusił Voder. – Nie możesz tego robić!

Podkreślił te słowa, uderzając dłonią o parapet. Palce miał twardsze niż spróchniałe drewno okna.

– Posłuchaj, kobieto – rzekł. – Nikt się nie przejmie, jeśli tłum poturbuje właściciela burdelu w Crescent. Być może ci bogaci klienci, którzy przy tym ucierpią, przypadkiem też nie będą mieli możnych przyjaciół. Gdybyś jednak posłała tłum przeciwko kapitanowi straży, uznano by to za rewolucję. I gdyby straż miejska nie zdołała cię pojmać, earl przysłałby tu wojsko.

– No cóż, ktoś musi zająć się tym Bonbo – powiedziała Ilna. – Czyżbyś zgłaszał się na ochotnika?

Voder zapomniał o gniewie i parsknął śmiechem.

– Tak, chyba tak – przyznał. – W końcu Bonbo to rzeczywiście problem naszej głównej kwatery.

Wyjął zza pasa hikorową pałkę i na próbę zakręcił nią między kciukiem a dwoma palcami prawej ręki.

– No, nie upuściłem jej – rzekł w zadumie. – Siostra wie, że minęło trochę czasu, ale chyba nie tyle, żebym nie potrafił pokazać Bonbo, co mu wolno, a co nie.

Ilna odpowiedziała lekkim skinieniem głowy.

– Chwileczkę – powiedziała, podchodząc do wiklinowego kosza w pobliżu drzwi. Odłożyła pokrywę, przez moment przypatrywała się zawartości, po czym oburącz wyjęła sporą paczkę owiniętą w czarne sukno.

– Proszę – powiedziała, wręczając ją Voderowi. – Mistrz Beltar nie odebrał tego materiału,

który tkalałam przez dziesięć dni. Jeśli dasz go kanclerzowi, może bez trudu go przekonasz, że po prostu musiałeś w taki sposób załatwić sprawę Bonbo.

Voder przyjął prezent i uśmiechnął się równie drapieżnym uśmiechem.

– Prawdopodobnie – przyznał. Z powrotem wsunął pałkę za pas. – Zatem wracam do pracy – rzekł. – Wiesz co, muszę przyznać, że już nie mogę się tego doczekać.

Voder otworzył drzwi, przystanął w progu i spojrzał przez ramię.

– Panienko? – zapytał. – Czy ten mężczyzna, o którym wspomniałaś, wie, co stracił?

Ilna uśmiechnęła się.

– To niezwykle człowiek – odparła. – Pewnego dnia zostanie ważną osobistością. Myślę, że lepiej będzie mu beze mnie.

– Niewiele widziałem świata – powiedział Voder. – Nigdy w życiu nie wyjeżdżałem z Erdinu. Poznałem jednak wielu ludzi i powiem ci coś, panienko. Mylisz się. Na pewno nie będzie mu lepiej.

Voder opuścił mieszkanie Ilny, pozostawiając otwarte drzwi. Tym razem nie było słyhać jego kroków w korytarzu, tylko melodię piosenki o mleczarce i jej kocie, którą pogwizdywał.

– Ta woda ma okropny smak – poskarżyła się księżniczka Aria i skrzywiła się, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

– No, a czego oczekiwałaś? – zapytał Zahag. – Myślisz, że jesteśmy znowu w pałacu Sukcesorki, tak? Uważam, że i tak dobrze się spisałem, znajdując tu coś do picia!

– Wiem, że nie jestem w pałacu! – powiedziała Aria. – I to przez was! Och, Panienko, jak możecie być dla mnie tak okrutni!

I rzeczywiście zaczęła płakać. Znowu. Cashel nie miał pojęcia, w jaki sposób uzupełniała płyn w swoich kanalikach łzowych, ale najwidoczniej miała na to jakiś sposób.

– Nie dokuczaj jej, Zahagu – mruknął. – Ona nie jest do tego przyzwyczajona.

– Och, a ja jestem? – warknął małpolud. – No to następnym razem sami możecie sobie szukać wody!

Skoczył za skałę, pod którą znalazł jeziorko, uformowane przez ściekającą z wapiennych głazów wodę. Cashel wiedział, że małpolud nie odejdzie daleko i trudno go było winić za to, że Aria jest tak trudną do zniesienia towarzyszką. Westchnął.

Z daleka okolica wydawała się obfitować w zieleni. Sprawiała takie wrażenie, ponieważ była całkiem płaska. Listeczki niskich krzaków z daleka zmieniały się w gęsty dywan zieleni, który okazywał się bardzo rzadki, kiedy oglądało się je z bliska.

Była tu też trawa: zeschnięte i brązowe źdźbła tak gęste, że Cashel podejrzewał, że okresowo muszą tu padać deszcze. Usiłował wyobrazić sobie tę wyżynę po burzy, kiedy wszystko nagle się zieleni i rozkwita. Z suchych źdźbeł uplótł dla siebie i towarzyszy trzy chroniące od słońca parasole, które nieśli na tarninowych kijach, z których odłamał kolce.

Zachichotał.

– I z czego tu się śmiać! – prychnęła Aria, obrzucając go gniewnym spojrzeniem. Myślała, że śmiał się z niej.

– Jeśli chciałem zielonej trawy i słodkiej wody – rzekł spokojnie Cashel – powinienem zostać w Barca's Hamlet. I czasem tak właśnie myślę: powinienem być zostać w domu, w Barca's Hamlet.

Aria popatrzyła na niego tak, jakby oszalał. Zawsze to jakaś odmiana po nieustannym płaczu. Pochyliła głowę nad sadzawką i znów zaczęła siorbać wodę, której nie mieli czym nabrać.

– Moglibyśmy ją tu zostawić – rzekł Zahag. Obszedł skałę i przysiadł obok Cashela. – Moglibyśmy znaleźć inną samicę. Ta jest za słaba, żeby był z niej jakiś pożytek. Nawet nie umie

zbierać jagód!

– Powiedziałem jej matce, że ją przyprowadzę – powiedział Cashel. Już nie próbował tłumaczyć małpoludowi, że pomaga się ludziom niezależnie od tego, czy się ich lubi czy nie. Aria nie należała do stada Zahaga – ani Cashela, co wyraźnie dała do zrozumienia – tak więc Zahag uważał, że nie ma wobec niej żadnych zobowiązań.

Rosnące tu co krok lub dwa krzaki po bliższych oględzinach okazały się należeć do tuzina lub więcej różnych gatunków. Wszystkie były płozące, cierniste i drobnolistne, lecz Cashel ze zdumieniem odkrył, że wiele z nich rodziło ciemne jagody wielkości paznokcia kobiecego małego palca. Te owoce nie były zbyt mięsiste, lecz ich nasiona były kruche i również jadalne.

Jagody utrzymywały ich przy życiu w czasie tej trzydniowej wędrówki przez pustkowie. Można by sądzić, że zrywanie jagód z krzaków nie będzie problemem dla Arii z dłońmi i palcami smuklejszymi niż jej dwóch towarzyszy. W pewnym sensie tak też było, ponieważ pokłula się, kiedy pierwszy raz spróbowała to zrobić, i zdecydowanie odmówiła następnych prób. Cashel z Zahagiem musieli zbierać pożywienie nie tylko dla siebie, ale i dla niej.

Aria oderwała usta od słonawej wody i wyprostowała się. Gniewnie spojrzała na Cashela i małpoluda.

– Wcale nie obiecałeś, że ją przyprowadzisz z powrotem – rzekł w zadumie Zahag. – Powiedziałeś, że uwolnisz ją z rąk Ilmeda. I zrobiłeś to, prawda?

– Gdybyście tylko zostawili mnie w spokoju... – powiedziała Aria. Zaczęła to zdanie z gniewem, który jednak zaraz przeszedł w rozpacz. – Poślubiłabym najpotężniejszego czarodzieja, jaki kiedykolwiek kroczył po ziemi. Ilmed uczyniłby mnie królową całego świata! A tymczasem...

Odwróciła się i rozejrzała wokół. W oczach znów stanęły jej łzy i osunęła się na ziemię, szlochając.

– Jeśli rzucasz wyzwanie wodzowi stada – odrzekł Zahag z uciechą i irytacją – to musisz być od niego silniejszy albo szybciej biegać. Inaczej skreśli ci kark. Myślę, że Ilmed przekonał się o tym, zanim umarł.

Cashel odchrząknął.

– Czas ruszać – rzekł. Wolałby podróżować nocą, lecz szlak był tak słabo widoczny, że zgubiliby go w ciemności. Tutaj nie świecił księżyc.

Cashel pochylił się i dotknął ramienia dziewczyny, popierając tym gestem swoje słowa. Jej podarta i wystrzępiona suknia wyglądała jak przekwitający kwiat mniszka. Stopy też miała za miękkie do takiej wędrówki, chociaż sporządził jej sandały z szarozielonej kory krzaków. Wprawdzie nie potrafił robić tego tak zręcznie jak jego siostra, ale jakoś sobie radził.

Aria nadal szlochała. Skuliła się i odsunęła od Cashela.

– A co do Ilmeda... – zaczął Cashel z gniewem, którego nie całkiem żałował. Czy ta dziewczyna nie mogła choć trochę się postarać? – On myślał, że ponieważ ma władzę, to wszystko mu wolno. W taki sposób nie godzi się żyć mężczyźnie ani kobiecie. – Ponownie odkaszlnął. – Teraz wstań, panienko – powiedział. – Nie zostawię cię tutaj, ale jeśli nie będziesz chciała iść, to może zacznę cię ciągnąć!

SIEDEMNASTY DZIEŃ CZAPLI

– Srebro skryte w chciwej glebie – czytał Garric z tomiku Celondre’a – nie ma blasku, mój zacny przyjacielu Kristasie. Lśni tylko mądrze używany metal.

Siedział oparty plecami o jedną z czterech kolumn przed frontonem małej świątyni. W środku Tenoctris oglądała rzeźby na ścianach pod sklepieniem. Jeśli był tam jakiś posąg, to znikł w ciągu długich wieków, jakie minęły od czasu zbudowania tej świątyni.

Liane siedziała ze skrzyżowanymi nogami pod sąsiednią kolumną, zwrócona twarzą do Garrica. Słuchała z łagodnym uśmiechem.

Garric uwierzył Tenoctris, kiedy stwierdziła, że choć ta kraina nie jest częścią świata, z którego zostali wyrzuceni na Brzeg, to jednak rządzi się takimi samymi prawami. Słońce wschodziło tu i zachodziło, strumienie spływały ze wzgórz, wiał wietrzyk i znikło napięcie, które odczuwał pod tamtym ponurym zielonkawym niebem. Z przyjemnością powitał kilka spokojnych dni i był rad, że jest przy nim ktoś, kto podzielał jego upodobanie do poezji Celondre’a.

Cieszył się z tego, że poznał Liane. Przez większość życia Garric nigdy nawet nie marzył o tym, że spotka jakąś szlachciankę. Teraz czytał jej wiersze, a ona uśmiechała się do niego.

– Człowiek, który powściągnie swoje apetyty – przeczytał Garric – posiadzie królestwo większe, niż gdyby połączył Haft z Bight, a w dodatku władał Dalopo.

W myślach Garrica król Carus ryknął śmiechem. Garric odłożył tomik i uśmiechnął się do towarzyszki.

– Oczywiście – rzekł – łatwo tak mówić, kiedy jest się poetą z wiejskim domem na Ornifal i nikt nie każe ci dowodzić triemą, chociaż fatalnie się spisałeś, kiedy próbowałeś tego po raz pierwszy.

– A jeśli choć połowa opowieści o prywatnym życiu Celondre’a jest prawdą – przytaknęła Liane – to on raczej nie był znany z panowania nad swoimi apetytami. Nagie kobiety czekały w każdej komnacie jego domu na wypadek, gdyby nagle przyszła mu ochota! – Zachichotała. – Oczywiście, nie powinnyśmy czytać *Żywotów poetów* – dodała. – Pani Gudea twierdziła, że liryki należy cenić wyłącznie za ich treść. Nadawanie im podtekstów wypacza zamiary poety.

– Czy gromadzenie wszelkich dostępnych informacji dla zrozumienia czegoś może być złe? – rzekł ze zdziwieniem Garric. Uśmiechnął się, myśląc o tym, jak wiele przychodzących mu do głowy myśli stymulowała obecność królewskiego przodka. – Oczywiście, trudniej ocenić, kiedy wie się dostatecznie dużo. Najłatwiejszych wyborów dokonuje się wtedy, kiedy nie wie się dosyć, by stwierdzić, jak skomplikowana jest sytuacja.

Liane skinęła głową, lecz przeniosła spojrzenie na bok, spoglądając za kolumnę, o którą opierał się Garric. Graz przyszedł wraz z dwiema samicami, które Tenoctris po niego posłała.

– Tenoctris? – zawołała Liane, zwinnie podnosząc się z ziemi. – Jest tu pan Graz.

Wokół wznosiły się liczne budowle. Żadna z nich nie była szczególnie okazała – ta świątynia, będąca raczej prywatną kapliczką niż własnością całej wioski, była typowym tego przykładem. A wszystkie były omszałe i bardzo stare. Sztuka Tenoctris sprowadziła ich w to miejsce, lecz to Liane je rozpoznała.

Tenoctris z uśmiechem wyszła z budynku w tej samej chwili, gdy wódz Ersan wyszedł na kamienną platformę, na której stała świątynia. Budowniczo wie wzorowali się na znacznie większej budowli i wzniesli ją na cokole złożonym z trzech kolejnych poziomów, a każdy z nich był tak

wysoki, że do bramy świątyni wchodziło się po wykutych w skale schodach.

Ta budowla wydawała się miniaturą jakiejś większej i nawet Garric, który się na tym nie znał, dostrzegł jej kiepskie proporcje. Mimochodem zastanawiał się, czy prawdziwa estetyka ma coś wspólnego z akademickimi tezami, jakie przed chwilą zacytowała Liane.

Schował tomik Celondre'a do sakwy przy pasie i też wstał. Uśmiechnął się tak, jak na jego miejscu zrobiłby to król Carus.

Ludzie skłonili się Ersanom. Ci nie mieli takiego zwyczaju, choć odpowiedzieli na ten gest, przyplaszczając uszy do okrągłych czaszek.

– Było połączenie między waszym Pierwszym Miejscem a tym zboczem wzgórza w miejscu, gdzie wkroczyliśmy na ten świat – oznajmiła Tenoctris, w typowy dla siebie sposób przechodząc od razu do rzeczy. – Ta świątynia ma połączenie ze znaną częścią świata, który opuściłam z moimi towarzyszami. A przynajmniej znaną pannie Liane.

Ruchem głowy wskazała dziewczynę. Garric podał rękę Tenoctris i sprowadził ją na dół, przy czym sam również zszedł ze schodów. Kiedy ktoś uzbrojony stoi wyżej niż jego rozmówca, rzuca mu wyzwanie, a Ersanie doskonale potrafili interpretować mowę ciała. Garric nie był pewien, czy wiedziałby o tym bez pomocy króla Carusa – ale to rozumiał.

– Ruiny pałacu tyranów Valles znajdują się poza murami miasta – powiedziała Liane do przywódcy Ersan. – Moja nauczycielka, panna Gudea, zabrała nas tam na jednodniową wycieczkę. Powiedziała, że znajomość historii jest równie ważna jak znajomość literatury. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście, nie tak ważna jak dobre maniery, lecz bardzo istotna. Na terenie dawnego pałacu znajdowała się świątynia bardzo podobna do tej, chociaż cała porośnięta bluszczem.

Tenoctris dotknęła kolumny z piaskowca.

– To przejście pozwoli nam powrócić do mojego świata... do naszego świata – powiedziała. Skinęła na Garrica i Liane, lecz nie odrywała oczu od Graza. – Są tu też inne przejścia. Nie wiem, dokąd prowadzą. Niektóre z nich zapewne wiodą do miejsc, jakich nikt z nas nie chciałby zobaczyć.

I z uśmiechem tak zimnym jak promień słońca odbity od ostrza kamiennego noża czarodziejka dodała:

– Tam również nie chcielibyśmy mieszkać, a w wielu wypadkach nie moglibyśmy przetrwać. Oto jedyne przejście, które uważam za bezpieczne.

– Valles jest stolicą naszego świata – powiedział Garric. Te słowa niezbyt dokładnie oddawały sytuację, gdyż Wyspy nie miały władcy od czasu, gdy Carus zginął przed tysiącem lat w wyniku wywołanego przez czarodzieja kataklizmu, jednakże w obecnej sytuacji takie uproszczenie było zupełnie wystarczające. – Nie powiem, że będziecie tam mile widziani, lecz nie widzę żadnego powodu, żeby tak nie było.

Jakby ludzie potrzebowali kiedyś powodów, żeby nienawidzić lub zabijać!

– W każdym razie – dokończył, zdając sobie sprawę, że jego słowa nie brzmią przekonująco – nie znam lepszego miejsca, dokąd moglibyście się udać. I wszyscy troje zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby wam pomóc.

– Zajrzę do środka – rzekł Graz. – W waszym świecie jest więcej takich miejsc?

– Mnóstwo – powiedziała Liane. – Mieszkamy w takich budynkach jak ten, a nawet znacznie większych.

Liane również zaledwie poruszyła kwestię zbyt skomplikowaną, by można ją ująć w słowa. Ersanie nie mieli pojęcia, co kryje się za słowami opisującymi ludzkie działania lub budowle. Czy pogoda na ich rodzinnym świecie była równie niezmienna jak na Brzegu albo czy zapomnieli, jak stawia się budowle, gdy skazali siebie na pobyt w miejscu, gdzie nie było takiej potrzeby?

Graz i Tenoctris weszli do małej świątyni. Erszańskie samice w milczeniu podeszły do drzewa i zaczęły łuskać orzeszki.

– Panna Gudea kazała nam pamiętać o tym, że Valles był wielkim miastem w czasach Dawnego Królestwa – powiedziała ściszym głosem Liane do Garrica. Nawa nie była dość szeroka, by mogli iść nią we czwórkę, a poza tym oboje nie widzieli powodu, by dołączać do czarodziejki i wodza. – Szczególnie uparcie wbijała to do mojej głowy, ponieważ pochodziłam z Sandrakkanu.

Spojrzała na Garrica i dodała z przymrużeniem oka:

– A w przeciwieństwie do Carcosy na Haft, Valles odbudowano po upadku Dawnego Królestwa. Chociaż panna Gudea nie miała żadnej podopiecznej z tak zapadłego kąta jak Haft.

– Moźni Ornifal... – zaczął Garric. Głos należał do niego, lecz nie wspomnienia, które ujął w słowa. – Ziemianie i bogaci kupcy nie próbowali obalić monarchii, tak jak robiła to arystokracja na wielu innych wyspach. Jednak wcale nie usiłowali jej też wskrzesić.

Liane spojrzała na niego z niepokojem. Nie cofnęła się, lecz wiedział, że zaskoczył ją zimny gniew, jaki słyszała w jego głosie. Nic nie mógł na to poradzić. Usiłował, lecz w wyniku tego jedynie drżał pod wpływem emocji, którym nie mógł dać pożądanego ujścia.

– Moźni chcieli tylko mieć spokój – rzekł. – Płacili każdemu bosonogiemu uzurpatorowi, który zażądał ich poparcia, gdyż twierdzili, że tak jest taniej, niż gdyby chcieli się angażować. Stali z boku i patrzyli, jak Wyspy ogarnia chaos!

Graz wyszedł ze świątyni. Rozwinął uszy, uważnie słuchając Garrica, tak że wyglądał tak, jakby na wąskich ramionach miał trzy głowy. Tenoctris wyszła za Ersaninem. Garric rozłożył ręce i zdobył się na uśmiech. Gniew opuścił go, ale i osłabił.

– Mówiłem o dawnych dziejach – wyjaśnił młodzieniec. – Teraz nie ma się już czym denerwować.

Graz załopotał uszami, które skurczyły się do normalnych rozmiarów.

– Mój lud zostanie tutaj – rzekł. – W przeszłości dzieliliśmy już świat z ludźmi. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli nie powtórzymy tego błędu.

Tenoctris przygryzła dolną wargę.

– Panie Graz – powiedziała. – Mogę zrozumieć waszą decyzję, ale uważam, że popełniacie błąd.

Wskazała ręką na rozpościerającą się wokół świątyni łąkę.

– Wydaje się, że to cudowny zakątek, i rzeczywiście taki jest... ale nie tylko. W miejscu, gdzie splatają się takie siły, nie powinny mieszkać żywe istoty.

– Mimo wszystko – odparł Graz – pozostaniemy tutaj. Życzę wam bezpiecznej podróży, ludzie. Jednak nie wracajcie.

Wódz Ersan odszedł, niezgrabnie krocząc na sztywnych nogach. Garric wiedział, że jego lud nie miałby łatwego życia na Ornifal i w każdym innym miejscu świata ludzi, lecz wiedział również, że kiedy Tenoctris daje jakąś radę, najmądrzej jej usłuchać. Jednakże Ersanie, tak samo jak ludzie, mieli prawo samodzielnie podejmować decyzje, które zaważą na ich losie.

– Jeśli jesteście gotowi... – zaczęła Tenoctris. Ułamała sosnową gałązkę i odarła ją z igieł. – Myślę, że powinniśmy natychmiast opuścić to miejsce. Graz najwyraźniej wyciągnął wnioski z tego, co wydarzyło się na Brzegu, ale obawiam się, że nie są one prawidłowe.

Garric i Liane wymienili spojrzenia.

– Oczywiście – powiedziała dziewczyna. – Jesteśmy gotowi.

– Wiecie co... – rzekł Garric, nawiązując do tego, o czym mówił, gdy nadeszli Graz i Tenoctris. – Zwyczajni mieszkańcy Ornifal chcieli, żeby Wyspy pozostały zjednoczone. Chcieli spać spokojnie, a idąc orać pole, nie brać ze sobą włóczni w obawie przed nagłym napadem piratów. Sądzę, że lud

pomógłby utrzymać zjednoczone państwo, gdyby tylko pozwolili na to przywódcy.

Obie kobiety spoglądały na niego z niepokojem. Lewą dłoń zacisnął na tunice i ukrytym pod nią medalionie. Roześmiał się.

– No cóż, może tym razem przywódcy okażą się mądrzejsi – zakończył drżącym z emocji głosem.

– *Na pewno, chłopcze!* – zagrzemiał głos w jego głowie. – *Nawet gdybyśmy musieli wbić im rozum do głów!*

Fałszywy Nonnus przykucnął na rufie, rozmawiając ze sternikiem. Obaj spoglądali na brzeg, odległy czterdziestu kroków od prawej burty statku. Wioślarze odpoczywali, sadowiąc się wygodniej i pijąc wodę z wiadra, które niósł idący między ławeczkami bosman.

Jeden z nich wstał i obsikał sobie lewą dłoń. Pewien handlarz byłem powiedział kiedyś Sharinie, że uryna przyspiesza gojenie popękanej skóry. Najwyraźniej żeglarze dobrze o tym wiedzieli. Byli ponurymi ludźmi, niechętnie udzielali jakichkolwiek informacji i zdawkowo odpowiadali na zadawane pytania, lecz znali się na swojej robocie.

W odróżnieniu od innych, przeważnie zbudowanych z wapieni lub koralowych raf, ta wyspa była niskim stożkiem czarnego bazaltu. I była większa od tych, które Sharina widziała, podróżując przez Morze Wewnętrzne na pokładzie galery płynącej naprzód dzięki nieustannemu trudowi wioślarzy. Wiszące tuż nad horyzontem słońce oświetlało rzadkie kępki szczeciniastej trawy, lecz wyspę porastały głównie takie rośliny jak starzec, o liściach jak wielkie głowy kapusty, oraz stroiczka, której włochate łodygi kwiatowe wznosiły się na wysokość głowy dorosłego człowieka.

Sharina poszła na dziób, jakby chciała rozprostować kości. Statek został zaprojektowany do szybkich podróży i nie przewidziano na nim żadnych wygod dla załogi czy pasażerów. Fałszywy Nonnus kazał zrzucić żagle, nie licząc na sprzyjający wiatr i polegając wyłącznie na sile wioślarzy. Sharina usiłowała sobie wyobrazić, jak niewiele miejsca zostałyby na pokładzie, gdyby spuszczone bom i żaglowe płótno wypełniły wąskie przejście między ławkami.

– No trudno, płyniemy dalej – rzekł donośnym głosem fałszywy Nonnus. – Nie podoba mi się ten brzeg.

Wioślarze zaczęli szemrać i spoglądać na bosmana. Ten zeszywniał i rzekł:

– A mnie nie podoba się żeglowanie po nocy w takiej łupince jak ta.

Fałszywy Nonnus nie podjął wyzwania. Sharina zdała sobie sprawę z tego, że nie miał siły charakteru Pewlanina. Zmarszczył brwi i rzekł:

– Na horyzoncie jest piaszczysta plaża. Możemy tam dopłynąć, zanim zajdzie słońce.

Nadchodził zmierzch. Na zachodzie niebo było jeszcze jasne, lecz przed dziobem statku widać już było na nim pierwsze gwiazdy.

– I nigdy więcej nie kwestionuj moich rozkazów! – dorzucił fałszywy Nonnus głosem prawdziwego, lecz bez jego stanowczości.

Sharina przeskoczyła przez reling, dała nurka do wody i popłynęła do brzegu wulkanicznej wyspy. Nie widziała tam niczego do jedzenia. Może nawet nie było tam słodkiej wody, ale musiała uciec z tego statku.

Tunika ściągała ją w dół. Gdyby zdjęła ją przed skokiem do wody, ostrzegłaby fałszywego Nonnusa, i nie chciała ściągać jej w wodzie przy burcie statku. Nie sądziła, by załoga zasypała ją strzałami z łuków lub włóczniami, lecz któryś z wioślarzy mógłby ogłuszyć ją wiosłem.

Cienka wełna tylko trochę spowolniła jej ruchy. Szybko płynąc, pokonała ponad połowę dzielącej ją od wyspy odległości, zanim załoga zdołała zareagować na jej ucieczkę.

Prawdziwy Nonnus pływał jak jedna z fok, na które polował jako młodzieniec na wyspach

leżących na północ od głównego archipelagu. Natomiast ten człowiek, który go udawał, tylko wykrzykiwał rozkazy sprzeczne z tymi, jakie wydawał bosman. Obaj próbowali skierować statek za uciekającą dziewczyną, ale wzajemnie sobie w tym przeszkadzali.

Niewielu marynarzy umie pływać. Gdyby któryś z wioślarzy był wyjątkiem od tej reguły i wyskoczył za burtę w ślad za Shariną...

Pamiętała, jak Nonnus radził sobie w niebezpieczeństwie. I miała jego ostry pewlański nóż.

Ponieważ Sharina wystawiała twarz z wody tylko na moment, by zaczerpnąć powietrza, dotknęła palcami brzegu, zanim go zobaczyła. Na czworakach wygramoliła się z wody i pobiegła po stromym brzegu, omijając stroiczki. Opalenizna i brązowy kolor tuniki czyniły ją prawie niewidoczną w półmroku, lecz kiedy wzejdzie księżyc, jasne włosy z daleka będą się rzucać w oczy.

Sharina schowała się za wzniesienie i ruszyła w lewo, wzdłuż brzegu wyspy. Krzaki nie miały kolców, a choć bazaltowe skały miały ostrzejsze krawędzie niż, na przykład, wapienne, to Sharina nie przebywała w wodzie tak długo, żeby zmiękły jej podeszwy stóp.

Biegłaby po ostrzach noży, byle tylko uciec od potwora noszącego twarz jej przyjaciela.

Galera była ciemną plamą między dwoma grzebieniami piany. Już wykonała zwrot i płynęła w stronę wyspy. Fałszywy Nonnus rozkazał załodze przeczesać wyspę, gdy tylko przybiją do brzegu.

Widząc otwartą wodę na północy, Sharina zorientowała się, że wyspa miała wąski i wydłużony kształt, a nie owalny, jak sądziła. Dwudziestu wioślarzy mogło sformować dostatecznie szczelny kordon i przetrząsnąć całą wyspę.

Oczywiście, ktoś musi nimi pokierować, a fałszywy Nonnus już dowiódł, że potrafi planować. Ponadto był czarodziejem...

Galera z chrzęstem przybiła do wyspy. Ze względu na stromy brzeg musiała podpłynąć bokiem. Sharina miała nadzieję, że przy tym manewrze ulegnie uszkodzeniu cienka burta lub wręgi statku, ale wiedziała, że nie może liczyć na tak kardynalny błąd dobrze wyszkolonej załogi.

– Prawą burtą do brzegu! – zawołał bosman. – Użyjcie wiosł!

Sharina spodziewała się, że zostanie schwytana. Zwiążą ją i umieszczą na dnie statku, gdzie pozostanie do czasu, aż dotrą tam, dokąd zmierzali. Jej jedyną szansą było teraz opuszczenie wyspy. Ucieczka przez otwarte morze byłaby samobójstwem, gdyby jednak znalazła jakiś kawałek drewna, który pomógłby jej utrzymać się na powierzchni, może zdołałaby natrafić na jakąś niewidoczną w mroku wysepkę. Teraz już tylko gwiazdy pozwalały odróżnić niebo od wody.

Gdy pokrzykujący marynarze rozstawiali się w tyralierę, Sharina szukała odpowiedniego kawałka wyrzuconego na brzeg drzewa. Gąszcz starca rósł kilka kroków od wody, lecz stroiczki wydawały się mniej odporne na sól. Mięiste liście trącały ją jak trupie palce. Schylona, truchtała między kępami roślin, uważnie rozglądając się wokół.

Nagle ujrzała przed sobą jakąś postać. W pierwszej chwili pomyślała, że bazaltowy głaz podniósł się z ziemi, lecz to był człowiek – rosły mężczyzna trzymający w ręku włócznię z grotem szerokości dłoni. Taka broń natychmiast pozbawia ofiarę życia.

Sharina trzymała w ręku pewlański nóż i zadała błyskawiczne cięcie wymierzone w głowę. Mężczyzna nagłym kopnięciem sparował cios, trafiając ją w przegub i zbijając z nóg. Zdrętwiała jej ręka, lecz nie wypuściła noża. Liście starca złagodziły jej upadek na prawy bok. Przekreśliła się, usiłując wstać i jednocześnie przełożyć broń do lewej ręki.

Mężczyzna okuty stalą, tępym końcem włóczni uderzył w splot słoneczny Shariny, pozbawiając ją tchu. Zgięła się wpół. Próbowwała utrzymać w dłoni nóż, lecz napastnik przyklęknął przy niej i wyłuskał broń z jej palców. Nosił strój ze skór o nieznanym, gadzim zapachu.

– Skąd masz pewlański nóż, panienko? – zapytał, obejrzwawszy broń.

Powiedział to spokojnie, ale ściszym głosem, który z pewnością było słycać zaledwie w promieniu kilku kroków. Sharina nadal usiłowała zaczerpnąć tchu.

– Od człowieka, który zjadłby cię na kolację, gdyby żył! – wykrztusiła.

Wielkolud zachichotał.

– To musiał być zacny człowiek – rzekł bez urazy. Oddał jej nóż, trzymając go za ostrze.

– Nazywam się Hanno – dorzucił. – Cóż, wygląda na to, że ci ludzie na drugim końcu wyspy nie są twoimi przyjaciółmi. Czy tak?

– Prędeż umrę, niż pozwolę im się złapać – szepnęła Sharina. Wsunęła pewlański nóż do pochwy, chociaż musiała to zrobić obiema rękami. Drżała z wysiłku i po mocnym uderzeniu w brzuch.

– No, panienko – powiedział nieznajomy. – Ja wracam na Bight z Valles, gdzie sprzedałem róg. Jeśli nie chcesz tu zostać, to możesz popłynąć ze mną, ale ostrzegam, że będziesz musiała mieszkać w myśliwskiej chatce, a następną wyprawę do Valles planuję nie wcześniej jak za sześć miesięcy.

– Ruszajmy – powiedziała Sharina, usiłując wstać. – Jeden z nich jest czarodziejem.

Hanno objął ją lewą ręką w pól i pomaszerował w dół zbocza. W ciasnej skalnej zatoczce stała sześciometrowa łódź, nieco węższa, lecz podobna do tych dwuosobowych łódek, którymi rybacy wypływali na połowy z Barca's Hamlet. Hanno pomógł Sharinie wejść na pokład, położył włącznie na pokładzie obok pary wioseł, po czym jednym silnym pchnięciem wypchnął łódź w morze.

Wiózł zapasy na siedem miesięcy. Na dziobie i rufie piętrzyły się pakunki zawinięte w nieprzemakalny brezent i przymocowane sieciami z końskiego włosia. Sharina mogła tylko domyślać się, ile ważył ten ładunek, który Hanno właśnie zepchnął na wodę, ale z pewnością były tam trzy lub cztery tony zapasów.

Hanno brodził w wodzie za łodzią i wgramolił się na rufę dopiero wtedy, kiedy wypłynęli dostatecznie daleko, by kil nie wbił się w dno pod jego ciężarem. Sharina w końcu złapała dech. Odsunęła się na bok, gdy Hanno przeszedł przez stertę ładunku i usiadł na jednej z dwóch ławeczek na śródokręciu. Łódź siłą rozpędu nadal odpływała od brzegu, podskakując na falach.

Hanno poruszał się szybko – szczególnie jak na tak rosnącego mężczyznę. Sharina nigdy nie spotkała takiego wielkoluda. Był wyższy od Garrica i prawie tak potężnie zbudowany jak Cashel.

Osadził wiosła w dulkach. Sharina umocowała je, zanim sam zdążył to zrobić. Skinął głową z aprobatą i lekkim zdziwieniem, po czym zaczął wiosłować.

– Mają dwudziestowiosłową galerę – powiedziała ściszym głosem Sharina. Słyszała głosy nawołujących się marynarzy i rozkazy fałszywego Nonnusa.

– Jeszcze ją mają – rzekł Hanno.

Wydawał się bardziej rozbawiony niż przejęty. Skierował łódź równoległe do brzegu. Energicznie poruszał wiosłami, lecz nie robił przy tym hałasu, który dałoby się usłyszeć przez plusk fal. Odpłynęli tak daleko, że wyspa zmieniła się w nieforemną plamę. Po jej drugiej stronie zabłysły światła. Fałszywy Nonnus rozdał marynarzom pochodnie z suszonych trzciny nasączonych woskiem. Paliły się bladym płomieniem, sypiąc skry. Sharina odruchowo skuliła się. Hanno zachichotał i rzekł:

– W ten sposób na pewno nas nie znajdą. Te pochodnie rzucają wąski krąg światła i tylko utrudniają dostrzeżenie czegoś w mroku. Gdyby znali się na rzeczy, rozproszyliby się i próbowali nasłuchiwać twoich kroków.

Ponownie zachichotał.

– Oczywiście, teraz nic by im już to nie dało.

Hanno skierował łódź w bok. Opłynęli cypel wysepki i popłynęli z powrotem wzdłuż południowego brzegu, trzymając się od niego w odległości strzału z łuku. Morze od lądu dało się

odróżnić tylko dzięki wąskiemu pasowi piany w miejscu, gdzie się spotykały.

Hanno wiosłował bez wysiłku, zręcznie manewrując łódką mocniejszymi lub słabszymi pociągnięciami to jednego, to drugiego wiosła. Łódka nie miała masztu ani nawet przeznaczonego nań gniazda, przymocowanego do dna. Widocznie Hanno wiosłował całą drogę z Bight na Ornifal i z powrotem.. Może stawiał niewielki fok na dziobie, kiedy wiatr wiał prosto od rufy.

Rząd świateł migotał w poprzek wyspy, przesuając się wzdłuż grani. Poruszały się w kierunku jej wschodniego krańca, pozostawiając drugą połowę do późniejszego przeszukania – w razie konieczności.

Załoga rozpałała niewielkie ognisko na brzegu, tuż obok zacumowanej galery. Zanim długi kadłub statku zasłonił jej widok, Sharina dostrzegła jednego lub dwóch mężczyzn, którzy podkładali drewno do ognia.

Hanno mruknął coś pod nosem i ponownie skierował dziób łodzi w stronę wyspy. Sharina widziała czarny kontur galery, przesuwaną się na tle nieba. Słyszała głosy ludzi na brzegu, chociaż nie rozróżniała słów. Rozmasowała obolałe mięśnie brzucha, po czym zacisnęła palce na rękojeści pewłańskiego noża. W blasku gwiazd w szerokim uśmiechu błysnęły zęby Hanno.

Dopiero w ostatniej chwili obejrzał się przez ramię. Pociągnął w przeciwną stronę najpierw jednym, a potem drugim wiosłem, ustawiając łódkę wzdłuż burty statku. Złożył wiosła i przycisnął palec do ust, nakazując milczenie. Sharina kiwnęła głową.

Statek fałszywego Nonnusa stał w wodzie, lewą burtą oparty o brzeg. Ponieważ teren wznosił się stromo, mocniejszy wiatr mógłby pchnąć galeryę, a może nawet ją przewrócić do góry dnem, lecz o wschodzie i o zachodzie słońca na Morzu Wewnętrznym zazwyczaj była martwa cisza. Z rufy galery zwisała kotwica na grubym sznurze. Uchwyt miała z żelaza, lecz ramiona zrobione z cyprysowego drzewa, obciążonego zwojami ołowianego drutu.

Hanno wstał. Łódka zakołysała się, lecz on umiejętnie utrzymywał równowagę. Jedną ręką chwycił kotwicę i pchnięciem włóczni przeciął pokryty solą sznur. Kotwica, która ważyła tyle co Sharina, a może nawet więcej, wpadła do rąk Hanno. Łódź zakołysała się gwałtownie i uderzyła prawą burtą o kadłub statku. Sharina siedziała spokojnie, wiedząc, że gdyby spróbowała stłumić hałas, przeszkodziłaby Hanno. Ten wielkolud wiedział, co robi.

Marynarz po drugiej stronie statku krzyknął ostrzegawczo.

– Wezmę włócznię! – zawołała Sharina.

Hanno uderzył obciążoną ołowiem kotwicą w kadłub statku, tuż nad kilem. Sosnowe deski były dość cienkie, jak na pełnomorską jednostkę, ale i tak były grube na dwa palce. Trzasnęły jak szkło uderzające o kamień.

Hanno rzucił jej broń. Dziewczyna pewnie stała na nogach, lecz i tak zachwiała się, jakby złapała padające drzewo. Dwuipółmetrowe drzewce było zrobione z dębu, a długie żelazne okucie na nasadzie równoważyło ciężar szerokiego grotu.

Na rufie galery pojawił się marynarz z pochodnią i rozdziawił usta na widok łódki.

– Co tam robicie? – wrzasnął. Nie był uzbrojony.

Sharina pogroziła mu włócznią, trzymając ją oburącz.

– Wynoś się! – warknęła.

Nie chciała zwady z marynarzami, którzy najwyraźniej byli wynajęci i nie żywili do niej żadnych wrogich uczuć. Gdyby jednak próbował podejść do niej fałszywy Nonnus...

Hanno wyrwał kotwicę z kadłuba i ponownie uderzył nią jak buzdyganem. Tym razem pękły nie tylko deski, ale i wręgi. Łódka podskakiwała jak wynurzający się wieloryb, lecz szerokie dno i ciężki ładunek zapobiegały wywrotce.

Sternik wyszedł zza kadłuba galery. W rękach trzymał krótki łuk ze strzałą na cięciwie.

– Poświęć tu! – rozkazał drugiemu marynarzowi.

Hanno rzucił w niego kotwicą. Rozległ się głuchy łoskot. Mężczyzna znikł z pola widzenia. Przecięty sznur niczym atakujący wąż śmignął w ślad za kotwicą.

Hanno chwycił za wiosła, siadając twarzą do tego, co dotychczas było rufą łódki. Sharina przewidziała to i zeszła mu z drogi, nie wypuszczając włóczni. Łódź miała taki sam kształt dzioba i rufy, a nie miała steru ani żagla, które utrudniałyby manewrowanie. Zaczęli posuwać się naprzód, powoli, lecz nieuchronnie, jak spadający głaz. Ciężki ładunek sprawiał, że nawet Hanno nie był w stanie płynąć szybciej, choć wystarczyło kilkanaście uderzeń wiosła, by znaleźli się poza zasięgiem wzroku ludzi stojących na brzegu.

Wokół ciemnej sylwetki galery zamigotały światła. Marynarze krzyczeli. W pewnej chwili Sharinie wydało się, że słyszy głos fałszywego Nonnusa. Uśmiechnęła się ponuro. Jeśli zdoła naprawić ten statek w ciągu jednego dnia, to okaże się naprawdę potężnym czarodziejem.

– Niezbyt lubię podróżować nocą – rzekł Hanno, wiosłując znacznie wolniej, niż gdy odpływali od brzegu – lecz tym razem nie ma innego wyjścia. Dobrze, że przynajmniej zjadłem kolację, zanim ta zgraja wylądowała na wyspie.

– Dziękuję – powiedziała Sharina. Nie miała ochoty opowiadać, co się stało – bo właściwie sama nie wiedziała, co zaszło, co nadal się działo – lecz Hanno nie wyglądał na człowieka, który potrzebuje wyjaśnień.

Księżyc właśnie wynurzył się z morza za plecami wielkoluda. W mroku Sharina raczej domyśliła się, niż dostrzegła uśmiech Hanno.

– Poradzisz sobie, panienko. Na pewno sobie poradzisz.

– Las! – zawołał radośnie Zahag. Po raz pierwszy, od kiedy uciekli z rozsypującej się wieży, Cashel usłyszał w głosie małpoluda coś poza urazą i gniewem. – Nareszcie las!

Zahag rączym kłusem pognał w kierunku grubych omszałych pni. Biegł niezdarnie, gdyż przednie kończyny miał znacznie dłuższe od tylnych, lecz mimo to poruszał się całkiem szybko.

Rozmyślając o tym, Cashel przypomniał sobie, że małpolud prawie zawsze sprawiał wrażenie obrażonego lub rozgniewanego.

– Jesteśmy na miejscu? – zapytała Aria, wiercąc się na piersi Cashela. Nawet w jej głosie było słyhać nadzieję. Od południa musiał nieść ją to na jednym, to na drugim ramieniu. W przeciwnym razie musiałby ją wlec, chociaż nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna starała się dotrzymać im kroku.

– Och! – powiedziała z obrzydzeniem Aria, gdy zobaczyła majaczący przed nimi las. – Och, jak mogłeś mnie tu przyprowadzić?

Zaczęła płakać.

– No cóż, przynajmniej nie jest to pustynia – mruknął zmieszany Cashel. Chodzi o to, że sam nie był pewien, czy jest to zmiana na lepsze.

– Och, jakaż miła odmiana po tych ostrych kamieniach, które raniły mi palce! – zawołał Zahag, znikając wśród drzew. – O, jaszczurka! To też miła odmiana po jagodach rano i wieczorem!

– Dasz radę iść? – spytał Cashel, stawiając Arię na ziemi. – Teraz będzie łatwiej i niebawem znajdziemy się w cieniu.

Od kiedy znaleźli się w tej krainie, słońce dawało im się we znaki, lecz Cashel nie wiedział, czy wkrótce nie zatęskni za jego blaskiem. Prażyło nieprzyjaźnie, lecz niczego nie ukrywało. Natomiast ten las miał nieprzyjemny, przyczajony wygląd, jak wuj Katchin z Barca's Hamlet.

Cashel uśmiechnął się. Las przynajmniej nie jest taki nadęty jak Katchin, pomyślał. Może jednak sprawy przybierają pomyślniejszy obrót.

– Chciałabym umrzeć – jęknęła Aria, ale o własnych siłach poszła za Cashelem, który ruszył szlakiem.

Drzewa nie były olbrzymie. Miały najwyżej dziesięć do dwunastu metrów wysokości, czego należało oczekiwać, zważywszy na to, że rosły na bagnistym terenie. Cashel nie mógł pojąć, dlaczego gleba była tu tak podmokła. Pozostawili za sobą pył i kolczaste krzewy, a weszli między porośnięte mchem drzewa, z których woda kapiała na nasiąkniętą jak gąbka ziemię. Każdemu krokowi towarzyszyło ciche mlaśnięcie, a pozostające za nimi ślady stóp lśniły jak rząd miniaturowych sadzawek.

Cashel odrzucił parasol, który zawisł na gałęzi spowitej mackami mchu. Sucha trawa natychmiast zaczęła nasiąkać wodą.

Cashel poczuł dziwny niepokój. Wyrwał parasol z wilgotnego welonu, wyszedł spomiędzy drzew i rzucił go na suchy piach. Jeśli wiatr znów wepchnie go w bagno, to już nie jego sprawa.

– Do licha, dlaczego to zrobiłeś? – spytała Aria.

– No cóż, przez te kilka ostatnich dni ten parasol bardzo dobrze się spisywał – odparł Cashel. – Pomyślałem, że nie zasłużył sobie na to, żeby zostawiać go tutaj.

I swobodnym krokiem pasterza poszedł dalej ścieżką. Przed sobą trzymał pałkę, jedną ręką powyżej, a drugą poniżej środka ciężkości. Czuł na sobie zdumione spojrzenie dziewczyny. Cóż, niech się dziwi. Cashel w całym swoim życiu nie widział niczego, co pozbawiłoby go wiary w sprawiedliwość. W głębi serca był przekonany, że ktoś, kto źle traktuje przedmioty, pewnego dnia sam zostanie potraktowany jak przedmiot.

– Zahagu, jesteś tam? – zawołał.

– Na co czekacie? – odpowiedział małpolud.

Ledwie było go słyszeć. Rechotanie niewidocznych żab i bzyczenie owadów zagłuszało słowa dolatujące nawet z niewielkiej odległości. Na pustyni panowała śmiertelna cisza, tylko raz, w nocy, coś zawyło w oddali. Ten dźwięk też był śmiertelnie ponury.

Gałęzie wiły się i rozwidlały. Trudno było powiedzieć, które liście należały do drzewa, a które do pnączy lub mniejszych krzewów rosnących w jego cieniu. Mech pokrywał wszystko. Cashel odgarniał go laską, lecz mimo to ciemne pasma ocierały mu się o ramiona.

– Nie podoba mi się to miejsce – powiedziała cicho Aria. Dla odmiany było to zwyczajne stwierdzenie, a nie wyrzut. Musiała być naprawdę przestraszona.

– Trzymaj się blisko mnie, a nic ci się nie stanie – poradził Cashel. Mówiąc to, poczuł się znacznie lepiej i dodał z uśmiechem: – Zaopiekuję się tobą. Widzisz, na tym polega moja praca. Jestem pasterzem.

Z głębi lasu za ich plecami dobiegł jakiś plusk. Był zbyt głośny, jak na odgłos padającej na ziemię kropli, ale kto wie? Może jakiś szeroki liść nagle wygiął się i wylał strumyczek wody.

Zahag wrzasnął. Coś z traskiem i pluskiem przedzierało się przez las w kierunku Cashela i dziewczyny. Młodzieniec mocniej chwycił pałkę i stanął, gotowy do walki. Zahag przypadł mu do nóg i wrzasnął:

– Nic nie widziałem! Nic nie widziałem!

Aria też wrzasnęła i uczepiła się Cashela. Duzi! Czy oni oboje nie mają ani krzty rozumu?

Donośne dźwięki urwały się jak nożem uciał. W lesie znów rozległy się ciche rechotania i bzyczenie. Nic nie przybiegło za małpoludem.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli stąd odejdziemy – rzekł Cashel. Aria już go puściła. Zahag

spoglądał za siebie, sprawdzając, czy nic go nie ściga. – Wolałbym wyjść z tego lasu, dopóki jest jeszcze widno.

Ruszyli dalej. W lesie i tak zalegał półmrok. Cashel doszedł do wniosku, że po zmroku będzie tu ciemno jak w grobie. Aria szła tuż za nim, a Zahag podskakiwał przy jego lewym boku. Cashel uznał, że nie ma sensu pytać, co przestraszyło małpoluda. Najwidoczniej Zahag kierował się w życiu dewizą, że co z oczu, to z serca. Z pewnością nie miałyby ochoty wspominać tego, co widział lub co przywidziało mu się wśród ociekających wilgocią mchów.

– Widzę jakieś płomyki – powiedziała Aria. – O, tam!

– Racja – rzekł Cashel, siląc się na ciepły ton. Duży świadkiem, że często zdarzało mu się przez całą noc uspokajać owce w czasie burzy. W przeciwnym razie mogłyby wpaść w panikę i zacząć tratować się nawzajem w ciasnej zagrodzie. – To próchno, takie same, jak u nas na Wyspach. Myślę, że w razie potrzeby możemy oświetlać sobie nim drogę.

Będą szli, dopóki Cashel nie padnie pod ciężarem obojga towarzyszy, jeśli będzie musiał ich nieść. Nie miał najmniejszej ochoty proponować im noclegu w żadnym z tych miejsc, jakie widział od chwili, gdy weszli do tego lasu.

Ścieżka połyskiwała matowo. Pnie drzew stały jak zielonkawe lub żółtawe duchy, po których pięły się inne odcienie barw. W mętnym świetle trudno było ocenić odległość. Mech wydawał się tu jedyną rzeczą, jaka nie jarzyła się własnym blaskiem. Coraz częściej ocierał się o twarz Cashela. Aria cicho popłakiwała. Nie mógł mieć jej tego za złe. Przynajmniej nie musiał odwracać się i sprawdzać, czy nadal za nim idzie.

Zaszeleściły liście. W pierwszej chwili Cashel pomyślał, że coś – a może kilka mniejszych cosiów – śmiga nad nim w koronach drzew, lecz kiedy spojrzał w górę, zobaczył tylko gałęzie kołyszące się na tle obcych gwiazd. Przy dziennym świetle nie był w stanie dostrzec nieba przez baldachim liści.

Aria załkała jeszcze głośniej.

– Spójrz! – powiedział Zahag, szarpiąc skraj tuniki Cashela. Mówił z rozpaczliwym pośpiechem, tonem wskazującym, że sam nie wierzy w swoje słowa. – Tam przed nami – to prawdziwe światło. Będziemy bezpieczni, musimy tylko dotrzeć do tego światła!

– No cóż, zobaczymy, kiedy tam dotrzemy – odparł spokojnie Cashel, rozglądając się na boki i krocząc wąską ścieżką.

Jemu też wydawało się, że między pniami drzew widzi w oddali migoczące płomienie, lecz ten las był zbyt dziwny, aby cokolwiek brać tutaj za pewnik. Cashel uśmiechnął się. Wędrował z księżniczką oraz gadającą małpą i nie był pewien, czy widoczne przed nim światło to prawdziwy ogień. Ludzie z Barca's Hamlet uznaliby go za szaleńca. Z trudem powstrzymał chichot. Gdyby zaczął się śmiać, Aria i Zahag również pomyśleliby, że oszalał.

Gałęzie nad ich głowami znowu zaszeleściły. Niemal od zachodu słońca po obu stronach ścieżki unosiła się falująca i opalizująca mgiełka. Cashel nie potrafił powiedzieć, czy spowijała cały las, ale wydawała się napierać na ścieżkę. Zapewne to gaz błotny, rozchodzący się w powietrzu. Żaden powód do niepokoju.

– To naprawdę ogień! – zawołała Aria. – Och, teraz go widzę! – I zduszonym głosem dodała: – Och, proszę, Panienko, niech to będzie ogień!

Dotarli do polany. Przed nimi wznosiła się wieża z porządnymi, upstrzonych plamami porostów, kamiennych głazów – a nie jakaś różowa ozdóbka, rozsypująca się, kiedy ktoś potknie się na schodach.

Ogień też tam był. Płonął w żelaznym koszu, zawieszonym na żelaznym drągu nad wieżą. Jego

migotliwy blask ukazywał sylwetki stojących na murach ludzi.

– Hej tam, w domu! – zawołał Cashel, wychodząc spomiędzy nisko zwieszonych gałęzi. Może powinien powiedzieć „na wieży”, zamiast „w domu”? Był tak rad z tego, że widzi ludzką siedzibę, że zawołał tak, jakby krzyknął, natrafiając o zmroku na gościnną farmę.

– Odejdźcie, potwory! – wrzasnął piskliwy głos. – Albo was zabijemy!

Z kosza spłynął strumyk iskier, które upadły na ziemię i zmieniły się w pomarańczoworóżową poświatę. Szybko zgasły. Drzewo z tego lasu było nazbyt mokre, aby się paliło, lub zbyt spróchniałe, by dać choć trochę żaru. Cashel zrobił krok naprzód.

– Nie jesteśmy potworami! – zawołał. Przycisnął laskę do boku, żeby nie wyglądało, że nią grozi, chociaż ludzie na wieży z tej odległości i tak nie mogli dojrzeć szczegółów. – Potrzebujemy noclegu, to wszystko.

I może wyjaśnienia, co to za miejsce. Byłoby miło, gdyby ktoś im to powiedział.

– Odejdźcie! – powtórzył głos.

Cashel usłyszał cichy terkot, dobiegający ze szczytu muru. *Kołowrotek*, pomyślał. *Zębatka z zapadką...*

Ktoś tam napina kuszę!

– Hej! – ryknął, robiąc kolejny krok naprzód. Nie zastanawiał się nad tym, co robi. – Skończcie z tą głupią zabawą albo zwałę wam te mury na głowy. Przysięgam na Pasterza, że to zrobię!

Uderzył końcem pałki w ziemię. Z laski trysnęły błękitne płomienie, przez chwilę spowijając go zimną niebieskawą poświatą. Poczł mrowienie w całym ciele.

– To człowiek! – krzyknął ktoś na murach. – Co on tam robi?

– Natychmiast wpuście mnie i moich przyjaciół – rzekł Cashel, lekko zmieszany swoim wybuchem gniewu i błyskiem, który wywołał. To światło zaskoczyło go, ale przynajmniej ludzie na wieży zobaczyli, że nie jest żadnym potworem. – Chcemy tylko przenocować.

Ogień w koszu zamigotał i zgasł. Ta odrobina światła, jaka pozostała, ledwie oświetlała pręty, nie mówiąc już o stojących wokół ludziach.

– Spuścimy wam drabinę – zawołał pierwszy głos. – Tylko nie traćcie czasu. W każdej chwili mogą zaatakować.

Coś ze świstem i postukiwaniem zsunęło się po murze wieży. Cashel przy świetle gwiazd odnalazł i chwycił drabinkę z grubego sznura i drewnianych szczebelków.

– Chodźcie! – rzucił przez ramię, usiłując mówić przenikliwym szeptem.

Nie chciał, by towarzysze stali przy nim, gdyby ktoś zaczął do niego strzelać, ale nie zamierzał zostawiać ich w lesie. Bez trudu mógł uwierzyć, że w tym lesie naprawdę były potwory. Zahag dotarł do muru i chwycił drabinkę. Cashel złapał go za włochate ramię i przytrzymał. Małpolud gniewnie zapiszczał, ale nie próbował go ugryźć.

– Dasz radę wejść sama, księżniczko? – zapytał Cashel.

Zamiast odpowiedzi Aria złapała drabinkę i zaczęła zręcznie piąć się w górę. Szybko zmieniała się w niewyraźną plamę na tle muru. Cashel puścił małpoluda.

– Tylko nie próbuj jej wyprzedzać! – ostrzegł, chociaż przy tempie, w jakim wspinała się Aria, Cashel mógł się tego nie obawiać. Widocznie nabrała wprawy na stromych schodach wieży Ilmeda. Wprawdzie wcale nie stała się przez to mniej nieznośna, ale to samo można powiedzieć o większości księżniczek.

– To kobieta – zauważył inny głos na murach. – O rany, to naprawdę kobieta?

Cashel zaczął się wspinać. Pałkę trzymał przed sobą, w zagięciach obu rąk, przez co poruszał się powoli i niezgrabnie. Gdyby zachował sznur, którego użył przy wspinaczce na wieżę Ilmeda, teraz

nie musiałyby wlec się jak potłuczony. Nie miał jednak liny, którą mógłby przywiązać laskę, a z pewnością nie zamierzał zostawiać jej na dole.

– Uwaga, potwór! – krzyknął ktoś na górze. Stał skrzesała czerwone skry na kamieniu.

Zahag wściekle skrzeczał do ludzi na wieży, więc najwidoczniej nic mu się nie stało. Sądząc po dźwiękach, zszedł z drabiny i przywarł do ściany wieży. Budowla była tak stara, że w szczelinach między gładzami z pewnością nawet człowiek znalazłby dość uchwytów i stopni, aby wspiąć się na górę.

– Hej! – krzyknął Cashel. Trzymając laskę w jednej ręce, pokonał ostatni odcinek drabiny w sposób, który uznaliby za nadzwyczaj ryzykowny, gdyby się tak nie spieszył. – Przestańcie! To nie potwór, tylko mój przyjaciel!

Stał na blankach. Górna krawędź wieży była nieco szersza od reszty, tak więc ostatnie dwa szczeble drabinki nie dotykały muru. Dobrze było znów mieć pod nogami kamienie, a nie chwiejną drabinę, zwłaszcza że jej szczebelki nie były zrobione z myślą o kimś, kto miałby takie rozmiary jak Cashel i tak się spieszył.

– Natychmiast przestańcie! – powiedział. – Kto tu dowodzi?

Stuknął laską o podłogę. Mosiężna nasadka nie skrzesała iskier, tak jak zrobiłoby to okucie jego starej hikorowej laski, lecz stuknięcie było dostatecznie głośne, aby zwrócić uwagę kilkunastu obecnych tam ludzi. Krępy wąsaty mężczyzna w hełmie i z halabardą odkaszlnął i powiedział:

– Jestem kapitan Koras. Mówisz, że ten tam to prawdziwy człowiek? Wydał mi się strasznie owłosiony.

– Owłosiony? – wrzasnął gniewnie uczepiony muru Zahag. – Powyrywam ci kłaki, skoro tak bardzo nienawidzisz włosów, że zamierzyłeś się na mnie toporem!

– Cicho, Zahagu! – skarcił go Cashel. Odchrząknął i dodał: – To małpolud, nie człowiek, ale nie jest potworem. I jak już powiedziałem, jest moim przyjacielem.

Zabawne było myśleć o Zahagu jako o przyjacielu. Mimo wszystko Cashel podejrzewał, że mówiąc tak, był bardzo bliski prawdy.

Aria wyszła z tłumu i przycisnęła się do boku Cashela, wyraźnie czując się nieswojo wśród otaczających ją żołnierzy. Przeszkadzałaby mu, gdyby musiał użyć pałki, ale nie sądził, żeby do tego doszło.

– Powinniśmy wciągnąć drabinę – mruknął jeden z mężczyzn. – Myślę, że zaraz zaatakują.

Koras przycisnęła pięść do ust i zakaszła głucho.

– Nie wątpię w twoje słowa, panie – rzekł – ale wydawało mi się, że to stworzenie mówi. Mam na myśli twojego przyjaciela.

– Oczywiście – odparł Cashel. Teraz jedynym źródłem światła były gwiazdy i w ich nikłym blasku widział tylko sylwetki otaczających go ludzi. – Umie mówić, ale to małpolud. Kiedyś należał do pewnego czarodzieja.

Jeden z mężczyzn przeszedł obok Cashela, wyciągnął rękę i zaczął zwijać drabinę. Szczebelki postukiwały o mur jak pałeczki o ksylofon. Wędrowny komediant, jeden z trzech, którzy przed kilkoma laty odwiedzili Barca's Hamlet podczas Święta Barana, grał na ksylofonie. Cashel był zdumiony bogactwem dźwięków, jakie potrafił wydobywać z drewnianych rurek.

– No cóż, skoro tak twierdzisz – rzekł Koras. – Po prostu po raz pierwszy widzę małpę, która umie mówić.

– Wejdź na górę, Zahagu – powiedział Cashel. – Pozwolą nam przespać się tutaj.

Wyciągnął do niego pałkę, żeby małpolud nie musiał pokonywać przewieszki u szczytu wieży. Jednak Zahag złapał palcami jednej ręki krawędź strzelnicy i zwinnym ruchem wskoczył na mur. Był

naprawdę silny, jak na swoje rozmiary.

– Spać? – powtórzył jeden z żołnierzy. – My tutaj śpimy tylko za dnia, przybyszu.

– Wkrótce zaatakują – przytaknął kapitan Koras. – Pewnie zaskoczył je wasz widok, ale...

– Idą! – zawołał inny żołnierz.

W lesie wokół wieży rozległy się odrażające wrzaski. Jeden z żołnierzy zaczął napinać kuszę. Inny wyjął z kołczana u boku strzałę i nałożył ją na cięciwę łuku. Cashel wyrwał zza muru. Dostrzegł jakiś ruch na dole, lecz nie widział żadnych szczegółów, jakby patrzył na przyływ w bezksiężycową noc.

Różowy błysk przetoczył się po ziemi, niczym błyskawica rozjaśniając noc. W tym blasku Cashel ujrzał atakujące wieżę stwory. Z tej perspektywy były mocno zniekształcone, ale nie to czyniło je potworami.

Jedne z nich miały zwierzęce ciała, a inne zwierzęce łby. Miały na sobie części zbroi lub strzępy ubrań, a ich uzbrojeniem były zarówno długie miecze, jak i kamienie trzymane w jednej lub kilku dłoniach. Biegły na dwóch lub czterech nogach, a jeden z nich poruszał się na odnóżach liczniejszych niż stonoga i miał cztery ręce wymachujące toporami.

Kilka niosło drabiny obłęźnicze.

Różowe światło zgasło, pozostawiając tylko wspomnienie tej wizji.

– Aria, schowaj się gdzieś! – zawołał Cashel. Przesunął dłońmi po pałce, by najlepiej ją uchwycić, i czekał, aż pierwszy z wyjącej hordy znajdzie się na górze i w zasięgu ciosu.

Na znajdującym się w pobliżu mieszkania Ilny placu, przy którym zbiegały się trzy ulice, stała nieczynna fontanna. Dziewczyna zamierzała zrobić wszystko, żeby w najbliższym czasie naprawiono wodociąg, chociaż jeszcze nie zdecydowała, czy posłuży się przekupstwem czy groźbą, żeby nakłonić do tego magistrackich urzędników.

Nawet przy braku wody na placu zazwyczaj panował ożywiony ruch. W takiej dzielnicy jak Crescent to miejsce było czymś w rodzaju parku. A pokaz magii, jaki miał się odbyć tam tego dnia, przyciągnąłby tłumy w każdej dzielnicy Erdinu.

Ilna stała w pierwszym rzędzie widzów. Ludzie tutaj znali panienkę Ilnę i ustępowali jej z drogi. Gdyby ktoś tego nie zrobił, któryś z sąsiadów szybko nauczyłby go grzeczności, posługując się łokciem – albo cegłą. Ilna nikogo nie zachęcała do takich czynów, lecz nie była w stanie im zapobiec, nawet gdyby próbowała. A poza tym świat potrzebuje odrobiny grzeczności.

Młodzieniec w czerwonym jedwabiu wymamrotał słowo, które Ilna usłyszała, lecz nie zrozumiała, po czym uderzył w ziemię sztyletem. Kwiat rubinowego światła urósł, rozkwitł i zmienił się w kulę, której Ilna nie zdołałaby objąć rozpostartymi ramionami. W środku znajdowało się miasto ze światła – niskie budynki i port z płynącymi po falach statkami. Ilna dostrzegła nawet spacerujących po ulicach ludzi.

– Och! – westchnęli widzowie.

– To Pandah! – zawołał mężczyzna w obszernych pantalonach przepasanych szeroką jedwabną szarfą, jaką nosili marynarze na lądzie. – Na nos naszej Pani, to Pandah, albo jestem farmerem!

Obraz skurczył się i znikł. Młodzieniec cofnął się i otarł czoło. Spociał się jak tragarz i wyglądał na zmęczonego. I nie bez powodu. Większość ludzi zapewne uważała, że oglądała popis zręcznego iluzjonisty. Ilna dostatecznie często miewała do czynienia z magią, żeby teraz rozpoznać dzieło czarodzieja.

Voder mówił, że beznogi pomocnik młodzieńca nazywa się Cerix. Teraz wjechał w tłum swoim fotelem, obracając jedną ręką prawe koło, a w drugiej trzymając drewnianą miseczkę.

– Podczas gdy mistrz Halphemos odpoczywa przed gwoździem programu – rzekł inwalida – pokażcie, dobrzy ludzie, że doceniacie jego sztukę. Obdarujcie mistrza, który obdarował was!

Nazywanie Crescent ubogą dzielnicą było rażącym niedopowiedzeniem. Zapewne połowa mieszkańców tej dzielnicy pod koniec każdego tygodnia uciekała przed poborcą czynszu. Mimo to kilka osób wrzuciło monety do miseczki. Miedziaki, oczywiście, a nawet jeden trójkątny żelazny szeląg z Shengy, lecz i tak było to więcej pieniędzy, niż jakikolwiek uliczny kuglarz zobaczył na tym placu, od kiedy wzniesiono tu domy. Rzecz jasna, ten pokaz był wart znacznie więcej. Halphemos – i jego pomocnik, który przed każdym zaklęciem kreślił na ziemi krąg znaków – mogliby występować przed samym earlem i otrzymać za to zapłatę w złocie.

Kaleka podjechał do Ilny.

– Czy szanowna pani zechce okazać swój podziw dla mistrza Halphemosa? – zapytał.

Ilna skinęła głową. Jej szaty były czyste i nie połatane, co w Crescent świadczyło o przynależności do elity. Wrzuciła do miseczki srebrnika. Kilka najbliższych stojących osób jęknęło z podziwu, słysząc charakterystyczny brzęk. Kaleka chwycił monetę i schował ją do ust, obrzucając Ilnę zdumionym spojrzeniem.

– Zobaczymy się po występie – powiedziała mu Ilna. – Zdaje się, że mnie szukacie.

Kaleka pospiesznie wrócił do Halphemosa, chociaż nie objechał jeszcze całego kręgu widzów. Poszeptali do siebie. Ilna uśmiechnęła się do nich ponuro. Nie wiedziała, dlaczego miałby szukać jej jakiś czarodziej, lecz jeśli tak było, to nie należało odwlekać spotkania. Zapewne będzie miało nieprzyjemny przebieg. Jednak nie można unikać nieprzyjemnych wiadomości. To tchórzostwo.

Kaleka pospiesznie nakreślił nowy wzór na bruku, tak jak poprzednio używając kawałka węgla. Podczas przedstawienia „scena”, na której występował Halphemos, powoli przesuwając się w prawo, w miarę jak jego pomocnik kreślił kolejne znaki na czystych kamieniach. Ilna uznała, że te symbole są nieczytelne nawet dla kogoś, kto potrafi czytać, ale najwidoczniej były niezbędne do działania zaklęć.

Halphemos wstał i nieznacznie skłonił się Ilnie. Nadal wyglądał na zmęczonego, lecz w jego głosie słychać było nerwowy entuzjazm, gdy zaczął wypowiadać słowa, które były zupełnie niezrozumiałe dla słuchaczy.

W powietrzu pojawił się rubinowy paciorek, który zaczął emanować blaskiem. Przez moment Ilnie wydawało się, że nie ma tam nic prócz kłębiącej się mgły. Nagle z oparu wystrzeliła błyskawica krwawoczerwonego światła...

– Nie! – krzyknął beznogi pomocnik. Pochylił się, by zetrzeć magiczny wzór na kamieniach, lecz Halphemos już odrzucił swój sztylet. Wizja znikła jak krew wsiąkająca w piasek. Ilna odruchowo zacisnęła palce na zakończonym pętłą jedwabnym sznurze, który miała wetknięty za pas.

Tłum zareagował krzykami, jękami, a kiedy wizja znikła – wiwatami i głośnym tupaniem. Ludzie przestraszyli się, ale pomyśleli, że ten efekt był zamierzony. Teraz uspokoili się i byli zadowoleni.

Halphemos usiadł. Ilna skrzywiła się, widząc, jak jego jedwabna szata dotyka brudnego bruku. Magiczny sztylet, zrobiony ze spiralnie skręconego rogu lub kła jakiegoś zwierzęcia, leżał u jego stóp. Młodzieniec odruchowo wyciągnął po niego rękę, po czym gwałtownie cofnął ją, nie dotknąwszy sztyletu. Cerix miał twarz szarą jak popiół. Machnięciem ręki rozpedził gapiów i zawołał:

– Koniec pokazu! Mistrz Halphemos musi odpocząć!

Prostytutka mieszkająca w tym samym domu co Ilna nachyliła się, by wrzucić monetę do miseczki Cerixa. Cofnęła się, zaskoczona, gdy kaleka obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

– Zabierzmy go do Anno – powiedziała Ilna. – To ta tawerna za wami. Skorzystamy z pokoju na zapleczu.

– To powinien być król Valence w jego pałacu – rzekł Halphemos, bardziej do siebie niż do Cerixa czy Ilny. – Na początku pokazałem earla Sandrakkanu, więc na zakończenie chciałem pokazać coś innego.

– Chodź – powiedziała Ilna, kładąc dłoń na ramieniu młodzieńca.

Lekko pociągnęła go za rękę, kiedy nie od razu ruszył się z miejsca. Był oszołomiony, ale posłusznie wstał z ziemi. Wolną ręką Ilna podniosła magiczny sztylet. Chwiejnie przeszli kilka kroków, dzielących ich od tawerny. Do kamiennego kontuaru były przymocowane łańcuchami cztery cynowe kubki. Na zapleczu znajdowało się prywatne mieszkanie właściciela, lecz Anno użyczał stołu i krzeseł każdemu, kto zechciał zapłacić za jego wino trzy miedziaki zamiast dwóch. Jego żona – a może siostra, Ilna wołała w to nie wnikać – otworzyła drewniane drzwiczki, wpuszczając ich do środka. Najwidoczniej podśluchiwała.

Mężczyzna ze złotymi pierścieniami na obu kciukach chwycił za rękaw Halphemosa, który ruszył w ślad za Ilną.

– Mój zacny młodzieńcze! – rzekł. – Mając agenta takiego jak ja, który znam tutaj wszystkie układy, mógłbyś wzbogacić się ponad wszelkie wyobrażenie!

Ilna spojrzała na niego.

– Wynoś się stąd, Mangardzie – powiedziała. – A skoro już cię widzę... Nie chcę więcej słyszeć, że groziłeś nożem którejś z dziewczyn. W przeciwnym razie zawiążę ci węzełek tam, gdzie zaboli cię bardziej, niż gdybym zacisnęła go na twojej szyi. Rozumiesz?

– Ja, och... – wybełkotał Mangard i nie dokończył tego, co zamierzał powiedzieć, więc zapewne zrozumiał.

Ilna zmarszczyła brwi, odprowadzając wzrokiem umykającego alfonsa. To, co ujrzała w przywołanej przez Halphemosa wizji, najwidoczniej wstrząsnęło nią bardziej, niż przypuszczała. Zwykle nie wypowiadała takich gróźb, jakie przed chwilą usłyszała Mangard. Bynajmniej nie niepokoiło jej to, że nie była w stanie ich spełnić, lecz skoro już to powiedziała, być może będzie musiała to zrobić. Ta myśl budziła niesmak.

Halphemos usiadł, chociaż nadal był oszołomiony. Cerix podjechał do nich na swoim wózku. Broda kaleki znajdowała się zaledwie na wysokości stołu. Trochę dziwnie było rozmawiać w ten sposób, ale Ilna nie miała nic przeciwko temu.

– Wino dla obu panów – zamówiła. Wyjęła z sakiewki dwie monety. Były ze stopu srebra i miedzi, bite przed stu laty na Carcosie. Tutaj każda miała wartość trzech sandrakkańskich miedziaków.

– Nie musisz płacić, panienko – rzekł właściciel tawerny.

Ilna uśmiechnęła się.

– Wprost przeciwnie – odparła. – Muszę. Gdybym tylko nie musiała płacić za nic gorszego niż dwa kubki twojego wina.

– Jesteś Ilna os-Kenset, prawda? – spytał Halphemos, bez komentarza biorąc od niej swój sztylet.

Odzyskał rumieńce, a kiedy podano im wino, pił spokojnie, a nie łapczywymi haustami, jak oczekiwała Ilna. I wcale się nie krzywił. Być może teraz chodził w jedwabiach, ale nie po raz pierwszy pił rozwodnione wino w portowej knajpie.

– Tak – odparła Ilna. Zapewne nie potrafiłaby prowadzić towarzyskiej pogawędki o niczym, nawet gdyby widziała w tym jakiś sens. – Dlaczego mnie szukaliście?

Cerix lekko zmarszczył brwi, zastanawiając się, jak zareagować na to obcesowe pytanie. Halphemos lekko pokiwał głową nad kubkiem – te nie były przymocowane łańcuchami, ale wcale nie wyglądały na częściej myte od tamtych – po czym rzekł:

– Panna Sharina, mówię o Sharinie os– ...

– Znam ją – odparła beznamiętnie Ilna.

– Sharina powiedziała, że powinniśmy z tobą porozmawiać – powiedział Halphemos. – Przez pomyłkę sprawiłem, że twój brat zniknął. Ona uważała, że...

– To nie była twoja wina! – rzucił gniewnie inwalida. – Wciąż ci powtarzam, że ty nigdy nie popełniłbyś takiego błędu. Przypomnij sobie, jak dzisiaj zatrzymałeś się w samą porę!

– Wypowiedziałem zakłęcie i twój brat Cashel zniknął – rzekł Halphemos samopotępiającym tonem, który Ilna bardzo często słyszała w swoim głosie. – Cerix uważa, że z twoją pomocą możemy go odnaleźć. I upewnić się, że jest bezpieczny.

W Crescent właściciele tawern nie wydają pieniędzy na trzcinę lub paprocie, jakie w lepszych gospodach rozkłada się na podłodze. Tutaj leżały tylko źdźbła żytniej słomy, które wypadły z sienników prycz, na których spał Anno i jego rodzina. Ilna podniosła kilka i zaczęła je splatać, niezupełnie zdając sobie sprawę z tego, co robi.

– Mojemu bratu i Sharinie powinny towarzyszyć jeszcze trzy inne osoby – powiedziała. – Garric or-Reise, stara kobieta imieniem Tenoctris i... i dziewczyna w moim wieku. Bardzo atrakcyjna dziewczyna.

– Statek, na którym płynął Cashel z panienką Shariną, został połknięty przez jakiegoś potwora – odparł Cerix. – Wszyscy na pokładzie na pewno zginęli.

Ilna spojrzała na swój pas, bliźniaczo podobny do tego, jaki dała Liane. Wyglądał dokładnie tak samo jak zawsze.

– Bardzo wątpię – powiedziała – ale na razie nie musimy się tym martwić. Czego ode mnie chcecie?

Spojrzała na to, co robiły jej palce. Słoma była brudna. Upuściła splot na stół, zastanawiając się, czy w tawernie jest jakaś szmata, którą jeszcze bardziej nie ubrudziłaby sobie ręk.

– Gdybyś miała jakiś przedmiot należący do brata... – zaczął Halphemos.

– Zaczekaj! – przerwał mu kaleka. Podniósł splecione źdźbła słomy, przyjrzał im się z bliska, po czym z podziwem i lękiem popatrzył na Ilnę. – Dlaczego wypisałaś tu „Valles”, panienko?

– Niczego nie wypisałam – odparła Ilna, z trudem powstrzymując gniew. – Nie umiem pisać. Ani czytać, jeśli uważasz, że to powinno cię interesować.

– Wypisałaś tu słowo „Valles”, panienko – wyjaśnił Cerix. Pokazał im dłoń, na której trzymał splecione przez Ilnę źdźbła słomy. – W Dawnym Piśmie.

Halphemos posłał jej krzywy uśmiech.

– Ja umiem czytać – powiedział, czy też przyznał – lecz mimo to z trudem składam słowa i nie znam Dawnego Pisma.

– Ja nie znam żadnego – warknęła Ilna, obrzucając ich gniewnym wzrokiem. A przecież sama splotła ten wzór ze źdźbeł słomy.

– Czy jesteś czarodziejką, panienko? – zapytał cicho beznogi.

– Nigdy tak nie myślałam – powiedziała Ilna. Skrzywiła się. – Nie wiem.

– Mimo wszystko – rzekł Cerix – uważam, że powinniśmy wyruszyć do Valles. Żałuję, że nie zdołałem dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co nas tam oczekuje, ale może wyjaśni się to z czasem.

Halphemos trzykrotnie kiwnął głową, jakby uderzał nią o niewidzialną ścianę. Popatrzył na Ilnę.

– Popłyniesz z nami, panienko Ilno? – zapytał.

Miał miły uśmiech. Pasował do jego twarzy.

– Tak, chyba będę musiała – odparła Ilna, wstając. – Muszę tylko pozatławić tutaj wszystkie

moje sprawy, co zajmie mi kilka dni.

Cerix odchrząknął.

– Jest jeszcze kwestia funduszków – rzekł. – Chłopak i ja odłożyliśmy dość, by...

– Ja zapłacę za przeprawę – ucięła Ilna. – W końcu Cashel to mój brat.

Chłodno skłoniła się im na pożegnanie i wyszła z tawerny. Przez większość życia opiekowała się Cashelem, więc teraz też uznała to za swój najważniejszy obowiązek.

I całe szczęście, gdyż doskonale wiedziała, że w przeciwnym razie nieustannie myślałaby o Garricu pożartym przez morskiego potwora.

SIEDEMNASTY DZIEŃ CZAPLI (PÓŹNIEJ)

– *Arsenoneophris miarsau* – powiedziała miarowym głosem Tenoctris. Tym razem nakreśliła magiczne słowa, tworząc równoboczny trójkąt na podłodze świątyni.

– *Arsenoneophris miarsau* – powtórzyła Liane, czytając znaki. Zarówno ona, jak i Garric znali Dawne Pismo, chociaż słowa zaklęć znaczyły dla niej tyle, co kwilenie łuszczaków śmigających nad porośniętą mleczami pobliską łąką.

– *Arsenoneophris miarsau* – rzekł Garric. Nawet w tej początkowej fazie procesu miał wrażenie, że usiłuje mówić z ustami pełnymi drobnych otoczków. Te słowa były proste jak stylisko topora, lecz wymawianie ich okazywało się równie trudne jak sprawne posługiwanie się tym narzędziem.

Ten portal różnił się od tego, przez który dotarli tutaj z Brzegu, chociaż Garric i Liane rozumieli tylko to, że jest inny. Tenoctris wyjaśniła, że może go otworzyć tylko dla siebie, i jeśli chcą przezeń przejść, muszą sami wypowiedzieć słowa zaklęcia. Kiedy znajdą się w przejściu, Tenoctris zapobiegnie jego zamknięciu – jeśli wystarczy jej sił.

Pasterzu, strzeż mnie, modlił się w duchu Garric, czekając na następną frazę zaklęcia. *Pani, prowadź...*

– *Barichaa kmephi* – powiedziała Tenoctris. Przy każdej sylabie poruszała różdżką, tym razem z wierzbowej witki. Garric równo przyciął gałązkę żelaznym nożem, który nosił przy sobie, jak każdy mieszkaniec Barca's Hamlet.

– *Barichaa kmephi* – powiedziała Liane.

– *Barichaa kmephi* – powtórzył Garric. Kamyki zdawały się wielkie jak pięści, a gardło miał suche i ściśnięte.

Nakreślony na podłodze świątyni trójkąt był jasny, ale wszystko poza nim nikło w cieniu. Garric nie słyszał już ptaków i nie widział ścian. A przecież ich zmatowiały marmur powinien być nie dalej niż na odległość wyciągniętej ręki.

– *Abriaoth alarphotho seth!* – zawołała Tenoctris. Garric zobaczył, że staruszka wstaje z podłogi. W następnej chwili znikła jak sól w wodzie.

– *Abriaoth alarphotho seth!* – powiedziała Liane, lekko zająknawszy się przy piątej sylabie. Ciemność połknęła ją tak, jak przed chwilą Tenoctris.

Garric został sam w mroku. Usłyszał znajomy śmiech.

– *Abriaoth alarphotho seth* – rzekł. Wstał, z trudem wymawiając te słowa, jakby toczył pod górę wielki głaz. Dopiero kiedy poczuł miękką ziemię pod nogami, Garric zrozumiał, że mu się udało.

Stali na srebrzyście lśniącej ścieżce, która wiła się przez pustkowie. Tenoctris podnosiła się z klęczek, a Liane pomagała jej. Ścieżka zaczęła znikać, lecz natychmiast powróciła w swym zimnym majestacie, gdy Tenoctris znowu zaczęła recytować zaklęcia.

Wiatr przelatywał nad pustkowie, lecz Garric nie czuł jego podmuchów, pod którymi karłowate krzewy wiły się w konwulsjach. Dopóki Tenoctris nie przestanie mówić, wszyscy troje będą bezpieczni.

Liane próbowała poprowadzić czarodziejkę. Garric doskoczył do niej i wziął staruszkę na rękę. Ważyła nie więcej niż nowo narodzone jagnię. Ruszył naprzód. Szedł krokiem człowieka, który nie

wie, jak długą ma przed sobą drogę, ale mimo to postanowił ją przejść.

– *Iao el nephtho* – szepnęła przytulona do jego piersi Tenoctris.

Ziemia była śliska i twarda jak bruk. Na takiej ścieżce owce poodbijałyby sobie kopyta. Człowiek też mógłby łatwo poranić sobie nogi, nawet bosonogi wieśniak, który zakłada buty dopiero po pierwszych mrozach.

Garric ponownie usłyszał śmiech. Ten dźwięk był tak bezlitosny jak wiatr, który smagał to pustkowie. Młodzieniec zerknął przez ramię. Liane szła tuż za nim, bezgłośnie poruszając wargami. Z wymuszonym uśmiechem napotkała jego spojrzenie. Zastanawiał się, czy Liane się modli.

Obok ścieżki kroczyła kobieta z perłowej poświaty. Posłała mu pocałunek, a potem udała, że chwyta za gardło Liane. Znow zadźwięczał jej śmiech. Był jak zimny nóż, przeszywający serce Garrica.

Duzi, która strzegłaś mnie w domu, pomóż mi i tutaj, gdyż bardzo tego potrzebuję.

Tenoctris wciąż poruszała wargami, lecz Garric nie słyszał już nawet jej szeptu. Staruszka miała zamknięte oczy. Mówiła, że jest słaba. Być może jako czarodziejka. Garric jeszcze nigdy nie spotkał osoby z większą siłą woli.

Szedł dalej. Śmiejąca się zjawą dotrzymywała mu kroku, ale nie próbowała wejść na srebrzystą ścieżkę.

Liane zdawała się nieświadoma obecności widma, ale nawet gdyby je widziała, i tak nie okazałaby strachu. W towarzystwie takich dwóch kobiet mężczyzna nie miał innego wyjścia – musiał być dzielny.

– *Jeszcze trochę, chłopcze* – mruknął głos w myślach Garrica. – *Spokojnie, tak jak dotychczas. Nigdy nie daj się sprowokować. I nigdy, przenigdy, nie uciekaj, jeśli nie wiesz, co czeka cię za następnym pagórkim. Możesz być pewny, że kiedy choć raz złamiesz tę zasadę, dostaniesz surową nauczkę.*

Garric nie widział już udręczonych krzaków. Wciąż tam były i wiedział, że ta zjawą też nadal maszeruje wzdłuż ścieżki. Jej śmiech był jak błysk światła odbitego od katowskiego miecza. To nie miało żadnego znaczenia. Garric stawiał krok za krokiem, czując mocne bicie serca staruszki przy swojej piersi.

Nie pamiętał, kiedy zrobił ostatni krok. Zamiast ziemi srebrzystej ścieżki pod nogami poczuł twardy kamień i stracił równowagę. Liane wpadła na niego i wszyscy troje runęli na ziemię, z trudem łapiąc oddech.

Wokół leżały liście i sosnowe igły, niektóre w kępach wciąż przymocowanych do gałęzi, które wiatr obłamał i zrzucił na podłóże. Znaleźli się w miniaturowej świątyni, bardzo podobnej do tej, w której Tenoctris nakreśliła trójkąt mocy.

Odezwała się sowa i widoczny w otwartych drzwiach księżyc przygasł, zmieniając się w cienki sierp.

Od kiedy wszyscy troje wylądowali na Brzegu, gdzieś chyba minęło więcej czasu, niż Garric przypuszczał. Mimo to wrócili do świata, na którym się narodzili.

– *I spraw Duzi, abym już nigdy nie musiał go opuszczać!*

Gdy Hanno szykował się, by wyciągnąć łódkę wyżej na piaszczysty brzeg, Sharina wzięła zwój liny cumowniczej i poszła przodem. Na samym brzegu rosła sosna. Była karłowata, lecz skoro przetrwała w takim miejscu, to widocznie wbiła korzenie w coś twardszego niż piasek.

– Nie, panienko, lepiej uważaj, żeby nie przygniotła cię łódka – powiedział Hanno. Sprężył się, jedną dłoń zaciskając na burcie łodzi, tak żeby móc ją podnosić i pchać drugą. – Potrafię przenieść tę

starą łajbę bez twojej pomocy.

Sharina zignorowała tę obraźliwą dla jej inteligencji uwagę. Pracując w gospodzie ojca, przyzwyczała się do tego, że ludzie na widok jej urody przypisywali jej tyle rozumu, ile ma kocię. Wydawało się, że myśli tak połowa przybywających na Święto Barana kupców i hodowców, a także wszyscy poganiacze przepędzający stada dla nabywców.

A jeśli o tym mowa, to niektórzy mężczyźni z Barca's Hamlet zachowywali się tak samo, chociaż powinni wiedzieć lepiej.

Przykłęknęła i owinęła liną pień sosny. Hanno posapywał – nawet dla niego wciągnięcie załadowanej łódki na piach było sporym wysiłkiem. Sharina zrobiła pętlę i zręcznie obłożyła linę wokół pnia, wiążąc pierwszy splot węzła cumowniczego. Uśmiechnęła się. Czasem jakiś mężczyzna traktował Innę tak, jakby nie miała o niczym pojęcia. Przeważnie już nigdy więcej nie popełniał tego błędu.

Hanno ostatni raz sapnął z wysiłku i zadowolenia. Zanim podszedł do niej, Sharina napięła linę, zacisnęła pierwszą pętlę i obłożyła drugą. Wyprostowała się i otrzepała dłonie z włókien pokrytej solą liny. Hanno uśmiechnął się. W dłoni trzymał swoją długą włócznię.

– Muszę uważać, co do ciebie mówię, prawda? – spytał.

– Niekoniecznie – odparła. – Sądzę, że masz takie same prawo robić z siebie głupca jak każdy.

Wielkolud pokiwał głową.

– I chyba taki sam talent – mruknął. – No cóż, spróbuję o tym pamiętać.

Hanno spojrział przez ramię na oblane światłem księżycza morze, po którym wiosłował. Wyspa, na której pozostawili fałszywego Nonnusa, znikła za horyzontem. Nie sprawdzając węzła liny cumowniczej – co, zdaniem Shariny, miał wszelkie prawo zrobić – wrócił do łódki.

– Masz ochotę na porządną kolację, panienko? – zapytał, wyjmując zawiniątko z garbowanej skóry, które wioził na śródokręciu, a nie pod siatką przytrzymującą resztę ładunku. – Mam w tej sakwie żar i w mig mogę zagotować wodę.

– Nie. Wystarczy mi ta suszona ryba, którą dałeś mi po drodze – powiedziała Sharina. Czują rosnące napięcie. Przewornie trzymała dłoń z daleka od rękojeści pewlańskiego noża. – Teraz potrzebuję tylko snu.

Hanno rozesłał na ziemi jedną skórę, a drugą rzucił nieco dalej.

– Możesz sobie wybrać nakrycie – rzekł. – Albo wziąć oba. O tej porze roku jest tak ciepło, że w pogodne noce śpię tylko w ubraniu.

Wbił koniec włóczni w piach między skórą. Drzewce weszło tak głęboko, że stało nadal prosto, kiedy je puścił.

– Nikt nie będzie cię niepokoił w nocy, panienko – powiedział.

– Tak też myślałam – skłamała gładko Sharina, patrząc mu prosto w oczy. Poczwała głęboką ulgę. Powoli splotła palce i wyprostowała ramiona. Naprawdę była zmęczona, fizycznie i psychicznie, lecz natłok myśli nie pozwalał jej od razu zasnąć. Ponadto to okrycie z grubej skóry, pokrytej z jednej strony futrem, lecz szorstkim białym włosiem, paskudnie cuchnęło. Mimo to nie chciała urazić wielkoluda, odrzucając jego dar.

– Hanno? – spytała. – Co ty robisz? Chciałam zapytać, czym się zajmujesz?

– Poluję na Bight i sprzedaję futra w Valles, panienko – odparł. – To niezły interes, naprawdę. Tamtejsi roślinożercy mają skórę pokrytą rogowymi płytkami. Po wypolerowaniu wyglądają jak szylkret, a niektóre są o wiele ładniejsze, jak motyle skrzydła, tylko twarde. Podobno używają ich do inkrustowania.

Hanno usiadł, krzyżując nogi i opadając na posłanie. Kiedy usadowił się wygodnie, wyprostował

najpierw jedną, a potem drugą nogę. Miał myckę na głowie; kubrak ściągnięty szerokim pasem, z którego zwisały rozmaite narzędzia, w tym dwa rzeźnicze noże; dopasowane spodnie i miękkie cizmy na nogach. Wszystkie części jego garderoby były zrobione ze skóry.

– Nie wiedziałam, że Bight jest zamieszkała – powiedziała Sharina, również siadając. – Mam na myśli mieszkańców-ludzi. Słyszałam o Włochatym Ludzie.

Prawdę mówiąc, niewiele wiedziała o obecnym świecie pomimo – a częściowo z powodu – doskonałej znajomości klasyków Dawnego Królestwa, jaką zawdzięczała ojcu. Czytała *Kosmogeografię* Katradinusa, który umarł sto lat przed tym, zanim Dawne Królestwo upadło po śmierci króla Carusa.

– Nazywamy ich Małpami – pokiwał głową Hanno. – Nie są ludźmi, chociaż chyba nie są też małpami. – Milczał chwilę, nie patrząc na swoją towarzyszkę, lecz na morze. – W Valles można sprzedać również ich zęby, gdyż niektórzy chętnie je kupują. Ja zostawiam Małpy w spokoju, dopóki omijają moją chatę z daleka. Jednak, jak już powiedziałem... – Ponownie spojrzął na Sharinę. – Oni nie są ludźmi.

Sharina rozpięła pas i położyła pewlański nóż tak, żeby mieć go pod ręką. Codziennie rano zmieniała bok, do którego go przypasywała, gdyż był tak ciężki, że rozbolałby ją krzyż, gdyby zawsze nosiła go z tej samej strony.

– Mój przyjaciel Nonnus mówił mi, że dostatecznie trudno jest kierować własnym życiem, więc nie powinno się decydować za innych, jak mają żyć – powiedziała. Uśmiechnęła się do towarzysza. – Mimo to cieszę się, że nie polujesz na ludzi, żeby zdobyć ich zęby. Nawet na Włochatych Ludzi.

Hanno wyciągnął się na plecach.

– Co do nas, myśliwych z Bight – rzekł – to wielu uważa, że niczym nie różnimy się od Małp. Ja pochodzę z Ornifal. Mój ojciec był szewcem. Miał trzynaścioro dzieci, a poza tym nie nadawałem się do życia na wsi. Odszedłem poszukać własnego miejsca i dwadzieścia lat temu osiadłem na Bight. Widzisz, już wcześniej znałem się na wyprawianiu skór.

Sharina leżała na pościeli. Albo przywykła do zapachu, albo była zbyt zmęczona, żeby dłużej się nim przejmować.

– Lepiej się prześpij, panienko – poradził Hanno. – Wstajemy o świcie.

Jeśli powiedział coś jeszcze, to Sharina nie słyszała tego, ponieważ już spała.

Trzymający kuszę żołnierz wychylił się tak mocno za blanki, że Cashel chwycił go za ramię, żeby nie zleciał z muru. Dziwił się, że bełt kuszy nie wypadł z łoża, gdyż mężczyzna celował niemal pionowo w dół.

– *Z-zabić i-ich!* – wrzeszczał trzygłowy potwór. Jego ciało przypominało pęcherz stojący na jednej owłosionej nodze.

Kusznik nacisnął spust. Strzała poszła z zaskakująco głośnym trzaskiem. Ciężka wciąż brzęczała, gdy żołnierz wyprostował się. Trzaśnięcie przeleciało echem między kamiennym murem wieży i ścianą lasu.

Bełt trafił tuż poniżej trzech szyj potwora. Tułów oklapł jak przekłuty pęcherz, lecz nie trysnęła zeń ani kropla krwi.

– *Z-zab...* – wyszeptały zamierającym głosem trzy pyski.

Dziesiątki innych potworów zebrały się u podnóża wieży. Kolejna różowa błyskawica rozjaśniła ziemię w głębi lasu. Cashel dostrzegł pnie drzew i zarysy monstrualnych postaci, lecz nie potrafił odróżnić jednych od drugich ani orzec, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Tuż pod nim drabina z trzaskiem uderzyła o mur. Była zrobiona z drewna, ale jej górny koniec

okuto żelazem.

Cashel złapał ostatni szczebelek i odepchnął od siebie. Drabina już dygotała pod ciężarem pnących się po niej stworzeń. Mimo to mógł nią poruszać, lecz miał za krótkie ręce, by odepchnąć ją na tyle, żeby runęła do tyłu. Ponadto gdy próbował to zrobić, ciśnięty kamień otarł się o jego skroń. Puścił drabinę i cofnął się. Dzwoniło mu w uszach. Kuznik wściekle kręcił korbką swojej broni, a stojący po prawej ręce Cashela obrońca ciął drabinę ostrzem mającym kształt i ciężar rzeźnickiego tasaka. Skrzeszał skry, lecz nie przeciął drewna.

Cashel oparł okuty żelazem koniec laski o ostatni szczebel drabiny. Potem pchnął ją, przesuując w dłoniach.

Stwór o czterech rękach i gadzim łbie wgramolił się na górę. Machnął kosą, mierząc w twarz Cashela. Młodzieniec nie odskoczył. Ostrze chybiło o kilka centymetrów.

Drabina runęła w tył, czemu wtórowały przeraźliwe wrzaski. Jedno drzewce pękło i szczebelki poszybowały w powietrzu, niczym pałeczki zonglera.

Kamienie wieży rozświetlił dziwny błysk. Cashelowi wydało się, że w tym świetle widzi kości swojej ręki. Dotknął skroni i poczuł lepłą wilgoć. *Krwawię jak świnia, jak to przy ranie głowy...*

Po drugiej stronie wieży uderzały o siebie stal, kamień i drewno. Widocznie napastnicy również tam przystawili drabinę. Cashel już chciał skoczyć w tamtym kierunku na pomoc, lecz potwory wspinały się po murze wieży. W tym ostatnim rozbłysku dostrzegł coś, co miało macki ośmiornicy i tors kobiety o czterech piersiach. Miała topór w każdej macce i kły ostre jak u kota.

Ciężki kamień odbił się od blanki i upadł na bruk. Zahag złapał go, po czym skrzecząc, doskoczył do strzelnicy. Przewiesił się przez mur, mocno przytrzymując się nogami, po czym oburącz rzucił pocisk. Zanim Cashel zdążył wyciągnąć rękę, żeby go przytrzymać, Zahag zwinnie wrócił na swoje poprzednie miejsce obok Arii. Wciąż skrzeczał.

Cashel już nie rozróżniał krzyków obrońców od tych, które wydobywały się z gardeł atakujących mury potworów. Niektóre z nich niczym nie różniły się od ludzi – prawie.

Bezgłowy stwór o pajęczych kończynach wspiał się na blanki. Kuznik posłał bełt prosto w jego psi tors. Stworzenie przycisnęło swe delikatne, podobne do szczypiec ręce do dziury w piersi. Cashel uderzył potwora nasadą pałki, jakby wyważał zamknięte drzwi. Pajęczak spadł z muru. W poszyciu lasu znów zamigotały różowe błyski.

Przy podstawie wieży brzęknęła cięciwa. Stojący obok Cashela żołnierz zaklął i cofnął się. Strzała przeszła mu przegub. Była zrobiona z pędu ostrężyny i zamiast brzechwy z piór, miała wyłobienia zapewniające jej prosty lot. Żołnierz wyrwał ją z rany. Zrobiony z psiego kła grot upadł na kamienie. Żołnierz złamał strzałę, uderzając nią o blanki, a potem cisnął kawałki za mur.

W lesie zapadła cisza, przerywana tylko sporadycznym pohukiwaniem. Między drzewami zalegał mrok, od czasu do czasu rozjaśniany przez drżący błysk w oddali. Niebo na wschodzie jakby poszarzało, chociaż bitwa nie trwała dostatecznie długo, żeby już miał nadchodzić świt. A może?

– Dobra robota, ludzie! – powiedział kapitan Koras. Miał zmęczony głos. Wokół dał się słyszeć zgrzyt chowanych do pochew ostrzy.

Cashel usłyszał płacz księżniczki. Klęknął przy niej i rzekł:

– Już wszystko dobrze, księżniczko. Jesteś bezpieczna.

Miał nadzieję, że to prawda. W każdym razie powinien powiedzieć jej coś takiego. Zahag przykucnął obok niego i powiedział:

– Pokazaliśmy im! To ich nauczy nie pchać się na nasze terytorium, prawda, wodzu?

Cashel skrzywił się, czując paskudny smród. Widocznie Zahag ciskał w napastników swoimi ekskrementami, kiedy nie miał lepszych pocisków. No cóż, zrobił, co mógł. Nikt nie śmiał mieć mu

tego za złe. Aria niepewnie otworzyła oczy. Kiedy upewniła się, że żaden stwór nie skoczy na nią z nożem w rękę, popatrzyła na Cashela.

– Och! – zawołała. – Zabiły cię! Jesteś cały zakrwawiony!

– Co? – zdziwił się Cashel. Przypomnił sobie tę cegłę, która musnęła jego skroń. Ostrożnie dotknął głowy. Krew wciąż sączyła się z rany. Nie znosił ran głowy, chociaż trzeba przyznać, że szybko się goiły.

– Pozwól, że zabandażuję ci tę ranę, młodzieńcze – zaproponował kapitan Koras, podchodząc do niego z wiadrem wody. W drugiej ręce trzymał duży grzyb, wysuszony i służący jako gąbka. – Czy twoja dama zechce ją najpierw obmyć?

– Dobra Panienko! – wykrzyknęła z obrzydzeniem Aria, zasłaniając sobie oczy.

Koras odkaszlnął, zmieszany, po czym zaczął obmywać zakrwawioną głowę młodzieńca. Woda lekko szczypała, jakby była zmieszana z octem.

– Gdybyś zginął – powiedziała Aria, nie patrząc na Cashela – co ja bym zrobiła? Och, na Panienkę, jak możesz być taki okrutny?

– Co wy tutaj robicie, panie? – zapytał Cashel. Podczas gdy kapitan opatrywał mu ranę, młodzieniec trzymał ręce na podolku i wpatrywał się w dal. – Mam na myśli tę wieżę.

– Griet, ty masz paczkę kolców, prawda? – zapytał Koras. – Przynies je naszemu rannemu towarzyszowi. – I znacznie łagodniejszym tonem odpowiedział: – Bronimy jej przed potworami, zacny panie. To chyba oczywiste.

Niebo naprawdę jaśniało. W różowym brzasku zabłysły szyszaki obrońców – tych, którzy nosili na głowach hełmy.

– A dlaczego jej bronicie? – zapytała Aria, chociaż najczęściej sprawiała wrażenie nieświadomej tego, gdzie się znajduje, a jedynie oburzonej taką niesprawiedliwością losu.

– No cóż, ponieważ tu jesteśmy – odparł Koras. Wydawał się zdziwiony tym pytaniem, lecz w jego głosie pobrzmiwało też lekkie zmieszanie. Palcami zacisnął płaty rozciętej skóry na skroni Cashela. Żołnierz o dziwnie okrągłych oczach zamknął brzegi rany, spinając je kolcami. Każde ukłucie było jak dotknięcie rozżarzonej i powoli gasnącej iskry. Cashel jeszcze nigdy nie widział, żeby zaszywano ranę w taki, najwyraźniej jednak skuteczny, sposób.

Rzeczywiście wstawał świt. Liście znów odstawały od gałązek, wokół których owinęły się na kilka nocnych godzin. Tylko czy naprawdę było to kilka godzin?

– Och! – jęknęła Aria. Cashel zerknął na lewo, podążając za jej spojrzeniem. Patrzyła na krępego mężczyznę z włócznią i napierśnikiem z żelaznych ogniw. Miał twarz kota, a nawet kocie wąsy. Kiedy zauważył, że księżniczka przygląda mu się, pospiesznie schował się za plecami innych. Strzelający z kuszy żołnierz o mocno owłosionych ramionach miał także włochate nogi. Kończyły się kozimi kopytami, a dwie wypukłości na hełmie z pewnością skrywały dwa rogi.

– Dulle, opuść drabinę i zacznij zbierać śniadanie – rozkazał kapitan Koras. – Meg, ty też idź.

Stał tak, że zasłonił Cashelowi żołnierza o kociej twarzy. Kapitan z wymuszoną wesołością powiedział:

– Żywimy się grzybami, które rosną w tym lesie, zacny panie. Są bardzo smaczne. Nasza służba jest ciężka, lecz jadamy lepiej niż królowie!

Żołnierz o kociej twarzy i jego koźlonogi partner szybko opuścili się po drabince sznurowej. Pozostali obrońcy wyglądali zza muru, dopóki tamci nie znaleźli się na dole. Przyjrząwszy się uważniej, Cashel zauważył u większości żołnierzy cechy, które zaskoczyłyby go w Barca's Hamlet. Nawet kapitan miał ślady łusek na grzbietach dłoni i na szyi wystającej spod osłony napierśnika.

– Twoja odwaga zrobiła na mnie wrażenie, młody człowieku – powiedział Koras. – Czy ty i twoi

towarzysze zechcielibyście dołączyć do nas? Znaleźlibyście się wśród dzielnych ludzi i mielibyście poczucie, że wykonujecie tu niezwykle odpowiedzialne zadanie: stoicie jak falochron powstrzymujący falę potworów ciemności.

Aria z przerażeniem spojrzała na kapitana. Wyglądała jak zahipnotyzowany królik, ku któremu powoli, lecz nieuchronnie pełźnie zmija.

Cashel odchrząknął. Nie chciał urazić Korasa i jego... hm... ludzi. Jednak...

– Ach, panie – odrzekł, podnosząc się na nogi. – Dziękuję ci za tę propozycję, ale myślę, że skoro już nadszedł świt, ruszamy w dalszą drogę. Obiecałem odprowadzić tę oto księżniczkę do jej matki.

Kolce spinające ranę wytrzymały, chociaż trochę ciągnęły. Właściwie wcale nie czuł rany, tylko tępy ból i pulsowanie wywołane uderzeniem.

– Ja nie, ja nie obiecywałem! – zaskrzeczał Zahag. – Mimo to też chcę odejść stąd, jak najprędzej!

– No cóż – powiedział kapitan. – Rozumiem, że jest to teraz najważniejsze. A zatem pożegnamy się. I możesz być pewny, że będą ci towarzyszyć najlepsze życzenia obrońców ludzkości.

Sznurowa drabina była przymocowana do dwóch grubych ogniw osadzonych w murze. Cashel skinął na Arię. Ruszyła się zwawiej niż kiedykolwiek, nie licząc tych chwil, kiedy niósł ją na plecach. Zahag już schodził po murze, w pośpiechu ignorując drabinkę.

– Spotkanie z wami było dla mnie... zaszczytem – powiedział Cashel. – Mam nadzieję, że... hm... wasza walka zakończy się zwycięstwem.

Miał nadzieję, że nie zorientują się, że pilnuje drabinki, tak by nikt nie przeciął sznurów, zanim Aria znajdzie się na dole. Dotychczas ci żołnierze zachowywali się przyjaźnie, ale...

Zza pleców Korasa wysunął się żołnierz, trzymając w ręku spory kawał grzyba barwy szafranu. Dar pachniał jak świeży chleb. Żołądek Cashela skurczył się z zachwytem.

– Prowiant na drogę, panie – oznajmił Koras, wręczając mu dar. Żołnierz, który przyniósł grzyb, miał bardzo długie i mocno owłosione palce. Prawdę mówiąc, trudno byłoby je odróżnić od paluchów Zahaga.

– Dziękuję – odparł Cashel. Wepchnął grzyb za pazuchę tuniki. Aria narzekałaby, ale ona zawsze narzeka. Skłonił się.

Jego towarzysze cali i zdrowi byli już na dole. Cashel zrzucił swoją pałkę, która z łoskotem upadła na ziemię w bezpiecznej odległości od nich.

– Niechaj strzeże was Pasterz, panowie – powiedział. Wskoczył na mur i opuścił się na ziemię tak szybko, jak pozwalało na to zachowanie choć najmniejszego marginesu bezpieczeństwa. Pomachał ręką do obrońców, po czym wraz z towarzyszami ruszył w tym samym kierunku, w którym zmierzali przez cały czas – szlakiem na wschód. Aria ciągnęła go za rękę, dopóki wieża nie zniknęła im z oczu.

– Kiedy Silya wysłała nas z dworu króla Folquina... – zaczął Zahag. W jego głosie pobrzmiwały takie dziwne nutki, jakich Cashel jeszcze u niego nie słyszał i nie potrafił orzec, jakie wyrażały uczucie. – Była noc i nigdy przedtem nie byłem w takim miejscu. Pamiętasz?

– Pamiętam, że ocknąłem się tam – odparł Cashel.

– Byłem rad, że się ocknąłeś, wodzu – powiedział Zahag. – Domyślam się, że ci ludzie na wieży też ocknęli się w jakimś dziwnym miejscu. Nie jest dobrze być samemu w nocy w jakimś obcym miejscu.

Cashel odchrząknął, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć. Szli dalej, wszyscy troje.

Razem.

DZIEWIĘTNASTY DZIEŃ CZAPLI

Garric siedział na pękatej kamiennej beczce, będącej fragmentem frontowej kolumnady kapliczki. Kolumny runęły, pociągając ze sobą przyczółek i fragment dachu. Oddychał z trudem i drżały mu mięśnie ud.

Nie miał czasu na odpoczynek, od kiedy weszli w to przejście z tamtej strony, całe wieki temu.

Liane wyszła ze świątyni i podeszła do niego. Była trochę oszołomiona, ale w znacznie lepszej formie niż Garric. Z najwyższym trudem trzymał nerwy na wodzy. Ilekroć spojrzał na krzaki, widział zmierną ku niemu postać o jaśniejszej twarzy wykrzywionej w demonicznym uśmiechu.

– Tenoctris nic się nie stało – oznajmiła Liane. – Chciała coś sprawdzić.

Garric zerknął na dziewczynę. Skinęła głową.

– Pewne zaklęcie – dodała cicho. – Nie chciałam tego słuchać.

Usiadła obok Garrica. Przesunął się, lecz na okrągłym kamieniu nadal siedzieli blisko siebie.

– Garricu? – spytała. – Tam coś było, prawda? Towarzyszyło nam w drodze do tego miejsca.

– Nic nie mogła nam zrobić, dopóki pozostawaliśmy na ścieżce – odparł Garric, unikając jej spojrzenia. Nie była to jasna odpowiedź i nawet nie wiedział, czy prawdziwa. Jednak modlił się, żeby była prawdą.

– I dopóki Tenoctris wymawiała zaklęcia – dodała Liane. Spojrzała na księżyc w nowiu. Miał tę samą barwę co naga kobieta, której zimny i srebrzysty śmiech podążał za Garrikiem...

– Musiały runąć niedawno – powiedział raźnie Garric. Poklepał fragment kolumny leżący obok tego, na którym siedzieli. – Porosła je lonicera, ale siewki sosny sięgają mi najwyżej do kolan.

Liane uśmiechnęła się, słysząc, jak zmienia temat. Ujęła jego dłoń i uścisnęła ją.

– Zapewne podczas trzęsienia ziemi przed dwoma laty – powiedziała. – Byłam wtedy na Akademii Panny Gudei. W Valles nie było większych zniszczeń, ale wstrząsy poważnie uszkodziły stary pałac.

– Przed dwoma laty? – powiedziała Tenoctris, stając w progu. Młodzi drgnęli, zaskoczeni. Garric wyrwał dłoń z ręki Liane. – Myślałam, że nieco dawniej – ciągnęła staruszka – lecz być może moc zbierała się tam całe miesiące lub lata, zanim zaczęła wywierać wpływ na świat realny.

– Wpływ? – zapytał Garric.

Tenoctris uśmiechnęła się. Wyglądała tak, jakby wleczono ją za końskim ogonem, ale nadal trzymała się na nogach. W dłoni ścisnęła wierzbową witkę, z której Garric wyciął jej różdżkę. Pozwoliła, by Liane wzięła ją za rękę, po czym pomaszerowała do sąsiedniego fragmentu kolumny i usiadła, jakby wcale nie potrzebowała pomocy.

– Coś tu przyszło – powiedziała. Poznaczoną niebieskimi żyłkami dłonią poklepała kamień. – Mówię o tym miejscu, nie o naszym świecie. I nie wiem, co to takiego.

Garric i Liane spojrzeli na starą czarodziejkę. Garric rozprostował ramiona. Tenoctris ważyła niewiele, ale niósł ją nie wiadomo jak długo po tej srebrzystej ścieżce.

– To coś, co nas tu przyniosło? – spytała Liane.

Garric wyprostował się.

– Nic nas tu nie przyniosło! – rzekł.

Sam był zaskoczony gwałtownością swojej wypowiedzi. Odkaslnął i dodał:

– Chcę powiedzieć, że znaleźliśmy się tu zupełnie przypadkowo. Pewnie podążaliśmy do Valles.

Jednak ten Brzeg i to, że Liane rozpoznała kapliczkę w tamtym miejscu – to zwyczajny przypadek.

Tenoctris uśmiechnęła się lekko.

– Jak wiecie – zaczęła – ja nie wierzę w Wielkich Bogów...

– A ja tak – przerwała jej stanowczo Liane. – Tenoctris, to nie może być tylko przypadek. Takie rzeczy nie dzieją się przypadkowo!

Tenoctris wzruszyła ramionami.

– Nie wierzę też w przeznaczenie – ciągnęła, jak zwykle spokojnym tonem. – Gdybym jednak uznała, że wszystkie te wydarzenia są dziełem wroga, królowej lub jakiejś innej osoby usiłującej osiągnąć swoje cele z pomocą Malkara, najlepszą radą, jaką mogłabym wam dać, byłoby pogodzenie się z losem. Czegoś, co potrafi tak zręcznie nami manipulować w takich skomplikowanych sytuacjach, nie zdołamy pokonać nie tylko my, ale żaden człowiek.

Garric uśmiechnął się. Kobiety patrzyły na niego z nieprzeniknionymi minami. Uśmiech Garrica poszerzał się, aż stał się tak szeroki jak tego popołudnia, kiedy w Święto Barana pokonał strażnika z eskorty kupca. Tamten człowiek uważał się za mistrza w posługiwaniu się pałką – i nagabywał Sharinę, chociaż ona jasno dała mu do zrozumienia, że sobie tego nie życzy.

– No cóż, to ułatwia decyzję – powiedział Garric. – Przecież nie zrezygnujemy, prawda?

– Nie – szepnęła Liane. Tenoctris tylko uśmiechnęła się.

– Zatem równie dobrze możemy uznać, że Wielcy Bogowie są po naszej stronie – wyjaśnił. – Albo los, lub też mamy jakiegoś... – Z powątpiewaniem rozłożył ręce. – Jakiegoś przyjaciela, gracza dostatecznie zręcznego, aby spowodować wszystkie te wydarzenia. Ponieważ nie zrezygnujemy, więc równie dobrze możemy wierzyć, że zwyciężymy.

Zawsze był tradycyjnie religijny, jak wszyscy mieszkańcy wioski. Ateizm i wolnomyślicielstwo były dla mieszkańców bogatych miast, nie wiosek, gdzie ciężka zima lub gwałtowny sztorm mogły oznaczać głód dla całej społeczności. Jednakże prawdziwa wiara to coś innego. Pani i Pasterz byli zbyt wielcy, aby zajmować się taką małą osadą jak Barca's Hamlet.

Co do Duzi, to cóż, Garricowi przyjemnie było pomyśleć, że ktoś mu towarzyszy, kiedy pilnował pasących się na łąkach owiec. Może ten ktoś nazywał się Duzi i naprawdę lubił wianki oraz okruchy sera, które Garric i inni pasterze składali w ofierze pod głazem z jego toporną podobizną. Kawałek sera i wianek to niewielki wydatek, nawet dla pasterza.

Garric nie zmienił swoich przekonań, ale zachował je takie, jakie były w rodzinnej wiosce. Jeśli jesteś odpowiedzialny za sprawy zbyt skomplikowane, by nad nimi zapanować, choćbyś nie wiem, jak się starał, wtedy dobrze jest wiedzieć, że strzeże cię ktoś, kto wie więcej od ciebie.

– Ofiarowałbym kawałek sera – rzekł, pozwalając, by jego uśmiech zmienił się w lekkie skrzywienie ust. – A nawet cały krążek sera. Nie wiem tylko, gdzie go położyć.

Liane spojrzała na niego z miną zdradzającą obawę, że jej towarzysz nagle oszalał. Tenoctris nadal uśmiechała się, a gdzieś w jaźni Garrica wysoki i opalony król Carus skręcał się ze śmiechu.

– Czy chcesz przeprowadzić tu jeszcze jakieś... badania? – spytała nastroszona Liane. Pomyślała, że śmiał się z niej, ale myliła się. Garric ponownie uściśnął jej dłoń.

– Nie mogę się doczekać, kiedy położę się do łóżka – odparła staruszka. – Przybywając tutaj, nauczyłam się czegoś, ale nie mam tu już nic więcej do roboty.

Znowu uśmiechnęła się. Tenoctris nie była wesołym kompanem, lecz Garric przeważnie widywał ją zadowoloną i szczęśliwą. Niezwykła cecha charakteru, zważywszy na to, jak często stawała w obliczu groźby chaosu i niebezpieczeństwa. Ostrożnie podniosła się z kamienia.

– Wydaje się, że wszystkie kości mam całe – oznajmiła. – A przynajmniej na tych samych miejscach. Chociaż nie byłam akrobatką nawet wtedy, kiedy byłam w tym wieku co wy.

Garric zmarszczył brwi.

– Jesteśmy niecałe dwa kilometry od Valles? – zapytał Liane.

Kiwnęła głową, natychmiast domyśliwszy się, o czym myślał.

– Co najmniej – przytaknęła. – I dwa razy tak daleko od portu, gdzie znajduje się większość gospód. Pójdę wynająć lektykę – albo powóz, jak uważasz? Ty zajmij się Tenoctris.

Klepnęła się w okolicę pasa i usłyszała cichy krzepiący brzęk. Liane nosiła przy sobie resztki fortuny ojca, w złotych monetach umieszczonych w sakiewce pod tuniką. Było tam dość sandrakkańskich jeźdźców, by kupić statek, nie mówiąc już o wynajęciu lektyki i czterech tragarzy.

– Ja pójdę – oświadczył Garric. – Będziecie tu bezpieczne, dopóki nie wrócę. Jeśli Valles nie jest rajem w porównaniu z Carcosą i Erdinem, wynajmowanie lektyki w tawernie to niebezpieczne zajęcie dla samotnej dziewczyny z trzosem złota.

Sam miał w sakiewce srebrne i miedziane monety, ale było ich dostatecznie dużo, żeby wynająć tragarzy. Oprócz jego ojca, Reisego, oraz może Katchina Młynarza, nikt w Barca's Hamlet nigdy nie widział tyle pieniędzy w bilonie, ile teraz miał Garric. A i sam Reise nie widział takiej sumy, od kiedy dzień po zamieszkach opuścił Carcosę z żoną i dwoma nowo narodzonymi dziećmi. Liane wprawdzie uśmiechała się, lecz bez cienia wesołości.

– Nie, Valles to nie raj – powiedziała. – Szczególnie północny kraniec miasta, przez który musimy przejść. Zapomniałam, że kiedy w przeszłości wychodziłam na miasto, zawsze towarzyszyli mi słudzy ojca lub woźni z Akademii Panny Gudei. – Ruchem głowy wskazała kapliczkę, przy której się znaleźli.

– Oczywiście, wejście jest zwrócone ku wschodowi słońca w porach zrównania dnia z nocą – powiedziała. – Brukowana droga prowadzi do pałacu, który znajdował się zaledwie o sto kroków na południe od tego miejsca. Ścieżka jest tak zarośnięta, że panna Gudea przed każdą wycieczką musiała wysłać tu robotników z sekatorami, ale...

– Myślę, że zdołam znaleźć drogę przez las, Liane – powiedział Garric. – Nawet po ciemku.

Trochę dotknęło go, że dziewczyna traktowała go tak, jakby był nieporadnym mieszczuchem, który nie odnajdzie drogi do domu, jeśli znajdzie się poza miastem. Chociaż...

Może nie martwiło go to, że Liane mówiła mu rzeczy, które dobrze wiedział, ale jej milczące założenie, że wiedział coś, o czym nie miał pojęcia. Fakt, że drzwi świątyni wychodziły na wschód, wcale nie był oczywisty dla Garrica, chociaż wyczuł przytaknięcie Carusa. W Barca's Hamlet nie było świątyni, a prawdę mówiąc, żadnej nie znalazłoby się nawet w odległości jednego dnia podróży od wioski.

– Och, przepra... – zaczęła Liane.

Garric mocno ją uścisnął.

– To ja przepraszam – rzekł. – Boję się, że może trzeba będzie wiedzieć coś, czego nie wiem. I nie uda nam się przez moją niewiedzę.

Liane pocałowała go w policzek.

– Uda nam się – powiedziała. – Pani i Pasterz są po naszej stronie, pamiętasz?

– Racja – powiedział Garric, odchodząc. – Racja!

Ruszył rażnym krokiem tak szybko, że o mało nie wszedł na pień wysokiego buka. Byłaby to niezła puenta jego przechwałek o tym, jaki z niego doświadczony leśnik! Roześmiał się, szczęśliwy jak dziecko, a potem zaczął pogwizdywać wesołą piosenkę zatytułowaną *Radosny oracz*. Setki razy wygrywał ją na fujarce na weselach i dożynkowych zabawach. I tańczył przy niej, wysoko podskakując i obracając się w powietrzu, gdy Lupa os-Queddin wystukiwał rytm drewnianą łyżką na trzech częściowo wypełnionych wodą dzbanach. Czy panna Gudea uczyła swoje podopieczne

tańczyć?

Stara droga znajdowała się bliżej, niż oczekiwał. Prawdę mówiąc, Garric nie zastanawiał się wiele nad tym, co teraz robił. Nawet pnącza, które zaczepiały o jelec jego długiego miecza i owijały się o pochwę, nie zdołały popsuć mu dobrego humoru.

Korzenie powybrzuszały kamienie bruku, tworząc wzór równie nieregularny jak pofalowana powierzchnia morza. Garric próbował iść po drodze, ale zaraz doszedł do wniosku, że lepiej będzie przedzierać się przez rosnące wzdłuż niej chaszczce. Stara droga pozwalała mu utrzymać kierunek marszu, ale łatwiej było iść po leśnej ściółce.

Usłyszał szczekanie psów – zapewne ogarów, niecierpliwie szarpiących smycze. Ten trakt doskonale nadawał się do polowania – chociaż to, które znał Garric, polegające na wędrówce przez las z łukiem i tępo zakończonymi strzałami na wiewiórki, znacznie różniło się od królewskich łowów, jakie pamiętał Carus.

Wspomnienie z bardzo dawnych czasów sprawiło, że Garric zaczął się zastanawiać, czy teren starego pałacu nadal należy do królewskiej rodziny. To wyjaśniałoby, dlaczego niczego tutaj nie zbudowano. Leżące tak blisko Valles tereny z pewnością były zbyt atrakcyjne, aby pozostawiać tu tylko ruiny i krzaki.

Wciąż pogwizdywał. Postanowił wyciąć sobie puszczalkę, kiedy znajdzie chwilę czasu. Przy drodze do Ornifal na pewno znajdzie trzciny i wosk...

Z histerycznym podnieceniem zaszczekał ogar. Garric obejrzał się przez ramię. Pies był blisko.

W następnej chwili trzy ogary wypadły z krzaków i z irytująco głośnym ujadaniem rzuciły się w kierunku Garrica. Cętkowane boki sprawiały, że zwierzęta wyglądały w półmroku jak zjawy.

– Hej! – zawołał Garric. Pożałował, że nie wziął pałki. – Zostawcie mnie, już!

Nie był przestraszony, ale zaskoczony i trochę zły. Psy były duże i wszystkie razem ważyły zapewne więcej od rosnącego mężczyzny, jakim był Garric. W Erdinie złe psy w nabijanych ćwiekami obrożach wiązano na łańcuchach przy bramach domów bogaczy lub prowadzono na smyczach przed lektykami, żeby broniły szlachetnie urodzonych dam przed nagabywaniem. Natomiast te psy były ułożone do polowania.

Garric oparł się plecami o pień. Nawet dwa psy mogły zrobić coś, na co nigdy nie odważyłyby się w pojedynkę. Pod tym względem były jak ludzie.

Lepiej, żeby zaraz zajęły się swoimi sprawami – szopem, jeleniem czy inną zwierzyną, na jaką polowano na Ornifal. W przeciwnym razie Garric będzie musiał uciąć mieczem kij i tłuc je po nosach, aż nabiorą rozumu.

Z lasu wyszedł myśliwy w obcisłym kubraku i bryczesach. W jednej ręce trzymał inkrustowany srebrem róg, a w drugiej włócznię opatrzoną tuż za grotem poprzeczką, mającą zapobiec ześlizgnięciu się dzika lub innego groźnego zwierzęcia po drzewcu. Psy zaczęły ujadać jeszcze głośniej, doprowadzając Garrica do szału.

– To twoje psy? – zapytał. – Zabierz je ode mnie, dobrze?

Zamiast odpowiedzi myśliwy przyłożył instrument do ust i wydobył z niego dwa krótkie dźwięki. Garric u żadnej krowy nie widział tak krętych rogów, a jeśli te należały do kozła lub kozy, musiało to być zwierzę znacznie większe od tych, które hodowano na Haft.

– Powiedziałem, żebyś zabrał psy! – warknął Garric. – Czy tak traktujecie podróżnych na Ornifal? Jeśli tak, to niech was Siostra!

Duch Carusa dochodził do głosu, jak zawsze gdy Garric był zły lub przestraszony. Niemal bezwiednie położył dłoń na rękojeści miecza. Myśliwy cofnął się o krok i wymierzył grot włóczni w pierś Garrica.

Nie powinien tego robić. Garric ujrzał w myślach, jak błyskawicznym ruchem wyrwa miecz z pochwy i ścina głowę napastnikowi. Potem cięcie w lewo i w prawo, psy odlatują na boki, ich szczekanie cichnie w potokach krwi, a szybkie pchnięcie w tył załatwia trzecie zwierzę, które zaatakuje plecy...

Z mroku wyłonił się jakiś szlachcic. Towarzyszyło mu sześciu zbrojnych w hełmach i kolczugach. Nie byli to myśliwi, lecz żołnierze. Trzej trzymali dzidy o wąskich grotach, przebijających zbroje, a pozostali mieli w rękach miecze.

W takich gęstych zaroślach biała broń jest poręczniejsza od luków, zauważył trzeźwo i fachowo wojownik ukryty w umyśle Garrica.

– Uważaj, lordzie Royhasie! – zawołał myśliwy do szlachcica. – On ma miecz!

– Uspokój psy! – powiedział szlachcic. – Nie można zebrać myśli w tym hałasie.

Garric zdał sobie sprawę z tego, że jego ubranie, chociaż dobrej jakości, mocno ucierpiało podczas podróży. Wprawdzie wyprali swoje rzeczy podczas pierwszego postoju po ucieczce z Brzegu, lecz na tunice były plamy, których nie dało się usunąć w zimnej wodzie i nie zdołali połatać wszystkich dziur.

Myśliwy upuścił włócznię, złapał dwa psy za obroże i odciągnął je. Trzeci podążył za swoim panem i towarzyszami, wciąż skamłając z podniecenia.

– Dziękuję, panie – powiedział Garric. Klepnął się po skórzanej sakiewce u pasa. – Jestem Garric or-Reise z Haft. Chociaż pewnie wyglądam nie najlepiej, nie jestem włóczęgą.

Odetchnął z ulgą. Szczekanie bardziej grało mu na nerwach niż otwarta groźba. Te psy nie atakowały go, więc Garric nie mógł nic zrobić.

– Tak też myślałem – powiedział uprzejmie szlachcic. – Jestem Royhas bor-Bolliman, królewski łowczy.

Żołnierze podeszli bliżej, bez pośpiechu. Byli już zbyt blisko, żeby Garric mógł wyjąć swój długi miecz. Dwaj żołnierze schowali swoje do pochew. Oszczepnicy stanęli w odległości trzech kroków od niego i z łatwością mogliby zakłuć Garrica, gdyby próbował walczyć z pozostałymi czterema zbrojnymi.

– Pozwól, panie, że zabierzemy to – powiedział żołnierz, klękając, by odpiąć młodzieńcowi skórzany pas z mieczem. Dwaj żołnierze chwycili Garrica za ręce. Nie grozili mu swymi mieczami, ale trzymali je w pogotowiu.

– A cóż to ma znaczyć? – warknął Garric. Wcale nie był przestraszony. Raczej zdziwił się swoim chłodnym rozumowaniem, nie pozwalającym dojść do głosu emocjom. Rok wcześniej – a nawet przed kilkoma miesiącami – byłby wstrząśnięty i przestraszony. Mężczyzna, którym się stał, od kiedy opuścił dom, szukał jakiegoś wyjścia z sytuacji.

W tym momencie nie widział żadnego.

– Powiadomiono króla Valence'a, że pojawi się tu uzurpator, podający się za potomka starego królewskiego rodu – wyjaśnił Royhas. Ten trzydziestoletni mężczyzna poruszał się z gracją człowieka, który więcej czasu spędza na powietrzu niż przy stole. – To oczywiste, że królewskiemu łowczemu polecono go schwytać. Nawiasem mówiąc, ci ludzie to moi zbrojni, a nie królewscy żołnierze.

Royhas dał znak ludziom trzymającym Garrica. Klęczący żołnierz odpiął już młodzieńcowi pas z mieczem. Zbrojni stanowczo, ale nie brutalnie, wykręcili mu ręce do tyłu. Garric nie opierał się. Czwarty żołnierz związał go miękkim, mocnym sznurem. Zapewne z jedwabiu, pomyślał Garric.

– Nie jestem uzurpatorem – powiedział. Naprężył mięśnie, gdy żołnierz zawiązywał sznur. Trzymający go żołnierze znali tę sztuczkę: uderzyli go w łokcie rękojeściami mieczy. Kiedy mimo

woli rozluźnić mięśnie, żołnierz mocno zacisnął wężel.

Skąd Valence wiedział, że Garric zjawi się właśnie tu? I co zamierzał...

– Mistrz Silyon, królewski czarodziej, najwyraźniej jest innego zdania – rzekł obojętnie Royhas.
– Paskudny z niego jegomość. Jednakże miał rację, mówiąc, że się tu zjawisz, prawda?

Sznur, którym skrepowano Garrica, miał dwa luźne końce. Dwaj żołnierze przywiązali je do swoich pasów, uniemożliwiając wszelkie próby ucieczki.

– Zamkniemy cię w powozie, a potem poszukamy twoich przyjaciół, którzy mieli tu gdzieś być – rzekł Royhas. Uśmiechnął się. – Mój pan i władca rozkazał mi, żebym po cichu pozbył się was wszystkich. Jakby nigdy was tu nie było.

Sharina przykucnęła w miejscu, gdzie teren stał się dostatecznie płaski, aby mogła wyrosnąć na nim kępa gigantycznych paproci. Rododendrony wystawiały spomiędzy nich swe twarde zielone liście.

– Zaczekaj chwilkę! – zawołała do Hanno.

Nie była zmęczona, lecz w trakcie długiej podróży statkiem i na łodzi Hanno odzwyczaiła się od chodzenia. Od zatoczki na brzegu Bight, gdzie zostawili łódkę, droga wiodła w górę po wzniesieniu, które było raczej urwiskiem niż zboczem. Poprzedni wędrowcy wykuli uchwyty w szczególnie stromych miejscach. To umożliwiało wspinaczkę, lecz Sharina zastanawiała się, jak myśliwy wniesie na górę tony swego bagażu.

– To niedaleko, panienko – powiedział Hanno. – Te rzeki płyną na północ i na wschód, lecz ja i mój partner Ansule uważamy, że lepiej trochę się powspinać, niż przez dwa dni wiosłować do Valles. Inni myślą inaczej, ale oni przeważnie płyną pod żaglami.

W lasku trzepotały motyle o skrzydłach wielkości dłoni Shariny, przysiadając na kwiatkach pnączy, które porastały łodygi ogromnych paproci. Jeden z nich wylądował na jej ramieniu. Był ciężki i z niewiarygodną siłą uczeplił się jej swymi cienkimi nóżkami. Westchnęła ze zdziwienia. Wielki motyl rozwinął swoją długą trąbkę i dotknął nią jej skóry.

– Szuka soli – wyjaśnił nonszalancko Hanno. Niósł tylko broń, długą włócznię i noże za pasem. – Gdybym znalazł jakiś sposób, żeby dostarczyć ich skrzydła do Valles, byłbym bogaty. Po śmierci motyla zaraz tracą kolor.

Owad na ramieniu Shariny siedział tak blisko, że widziała go tylko jednym okiem. Skrzydła miał w czarno-białe pasy, a na ich spodzie czerwone plamki. W porównaniu z innymi, fruwającymi w gaju, ten był wyjątkowo skromnie ubarwiony. Na myśl, że miałby ozdobić suknię jakiejś bogatej damy, Sharinie zrobiło się przykro. Motyl wszedł na jej szyję.

– Och! – sapnęła i zdecydowanym ruchem strąciła go wskazującym palcem. Ze skrzydeł posypały się łuski i zawirowały w smudze słonecznych promieni. Sharina uśmiechnęła się i powiedziała: – Gdybym była milszą osobą, nie przekreśliłabym jednym pstryknięciem palca wszystkich życzliwych myśli.

Hanno uśmiechnął się.

– Nie przejmuj się motylami – powiedział. – Sądzę, że one interesują się tylko sobą. Mnóstwo osób uważa, że wystarczy siedzieć i ładnie wyglądać. Za takimi też nie przepadam.

Podniósł się z ziemi.

– Możesz już iść? – zapytał.

Sharina wstała.

– Jutro zmontujemy z Ansulem wielokrążek, żeby wciągnąć zapasy do chaty – oznajmił myśliwy.
– Jest już późno, więc nie musimy się o nie obawiać. Nic nam nie będzie, jeśli przez jeszcze jeden

dzień będziemy jedli podpłomyki z mięsem.

Zaprowadził Sharinę do rzędu pandanowców. Każdy z łuskowatych pni był otoczony wieńcem korzeni sięgających Sharinie po pas. Ten teren był położony znacznie niżej niż krawędź urwiska, więc zapewne był zalewany podczas sztormów.

– A co z łodzią? – spytała Sharina. Zostawili ją zacumowaną w zatoczce, w cieniu gigantycznych palm. Brzeg wznosił się stromo od samej linii wody. Chociaż łódka mogła wpłynąć tam podczas ładnej pogody, pierwszy sztorm z zachodu lub północnego zachodu roztrzaskałby ją o kamienną ścianę.

– Wciągniemy ją po pniu jednej z tych wielkich palm i przymocujemy, żeby czekała, aż znów będzie nam potrzebna – odparł myśliwy. – Zbocze góry jest tak blisko, że wiatr nie zdoła powalić drzew. Dlatego są takie duże. A cypel powstrzyma fale, które rozbijają się na nim na pianę.

Sharina usłyszała brzęczenie. Odwróciła się i spojrzała. Ze zdrewniałej łodygi pnąca sterczał grzyb wielkości ludzkiej głowy.

– Co?... – zaczęła i w tym momencie z miseczkowatego grzyba uniosła się chmara much oraz potworny odór.

Hanno roześmiał się.

– Lepiej nie dotykaj tych śmierdzieli, panienko – poradził. – Chociaż prawdę mówiąc, wokół naszej chaty też nie pachnie najlepiej, kiedy garbujemy skóry.

Przekroczyli niewielką grań, rzucającą się w oczy bardziej z powodu szumu pobliskiego strumyka niż stromizny. Hanno podążał jakąś sobie tylko znaną ścieżką. Cienka warstwa gleby i nikłe światło sączące się przez baldachim liści nie pozwalały dostrzec żadnych śladów na ziemi.

Strumyk cienką strużką sączył się po bazaltowych głazach. Oba jego brzegi były porośnięte paprociami, gigantycznymi filodendronami oraz sięgającym po kolana mchem.

Sharina wyczuła zapach spalonego drewna. Kichnęła.

– Chyba dochodzimy... – zaczęła.

Poczuła smród gnijącego mięsa zapierający dech w piersi. *Wiem, że Hanno mnie ostrzegał, ale to straszne!*, pomyślała.

Barca's Hamlet nie była wioską czystsza od innych, lecz dla jej mieszkańców mięso było bardzo cenne. Z zabitej świni lub barana pozostawało bardzo mało resztek, a i te wraz z odpadkami roślinnymi przerabiano na kompost, który później rozsypywano w przydomowych ogródkach. To było...

Myśliwy znikł.

– Hanno? – zawołała Sharina. Zrobiła dwa kroki w górę strumienia, trzymając dłoń na rękojeści pewlańskiego noża. Dreszcz przeszedł jej po plecach.

Usłyszała brzęczenie much. Polanka znajdowała się u stóp niewielkiego pagórka porośniętego bambusami i wistarią. Chata była przytulona do skalnej ściany, tak że strumyczek omywał fundament jednego z jej boków. Belki z tej strony jeszcze się tliły, chociaż reszta budynku całkowicie spłonęła.

Muchy unosiły się kilkoma oddzielnymi chmurami. Na polance leżały trzy całe ciała i porozrzucone szczątki czwartego.

Sharina wyjęła z pochwy ciężki nóż i wyciągnęła rękę do tyłu, szukając drzewa. Oparła się o pień. Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Hanno wyszedł z zarośli po drugiej stronie strumienia. Twarz myśliwego nie zdradzała jakichkolwiek uczuć, lecz była biała jak piana przyboju.

– Przyszli i poszli – rzekł ochryplym głosem. – Chyba nie tak dawno, żebym nie zdołał ich dogonić.

– Kogo, Hanno? – spytała Sharina. W jej głosie nie było drżenia – miała wrażenie, że to mówi ktoś inny. Pewną ręką trzymała nóż.

– Małpy – odparł myśliwy. Okutym żelazem końcem włóczni szturchnął jedno z ciał, obracając tak, żeby mogła je obejrzeć.

Ciało było bardzo podobne do ludzkiego, ale porośnięte gęstymi rudawymi włosami. Miało wypukłą pierś i długie, żyłaste ramiona, umięśnione jak przednie kończyny kota. Natomiast jego krzywe nogi wyglądały jak zdeformowane, a czoło było zaledwie płaskim wzgórkiem nad grubymi wałami nadoczodołowymi. Ściągnięte w grymasie agonii wargi stworzenia odsłaniały długie kły w górnej i dolnej szczęce. Jeden z zębów był złamany i pozostał z niego tylko kikut.

– Włochaty Lud – powiedziała Sharina. – Mieszkańcy Bight według *Kosmogeografii* Katradinusa.

Hanno pozwolił ciału opaść z powrotem na ziemię. Miało rozplątany brzuch. Zwoje wnętrzności, purpurowych i wzdętych w wilgotnym skwarze, wypadły na mech.

– Małpy – powtórzył myśliwy, podchodząc do posiekanego ciała. Podniósł odciętą głowę młodzieńca z blizną na prawym policzku. Włosy zabitego miały kolor pszenicy, tylko w miejscu, gdzie sięgała blizna, były siwe i znacznie rzadsze.

– Kiepsko wyglądasz, Ansule – rzekł Hanno. – Chyba powinieneś być jednak popłynąć do Valles. Morska podróż wyszłaby ci na zdrowie.

Sharina przykucnęła, opierając się plecami o pień. Widziała gorsze rzeczy, ale nie tak okropnie zmasakrowanego człowieka.

Hanno położył na ziemi głowę współnika.

– Mamy skrytkę w koronie tego starego drzewa – oznajmił, ruchem głowy wskazując dużą araukarię po drugiej stronie strumyka, który omywał spaloną chatę. – Chociaż te stwory wyglądają jak małpy, nie lubią się wspinać. Zostań tam, dopóki nie wrócę.

Znikł w lesie, bezszelestnie jak cień chmury przesuwał się po pogodnym niebie. Z gęstwiny nadleciał jego głos:

– Albo weź moją łódź, jeśli myślisz, że dasz sobie z nią radę, panienko. Nie zostanę tu dłużej, niż będę musiał.

Potem słyszała tylko szmer strumyka i syk pary unoszącej się z ruin chaty.

Sharina rozejrzała się wokół. Nie bała się. Zapewne mogła ufać, że Hanno wiedziałby, gdyby groziło im jakieś niebezpieczeństwo, lecz mimo to ten brak lęku nie wypływał z rozsądku. Tak naprawdę zirykowało ją to, że myśliwy tak ją zostawił, ale wiedziała, że tym razem nie może mieć mu tego za złe. Właściwie powinna uznać takie zachowanie za komplement, dowód na to, że jego zdaniem Sharina da sobie sama radę.

Tak też się stanie.

Tęczowa kora – pomarańczowe i żółte pasma odsłaniające bladozielone podłoże – obłaziła z pobliskiego eukaliptusa, którego pień miał grubość ramienia Shariny. Dziewczyna podeszła do drzewka, przygięła je lewą ręką i pewlańskim nożem uderzyła przy podstawie. Drewno było miękkie od soku. Sharina uderzyła ponownie, pod innym kątem. Ostry i ciężki nóż odłupał spory kęs drewna. W domu do obowiązków Shariny należało rąbanie drewna na podpałkę. Umiała to robić.

Przy czwartym uderzeniu ścięła drzewko, chociaż jego gałęzie, splecione z koronami sąsiednich drzew, nie pozwoliły mu upaść. Ciągnąc i szarpiąc, Sharina ścięła eukaliptus, po czym znieruchomiała, nasłuchując jakichś odgłosów w otaczającym ją lesie.

– Głupia! Głupia! Głupia! – zawołało drzewko za jej plecami. Sharina błyskawicznie odwróciła się i zrozumiała, że usłyszała głos jakiegoś ptaka lub jaszczurki. Uśmiechnęła się. W pełni podzielała

opinię tego stworzenia.

Odcięła jedno z odgałęzień tuż nad rozwidleniem, a drugie metr wyżej. Po kilku starannie wymierzonych cięciach, które nadały dolnemu końcowi płaski kształt, otrzymała całkiem poręczne narzędzie.

Zacząła kopać po drugiej stronie strumyka, gdzie naniesiony przez wodę osad stworzył głębszą warstwę gleby niż w innych miejscach tej splekiwanej deszczem wyspy. Pod nią natrafiła na żółtawą glinę, gęstą i trudną do wzruszenia, nawet gdy była nasiąknięta wodą. Wyschnięta, tak jak przy korzeniach leżących drzew, zmieniała się w szorstki i kruchy piaskowiec.

Rodzina Shariny miała prawdziwą łopatę z twardego drewna okutego żelazem, lecz w mniej zasobnych domach Barca's Hamlet używano do kopania właśnie takich kijów. Rozwidlenie dawało oparcie dla stopy. Para drewnianych chodaków znacznie ułatwiłaby jej zadanie, ale musiała jej wystarczyć determinacja i stwardniałe od chodzenia boso podeszwy stóp.

Nie próbowała wykopać foremnego grobu, tylko płytkie wgłębienie na fragmenty ciała Ansule'a. Został zabity najwyżej dwa dni wcześniej, lecz w tym parnym klimacie tkanki już były miękkie i nadgnite. Sharina spokojnie pozbierała szczątki ciała, po czym wytarła dłonie o twarde ząbkowane liście bambusa i znowu chwyciła kij.

Kości Ansule'a rozłupano i wyssano z nich szpik. Z twarzą pozbawioną wyrazu Sharina znów zaczęła kopać, tym razem rów między sterczącymi korzeniami wielkiego drzewa.

Dobrze było czymś się zająć. Ciężka praca pozwalała zapomnieć o obrzydzeniu, gniewie, samotności i obawach.

Włochaci Ludzie zostali zabici potężnymi ciosami jakiegoś szerokiego ostrza. Zadało okropne rany: jeden z zabitych miał rozpruty brzuch, drugi prawie odciętą głowę, a kobieta była rozplątana od obojczyka aż po pas. Pozostali – ilu ich było w gromadzie, którą ścigał Hanno? – zostawili zwłoki tam, gdzie leżały. Jediną oznaką szacunku dla własnych zmarłych było to, że ich nie zjedli.

Sharina kijem zepchnęła trupy do rowu. Nie był głęboki, zaledwie wystarczał, by mogła je zasypać cienką warstwą szerokich liści i ziemi.

Nic ją nie łączyło z tymi stworzeniami, ale jeśli miała tu zostać, to musiała coś zrobić z tym smrodem.

Kiedy zasypała oba doły, naznosiła ze strumienia głazów wielkości ludzkiej głowy i ułożyła z nich niewielki kurhan nad grobem Ansule'a. Nie wiedziała, jakie padlinożerne zwierzęta mieszkają w tym lesie, lecz te zimne czarne kamienie były dostatecznie ciężkie, by powstrzymać nawet dzikie świnie.

Nie zadała sobie takiego trudu, zabezpieczając grób Włochatych. Ścierwojady nie wygrzebią ich, dopóki ona będzie w pobliżu, a nie obchodziło jej, co stanie się potem.

Sharina oparła się na kij, ciężko oddychając otwartymi ustami. Bolały ją ramiona, miała otarte dłonie i czuła nieprzyjemne pulsowanie w prawej pięcie, chociaż kopiąc, w regularnych odstępach czasu zmieniała nogę. Widocznie lewą nie naciskała tak mocno...

Nonnus co roku spulchniał ziemię w swoim ogródku za pomocą takiego kija.

To wspomnienie zepchnęło myśli Shariny z bezpiecznych szlaków, po jakich je kierowała. Z rozpaczliwym szlochem uklęknęła na ziemi. Po chwili lub kilku minutach – czas nie miał już żadnego znaczenia – zaczęła modlić się do Pani i poczuła przy sobie kojącą obecność Nonnusa.

Rozejrzała się wokół. Las mówił do siebie ptasim świergotem i krzykiem, ale nie poruszało się w nim nic prócz chmary owadów wirujących w zabłąkanej smudze światła.

Nie była sama. Jej przyjaciel Nonnus zginął, ale nie opuścił jej. Tutaj, w ciszy tego wielkiego zielonego lasu, łatwiej było o tym pamiętać.

Sharina wstała i uśmiechnęła się. Idąc tutaj za Hanno, widziała owoc wyrastający z pokrytego gładką korą pnia jakiegoś drzewa. Jaskrawo upierzone ptaki kłóciły się o jego czerwony miąższ, więc bardzo możliwe, że był jadalny. A jeśli okaże się niesmaczny, nic się jej nie stanie, jeśli pójdzie spać głodna.

Kiedy ona i Hanno dotarli do chaty, słońce stało w zenicie. Teraz pewnie już zachodziło, ale powinna zdążyć spleść z liści i gałęzi szalasy chroniący przed deszczem, którego się spodziewała.

Ponadto wygładzi kawałek drewna i wyrzeźbi w nim postać Pani na grób Ansule'a. Drewniany nagrobek nie wytrzyma długo w tym klimacie, ale nic więcej nie mogła zrobić.

Cicho pogwizdywała kołysankę, którą ojciec przywiózł ze sobą z Ornifal i śpiewał swoim dzieciom. Słowa były bezsensowne, ale uspokajały ją jak żadne inne.

Powinna porozpinać tu sznurki z uwiązanymi do nich kamykami, które zagrzechoczą, jeśli ktoś spróbuje podkraść się do niej w ciemności. Wewnętrzna warstwa kory eukaliptusa dostarczy jej odpowiednich włókien.

Właściwie Sharina nie obawiała się, że ktoś zaskoczy ją w nocy. Przecież będzie przy niej Nonnus.

A jego nikt nigdy nie zaskoczył.

Ilna spodziewała się, że będzie miała trudności ze znalezieniem statku płynącego z Erdinu do Valles, gdyż earl Sandrakkanu i król Valence żywili do siebie wrogie uczucia i w każdej chwili mogła wybuchnąć wojna. Tymczasem znalazła go bez trudu: odpoczywający sztauer natychmiast wskazał jej i Maidusowi „Gwiazdę Polarną”, która miała odpłynąć nazajutrz, z popołudniowym przyptywem.

Spojrząwszy w oczy Ilny, sztauer nie narzucił się ani jej, ani chłopcu. Wiedziała, że musi spełnić swój obowiązek i pomóc bratu, lecz irytowało ją to, że była zmuszona porzucić drogę, na którą wstąpiła. A cienie rzucane przez zachodzące słońce zapewne nadały jej jeszcze bardziej posępny wygląd.

Ilna uśmiechnęła się. A może tylko uwidoczniły prawdę.

Pokręciła nosem. Erdin był rzeczonym portem. Chociaż mieszkańcy Barca's Hamlet niezbyt przejmowali się tym, co wrzucają do wody, było ich tak niewielu, że ich ścieki nigdy nie cuchnęły tak jak te tutaj.

– Chyba nigdy nie przyzwyczaję się do tego smrodu – powiedziała. – No cóż, jeśli nie wrócę, nie będę musiała.

– Panienko – powiedział przygnębiony Maidus – nie mów tak. Musisz tu wrócić!

Gdyby chciała, Ilna mogłaby utkać gobelin ukazujący całe jej życie oraz koleje losu wszystkich znanych jej osób. Uśmiechnęła się niezwykle ponuro, nawet jak na nią. Miałaby martwić się z góry, jakby życie nie było już wystarczająco przygnębiające! Spojrzała na chłopca.

– Będzie ci dobrze u kapitana Vodera – powiedziała. – W każdym razie lepiej niż u mnie. Tylko pamiętaj, żebyś zawsze natychmiast wykonywał jego polecenia. On nie lubi mówić dwa razy.

Maidus prychnął.

– Myślisz, że on jest groźny, panienko Ilno? – odparł. – Zapytaj kogokolwiek w Crescent, kogo bardziej się boją, Vodera czy ciebie!

– A więc są głupi – powiedziała spokojnie Ilna. – Chociaż gdyby ludzie zachowywali się jak należy, Voder i ja żylibyśmy spokojniej.

Zastanawiała się, czy rzeczywiście by tak było. No cóż, i tak nigdy w życiu się o tym nie przekona.

Przez prawie godzinę targowała się o cenę przeprawy dla trzech osób, aż zbiła ją do dwunastu sandrakkańskich srebrnych earłów – nowiutkich, tak że głowa earla i snopki pszenicy wyraźnie odcinały się od gładkiej powierzchni. Kapitan „Gwiazdy Polarnej” z początku żądał złotego jeźdźca, wartego dwadzieścia pięć earłów, za każdego pasażera.

Ilna prychnęła. Mogła zapłacić taką wygórowaną cenę, a nawet dziesięć razy wyższą, gdyby chciała. Nie w tym problem. Przez chwilę o mało nie poniósł ją gniew wywołany tym, że taki nędzny robak jak ten marynarz sądził, iż może ją oszukać. Wyciągnęła rękę po włókna liny okrętowej, z których mogła spleść wzór pętający umysł tego durnia...

Powstrzymała się. W ten sposób targi trwały dłużej, lecz były najzupełniej uczciwe, aż do chwili gdy Ilna i kapitan napluli w dłonie i przybili na zgodę.

Jeśli pozwoli, by kierował nią gniew, jej zdolności szybko zaprowadzą ją z powrotem do piekła.

– Gdybym wiedział, co zamierzają ci czarodzieje – rzekł Maidus – nigdy nie...

– Przybyli powiedzieć mi, że mojemu bratu grozi niebezpieczeństwo – ucięła Ilna. – Ukryłbyś przede mną tę wiadomość, Maidusie?

Prawdziwa odpowiedź brzmiała „tak, bez wahania”, ale chłopiec miał na tyle przyzwoitości, by wymamrotać:

– Nie, panienko.

Halphemos i Cerix byli dostatecznie sprytni, by po krótkim rekonesansie zorientować się, że w Crescent są ludzie, którzy nie chcieliby, żeby Ilna os-Kenset wyjechała. Zamiast szukać jej, rozpytując wokół, Halphemos rzucił kilka zaklęć lokalizujących, coraz bardziej zbliżając się do miejsca zamieszkania Ilny.

– Chciałbym popłynąć z tobą – powiedział Maidus.

– Żeby mi przeszkadzać? – mruknęła. – Nie ma mowy.

To nie była prawda, ale chłopiec zaakceptuje to wyjaśnienie, tylko trochę pociągając nosem. Maidus okazał się chłopcem mądrym i zdeterminowanym. Prawdziwym wyjaśnieniem byłoby: „Nie chcę, żebyś popłynął ze mną, bo coś tak potężne, że zdołało połknąć Cashela, jest zbyt groźne, żebym narażała cię na niebezpieczeństwo”. Gdyby tak mu powiedziała, chłopiec popłynąłby z nią, nawet gdyby musiał się przywiązać do steru „Gwiazdy Polarnej”.

Portu nie zamykano po zachodzie słońca, ale ruch w nim prawie zamierał i pozostawały tu głównie załogi kończące załadunek statków wypływających o świcie. Światło latarni i płonących pochodni było kiepskim substytutem słonecznego blasku, a zagrożenie, jakim były iskry padające na wysuszone słońcem drewno i deski, czyniły tę nocną pracę nie tylko ciężką, lecz i niebezpieczną.

Niebo było jeszcze na tyle jasne, że odróżniało się od czarnych konturów magazynów. Przerwa w rozładunku lub załadunku oznaczała pozostawienie na nabrzeżu części towaru, nakrytego siecią zapobiegającą kradzieży. Każdej takiej serty pilnował strażnik z latarnią. Na długo przed świtem świece w tych lampach wypalały się i strażnicy zasną wśród bel materiału i beczek, ale do tego czasu złodzieje pewnie też pójdą spać.

Ilna zachichotała.

– Tak, panienko? – zapytał Maidus.

– Lenistwo częściej zapobiega przestępstwom niż wyrzuty sumienia – powiedziała. Chłopiec spojrzał na nią ze zdumieniem.

Zbliżali się do średniej wielkości statku, bardzo podobnego do tego, na którym odpłynęli przyjaciele Ilny. Ten miał tabliczkę przybitą na wygiętym dziobie. Wytłoczony w białym metalu wizerunek przedstawiał mewę muskającą grzbiet fali, chociaż Ilna wątpiła, czy rozpoznałaby motyw, gdyby nie znała się na równie stylizowanych wzorach materiałów.

Na większości zacumowanych statków stał na warcie marynarz, który postukiwał pałką w pokład, kiedy ktoś przechodził w pobliżu. Na tym panowała cisza. Albo wartownik spał, albo statek był w tak kiepskim stanie, że kapitan nie przejmował się ewentualną próbą kradzieży.

– Wróć, najszybciej jak będę mogła, Maidusie – powiedziała Ilna do chłopca znacznie łagodniejszym tonem. – Przede wszystkim muszę spełnić mój obowiązek wobec brata. Chociaż... – Odrzuciła połę płaszcz i dotknęła szarfy, którą przepasała tunikę. Nawet w tym słabym świetle widziała, że wzór pozostał gładki i spokojny. Ilna zaśmiała się posępnie. – Przede wszystkim – poprawiła się – muszę odwdziżyć się Liane bos-Benliman. Traktowałam ją gorzej i bardziej niesprawiedliwie niż większość ludzi, których dotychczas spotkałam. Ona jednak najwidoczniej potrafi zadbać o siebie.

– Panienko Ilna? – zapytał cichutko chłopiec. Wbił wzrok w ziemię. – Jeśli obiecuję...

Cztery postacie wyskoczyły z ciemności, która skrywała ich w cieniu kadłuba zacumowanego statku. Chociaż nosili ubrania marynarzy, nie byli to ludzie, lecz człekokształtne stwory o zwierzęcych pyskach i ciałach pokrytych lśniącą łuską. Ilna nie widziała stwora, którego jej brat znalazł w baryłce z królewskim jabłeczniakiem, ale z opisu rozpoznała Łuskowatego.

Zanim jeszcze w pełni zdała sobie sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa, już miała w rękach sznur. Łuskowaci wymachiwali zrobionymi z twardego drewna kołkami do owijania lin, zabranymi ze statku. Wszyscy byli uzbrojeni w sztylety, a jeden z nich miał u skórzanego pasa wygięty miecz.

Maidus wydał gniewny okrzyk, który urwał się z głuchym odgłosem uderzenia w głowę. Ilna odwróciła się, rzucając pętlę. Za nią było jeszcze dwóch Łuskowatych. Nie wiedziała, gdzie się ukrywali. Maidus leżał na kamieniach, krwawiąc z rozbitej głowy, a napastnik, który go uderzył, uniósł pałkę do następnego ciosu.

Jedwabny sznur zacisnął się na szyi łotra, który ogłuszył chłopca. Ilna szarpnięciem rzuciła Łuskowatego na następnego przeciwnika, jednocześnie robiąc unik. Zadany przez jednego z czterech pozostałych napastników cios chybił. Schwytany w pętlę Łuskowaty dusił się i skakał jak kurczak z uciętą głową. Wpadł pod nogi kompana.

Ilna chwyciła Maidusa za kołnierz grubej tuniki, którą mu dała. Płaszcz spadł jej z ramion, na moment krępując jej ruchy. Puściła sznur i zdążyła do połowy wysunąć nóż z kościanej pochwy, kiedy okryte łuskami łapy zacisnęły się na jej przegubach.

Stwory walczyły w milczeniu. Łuskowaty po prawej nawet nie pisnął, gdy Ilna ostrym jak brzytwa nożem chlasnęła go po ramieniu. Któryś chwycił ją za włosy. Wykręciła głowę i wbiła zęby w ciało suche jak skóra węża. Nie poczuła uderzenia pałką, ale usłyszała głuchy stuk. Noc utonęła w blasku. Ilna nagle oślepała, jakby spojrzała prosto w słońce. Nie wzywała pomocy. Nikt nie przybiegłby na wołanie przestraszonej kobiety w dokach, chyba żeby zażądać swojej kolejki. Prędzej szlag ją trafi, niż będzie na darmo zdzierać sobie gardło.

Niesiono ją. Miała wrażenie, że związano jej ręce i nogi, ale nawet tego nie była pewna. Słyszała głosy – nie należące do ludzi.

Położyli ją na drewnianej skrzyni, w nozdrzach czuła smród portowej wody. Teraz była już pewna tego, że jest związana, ale nadal oślepiało ją to światło.

Cumy stuknęły o pokład. Zatrzeszczało drewno. Ilna rozpoznała ten dźwięk jako odgłos mocowanych w dulkach wiosł. Poczowała, że statek zakołysał się.

Rzeka Erd była niezwykle trudna do żeglugi. Żaden wróg nie zdołałby przepłynąć nocą po jej zakolach, by niespodziewanie zdobyć Erdin. Taka próba musiała zakończyć się ugrzęźnięciem na mieliźnie lub utknięciem w ślepym zaułku.

Mimo to Łuskowaci zamierzali wyruszyć w drogę, zabierając ze sobą Ilnę os-Kenset.

DWUDZIESTY DZIEŃ CZAPLI

Garric nie miał zasłoniętych oczu, lecz latarnie nad łukowatą bramą ledwie się tliły, gdy powóz Royhasa wjechał na dziedziniec. Widocznie przed chwilą je zgaszono.

Powóz przejechał na tył rezydencji i stanął. Dwaj zbrojni, którzy jechali jako pocztyni, otworzyli drzwi z lewej strony. Lord Royhas siedział naprzeciwko Garrica, plecami do kierunku jazdy. Pozostali strażnicy jechali na dwóch ławeczkach na zewnątrz. Szlachcic machnięciem bladej dłoni pokazał drzwi.

– Szybko – powiedział do Garrica. – I nie rób hałasu.

Garric wciąż miał związane ręce, ale nie potrzebował rozsądku króla Carusa, by wiedzieć, że Royhas nie zamierza go zabić. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Bez słowa wysiadł z powozu i podążył za strażnikami do domu.

Jakiś sługa otworzył drzwi, ale skrył się za drzwiami, gdy pasażerowie powozu wchodzili do środka. Garric zdążył dostrzec tylko ogromną bryłę kamiennego budynku. Royhas i pozostali szli tuż za nim.

Korytarz nie był oświetlony, lecz z otwartych drzwi na jego końcu sączył się migotliwy blask świecy. Podłoga skrzypiała pod nogami, tak jak cienkie podłogi w gospodzie jego ojca. Ściany do wysokości pasa były wyłożone boazerią, a wyżej ozdobione freskami, chociaż te w tym oświetleniu były nie tyle ozdobą, ile ciemniejszymi plamami.

A może zacieki brał za dzieła sztuki. Uśmiechnął się.

Komnata miała pełnić funkcję zimowej jadalni, lecz szerokie okna w południowej ścianie były teraz zasłonięte grubym aksamitem. Garric zauważył, że nie były to kotary: materiał przybito do framug tak, aby nikt nie mógł zajrzeć do środka i by na zewnątrz nie wymknął się nawet promyk światła.

Royhas mimo to nie chciał ryzykować. W ściennym dziewięcioramiennym lichtarzu paliła się tylko jedna woskowa świeca.

Stół i dwanaście krzeseł były zrobione z jakiegoś ciemnego drewna, którego Garric nie znał, ale wychowany w gospodzie, doceniał trud, jakiego wymagało nadanie im takiego połysku. Człowiek w łososiowej jedwabnej liberii – niezbyt gustownej, ale z pewnością wartej tyle, co dobry koń – czekał w drzwiach, splótnięty dłońmi na wydatnym brzuchu. Sądząc po ponurej minie i bogatym stroju, był sługą wyższej rangi, zapewne majordomusem.

Strażnicy wprowadzili Garrica do środka, a potem odwrócili się do swego pana. Garric spojrzał przez ramię.

– Rozwiążcie go – rzucił Royhas do strażników. Powiedział to zirytowanym tonem, jakby właśnie z ich winy Garric był wciąż związany. Jeden ze zbrojnych pociągnął za sznur. Węzeł puścił natychmiast, chociaż w powozie, ukradkiem usiłując zdjąć pęta, Garric nie zdołał poluzować ich ani o włos.

– Maurunusie – rzekł szlachcic do sługi – wkrótce przybędzie tu jeszcze kilku panów. Przyrowadź ich tutaj, kiedy przyjdą.

Garric roztarł nadgarstki. Sznur nie obtarł mu skóry, ale palce mrowiły go od powracającej do czubków krwi. Strażnicy spoglądali na niego z udawaną obojętnością, ale byli gotowi natychmiast rzucić się na niego, gdyby zaatakował ich pana.

– Lord Waldron przybył przed chwilą, panie – oznajmił majordomus. Ruchem głowy wskazał na drugie drzwi. – Zaprowadziłem go do alkowy, bo pomyślałem, że nie chciałbyś, aby czekał w głównym holu. Czy mam..

– Niech Siostra weźmie tego człowieka! – warknął Royhas, po raz pierwszy okazując swoje prawdziwe uczucia. – Czy jest jasnowidzem? Chyba spotkał posłańca w połowie drogi.

Maurunus grzecznie czekał, nadal trzymając splecione dłonie. Nie odezwał się. Royhas potrząsnął głową.

– Zaczekaj jedną klepsydrę, a potem przyślij go tutaj – powiedział. – Najpierw chcę porozmawiać w cztery oczy z moim gościem.

Sługa skłonił się i wyszedł drugimi drzwiami. Stawiał tak małe i szybkie kroki, że zdawał się ślizgać w powietrzu.

– Zostawcie nas. – Royhas krótkim gestem odprawił dwóch strażników, którzy weszli przed Garrikiem do komnaty. Jedyłą oznaką sprzeciwu z ich strony było lekkie zaciśnięcie warg. – I zamknijcie drzwi, durnie! – krzyknął za nimi szlachcic.

Drugi z wychodzących przymknął drzwi, zostawiając je nie domknięte.

– No cóż, panie Garricu – rzekł Royhas z uśmiechem, który Garric uznałby za fałszywy, nawet gdyby nie widział, jak szlachcic traktuje swoich ludzi. – Zapewne zastanawiasz się, po co cię tu przyprowadziłem.

– Zakładam – odparł młodzieniec – że masz nadzieję wykorzystać mnie jako marionetkę w spisku przeciwko królowi Valence'owi.

Uśmiechnął się zimno do zaskoczonego szlachcica.

Spotykał już takich ludzi jak Royhas, w wiosce i często wśród handlarzy oraz ich strażników, podczas Świąta Barana. Traktowali z góry każdego, kto im na to pozwolił. Garric wcześniej nauczył się, że lepiej podjąć walkę, niż schylać przed takimi kark.

To, co było słuszne w Barca's Hamlet, sprawdzało się i tutaj. Royhas mógł kazać zgładzić Garrica, lecz gdyby naprawdę zamierzał to zrobić, już grzebano by go w ziemi na terenie starożytnego pałacu. Korząc się przed nim, Garric niczego by nie zyskał, a mógł wiele stracić – włącznie z szacunkiem do siebie.

– Nie jestem zdrajcą! – powiedział Royhas. Myślał, że ma do czynienia z głupim wieśniakiem, a jako szlachcic nie zdawał sobie sprawy z tego, że pasterz lepiej od cywilizowanego człowieka może pojmować reguły walki o władzę. Tryki czy ludzie pod pewnymi względami zachowują się tak samo.

Medalion z królem Carusem przyjemnie grzał Garrica w pierś. Cashel równie dobrze jak Garric rozumiałby, co się tu dzieje. Ponieważ jednak Garric korzystał ponadto z wiedzy swego przodka, wiedział, jak należy zareagować na takie próby dominacji.

Uniósł brwi, jakby bawiły go takie dziecinne zaprzeczenia.

– Posłuchaj, chłopcze... – zaczął Royhas.

– Lepiej wezwij swoich sługusów, zanim znów nazwiesz mnie chłopcem, lordzie Royhasie! – powiedział Garric głosem, od którego zamigotał płomień świecy. Nieco spokojniej dodał: – Albo traktuj mnie jak potomka królów i człowieka, od którego zależy powodzenie twoich planów. W tym drugim wypadku będzie nam się lepiej rozmawiało.

Sam nie wiedział, w jakim stopniu mówił to on sam, a w jakim król Carus, ale czuł, jak władca w jego umyśle zarykuje się ze śmiechu. Strażnicy zabrali Garricowi pas z mieczem, on jednak podparł się rękami pod boki i uśmiechnął się do zaskoczonego szlachcica.

Royhas był mocno zbudowanym mężczyzną, ale nie tak roslym i młodym jak Garric, a z całą

pewnością o wiele od niego słabszym. Przez moment jego twarz wykrzywiła się gniewnie, ale zaraz zrozumiał sens wypowiedzi Garrica i zapomniał o oburzeniu wywołanym tym, że wieśniak śmie mu się stawiać. Starannie dobierając słowa, Royhas rzekł:

– Wszyscy jesteście wzburzeni, panie Garricu. Moi współnicy i ja jesteśmy wiernymi poddanymi króla Valence’a. Jednakże nie ulega wątpliwości, że monarcha nie jest w stanie poradzić sobie z zagrożeniem ze strony królowej, tak więc byliśmy zmuszeni podjąć odpowiednie działania dla dobra królestwa. A także, być może, dla dobra króla Valence’a.

– Mów dalej – zachęcił go Garric. Zapewne początkowo Royhas chciał poinformować go o decyzjach podjętych na zebraniu spiskowców, nie zamierzając dopuścić go do głosu. Jeśli jednak używana przez Maurunusa klepsydra była takiej wielkości jak ta, której używano na statku do mierzenia prędkości, mieli jeszcze trochę czasu na rozmowę.

Royhas skrzywił się. Był zbity z tropu i zaskoczony jak młody tryk, powalony przez rywala na murawę.

Garric uśmiechnął się. Oczywiście, przeważnie większość młodych tryków zarzynano z nadejściem jesieni. Jeszcze jeden fakt dobrze znany pasterzom.

Royhas pewnie sądził, że Garric śmieje się z niego, ale powstrzymał złość i powiedział:

– Królowa wysłała swoich zauszników, żeby zajmowali najważniejsze stanowiska w mieście. Strażników miejskich, celników w porcie. Nawet w biurze kanclerza. Za odpowiednio wysoką zapłatę zawsze znajdują się chętni do brudnej roboty.

Garric odchrząknął. Carus tak gwałtownie przytaknął temu ostatniemu stwierdzeniu, że na moment młodzieńcowi zaparło dech.

– Nie zdoła kupić sobie poparcia większości – powiedział, najszybciej jak mógł. Z głębi świadomości przypląnęła niezupełnie jego własna myśl. – A może popiera ją lud?

– Nikt nie popiera królowej! – zaprzeczył Royhas. – Ona jest prawdziwym demonem, czarownicą i gorzej. Tłum kamieniuje jej urzędników, ale to jeszcze pogarsza sytuację. Obojętnie, z jakiego powodu wybuchają zamieszki, zawsze kończą się plądrowaniem sklepów i napadami na ludzi, którzy wydają się mieć w sakiewce choćby garść drobnych na wino.

Ktoś lekko zapukał do drzwi, przez które wyszedł majordomus. Royhas zerknął w tę stronę i chciał coś powiedzieć. Garric powstrzymał go gestem i rzekł:

– A moje przyjaciółki? Chcę, żeby natychmiast je tu przyprowadzono.

Royhas zmarszczył brwi.

– Nawet nie wiem, czy je znaleziono – odparł. – Tylko ty nas interesowałaś.

– Kiedy znajdziecie moje przyjaciółki, Liane i Tenoctris – powiedział Garric – traktujcie je jak szlachcianki, którymi są. Ty jesteś szlachcicem, lordzie Royhasie, więc nie obawiam się, że zechcesz wykorzystać je jako zakładniczki mające zapewnić moją zgodę na udział w waszych planach. Ponieważ jednak niektórzy z twoich współników mogą nie być równie rycerscy, proszę, daj do zrozumienia wszystkim zainteresowanym, że wpadłbym w szal, gdyby wydarzyło się coś takiego. I wątpię, by jakakolwiek liczba strażników powstrzymała mnie przed zabiciem sprawcy.

Royhas odparł z uśmiechem rozbawienia:

– Nie mam zwyczaju brać wieśniaków na zakładników, młodzieńcze. Może na Haft jest inaczej.

Garric roześmiał się. Nie wpadł w histerię, ale ta nagła ulga była trudniejsza do zniesienia niż dotychczasowe napięcie.

– Nie, lordzie Royhasie – powiedział. – Nie jest inaczej. Wieśniacy z Haft są tak samo skłonni przeceniać swoje możliwości jak szlachetnie urodzeni obywatele Ornifal. – Ruchem głowy wskazał drzwi. – Powinniśmy ich wpuścić. Dopóki walczysz z królową, możemy działać wspólnie.

Royhas stanął za krzesłem na końcu stołu i wskazał Garricowi miejsce po swojej prawej ręce.

– Wejść! – powiedział.

Maurunus otworzył drzwi, ale został na zewnątrz, gdy cztery czekające w przedsionku postacie w kapturach precyzyjnie się obok niego i weszły do środka. Ostatni z wchodzących zamknął drzwi i zaczął szukać rygla. Nie znalazł.

– Nie zamykam się, kiedy jem obiad, Sourousie – rzucił cierpko Royhas. – Jeśli chcesz, możemy przejść do piwnicy, do starych cel dla niewolników.

– Nie ma potrzeby wymieniać nazwisk! – warknął Sourous. Garric spostrzegł, że był to zdumiewająco młody człowiek o delikatnych rysach twarzy. W przeciwieństwie do pozostałych, nie zrzucił kaptura po zamknięciu drzwi.

– Ależ jest – zaprzeczył Garric. – Ja nazywam się Garric or-Reise z Haft i jestem w prostej linii potomkiem Carusa – ostatniego prawdziwego króla Wysp.

Te słowa nie były jego własnymi, chociaż dźwięcznie jak bicie dzwonu padły z jego ust. Przemawiał nimi Carus, lecz mówił to, co powiedziałby Garric, gdyby miał odpowiednie doświadczenie, pozwalające mu dobrać właściwe słowa.

– Tak twierdzisz – powiedział pierwszy z mężczyzn, którzy weszli do komnaty. Miał kanciaste rysy i grube przeguby szermierza. Mimo że prawie sześćdziesięcioletni i najstarszy z pięciu spiskowców, wyglądał nadzwyczaj krzepko.

– Tak twierdzi czarodziej Silyon, Waldronie – warknął Royhas. – Nie wierzę temu dzikusowi z Dalopo bardziej niż wy, ponieważ jednak trafnie przepowiedział przybycie pana Garrica, sądzę, że powinniśmy założyć, że wiedział również coś o jego pochodzeniu.

Ci dwaj mężczyźni nie przepadali za sobą. Garric uznał, że to dla niego wygodne, gdyż będzie mógł jednoczyć działania tych dwóch rywali, ale nie sądził, aby miało to być przyjemne zadanie.

Pulchny mężczyzna odziany na zielono przyciągnął sobie krzesło i usiadł.

– Jeżeli będziemy walczyć ze sobą – powiedział – oszczędzimy królowej wysiłku wieszania nas, prawda?

Parsknął szyderczo. Jego głos był raczej opryskliwy niż przestraszony. Royhas uśmiechnął się z przymusem i skinął głową siedzącemu.

– Lord Tadaï bor-Tithain – powiedział – i...

Wskazał na ostatniego mężczyznę, mizeraka wyglądającego tak, jakby rak zżerał mu wnętrzności.

– Lord Pitre bor-Piamonas. Poznałeś już Waldrona i Sourousa, panie Garric.

– Wszyscy będziemy wisieć – mruknął Sourous. – Albo gorzej. Kto wie, co szykuje dla nas ta wiedźma? Co będzie, jeśli zaraz pojawi się tu jedna z jej ognistych zjaw?

– A co się stanie, jeśli zaraz zgaśnie słońce? – powiedział Waldron, nie próbując ukryć obrzydzenia. Potrząsnął głową. – Wprawdzie często nie zgadzałem się z twoim ojcem, ale przynajmniej nigdy nie wątpiłem, że mam do czynienia z człowiekiem!

Tadaï parsknął śmiechem.

– A nie mówiłem? – rzekł, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego. – Powinniśmy się wynajść jako trupa na festyn z okazji święta Pani.

– Wyjaśniłem naszemu przyjacielowi z Haft – rzekł Royhas, zmieniając kierunek dyskusji ze zrezygnacją, która wzbudziła podziw Garrica – że niebezpieczeństwo grozi nam nie tylko ze strony najemników królowej. Kiedy chce zastąpić jakiegoś urzędnika swoim poplecznikiem, wysyła swoją zjawę.

– One nie mogą zrobić człowiekowi krzywdy – powiedział zirytowany Waldron. – Przyznaję, że są niesamowite, ale nie aż tak, by odważny mężczyzna uciekał w popłochu.

– Może do ściągania opłat portowych król Valence powinien zatrudniać wyłącznie ludzi o odwadze bor-Wallimana – powiedział Sourous, zwrócony twarzą do ściany. Dłoń Waldrona przesunęła się ku rękojeści miecza, ale zaraz znieruchomiła. Ten gest był tak nieznaczny, że Garric nie zauważyłby go, gdyby jego przodek nie umiał dostrzegać takich sygnałów.

– Czym są te zjawy? – zapytał Garric, podejmując swoją rolę i usiłując nie dopuścić do tego, aby spisek załamał się w gradzie wzajemnych obelg. Jeśli król Valence chciał pozbawić go życia – a Garric nie miał podstaw, by wątpić w słowa Royhasa – to tylko przyłączając się do nich, Garric mógł mieć nadzieję, że wraz z przyjaciółkami pożyje dłużej niż kilka godzin. – Duchami?

Tadai spojrział na niego i po raz pierwszy w jego oczach pojawiło się zainteresowanie czymś innym niż własne wypielęgnowane paznokcie.

– Powiedziałbym, że to raczej demony – odparł – ale tylko z wyglądu. Jak już powiedział Waldron, one nic nie robią, tylko okropnie wyglądają. To samo mógłbym powiedzieć o mojej żonie... lecz w przeciwieństwie do mojej Trinki, przyjaciele królowej nie wnoszą w posagu dziesięciu tysięcy akrów ziemi.

– Ludzie, którzy je widzieli, mówią, że te zjawy przypominają im różne rzeczy – rzekł Royhas. Uśmiechnął się. – Nie mówili, jakie są te wspomnienia, ale można to wywnioskować z faktu, że nie chcieli o tym rozmawiać. Mam więcej współczucia niż Waldron dla tych, którzy wolą nie opierać się poplecznikom królowej.

– No i jeszcze te ogniste zjawy – mruknął Pitre. Wyjął z sakiewki przestrzenną drewnianą układankę i obracał ją w rękach. – One nie są nieszkodliwe!

– Phi! – prychnął Waldron. – A ile razy je widziano? Cztery razy? Pięć? Przez prawie rok!

– Ale zawsze wystarczył raz, prawda? – przypomniał Tadai, ponownie odrywając wzrok od swoich paznokci i spoglądając z uprzejmym zaciekawieniem. – Przynajmniej ofiarom, dlatego było ich tak mało. My również starannie skrywaliśmy naszą niechęć do królowej.

Garric zerknął na Royhasa. Ten kiwnął głową i wyjaśnił:

– One – lub ona, bo nigdy nie widziano dwóch ognistych zjaw jednocześnie – pojawiają się komuś, kto otwarcie przeciwstawia się królowej. Pierwszą ofiarą był niejaki Erengo, szef gangu, który zbierał ludzi, by napaść na rezydencję królowej. Podejrzewam, że zamierzał się wzbogacić, kiedy kilkusetosobowa zgraja zebrana w slumsach przedrze się przez linie straży.

Pitre zachichotał.

– Zamiast tego powinien wynająć swe usługi królowej – zauważył. – Wśród jej sług jest sporo takich jak on.

– Być może zdał sobie z tego sprawę w ostatnich chwilach swego życia – rzekł ponuro Royhas. – Nie robił tajemnicy ze swych planów, chociaż zamierzał trzymać się w bezpiecznej odległości od miejsca tych wydarzeń. Nagle wyrosło przed nim coś w rodzaju ognistej jaszczurki stojącej na tylnych łapach. Jego obstawa zaatakowała ją, ale bez powodzenia...

– Zupełnie bezskutecznie – powiedział z sardonicznym uśmiechem Tadai. – Zdaje się, że było to ciekawe widowisko.

Waldron obrzucił go zimnym spojrzeniem, zaciskając palce prawej ręki. Tadai splótł dłonie na podołku i lekko wydał usta.

Garric domyślał się, że Waldron musiałby naprawdę bardzo się zdenerwować, żeby zaatakować towarzysza-spiskowca. Mimo to takie rozmowy niepotrzebnie zwiększały zagrożenie w i tak już ryzykownej sytuacji.

– Ognista zjawa chwyciła za szyję Erengo – ciągnął Royhas – i spaliła go na kupkę tłustego popiołu. Potem znów znikła.

– Pospólstwo poszłoby za królem Valence'em, gdyby tylko chciał poprowadzić! – dodał Pitre, zgarbiony nad układanką. Palcami łączył jej kawałki, tworząc z nich kulę. – Wszyscy nienawidzą królowej, nawet te szumowiny, które dla niej pracują.

– A Silyon potrafiłby ochronić króla Valence'a! – powiedział Sourous, jak dziecko, które bardzo chce wierzyć w to, co mówi. – Przecież królowa już dawno pozbyłaby się go, gdyby nikt go nie bronił, prawda?

Może Tenoctris zdołałaby odpowiedzieć na to pytanie. Garric nie potrafił, ale wiedział, że pewnych pojedynków najlepiej unikać tak długo, jak się da – nawet jeśli uważa się je za z góry wygrane. Być może dlatego królowa nie zaatakowała otwarcie Valence'a – a jeszcze bardziej prawdopodobne było to, że wstrzymywała się, ponieważ był wystarczająco przestraszony.

– Moi koledzy i ja jesteśmy wiernymi poddanymi króla Valence'a – rzekł z lekką ironią lord Royhas. – Byliśmy zmuszeni wziąć pod uwagę alternatywne sposoby obrony królestwa przed...

Garricowi przemknęła przez głowę myśl: *Ich części królestwa*. Uśmiechnął się krzywo.

– ...a kiedy Valence kazał mi pozbyć się niedoszłego uzurpatora, którego znajdę na terenie dawnego pałacu, wpadliśmy na pomysł, jak osiągnąć ten cel.

– A więc twierdzisz, że jesteś dziedzicem księżnej Tery, chłopcze? – zapytał Tadaï. Nie traktował Garrica bardziej wzgardliwie niż swoich szlachetnie urodzonych kompanów, ale Garric nie był jednym z nich. Położył lewą dłoń na stole i oparł się na niej, nachylając się do Tadaï.

– Jestem wolnym obywatelem Haft, grubasie – powiedział uprzejmie. – A mój ród wywodzi się od samego Carusa, chociaż nie wróciłbyś z miejsca, gdzie można znaleźć na to dowód – jeśli w ogóle zdołałbyś tam dotrzeć.

Pamięć podsunęła Garricowi wspomnienie czarnego tronu stojącego na czarnej równinie pod czarnym niebem. Tron Malkara, źródło wszelkiego zła i wszechmocy. Lorcan, pierwszy Władca Wysp, ukrył ten tron tak, aby mogli go odnaleźć tylko jego potomkowie... O czym Garric przekonał się w koszmarnym śnie, w którym złudzenia były tak realne, że mogły zabić.

Tadaï nic nie powiedział. Z lewego rękawa wyjął jedwabną czarno-zieloną chustkę i otarł nią czoło. Włosy miał tak jasne, że w lepszym świetle wyglądałby na łysego.

Pitre rzucił kawałki układanki.

– Skąd on się wziął? – rzekł do Royhasa. – Niech Pani ma mnie w opiece! To nie jest wieśniak z owczej zagrody, którego obiecałeś nam przyprowadzić!

– To człowiek, na którego król Valence kazał mi czekać! – rzekł Royhas. – Nazwisko się zgadzało, wiek też. Nigdy nie wątpiliśmy, że Silyon to potężny czarodziej, prawda? Miał rację!

– Myślę... – zaczął Tadaï. Starannie złożył i schował chusteczkę, a pozostali obserwowali go. – Myślę, że Valence słusznie obawiał się, że ten młodzieniec może uzurpować sobie prawo do tronu – przy odpowiednim poparciu.

Tadaï nadal mówił wyniosłym, lecz już nie drwiącym tonem.

– I sędzę, że mieliśmy rację, panowie... – Popatrzył na skupione twarze współników. – Wierząc, że mógłby poprowadzić lud przeciwko królowej, czego nie zdołałby dokonać Valence.

Kolana lekko uginały się pod Garrikiem, ale chyba tylko Carus sprawił, że przysunął sobie krzesło i usiadł. Trzeba rozładować napięcie. Ta ostatnia wypowiedź dała szlachcicom do myślenia.

– Mówicie do mnie jak do wieśniaka z Haft, który nic nie wie o królowej i przyczynach, dla których poślubił ją król Valence – rzekł spokojnie Garric. Z pewnością siebie, której sam się dziwił, gestem kazał pozostałym usiąść – a oni posłuchali, nawet Royhas, który był w swoim domu. – Zacznę od tego, że nie zgłaszam żadnych pretensji do tronu, dopóki zasiada na nim Valence. – Uśmiechnął się. – Ja również jestem lojalnym obywatelem, chociaż w tej kwestii król najwidoczniej został źle

poinformowany.

Składnia i dykcja Garrica była równie dobra jak każdego mieszkańca Wysp. Reise zadbał o to z determinacją, jakiej nie wykazałby żaden opłacany nauczyciel. Mimo to młodzieniec mówił z melodyjnym akcentem, który zdecydowanie różnił się od dźwięcznej wymowy Ornifal czy chrapliwej mowy Sandrakkanu. To z pewnością było typowe dla mieszkańca Haft, zarówno teraz, jak i w czasach króla Carusa.

– Księżniczka Azalais była córką króla Sirimat – rzekł Pitre. Garric spodziewał się, że na pytanie odpowie Tadaï lub Royhas. – Valence właśnie pokonał earla Sandrakkanu w walce o tron...

– Raczej o tytuł! – prychnął Waldron. – Byłby prawdziwym królem, gdyby był mężczyzną.

Podczas tej wymiany zdań Pitre spoglądał na podłogę, szukając fragmentów układanki. Kawałki jasnego drewna były właściwie niewidoczne na tle czarno-białej mozaiki. Waldron skrzywił się.

– Mów dalej – rzekł do Pitre'a. A do Garrica rzucił: – Pitre był przy tym.

– Kiedyś Valence i ja byliśmy przyjaciółmi – powiedział cicho Pitre do kamiennej podłogi. I dodał: – Musiał się ożenić, gdyż w razie braku sukcesora mógł się spodziewać poważnych kłopotów ze strony ludzi, którzy pożądliwie spoglądali na tron. Zamiast wziąć sobie żonę z jednego z wielkich rodów Ornifal...

– Co nastawiłoby wrogo wszystkie pozostałe rody – dokończył Tadaï. Garric pojął to wcześniej na podstawie swojej znajomości historii oraz żywych wspomnień Carusa.

– Valence przyjął propozycję Sirimat, która przez ostatnie tysiąc lat nie brała udziału w walce o władzę – ciągnął Pitre. – Azalais wniosła ogromny posag, a na dodatek była uderzająco piękna.

Wargi Pitre'a rozciągnął słaby uśmiech.

– Chociaż jej uroda nie miała żadnego znaczenia – powiedział. – I jak się okazało, Valence nie miał z niej więcej pociechy niż którykolwiek z weselnych gości. Do tej pory nie doczekał się potomka.

– To czarodziejka – mruknął Waldron. – Za pomocą czarów skłoniła Valence'a, żeby ją poślubił.

Pitre wzruszył ramionami.

– Może – przyznał – ale nie wszystkie błędne decyzje są rezultatem czarów. W owym czasie niektórzy z nas uważali, że to wspaniały sposób, żeby położyć kres toczonym przez szlachtę Ornifal walkom o władzę.

– Moja bratanica... – zaczął Waldron i urwał na widok szerokiego, nieprzyjemnego uśmiechu Royhasa. Sourous nerwowo zachichotał. Waldron uderzył pięścią w ścianę, aż zadrżała świeca.

Garric skinął głową na znak, że rozumie to, co mu powiedziano.

– Przede wszystkim należy usunąć ludzi królowej z rządu Valles – powiedział. Uśmiechnął się nieznacznie i dodał: – Nie widzę sposobu, w jaki mógłbym to zrobić, nie kończąc tak jak Erenge, ale w tej chwili jestem tak zmęczony, że ledwie widzę ten stół.

Poklepał blat. Gładkie drewno było miłe w dotyku.

– Jedna z moich przyjaciółek na pewno wpadnie na jakiś pomysł – oznajmił. – A nie zdziwiłbym się, gdyby obie coś wymyśliły.

Liane mieszkała w Valles jako bogata cudzoziemka i jej doświadczenie mogło okazać się nieocenione. Być może zauważy coś, czego spiskowcy nie widzą, ponieważ są zbyt blisko problemu.

– Mamy plan – zaczął Royhas.

Garric wstał i pod wpływem tego nagłego ruchu zawirowało mu w głowie. Powinien coś zjeść, a przede wszystkim przespać się.

– Nie teraz – rzekł. – Chcę to rozważyć na trzeźwo i razem z moimi towarzyszami. Być może plany, jakie ułożyliście wcześniej, trzeba będzie zmodyfikować teraz, kiedy już mnie poznaliście.

Kiedy już wiecie, że nie zamierzam dać się spalić przez ognistą zjawę, jeśli jest jakiś inny sposób pokonania zła, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

Królowie umierają tak samo jak wszyscy ludzie, szepnął głos w głowie oszołomionego młodzieńca. A czasem król umiera po to, żeby jego lud mógł żyć.

Garric uśmiechnął się, choć patrzący na niego szlachcice nie zrozumieliby tej uwagi. I domyślał się, że nie zgodziliby się z nią.

Spiskowcy popatrzyli po sobie. Royhas kiwnął głową i rzekł:

– Tak, w porządku. Każę Maurunusowi, by zaprowadził cię do mojego apartamentu na ostatnim piętrze. A także twoje towarzyszki, jeśli się pojawią.

Pitre schylił się, podniósł fragment układanki i z nieprzeniknioną miną położył go na stole z czarnego drewna.

– Wezwij nas, kiedy będziecie gotowi – powiedział do Royhasa.

– Mając prawdziwego przywódcę na miejscu Valence’a – rzucił szorstko Waldron – Królestwo Wysp mogłoby znowu rozkwitnąć. Znów mógłby nastać Złoty Wiek, jak w czasach Dawnego Królestwa.

Pierwszy pomaszerował do drzwi, tak jak pierwszy przez nie wszedł. Garric zanotował w myślach, że Waldron powiedział „prawdziwego przywódcę”, a nie „prawdziwego władcę”.

Przez fale zmęczenia Garric usłyszał niemy głos: *Ten Złoty Wiek, w jakim ja żyłem, a o jakim oni marzą, był bardzo podobny do tego. I trzeba sporo trudu, żeby ten nie zakończył się tak samo jak mój. Jednak dokonamy tego.*

Ilna wiedziała, że na jakiś czas straciła przytomność. Obudziło ją dotkliwe mrowienie, jakby ktoś powciskał jej pod skórę rozżarzone węgielki. Dopiero po chwili rozumiała, że te dźwięki, które słyszy, to nie szum krwi w uszach, lecz śpiew Łuskowatych. Rechotali jak żaby w porze godowej, chrapliwie i głośno.

Otworzyła oczy, ciągle łupało ją w głowie i w jej polu widzenia wolno przelatywały czarne płatki. Zemdlilo ją z bólu, ale powstrzymała wymioty, aż zapiekło ją w gardle.

Sześciu Łuskowatych zasiadło kręgiem na śródkręciu wokół niewielkiego garnka ustawionego na tacy z piaskiem. Był to rodzaj prostego paleniska używanego na statku bez obawy wzniesienia pożaru. Wynieśli je z małej nadbudówki, w której zwykle starannie mocowano tacę.

Statek kołysał się na łagodnej fali. Reja była podciągnięta, ale żagiel zrefowany. Półpokład zasłaniał Ilnie widok, lecz pohukiwanie sowy w mroku świadczyło o tym, że wciąż płyną po rzecznych zakolach.

Łuskowaty z opaską z czerwono-zielonego jedwabiu na głowie wziął z alabastrowego słoiczka szczyptę jakiegoś proszku i sypnął go w ogień. Uniósł się purpurowy dym tak świetlisty jak pulsujące powidy po spoglądaniu prosto w słońce. Przywódca śpiewających Łuskowatych dosypał następną szczyptę. Chociaż wziął ją z tego samego słoiczka, tym razem buchnęły pomarańczowe płomienie.

Łuskowaci zaczęli śpiewać jeszcze głośniej. Podnieśli się, chwycili za ręce i zaczęli groteskowo wirować wokół ognia.

Zamiast przygasnąć, płomienie splatały się ze sobą jak kopulujące żmije, zachowując swoje kształty i barwy. Obracały się zgodnie z ruchem słońca, w przeciwnym kierunku niż wirujący tancerze. Słup ognia zaczął pęcznieć i rosnąć. Statek zatrząsnął się. Ilna pomyślała, że wpadli na mieliznę, lecz po ruchu gwiazd poznała, że płyną dalej. Dreszcz przebiegł jej po plecach, podobny do tego, jaki poczuła, budząc się przed chwilą.

Dym spowił okręt. Ilna kichnęła, podrażniona ostrym i kwaskowatym zapachem, którego jednak

nie mogłaby nazwać nieprzyjemnym.

W świetlistej mgłę Łuskowaci nadal krążyli, unosząc i opuszczając ramiona w rytm swego zawodzenia. Ilna wciąż widziała kilka jasnych gwiazd nad głową.

Statek zboczył z kursu. Ten nagły manewr był dziwnie gładki, jak poślizg na pokrytym lodem chodniku. Ilna miała wrażenie, że statek zaraz się wywróci. Próbowwała wstać, ale miała związane ręce i nogi. Zdołała przekręcić się na bok i spojrzeć przez otwór w nadburciu, lecz nie zobaczyła nic prócz mgły.

Niebo zafalowało. Poczowała gwałtowny chłód, przeszywający do szpiku kości, który znikł, zanim zdążyła otworzyć usta do krzyku.

Mgła rozwiała się. Statek łagodnie kołysał się na fali. Bezchmurne niebo miało dziwnie szarą barwę. Ilna nie rozpoznała żadnej z wielu konstelacji gwiazd.

Mamrocząc coś między sobą i grzechocząc wielokrążkami, Łuskowaci postawili żagiel. Zrobili to sprawnie jak prawdziwi marynarze, którymi pewnie byli, na co wskazywały ich stroje.

Ilna nie czuła podmuchów wiatru. Dwaj inni marynarze postawili trójkątny żagielek na dziobie. On także wypełnił się niewyczuwalnym wiatrem.

Powierzchnia wody lekko fosforyzowała. To światło miało jakiś kolor, lecz tak słaby, że nawet wprawne oko Ilny nie było w stanie rozpoznać, czy jest to zieleń czy żółć.

Ze spokojnej toni sterczały ostre skały. Niektóre wznosiły się na dziesiątki metrów w powietrze, inne były zaledwie rafami, czarnymi wykrzyknikami na świetlistej wodzie. Najwyższe miały płaskie wierzchołki i wyglądały jak metalowe ćwieki, których sporadycznie używano w Barca's Hamlet, gdzie zastępowano je drewnianymi gwoździami.

Statek gładko sunął po wodzie z prędkością, jakiej nigdy nie zdołałby rozwinąć w kapryśnych podmuchach wiatru. Spod dziobu tryskała piana, pozostawiając na wodzie smugi, które Ilna widziała przez otwór w nadburciu.

Stojący za sterem Łuskowaty zaczął śpiewać. Rechotał równie chrapliwie jak jego podśpiewujący kamraci. Tych słów nie byłoby w stanie wymówić żadne ludzkie gardło.

Statek sunął naprzód, unosząc Ilnę przez mrok. Była zbyt mocno związana, aby dosięgnąć palcami węzła, lecz rozluźniając i napinając mięśnie, powolutku zaczęła przesuwac sznur.

Wszystko ma jakiś wzór. W końcu Ilna znajdzie taki, który ją uwolni. To, co zdarzy się później, będzie zależało od okoliczności, ale w myślach widziała sześć powoli zaciskających się pętli.

DWUDZIESTY PIERWSZY DZIEŃ CZAPLI

Ścieżka była wyłożona spróchniałymi belkami, tak że przy każdym kroku stopy Cashela zapadały się z trzaskiem. Przypominało to chodzenie po śnieżnej zaspie. Kora, jak śniegowa pokrywa, czepiała się jego nóg, gdy wyjmował je, aby zrobić kolejny krok. Łydki miał otarte do krwi.

– Och, łaskawa Panienko, dzięki ci! – zawołała Aria, radośnie unosząc ręce ku niebu. – Och, proszę, wybacz mi, że dopiero teraz zrozumiałam Twój plan!

Księżniczka i Zahag byli lżejsi od Cashela, więc mogli iść po belkach, jeśli te nie rozpadły się w drzazgi pod jego ciężarem. Od kiedy weszli na tę wiodącą przez bagna groblę, Cashel puścił ich przodem. Aria wciąż przystawała. Cashel postanowił, że szturchnie ją, jeśli zrobi to znowu. I nawet nie będzie się przejmował tym, jak to zrobi.

Ten nagły wybuch radości był tak nieoczekiwany, jakby Arii nagle wyrosły skrzydła. Zamiast potraktować ją laską, Cashel spytał:

– Co rozumiałaś, panienko? I spróbuj iść dalej, proszę.

Aria odwróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Zrozumiałam, że wystawiasz mnie na próbę, głuptasie! Jak Cierpliwą Muzirę!

– Słońce nie świeci tak mocno, żeby to był udar – zawołał Zahag. – Podejrzewam, że uządlił ją jakiś owad i dostała gorączki.

Małpolud szukał jajek w gnieździe, które znalazł w rozwidleniu drzewa rosnącego dwadzieścia kroków dalej. A może chrząszczy, pomyślał Cashel. Zahag nie był wybredny.

Cashel delikatnie uwolnił się z objęć Arii. Domysł Zahaga, wyjaśniający przyczynę dziwnego zachowania księżniczki, zdawał się dość prawdopodobny, lecz Cashel nie dostrzegł na jej ciele żadnej opuchlizny ani zaczerwienienia.

– Idźmy dalej – powiedział ostrożnie. Znacząco machnął lewą ręką.

– Oczywiście, panie Cashelu – powiedziała Aria. Spróbowała lekko dygnąć. Prawą nogą stała na belce, która już pękła pod ciężarem Cashela. Kiedy księżniczka zgięła się w ukłonie, kora ustąpiła i noga Arii zapadła się w przegniłe drewno, bagienną wodę oraz roje owadów, dla których taka maź to było świetne mieszkanie.

Na twarzy Arii pojawiło się zaskoczenie, a potem gniew, który zaraz przeszedł w promienny i bynajmniej nie wymuszony uśmiech. Cashel patrzył na to z nieprzeniknioną miną, chociaż był niebotycznie zdumiony tym, jak pogodnie przyjęła tę przygodę. Podniósł dziewczynę, żeby nie podrapała sobie umazanej mazią nogi.

– Oczywiście, łaskawa Panienko – powiedziała Aria do błękitnego nieba. – Rozumiem, że próba musi trwać dalej.

Poklepała Cashela po policzku. Przez moment przeraził się, że zaraz go pocałuje, ale odwróciła się i raźnie poszła dalej groblą. Cashel pokręcił głową i z chrzęstem ruszył za nią.

Coś zbulgotało w stęchłej wodzie. Zerknął w tym kierunku, skąd dobiegał ten dźwięk. W zwyczajnym bagnie byłby to pęcherz cuchnącego gazu, pękający i pozostawiający na powierzchni kręgi oraz kożuch szlamu. Tu zobaczył stworzenie o ludzkich rękach, tułowiu i głowie zrosniętych razem, na kształt jaja z twarzą. Stwór wskazującym palcem dłubał w ostrych zębiskach, uśmiechając

się jak człowiek po smacznym posiłku.

Cashel westchnął. Żadne prawo nie zakazywało być brzydkim, szczególnie tutaj. Jeśli to stworzenie wyjdzie do nich na groblę, Cashel rozgniecie je jak jajko, do którego jest podobne. Dotychczas jednak nie zaatakował ich żaden z żyjących w wodzie potworów, więc nie spodziewał się, by ten postąpił inaczej.

Zahag zeskoczył z drzewa i podbiegł do Cashela. Przeżuwał coś, co znalazł w gnieździe. Małpolud był ich żywicielem. Lepiej od Cashela potrafił wyszukiwać pożywienie i kilkakrotnie swym szerokim płaskim nosem wykrył truciznę w owocach i grzybach. Zwykle zjadał najsmaczniejsze kawałki, zanim przyniósł resztę do podziału.

Cashel nie miał nic przeciwko temu. Nie podzielał upodobań małpoluda, a gdyby ten zaproponował Arii garść swych ulubionych larw, dziewczyna z pewnością dostałaby spazmów.

– Dobrze przyjrzałeś się miejscowym owadom? – zapytał Zahag. Mierzył wzrokiem małą eskadrę bzycząca tak nisko nad bagnem, że marszczyła się powierzchnia wody.

– Tak – odparł Cashel. Nie miał ochoty o tym rozmawiać. To nie były insekty, chociaż miały koronkowe skrzydełka i wielosegmentowe odnóża jak owady w Barca's Hamlet. Na niektórych z nich siedzieli jeźdźcy bardzo podobni do ludzi, tylko wielkości paznokcia.

– Są szybkie – powiedział Zahag – ale nie tak szybkie jak ja!

Z apetytem oblizwał wargi. Cashel skrzywił się i pokuśtykał dalej. Za nim aż po horyzont ciągnął się ślad zgniecionych pni. Zastanawiał się, czy ktoś naprawia tę groblę. W końcu ktoś przecież ją zbudował.

– Kim jest ta Cierpliwa Muzira, którą poddałeś próbie? – zapytał Zahag. Małpolud maszerował na tylnych krótkich łapach. Trzymał się krok przed Cashelem, starając się nie stawać na belce sąsiadującej z tą, którą w tym momencie rozgniatała z trzaskiem stopa młodzieńca.

– Nigdy o niej nie słyszałem – odparł Cashel.

Garric pewnie by wiedział, albo Sharina. Chociaż jego przyjaciele nie przypominali księżniczki w niczym prócz tego, że oni również przeczytali mnóstwo książek.

Aria odwróciła się i szła dalej – tyłem. Nie był to najlepszy pomysł na tej nierównej ścieżce, ale Cashel nie zamierzał narzekać, dopóki dziewczyna szła dalej. Może sobie fikać koziołki, jeśli ma ochotę.

– Cierpliwa Muzira była najwspanialszą damą wszech czasów – powiedziała Aria. Twarz miała zarumienioną z emocji. – Była tak doskonała, że najpotężniejszy król na ziemi postanowił ją poślubić, ale najpierw porwał ją i traktował jak niewolnicę. Kazał jej spać na ziemi i dał tylko...

Aria zawadziła nogą o belkę i straciła równowagę. Cashel wyciągnął do niej pałkę, ale dziewczyna nie zdążyła jej chwycić. Z pluskiem usiadła na ścieżce. Z nasiąkniętych belek trysnęła woda.

– Iii! – pisnęła dziewczyna.

Cashel pochylił się i postawił ją na nogi. Dobrze, że suknia Arii była tak brudna, że księżniczka przestała biadolić nad każdą następną plamą.

– Ojej, ależ ze mnie niezdar! – powiedziała Aria i zachichotała. Zabrzmiało to równie fałszywie jak te opowieści, które Katchin Młynarz, wuj Cashela, zwykł opowiadać o obiadach, jakimi podejmował go podczas wypraw do Carcosy książę Lascarg.

Zahag wytrzeszczył oczy i spojrzał na Cashela. Ten wzruszył ramionami.

– W każdym razie – podjęła Aria – król kazał Muzirze szorować podłogi w całym pałacu i dawał jej do jedzenia tylko soczewicę z robakami.

– Taką najbardziej lubię – rzekł z rozmarzeniem Zahag. – Zielenina i mięso w jednym daniu.

– Aż po siedmiu latach – powiedziała Aria, ignorując tę uwagę lub nie usłyszawszy jej – król wezwał do siebie Muzirę i w obecności całego dworu kazał, by ucałowała jego stopy, zanim wychłoszcze ją batem. Zrobiła to, a wtedy wyjawiał jej, że wszystko to robił, by sprawdzić, czy zasługuje na to, aby zostać jego żoną. Pomyślnie przeszła tę próbę, a więc ożenił się z nią i uczynił ją królową!

– Obrzydliwe! – rzekł Cashel. W Barca's Hamlet też nie brakowało złych mężów, a nawet było ich więcej niż dobrych – jeśli wierzyć Ilnie, która nie lepiej wyrażała się o żonach. Jednak takie postępowanie, o jakim mówiła Aria, było czymś nie do pomyślenia. Nawet najgorszy pijak i brutal musiał kiedyś zasnąć, chociaż prawdopodobnie paru krzepkich mężczyzn z wioski wcześniej nauczyłoby go rozumu. W takiej niewielkiej społeczności kłopoty jednostek były problemem ogółu.

Aria znów zaczęła iść.

– Tak sobie myślę, panie Cashelu – powiedziała, tym razem nie odwracając się. – Ty nie jesteś królem, prawda? Jesteś jego wiernym sługą.

Cashel odkaslnął.

– Jestem pasterzem – odparł. – Nie znam żadnych królów, księżniczko. No, oprócz twojej matki, która właściwie jest królową.

– Rozumiem – powiedziała Aria. – Nie możesz powiedzieć. Nikomu nie powiem, że domyśliłam się wcześniej.

– Majaczy, prawda? – mruknął Zahag.

Cashel wzruszył ramionami.

– Na to wygląda – rzekł.

I bardzo dobrze. Szalona Aria była znacznie miłsza niż wtedy, kiedy była przy zdrowych zmysłach.

W oddali lśniły w słońcu szczyty wysokich gór. Zeszłej nocy Cashelowi wydawało się, że dostrzega tam mrugające niebieskie światelko. Nie wiedział, jak długo będą musieli do niego iść, ale sądził, że w końcu tam dotrą.

Szedł, z trzaskiem i pluskiem.

W końcu to mu wystarczało.

Ptaszek w listowiu wyśpiewywał kolejną wersję głównego motywu, gdy Sharina ostrzyła pewlański nóż. Ptak nigdy się nie powtarzał i wydawało jej się, że wcale nie robił przerw, aby nabrać tchu.

Przeciągała nożem po bloku przyniesionego ze strumienia drobnoziarnistego bazaltu. Robiła to długimi, płynnymi ruchami, ostrzem do siebie. Przerwała pracę i sięgnęła po wilgotny zwitek mchu, którym zwilżała powierzchnię kamienia. Przyszło jej do głowy, że w tym lesie nie mogła być pewna, czy ten śpiew to rzeczywiście ptasie trele.

Haft leżała na uboczu, a Barca's Hamlet była odizolowana nawet od drobnych niepokojów i trosk, jakie trapiły mieszkańców Carcosy. Życie w wiosce biegło takim samym rytmem jak przed wiekami. Ludzie rodzili się i umierali, lecz wszystko pozostawało niezmiennie takie same.

Teraz Sharina znalazła się w szerokim świecie, gdzie wszystko wyglądało inaczej, a ponadto wciąż się zmieniało. Nie mogła niczego zakładać, tak jak robiła to dotychczas. W ten sposób mogła zginąć lub jeszcze gorzej: zawieść tych, których kochała i którzy na nią liczyli.

Założyła, że człowiek, który wygląda i mówi jak Nonnus, musi być Nonnusem. Przerwała poszukiwania Cashela, żeby popłynąć z oszustem.

Poczuła, że łyzy cisną się jej do oczu. *Och, Pani, jestem taka samotna. Taka samotna.*

Nie dostrzegła żadnej zmiany w otoczeniu, ale nagle wyczuła, że jest obserwowana. Nie był to ten rodzaj towarzystwa, na które liczyła, ale przynajmniej mogła czymś się zająć, zamiast opłakiwać przeszłość.

Sharina podniosła się i stanęła w smudze słońca, padającej niedaleko grobu Ansule'a. Otarłszy ostrze wiechciem zerwanym z dużej kolby nasiennej, niedbałym krokiem przeszła obok nagrobka, na którym wyrzeźbiła wizerunek Pani.

Ścieżka do nadrzewnego domku Hanno nie była wydeptana, ale myśliwy wytyczył ją, ścinając niżej położone odgałęzienia kilku rododendronów. W ten sposób w gęstych zaroślach powstał tunel z mocno splecionych gałęzi i słodko pachnących fioletowych kwiatów, przez który można było przejść.

Sharina wpadła w ten gąszcz. Nisko pochylona, pokonała połowę tunelu, po czym skuliła się we wnęce, którą wycięła poprzedniego wieczoru, zanim poszła spać. Śledzący ją będą musieli iść jeden za drugim i pierwszy dosłownie nadzieje się na jej nóż, zanim się zorientuje...

Ktoś był tuż za nią.

Sharina obróciła się. Myślała, że przez gąszcz rododendronów nie da się przejść, lecz obecność tej postaci w gęstym gąszczu dowodziła, że był to fatalny...

– Dzień dobry, panienko – powiedział Hanno. Leżał brzuchem na ziemi. – Myślałem, że cię zaskoczę, bo nie słuchałaś, kiedy mówiłem ci, żebyś schroniła się na drzewie. Chyba tak przyzwyczaiałem się do Małp, że zapomniałem, że oprócz mnie są jeszcze ludzie, którzy wiedzą, co robią w lesie.

Nie miała pojęcia, jak taki wielki mężczyzna zdołał przeczołgać się przez ten gąszcz, lecz nawet Hanno musiał zostawić swoją długą włócznię. Musiałby podpełznąć bliżej, żeby dosięgnąć ją nożem, a zanim zdążyłby to zrobić, Sharina uciekłaby tunelem pod gałęziami rododendronów.

– Nie wiedziałam, że to ty – powiedziała drżącym głosem. – Cieszę się, że wróciłeś, Hanno.

Wyszła z kryjówki, a potem wróciła na polanę. Myśliwy dołączył do niej po dłuższej chwili. Tym razem też nie słyszała szelestu liści.

Hanno zerknął na groby i kamień do ostrzenia. Uśmiechnął się z posępną aprobatą. Wyglądał prawie tak samo jak przed dwoma dniami, kiedy zniknął w lesie, lecz miał przy sobie dodatkową broń: włócznię o wąskim grocie i krótki toporek, którego gładko zaokrąglony obuch nadawał tej broni śmiertcionośne piękno.

– Ansule już nie potrzebuje swojego oręża – rzekł Hanno z ponurym humorem, jakiego Sharina się po nim spodziewała – ale nie chciałem zostawiać go Małpom.

Rzucił na ziemię węzełek, którego też nie miał, kiedy stąd odchodził.

– Tego także nie potrzebowały, kiedy je zostawiałem.

Sharina przygryzła dolną wargę. Wiedziała, co znajdzie w środku, a mimo to przykucnęła i rozwiązała zawiniątko. Było zrobione z kawałka guzowatej skóry, zapewne jakiegoś gada. Rogi materiału ściągnięto i związane elastycznym ścięgnem.

Zapewne ludzkim.

– Widzę, że wygrzebałaś garnek z pogorzelska – rzekł Hanno tonem towarzyskiej pogawędki. – To dobrze, chociaż pewnie moglibyśmy wygotować je do czysta w tym garnczku, który został na łodzi.

Sharina znalazła w popiele pięciogalonowy kociołek z brązu, który zgiął się, lecz nie pękł pod ciężarem zwałonego dachu. Za pomocą dwóch kawałków twardego drewna wyklepała najgorsze wgięcia, a potem wypełniła kociołek wodą i postawiła na wolnym ogniu.

Teraz rozwinęła węzełek. Zawierał zęby, około trzydziestu kompletów. Ich korzenie były jeszcze

czerwone od tkanki, z której wyrwano je przed kilkoma godzinami. Sharina poczuła mdłości, co nie było reakcją na odór, choć ten był wystarczająco obrzydliwy.

– Ich trop wiódł prosto, jak strzełił – oznajmił myśliwy. – Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby Małpy zachowywały się w taki sposób. Przeważnie kręcą się po całej okolicy.

Sharina wstała.

– To nie są Małpy – powiedziała wyraźnie. – To ludzie. Ludzkie istoty!

Hanno wzruszył ramionami.

– W porządku, panienko – powiedział. Jego głos brzmiał spokojnie, lecz skrywał takie samo napięcie, jakie odczuwała Sharina. – To ludzie. To oni spalili moją chatę i zanim poszli dalej, zjedli mojego współnika.

– Były wśród nich dzieci! – powiedziała Sharina.

– Wszyscy, którzy zakosztowali tego posiłku, są tutaj! – rzekł Hanno, wskazując na węzełek z zębami. – Ich dzieci... cóż, te są z matkami, ale nie brałem ich zębów. Żadna Małpa nie dorośnie, by opowiedzieć innym, jak smakuje ludzkie mięso!

Sharina zaczerpnęła tchu i odwróciła się. Nie wiedziała, czy to było słuszne. Wiedziała, co sama uważa za słuszne, ale ona nie mieszkała w tej dżungli. Gdyby to było jej ciało, a nie Ansule'a... co zrobiliby Nonnus z tymi, którzy zabili ją i zjedli?

Odpięła pas z nożem i położyła go na ziemi. Ze łzami w oczach podeszła do drewnianej tabliczki i uklękła przed grobem.

– Pani, prowadź mnie – szepnęła. – Pani, wybac mi zło, jakie czyniłam innym, i przebac innym zło, jakie mi uczynili.

– Zazwyczaj nie poluję na zęby – odezwał się za jej plecami Hanno.. Głos miał ochryply ze zmieszania. – Chętnie kupują je w Valles i sprzedają Serianom, którzy ucierają je i sporządzają z nich jakieś lekarstwo, ale ja tego nie robię. Pomyślałem jednak, że zabiorę je dla Ansule'a. Chyba zawiążę węzełek i powieszę go na jego grobie.

– Nie – powiedziała Sharina. Podniosła się z klęczek i stanęła twarzą do myśliwego. Już nie płakała. Odruchowo otarła palcami policzki. – Albo zrób to. Nie będę ci mówiła, jak masz uczcić pamięć przyjaciela. Najpierw jednak zabierz stąd Panią. Ona nie powinna brać w tym udziału.

Hanno zmarszczył brwi, nie gniewnie, lecz w zadumie. Uklękął przy grobie i przesunął palcem po tabliczce. Sharina zabarwiła świeże białe drewno sokiem z łupin orzechów, a potem czubkiem pewlańskiego noża wyryła na nim postać Pani.

– Piękna robota, panienko – powiedział, patrząc na drewno eukaliptusa.

– Dziękuję – odparła, zaciskając wargi. Nagrobek był prosty i nie przetrwa długo w tym klimacie, ale ona także uważała, że jest bardzo ładny.

Hanno wstał i wzruszył ramionami.

– Chyba zostawimy wszystko tak, jak jest – powiedział.

Podniósł węzełek, zaniósł go tam, gdzie Sharina zakopała Włochatych, po czym wysypał wyrwane zęby na ziemię.

– Dziękuję, Hanno – powiedziała Sharina. Zamilkła, a potem podeszła do myśliwego i uściskała go. Oboje nie patrzyli przy tym na siebie. Kiedy odsunęli się, Sharina dodała: – Przykro mi z powodu twojego przyjaciela.

– Zawsze uważałem, że jest zbyt nieostrożny – rzekł Hanno. Odkasznął. – Myślałem jednak, że załatwi go jakaś jaszczurka, a nie Małpy. Polował na nie tą zabaweczką...

Zanim uklękął przy grobie, wbił obie włócznie w ziemię. Teraz wyrwał broń Ansule'a i zważył ją w prawej ręce. Tylko ktoś taki jak Hanno mógł nazwać ponadtrzymetrową włócznię zabawką, gdyż

istotnie ważyła o połowę mniej niż jego ciężka broń o szerokim grocie.

– A mówię ci, panienko, niektóre z tych dużych jaszczurek naprawdę trudno zabić.

Hanno w zadumie popatrzył na włócznię, a potem na Sharinę.

– Chcesz broń Ansule’a, panienko? – zapytał. – Raczej nie odeślę jej jego krewnym, a poza tym to nie oni go pochowali.

– Ta włócznia jest dla mnie za długa – odparła Sharina. Nie ulegało wątpliwości, że podczas pobytu na Bight broń będzie jej potrzebna. – A co do toporka, to wolę mój nóż. Należał do mojego przyjaciela.

Myśliwy poważnie pokiwał głową. Położył włócznię na pniu eukaliptusa, po czym toporkiem zaczął odcinać prawie pół metra drzewca. Sharina widziała, że Hanno uderzył delikatnie, lecz to wystarczyło, by odłupać spory kawałek twardego hikorowego drewna. Obrócił drzewce w dłoni i przeciął je równym uderzeniem z drugiej strony. Pokazując skróconą włócznię Sharinie, zapytał:

– Może być? Czy też odciąć jeszcze kawałek? Nałożę okucie, kiedy usunę drzazgi.

– Taka powinna być dobra – powiedziała Sharina. Te niedbałe uderzenia były równie precyzyjne jak ruch gwiazd na niebie. Siła Hanno była chyba mniej zdumiewająca od tego, w jaki sposób nad nią panował.

– Chyba zatrzymam sobie toporek – mruknął po namyśle. Wepchnął go za pas. – Jestem taki jak ty, panienko. W starciu wręcz wolę posługiwać się nożem, ale myślę, że Ansule chciałby, żeby ten topór znalazł się w dobrych rękach. Wiele nim zdziałał, naprawdę.

– Przyniosłam z łodzi trochę ziarna – wykrztusiła Sharina. – Chcesz, żebym upiekła ci podpłomyki? Albo zrobiła płatki?

Nie była głupia i wiedziała, że Hanno przejął się śmiercią przyjaciela, chociaż mówił o niej w tak nonszalancki sposób. Jednak nie miała pojęcia, jak na to zareagować. Doszła do wniosku, że najlepiej nie poruszać tego tematu i pozwolić, by Hanno uporał się ze swoim żalem w taki sposób, jaki sam wybierze.

– Podpłomyki byłyby wspaniałe! – odparł myśliwy. – Zobaczę, czy uda mi się upolować coś, choćby na jeden posiłek. Potem zdecydujemy, co dalej.

Przykucnął i zaczął ostrzyć grot włóczni na przyniesionym przez Sharinę kamieniu. Był roztargniony, nie myślał o tym, co robi.

– Nie mam pojęcia, co się tutaj działo, od kiedy wyruszyłem do Valles – powiedział. – Ansule może nie był tak ostrożny jak ja, ale przebywał tu już pięć lat. Nigdy nie sądziłem, że Małpy zdołają go tak zaskoczyć.

Ruchem krzaczastej brody wskazał na rosnący wokół las.

– Zakradli się w nocy i przyczaili wokół polany, czekając, aż wyjdzie o świcie. Gdyby od razu zaatakowali chatę, okna i drzwi zatrzymałyby ich wystarczająco długo, żeby Ansule zdążył się przygotować. A wtedy prawdopodobnie zdołałby wyrąbać sobie drogę i uciec.

Hanno spojrzał na grób i potrząsnął głową.

– Był bardzo szybki, przysięgam.

– Czy to niezwykle, że atakują myśliwych? – zapytała Sharina, chcąc okazać zainteresowanie. Fakt, że handlowano zębami Włochatych, świadczył o tym, że myśliwi na Bight uważali ich raczej za zwierzynę niż przeciwnika.

Hanno wzruszył ramionami.

– Zdarza się – odparł. – Równie dobrze gałąź może spaść ci na głowę i jest to poważniejszy powód do niepokoju. W każdym razie nawet jeśli chcieli napaść na Ansule’a, nie są dostatecznie sprytni, żeby zastawić taką zasadzkę. A tymczasem właśnie tak zrobili. – Wstał i rzucił Sharinie

włócznie. – Dasz sobie radę, zanim upoluję jaszczurkę? – zapytał.

– Tak.

Hanno kiwnął głową.

– Tak też myślałem – rzekł. Powiódł spojrzeniem po zielonej ścianie dżungli wokół polany. – Powinienem porozmawiać z innymi ludźmi, którzy polują na tym końcu wyspy, i dowiedzieć się, co mają do powiedzenia. Prześpię się tu, a potem przez kilka następných dni będę ich odwiedzał. – Uśmiechnął się. – Oczywiście, jeśli jeszcze będzie kogo odwiedzać.

Sharina uśmiechnęła się, chociaż ścisnęła ją w gardle.

– Przygotuję kilka tabliczek – powiedziała. – Na wypadek, gdyby nie było.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić, Tenoctris? – spytała Liane, niosąc srebrną tacę do ogrodu na dachu. Royhas nie sprzeciwił się, kiedy stara czarodziejka wyryła symbole mocy na krawędzi tacy, więc teraz mogła wykorzystać ją do rzucenia zaklęcia.

Garric ustawił stoliczek z intarsjowanym blatem między miniaturowym figowcem a donicą z kwitnącymi narcyzami. Zadrżał. Miejski dom Royhasa był o pół kondygnacji – czyli o wysokość sali bankietowej – wyższy od otaczających go budynków, ale służba i tak zasłoniła ich parawanami z barwionego szafranem płótna, rozpinając nad nimi daszek. W chłodne wiosenne popołudnie nie było to potrzebne.

Garric uznał, że taka ostrożność jest uzasadniona. Zimny dreszcz, który przeszył go do szpiku kości, nie miał nic wspólnego z pogodą i słońce wcale by mu nie pomogło.

– Sądzę, że doszłam do siebie na tyle, aby rzucić kilka zaklęć – powiedziała Tenoctris, siadając na wygiętym fotelu, stojącym przy stoliku. – I jestem przekonana, że mamy mniej czasu, niż bym chciała.

Liane przełknęła ślinę. Umieściła tacę na środku stołu. Prawie na środku. Liane nie została wychowana przez karczmarza oczekującego perfekcji. Garric uśmiechnął się, zapominając o ponurym nastroju. Usiadł naprzeciw Tenoctris, pozostawiając Liane miejsce między nimi.

Wypolerowana taca lśniła jak lustro. Garric ujrzał w niej odbicie Tenoctris. Za plecami czarodziejki był mur, po którym piał się bluszcz, aby opaść po fasadzie budynku. Tenoctris dotknęła zimnego metalu.

– Srebro powinno zapobiec przedostaniu się tu królowej – oznajmiła – chyba że jej magia ma znacznie łagodniejszy charakter, niż się spodziewam. – Spojrzała na dwoje młodych i uśmiech znikł jej z twarzy. Dodała z niepokojem: – Nie będę potrzebowała waszej pomocy przy rzucaniu zaklęcia, ale nie jestem pewna, czy zapamiętam, co pokaże mi taca. Mam nadzieję, że będziecie mogli pomóc mi w tym.

– Chętnie – odparł serdecznie Garric. – Rób swoje, a my posiedzimy tutaj i popatrzemy.

Tenoctris rozmawiała z nimi, aby odwlec moment rozpoczęcia seansu. Garric nie sądził, by staruszka się bała. Tenoctris twierdziła, że nie dba o swoje życie i ciało, a Garric nigdy nie dostrzegł żadnych oznak świadczących o tym, że nie mówiła prawdy, ale była bardzo strudzona po długiej podróży. Sam wiedział, że łatwiej jest stawić czoło niebezpieczeństwu, niż raz po raz stawać przed trudnym zadaniem, jakiego nie da się szybko ukończyć.

Tenoctris uśmiechnęła się.

– *Sasskib* – powiedziała, obracając tacę wskazującym palcem. Gładki metal obrócił się bez trudu na równie gładkim drewnie. – *Kabbib sady knebir*.

Garric poczuł lęk. Od czasu wydarzeń w Pierwszym Miejsu Ersan dobrze wiedział, jakie niebezpieczeństwa czyhają na obrzeżach ścieżek między płaszczynami. Gdzieś czekała, niewidzialna

dla Garrica, kobieta o perlistym śmiechu. Tenoctris była ostrożną czarodziejką – nie działała po omacku w nadziei, że coś z tego wyjdzie. Mimo to zaklęcie mogło otworzyć ten świat tej sile, której Dłoń stworzyła Brzeg.

Liane żywiła takie same obawy. Siedziała, zaciskając pięści. Kiedy Garric dotknął jej ręki, mocno ujęła jego dłoń.

– *Sawadry maryray anoquop* – powiedziała Tenoctris. Oderwała palec od srebrnej tacy, ale ta wciąż wirowała. – *Anes paseps kiboybey*.

Royhas dostarczył wszystko, o co Garric poprosił, także tę cenną tacę, którą Tenoctris przemieniła w magiczne lustro. Jednak ani sam lord, ani jego wspólnicy nie chcieli być obecni podczas seansu i tylko najwyżsi rangą słudzy – Maurunus oraz dwóch innych – wiedzieli, że Garric i jego towarzyski znajdują się w tym domu.

Wiedzieli o tym strażnicy oraz łowczy. Prędzej czy później ktoś się wygada. Jeśli Silyon zdołał przewidzieć, że ci troje pojawią się w ruinach pałacu, to z pewnością zdoła znaleźć ich ponownie za pomocą swej sztuki.

– *Banwar!* – powiedziała Tenoctris. Taca zawirowała szybciej, tak szybko, że nie byli już w stanie odczytać liter wyskrobanych na jej brzegu. – *Nakyar nakyar yah!*

Srebrna taca zmieniła się w mglistą plamę. W niej – a raczej przez nią – Garric ujrzał królową, piękną kobietę o zimnej urodzie, odzianą w suknię z tęczowego jedwabiu i stojącą przed blokiem polerowanego turmalinu. Kryształowa różdżka w jej dłoni rzucała jasne błyski. Kobieta stała w kręgu zaklęć wyrytych w kafelkach posadzki.

Tenoctris nadal rzucała zaklęcia. Spojrzenie Garrica przywarło do tego obrazu jak łasica trzymająca szczura.

Królowa też rzucała zaklęcia. Garric po tej stronie srebrnego dysku nie słyszał żadnych dźwięków, ale wyczuwał ich rytm. To raczej te słowa, a nie własna ciekawość, zmuszały go do obserwowania tej sceny.

Królowa uniosła kryształową różdżkę. Jakby odcięty jednym ciosem, od jej ciała oderwał się widmowy obraz. Ta istota miała rysy demona, szare ciało i ślepie czerwone jak ogień.

Królowa nadal mamrotała, wymachując różdżką w powietrzu. Poza kręgiem stał kamienny stół. Chwilami Garricowi wydawało się, że widzi na nim szachy, lecz obraz był zbyt niewyraźny. Kolejna zjawia oderwała się od ciała królowej i gładko przeszła przez ścianę komnaty.

Trzecia oddzieliła się i znikła poza skrajem polerowanej srebrnej tacy. Królowa stała, władcza i zimna, lecz z każdym oddzielającym się od niej widmem jej ciało stawało się bledsze. Tenoctris zniżyła głos do szeptu.

– W lustrze – szepnęła Liane. Daremnie próbowała wstać. – Spójrz na kamienne lustro.

Garric zdołał podnieść się z fotela. Podeszedł do stołu, poruszając się niezręcznie, gdyż nie odrywał oczu od wirującej tacy. Stał za Tenoctris i spojrzał w lustro w tej samej chwili, gdy królowa uczyniła to samo.

Tenoctris westchnęła. Przetarła oczy. Wyglądała na oszołomioną. Taca zachybotwała się i z brzękiem upadła na kamienne płyty posadzki. Chociaż srebro wciąż drżało, wydając dźwięczny i melodyjny brzęk, postać znikła, gdy tylko Tenoctris przestała wypowiadać zaklęcia.

Staruszka osunęła się na bok, zasypiając lub tracąc przytomność. Garric chwycił ją za ramiona, żeby nie rozbiła sobie twarzy o intarsjowany stół.

– Widziałeś? – zapytała Liane. Garric też się chwiał. Jedynie konieczność podtrzymywania Tenoctris powstrzymywała go przed upadkiem. – Co widziałeś w tym kamieniu?

– Nie widziałem królowej – szepnął Garric – tylko demona. Patrzył na mnie.

Maidus nie płakał od czasu, gdy pobity prawie do nieprzytomności przez obecnego przyjaciela matki, doczołgał się do drzwi Ilny i nigdy nie wrócił do domu. Teraz płakał, ze zwieszoną głową siedząc na podłodze wynajętego przez Cerixa i Halphemosa pokoju.

– Rozpuść moją ostatnią pigułkę w winie i podaj mu, Halphemosie – rzekł Cerix, zajęty zszywaniem rozciętej głowy chłopca. Uderzenie pałką zostawiło rozcięcie długości dłoni, które znów zaczęło obficie krwawić, gdy dwaj czarodzieje zmyli krew zakrzepłą w gęstych czarnych włosach. Gdyby go nie opatrzyli, chłopiec zemdlałby, lub nawet umarł z utraty krwi.

– On nie płacze z bólu – mruknął Halphemos. – Wiedziałem, że to ja powinienem być pójść do portu, a nie Ilna!

– Daj mu pigułkę! – powtórzył Cerix. – Ona koi nie tylko ból ciała.

Kciukiem i wskazującym palcem lewej ręki zaciskał ranę, a prawą przeciągał igłę przez jej brzegi. Używał nici wyciągniętej z szaty Halphemosa. Ponieważ jedwab był czerwony, nie było widać, jak nasiąkała świeżą krwią.

– Nie mogłeś tego wiedzieć, Halphemosie – rzekł kaleka, gdy towarzysz wykonał polecenie. – Dziękuj za to losowi.

– Jesteście czarodziejami, zacni panowie – rzekł Maidus. Nawet nie drgnął, czując ukłucie igły i przeciąganie nici przez skórę, tylko łzy ciekły mu po policzkach. – Nienawidziłem was za to, że chcecie zabrać stąd panienkę Ilnę, ale teraz tylko wy możecie pomóc. Proszę, sprowadźcie ją z powrotem, panowie. Ona jest najlepszym darem bogów dla Crescent. Najlepszym darem dla całego świata!

Cerix prychnął. Halphemos posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, ale pogrążony w żalu Maidus na nic nie zważał.

– A co do zastąpienia Ilny – rzekł Cerix, nie przerywając pracy. Przez dwadzieścia lat był wędrownym czarodziejem i znajomość zasad udzielania pierwszej pomocy często ratowała mu życie. – Nawet gdyby to nie były jej pieniądze, uznałaby cię za szaleńca, gdybyś twierdził, że zdołasz wynegocjować lepszą cenę niż ona. Natomiast jeśli mowa o niebezpieczeństwie, to założę się, że ona jest teraz znacznie bezpieczniejsza niż ci, którzy ją porwali.

Cerix założył ostatni szew.

– W porządku – rzekł. – Możesz się napić, zanim zawiążę węzeł.

Maidus podniósł głowę i pociągnął łyk zaprawionego narkotykiem wina. Trzema długimi haustami opróżnił kubek. Ciężko dysząc, wodził wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego.

– Tylko czy ona może wrócić? – zapytał. – Możecie sprowadzić ją z powrotem?

Dłonie kaleki drżały, chociaż jeszcze przed chwilą pewnie zszywał nimi ranę. Gdy tylko odzyskał przytomność, chłopiec przyszedł do nich z opowieścią o porwaniu Ilny przez łuskowate potwory. Cerix mógł zszyć mu ranę, lecz w drugiej i najważniejszej sprawie, z jaką przyszedł do nich ten mały, nie był w stanie nic zrobić i dobrze o tym wiedział.

– Mamy jej płaszcz – rzekł raźnie Halphemos. – Możemy rzucić zaklęcie lokalizujące, nie sądzisz?

Podniósł płaszcz, który ścisnął w dłoniach Maidus. Materiał był pokryty zaschniętą krwią. Wełna była utkana tak gęsto, że krople krwi z rozciętej głowy chłopca nie przesiąkły na wylot. Cerix spojrział na puste pudełko, w którym trzymał pigułki z narkotykiem.

– Zaklęcia, za pomocą których znaleźliśmy Ilnę, zadziałają i teraz, jeśli ona jest gdzieś blisko – powiedział. – Czarodziej o twoich możliwościach zapewne może odnaleźć ją w każdym miejscu na Wyspach, ale dotarcie do niej to zupełnie inna sprawa. Nie mamy pieniędzy nawet na ten pokój.

Ani na narkotyk Cerixa. Chętnie spałby pod gołym niebem w czasie burzy, gdyby tylko miał tuzin pigułek łagodzących ból dręczonych przez demony nóg.

– Już nieraz zarabialiśmy pieniądze! – przypomniał Halphemos. – Wolałbym nie tracić czasu, ale możemy robić to znowu, szukając jej. Jesteśmy to winni jej i jej bratu.

Cerix nie był tego pewien. Wątpił, by Ilnę porwano z powodu czegoś, co zrobił on lub ten chłopiec, a nawet by Halphemos był odpowiedzialny za przeniesienie Cashela do innego świata. Wiedział jednak, że dawno by umarł, gdyby chłopiec, który zdaniem Cerixa nie miał wobec niego żadnych zobowiązań, nie zajął się człowiekiem, który przez własną głupotę i arogancję został inwalidą.

– Owszem, możemy zarabiać – rzekł Cerix. – I pewnie zebrać dość pieniędzy, żeby dotrzeć nawet na najdalszą z Wysp. Jeśli jednak te stwory, które porwały Ilnę, przybyły z miejsca, o którym myślę, to ona już nie przebywa w świecie, po którym my kroczymy...

Uśmiechnął się z tego niezamierzonego żartu.

– A raczej wy krocycie – poprawił się. – Tam nie zdołam jej odnaleźć, nie mówiąc już o sprowadzeniu z powrotem.

Halphemos z przygnębieniem spojrzał na towarzysza.

– Przecież... – wykrztusił – musimy sprowadzić ją z powrotem!

Maidus skulił się na podłodze i zasnął, oszołomiony przeżyciami, zabiegiem i podanym środkiem odurzającym. Niedługo przekażą go kapitanowi straży, którego Ilna wyznaczyła na opiekuna chłopca.

Jedna tabletką to spora dawka dla nie przyzwyczajonego chłopca. Może powinni dać mu połowę lub mniej. Wtedy Cerix miałby... Zaśmiał się z siebie.

– Tak – mruknął. – Być może. Tylko nie wiem...

Urwał, gdyż w blasku świecy dostrzegł nagle wzór tkaniny, z jakiej był zrobiony płaszcz, który trzymał w dłoniach Halphemos.

– Stój! – zawołał. – Nie ruszaj się.

Halphemos gwałtownie poruszył rękami. Zrobił to odruchowo.

– Nie ruszaj płaszczem! – rzekł Cerix. Przemieścił fotel, na którym siedział, a potem przechylił głowę, tak by patrzeć na płaszcz pod takim samym kątem jak przed chwilą.

Halphemos stał nieruchomo jak posąg. Był przyzwyczajony do wielokrotnego recytowania zaklęć, których dźwięki były dla niego kompletnie niezrozumiałe. Spokojnie czekał, aż przyjaciel wyjaśni mu swoje dziwne zachowanie.

Cerix odchylił się do tyłu.

– Połóż płaszcz na podłodze – polecił cicho. – Nie składaj go, chociaż to pewnie niczego by nie zmieniło. Panna Ilna nie robi byle czego.

– Co z tym płaszczem? – spytał Halphemos, rozprostowując materiał.

– Został zgnieciony, kiedy zdarli go z niej Łuskowaci, a może sama go zrzuciła, nie wiem – odparł Cerix.

Zastanawiał się, jak to jest, kiedy ma się taką moc. Nie mógł sobie tego wyobrazić. Jediną rzeczą, jakiej teraz pragnął, to zapas pigułek, które uśmierzyłyby ból. Może na zawsze...

– Ceriksie? – spytał Halphemos.

Kaleka uśmiechnął się do niego.

– Na tej tkaninie są teraz widoczne znaki Dawnego Pisma – rzekł. – Przy odpowiednim świetle mogą je odczytać. Sądzę, że tworzą zaklęcie, które może nas doprowadzić do Ilny.

Twarz Halphemosa rozjaśniła radość.

– Pani nas wysłuchała! – zawołał. Upadł na kolana. – Och, Ceriksie, wiedziałem, że znajdzie się

jakiś sposób! Musiał się znaleźć!

– Nie wiem, czy pomogli nam bogowie – rzekł Cerix. – A zwłaszcza czy którykolwiek z nich chciałby mieć do czynienia z Ilną. Myślę, że ona ma więcej wspólnego z wiatrami i pływami niż z czymkolwiek, co ty czcisz.

Halphemos krążył wokół rozpostartego płaszcza. Próbował znaleźć ką, pod jakim ujrzałby dawne pismo, chociaż i tak nie umiał go przeczytać. Nie słuchał... co nie miało żadnego znaczenia, gdyż Cerix właściwie mówił sam do siebie.

Mieć taką moc...

– Rozszyfruję te symbole – rzekł ze znużeniem Cerix. – Pewnie zajmie mi to kilka dni, więc jutro będziemy musieli wyjść na ulicę, żeby zarobić na czynsz.

Halphemos kiwnął głową, nie rozglądając się wokół.

– Tym razem nie będzie wizji króla Valence'a – powiedział.

– Oczywiście – przytaknął Cerix. Teraz jednak wiedział już, co zobaczył w kuli czerwonego światła. Zakłęcie, które zaprowadzi jego i Halphemosa do Ilny, może przenieść do tej bestii nie tylko ich obrazy.

Ilna os-Kenset może przeżyć takie spotkanie. Zwyczajny człowiek – nie.

Co za moc...

DWUDZIESTY DRUGI DZIEŃ CZAPLI

Kiedy Sharina zbudziła się, deszcz już nie padał. Pomyślała, że pewnie bliżej jest do świtu niż zachodu słońca, lecz baldachim drzew zasłaniał księżyc i gwiazdy, więc nie miała pewności.

Hanno wyslizgnął się z drugiej strony pokrytego dachem z liści szałas, który Sharina zbudowała dla dwóch osób. Myśliwy poruszał się bezszelestnie, choć jego włócznia cicho mlasnęła, gdy wyrwał jej drzewce z ziemi.

Sharina dołączyła do Hanno, boleśnie świadoma tego, że jej stopy pluszczą o moką ziemię. Wprawdzie więcej hałasu robiła skradająca się po drzewie łasica, lecz tej nocy Sharina nie z nią się porównywała.

Po polance przemknął demon z szarego blasku. Prześlizgnął się między korzeniami leśnego olbrzyma. Chociaż zjawa poruszała nogami, jej stopy czasem stąpały po powierzchni ziemi, a czasem znikwały w niej. Ślepią miała żółte i skośne, kształtem przypominały migdały. Te oczy były jedyną realną częścią tej istoty.

Zjawa przystanąła. Hanno i Sharina nie poruszyli się. Dziewczyna zostawiła swoją włócznię w szałasie – nie była przyzwyczajona do tej broni. Z pochwy z czarnej foczej skóry wyjęła pewłański nóż i czekała.

Stwór jarzył się poświatą, która pozwalała go dostrzec, lecz przez wydłużony tors Sharina widziała pomarszczoną korę drzewa za jego plecami. Na skraju polanki pojawił się tuzin Włochatych Ludzi, samych samców. Trzymali w rękach kamienie lub krótkie gałęzie, które mogły pełnić funkcję maczug.

Zjawa rozpostarła ramiona na boki, a potem rozkazującym ruchem wyciągnęła je w przód. Włochaci rzucili się w kierunku dwojga ludzi.

– Osłaniaj mnie! – powiedział Hanno.

Pozwolił pierwszym napastnikom dotrzeć do strumienia, a potem skoczył im na spotkanie. Zamiast dźgać, machnął włócznią jak kosiarz kosą i odskoczył, pozostawiając kilka ciał w korycie strumienia. Trzej Włochaci padli martwi i tylko jeden z nich zdążył wydać urywany krzyk, zduszony przez zalewającą gardło krew.

Wyjąc ze strachu, pozostali napastnicy rzucili się do ucieczki. Kilku z nich w panice opadło na cztery łapy. Ciężkie ostrze włóczni Hanno przecięło zebra jednego z nich, tak że górna i dolna połowa torsu trzymały się tylko na kręgosłupie. W wilgotnym powietrzu rozszedł się odór krwi i fekaliiów.

Hanno głęboko oddychał przez otwarte usta; Sharina szybko łapała powietrze. Nie odzywali się.

Zjawa pęczniała i kurczyła się. Jeśli jej twarz zdradzała jakieś uczucia, to z pewnością wściekłość. Gwałtownym gestem kazała piszczącym Włochatym zaatakować ponownie.

Hanno ryknął jak rozjuszony byk. Przeskoczył strumień i zadał kolejne straszliwe cięcie swoją włócznią, tym razem wymierzone w jaśniejsze widmo. Ostrze przeszło przez zjawę jak przez wodę i wbiło się aż po drzewce w pień drzewa za nią.

Drzewo zatrzęsło się. Hanno sapnął jak człowiek z impetem uderzający w zbyt masywną dla niego przeszkodę. Dwaj Włochaci skoczyli na niego.

Sharina zrobiła krok w ich kierunku, unosząc nóż do cięcia. Hanno złapał pałkę spadającą na niego z lewej. Jednocześnie potężnym kopnięciem prawej nogi odrzucił na bok drugiego napastnika,

łamiąc mu mostek. Jedną ręką pociągnął za pałkę, a drugą oparł o klatkę piersiową jej właściciela. Cisnął Włochatym o drzewo i przeskoczył z powrotem przez strumień.

Ostatnia ofiara Hanno z połamanymi kośćmi powoli osunęła się po pniu. Ciężka włócznia, wbita w pień, jeszcze drżała. Nawet takiemu potężnemu mężczyźnie jak Hanno wyrwanie jej zabrałoby chwilę.

Pozostali Włochaci zbili się w warczącą gromadkę, której gwałtowne gesty zjawy nie były już w stanie poderwać do ataku. Sharina skorzystała z tej przerwy, żeby chwycić swoją włócznię.

– Masz – powiedziała, podając ją Hanno tak, by mógł natychmiast jej użyć.

– Zatrzymaj ją – mruknął myśliwy. Prawą ręką wyjął zza pasa toporek Ansula, a lewą jeden ze swoich długich noży.

Zjawa zbladła i znikła. Pozostały tylko jej żółte ślepia. Włochaci skamleli ze strachu. Jeden z nich przycisnął twarz do ziemi i zakrył głowę rękami. W miejscu, gdzie stało widmo, w powietrze trysnął pióropusz ognia. Miał brudnoczerwoną barwę płonącej smoły. W następnej chwili płomienie uformowały w powietrzu ludzką postać.

Ognista zjawa ruszyła naprzód sztywnym krokiem marionetki. Z jej wyciągniętych rąk sypał się deszcz ognistych kropelek.

– Niech cię porwie Siostra! – wrzasnął Hanno. Skoczył naprzeciw widma i zadał tak błyskawiczny cios, że ostrze topora zmieniło się w świetlistą smugę. Stał uderzyła w miejsce, gdzie u człowieka szyja łączy się z ramionami.

Ostrze topora eksplodowało białymi iskrami. Hanno odleciał do tyłu, wywijając koziółka w powietrzu. Włosy na głowie i brodzie stanęły mu dęba jak nasiona dojrzałego dmuchawca. Połowa drewnianego styliska rozleciała się w drzazgi płonące czerwonym ogniem, jaśniejszym od poświaty zjawy.

Stwór ruszył naprzód. Wilgotna ziemia bulgotała i skwierczała.

Hanno leżał u stóp Shariny. Miał otwarte oczy oraz usta i spazmatycznie poruszał kończynami. Ognista zjawa przeskoczyła przez strumień.

Sharina wypuściła z rąk nóż i włócznię. Oburącz podniosła kociołek. Trzy galony wody w naczyniu z brązu to spory ciężar.

Ognista zjawa wyciągnęła ręce do szyi Hanno. Sharina cisnęła kociołek w sam środek jej piersi. Rozległ się potwornie głośny syk, jakby ktoś wlał wodę do gotującego się oleju. Bryzgi ognia trysnęły na wszystkie strony.

Przerażeni Włochaci rzucili się do ucieczki, z trzaskiem depcząc poszycie, wpadając na drzewa i łamiąc zarośla. W kilkunastu miejscach zamigotały płomienie, niektóre wysoko w koronach drzew. Jednak szybko zgasły w mokrym listowiu.

Ognista zjawa znikła. Sharinie wydawało się, że jeszcze przez chwilę widzi jej migdałowe oczy, gniewnie spoglądające na nią z powietrza, a potem znikły i one.

Nie pamiętała, by upadła, ale siedziała na ziemi kilka kroków od miejsca, w którym stała, kiedy rzuciła kociołkiem. Opodal leżał pewłański nóż. Podniosła go i z trudem powlokła się do Hanno.

Myśliwy mógł już poruszać rękami, ale nie miał dość siły, by obrócić się na brzuch. Broda wciąż mu się tliła. Sharina zgasła ją garścią mokrej gliny. Hanno westchnął i rozluźnił mięśnie. Wreszcie przewrócił się na brzuch z mniejszym trudem, niż poruszał się jeszcze przed chwilą. Podparł się rękami i zapytał:

– Zabiłaś to, dziewczyno?

– Przepędziłam – odparła. – Nie wiem, czy nie wróci.

Sharina z trudem zbierała oderwane wspomnienia jak okruchy rozbitej szklanej miski. Nie była

pewna, czy kiedykolwiek zdoła odtworzyć z nich wyraźne wspomnienie ataku.

Nawet nie wiedziała, czy tego chce.

Brzeg kociołka był z podwójnie grubego brązu. Teraz leżał w pobliżu razem z uchwytami wygiętymi od żaru. Reszta brązu zmieniła się w dymiące zielone struzki. Hanno zachichotał.

– Poradzisz sobie, panienko – powiedział.

Stał na nogach z rozwagą, jakiej można oczekiwać po człowieku jego wagi i wzrostu, nie okazując bólu. Wyciągnął prawą dłoń, w której trzymał topór, gdy zaatakował ognistą zjawę.

– Możesz ją obejrzeć? – zapytał, lekko poruszając palcami.

Sharina już dostrzegła opuchliznę. O świetle dłoni będzie czerwona od oparzenia, chociaż pół metra grubego hikorowego drewna dzieliło Hanno od stwora, którego trafił toporem. Myśliwy uśmiechnął się.

– No cóż, za kilka dni znów będę mógł wiosłować – rzekł. – Panienko, myślę, że wtedy zjedziemy do łodzi i razem wrócimy do Valles. Czy masz coś przeciwko temu?

– Nie – odparła Sharina. W dżungli już robiło się jaśniej. Wiechciem suchego mchu otarła ostrze noża z błota. – Nie – powtórzyła. – Z miłą chęcią.

Garric siedział z dwiema towarzyszkami i pięcioma spiskowcami przy owalnym stole w jadalni Gildii Dmuchaaczy Szklą. Salkę wynajęto anonimowo na to spotkanie. Zebrani nosili wielkie maski z tektury oraz obszerne togi z brązowego aksamitu, które ukrywały ich kształty, a nawet płęć. Wbudowane w dolne połowy masek trąbki miały służyć do wzmacniania głosów aktorów, lecz zarazem silnie je zniekształcały.

Stojący za stołem mężczyzna miał dwadzieścia parę lat, kasztanowe włosy i długie wąsy. Był ubrany w elegancki strój z jedwabiu, aksamitu i złotogłowiu.

Nazywał się Gothelm or-Kalisind. Był jednym z sześćdziesięciu sług w rezydencji królowej i hazardzistą zadłużonym u ludzi, którzy byli gotowi przykładowo go ukarać, jeśli w porę nie odda im długu.

– Najpierw pieniądze! – rzekł. – Nic wam nie powiem, dopóki nie otrzymam pieniędzy!

– On już podjął decyzję – rzekł król Carus, z balkonu obserwując z Garrikiem przebieg wydarzeń. – Szuka tylko pretekstu, żeby wszystko powiedzieć.

– Dłaczego? – zapytał Garric.

Pozwolił sobie na tę chwilę zadumy, gdyż nie musiał sam przesłuchiwać tego człowieka, natomiast bardzo chciał zrozumieć każde jego słowo. Zmęczenie pomogło mu zapaść w trans. Nabierając wprawy, coraz chętniej dzielił się myślami ze swoim przodkiem.

Tada!, siedząc na końcu stołu po prawej – chociaż obszerna szata nie pozwalała odróżnić jego pulchnej sylwetki od chudego i muskularnego Waldrona – zanurzył dłoń w rękawie. Po chwili wyjął z niego sakiewkę, którą pogardliwie rzucił pod nogi Gothelma. Złoto melodyjnie zabrzączało, uderzając o kamienną podłogę.

– Jest zły na królową albo na jej marszałka dworu – wyjaśnił Carus – że nie zapłacili jego długów. Rozumiesz, to ich wina, że musi sprzedać te wiadomości spiskowcom. Nie jego. Tacy jak Gothelm nigdy niczemu nie są winni.

Carus uśmiechał się. Wyglądało na to, że król naprawdę uważa to za zabawne.

Gothelm schylił się po sakiewkę, upuścił ją, a potem chwycił oburącz. Przez chwilę próbował ją otworzyć, ale zbyt mocno trzęsły mu się ręce.

– W porządku! – rzekł głośno, pokrywając swój strach. – A więc co chcecie wiedzieć?

Garric uśmiechnął się do Carusa. Jeśli tylko spojrzeć na to we właściwy sposób, to rzeczywiście było zabawne. Zapadła wioska była wystarczająco ciężką szkołą życia, aby Garric potrafił docenić ten rodzaju humoru, jaki Carus wyniósł z pól bitewnych. Tam też czasem opowiadano tylko ponure żarty – i lepiej było się z nich śmiać.

– Opisz drogę do bramy, przez którą wchodzisz – poleciała jedna z zamaskowanych postaci. Maską wzmocniła głos Tenoctris. Garric uznał, że ten poważny głos bardziej pasuje do staruszki niż jej naturalny, ptasi szczebiot.

– Na trzy metry od muru widać tylko nagi bruk – odparł bez wahania Gothelm. Dłoni pieścił sakiewkę, przez cienki zamsz dotykając jedną monetę po drugiej. – Kiedy jednak podejdzie się blisko, zmienia się w sto razy szerszy ogród. A rosnące w nim rośliny – bo chyba można je tak nazwać – mają liście z ostrymi zębami i twarze wśród płatków.

– Czy taki sam widok widać z zewnątrz, gdy ktoś inny idzie w kierunku bramy? – spytał Royhas. Nawet dłonie miał skryte w rękawach luźnej szaty.

– Tak, tak – odparł niecierpliwie Gothelm. – Od wewnątrz też tak widać, kiedy ktoś jest w ogrodzie. I kamienie ścieżki. Jeśli po nich idziesz, nic ci nie grozi. Tylko jeśli nie powinno cię tam być, kamienie wpuszczają cię na środek, a potem nagle znikają! Widziałem to!

Sourous pokiwał głową. Przesadnie wysoka maska przydała temu skinieniu powagi.

– Tak, tak – wymamrotał. – To straszne.

– A jak przedstawiasz się labiryntowi? – spytała Tenoctris.

– Labiryntowi? – powtórzył Gothelm. – Tam nie ma labiryntu, tylko ścieżka.

– No więc ścieżce – warknęła Tenoctris. – Wypowiadasz jakieś słowo czy też dajesz jakiś znak?

– Mówiłem wam, wystarczy podejść do bramy – odrzekł z urazą Gothelm. – Niczego nie trzeba robić. Brama otwiera się sama.

– Ma kaca – powiedział Garric. – Chociaż założę się, że zawsze tak warczy.

– A ja założę się, że zawsze jest pijany lub na kacu – rzekł Carus. – Problem z rządzeniem za pomocą strachu polega na tym, że ci, którzy chcą dla ciebie pracować, zazwyczaj nie są warci splunięcia.

Palce króla musnęły gałkę wielkiego miecza. Nie chwycił za rękojeść, tylko pogłaskał ją w zadumie jak czuły kochanek.

Tenoctris spojrzała w prawo i w lewo.

– Usłyszałam już wszystko, co chciałam usłyszeć – oznajmiła.

– Co? – wykrzyknął Waldron. – Zapłaciliśmy temu robakowi sto koron za coś takiego?

– Słuchajcie, muszę wracać do rezydencji! – wykrztusił Gothelm. Ścisnął w rękach sakiewkę z czerwonego zamszu. – Powiedziałem wam to, co chcieliście wiedzieć!

– Bardziej przyda nam się, jeśli pozwolimy mu wrócić – powiedziała Tenoctris. – Niezależnie od tego, że mu to obiecaliśmy.

– A ja mówię, że jego informacje nie są warte stu koron! – rzekł Waldron, zrywając się na równe nogi i wywracając stół, na którym siedział.

Nie chodziło mu o pieniądze, gdyż Tadaï zapłacił informatorowi z własnych środków, a poza tym wszyscy spiskowcy byli tak bogaci, że ta ogromna, jak na standardy Barca's Hamlet, suma była dla nich niczym. Niesmak, jaki budził w nim zdrajca, oraz gniew wywołany faktem, że taki chłystek ośmielił się podnieść głos, sprawiły, że Waldron sięgnął po ukryty pod szatą miecz.

Przez moment Garric widział to dwiema parami oczu: swoich, przez otwory w masce, oraz oczami duszy, patrzącymi z balkonu. Ten drugi Garric rozwiął się jak sen. Młodzieniec podniósł się od stołu, lekko drząc ze wzburzenia. W jego myślach stary król uśmiechał się ze zrozumieniem.

– Daliśmy mu słowo! – przypomniał Garric. – Jeśli go nie dotrzymamy, to cóż ono będzie warte?

– Chłopcze... – zaczął Waldron, szarpiąc połę szaty. Ta rozchyłała się na plecach. Waldron zdołał chwycić rękojeść miecza, lecz nie mógł wyjąć go z pochwy.

– Dość tego! – powiedział Royhas. – Ona mówi, że dowiedzieliśmy się tego, co chcieliśmy wiedzieć. Jaki sens zostawać tu dłużej?

– Wykorzystamy pana Gothelma – powiedziała Tenoctris zdumiewająco stanowczym głosem. Chociaż wszyscy obecni wstali, ona nadal siedziała, splótłszy palce na stole. – Ale tutaj nie może nam pomóc.

– Phi! – prychnął Waldron, odwracając się. Kopniakiem odrzucił przewrócony stołek i wyszedł do przebieralni, w której członkowie klubu zakładali klubowe stroje.

– Idź – rozkazał Royhas, wskazując zdrajcy drzwi prowadzące na schody, które wiodły na ulicę. – Znajdziemy cię, jeśli znów będziesz nam potrzebny.

Gothelm wybiegł z komnaty.

– Już nigdy do nas nie przyjdzie, chyba że pod przymusem – rzekł ze zniechęceniem Pitre. – Co Waldron zamierzał osiągnąć w taki sposób?

Tenoctris położyła swoją szatę na stole.

– Gothelm nie miał nam już nic więcej do powiedzenia – oświadczyła. – Podejrzewam, że po prostu nic więcej nie wie. Chcę obserwować, jak będzie wracał do rezydencji królowej.

Ruchem głowy wskazała drzwi.

– Nie mamy wiele czasu. Garricu, Liane?

Liane już zdjęła kostium i została w swoim ubraniu. Garric jeszcze zmagał się z tasiemkami, ale ruszył w kierunku szatni.

– Nie, tędy – powiedziała Tenoctris, obchodząc stół i zmierzając w kierunku drzwi na klatkę schodową. Z przedsionka na ulicę wiodło kilka różnych wyjść. Royhas wybrał to miejsce spotkania właśnie z tego powodu i ze względu na niewielką odległość od rezydencji królowej.

– Zobaczają was! – ostrzegł Pitre. Spiskowcy przybyli na spotkanie przez komnaty Gildii, każdy innym wejściem.

– To bez znaczenia – odparła Tenoctris. – Muszę zobaczyć, co się zdarzy, i chcę ujrzeć to na własne oczy, a nie za pomocą mojej sztuki!

Garric rzucił szatę na podłogę i poszedł za staruszką.

Z ulgą wyszedł na oświetloną popołudniowym słońcem ulicę. Royhas kazał sługom zasłonić okna sali jadalnej klubu, wiedząc, że Gothelm równie chętnie może sprzedać królowej spiskowców, jak wyjawic im jej sekrety. Bezpieczniej byłoby przesłuchać Gothelma nocą, lecz obowiązki odźwiernego, którym był zdrajca, wymagały jego obecności w rezydencji przez całą noc.

Siedziba cechu dmuchaczy szkła znajdowała się w bogatej dzielnicy. Ściany z miękkiego żółtego wapienia były ozdobione marmurowymi gzymsami i nadprożami. Powleczone patyną starości kamień stanowił miły dla oczu widok, uderzająco piękny w miejscach, które niedawno oczyszczono twardymi szczotkami i odświeżono wapnem.

Liczne budynki w tej dzielnicy – także i ten – pochodziły jeszcze z czasów Dawnego Królestwa. Pamięć Carusa podsuwała Garricowi obrazy dwu – i trzypiętrowych budowli, z których wiele przetrwało do dziś.

Ulice Valles były brukowane i proste, chociaż w centrum miasta dość wąskie. Domy po obu stronach ulicy należały do bogatych kupców lub rzemieślników, ale chodniki miały zaledwie dwa kroki szerokości. Frontowe wejścia znajdowały się przeważnie na wysokim parterze, a nie na poziomie ulicy, tak więc kamienne schodki często jeszcze bardziej zwężały trotuar.

– Liane? – zapytał Garric. – Dlaczego królowa mieszka w tej dzielnicy? Pałac królewski znajdował się przy północnym murze.

Dziewczyna spojrzała na niego, zaskoczona pytaniem zdradzającym znajomość budowli z dawnych czasów.

– Wciąż tam stoi – powiedziała. – Królowa kazała sobie wybudować inną rezydencję pięć lat temu, na krótko przed tym, zanim rozpoczęłam naukę na Akademii Panny Gudei.

– Znalazła wolną parcelę? – zdziwił się.

Carcosa, starożytna stolica Wysp, leżała w ruinach i jej obecni mieszkańcy wykorzystywali resztki budowli Dawnego Królestwa na fundamenty nowych konstrukcji. Valles najwidoczniej stosunkowo mało ucierpiała w ciągu ostatniego tysiąclecia. Trudno było sobie wyobrazić, że znalazł się tu plac dostatecznie duży, aby wznieść na nim taki wielki budynek, jakim podobno była rezydencja królowej.

– Był pożar – wyjaśniła Liane. – Objął dokładnie ten teren, który agenci królowej bezskutecznie próbowali zakupić. Oczywiście, krążyły plotki, ponieważ pożar wybuchł tak nagle, że nikt żywy nie wydostał się z budynków. Wydarzyło się to, zanim ludzie zobaczyli pierwszą ognistą zjawę. – Spojrzała na Garrica z miną równie obojętną jak ton jej głosu. – Wszyscy spadkobiercy chętnie sprzedali parcele. Nawet bardziej niż chętnie.

Tenoctris nadawała tempo marszu. Gothelm powoli oddalał się od nich, chociaż i tak zwolnił kroku, od kiedy opuścił budynek gildii.

Z naprzeciwka nadjechał sześciokonny powóz, zajmując całą szerokość ulicy. Gothelm zniknął za rogami, podczas gdy Garric i jego towarzyszki uskoczyli za schody jednej z kamienic.

Powóz przejechał, turkocząc żelaznymi obręczami kół i krzesząc skry na kamieniach bruku. Na drzwiczkach miał herb, lecz matowe szyby pozwoliły dojrzeć tylko niewyraźne sylwetki jadących nim pasażerów.

– W dobrze zarządzanym mieście – zauważyła chłodno Liane – powozy nie mogą jeździć ulicami po zachodzie słońca. Tak samo jak wozy dostawcze.

– Wiemy, dokąd zmierza Gothelm – rzekł Garric – a mimo to powinniśmy się pośpieszyć, jeśli chcemy zobaczyć, jak wchodzi do rezydencji.

Przez „dobrze zarządzane” Liane rozumiała zarządzane jak Erwin – jej rodzinne miasto, jedyne rywalizujące z Valles o tytuł największej aglomeracji Wysp. Fakt, że Liane uczyła się tutaj, gdzie pomimo jej bogactwa, kultury i szlacheckiego pochodzenia miejscowe dziewczęta traktowały ją jak dzikuskę z Sandrakkanu, jeszcze wzmocnił jej patriotyzm.

Garric nie zamierzał z nią o tym dyskutować. W końcu Carcosa na Haft (choć teraz bardzo podupadła) była niegdyś stolicą prawdziwego, zjednoczonego Królestwa Wysp. Żadne z dzisiejszych miast nie mogło się z nią równać.

Tenoctris uśmiechnęła się, jakby wiedziała, o czym myślał. Odpowiedział jej uśmiechem.

Kiedy znaleźli się kilka kroków od skrzyżowania, gdzie trzy ulice schodziły się pod ostrymi kątami, a czwarta łączyła się z najszerszą, po której szli, Garric ze zdumieniem zobaczył, że Gothelm

znajduje się tuż przed nimi. Zdrajca po krótkim wahaniu wszedł na czysty bruk otaczający rezydencję. Jej widok jeszcze bardziej zdziwił Garrica.

Bazaltowy budynek miał kształt pięcioboku. Ulica, w którą skręcił Gothelm, wiodła do szerokiej łukowatej bramy, będącej w tej ścianie jedynym otworem na parterze. Pałac miał tylko jedno piętro, ale kamienna balustrada wokół dachu rezydencji sprawiała, że był równie wysoki jak pobliskie wielopiętrowe budynki.

W fasadzie na wysokości drugiego piętra znajdowało się tuzin oszklonych okien, za którymi migotały płomyki świec. Gdy Garric na nie spojrział, zakręciło mu się w głowie, jakby zawisł nad przepaścią wiodącą aż do Podziemnego Świata. Mógł zrozumieć wahanie Gothelma oraz zachowanie przechodniów, którzy odwracali głowy, przechodząc przez skrzyżowanie.

Gothelm przyłożył dłonie do policzków. Nie odważył się zakryć oczu, chociaż najwyraźniej miał na to ochotę. Chwiejnie ruszył naprzód.

– Wygląda tak, jakby skakał z urwiska – szepnęła Liane.

– Byłaby to lżejsza śmierć – mruknęła Tenoctris. – Tylko że wcale by nam nie pomogła.

– Dłaczego... – zaczął Garric.

Pod stopami Gothelma trzymetrowy chodnik nagle zmienił się w rozległy dziedziniec, porośnięty ciemnozieloną roślinnością i ozdobiony licznymi posągami. Garric zamilkł. Powiedziano mu, czego może oczekiwać, a mimo to ten widok go zaskoczył. Rezydencja wyglądała tak samo, lecz przez ten rozległy dziedziniec wydawała się znacznie większa. Rząd pięciokątnych kamieni wiodł do wejścia. Gothelm wszedł na nie, ostrożnie stawiając kroki.

– Myślałam, że pobiegnie – powiedziała Liane. Splotła dłonie na brzuchu, instynktownie reagując w ten sposób na napięcie – tak jak Garric odruchowo położył prawą dłoń na rękojeści miecza.

– Boi się, że nie trafi nogą na kamień – wyjaśniła Tenoctris. – Ta ostrożność wcale mu nie pomoże. Jeśli królowa nie zabezpieczyła się przed wrogami, ustalając hasło, to zapewne labirynt potrafi czytać w sercach tych, którzy weń wkroczą.

Wzdłuż ścieżki rosły cisy w bazaltowych donicach. Stojące na niskich postumentach posągi również były z bazaltu. Ciemny kamień nie pozwalał rozróżnić detali tych rzeźb, lecz sądząc po tym, co zdołał dostrzec, Garric uznał, że tak jest nawet lepiej.

Chociaż ścieżka zdawała się bieć prosto, idący nią mężczyzna przy każdym kroku był widoczny pod innym kątem. Tak jakby Gothelm szedł przez... labirynt, jak Tenoctris nazwała to zabezpieczenie, kiedy przesłuchiwała zdrajcę.

Chwilami Gothelm był zwrócony twarzą do Garrica i obu kobiet, ale najwidoczniej nie widział ich. Każdy krok przenosił go na następny kamień znajdujący się bliżej rezydencji, nawet jeśli wydawało się, że mężczyzna skręca lub zawraca.

– Zatem spisujemy go na straty? – spytała Liane. Nie odrywała oczu od Gothelma.

– Chcę zobaczyć, jak działa to zabezpieczenie – odparła Tenoctris. Liane bynajmniej nie miała nic przeciwko temu, a stara czarodziejka nie próbowała się usprawiedliwiać. – Chyba trochę żałuję tego, co ma się stać, ale każdy kiedyś umrze. – Uśmiechnęła się krzywo. – Mam ważniejsze obowiązki, niż chronić Gothelma przed konsekwencjami jego nieuczciwości.

– Zginęli lepsi od niego – przytaknęła Liane. Garric zgadzał się z nią, a mimo to zaskoczyłby go szorstki ton jej głosu, gdyby nie wiedział, że myślała o swoim ojcu zabitym w grobowcu przez demona, którego niebacznie sam przywołał. Człowiek ponosi konsekwencje swoich uczynków. Gothelm miał zapłacić za swoje, tak samo jak inni.

Nagle ścieżka znikła, jakby kamienie były ze szronu, który wyparował w słońcu. Gothelm zamarł z prawą nogą w powietrzu. Cofnął ją i przycisnął ręce do ciała, powoli obracając głowę. Widocznie

jeszcze nie pojmował, co się stało. Na nogach miał buty z czerwonej cielęcej skóry, lecz nie było już widać jego stóp.

– Zapada się w ziemię – szepnęła Liane.

– Bluszcz obrasta mu stopy – wyjaśniła Tenoctris. – Nieszkodliwy. Większość tych zabezpieczeń zapewne jest nieszkodliwa, ale muszę wiedzieć, na co mam się przygotować.

Gothelm wrzasnął i rzucił się do ucieczki. Jego głos brzmiał głucho, jakby dobiegał z odległości kilometra. Zdrajca biegł prawie równoległe do frontowej ściany budynku. Wierzba wyciągnęła do niego rozkołysane gałęzie, choć nawet najłżejszy wietrzyk nie poruszał jej listowia.

– Dlaczego nie biegnie z powrotem? – zapytał Garric.

Nie lubił patrzeć, jak kot bawi się z myszą. Rozumiał, że drapieznik musi zabijać, ale bardziej odpowiadał mu szybki morderczy chwyt psich szczęk. Lekko zacisnął dłoń na rękojeści miecza, czerpiąc siłę od króla Carusa. Tenoctris wzruszyła ramionami.

– Nie widzi nas – wyjaśniła. – Ani rezydencji. Nawet gdyby przypadkiem pobiegł we właściwym kierunku, coś zagroziłoby mu drogę i...

Posąg o torsie mężczyzny i nogach jak wijące się węże zszedł z cokołu i zastąpił drogę Gothelmowi. Ten wrzasnął przeraźliwie jak rozhisteryzowane dziecko.

– Ten też jest nieszkodliwy – oznajmiła beznamiętnie Tenoctris. – Och, mógłby cię zgnieść, gdybyś pod nim zasnął, ale nie potrafi się szybko poruszać.

– Zboczeńcy! – zawołał ktoś za ich plecami.

Garric obejrzał się. Kobieta z koszem świeżego chleba przystanąła na skrzyżowaniu.

– Zboczeńcy! – powtórzyła i pospiesznie odeszła.

– Musimy się dowiedzieć – mruknął Garric, zaledwie poruszając wargami.

Pozornie zwyczajny głaz, sterczący z ziemi, został wyrzeźbiony na kształt oblicza demona. Z otwartego pyska tryskał strumień, który wił się po łące. Gothelm pobiegł w kierunku wygiętego mostka, chociaż strumyk był na tyle wąski, że mógł go przeskoczyć.

Kiedy zdrajca znalazł się na środku mostu, kamienie wybrzuszyły się i zrzuciły nieszczęśnika. Woda uniosła się i pochwyciła go w powietrzu.

Gothelm rozpaczliwie bił wodę rękami. Jego krzyk zmienił się w rozpaczliwy wrzask przypominający pisk schwytanego w sidła królika. Woda rozwarła się, jak żabi pysk, wsysając Gothelma w kamienne usta demona.

Gargulec zacisnął szczęki. Wrzask urwał się jak ucięty nożem. Chrupnęły miażdżone kości.

Garric przełknął ślinę. Pomyślał, że nawet ten zdrajca nie zasługiwał na taki los.

Kamienna twarz obróciła się i spojrzała na nich. Rozwarła szczęki i czknęła. Potem gargulec i całe jego otoczenie powoli znikło. Garric patrzył z towarzyszkami na rezydencję z rozświetlonymi blaskiem świec oknami, wznoszącą się za wąskim pasem bruku, który z łatwością można by przeskoczyć.

Na kamieniach leżał kawałek czerwonego buta, przegryziony w połowie cholewki. Stopa i część łydki Gothelma nadal tkwiły w środku.

– Dowiedzieliśmy się już wszystkiego – powiedziała spokojnie Tenoctris. – Nie wiem jak wy, ale ja z przyjemnością odejdę stąd jak najdalej.

Ilna os-Kenset była obolała, głodna i zła. Mimo to, sięgając pamięcią wstecz, nie przypominała sobie wielu takich chwil, kiedy nie była rozzłoszczona. Często bywała też obolała i głodna.

Parsknęła śmiechem. Refujący żagiel marynarz spojrzał na nią. Miała ochotę kopniakiem zwalić go z nóg, lecz zamiast tego, skinęła mu głową z powściągliwą uprzejmością, jak sąsiadowi z Barca's

Hamlet.

Marynarz okręcił linę na knadze i poszedł na dziób. Łuskowaci mieli żabie pyski. Nie można było z nich wyczytać, co myśleli i czy w ogóle myśleli.

Więzy Ilny były na tyle luźne, że mogłaby usiąść, ale wtedy Łuskowaci zorientowaliby się, że rozluźniła pęta. Z natury była ruchliwą osobą, więc od leżenia nieruchomo na boku bolały ją wszystkie mięśnie.

Słońce przesuwawało się nad horyzontem wolniej niż zwykle. Przez większą część dnia Ilna leżała w cieniu żagla, lecz nawet kiedy padały na nią słoneczne promienie, były czerwonawe i nie dawały wiele ciepła.

Marynarze dwukrotnie dali jej pić, zanurzając szmatę w wiadrze z wodą i wpychając jej do ust, żeby mogła wyssać płyn. Musieliby pozwolić jej usiąść, żeby napiła się z kubka, a nie zamierzali ryzykować.

Woda miała paskudny smak. Szmata pochodziła z bryczesów żeglarza, którego przed dziesięcioma laty zabiła spadająca reja. Materiał opowiedział tę historię Ilnie, czy tego chciała czy nie. Woda pozwoli jej przeżyć, a tylko to miało znaczenie.

Bardzo chciała pożyć jeszcze jakiś czas. Miała kilka rachunków do wyrównania.

Coś przepłynęło wysoko po niebie, rzucając cień. Spojrzała w górę. W chmurach unosił się stwór o różowym cielsku, kilkakrotnie większym od statku. Przezroczyste skrzydła na jego bokach poruszały się jak płetwy turbota. Ilna nie zauważyła żadnych oczu czy innych narządów postrzegania, tylko system kanalików i pęcherzy w jego różowym ciele.

Marynarze zaskrzeczeili z ożywieniem. Jeden z nich otworzył skrzynię zamocowaną do sterówki i rozdał pozostałym broń. Żeglarz, który wziął kuszę, napiął ją, przydeptując nogą żelazną kłamrę i ciągnąc za ramiona krótkiego łuku, aż cięciwa zaczepiła się o mechanizm spustowy.

Ilna uznała, że nie jest to zbyt groźna broń. Podejrzewała, że zwykły łuk, jakiego Garric i inni mieszkańcy Haft używali do polowań, posłałby strzałę dalej i byłby łatwiejszy w użyciu. Tylko że posługiwanie się zwykłym łukiem wymaga łuczniczych umiejętności. Każdy głupiec może wycelować kuszę i pociągając za spust, posłać strzałę mniej więcej w kierunku celu.

Ilna prychnęła. Ludzie zawsze potrafią znaleźć jakiś sposób, żeby nadrobić brak umiejętności.

Stwór nie zwrócił uwagi na statek. Wleciał w chmurę niewiele większą od siebie, po czym wyłonił się z jej drugiej strony. Strzępki obłoków zafalowały za nim w podmuchach poruszanego długimi płetwami powietrza. Połknął resztę chmury.

Łuskowaci uspokoili się. Kusznik zwolnił cięciwę i odłożył broń do skrzyni, chociaż kilku pozostałych wciąż miało zakrzywione kordy, zawieszane przy szerokich skórzanych pasach.

Ilna usłyszała rytmiczne stukanie z łuku pod pokładem. Słyszała też czyjś głos, lecz tak stłumiony przez grube deski, że nawet nie miała pewności, czy należał do człowieka.

Ten dźwięk nie miał żadnego znaczenia. Cokolwiek lub ktokolwiek tłukł w deski, najwyraźniej nie mógł się uwolnić, więc nie mogła oczekiwać z jego strony pomocy.

Wciąż starała się rozluźnić więzy. Przez cały czas obserwował ją któryś z marynarzy, co utrudniało jej zadanie, ale Ilna nigdy nie oczekiwała, że coś pójdzie jej łatwo.

Zawsze jednak kończyła to, co zaczęła. Tym razem też nie będzie inaczej.

DWUDZIESTY CZWARTY DZIEŃ CZAPLI

Cashel nie wiedział, co go zbudziło. Tylko śpiący opodal małpolud zakłócał spokój ciepłej i cichej nocy.

Zahag chrapał. Przy każdym oddechu głośno poruszał wargami. Aria nadal skarżyła się na to wieczorami, chociaż te odgłosy już nie przeszkadzały jej w zasypianiu.

Dla Cashela był to dobrze znany dźwięk. Dantle – Długonogi Dantle, a nie Zezowaty Dantle z drugiego końca wioski – miał maciorę, która chrapała tak samo, kiedy spała w zagrodzie przy szopie dla owiec. Cashel często słyszał to chrapanie, kiedy pomagał Dantle’emu strzyc owce.

Wstał. Chociaż poruszał się cicho, zdziwiło go, że nie zbudził Zahaga. Cashel widział kiedyś, jak małpolud gwałtownie zerwał się w połowie chrapnięcia, żeby złapać skorpiona, który szedł po kamieniach na wyciągnięcie ręki od głowy małpoluda. Zahag schrupał skorpiona, po czym rozejrzał się, sprawdzając, czy towarzysze zauważyli, że się z nimi nie podzielił. Cashel nawet nie dotknąłby tego stworzenia, nie mówiąc o zjedzeniu go, więc udał, że niczego nie widział.

Przeszli już przez bagna i znaleźli się w okolicy, która – choć sucha – nie była tak pustynna jak ta, przez którą podążali po ucieczce z wieży Arii. Cashel nie chciałby paść tutaj owiec, ale kozy wyżywiłyby się tu bez trudu. Tego dnia widział w pobliżu ścieżki ociosane kamienie – pierwszy od kilku dni ślad ludzkiej obecności.

Oczywiście, nie miał żadnej pewności, że były dziełem ludzi, a nie innych istot.

W oddali zaszczekał lis, chociaż brzmiało to jak odgłos wydawany przez znacznie większe stworzenie. Cashel przesunął w dłoniach pałkę, ciesząc się jej gładkością. Wolałby tamtą hikorową laskę, która pozostała w pałacu Folquina, ale ta też była niezła.

Nie lubił kóz. Były sprytne, lecz spryt nie zajmował wysokiego miejsca na liście cenionych przez Cashela wartości. Kozy miały paskudne, narowiste usposobienie i często robiły różne rzeczy z czystej złośliwości. Owca przejdzie przez otwartą furtkę, by pobuszować w ogrodzie. Koza przeciśnie się przez ogrodzenie, przez które z trudem przecisnęłaby się mysz, po czym zeżre wszystkie warzywa, nawet jeśli ma mnóstwo lepszej paszy.

Opiekując się Arią, Cashel często wspominał te chwile, kiedy pilnował stad kóz.

Żar ogniska nagle rozjarzył się, po czym znów przygasł. Buchnęły płomienie, teraz jednak błękitne jak jesienne niebo. Wokół panowała głucha cisza.

– Zahagu – powiedział Cashel. Nie krzyknął, ale nawet śpiąca jak suseł Aria powinna zerwać się na równe nogi. – Księżniczko.

Jego towarzysze nie zbudzili się. Ich piersi nie poruszały się w oddechu. W bezruchu nocy drżały tylko nienaturalnie migoczące płomienie. Cashel usłyszał chrzęst kroków na suchej ziemi. Spojrzał w mrok, lecz niczego nie dostrzegł. Ująwszy mocniej pałkę, zawołał:

– Kto tam?

Trzy kobiety, nie olbrzymki, ale o dwie głowy wyższe od Cashela, weszły w krąg światła, trzymając się za ręce. Chociaż były bose jak wieśniaczki, nosiły tiary i szaty z jedwabiu tak przedniego, że zdawał się płynąć w powietrzu.

– Czekaliśmy na ciebie, Cashelu – powiedziała kobieta w środku. Zapewne była platynową

blondynką, gdyż jej włosy miały teraz ten sam upiornie błękitny kolor, co blask ogniska. – Chodź, zatańcz z nami.

Kobieta po jej lewej stronie miała czarne włosy i mlecznobiałą skórę.

– Do tego tańca powinno nas być czworo, Cashelu – rzekła głosem melodyjnym jak dźwięk fletu.

Były piękne. Poruszały się z takim samym naturalnym wdziękiem jak Sharina. Patrząc na nie, Cashel z trudem przypomniał sobie twarz Shariny.

– Gdzie mieszkacie? – zapytał. Wyciągnął nogę i trącił Zahaga w zębra. Równie dobrze mógłby trącać głaz. Owłosiony bok małpoluda był twardy i zimny jak kamień.

– My nie mieszkamy tutaj, Cashelu – odparła trzecia kobieta. Skinęła na niego wolną ręką. Poczul, że coś przyciąga go do niej jak prąd wezbranego strumienia. – Przyszliśmy w odwiedziny.

– Zatańcz z nami – powiedziały chórem.

Zaczęły powoli krążyć, poruszając się majestatycznie jak szykujące się do walki tryki.

– Nie – powiedział Cashel.

A przynajmniej próbował to powiedzieć. Nie był pewien, czy to słowo wydostało się z jego ust.

Tańcząc, kobiety trzymały się za ręce, a potem się rozdzieliły. Każda z nich wirowała, a jednocześnie wszystkie kręciły się w koło, w kierunku przeciwnym do ruchu słońca. Po kolei dały znak Cashelowi.

Zatańcz z nami...

Cashel nie widział księżyca, a kiedy spróbował obejrzeć się za siebie, nie dostrzegł ogniska. Kobiety wirowały coraz szybciej. Otoczyła je jasna poświata, nie rzucająca cienia.

Cashel trzymał przed sobą laskę, jakby była to poręcz na skraju przepaści. Nadchodził kulminacyjny moment tańca. Wszystkie trzy kobiety poruszały się, lecz jemu wydawało się, że stoją nieruchomo, majestatycznie. Przyzywały go.

Przyłącz się do nas, Cashelu. Powinniśmy tańczyć we czworo. Przyłącz się...

Z wysiłkiem odwrócił głowę. Aria skuliła się w zagłębieniu, które dla niej przygotował przy ognisku. Spała jak zabita. Cashel nie lubił Arii, ale znalazła się tutaj dlatego, że on ją tu przyprowadził.

Sharina była słabym wspomnieniem. Pozostali przyjaciele i walka z przedstawicielami Malkara były pustymi słowami jak fragmenty poematu, który Garric czytał mu, gdy razem pilnowali owiec w Barca's Hamlet.

Pozostało poczucie obowiązku.

– Nie mogę – szepnął Cashel. – Jestem tu potrzebny.

Kobiety zawirowały jeszcze szybciej. Teraz już ich nie widział – pozostała tylko kolumna jasnego światła.

Poszerzyła się, spowiła Cashela i pogrążyła go w głębokim śnie.

– Zrobiliśmy tak, jak prosiłeś – rzekł Royhas. – Ponad setka naszych ludzi rozsiewa plotkę w mieście. Do jutra rana nie będzie w Valles nikogo, kto nie słyszałby o tym, że król Carus powraca, żeby zemścić się na królowej. – I dorzucił z cynicznym uśmiechem: – I uwierzą w to, przynajmniej pospólstwo. A właśnie na tym nam zależy.

Uderzył dzwon na zakotwiczonej w pobliżu barce. Szli wzdłuż rzeki Beltis, którą sprowadzano do Valles towary z głębi lądu. Royhas nie rozumiał, dlaczego Garric nalegał na spotkanie tutaj, zamiast w jego rezydencji, a przynajmniej w karecie. Eskorta szlachcica szła kilkanaście kroków za nimi, niezadowolona z tej sytuacji, chociaż nawet bez obstawy dwaj uzbrojeni w miecze mężczyźni z łatwością poradziłiby sobie z pospolitymi opryszkami, którzy kręcili się nad rzeką.

Na prawo od Garrica nabrzeże przylegało do tyłów świątyni Pani Obfitości. Beltis wylała na wiośnię i wielkie wapienne bloki były oblepione błotem na wysokość sześciu metrów nad poziomem ulicy. Świątynia i oba sąsiadujące z nią budynki stały przy placu Kupców, centralnym punkcie w czasach, gdy Valles było jeszcze wioską.

– Niektórzy z nich uwierzą – rzekł Garric. – Inni dopiero wtedy, kiedy mnie zobaczą. A potem...

Spojrzał na towarzysza. Przez chwilę milczał, patrząc mu w oczy.

– Mam nadzieję, że uwierzą i przyłączą się do nas wszyscy mieszkańcy Ornifal i Wysp. Ja nie liczę na nowy złoty wiek, Royhasie. Wierzę jednak w sprawiedliwe rządy i Władcę Wysp, który naprawdę będzie rządził.

Royhas był inteligentny i energiczny. Bez niego spisek nie mógłby się zawiązać, chociaż żaden z pozostałych konspiratorów nie zamierzał uznać w łowczym przywódcy. Na moment zawahał się, po czym ruszył dalej.

Garric i Royhas nie kazali oświetlać sobie drogi. Księżyc nad rzeką świecił dostatecznie jasno, gdyż stojące tu blisko siebie budynki nie zasłaniały nieba.

– Nie mówisz jak wieśniak z Haft – rzekł Royhas. Patrzył przed siebie. Kaptur skrywał jego twarz przed wzrokiem Garrica. – Prawdę mówiąc, od początku tak było. Zastanawiam się, czy nie powinienem był zakopać cię w lesie, tak jak obiecałem Valence'owi?

Garric zachichotał. A przynajmniej taki dźwięk wydobył się z jego gardła. Wywołały go wspomnienia należące do króla Carusa.

Miecz błyska i z trzaskiem trafia w kość, płaszcz owinięty wokół lewego ramienia służy jako tarcza. Wrogowie są za blisko, by pojąć, co się dzieje, ze zdumieniem patrzą na rany rozwierające się tak nagle, że umierają, zanim zrozumieją, że zostali zranieni...

Nietoperze z piskiem łowiły owady nad powierzchnią rzeki. Od czasu do czasu głośny plusk lub łopot skrzydeł zdradzały obecność większych drapieżników. Okiem chłopca ze wsi Garric już dostrzegł żyjące na Ornifal sowy, które polują nocą na ryby.

– Nie – powiedział Garric. – Nie powinieneś wydawać tego rozkazu.

Szlachcic prychnął pozbawionym wesołości śmiechem. Zrozumiał, co Garric chciał mu powiedzieć, w ten okrężny sposób odpowiadając na jego pytanie. Gdyby kazał zabić Garrica w lesie, doszłoby do zacieklej bitwy i być może to nie Royhas wyszedłby z niej zwycięsko.

Z wysokiego tarasu świątyni nadleciały odgłosy sprzeczki. Trzasnęła rozbita miska lub butelka. Ktoś głośno wykrzykiwał oskarżenia. Ktoś inny zaniósł się pijackim szlochem.

Pod arkadami publicznych budynków Valles nocowali bezdomni. W pogodne noce siedzieli tam, jedząc, pijąc i marząc o lepszym życiu.

I czym różnili się od takich ludzi jak Royhas bor-Boliman czy Garric, niegdyś z Barca's Hamlet na Haft, który chciał zostać Władcą Wysp?

Garric zaśmiał się. Nie wiedział nawet, czy jego marzenia są lepsze od tych, jakie wywołuje wino wypite z butelki na schodach świątyni.

– Czego ty chcesz? – spytał Royhas. – Czego naprawdę pragniesz? Przysięgam, że jesteś równie niesamowity jak królowa!

– Jednak nie tak zły – odparł Garric, mając nadzieję, że to prawda. Znowu się uśmiechnął. To musi być prawda. Gdyby był przedstawicielem Malkara, nie miałby takich przyjaciółek jak Liane i Tenoctris. – Lordzie Royhasie – dodał łagodnie. – Zamierzam zostać Władcą Wysp. Wszystkich Wysp. Chcę władać i służyć wszystkim ich mieszkańcom.

Wiedział, że nadeszła chwila, na którą czekał. Wplątał Royhasa w sytuację, w której szlachcic czuł się obco i samotnie, nawet będąc w centrum rodzinnego miasta.

– Nie robię tego dlatego, że mój przodek był Władcą Wysp, chociaż tak było, jak powiedział ci Silyon. Zamierzam zrobić to, gdyż w przeciwnym razie cały nasz świat utonie w takim samym błocie, jakie zalega na dnie tej rzeki.

Wolno szli nabrzeżem. Gdyby przystanęli, strażnicy w mgnieniu oka przybiegliby do nich, szykując się do walki. Garric i Royhas, szlachcic i młodzieniec o wiedzy starożytnego króla, spojrzeli na siebie, nie zważając na dziury w chodniku i płynące rzeką śmieci.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytał Royhas. Jego głos zabrzmiał niepewnie, a nawet niespokojnie. Garric uosabiał coś, czego szlachcic nie mógł pojąć, w sytuacji, w której niewiedza była niebezpieczna, a grożące spiskowcom niebezpieczeństwo przytłaczające.

– Ponieważ chcę, żebyś uwierzył – odrzekł Garric. – Chcę, aby wszyscy odzyskali wiarę w Królestwo Wysp. Dawne Królestwo upadło, ponieważ ludzie przestali w nie wierzyć po zaginięciu króla Carusa. Jeśli znowu uwierzą w coś ważniejszego od wielkości kufra z pieniędzy czy liczby zbrojnych, jakich mogą wysłać w pole, wtedy nastanie prawdziwy pokój i dojdzie do zjednoczenia.

– Waldron nigdy nie będzie ci służył – rzekł Royhas. Był to kolejny dowód na to, że jest właśnie takim człowiekiem, za jakiego uznał go król Carus: bystrym, zdecydowanym i odważnym w sposób nie mający nic wspólnego z zamiłowaniem do awantur. – Moja rodzina od dwudziestu pokoleń zajmuje się handlem. Tymczasem dla Waldrona i innych ziemian z północy jedyną liczącą się wartością jest ich honor. Nigdy nie pokłonią się pasterzowi z Haft.

Royhas sugerował w ten sposób, że on i jemu podobni mieszczanie mogą to zrobić. Garric odparł z nikłym uśmiechem:

– A czy pokłonią się Władcy Wysp? Przecież uznali Valence’a, prawda?

– Och tak – potwierdził Royhas. – W końcu Valence jest jednym z nich. Jego włości na północy i zachodzie są większe od niejednej wyspy. I walczyli za niego pod Kamiennym Murem, gdyż niezależnie od tego, co o nim myśleli, nie był piratem z Sandrakkanu.

– Chcę, żeby Wyspy zjednoczyły się pokojowo – oznajmił Garric. Uśmiechnął się. – A przynajmniej w takim stopniu, w jakim to możliwe. Jak powiedziałem, nie wierzę w złoty wiek. Wiesz, że królowa jest zła, równie zła jak ten, któremu służy Valence...

– Nie wiem! – rzekł Royhas, mimo woli podnosząc głos. – Nic nie wiem o Silyonie i o tym, co oni robią!

– Wiesz – powtórzył Garric – pomimo wszelkich wysiłków, aby o tym nie wiedzieć, gdyż w przeciwnym razie nie oszczędziłbyś mnie w lesie. Mówię ci, że to wszystko drobiazg w porównaniu z tym, czego naprawdę potrzebujemy: zjednoczenia Wysp. Nie możemy oczekiwać pomocy od wszystkich, przynajmniej na początku, lecz ci, którzy spróbują nas powstrzymać z lokalnego patriotyzmu, dumy, honoru czy innego powodu, jakim zaślaniają się ludzie dbający wyłącznie o własne korzyści... ci stanowią równie poważny problem jak królowa, Royhasie.

Ujrzeni przed sobą światła. Dochodzili do przystani promu obsługującego przedmieścia na drugim brzegu rzeki. Na południe stąd, w miejscu, gdzie bagna rozdzielały jej nurt na trzy odnogi, nad Beltis przerzucono most, lecz nawet o tak późnej porze na przeprawie panował spory ruch.

– Nie jestem żołnierzem – powiedział Royhas.

Sądząc jednak po twoich strażnikach, dobrze znasz się na ludziach, pomyślał Garric. A na głos powiedział:

– Znajdziemy żołnierzy. Potrzebni są nam dobrzy organizatorzy, którzy znają się na pieniądzach i dostawach, umieją błyskawicznie podejmować trudne decyzje, kiedy nie ma czasu zasięgać rady, na przykład Władcy Wysp.

Royhas roześmiał się, zaskoczony. Z lekką autoironią zapytał:

– Czyżbyś proponował mi stanowisko twojego kanclerza, królu Garricu? A co z Papnotisem bor-Padrimanem, który teraz nosi pieczęć? Nawet nie zważając na to, że jego rodzina może wystawić tysiąc zbrojnych lub więcej, jest dość dobrym kanclerzem. Szczególnie jeśli przyjrzeć się, z czym ma do czynienia.

Royhas i Garric mieli na sobie pasiaste opończe z kapturami, typowy strój podróżującego nocą kupca. Niezwykła była tylko pochwa długiego miecza stercząca spod płaszczka młodzieńca. Royhas nosił szablę o cienkiej klindze, która była zarówno bronią, jak i oznaką rangi. Garric mógł jednak uchodzić za żołnierza na przepustce.

Znaleźli się już dostatecznie blisko przeprawy, aby dostrzec twarze pół tuzina ludzi czekających na następny prom. O tej porze większość podróżnych zmierzała do centrum miasta – wieśniacy na grzbietach osiołków wieźli swoje plony na targ.

Garric nadal szedł wolnym krokiem. Dobrze wyliczył wszystko w czasie – albo zrobił to Carus.

– Papnotis jest głównym zarządcą Ornifal – powiedział. – Gdyż tylko tę wyspę obejmuje obecne Królestwo – w najlepszym wypadku. Ornifal w przyszłości też będzie potrzebował administratora.

Jeszcze przed chwilą nie znał nazwiska kanclerza. Nie miał kiedy go poznać. Milczące ponaglenia Carusa popędzały go równie stanowczo, jak wyważone uwagi sprowadzały go na ziemię w chwilach zadumy. Gdyby Garric czekał, aż dowie się wszystkiego, co powinien wiedzieć, zanim zacznie działać, nic by się nie stało – oprócz ostatecznego i nieodwołalnego końca cywilizacji i prawdopodobnie wszelkiego życia na Wyspach.

Royhas zaśmiał się cicho.

– Sądzę, że zaszliśmy już dość daleko – rzekł. – Poza tym...

Machnął ręką i obrócił się na pięcie. Strażnicy przystanęli i rozstąpili się na boki, robiąc im przejście. Zaczekali, aż obaj mężczyźni przejdą, po czym ruszyli za nimi.

– Poza tym – podjął Royhas – ta rozmowa okaże się bezprzedmiotowa, jeżeli ognista zjawa spali cię jutro na węgiel, prawda? Wybacz, że to mówię, ale życie przywódców tego powstania nie było naszym największym problemem, kiedy układaliśmy plany.

– Jeśli sugerujesz, że tej nocy ujrzałeś tę sprawę w innym świetle – rzekł sucho Garric – to bardzo się cieszę z wyniku naszej rozmowy. Tenoctris twierdzi, że zjaw nie da się szybko wyczarować i można je zniszczyć, jeśli ma się pod ręką dość wody. Można też przed nimi uciec, jeśli jest gdzie. I jeśli nie wpadnie się w panikę.

– Z własnego doświadczenia wiem – powiedział Royhas, spoglądając prosto przed siebie – że czarodziejom nie można ufać.

– Ja jej ufam – odrzekł Garric. – Zawierzyłbym jej własne życie. Zresztą już to robiłem.

Royhas kiwnął głową, jakby omawiali menu jutrzejszego obiadu.

– Natomiast co do tego, jak broniona jest rezydencja królowej – dodał Garric – Tenoctris mówi, że najważniejsze jest to, by nie zgubić drogi. Te zaklęcia nie są zbyt skomplikowane.

– A więc ta twoja Tenoctris jest równie potężna jak królowa? – spytał z umiarkowanym zainteresowaniem Royhas.

Garric odparł z krzywym uśmiechem:

– Tenoctris mówi, że nie jest pewna, czy ktokolwiek może się mierzyć z królową. A przynajmniej człowiek. Nie wie nawet, czy królowa jest ludzką istotą.

Royhas spojrział na niego.

– Mówisz poważnie, prawda? – zapytał. – Nie demonizujesz wroga?

– Tenoctristak nie postępuje – odparł Garric. – Ona sądzi, że ta... osoba udająca księżniczkę

Azalais w rzeczywistości jest zjawą – demonem w ludzkiej postaci. – Wzruszył ramionami. – Tenoctris chce zrozumieć wroga, żeby go pokonać. Natomiast ja chcę tylko poprowadzić lud do rezydencji królowej i przepędzić ją z Valles oraz z naszego świata. A ponadto przeżyć – dodał z uśmiechem. – Tego także pragnę. – Sposepniał. – Jeśli tylko uda nam się ocalić cywilizację.

Szli w milczeniu. Wysoko na schodach świątyni jacyś mężczyźni i co najmniej jedna kobieta śpiewali o winobranii. Na Haft nie uprawiano winorośli, lecz Garric grywał tę samą melodię na festynach po stryżeniu owiec.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś mógł wypożyczyć mi paru swoich ludzi jako eskortę na jutrzejszy dzień – powiedział Garric. – Oczywiście, jeśli zgłoszą się na ochotnika. Zakładam, że jutro będziesz daleko stąd.

– Taki miałem zamiar – odparł niedbale Royhas. – Nie ma sensu, żeby cała nasza piątka wystawiała się na cel, gdyby mimo wszystko twój plan zawiódł. Nasza obecność w wielotysięcznym tłumie i tak nie zmieniłaby sytuacji.

Garric spojrzał na niego.

– Ale?

– Ale sądzę, że obowiązki kanclerza wiążą się z pewnym ryzykiem – powiedział Royhas. – Spójrzmy prawdzie w oczy. Jeżeli twój plan się nie powiedzie, wkrótce nie będzie dla nas bezpiecznego miejsca na żadnej z Wysp. Przez ostatnie dwa lata żyłem w nieustannej obawie przed tym, co pod wpływem kaprysu może zrobić królowa lub ten stwór Valence’a. Moi ludzie i ja będziemy jutro z tobą, królu Garricu.

Garric dotknął medalionu na piersi. Słowa „królu Garricu” odbijały się echem w jego myślach. A wraz z nimi wesoły śmiech ostatniego i największego Władcy Wysp.

– *Nie ostatniego, królu Garricu* – szepnął głos Carusa. – *A co do największego, to jeszcze zobaczymy!*

Hanno przystanął wśród rosnących u stóp urwiska palm, podpierając się włócznią. Tak bardzo przypominał Cashela, jak obserwował stada z trawiastego pagórka na pastwiskach leżących na południe od Barca’s Hamlet, że Sharinie gardło ścisnęło się z tęsknoty.

Tęskniła za Cashelem i swoim domem. Teraz nie miała już domu.

– A niech mnie – rzekł z lekkim zdziwieniem Hanno. W zadumie podrapał się wskazującym palcem po szyi. Sharina stanęła u jego boku i spojrzała na to, na co patrzył. W tym nieznanym otoczeniu dopiero po chwili zrozumiała, co widzi.

Wrak, pomyślała. Sztormy wyrzucały szczątki statków na stromy zwirowy brzeg Barca’s Hamlet: pnie, czasem deski lub ładunek zmyty z pokładu przez fale.

Kiedyś o świcie Reise znalazł na czarnej plaży ciało. Pochowali je na cmentarzu. Co roku podczas Święta Przesilenia składali ofiarę z chleba i piwa duchowi tego marynarza, tak samo jak zmarłym mieszkańcom wioski. Może inne społeczności w ten sam sposób czciły pamięć rybaków, którzy nigdy nie wrócili do Barca’s Hamlet.

– A to małe łobuzy – rzekł z podziwem Hanno. – Gdybym nie wiedział, że to nieprawda, pomyślałbym, że potrafią myśleć. Przecież Małpy nie potrafią myśleć!

– Och – jęknęła Sharina, czując bolesne ściskanie w dołku. Spoglądała na wrak łodzi. Włochaty Lud wyciągnął ją na brzeg i metodycznie rozbił na kawałki. W pierwszej chwili nie skojarzyła tych fragmentów z łódką, gdyż żaden z pozostałych kawałków nie był dłuższy od jej ramienia. Zamiast młotków użyto sporych kamieni, które leżały teraz wśród drewna i porzrzuconych zapasów. Hanno trącił jeden kamień drzewcem włóczni. Sharina zauważyła już, że myśliwy posługiwał się tą bronią

w taki sam sposób, w jaki mysz sprawdza wszystko swoimi wąsami.

– To silne małe łobuzy, kiedy wpadną w szal – powiedział w zadumie. – Wykonali tutaj kawał solidnej roboty, prawda?

Sharina przykucnęła i obejrzała koniec strzaskanej ławki. Łódka była zrobiona z dębowego drewna. Jak powiedział łowca, tak dokładne jej zniszczenie prymitywnymi narzędziami wymagało ogromnej siły.

– Pewnie kazała im to zrobić zjawa, która nimi kieruje – orzekła. Skupiając się na takich drobnych sprawach, mogła zapomnieć o tym, co naprawdę ją niepokoiło.

Jak teraz wydostaną się z Bight? Czy stada Włochatych i towarzyszące im demony będą ścigać ich w tych dzikich ostępach?

– No cóż, myślę, że masz dwie możliwości, panienko – oznajmił Hanno, odwracając się twarzą do niej. Mówił spokojnie, a nawet nonszalancko. – Mogę zbudować ci tratwę, na której popłyniesz na Ornifal, gdyż tam zaniosą cię prądy. W takim razie...

Uniósł rękę, wielką jak niedźwiedzia łapa, aby powstrzymać protest, którego nie zamierzała zgłosić. Z poparzonej ręki zeszła mu skóra, lecz rana była czysta, chociaż wciąż zaogniona. Maść, którą ją posmarował, miała zapach smoły, a nie lanoliny, jakiej Sharina używała w tym celu w wiosce, ale najwyraźniej działała.

– Wiem, że to nie brzmi zbyt zachęcająco, ale jestem pewien, że uda ci się tam dotrzeć, jeśli nie natrafisz na sztorm. Możemy zabrać zapas żywności, a poza tym mogłabyś łapać ryby. – Wzruszył ramionami. – Nie mogę cię zapewnić, że nie rozpęta się burza, ale byłby to pierwszy wiosenny sztorm, od kiedy mieszkam na Bight, a więc od osiemnastu lat.

Łowca uśmiechnął się. Brakowało mu jednego siekacza w górnej szczęce. Pozostałe zęby były żółtawe i mocne jak u muła.

– Oczywiście – dodał. – Małpy też po raz pierwszy działają w taki sposób. Sama musisz zdecydować.

– A co ty zamierzasz zrobić? – spytała Sharina. Hanno wymienił tylko jedną możliwość, ale chyba domyślała się, na czym polega druga.

– No cóż, skoro Małpom tak zależy na moim towarzystwie, że zniszczyły mi łódź, żeby mnie tu zatrzymać – odparł z uśmiechem tak groźnym jak grot jego włóczni – to chyba spełnię ich życzenie. Ponadto dwa dni marszu stąd znajduje się teren łowiecki Łysego Unarca. Stary trzyma swoją łódkę przy ujściu strumienia i kiedy z niej nie korzysta, zatapia ją w wodzie.

Hanno drzewcem włóczni szturchnął kawałek nadburcia, podrzucając je wysoko w powietrze, po czym złapał je wolną ręką. Łowca wszystko robił precyzyjnymi, oszczędnymi ruchami, by wykonać zadanie, jakie sobie wyznaczył.

– Zawsze uważałem Unarca za osła, który nie wierzy nawet w to, że słońce wzejdzie na wschodzie – mruknął, patrząc na kawałek drewna i z podziwem kręcąc głową. Nie tylko końce deski były w drzazgach, lecz cała była powyginana i popękana od uderzeń. – Zdaje się, że miał trochę racji, no nie? – Ponownie się uśmiechnął. – Rozumiesz, wcale nie sądzę, by Unarc był tak ostrożny, że udało mu się pozostać przy życiu i że będę mógł oficjalnie poprosić go o wypożyczenie łodzi.

Sharina nie obawiała się morza. Dźwięki i zapachy tej dżungli były jej tak obce, jak świat za horyzontem, podczas gdy w przeszłości spędziła kilka tygodni, dryfując w dłubance niemal tak topornej jak tratwa, którą chciał dla niej zbudować Hanno. Gdyby był tutaj Nonnus, starałby się znaleźć wyjaśnienie tych zagadkowych wydarzeń na Bight. Jeśli Sharina nie pomyliła się w ocenie Hanno, łowca zamierzał zrobić to samo. Odpływając na tratwie, Sharina postąpiłaby... Może nie tchórzliwie, ale po krótkim namyśle doszła do wniosku, że bardziej odpowiada jej to drugie wyjście.

– Zostanę z tobą – powiedziała stanowczo. – Jeśli mi pozwolisz.

Hanno zachichotał.

– To prawda, że bez ciebie poruszałbym się szybciej – rzekł. – Gdybyś jednak nie załatwiła tej ognistej zjawy, pewnie wcale już bym się nie ruszał. Bez dwóch zdań! Dlatego rad będę z twojego towarzystwa.

– Cieszę się, że tak myślisz – powiedziała Sharina. Poczuli się lepiej, kiedy już podjęła decyzję, chociaż zrobiła to wbrew sobie.

Zrozumiała, że dopóki żyje, zawsze będzie w niej część duszy Nonnusa.

Ilna zdrzemnęła się. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że wzeszedł księżyc. Jego usiane kraterami oblicze było takie same jak nad Barca's Hamlet, tylko trzy razy większe i czerwone jak węgle dogasającego ogniska.

Statek płynął między sterczącymi skałami. Wyspy znajdowały się nie dalej niż na strzelenie z łuku, bliżej, niż wcześniej Ilna widziała którąkolwiek w tym świetle, które tutaj uchodziło za blask dnia. Skały były usiane jaskiniami i zlebami. Nie miała pojęcia, jak taka miękka skała może podtrzymywać grzybkowate wierzchołki, które znajdowały się kilkaset metrów wyżej. Te wysepki powinny zawalić się pod własnym ciężarem.

Łuskowaci pomrukiwali coś z przestachem. Znów byli uzbrojeni. Statek płynął dalej, z żaglem wydętym wiatrem, którego nie czuła. Jeden z żeglarzy kulił się przy wiośle sterowym, lecz pozostali spoglądali w niebo, zamiast zajmować się statkiem lub jego kursem.

Coś przeleciało na tle księżyca.

Kusznik niezdarnie okręcił się na pięcie, usiłując wycelować w coś podniesioną broń. Pozostali wymachiwali kordami i włóczniami, gardłowo pokrzykując ze strachu.

Lecący stwór wyglądał jak człowiek. Jak mężczyzna o skrzydłach nietoperza.

Żagiel zasłaniał widok z pokładu. Marynarz w pasiastej opasce na głowie zaczął wspinać się po olinowaniu do przymocowanego do grotmasztu bocianiego gniazda. W połowie drogi zatrzymał się i niepewnie spojrzął najpierw przez jedno, a potem drugie ramię.

Latający stwór uniósł się znad powierzchni wody i przeleciał tuż nad relingiem. Z każdego stawu na krawędzi skrzydeł sterczały szponiaste palce. Chwytał nimi wspinającego się po wantach marynarza. Ten wydał ochrypły wrzask i ciął go kordelasem.

Nietoperz odleciał w dół. Jego szerokie skrzydła były pokryte błoną tak cienką, że Ilna widziała przez nią tarczę księżyca.

Kusznik przechylił się przez reling i nacisnął spust. Głośno trzasnęła zwolniona cięciwa. Łuskowaci radośnie zawyli, poklepując się i tupiąc nogami w pokład.

Marynarz, który piął się na maszt, opuścił się na dół. Lewą dłonią ścisnął prawe ramię. Na plecach miał trzy długie krechy, które w tym nienaturalnym księżycowym blasku wydawały się czarne. Zawołał coś do kompanów.

Dwaj z nich odłożyli broń i obejrzel go, cmokając i mamrocząc. Rana na ramieniu była głęboka. Kiedy żeglarz oderwał od niej dłoń, krew popłynęła strumieniem. Jeśli szybko nie zatamują krwotoku, ranny umrze. To było równie pewne jak wschód słońca. A na tym świecie może jeszcze pewniejsze.

Łuskowaty zawył jak umierający osioł. Wskazał coś kordelasem. Wysoka skała z prawej burty znajdowała się bardzo blisko. Z otworów w ścianie urwiska wylatywały kolejne skrzydlate stwory. Były ich dziesiątki. Przypominały Ilnie rojące się w świetle księżyca jętki.

Marynarz przy wiośle sterowym krzyknął coś do swoich kompanów. Jeden z nich doskoczył do

Ilny, unosząc kordelas. Uderzył, przecinając sznur, którym była przywiązana do pachołka.

Przez chwilę Ilna myślała, że Łuskowaci zamierzają ją uwolnić. Dwaj inni marynarze odwiązywali brezentowe nakrycie przytrzymujące pokrywę luku. Podnieśli ją i marynarz, który przeciął więzy Ilny, pociągnął dziewczynę jak worek owsa.

Uśmiechnęła się. Gdyby prześladowcy zaczęli zachowywać się uprzejmie, skomplikowałoby to jej sytuację.

Nietoperz zanurkował, zwinnie jak ptak poruszając się w powietrzu. Przeleciał między masztem a przednią więzią przedniaka dolnego, prawe skrzydło mając skierowane w górę, a koniec lewego prawie prostopadle do pokładu.

Stwór miał otwarte usta. Jego twarz była ludzka i o dość regularnych rysach, nie licząc zapadniętych policzków, lecz zęby ostre i nienaturalnie długie. Blask księżyca nadawał im czerwoną barwę.

Wbił kły w Łuskowatego, który włókł Ilnę. Żeglarz wrzasnął i upadł na nią. Stracił prawe ucho i miał dwie długie rany na głowie.

Gdy nietoperz odlatywał, jeden z marynarzy pchnął włócznią w górę. Zardzewiały grot nie trafił w tors, chudy i muskularny jak u obdartej ze skóry wiewiórki, ale przebił błonę skrzydła, robiąc w niej dziurę w kształcie czteroramiennej gwiazdy. Błona była cienka jak pergamin. Nietoperz odleciał z łopotem skrzydeł, z trudem utrzymując się w powietrzu.

Marynarz, który stracił ucho, wstał, jedną ręką trzymając się za głowę i wywijając ściskany w drugiej kordelasem. Dwaj inni za skrzynią chwycili Ilnę za związane kostki nóg i tunikę, po czym bezceremonialnie wrzucili ją do luku.

Ciężko uderzyła o podłogę. Przez chwilę czuła tylko tępy ból i widziała sylwetkę człowieka ze związanymi rękami, który rozpaczliwie usiłował wydostać się przez otwarty luk. Jeden z Łuskowatych kopnął go w twarz. Mężczyzna upadł obok Ilny i kłapa luku zamknęła się z trzaskiem.

Przez otwory kratki wentylacyjnej Ilna widziała czerwony księżyc. Na tle jego tarczy przelatywało coraz więcej skrzydlatych stworów.

Jak rój jętek...

Ilna zaczęła mocować się z więzami. Zamknięty z nią mężczyzna przysunął się do niej na kolanach. Ręce miał związane na plecach, a pod kłapą nie było dość miejsca, żeby mógł się wyprostować.

– Niech mnie Siostra! – powiedział. – Dziewczyna!

– Kobieta – poprawiła go Ilna. – I na twoim miejscu, kimkolwiek jesteś, uważałabym, czyje imię wypowiadasz. Być może wkrótce staniesz przed Siostrą.

Uwolniła jedną dłoń. Dopóki była związana, powstrzymywała gniew, ale uwolniwszy się, poczuła przyływ emocji i dzikiego triumfu.

– No cóż, lepsze twoje towarzystwo niż samotność – rzekł mężczyzna. – Może mogłabyś przegryźć moje więzy? Założę się, że gdybym miał wolne ręce, zdołałbym jakoś otworzyć luk. Nie zawiązali dobrze plandeki po tym, jak cię tu zrzucili.

Mówiąc, niezgrabnie odwrócił się. Ładownia była do połowy zapełniona workami z czymś, co miało konsystencję żwiru. Wpadający przez kratkę blask księżyca dawał za mało światła, żeby Ilna mogła dojrzeć szczegóły, nawet gdyby chciała.

– Usiądź, to zaraz cię rozwiążę – powiedziała. – Kim jesteś?

Przekręciła się na bok, żeby łatwiej sięgnąć do drugiego nadgarstka. Łuskowaci związali każdą jej kończynę osobno, a potem wszystkie razem. Węzły były zaciśnięte mocno i dobrze, czego należało się spodziewać. Jeszcze nigdy takich nie spotkała, chociaż węzły były dla niej jak pogoda dla

rolnika.

– Kapitanem tego statku, oto, kim jestem – odparł mężczyzna. – Cozro or-Laylin z Valles na Ornifal. Za ten rejs mam dostać jedną ósmą wartości tego statku, a raczej miałem dostać. – Splunął z niesmakiem. – Te szumowiny na górze to moja załoga, a przynajmniej byli nią, zanim dopadła ich zaraza.

Kłapa zatrzeszczała pod ciężarem lądującego na niej nietoperza. Wielkie szponiaste paluchy stwora zacisnęły się na kracie. Szpony odłupywały drzazgi z twardego drewna, gdy nietoperz walczył z kimś na pokładzie. Łopoczące skrzydła zasłaniały widok.

Cozro wyprostował się i krzyknął ze zdumieniem:

– Niech Siostra zawlecze mnie do swej jamy! Co się tam dzieje?

Ilna oswobodziła lewy przegub, chociaż wciąż zwisał z niego kawałek sznura. Olinowanie statku było splecione z konopi, lecz Łuskowaci związali ją sznurem z dobrze zgręplowanego lnu. Pewnie powinna być im za to wdzięczna, ale bardziej szorstką i sztywną linę łatwiej byłoby rozwiązać. Usiadła.

– Twój statek atakują nietoperze o ludzkich ciałach – oznajmiła lakonicznie. – Nie jesteśmy na tym samym świecie, na którym się urodziłeś, chociaż nie mam pojęcia na jakim. – I dodała z chłodnym uśmiechem, zabierając się za węzły przy kostkach nóg. – Twoja sugestia, że znajdujemy się w Podziemiu, jest równie prawdopodobna jak każda inna. Z pewnością nie widziałam niczego, co by temu przeczyło.

Nietoperz uniósł się i z łoskotem runął na kłapę. Włócznia i klinga co najmniej jednego korda wbiły się w jego skrzydła, odcinając wielkie kawały. Stwór wściekle szarpnął kłami, wrywając drzazgi z twardego drewna. Miotając się w konwulsjach, spadł z pokrywy luku, prawie znikając więzniom z oczu. Jedna jego łapa miarowo jak fale przyływu zaciskała się i rozluźniała na kracie.

– Pani, strzeż twego sługi, Cozra – mruknął żarliwie kapitan. – A także „Ptaka fal” i spraw, by pani Arona dała mi obiecaną ósmą część. Stara kutwa!

Ilna oswobodziła kostki. Zrobiła nogami nożyce, napawając się miłym bólem towarzyszącym rozprostowaniu zdrętwiałych mięśni.

– „Ptak fal”? – powiedziała. – To ten statek przywiózł Łuskowatych do Erdinu. To chyba wszystko wyjaśnia. Twoja załoga piła trunki, w którym pływało ciało.

– Nie miałem z tym nic wspólnego – odparł obronnym tonem Cozro. – Nie schowałem tego trupa w beczce, a nawet nie wiedziałem, że jest w niej trunek.

– Odwróć się i wyciągnij ręce, najdalej jak możesz – poleciła Ilna. Sznur będzie niezłą bronią, kiedy splecie z niego pętlę, co jej zręcznym dłoniom zajmie zaledwie kilka minut.

Na pokładzie znowu szczęknęła kusza. Dał się słyszeć przeraźliwy świst, jak syk pary ulatującej spod pokrywki. Nie wiedziała, czy ten dźwięk wydał któryś z Łuskowatych czy jeden z napastników. Nigdy nie słyszała takiego odgłosu dobywającego się z ust żywego stworzenia.

– A niech mnie Siostra, chyba tak właśnie było – rzekł Cozro. Jęknął na samą myśl. – Mówiłem pannie Aronie, że przewożenie trunku to dopraszanie się kłopotów, ale czy chciała słuchać? I czego można oczekiwać po marynarzach? Myślisz, że przy takich stawkach, jakie płaci Arona, na statkach pływają święci?

– Nie wierć się – warknęła Ilna. – Nie potrzebuję twojej pomocy, nawet gdybyś mógł mi jej udzielić.

– Wracaliśmy do Valles z ładunkiem orzechów kokosowych – głośno myślał Cozro. – Wiedziałem, że z załogą coś jest nie tak. Och, z początku myślałem, że to zwyczajny kac po wypłynięciu z portu. Jednak oni byli coraz bardziej milczący. Nie odzywali się do mnie, a kiedy

rozmawiali ze sobą, nie mogłem ich zrozumieć.

Najwidoczniej w toczącej się na pokładzie bitwie nastąpiła chwilowa przerwa. Ilna usłyszała mrukliwe głosy marynarzy. Jeden z nich szlochał z bólu lub rozpacz. Takie otwarte wyrażanie uczuć nie pasowało do nieruchomych, żabich pysków Łuskowatych.

– Każdej nocy, kiedy stawaliśmy na kotwicy – rzekł Cozro – odchodzili razem. Czasem cumowaliśmy przy tak małej wysepce, że mogłem ich obserwować. Wszyscy klękali, twarzami do Valles. Myślałem, że się modlą, ale sam nie wiem. Przysięgam, że to wyglądało tak, jakby czegoś nasłuchiwali. Robili tak co noc.

– Gotowe – powiedziała Ilna, zwijając sznur i chowając go w rękawie tuniki. – Teraz przysuń do mnie nogi, to ci je rozwiążę.

Cozro klasnął w dłonie z radości. Nie zważając na słowa Ilny, nachylił się, by sam rozwiązać pęta na nogach.

– Jeśli chcesz, mogę rozwiązać cię w kilka minut – powiedziała Ilna, twardo wymawiając każde słowo. – Albo możesz robić to dalej i tracić czas jak głupiec, aż statek pójdzie na dno lub umrzesz ze starości. Nie wiem, co nastąpi prędkiej.

Cozro poderwał głowę.

– Co powiedziałaś?

– Gdybyś mógł rozwiązać te węzły przy świetle księżycy, zrobiłbyś to już dawno – odparła Ilna. – Rób, jak chcesz.

Wyjęła z rękawa zakończony pętlą sznur. Łuskowaci odebrali jej nóż, kiedy ją schwyтали, lecz bez trudu rozplotła palcami końcówkę.

– W porządku, ty to zrób – odparł urażony Cozro.

Odwrócił się i odchylił do tyłu, żeby Ilna mogła dosięgnąć węzła. Nietoperz po raz ostatni szarpnął łapą kratę. Szpon na końcu jego palucha miał długość ludzkiego kciuka.

Ilna pochyliła się nad węzłem. Nawet nie potrzebowała światła – jej palce znały już wzór i metodę.

– Robili swoje – mówił Cozro. – Nie powiem, że dobrze wykonywali rozkazy, ale wszyscy byli marynarzami. Nie musiałem im mówić, jak ustawiać żagle. Tylko ich skóra stała się chropowata i przybrała barwę, no... Na Siostrę, zrobili się niebiescy! Zauważyłem to, ale udawałem, że nie widzę. No, wiesz, bałem się, że też to złapię.

Łuskowaci zarechotali ze strachu. Brzęknęła cięciwa kuszy. Coś uderzyło w statek.

– Nie ruszaj się – powiedziała Ilna, gdy kapitan obrócił się, żeby spojrzeć na drugi koniec pokrywy luku.

Statek kołysał się tak, jak faluje powierzchnia stawu, gdy spadają na nią pierwsze krople deszczu, zapowiadające tysiące następnych. Dziesiątki, setki latających stworów lądowały na pokładzie i czepiały się olinowania. Uderzenia ich szponów o pokład zagłuszyły wrzaski marynarzy.

– Trzy dni drogi od Valles – mówił Cozro z twarzą ściągniętą lękiem – zebrali się na dziobie, jak do modlitwy. Nic nie powiedziałem. Właściwie przestałem z nimi rozmawiać. Nagle odwrócili się i ruszyli na mnie.

Z góry dobiegł zduszony krzyk i jeden z marynarzy runął na wznak na kratę luku. Pokryła go masa skrzydlatych, wijących się jak robaki w martwym od tygodnia króliku. Zupełnie zasłonili światło, miażdżąc szczękami mięśnie i kości. Krew zaczęła kapać do ładowni i wokół rozszedł się odór rzeźni.

– Nic nie mogłem zrobić – zawołał Cozro. Prawie krzyczał, chcąc zagłuszyć dochodzące z góry odgłosy, żeby Ilna mogła go usłyszeć. – Myślałem, że chcą mnie zabić. Klócili się i sądziłem, że o to.

W końcu związali mnie i wyrzucili z ładowni kilka worków z orzechami, żeby zrobić miejsce dla mnie.

Trzasnęły drzwi sterówki. Nietoperze oderwały się od ciała marynarza i do ładowni wpadło trochę światła. Z zabitego pozostało tylko trochę kości i ścięgien. Krew wciąż kapłała przez kratę.

– Gotowe – powiedziała Ilna. – Rozwiązałam cię.

– Pani, ratuj – wymamrotał Cozro. – Pani, proszę, ocal mnie.

Ilna wzięła drugi zwój lnianego sznura i wystrzępiła koniec, żeby go rozpleść. Usłyszała zgrzyt kłów o drewno. Wprawdzie zęby nietoperzy nie nadawały się do przegryzania drewnianych desek, ale nie miała wątpliwości, że po pewnym czasie napastnicy wedrą się do ładowni.

– Na dziobowym końcu tej ładowni jest resztką wody – oznajmił Cozro. Pot wystąpił mu na czoło. Kapitan nie patrzył w górę. – Schowałem ją tam i powiem ci, że nie było to łatwe ze związanymi rękami i nogami!

Jeden z nietoperzy odrzucił resztki ciała i przycisnął twarz do kraty. Zmarszczył nos jak koń wietrzący wodę. Z rosnącą furią zaczął gryźć drewno, przez cały czas wydając piskliwe dźwięki.

– Nie rozumiem tego wszystkiego! – rzekł Cozro. – Nie rozumiem!

W sterówce rozległ się ochrypy śpiew. Przez kratkę wentylacyjną wleciała smużka dymu. Łuskowaci znów odprawiali swój rytuał.

Kolejne nietoperze opadały na kratę. Były jak lisy dobierające się do kurnika – i oglądane z perspektywy kur.

Ilna prychnęła. Zdążyła już rozpleść dwie trzecie sznura, przygotowując z niego arkan. Nie była to idealna broń w ciasnym pomieszczeniu, ale na jakiś czas wystarczy.

W końcu tak można powiedzieć o wszystkim i każdym.

Cashel usiadł, przeciągnął się i uśmiechnął do towarzyszy.

– Mm! – mruknął. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze się czułem. Chyba potrzebowałem tego snu.

Aria i Zahag spoglądali na niego tak, jakby...

Jakby był duchem.

Cashel wsiadł i machinalnie strząsnął grudki ziemi, które przywarły do laski.

– Słuchajcie, trochę zasnęłam – powiedział obronnym tonem – ale zazwyczaj wstaję pierwszy.

Spojrzał w dal. Słońce stało nisko nad horyzontem.

– Przecież jest jeszcze wcześniej rano...

Słońce stało nisko na zachodzie. Przespał cały dzień.

– Och – mruknął Cashel. Przesząpił z nogi na nogę, prężąc wszystkie mięśnie, i przekonał się, że mu nie zeszywniały. – No cóż, nie mam pojęcia, jak to się stało.

– Dobrze się czujesz? – spytała Aria. Nadal klęczała przy nim, tuż przy wgłębieniu, jakie zrobił sobie na biodro. – Na pewno?

Księżniczka trzymała moką szmatkę – kolejny kawałek oddarty z jej powiewnej szaty. Po tej ciężkiej podróży była tak obdarta, że wyglądała jak dmuchawiec po burzy.

– Nic mi nie jest – odparł Cashel. Dotknął czoła. Było wilgotne. Aria położyła na nim mokry okład, żeby zbudzić go z głębokiego snu. Nie podejrzewał, że jest zdolna do czegoś takiego. Widocznie naprawdę obawiała się, że... hm.. Cashel ich opuści.

– Myśleliśmy, że umarłeś – powiedział Zahag, niezwykle spokojnie. – Serce uderzało ci tylko raz na jakiś czas. I w żaden znany nam sposób nie mogliśmy cię obudzić.

Cashel potarł najpierw prawy, a potem lewy policzek. Prawdopodobnie mocno go

spoliczkowano, a pewnie też szczypano. No cóż, on robiłby to samo, gdyby Aria była nieprzytomna. We dwoje z pewnością nie zdołaliby go unieść, tak jak on niósł Arię, kiedy nie mogła iść.

Szeroko uśmiechnął się na samą myśl o tym, że miałyby zarzucić go sobie na plecy i ruszyć przez góry, które widzieli przed sobą.

– No cóż, teraz na pewno nic mi nie jest – rzekł Cashel.

Sposępniał. Kiedy myślał o księżniczce, przypomniały mu się trzy kobiety, które widział poprzedniej nocy. Każdą z nich mogłaby ponieść bez trudu, tak jak on niósł Arię.

– Niedaleko jest woda – rzekł Zahag, opadając na czworaki i wolno zataczając krąg. – Chyba nigdzie nam się nie spieszy, więc jeden dzień...

– Ta woda ma okropny smak! – powiedziała Aria. Nadal klęczała. – Och, myślałam, że stało się coś strasznego. Pomyślałam, że ty...

Nie zdołała wykrztusić tego słowa.

– Oboje tak myśleliśmy – rzekł Zahag. – Że jesteś martwy jak gład. Że twoje serce zupełnie przestanie bić i bach! – zaraz zaczniesz gnić.

Małpolud wzruszył ramionami, których szerokość jeszcze podkreślała ten gest.

– Nie wiedziałem, co byśmy wtedy zrobili.

– Zahagu – zapytał Cashel. – Kiedy się obudziłeś, czy widziałeś ślady wokół ogniska?

Wskazał ręką na splachetek ziemi, na którym tańczyły tamte trzy kobiety. Czyżby to był sen?

– Może tam?

– Hę? – zdziwił się małpolud. – Jakie ślady? Nie widziałem niczego, tylko ciebie leżącego na plecach zamiast na boku, jak zwykle. I nie chciałeś się zbudzić.

Cashel podszedł do krzaków, z których w nocy wyłoniły się tancerki. Nogami rozepchnął na boki kruche pędy. Nie rozpoznawał tych krzewów, chociaż wyglądały zupełnie zwyczajnie. Nie sądził, aby opady były tu wystarczające dla takich gatunków roślin, jakie rosły wokół Barca's Hamlet.

– Dokąd idziesz? – zawołała piskliwie Aria. – Cashelu!

Ruszyła za nim. Jeśli nie będzie uważać, te suche krzaki zaraz uczepią się resztek jej powiewnej sukni i w mgnieniu oka zostanie naga.

– Nie odejdę daleko! – odkrzyknął. – Chcę tylko coś sprawdzić.

Znalazł to bliżej, niż przypuszczał – krąg zmurszałych kamieni, które mogłyby być cembrowiną, zaledwie dwa lub trzy długie kroki od szlaku. Jeśli była tam studnia, nawiany wiatrem pył zatkał ją już dawno temu.

– Co robisz, Cashelu? – spytała Aria za jego plecami.

Po raz pierwszy okazała zainteresowanie tym, co ktoś robi, chociaż wcale jej to nie dotyczyło. Ale tak naprawdę, to pewnie obawiała się, że Cashel odejdzie i zostawi ją tutaj. Nigdy by tego nie zrobił. Oczywiście, dotychczas nie zdarzyło mu się przespać całego dnia.

– Ja tylko przyglądam się temu – odparł Cashel. – Sądziłem, że znajdę tu coś...

– Och – zawołała Aria, wychodząc z za jego pleców. – To święty teren.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Ona ma na myśli świątynię! – warknął Zahag z drugiej strony zrujnowanego kręgu. I wymamrotał jeszcze coś, co zabrzmiało jak „Mocny kręgosłup, słaba głowa!”

– To nie są posągi – powiedziała Aria. – To kariatydy. Podtrzymują sklepienie, pełniąc rolę filarów.

Dach świątyni był pokryty wygiętymi dachówkami, a przynajmniej na to wyglądało, gdyż ich resztki sterczały z ziemi. Posągi kariatyd runęły dawno temu, lecz ich prostokątne postumenty pozostały na swoich miejscach. Cashel podszedł bliżej. Dwie kariatydy leżały na plecach. Mrozy

i upały skruszyły marmur do tego stopnia, że ledwie można było rozpoznać postacie kobiet w powiewnych szatach. Trzeci posąg leżał między nimi, twarzą w dół. Wiatr i deszcz sponiewierały go tak samo jak dwa pozostałe, lecz gdy Cashel odwrócił go, ujrzał nietkniętą kobiecą twarz.

Rozpoznał jasnowłosą tancerkę ze snu. Ułożył posąg w takiej samej pozycji, w jakiej go znalazł, a potem wyprostował się. Kiedy spojrzął na wznoszące się przed nimi wzgórze, zobaczył błysk bladoniebieskiego światła.

– Cashelu? – powiedziała pokornie księżniczka. – Co teraz zrobimy?

No, przynajmniej zdawało mu się, że widzi jakieś światło. W tym świecie nie brakowało różnych iluzji.

– Wiem, że jest późno – rzekł do towarzyszy. – Mimo to myślę, że powinniśmy ruszać w drogę. Ja... hmm... Chyba coś widziałem.

– Nic nas tu nie trzyma – przytaknął Zahag, dziwnie zgodliwie. Wracając na szlak, przeszedł po jednym z kamieni.

Cashel i Aria poszli za małopołudem. Młodzieniec obejrzał się przez ramię.

Zobaczył cztery postumenty dla trzech leżących na ziemi posągów. Mimo woli zastanawiał się, co się stało z czwartym.

DWUDZIESTY PIĄTY DZIEŃ CZAPLI

Maurunus przyszedł z dwoma giermkami, niosącymi hełm i napierśnik, na zatłoczony dziedziniec stajni Royhasa, gdzie Garric szykował się ze swoimi ludźmi do ataku na rezydencję królowej.

– Przynieśliśmy zbroję lorda Garrica, panie – rzekł majordomus do Royhasa.

Garric spojrział na migoczącą w porannym słońcu zbroję. Była inkrustowana srebrem i ozdobiona rytami przedstawiającymi mityczne początki Valles. Na pancerzu Pasterz wiódł Vala i grupkę jego ocalałych z zatopionego Xadako towarzyszy w kierunku ujścia rzeki Beltis, której personifikacja kłaniała się przybyszom. Hełm był zdobiony scenami z bitew, jakie Val stoczył z mieszkającymi na Ornifal olbrzymami. Wieńczyła go Pani błogosławiąca pobożowisko, co Garric uznał za bluźnierstwo.

Ponadto po takich wypukłościach nie ześlizguje się grot włóczni. Nie mówiąc już o tym, że w takim stroju Garric czułby się jak nadęty dworak.

– Jest piękna – powiedziała Liane, podnosząc głowę znad sekretarzyka, który wyniesiono na dziedziniec. Sprawdziała wiadomości znoszone przez posłańców ze wszystkich dzielnic miasta. Dwaj słudzy z krótkimi mieczami stali przy okutej szkatule z pieniędzmi, które Liane płaciła każdemu nowo przybyłemu gońcowi, gdy tylko przekazał wiadomości.

– Nie założę tego! – wypalił Garric.

– Dobraliśmy rozmiar na oko – rzekł Royhas. – Rzemienie są wystarczająco luźne, więc powinna pasować.

Szlachcic był podekscytowany, ale nie opryskliwy lub rozgorączkowany, jak mógłby być ktoś inny na jego miejscu. Ponieważ bunt – a przynajmniej atak – miał być poprowadzony z jego domu, jeśli nie zdołają pokonać królowej, szlachcic w najlepszym razie zostanie banitą. A wzięwszy pod uwagę historie, jakie opowiadano o władczyni, śmierć bynajmniej nie była najgorszym wyjściem w ewentualnej klęsce.

– Posłuchajcie – rzekł Garric. – Jeśli mam już nosić pancerz, to dajcie mi porządną zbroję.

Wszyscy obecni w stajni spojrzeli na niego: sześciu strażników z rosnącym szacunkiem, a pozostali ze zdziwieniem. Royhas był lekko zirytowany.

– Tu nie chodzi o bitwę – uciął. – Tak jak powiedziałeś zeszłej nocy, kiedy trzeźwo myślałeś, mamy ludzi, którzy będą za nas walczyć. Ty masz ich poprowadzić i dlatego musisz być dobrze widoczny.

– Aha – mruknął Garric. Carus, bardzo płytko ukryty w jego podświadomości podczas tych przygotowań do bitwy, zrozumiał i zgodził się na to, chociaż gardził tą ozdobną zbroją tak samo jak on. – Tak, rozumiem.

Nieproszony, rozpiął szeroki skórzany pas. Pancerz opierał mu się nie tylko na ramionach, ale i na biodrach. Bez problemu nałożył pas na zbroję, gdyż rzemień był dostatecznie długi. Skórzane paski pancerza były przymocowane do tylnej połowy zbroi i zapinane na sprzączki z przodu. Gdy giermkowie zaczęli je mocować, Garric rzekł:

– Sam to zrobię. Skąd wiecie, jak chcę ją nosić?

Liane posłała mu nikły uśmiech. Royhas lekko zmarszczył brwi i powiedział:

– Oczywiście. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że wiesz, jak dopasować zbroję.

Garric podciągał rzemień – mocno na dole, ale coraz luźniej ku górze, rezygnując

z zabezpieczenia przed pchnięciem włócznią w szparę na boku na rzecz większej swobody ruchów. Jego palce poruszały się z wprawą – nie jego własną, ale jednak wprawą.

Uśmiechnął się. Od kiedy zaczął nosić medalion króla Carusa, nigdy nie był już sam. Cokolwiek robił, nieustannie zdawał sobie sprawę z obecności innej osoby, zaglądającej mu przez ramię i patrzącej na wszystko jego oczami. Jednak dorastający w wiejskiej społeczności chłopiec i tak nigdy nie był sam, więc Garric nie uważał, że w ten sposób coś stracił. Natomiast zyskał cały świat doświadczeń i umiejętności. Zastygł. Widocznie zmienił się wyraz jego twarzy, gdyż Royhas zapytał z niepokojem:

– Czy coś jest nie tak z tą zbroją?

Garric zawiązał ramię na podwójny węzeł.

– Nie – odparł. – Ja tylko myślałem o tym, jak wielu rzeczy nie musiałbym wiedzieć, gdybym do końca życia pozostał w Barca's Hamlet.

– Gdybyś to zrobił – powiedziała Tenoctris, siedząca w wyściełanej lektyce, w której mieli ją zanieść do rezydencji królowej – niedługo nie byłoby Barca's Hamlet. Nawet gdyby ci, którzy wyprowadzili cię w szeroki świat, pozwolili ci tam zostać. – Uśmiechnęła się. – Obawiam się, że sama skłoniłabym cię do opuszczenia wioski, gdybym musiała.

Śmiech Garrica był echem śmiechu Carusa.

– No cóż, teraz to już nie ma żadnego znaczenia – rzekł. – Teraz niewątpliwie mamy inne problemy.

Royhas powiedział kilka słów mężczyźnie z sumiastym wąsem opadającym aż na brodę. Tamten skłonił się i znikł między boksami kamiennej stajni.

Garric wziął od giermka hełm, lecz na razie trzymał go pod pachą, zamiast włożyć na głowę. Hełmy są potwornie niewygodne. Carus często ruszał do boju, mając na głowie tylko diadem i zostawiając hełm w namiocie.

– *Niepotrzebnie ryzykowałem, chłopcze* – mruknął głos na skraju świadomości Garrica.

– Czasem trzeba podjąć ryzyko – rzekł głośno Garric, patrząc na ludzi, których miał poprowadzić. Pomyśleli, że mówi do nich. Częściowo tak też było. – Liane, jak stoją sprawy?

– Mamy co najmniej po jednym raporcie ze wszystkich dzielnic poza czternastą i szesnastą – odparła. – Plotka rozeszła się. Ludzie wyszli na ulice i zaatakowali kilku urzędników królowej.

Dzielnice czternasta, piętnasta i szesnasta znajdowały się za rzeką, odcięte od codziennej krzątania. Królowa i tak nie miała tam znaczących wpływów.

Wąsaty sługa wyszedł ze stajni, prowadząc wysokiego rumaka, srokacza o tak jasnym odcieniu, że tylko purysta nie nazwałby go białym. Koń miał założone paradne siodło o wysokim łęku i rzędzie pokrytym zdobnymi srebrnymi płytkami. Garric otworzył usta, ale powstrzymał gniewne słowa i znów parsknął śmiechem. Royhas nie musiał niczego mu powtarzać.

– Royhasie, czy to mój koń?

– Tak – odparł Royhas. – Hm... Siedziałeś już na koniu?

– Umie jeździć konno – rzekł Garric. – I rozumiem, po co to siodło, ale zdejmijcie je. Będę bezpieczniejszy, jadąc na oklep.

– To... – zaczął szlachcic.

– Ma zapobiec upadkowi z konia – powiedział Garric, nie dopuszczając go do słowa. – Tymczasem nie pozwól mi szybko zeskoczyć, jeśli coś spłoszy zwierzę.

– Aha – mruknął Royhas. – No tak, z łatwością mogę sobie wyobrazić, że ten koń może być bardziej płochliwy niż ty, panie Garricu.

Skinął na stajennego. Ten zawołał coś w kierunku stajni i odpiął popręg paradnego siodła.

Z budynku wyszedł chłopiec, uginając się pod ciężarem zwyczajnego siodła do jazdy po mieście.

– Być może to tylko świadczy o tym, że konie mają więcej rozsądku od ludzi, lordzie Royhasie – powiedział Garric. Gdzieś blisko król Carus uśmiechnął się na te słowa.

Na podwórzu stajni znajdowało się co najmniej pięćdziesiąt osób: strażnicy, służba, tragarze lektyki Tenoctris – ponieważ rzucanie czarów będzie wystarczająco męczące dla staruszki, nawet bez przedzierania się przez przetaczający się ulicami tłum – oraz przywódcy spisku. Garric zmarszczył brwi, kiedy zauważył, że nie tylko stajenni, ale nawet służący, włącznie z pulchnym Maurunusem, są uzbrojeni w drewniane pałki.

– Mają bronić domu pod naszą nieobecność? – szepnął do ucha Royhasowi. Nieznacznym ruchem głowy wskazał majordomusa.

Szlachcic prychnął.

– Dom może spłonąć – odparł. – Nie będzie mi potrzebny, jeśli nam się nie uda. Każdy mieszkaniec Valles, który ma wobec mnie zobowiązania, będzie dziś przy mnie, aby uczynić klęskę mniej prawdopodobną. Wszystko albo nic, panie Garric.

Młodzieniec klepnął go w ramię. Royhas też nosił zbroję z oksydowanego żelaza, z miękką skórzaną wyściółką. Na głowie miał czapkę z brązowej skóry, lecz pod miękkim materiałem kryła się stalowa miseczka. Był to doskonały ekwipunek do walk ulicznych: dobrze chronił, a jednocześnie nie rzucał się w oczy.

Rzucanie się w oczy było zadaniem Garrica.

– *W tej walce nie chodzi o to, kto zostanie królem* – szepnął Carus. Garric niemal widział swego przodka stojącego na wymyślnym balkonie i spoglądającego na dziedziniec. Król miał twarz nieruchomą jak kamień, a prawą ręką gładził rękojeść miecza. – *Chodzi o szansę życia w pokoju i umierania we własnym łóżu – nie tylko dla ludzi, których nazwiska zaczynają się od „bor” czy „bos”*.

Służące również wychodziły z domu – nie wszystkie, ale większość. Niektóre były uzbrojone w kuchenne noże, a kobieta potrafi równie celnie jak mężczyzna rzucić kamieniem.

Garric uśmiechnął się do Tenoctris i Liane. Młodsza z kobiet zamknęła notatnik i schowała go do rękawa. Podniosła wiadro na wodę, które uparła się sama nieść, i skinęła na Garrica.

Co do niego, no cóż... Już ponownie osiodłano mu konia.

Lud Valles był kluczem do zwycięstwa lub klęski. Liane rozsądnie zaproponowała, aby zaczekali chwilę, aż mieszkańcy wstaną i się ubiorą. Był już późny ranek, a przynajmniej na tyle, by nie robiło to większej różnicy.

Garric wziął wodze od giermka, który zamierzał przytrzymać łeb wierzchowca, wsunął stopę w lewe strzemie i wskoczył na konia. Zrobił to niezwykle sprawnie, lecz lekki skurcz mięśni ud przypomniał mu, że konna jazda – tak samo jak szermierka – w takim samym stopniu zależy od sprawności mięśni, co od nabytych odruchów.

– Dobrze! – rzekł Garric donośnym głosem, który odbił się od otaczających dziedziniec ścian. – Pokażmy rządzącym, że w Valles nie ma miejsca dla tych, którzy służą królowej!

Dwaj strażnicy szeroko otworzyli bramę. Garric wyjechał na ulicę. Nie był to zbyt imponujący początek, ale jedyny możliwy sposób rozpoczęcia powstania, jeśli nie chcieli wyruszać spod portyku głównego wejścia do rezydencji Royhasa.

– Valence i Wyspy! – krzyknął Garric, wyprowadzając swój orszak z bocznej uliczki na jeden z głównych bulwarów Valles, nazywany ulicą Harmonii, lecz kilometr dalej na zachód, opodal rezydencji królowej, przechodzący w aleję Posągów.

Garric wyjął miecz. Pomimo imponującego wzrostu wierzchowiec był znacznie spokojniejszy od

niektórych rumaków pełnej krwi, którymi Garric opiekował się w stajni ojca. Reagował na każde ściągnięcie wodzy, a jego podkute kopyta nie ślizgały się na bruku.

Tylko Garric jechał na koniu, bo na koniach Royhas i Liane tylko niepotrzebnie narażaliby się na dodatkowe niebezpieczeństwo. Lepiej, żeby szli pieszo.

– Valence i Wyspy! – krzyknął Garric. Machnął mieczem w kierunku rzędu rezydencji po drugiej stronie ulicy. W oknach ujrzał twarze właścicieli i ich służby.

– Król Carus i wolność! – wrzasnął odzwierny, który zwykle zapowiadał gości w te dni, kiedy Royhas przyjmował petentów.

– Król Carus i wolność! – zawtórowała mu ile sił w płucach reszta gromady. Liane i Royhas szli po bokach Garrica. Ich głosy również wyróżniały się w chórze, chociaż nie tak donośne jak żabi skrzek odzwiernego.

Garric powoli jechał naprzód. Ludzie wychodzili z domów po obu stronach ulicy, chcąc poznać przyczynę zamieszania. Okap hełmu ograniczał mu pole widzenia, a Garric nie chciał oglądać się za siebie. Mogłoby to zostać źle zrozumiane przez widzów.

– Idą! – zawołała Liane. – Przyłączają się do nas, Garricu!

– Carus i wolność! – krzyknął Garric.

Zgiełk zaniepokoił rumaka, który podrzucił łbem i potknął się. Garric mocno ściągnął wodze, uspokajając go. Poczul gwałtowny przypływ emocji. Miał ochotę ubóść piętami wierzchowca i pogalopować ulicą. Powstrzymał ten odruch i konia: powinni jechać powoli, żeby więcej zwykłych obywateli przyłączyło się do nich, tworząc dostatecznie liczny tłum.

– Idą! – zawołała z uniesieniem Liane.

Na skrzyżowaniu ulica Harmonii odbijała w lewo i lekko zwężała się, a miejsce sąsiadujących z domem Royhasa rezydencji zajęły dwu- i trzypiętrowe kamienice. Nawet te nie były czynszówkami, lecz należały do co najmniej niezłe sytuowanych mieszczan. Ludzie wychodzili z ich łukowatych bram, dołączając do tłumu. Niektórzy z nich szli już przed Garrikiem, chociaż większość wchłaniał podążający za nim tłum.

– Król Carus! – krzyczała część maszerujących. Inni wykrzykiwali „Śmierć królowej!” i „Spalić ją żywcem!” Te okrzyki zlewały się w zgiełk bardziej podobny do ryku jakiejś ogromnej bestii niż dźwięku dobywającego się z ludzkich gardeł.

Plotki, a czasem płatni agenci spiskowców przygotowali grunt, lecz powszechna nienawiść do królowej Azalais w znacznie większym stopniu wywołała tę reakcję. Obecność Garrica była dodatkową iskrą w tej dzielnicy, lecz dobiegające z innych miejsc dźwięki trąbek, a czasem pióropusze dymu świadczyły o tym, że zamieszki wybuchły również w wielu innych miejscach.

Oddział straży miejskiej w lśniących mosiężnych hełmach i napierśnikach wypadł truchtem z bocznej uliczki na trójkątny plac dwadzieścia kroków dalej. Ich dowódca trzymał szponton o szerokim filigranowym ostrzu, będący oznaką rangi. Wydał rozkaz. Czterej jego ludzie stanęli po bokach, unosząc długie, nabijane ćwiekami pałki, żeby powstrzymać tłum, a trębacz przytknął sygnałówkę do ust, żeby wezwać posiłki.

– Precz z królową! – wrzasnął odzwierny. Garric machnął mieczem, wskazując na ulicę wiodącą w kierunku urzędu celnego.

Dowódca oddziału złapał trąbkę, zanim trębacz zdążył w nią zadać. Strażnicy niepewnie spoglądali po sobie i na niego. Widząc ich wahanie, Garric ponownie zamachał mieczem jak sztandarem.

– Precz ze sługusami królowej! – zawołał i przejechał obok strażników. Ci nie próbowali go zatrzymać.

– Precz z królową! – rzekł dowódca oddziału i wraz ze swymi ludźmi dołączył do tłumu.

Urząd celny był monumentalnym gmachem stojącym w miejscu, gdzie główna ulica, biegnąca z północy na południe, łączyła się z esplanadą na obrzeżu portu. Był zbudowany z czerwonego piaskowca i ze wszystkich stron otoczony sześciometrowymi arkadami. Inspektorzy najczęściej urzędowali pod gołym niebem, ale archiwa i magazyny znajdowały się na pierwszym piętrze, na które wiodły wewnętrzne schody. Ściany były ozdobione gzymsami i kolumnienkami z kolorowego marmuru, a na otoczonym krenełazem dachu stała złocona figura z brązu, symbolizująca Valles i trzymająca w jednej dłoni berło, a w drugiej łodygę ryżu.

Celnicy nosili na tunikach lniane kamizelki, nie czerwono-czarne jak królewscy urzędnicy, lecz pomarańczowe – na tyle zbliżone odcieniem do koloru płomieni, na ile pozwalał na to barwnik otrzymany z pyłku i czerwonej gliny.

Widząc nadjeżdżającego na czele tłumu Garrica, groteskowo opasły mężczyzna pilnujący bramy wydał rozkaz kilkunastu urzędnikom, znajdującym się przed gmachem. Dobyli mieczy, lecz na widok tak licznych tłumu szybko wycofali się do budynku. Ze znajdującej się na południu dzielnicy biedoty nadciągnęła druga fala buntowników.

W powietrzu przed Garrikiem pojawił się szary kształt o płonących ślepiach. Rumak zarżał z przerażenia i spłoszył się. Garric wyjął stopy ze strzemion i zeskoczył z grzbietu zwierzęcia. Mocno uderzył nogami o bruk i byłby upadł, gdyby Royhas nie podtrzymał go. Młodzieniec był rad z tego, że włożył buty.

Zjawa płynęła w powietrzu. Miała twarz demona i wyciągała szponiaste łapy ku jego oczom. Widywał takie zjawy w lustrze Tenoctris, lecz po raz pierwszy napotkał jedną z nich. Ruszył naprzód, unosząc miecz.

– To złudzenie! – zawołał.

Własny głos wydał mu się przestraszonym piskiem, lecz Garric nie zatrzymał się. Zjawa otworzyła pysk. Nie wydała żadnego dźwięku, co było jeszcze bardziej przerażające. Kątem oka Garric zauważył, że drugi tłum zatrzymał się na widok podobnej iluzji.

– To złudzenie! – powiedziała Liane czystym, melodyjnym głosem, stając u jego boku.

Pomimo to Garric nie był w stanie przejść prosto przez zjawę. Wyciągnął lewą rękę. Poczuł lekkie mrowienie. Przez moment stał na pustkowiu. Wokół niego znajdowały się ciała przyjaciół i krewnych, nabitych na pale z topornie ociosanego cedru. Ich martwe oczy oskarżały go.

– Złudzenie! – krzyknął. Chwiejnie ruszył naprzód. Znów ujrzał plac. Zjawa znikła. Garric pobiegł po bruku, a za nim tysiąc wrzeszczących buntowników. Urzędnicy królowej rzucili broń. Jedni klękali, błagając o litość, inni uciekali na północ.

Strażnicy Royhasa szybkimi uderzeniami zabili dwóch z nich. Kamienie powaliły uciekających, a rozjuszeni obywatele, niektórzy odziani w kosztowne stroje, zatłukli ich pałkami i stratowali.

– Nie trzeba ich zabijać! – zawołał Garric, ale wiedział, że nikt go nie usłucha. Z obrzydzeniem patrzył na tę rzeź, ale zgadzając się na udział w spisku, zdawał sobie sprawę z tego, że tłum jest bestią łaknącą krwi.

Pobiegł w kierunku bramy.

– Do rezydencji królowej! – zawołał.

Zgodnie z planem tłum powinien zaatakować ją dopiero po tym, jak oczyści wszystkie dzielnice miasta ze sługusów władczyni. Tak radził król Carus. Te zwycięstwa powinny dodać animuszu buntownikom, zanim uderzą tam, gdzie mogą napotkać poważniejszy opór, a nie tylko garstkę chuderlawych urzędasów i najemnych zbirów.

Garric był już spocony i zasapany. Wyściółkę zbroi miał moką od potu i boleśnie odczuwał

każdy krok po bruku. Zastanawiał się, co robi teraz jego koń – i uśmiechnął się na samą myśl, gdyż nawet po tej krótkiej przejażdżce rozboleły go mięśnie ud.

Gdzieś w górze rozległ się przeraźliwy krzyk, a potem głośnie plaśnięcie, nie przypominające żadnego odgłosu, jaki kiedykolwiek słyszał. Garric odwrócił się. Przechodzący pod monumentalną bramą ludzie spojrzeli w górę, klnąc i wymachując pięściami.

Garric lewą ręką uniósł hełm, aby posrebrzany okap nie zasłaniał mu widoku. Popatrzył w górę. Jacyś mężczyźni – oraz kilka kobiet – wychylali się zza ozdobnych blanków, śmiejąc się do tych na dole. Ponieważ tłum rozstąpił się na boki, kiedy Garric znowu spojrzął na plac, zobaczył, co się stało. Buntownicy wdrapali się na bramę i z wysokości piętnastu metrów zrzucili głównego inspektora na bruk. Impet uderzenia zmiażdżył ciało grubasa, tak że jego szata stała się czerwona od krwi.

Liane spojrzała na szczątki tego, co przed chwilą było człowiekiem. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

– Do rezydencji królowej! – zawołała, ruszając klusem po alei Posągów. Royhas i strażnicy pobiegli za nią.

Garric i jego towarzysze już nie dowodzili tłumem. Mieszczanie, którzy gonili uciekających urzędników, znacznie ich wyprzedzili, a trzy przecznice dalej dołączyła do nich następna fala buntowników.

Coraz liczniejszy tłum wtargnął na teren imponującej rezydencji przez bramę strzeżoną z obu stron przez płaskorzeźby lwów. Przebiegając obok, Garric zerknął na budynek. Wyrzucone od wewnątrz łóżko roztrzaskało szybę okna na drugim piętrze i spadło na kamienny kwiatnik, roztrzaskując się na kawałki kości słoniowej i hebanu.

Garric domyślił się, że ten dom należał do jednego z urzędników królowej. Niedługo zaczną się rabunki i morderstwa bez żadnych politycznych pobudek i przyczyn. Nic nie można było na to poradzić – tylko jak najszybciej usunąć królową i przywrócić porządek w mieście.

– *Na wojnie dzieją się znacznie gorsze rzeczy, chłopcze* – mruknął król, lecz w tych słowach nie było rozbawienia, jedynie ponura akceptacja tego, czego nie da się uniknąć.

Na postumentach wzdłuż alei stały posągi dawnych mężów stanu. Niektóre były tak stare, że śniedź wyżarła dziury w brązie.

Garric wspominał sceny, których nigdy nie widział na własne oczy, na Polu Głosowań w Carcosie. Od kiedy Comus narzucił monarchię oligarchom dawnego Haft, plac był pełen posągów. Teraz wszystkie leżały w ruinie, porośnięte chwastami. We współczesnej Carcosie nie odbudowano tej dzielnicy zrujnowanej u schyłku Dawnego Królestwa podczas powtarzających się napadów piratów i zbuntowanych wielmoży.

Rezydencja królowej znajdowała się niedaleko. Już otoczył ją tłum, choć czarne mury i rozświetlone płomieniami okna pozostały nietknięte.

Garric spojrzął za siebie. Musiał w tym celu odwrócić się, gdyż zbroja nie pozwalała mu zerknąć przez ramię. Tenoctris spokojnie siedziała w swej lektyce. Czterej tragarze podążali wolnym klusem, lekko kołysząc lektyką, ale nie przeszkadzało to pasażerze.

Garric i Liane dołączyli do tłumy, który otaczał rezydencję. Na rozkaz Royhasa strażnicy ruszyli przed nimi, torując drogę drzewcami włóczni.

– Miejsce dla króla Carusa! – zawołał odzwierny. Miał tak donośny głos, że bez trudu przekrzyczył tłum. Tych, którzy nie usłyszeli, odepchnęły drzewca włóczni i opancerzone ramiona.

Strażnicy zatrzymali się przed chodnikiem otaczającym rezydencję. Ich dowódca, poważny weteran imieniem Enger o stalowosiwej brodzie i oczach, skinął na Garrica i Liane. Tenoctris

wysiadła z lektyki i po chwili dołączyła do nich, lecz Royhas został z tyłu wraz z ustawionymi w półokrąg, zakutymi w zbroje strażnikami.

Wokół domu rósł pas bladożółtej z braku słońca trawy, której włosowate źdźbła nie były płaskie. Rosnąca w pobliżu wiśnia właśnie kwitła, lecz jej kwiaty miały czarne płatki. Powykręcana gałąź kiwała na Garrica niczym chora dziwka.

Tenoctris usadowiła chude pośladki na poduszce, którą jeden z tragarzy położył jej na chodniku. Drugi podał jej kawałek sosnowej deski, dotychczas przywiązanej do oparcia fotela. Staruszka już wcześniej nakreśliła na niej krąg wpisany w sześcioramienną gwiazdę.

Dwa kroki w prawo muskularny młodzian z podgoloną głową przeszedł po kamieniach na zaczarowaną trawę. Pomachał odebraną jakiemuś strażnikowi miejskiemu pałką i zawołał:

– Chodźcie za mną, jeśli jesteście mężczyznami!

Kilku innych z podobnie ogolonymi głowami ruszyło za nim. Po chwili wahania ponad dwudziestu mężczyzn i kilka kobiet skoczyło w ślad za przywódcą, głośno pokrzykując pijackimi głosami: „Śmierć królowej!”

Tenoctris wyjęła z rękawa brązowy rylec. Jego ostrym końcem zaczęła kreślić znaki Dawnego Pisma wokół krawędzi przygotowanego wcześniej kręgu. Rylec bez trudu znaczył miękkie drewno, chociaż był przeznaczony do woskowych tabliczek. Jego drugi koniec, rozszerzony jak rybi ogon, służył do ścierania błędów.

Tenoctris zdawała się nie zwracać uwagi na biegnących ku rezydencji ludzi. Wszyscy stojący poza obrębem budynku, w tym Garric i Liane, spoglądali na nich z trwożnym zaciekawieniem.

Podgoleni byli członkami jakiegoś ulicznego gangu. Bardzo możliwe, że w przeszłości nosili barwy królowej, lecz tego ranka zamiłowanie do awantur kazało im powrócić do dawnych zwyczajów – i uratowało im życie, gdyż było mało prawdopodobne, by kogokolwiek złapanego w pomarańczowej szacie spotkał lepszy los niż celników.

Teraz mieli oddać życie wraz z tymi obywatelami, którzy rzucili się w kierunku rezydencji w ślad za członkami gangu. Już zgubili drogę. Ich pijacka brawura zmieniła się w zmieszanie i strach. Przestali biec. Ich głosy stały się cichsze, jakby dobiegały ze znacznej odległości, i najwyraźniej nie słyszeli wskazówek, jakie wykrzykiwali do nich przyjaciele stojący poza polem działania czarów.

– Czy nie możemy?... – zaczęła Liane, spoglądając na Tenoctris. Urwała, zanim Garric zdążył ją uciszyć.

Nie, nie mogli przeszkadzać czarodziejce, żeby uratować garstkę ludzi, którymi kierowało wino, a nie rozsądek. Garric i Liane wiedzieli, że jedyną szansą było zwycięstwo buntowników, zanim królowa zdąży wezwać na pomoc swe liczne, lecz rozproszone siły, żeby rozprawić się z ich trojgiem. On, Liane i Tenoctris byli obecnie jedynymi jej przeciwnikami, których wiedza mogła zagrozić królowej.

Ci, którzy wtargnęli do ogrodu, zbili się w ciasną grupkę. Posąg pół mężczyzny, a pół kobiety, zszedł ze swego postumentu. Miał idealnie piękną, lecz nieludzko zimną twarz. Miarowym krokiem kapłana ruszył w kierunku intruzów.

Jeden z mężczyzn cisnął na ziemię kamionkową butelkę i rzucił się obok niej, kopiąc nogami jak rozkapryszone dziecko. Zakrył głowę rękami. Pozostali jak jeden mąż pierzchnęli przed nadchodzącym...

Z jednym wyjątkiem. Zawadiaka, który poprowadził innych do ogrodu, pomaszerował na spotkanie posągu.

– *Kaias* – mamrotała Tenoctris. – *Saseri tayam*...

Opryszek trzymał w ręku dwumetrową pałkę, zakończoną gałką wielkości pięści. Mordercza broń

w doświadczonych rękach. Z donośnym trzaskiem uderzył nią w głowę posągu.

Twarde drewno zatrzeszczało i posypały się z niego drzazgi. Pałka odskoczyła, drząc jak struna lutni. Opryszek głośno zaklął, lecz utrzymał wibrującą broń w drętwiejącej dłoni.

Posąg szedł dalej, z uśmiechem na kamiennych ustach.

– *Daya quayamta alista...* – mówiła Tenoctris. Ze środka kręgu uniosła się cienka spirala światła. Wyglądała jak smużka dymu unosząca się z przewiercanego miękkiego drewna.

Grupka usiłująca uciec z ogrodu była sześć metrów od leżącego na ziemi i płaczącego mężczyzny. Nagle ziemia rozwarła się im pod nogami. Wrzasnęli przeraźliwie. Ci, którzy znajdowali się najbliżej krawędzi rozpadliny, próbowali wydostać się z niej, lecz ziemia kruszyła się im w rękach. Atletycznie zbudowany młodzieniec rozpedził się i skoczył. Wystrzępiona tunika, popularna wśród modnisiów, zatrzepotała w powietrzu. Przeskoczył rozpadlinę, lecz korzeń cedru, wijąc się, wyrósł z ziemi, złapał go za kostkę i cisnął w otchłań ruchem przypominającym gest człowieka, który rzuca kęs swemu psu.

Rozpadlina zamknęła się. Nie pozostał po niej żaden ślad, tak samo jak po tych kilkunastu ludziach, których pochłonęła.

Opryszek z pałką stawiał czoło posągowi, śmiejąc się chrapliwie. Ponownie zadał cios. Metalowa gałka rozpadła się na kawałki. Uderzył napastnika drzewcem, które pękło na całej długości. Posąg chwycił go za nadgarstki. Mężczyzna wciąż walczył, lecz jego mięśnie nie mogły sprostać kamieniowi. Posąg zamknął go w morderczym uścisku. Kręgosłup pękł z głośnym trzaskiem, nieszczęśnik konwulsyjnie zamachał nogami i obwisł bezwładnie jak pusty worek. Posąg nadal zaciskał ramiona, aż rozerwał na dwie części tułów nieszczęśnika.

Uśmiechnięty posąg pomaszerował z powrotem na swój piedestał.

– *Horan* – powiedziała Tenoctris – *elaoth!*

Helisa przybrała jasnoblękitną barwę. Załamała się pod kątem prostym i zaczęła rozszerzać się w kierunku granicy ogrodu królowej.

Tenoctris położyła deskę na kamieniach. Kiedy zaczęła wstawać, Garric i Liane pospiesznie wyciągnęli ręce, żeby ją podtrzymać. Wąska spirala światła wciąż powoli płynęła w kierunku rezydencji.

– Teraz wszystko zależy od nas – rzekła cicho Tenoctris. Uśmiechnęła się do dwojga towarzyszy.

Czarne płatki kwiatów wiśni zasypały mężczyznę, który w panice rzucił się na ziemię. Kopczyk nie poruszał się i nie wydobywał się spod niego żaden dźwięk.

– Racja – powiedział Garric. Wyjął miecz i ruszył w kierunku wskazywanym przez helisę.

– Najpierw muszę zażyć kolejną dawkę – powiedział Cerix. Przesunęli stół z przyborami pod ścianę, żeby zrobić na podłodze więcej miejsca na krąg mocy. Chwycił koła fotela, żeby przetoczyć go na środek.

– Ceriksie? – rzekł Halphemos. Ujął dłoń kaleki. – Myślę, że będzie lepiej, jeśli rzucimy zaklęcie teraz. Księżyc musi stać w zenicie i...

Powietrze w komnacie było szare od lepkiego dymu narkotyku wdychanego przez inwalidę, który kopiował słowa zaklęcia na wyszorowaną do białości podłogę. Kiedy czarodzieje zaczęli przygotowania, pojemnik z narkotykiem był prawie pełny. Teraz pozostało tylko pół tuzina kulek. Pod ciężarem zaklęcia, które zamierzali rzucić, starszy z czarodziejów zupełnie przestał panować nad nałogiem.

Chociaż młodszy z nich, nawykły do pracy w gospodarstwie, był zyłasty i silny, ramiona Cerixa od dawna zastępowały mu nogi. Miał tak muskularny tors, że mógłby pokonać młodzieńca dwukrotnie

większego od niego. Z dziecinnym gniewem odepchnął rękę Halphemosa i ponownie chwycił koła, żeby przetoczyć fotel.

– Ceriksie? – powtórzył Halphemos.

Kaleka nie poruszył się. Zamknął oczy i łyzy pociekły mu po policzkach.

– Nie wiesz, jak to jest! – rzucił błagalnie. – Czuję, jak te demony kłusają moje nogi! Każdego dnia, w każdej godzinie i minucie. Nie masz pojęcia!

– Ceriksie – rzekł łagodnie Halphemos. – Jesteśmy to winni Ilnie i jej bratu. Musimy to zrobić.

Cerix przeciągle westchnął.

– Skoro tak mówisz – powiedział ochryłym szeptem. Otrząsnął się i otarł twarz rękawem.

Z wymuszonym uśmiechem spojrzął na przyjaciela. – No cóż, chyba masz rację – rzekł. – Będę później potrzebował czegoś na uspokojenie, prawda? No dobrze, bierzmy się do roboty.

Halphemos chwycił go za rękę. Zajęli miejsca obok kręgu mocy. Halphemos przykucnął, a kaleka siedział na fotelu. Zawieszona na ścianie za ich plecami latarnia oświetlała pergamin, który Cerix trzymał w lewej dłoni.

– Możesz to przeczytać? – zapytał. Postukał w pergamin ryżową słomką, której używał jako wskaźnika.

– Tak – odparł Halphemos. Oczyszczył swój rytualny sztylet, przesuwając kciukiem i wskazującym palcem po ostrzu z kości morsa. Podczas publicznych występów podkreślał swoje gesty, wymachując kłem narwala. – Dobrze mnie nauczyłeś, Ceriksie. Nie zawiodę cię.

Kaleka przytaknął mrukliwie.

– Nie obawiam się o ciebie – rzekł. Dotknął wskaźnikiem pierwszego ze słów, które napisał na pergaminie dużymi literami współczesnego pisma, znanego Halphemosowi.

Młodszy czarodziej stuknął sztyletem w identyczny symbol, nakreślony na podłodze kursywą Dawnego Pisma.

– *Phasousouel* – zaintonował silnym głosem, zmagając się z potęgą rzucanego zaklęcia. – *Eistochama, nouchaei...*

Krąg i słowa wokół jego brzegu zostały nakreślone sadzą rozpuszczoną w oliwie z oliwek. Za każdym razem, gdy sztylet dotykał podłogi, symbole przesuwały się tak, że przed Halphemosem ustawiał się następny. Cerix z nieruchomą i poszarzałą twarzą wodził słomką po pergaminie w tempie wyznaczanym rytmem zaklęć.

– *Apraphes eintah adones...* – rzekł Halphemos. Odruchowo napiął mięśnie klatki piersiowej, jakby zarzucał na ramię jakiś ciężar, lecz nie przestał recytować pewnym głosem. – *Dechochtha iathenouion.*

Nakreślony na podłodze krąg powoli zmienił się w bezdenną studnię, której białe ściany obracały się niczym potworny oceaniczny wir. Czarne znaki Dawnego Pisma wyraźnie odcinały się na tle tego białego chaosu. Cerix nadal podpowiadał towarzyszowi słowa zaklęcia, lecz nawet on nie był już pewny, czy dobrze czyta to, co wypisał na pergaminie. Halphemos powtarzał za nim bez zająknięcia.

– *Chrara!* – zawołał. – *Cherubin! Zaaraben!*

Komnata znikła. Zerwał się gorący, potwornie silny wicher, a studnia przed nimi zmieniła się w tunel. Nie było już podłogi ani niczego innego poza tym świetlistym przejściem do innego świata. W oślepiająco jasnym blasku zaczęły formować się jakieś kształty.

– *Namadon!* – krzyknął Halphemos.

Wicher przeszedł w huragan o niepowstrzymanej sile. Pergamin wyleciał z dłoni Cerixa i rozpadł się na strzępy, znikając w głębi tunelu. Wiatr porwał obu czarodziei w ślad za nim. Halphemos wciąż wykrzykiwał słowa zaklęcia.

W słabym świetle gwiazd Cashel mierzył wzrokiem wznoszącą się przed nimi skałę. Nie wyglądała na bardzo wysoką. A przynajmniej była nie tyle wysoka, ile stroma.

– Zahagu, wejdź na górę, a ja podam ci Arię – rzekł.

Coś zachichotało w ciemnościach, na prawo od nich. Zanosiło się śmiechem przypominającym plusk strumienia, bezmyślnym i bulgoczącym.

To chichoczące stworzenie towarzyszyło wędrowcom przez całą drogę w górę zbocza. Mogło być kilometr dalej lub tuż obok, tak blisko, że Cashel trafiłby je, gdyby splunął w otaczający ich mrok.

– No, nie wiem – odparł pokornym tonem małpolud. Dosłownie przypadł do nóg Cashela, przyciskając porośnięty szorstkim futrem bok do jego łydki. – Chyba nie chcę iść pierwszy.

– Wchodź na górę – rzekł Cashel. Nie zamierzał podnosić głosu, ale naprawdę mocno ścisnął pałkę. – Albo idź w swoją stronę, Zahagu. I niech mnie Pasterz ma w opiece, jeśli zechcę cię jeszcze kiedyś widzieć!

No, może trochę podniósł głos. Chichot ucichł na chwilę, dopóki nie umilkły echa.

– Tak, wodzu – rzekł małpolud. Wspiął się po skalnej ścianie równie łatwo, jakby szedł po równinie. Miał zdumiewająco długie ręce. A przytrzymując się skały krótkimi nogami, wyglądał jak wielki włochaty krab. – Podaj mi kobietę! – zawołał z góry i wyciągnął rękę. Jego dłoń też była dłuższa od dłoni Cashela.

– Pokażę ci, ile jestem warta, Cashelu – obiecała księżniczka cichym, przestraszonym głosem.

Zamiast spleść dłonie, młodzieniec oparł lewą rękę o skałę i rzekł:

– Stań na moim przegubie, księżniczko. Potem złap rękę Zahaga, dobrze?

– Cokolwiek każesz, Cashelu – pisnęła rozpaczliwie Aria, chociaż starała się powiedzieć to radośnie.

Ostrożnie stanęła na nadgarstku Cashela i machała prawą ręką w powietrzu, aż Zahag pochwycił ją. Robiła to chyba z zamkniętymi oczami. Cashel nie miał jej tego za złe, ale nie zamierzał opierać pałki o skałę, żeby oburącz podnieść dziewczynę. Ponadto ona niewiele ważyła. Purpurowe łuszczeni przysiadły czasem na ramieniu Cashela, kiedy czekał, aż muły wykręcą na końcu bruzdy. Aria nie wydawała się wiele cięższa.

– Widzę światło! – zawołała. – Jest niedaleko stąd! Dobywa się z jaskini, lecz wejście do niej zagradza wielki głaz!

Księżyc wyszedł zza gęstych chmur, w których chował się przez większość nocy. Cashel nie darzył go szczególną sympatią. Podczas pełni zwierzęta robiły się niespokojne. Jednak nigdy dotychczas nie uważał księżyca za wroga, zważając na to, co księżycowy blask oświetlał na tym świecie.

Zbocze przecinały kolejne skalne progi, wszystkie strome, lecz nie tak wysokie, aby Cashel nie zdołał się na nie wspiąć. Nawet Aria mogła je pokonać z jego pomocą. Ścieżka wiodła przez skalne pustkowia, lecz po obu jej stronach krzewiła się kosówka, która znalazła dość gleby w zagłębieniach.

W dole, między sosnami majaczyły ciemne dwunożne postacie. W tym świetle nie widział ich dokładnie i zapewne niektóre z nich były tylko cieniami zdeformowanych drzew. Mimo to było ich zapewne kilkanaście i każda większa od Cashela. Podobnie jak Zahag, miały nogi znacznie krótsze od rąk, lecz bardziej wydłużone czaszki, łyse jak skorupa jajka.

– Chcecie nas dopaść? – zawołał Cashel. Oparł się plecami o skałę, a pałkę, gotową do użycia, trzymał przed sobą. – No to chodźcie tu i spróbujcie!

Jedna z postaci weszła w plamę księżycowego blasku kilka metrów dalej. Znowu parsknęła

bulgoczącym śmiechem. Zaden z pozostałych stworów nie ruszył się z miejsca.

– Cashelu! – zawołała księżniczka. – Proszę, wejdź tutaj! Proszę!

O rany, naprawdę musiała być przestraszona, skoro tak go prosiła. I pewnie miała powód...

Cashel obrócił się twarzą do skały. Mocno wbił pałkę w ziemię, żeby się nie ześlizgnęła, znalazł oparcie dla lewej stopy i zaczął piąć się w górę. Zahag wyciągnął jedną rękę i trzymał się skalnej buły. Drugą ręką chwycił lewy łokieć Cashela. Palce małpoluda miały siłę żelaznego imadła. Cashel wgramolił się na krawędź progu, wciągając za sobą pałkę. Rzeźbione okucia z brązu pozwalały chwycić ją pewniej niż gładkie żelazne końcówki pałki, którą zostawił w pałacu Folquina.

Księżyc znowu schował się za chmurami. Chichot przybrał na sile, choć może tylko tak się Cashelowi zdawało.

– Szybko! – powiedział Zahag, nie puszczając ręki młodzieńca i ciągnąc go za sobą. – Może potrafisz skrócić kark ich wodzowi, nie mówię, że nie, ale co będzie, jak wszystkie się na nas rzucą?

Cashel oswobodził rękę.

– Masz rację – rzekł. – Poza tym już prawie dotarliśmy do celu.

Była to prawdziwa noc cudów. Zahag właśnie uznał, że Aria należy do jego plemienia, czy jak tam nazywała się społeczność małpoludów.

To błękitne światło, jakie Cashel ujrzał poprzedniej nocy, sączyło się znad ostatniego progu, mającego najwyżej trzynaście metrów długości i tak łagodnego, że pewnie nawet księżniczka mogła wejść nań bez pomocy. Albo się wczołgać. Cashel nie zamierzał wypuszczać pałki z ręki, żeby uchronić Arię przed obtarciem kolan.

Blask był tak intensywny, że powietrze zdawało się jarzyć. Sączył się zza nieregularnego głazu, zasłaniającego wejście do jaskini. Cashel usłyszał ciche brzęczenie, które przypominało bzyczenie moskita. Ten dźwięk sprawił, że przeszły go ciarki.

Cashel obejrzał się przez ramię. Nie dostrzegł podążających za nimi ludzi, ale wiedziałby, że tam są, nawet gdyby nie słyszał tego nieustannego chichotu. Dlaczego tylko jeden z nich wydawał taki dźwięk?

Zahag i Aria gramolili się w górę. Cashel wydłużył krok, pochylając się tak, by utrzymać równowagę, nie podpierając się ręką. Chropowata powierzchnia skały zapewniała dobre oparcie dla stóp. Jego towarzysze już dotarli do otworu jaskini. Aria popłakiwała ze strachu. Oparła się o głaz, usiłując go odsunąć.

– Jestem godna! – powiedziała. – Och, proszę, Pani, jestem godna!

Cashel nie śmiał się, chociaż nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział coś równie zabawnego. Księżniczka usiłowała odsunąć głaz, którego nawet on nie zdołałby poruszyć. Mimo to próbowała. Cashel nie sądził, żeby kiedyś zdołał ją polubić, ale darzył ją coraz głębszym szacunkiem.

– Zahag, patrz, co dzieje się za nami – polecił, przesuwając lewą rękę wzdłuż szczeliny między głazem a ścianą jaskini. – Daj mi znać, jeśli...

Nie dokończył. To jeszcze bardziej przeraziłoby Arię, a prawdę mówiąc, Cashel też wolał nie myśleć o tuzinie tych groźnych stworów gramolących się w górę zbocza. Zastanawiał się, jak nazywają się te stworzenia. Będzie musiał zapytać o to Tenoctris, kiedy znowu ją zobaczy. Kiedy.

Głaz był lepiej dopasowany do otworu niż bloki ściany starożytnej budowli. Młodzieniec spróbował go poruszyć, ostrożnie popychając jedną ręką na wypadek, gdyby kamień przesunął się już przy lekkim dotknięciu.

No cóż, wcale nie spodziewał się, że tak będzie.

Swędziało go całe ciało, zapewne od tego światła. To samo czuł, kiedy kręcił laską, gdy wraz z Zahagiem przechodzili przez ścianę płomieni, żeby uratować księżniczkę, która wcale nie chciała

być ratowana – wtedy. Teraz na pewno zmieniła zdanie. A ponieważ Cashel podjął się tej pracy, to chyba powinien ją wykonać.

Wepchnął pałkę w szczelinę i ostrożnie napał na drzewce. Tak jak się spodziewał, wygięło się, a głąz ani drgnął. Ta pałka z jodłowego drewna może nie była tak mocna jak hikorowa, do której był przyzwyczajony, ale Cashel był przekonany, że nawet żelazna sztaba grubości jego ramienia wygięłaby się, ani odrobinę nie poruszając głązu.

Zahag zaczął podskakiwać w miejscu, wyrzaskując coś w mrok w swoim małpoludnim języku. Cashel z łatwością mógł się domyślić, co mówił. Chyba byłoby lepiej, gdyby się modlił, chociaż kto wie? Może przekleństwa powstrzymają na chwilę napastników.

Cashel postawił laskę obok jaskini. Rozłożył ramiona i objął nimi głąz. Wiedział, że nie zdoła poruszyć czegoś tak ciężkiego, ale musiał spróbować. Naprężył mięśnie i zaczął ciągnąć. Chropowata powierzchnia dawała pewny chwyt, ale głąz ani drgnął. Cashel ciągnął ze wszystkich sił. Zaczęło szumieć mu w uszach.

– Jestem godna! – zawołała Aria, przekrzykując wrzaski małpoluda. – Jestem godna króla!

Chyba podniosła pałkę, gdyż Cashel nie dostrzegł jej kątem oka na moment przed tym, zanim czerwone płatki pojawiły się przed jego oczami i zasłoniły wszystko.

Głąz ani drgnął. Ten głąz nigdy się nie poruszy.

– Duzi, chroń moje stadko! – krzyknął Cashel.

Świat eksplodował w rozbłysku błękitnego ognia.

Balansując włócznią, Sharina zwinnie szła po pniu zwałonego drzewa w ślad za Hanno. Kora pod warstwą wilgotnego mchu przegniła tak, że jej płat mógł w każdej chwili oderwać się od pnia pod ciężarem idącego człowieka. Mimo to Hanno, dwa razy cięższy od Shariny, szedł zupełnie swobodnie.

Usiane kamieniami dno wąwozu znajdowało się piętnaście metrów niżej. Sharina właściwie nie bała się, że spadnie... A Hanno czuł się tak dobrze w tym mokrym od deszczu otoczeniu, że zapewne zdążyłby ją złapać, zanim ześlizgnęłaby się z pnia.

– Unarc zastawił tam jedną czy dwie pułapki – powiedział Hanno, zeskakując na ziemię. Drzewcem włóczni wskazał na wąwóz. – Rogogrzbiete wędrują utartymi szlakami, więc jeśli raz zastawisz na nie pułapki, to możesz łapać je w nie tak długo, aż będziesz stary i siwy. – Zaśmiał się. – Chociaż Unarc nie ma tyle włosów, żeby mógł osiwieć. I nie sądzę, żeby miał dożyć podeszłego wieku, skoro Małpy wpadły w morderczy szal.

Sharina nie zeskoczyła, lecz zeszła na ziemię. Obawiała się, że przy takim gwałtownym ruchu kora oderwie się od pnia, rzucając ją na ziemię. Chociaż Sharina miała całkiem niezłe rozwinięty zmysł równowagi, zdawała sobie sprawę z tego, że pod tym względem nie może równać się z myśliwym, który swobodnie kroczył po tym niebezpiecznym mostku.

Chrząszcz o lśniącym jak klejnot pancerzu zahuczał między nią a Hanno. Leciał wolno, migocząc skrzydełkami unoszącymi ciało wielkości ludzkiej pięści.

Leśne poszycie było miękkie, lecz tuż pod warstwą liści boscie nogi Shariny znajdowały twardą powierzchnię. Mijali kępy gigantycznych paproci rosnących w szczególnie podmokłych miejscach, lecz w tym lesie rosły głównie araukarie, szpilkowe drzewa o wyraźnie stożkowatych pniach i poziomo sterczących gałęziach, które na końcach zginały się pod ostrym kątem.

– Czy te zwierzęta, na które polujecie, są niebezpieczne? – zapytała Sharina, nie tylko z czystej ciekawości, ale i po to, aby okazać zainteresowanie życiem towarzysza. W końcu została wychowana przez właściciela gospody. Jeżeli klient uważa cię za przyjazną duszę, zapłaci rachunek bez

zastrzeżeń i chętniej, niż gdyby uznał personel za zgraję grubiańskich sługusów.

Jej zainteresowanie było usprawiedliwione. Włochaty Lud może był nowym zagrożeniem, ale Sharina była pewna, że nie jedynym niebezpieczeństwem grożącym myśliwym – i rozbitkom – na Bight.

– Nie, chyba że stoisz na drodze, którą rogozrbiet postanowił przejść – odparł Hanno. Niósł pakunek, który nazywał lekkim bagażem – choć ważył co najmniej dwadzieścia pięć kilo i złożony był głównie z mąki oraz suszonych owoców. – Mają tyle rozumu co karaluchy, ale niektóre z nich ważą ponad tonę. To tak jak ze ścinaniem drzew: jeśli uważasz na to, co robisz, to tylko jedno na tysiąc może cię przygnieść.

– A drapieżniki? – spytała Sharina. Szli wzdłuż rozlewiska, wystarczająco płytkiego, by skrzypy zarastały większą część jego osiemnastometrowej szerokości. Jeśli był tam jakiś prąd, to bardzo leniwy. Fakt, że ten staw lub moczar znajdował się tak blisko głębokiego parowu, wskazywał na to, że tuż pod powierzchnią gleby znajdowała się warstwa nieprzepuszczalnej gliny.

– Są tu jaszczurki biegające na tylnych łapach – odparł Hanno. – Mają po pół tony wagi i pyski pełne zębów, ale zawsze atakują od przodu. Wystarczy nastawić włócznię i pozwolić, żeby się na nią nadziały. Poza tym rzadko się je spotyka.

– Będę o tym pamiętała – obiecała Sharina. Uśmiechnęła się, usiłując sobie wyobrazić, jak czeka na atak półtonowego potwora o paszczy pełnej ostrych kłów. Cóż, od kiedy opuściła Barca's Hamlet, robiła wiele rzeczy, które były dla niej nie znane.

– Przeprowimy się tu przez lagunę – oznajmił Hanno. – Tam jest bród. A potem...

Jaszczur – zdaniem Shariny niewielki krokodyl, cały pokryty kostnymi wyrostkami i płytkami – z pluskiem skoczył spomiędzy skrzypów do wody, spłoszony przez nadchodzących. Płynął, odbijając się silnymi skrętami spłaszczzonego ogona, mocno przyciskając zakończone ostrymi pazurami łapy do boków.

– W każdym razie – ciągnął łowca – siedziba Unarca znajduje się tuż za tym wzniesieniem. Ma kryjówkę w dziupli drzewa, w której będziesz mogła się schronić, kiedy ja pójdę po łódź.

– Cóż – powiedziała Sharina. – Jeśli...

Trysnęła fontanna wody. Mały krokodyl znikł, pochłonięty przez wir. Potwór o płaskim łbie i sterczących na czubku głowy ślepiach wypłynął na powierzchnię, zanurkował i ponownie znikł w ciemnobrązowej wodzie. Był ogromny, a jego skóra miała brunatnobrązowy kolor przejrzałego banana. Sharina stanęła jak wryta.

– Co to było? – zapytała.

– Och, one też nie są groźne – odparł Hanno. – Przynajmniej nie dla stworzeń naszych rozmiarów. Zdaje się, że to salamandry. Żyją na dnie stawu. Kiedy coś przepływa nad nimi... no cóż, sama widziałas. Nie pamiętam, żeby któraś opuściła kiedyś staw, chyba że ten wyschnie. A nawet wtedy nie potrafią zajść daleko.

Wskazał włócznią.

– Oto bród – oznajmił i beztróska wszedł w wodę.

Sharina poszła w jego ślady, trzymając się tuż za nim. Dobrze, że salamandra przed chwilą zjadła posiłek. Przynajmniej ta jedna salamandra.

– Zastanawiam się, czy nie przenieść się na Sirimat, kiedy już odwiozę cię do Valles – rzekł Hanno. Wszedł w gąszcz korzeni i pni drzew po drugiej stronie laguny. Bez niego Sharina nigdy nie znalazłaby tam ścieżki, tymczasem olbrzymi myśliwy prześlizgiwał się między przeszkodami, zamiast przedzierać się przez nie. – Skoro Małpy zachowują się jak...

Wzruszył ramionami i zrećnie poruszył swoją włócznią. Przeniósł ją przez gąszcz splątanych

pnący, które zdaniem Shariny nie powinny przepuścić tak długiego przedmiotu.

– No cóż, nie mogę zastawiać sideł i co noc walczyć z Małpami. Po prostu muszę sobie znaleźć inny teren łowiecki.

Sharina zamrugnęła i zaśmiała się. Hanno wcale nie wymyślał sobie drobnych trosk, obawiając się spojrzeć w oczy największego problemu, jakim była sprawa przetrwania. Był pewny, że przeżyje, i zastanawiał się, jak będzie w przyszłości zarabiał na życie. I prawdę mówiąc, było to trudne pytanie – jeśli założyć, że miał jakąś przyszłość. Nie wiedziała, czy można ufać jego ocenie sytuacji, ale z pewnością był lepszym kompanem niż ponury realista.

– Niewiele wiem o Sirimat – powiedziała. Zaledwie przed tygodniem niewiele wiedziała o Bight. – Rigal – ten poeta – mówi o chodzących drzewach i mieszkańcach, którzy nie oddają czci Pani, ale napisał to dwa tysiące lat temu.

Po obu stronach ścieżki sterczały żółtawe korzenie niczym kły węża. Przeciskała się między nimi, zadając sobie pytanie, jak olbrzymiemu myśliwemu udało się tędy przejść.

– Na Sirimat rosną drzewa, które mają klejnoty w środku – powiedział Hanno. – A przynajmniej tak słyszałem. No cóż, zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć w Valles. Tam w porcie zawsze znajdzie się ktoś, kto był w dowolnym miejscu na świecie. Cała sztuka w tym, żeby pozostać na tyle trzeźwym, by zapamiętać to, co ci powie.

Szli w górę po lekko stromym zboczu i Sharina dwukrotnie poślizgnęła się na mokrych liściach. Ziemia pod jej stopami była jasnoczerwona. Wysoko w koronach drzew Sharina dostrzegała kwitnące pnącza, a czasem trzepot barwnych ptasich skrzydeł, lecz w tej części lasu kolory były raczej wyjątkiem niż regułą.

Hanno zatrzymał się i usunął na bok, robiąc miejsce Sharinie. Spoglądał na niewielką polankę.

– No cóż, tutaj stała chata Unarca – rzekł. – Byłem gotowy założyć się, że znajdziemy go pod tym spadzistym daszkiem, pod którym zawsze się przechadzał, kiedy mówił, ale przegrałbym te pieniądze.

Kilka zwęglonych belek sterczało ze sterty kamieni na brzegu strumienia. Polanę otaczały drzewa o nisko zwieszonych gałęziach. Jednym z nich był baobab mający co najmniej dwadzieścia kroków w obwodzie. Hanno zerknął na Sharinę, uśmiechnął się i dodał:

– Wyczulibyśmy, gdyby tam był. Nawet w tym klimacie musi minąć co najmniej miesiąc, zanim nieboszczyk przestanie śmierdzieć.

– Och – powiedziała cicho Sharina. Wyszła na polanę. Pod nogami miała warstwę łupku, niezwykłą na tej wyspie, gdzie przeważał chropowaty piaskowiec. Najwidoczniej miejscowe rośliny uznały to miejsce za nieprzyjazne. Wprawdzie sięgający na sto metrów w górę baldachim listowia był tutaj równie gęsty jak wszędzie, lecz nie było tu młodych pędów i krzewów, które gdzie indziej tworzyły dolne, zbite warstwy roślinności. Sharina poczuła się tak, jakby weszła do bardzo wysokiej komnaty.

– Jak tu spokojnie – powiedziała.

Hanno skinął głową.

– Unarc też tak uważał. Ja lubię słuchać szemrania strumyka, kiedy leżę tu w nocy. – Zaśmiał się.

– Myślę, że tam, gdzie teraz znalazł się Unarc, też jest bardzo spokojnie.

Spojrzał w górę. Przez zasłone liści nie było widać nawet takiego skrawka nieba, który byłby większy od paznokcia, lecz zapadający zmrok już przyciemniał barwę liści.

– Kryjówka Unarca była w tym baobabie – oznajmił Hanno, wskazując drzewcem włóczni. – W pniu jest pęknięcie, przez które można się przecisnąć, a w środku jest spora dziupla. Zostawię tu ciebie i bagaż.

– Nie wejdiesz tam ze mną? – spytała Sharina, starając się zachować obojętny ton głosu.

Łowca zdjął plecak i trzymając go jedną ręką za paski, przeszedł przez polanę.

– Zamierzam sprawdzić łódź Unarca – rzekł. – Znam drogę na tyle, żeby zaraz ją odnaleźć, ale pewnie poczekam tam do rana.

Zatrzymał się przy baobabie, w którego bladej korze ziała długa szczelina. Gdyby nie powiedział jej, jak jest naprawdę, Sharina sądziłaby, że rana zasklepiła się w głębi pnia.

– Zostaniesz tutaj? – spytał Hanno.

– Tak – odparła Sharina, trzymając włócznię grotem do góry i przeciskając się przez wąski otwór. – Oczywiście.

DWUDZIESTY PIĄTY DZIEŃ CZAPLI (PÓŹNIEJ)

– Garricu? – zawołał Royhas, już nieco cichszym głosem.

Młodzieniec obejrzał się przez ramię. Tłum wydawał się stać pół kilometra dalej, chociaż Garric zrobił zaledwie dwa kroki w głąb ogrodu. Ciepłe i nieruchome powietrze pachniało przejrzałymi owocami.

– Poślę z tobą ludzi – zaproponował szlachcic. Szeroko otwierał usta, krzyząc: – Sam ich poprowadzę, jeśli chcesz!

Tenoctris nieznacznie pokręciła głową.

– Nie zdołałabym ich ochronić – powiedziała. – Moja moc nie obroni więcej niż trzy osoby naraz. A przynajmniej taką mam nadzieję...

Wszyscy troje uśmiechnęli się do siebie. Wszyscy wiedzieli, co chciała przez to powiedzieć, chociaż to Liane dokończyła myśl Tenoctris:

– Miejmy nadzieję, że zdołasz obronić nas troje. Przynajmniej jesteśmy wśród przyjaciół.

– Będę o tym pamiętał, kiedy zacznie mnie pożerać kamienny tygrys – mruknął Garric. Złożył lewą dłoń w trąbkę, a prawą zacisnął na rękojeści miecza. – Zaczekajcie, tak jak uzgodniliśmy! – zawołał. – Niech nikt tu nie wchodzi, dopóki nie utworzymy drogi!

Poszli ramię w ramię. Ich płonący drogowskaz, helisa wyciągająca się zza granicy ogrodu, była tu widoczna w postaci błękitnego promienia. Brzęczała w powietrzu jak komarnica o zmierzchu, przelatując między dwoma kwietnikami w kształcie smoczyczych łbów. Z ich kamiennych pysków sterczała trawa, która wyglądała jak zielone płomyki.

– Tędy? – zapytał Garric.

Zmarszczył brwi i poczuł, że hełm przekręca mu się na głowie. Gdyby to zależało od niego, obszedłby te kwietniki z daleka.

– Tak – odparła krótko Tenoctris. – Ilna łatwiej odnalazłaby drogę wśród tych złudzeń niż ja moimi czarami, ale myślę, że jakoś sobie poradzę.

Garric pomaszerował naprzód, powstrzymując chęć cięcia mieczem mijane kępy trawy. Nauczono go nie sprawiać kłopotu tym, którzy nie szukają zwady. Całkiem niezła dewiza. Atakowanie ze strachu – gdyż z pewnością był wystraszony, a w tym okropnym miejscu nawet rośliny budziły lęk – to kiepski pomysł. Nie zamierzał pozwolić, by kierował nim strach.

Stracił z oczu rezydencję królowej. Odwrócił się, by spojrzeć na widzów, lecz ich też już nie ujrzał. Krzewy o łodygach wyrastających po sześć lub siedem ze wspólnej podstawy machały do niego listeczkami. Nie przypominał sobie, żeby je widział, wchodząc z towarzyszkami do ogrodu.

– Trzymamy się lewej strony – łagodnie skarciła go Tenoctris. Pokazała ręką. Garric zauważył, że wciąż trzymała w niej rylec.

– Przepraszam – rzekł ze skruchą. – Będę już uważał.

Promień światła wygiął się, omijając grządkę purpurowych narcyzów rosnących pod małą magnolią i gładem. Krzew kwitł, roztaczając odurzający zapach, który podsuwał Garricowi myśli o kobietach noszących mosiężne ozdoby i niewiele więcej.

Posłusznie poszedł za promieniem przez rozchodniki, których kwiatostany zagradzały mu drogę

jak wielkie pieczarki. Łodyga podpierała się na bocznych odnogach jak na przednich łapach. Kwiaty otwierały się niczym oczy, złowrogie jak ślepia żab, zerkające na pozostających poza ich zasięgiem ludzi.

Liane nadal niosła wiadro z wodą. Czujnie rozglądała się wokół, z miną zdradzającą tylko zdziwienie arystokratki.

– *Ukrywanie strachu to niezły sposób, chłopcze* – mruknął król Carus. Od kiedy Garric wszedł do ogrodu, wysoki i krzepki król nie opuszczał go ani na chwilę. – *Jeśli jednak ona naprawdę jest taka odważna, to jest dzielniejsza ode mnie.*

Garric uśmiechnął się. Wcale nie był pewien, czy Liane się nie boi, ale to nie miało żadnego znaczenia. Wiedział, że Liane pójdzie dalej, choćby bardzo się bała.

Tak samo jak on.

Promień światła przepłynął obok posągu tryglowego ogra. Stwór ze zgrzytem poruszył się na piedestale.

– *Czekajcie* – rozkazała Tenoctris. Uklękła i zerwała łodyżkę skrzypu wyrastającego między dwoma kamieniami w kształcie czaszek.

Trzy pojedyncze ślepia ogra mierzyły ich gniewnym spojrzeniem. Stwór ruszył na nich, trzymając w jednej ręce miecz o ząbkowanym ostrzu, a w drugiej topór.

– *Thesta* – powiedziała Tenoctris. – *Eibradibas!*

Gwałtownie uderzyła w łodyżkę rylcem z brązu. Łodyżka złamała się.

Jedyna noga nadal podtrzymująca ogra na postumencie złamała się z głośnym trzaskiem. Posąg runął na twarz, z łoskotem padając na bruk. Rozbił się na tuzin kawałków i kopczyk żwiru. Garric nie spodziewał się aż takich zniszczeń po upadku na miękką trawę.

Staruszka z uśmiechem satysfakcji otarła rylce z soku skrzypu. Liane pomogła jej wstać.

– *Bardzo prosty czar* – orzekła Tenoctris. – *Jak wszystkie czary królowej. Jakże zdumiewającą moc trzeba posiadać, aby wywołać tyle złudzeń jednocześnie i na taką odległość!*

Pod podeszwami butów Garrica zachrzęściły kawałki rozbitego posągu. Jedna z głów leżała twarzą do góry. Zauważył, że kamienne oko obróciło się, patrząc na niego. Garric mimo woli skrzywił się.

Promień światła skręcił pod kątem prostym przed czymś, co wyglądało jak gładka, wybrukowana ścieżka. Zamiast po niej, poprowadził wszystkich przez strumień, który z głośnym bulgotem płynął wśród trzcin. Tym razem Garric nie pytał, lecz ze ściśniętym gardłem poszedł wskazaną drogą. Doskonale pamiętał, co przydarzyło się Gothelmowi prawdopodobnie nad tym samym strumieniem.

Z pluskiem wskoczył w nurt. Woda niemal natychmiast zaczęła sączyć mu się do butów. Przez kilka następnych kroków miał pod nogami grząski grunt, lecz nie napotkał żadnej z poprzednich okropności, jakich się obawiał.

Promień ominął parę smukłych wiśni, najwyżej sześciometrowych. Płatki ich kwiatów nie były białe ani fioletowe, lecz jasnoczerwone jak tętnicza krew. Obwisłe gałęzie zadrżały, gdy ludzie przeszli poza ich zasięgiem. Garric wyczuł falę skierowanej przeciwko niemu, zimnej nienawiści.

– *Ach...* – szepnęła Liane.

Garric obserwował promień. Na chwilę oderwał od niego oczy i powiódł wzrokiem w ślad za jej spojrzeniem. Nieco dalej, na niewielkim wzniesieniu, ujrzał rezydencję królowej. W oknach złowrogo jarzyły się płomienie.

– *Prawie jesteśmy na miejscu* – rzekł Garric.

Powstrzymał się i nie pobiegł przed siebie. Król w jego umyśle obawiał się zamaskowanych dołów, ostrych pali ukrytych w ziemi, żelaznego ostu wykutego tak, że jeden z czterech kolców

zawsze jest skierowany do góry – czyli przeszkód, jakie sprytny dowódca rozmieszcza przed nacierającą armią. Jednak królowa nie była dowódcą i nie walczyła na polu bitwy. Ponadto promień ostrzegłby ich...

Promień znikł. Zgasł, nie pozostawiając nawet chwilowej poświaty, jaką daje wypalona świeca. Tenoctris wyszeptała coś, co zabrzmiało jak słowa zaklęcia, lecz Garric nie był tego pewny.

– Otwierają się drzwi – powiedziała Liane beznamiętnym, bardzo opanowanym głosem.

Skrzydła wysokiej bramy, skrzypiąc, otworzyły się do środka. Zgrzyt zardzewiałych zawiasów brzmiał jak wrzask potępieńców. Garric spodziewał się, że ujrzą za nimi ognisty blask, taki sam jak w oknach na piętrze, lecz przez moment widzieli tylko ciemność.

– Pokonaliśmy wywołane przez królową iluzje, więc teraz pośle przeciwko nam żywego strażnika – oznajmiła Tenoctris. Usadowiła się na bladozielonej trawie. – On nie będzie złudzeniem.

– Tak też myślałem – rzekł cicho Garric. Teraz był jednocześnie dwoma osobami: wieśniakiem i starożytnym władcą. W kryzysowych sytuacjach Carus już nie pozbawiał Garrica kontroli nad ciałem, lecz użyczał mu swej wiedzy i umiejętności. Tak jak w przypadku liny, razem tworzyli znacznie silniejszy splot.

Lewą ręką Garric rozpiął zapinkę czerwonego płaszcza i dwukrotnie owinał nim przedramię. Materiał złagodzi cios – może w niewielkim stopniu, ale czasem różnica między życiem a śmiercią jest nie większa od grubości ostrza. Ostrożnie poszedł w kierunku bramy, czekając na atak.

Tenoctris poruszała wargami, a Liane stała przy niej, trzymając w jednej ręce wiadro z wodą, a w drugiej sztylet tak ostry jak kieł węża.

Strażnik królowej pochylił się, by przejść pod sześciometrową bramą. Wyprostował się i Garric ujrzał przed sobą jednookiego olbrzyma, poza tym niczym nie różniącego się od człowieka.

Cyklop nosił napierśnik i nagolenniki z czarnego żelaza. Zbroję odlano tak, że ukazywała obrazy demonów rozszarpujących ludzi. Olbrzym trzymał w lewej ręce tarczę z guzem w kształcie smoczego łba o lśniących ślepiach. Zwieńczony kitą hełm jeszcze dodawał potworowi wzrostu.

Garric zaśmiał się z uciechy graniczącej z histerią. Widział już kiedyś cyklopa, a raczej jego szczątki, ożywione przez czarnoksiężnika na plaży za krańcem świata.

Tamten czarodziej zginął i królowa także umrze.

Cyklop ruszył na niego, nadchodząc ciężko i nieuchronnie jak powódź. Nogi miał zdecydowanie grubsze od nóg mężczyzny. Te dwa ogromne słupy czyniłyby go olbrzymem, nawet gdyby nie miał równie szerokiego torsu i barów. Na prawym ramieniu niósł żelazną włócznię, przygotowaną do pchnięcia w dół. O jego bok obijała się pochwa z mieczem, którego długość była równa wysokości dorosłego mężczyzny.

– Haft i Wyspy! – zawołał Garric, rzucając się na wroga. Ten bojowy okrzyk z dawnych czasów został zagłuszony przez ryk potwora, głośniejszy od dźwięku wielkich trąb, w jakie dęli obserwatorzy na brzegu Carcosy, żeby ostrzec marynarzy we mgle. – Haft i Wyspy!

Garric z powrotem odwinął płaszcz, zamierzając zrobić z niego lepszy użytek. Żadna zbroja nie obroni człowieka przed pchnięciem żelaznej włóczni cyklopa, lecz pod tą grubą czaszką zapewne mieści się mózg wielkości pomarańczy. To zwierzę, nie wojownik.

Garric machnął płaszczem w lewo, a sam uskoczył w prawo. Żelazna włócznia mignęła jak błyskawica i przyszpiliła aksamit do ziemi. Garric wpadł między masywne łydki, tnąc na prawo i lewo. Pchnięcie trafiło w kość, a cięcie rozcięło ścięgno. Kopnięcie wielką stopą trafiło go w bok, odrzucając sześć kroków dalej od miejsca, gdzie zamierzał się dostać. Zgubił hełm. Połowa rzemieni mocujących pancerz na lewym boku pękła pod tym silnym uderzeniem.

Takie wielkie stworzenie nie powinno poruszać się tak szybko...

Garric zerwał się z ziemi. Krew spływała z ostrza jego miecza i tryskała z prawej kostki cyklopa. Cios przeciął arterię, ale Garric zamierzał i musiał przeciąć ścięgno Achillesa. Wprawdzie potwór w końcu wykrwawi się na śmierć, lecz zmęczony Garric raczej nie miał czasu na to czekać.

Cyklop raz po raz wbijał włócznię w płaszcz, jak zdesperowana matka tłucze żmiję, która wpełzła z kołyski. Garric nabrał tchu, rad z tego, że pancerz leży na nim luźniej. Najchętniej pozbyłby się tego ciężaru. Zrobił krok w kierunku potwora. Ten obrócił się na pięcie, by stanąć twarzą do niego.

Garric przystanął. Cyklop odwrócił się, pochylił i uderzył włócznią. Garric uskoczył w bok. Klinga jego długiego miecza z brzękiem uderzyła w rękawicę stwora, który głęboko wbił włócznię w ziemię.

Wskazujący palec cyklopa w deszczu iskier odleciał w powietrze. Rękawice musiały być zrobione z cieńszego metalu, żeby ich poszczególne segmenty zachodziły na siebie na stawach. Zaczne stalowe ostrze miecza przecięło ją jak uderzenie dłutem.

Cyklop zawył tak donośnie, że Garricowi ciarki przeszły po plecach. Napastnik ruszył na niego, zasłaniając się tarczą i znów unosząc włócznię do ciosu. Garric pospiesznie cofał się. Potwór był niesamowicie szybki, okazało się bowiem, że jego zwodniczo powolne kroki były kilkakrotnie dłuższe od tych, jakie stawiał człowiek.

– Garricu! – zawołała Liane. – Twój hełm!

Młodzieniec odskoczył w tył, za leżący na ziemi hełm z posrebrzonego brązu. Wepchnął koniec długiego miecza między okap hełmu a osłonę ucha, po czym posłał go lśniącym łukiem nad głowę cyklopa.

Ten uchylił się jak człowiek atakowany przez szerszenia. Machnął włócznią, lecz nie trafił w koziółkujący w powietrzu hełm. Garric runął do ataku, tym razem kładąc lewą dłoń na gałce miecza, aby z jeszcze większą siłą ciąć w wysuniętą prawą nogę przeciwnika. Ostrze trafiło z chrzęstem, wbijając się głęboko w kostkę.

Cyklop ryknął. Zamachnął się tarczą. Zamiast uskoczyć w tył, Garric rzucił się naprzód. Szarpnięciem wyrwał miecz. Kawałki kości i ścięgien przywarły do ostrza, tak jak czasem do tasaka, którym porcjował mięso w gospodzie ojca.

Znalazł się między nogami potwora, który podniósł prawą nogę, żeby go rozdeptać. Garric mocno pchnął w lewą kostkę, jednocześnie wykonując unik. Podkuty but z trzaskiem uderzył w ziemię. Nie trafił Garrica, który jednak musiał odskoczyć i zostawić swój miecz w ranie.

Cyklop powoli, olbrzymimi krokami, maszerował na niego. Garric ciężko dyszał. Płuca paliły go żywym ogniem. Miał wolne obie ręce, ponieważ stracił miecz. Chwycił za brzeg pancerza, usiłując zerwać go z siebie. Rzemienie stawiały opór. Prawy bok nadal miał zdrętwiały od kopnięcia. Garric zaczął się cofać. Nie mógł odwrócić się i rzucić do ucieczki, gdyż wtedy nie widziałby, kiedy cyklop rzuci włócznią. Nawet zwrócony twarzą do potwora nie był pewien, czy zdoła uchylić się przed ciosem. Wchodził po łagodnym zboczku. Kiedy dotrze do rezydencji, cyklop rozgniecie go jak chrząszcza o pilastry kamiennej ściany.

Ponieważ Garric spoglądał w oczy potwora, które prędzej ostrzegą go przed ciosem, niż gdyby patrzył na grot włóczni, zauważył Liane dopiero wtedy, kiedy dziewczyna chwyciła tkwiący w nodze cyklopa miecz. Trzymając oburącz rękojeść, pociągnęła ze wszystkich sił. Ostrze obróciło się w ciele jak nóż przecinający główkę kapusty.

Cyklop wrzasnął. I odwrócił się, podnosząc włócznię. Liane zatoczyła się w tył, nie puszczając rękojeści miecza. Z rany trysnęła krew.

– Tutaj! – krzyknął Garric, biegnąc w kierunku potwora i machając rękami, żeby zwrócić jego

uwagę. Wrzeszczący wniebogłosy cyklop nie usłyszał jego krzyku. Zatrzepotały strzępy czerwonego aksamitu, które przywarły do grotu włóczni. – Spójrz na mnie!

Potwór rzucił się do ataku. Lewa stopa przekręciła się pod nim, przytrzymywana jeszcze przez błyszczące ścięgna, które naciągnęły się pod ciężarem ciała. Cyklop padł tak blisko Liane, że Garricowi na moment serce przestało bić. Zaraz jednak zobaczył, że dziewczyna gramoli się z ziemi. Nadal trzymała miecz. Niewprawnie dźgnęła nim w dłoń potwora, który zamachnął się na nią. Jego żelazna włócznia wbiła się na pół metra w ziemię.

Cyklop zawył. Fontanna krwi tryskała na odciętą stopę, sterczącą pod nienaturalnym kątem. Siedząca nieco dalej Tenoctris mamrotała jakieś zaklęcia. Liane chwiejnie wchodziła na pagórek, trzymając oburącz miecz. Twarz miała białą jak chusta i zbryzganą krwią, a ręce skąpane w posoce.

Garric odwrócił się. Brama rezydencji stała otworem. Jasnoblękitny promyk przechodził między uchylonymi wierzejami, wyraźnie widoczny mimo gorejącej za nimi, pomarańczowej poświaty.

– Do bramy! – wysapała Liane, wciskając miecz w rękę Garrica. – Tenoctris mówi, że musisz przenieść przez nią żelazną broń!

Garric pomaszerował ku ścianie płomieni. Bazaltowy próg parzył w stopy nawet przez grube podeszwy butów. Młodzieniec pchnął mieczem, jakby mierzył w oczy niewidocznego wroga.

Poczuł lekkie mrowienie, nic więcej. Zamiast płomieni zobaczył mroczny przedsionek, rozjaśniony jedynie światłem wpadającym przez okna na piętrze. Pomieszczenie było puste, tylko na ścianach wisiały zbroje o rozmiarach wskazujących na to, że nie były przeznaczone dla ludzi.

Garric obejrzał się przez ramię. Olbrzymi szkielet cyklopa leżał w kałuży rozpuszczającego się ciała, a wielotysięczny tłum mieszkańców Valles biegł po bruku, domagając się krwi królowej.

Garric próbował usunąć się na bok. Chciał się upewnić, że Tenoctris jest bezpieczna, ale najpierw musiał złapać oddech. Widział tylko rozmazane, kolorowe plamy. Ktoś uścisnął mu rękę i entuzjastycznie klepnął w okryte zbroją plecy.

– Król Carus! – wykrzyknął. – Niech żyje Carus!

Kobieta dostatecznie leciwa, by mogła być matką Garrica, zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała go w usta. Pachniała perfumami z heliotropu i nosiła kilka warstw jedwabnych szat.

– Przepraszam! – powiedział Garric. Większość rebeliantów wbiegała do budynku, ale coraz więcej ludzi gromadziło się wokół. Próbował wydostać się z kręgu. Liane precyzyjnie się do niego. Stała, przykładając pięści do policzków.

Dwaj strażnicy Royhasa przedarli się przez tłum. Sam szlachcic i Tenoctris dołączyli do nich chwilę później, chronieni przez pozostałych czterech strażników. Zbrojni oderwali obywateli od Garrica i Liane, jak dłuto odłupuje szczapę z cedrowej kłody.

– Wkrótce dołączą do nas pozostali członkowie naszej grupy – rzekł Royhas. Jego usta rozciągnęły się w krzywym uśmiechu. – Powiedziałem im, żeby przyszli tutaj, do rezydencji. Nie byli zbyt zadowoleni, ale nie mieli wielkiego wyboru, prawda?

Okrzyki odbijały się echem od wewnętrznych murów rezydencji. Zajrzawszy do środka, Garric wiedział, że budynek wzniesiono wokół dziedzińca. Ten styl był znany królowi Carusowi, lecz w Valles nie budowano tak ani teraz, ani w czasach Dawnego Królestwa.

Liane trzymała Tenoctris za rękę i mówiła coś do staruszki. Tenoctris wyglądała na zmęczoną, ale ciepło uśmiechnęła się do Garrica, kiedy zauważyła, że na nią patrzy. Royhas dostrzegł tę wymianę spojrzeń. Lekko zacisnął wargi, ale dodał:

– Najpierw powinienem ci pogratulować, panie Garricu. Nikt z tych, którzy cię widzieli – a więc większość mieszkańców Valles – nie wątpi, że w twojej osobie powrócił bohater z dawnych czasów.

– Bohaterowie z dawnych czasów zawiedli. – Garric usłyszał swój głos. – My – ty, ja i pozostali

– musimy spisać się lepiej, Royhasie. I tak się stanie.

Z okna na piętrze buchnął dym. Miał naturalny, szarobiały kolor palonego drewna i szmat. Jakiś idiota podpalił rezydencję.

– Czy możecie ich powstrzymać? – spytał Garric Royhasa. – Masz dosyć ludzi, żebyśmy mogli znów zaprowadzić porządek?

Szlachcic wzruszył ramionami.

– Możemy spróbować.

– Gdzie królowa? – zapytała Liane. – Czy ona?...

W rezydencji rozległy się wrzaski przerażenia, lecz Garric zdał sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy tysiące ludzi na zewnątrz przyłączyło się do tego chóru.

Coś zasłoniło słońce. Spojrzał w górę.

Wzlatujący z dachu rezydencji stwór miał półprzeźroczyste szare skrzydła o rozmiarach małych obłoków. Stosunkowo małe ciało było czarne jak sadza i owłosione. Przypominało mu pajęczyny wiszące w narożnikach zaniedbanej karczmy. Na grzbiecie stwora siedziała kobieta o idealnie pięknych, zimnych rysach. Beznamiętnie spojrzała na Garrica, przelatując najwyżej dwadzieścia metrów nad nim.

– Gdybym miał mój łuk... – mruknął.

Wszędzie wokół rezydencji ludzie klękali. Jeden ze strażników Royhasa zaintonował pieśń do Pani, prostą modlitwę, zapewne zapamiętaną z dzieciństwa.

– Potrzebowałbyś czegoś więcej niż strzały – rzekła cicho Tenoctris. – Teraz jednak, kiedy wygnaliśmy ją z jej legowiska, może będziemy mieli czas, żeby rozwiązać ten problem raz na zawsze.

Skrzydlaty stwór stopniowo wznosił się, odlatując w kierunku morza. Jego skrzydła nie poruszały się tak jak ptasie, lecz falowały jak płetwy płaszczyki. Był widoczny jeszcze dość długo. Leciał na południowy wschód.

Sharina wyczuła obecność obcych, zanim jeszcze ich usłyszała. Zastygła, zastanawiając się, czy serce bije jej tak głośno, jak się wydawało.

Wnętrze pnia miało niezwykłą akustykę. Wąska, kręta dziupla przewodziła dźwięki tak jak ludzkie ucho. Sharina obawiała się, że może również wzmocnić każdy szmer, tak samo jak ludzkie gardło.

– Jest tam – szepnął głos fałszywego Nonnusa.

Kiedy Sharina weszła do dziupli, wewnątrz baobabu było jeszcze widno. Gdzieś wysoko w górze znajdował się otwór, lecz nawet w samo południe dawał mniej światła niż gwiazdy w jasną noc. To jednak wystarczyło, żeby Sharina mogła rozejrzeć się wokół.

Dziupla miała sześć metrów średnicy i tylko ławę do spania, wyciosaną przez Unarca w gąbczastym drewnie ściany. Ponieważ otwór na górze zapewniał wentylację, Sharina dziwiła się, że nie znalazła tu płaskiego kamienia służącego za palenisko. Po chwili przypomniała sobie, że była to kryjówka, a nie dom. Myśliwy nie chciał, by dym zdradził, gdzie się ukrywa.

Ponadto patrząc na drewniane wnętrze oraz wąską szczelinę na zewnątrz, Sharinie zrobiło się niedobrze na myśl o ewentualnym pożarze. Nie sądziła jednak, aby było tu bardziej niebezpiecznie niż w chatkach z wikliny i torfu w Barca's Hamlet. Za jej pamięci kilkakrotnie wybuchały tam zimą katastrofalne w skutkach pożary. Całe rodziny ginęły, nie zdążywszy uciec.

– Sharino? – zawołał fałszywy Nonnus. Mówił głośno, zapewne stojąc przy wejściu. – Przybyłem cię uratować, moje dziecko. Możesz już wyjść.

– Ona nie wyjdzie – mruknął inny mężczyzna. Sharinie wydawało się, że rozpoznaje głos jednego z członków załogi, lecz nie mogła skojarzyć mówiącego z żadnym imieniem czy twarzą. – Jeśli w ogóle tam jest.

Prawdopodobnie fałszywy Nonnus i jego ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, jak wyraźnie słyszy każde ich słowo, lecz to w niczym nie mogło jej pomóc. Z dziupli było tylko jedno wyjście – prosto w ręce prześladowców. Górny otwór na pewno był za mały, żeby mogła precyzyjnie się przez niego nawet szczupła osoba, a ponadto nie mogła się do niego dostać. Sharina przypuszczała, że mogłaby wdrapać się na wysokość kilku metrów, wykorzystując swoją siłę i nierówności drewna, lecz po nachylonych do wewnątrz ścianach dziupli nawet małpa nie zdołałaby dotrzeć do znajdującego się na wysokości kilkudziesięciu metrów wierzchołka.

– Wyjdź, dziecko – zachęcał Nonnus słodkim głosem, od którego Sharinę przeszły ciarki. – Ten dzikus, który cię porwał, wróci dopiero jutro wieczorem, jeśli w ogóle się pojawi.

Sharina zacisnęła dłonie na rękojeści pewlańskiego noża.

– Pani, zakryj mnie swoim płaszczem – szepnęła. – Pani...

Zdała sobie sprawę z tego, że wzywa Panią Pokoju, trzymając broń. Puściła ją i zamarła. Po chwili z nikłym uśmiechem wyjęła z pochwy wielki nóż i trzymała go w pogotowiu. Pomodli się później, jeśli będzie w stanie.

– Ona nie wyjdzie – powtórzył drugi głos. – Mówię ci, wejdźmy tam i wyciągnijmy ją, jeżeli tam jest.

– A ja ci mówię, Crattusie – rzekł fałszywy Nonnus groźnym tonem, jakim prawdziwy pustelnik nigdy nie mówił – że posłuchasz mnie albo pożałujesz, że tego nie zrobiłeś.

I nieco łagodniejszym tonem dodał:

– Jeśli jednak chcesz tam wejść, to bardzo proszę. W środku będzie ciemno jak w grobie, jeśli nie przyświecisz sobie pochodnią, a kiedy ostatni raz ją widziałem, dziewczyna miała nóż.

– No to co zamierzasz zrobić? – zapytał trzeci mężczyzna.

Mówił znużonym i lekko gniewnym głosem. Sharina zastanawiała się, jak liczna była ta banda.

– Rozbijemy tu obóz i zaczekamy, aż się rozwidni – odparł niedbale fałszywy Nonnus. – O świcie zdołam oświetlić wnętrze dziupli moją sztuką. Powinniście bez trudu poskromić uciekinierkę.

– Łatwo tak mówić komuś, kto nie będzie narażał się na pchnięcie nożem – mruknął jeden z mężczyzn.

– Tak, Osanie – syknął oszust, ponownie wypadając z roli, którą grał. – I łatwo to zrobić, inaczej nie brałbyś złota królowej. Czy chcesz jej powiedzieć, że od jej gniewu bardziej obawiałeś się wiejskiej dziewczyny?

– Zrobię, co do mnie należy – rzekł Osan. – Jak zawsze, czyż nie?

– Rozbijemy tu obóz – powtórzył raźnie fałszywy Nonnus. – Crattusie, niech dwóch twoich ludzi przez cały czas pilnuje dziupli. Rano załatwimy sprawę i odpłyniemy z tej parszywej wyspy.

Czyjaś dłoń przesunęła się po brzegu szczeliny.

– Możemy zamknąć otwór, wbijając w pień kilka włóczni – powiedział Crattus. – Nawet gdyby miała dość siły, żeby je wyrwać, narobiłaby tyle hałasu, że zbudziłaby umarłego.

– Tak, to dobry pomysł – przytaknął fałszywy Nonnus. – Zróbcie tak.

Stuknęła wbijana w drewno włócznia. Odgłos odbił się echem we wnętrzu drzewa. Po chwili wbito drugą i ktoś sapnął z zadowoleniem.

– To ją zatrzyma! – powiedział głos, którego Sharina jeszcze nie słyszała.

– A co z tym wielkoludem, z którym uciekła? – zapytał trzeci mężczyzna.

– Mówiłem wam, odpłyniemy na długo przed jego powrotem – odparł oszust. – Jestem czarodziejem, pamiętasz?

– Ni cholery nie zdołam o tym zapomnieć – mruknął Osan. Sharina podejrzewała, że stał naprzeciwko otworu, i słyszała więcej niż jego towarzysze. – I ni cholery nie zamierzam więcej pracować dla żadnego czarodzieja!

– Osanie, ty i Denalt staniecie na straży do wschodu księżyca – rozkazał Crattus. – Bies i Seno, obejmiecie wartę po nich, a ostatnią wezmę ja i Bayen.

– A jeśli nie zobaczą księżyca? – spytał Osan. – Tu jest ciemno jak w świńskim tyłku!

– To stój na warcie do świtu! – odrzekł Crattus. – Pozostali mogą spać, dopóki ich nie zbudzę.

Ułożyli się do snu, wydając tylko kilka cichych pomruków. Najwidoczniej byli zawodowcami, choć w tej dżungli czuli się równie obco jak Sharina. Fałszywy Nonnus nie odzywał się. Może oszedł, by w samotności rzucać czary.

Sharina nie wiedziała, co ma robić. Do środka wlatywał oddech lasu, wilgotny i niosący słabą woń rozkładu. Dziewczyna po ciemku przeszła przez dziuplę i położyła się na ławie.

Rozważyła możliwość wcześniejszego powrotu Hanno, ale odrzuciła ją. Jeśli fałszywy Nonnus był wystarczająco potężnym czarodziejem, by wytropić Sharinę w dżungli, to z pewnością orientował się, co porabia myśliwy.

Była wyczerpana fizycznie i psychicznie, zarówno po trudach minionych tygodni, jak i wydarzeniach poprzedniego dnia. Musi poczekać do rana. Wtedy da się schwytać lub popełni samobójstwo.

Pani odwracała się od tych, którzy odbierali sobie życie. Mimo to...

Sharina zasnęła. Oparła policzek na klindze pewlańskiego noża jak na poduszce. We śnie widziała, jak wstaje i podchodzi do drzwi, które otworzyły się, ukazując jej las taki, jaki rósł wokół Barca's Hamlet.

Nad strumieniem, którego koryto pogłębiono, tworząc niekę do nabierania wody i mycia naczyń, stała chata. Pracujący w ogrodzie mężczyzna strząsnął ziemię z kołka do sadzenia i podszedł do Shariny.

– Nonnus? – zapytała.

– Ta część mnie, która pozostała po śmierci, dziecko – odparł potężny, uśmiechnięty pustelnik. – Usiądź, proszę. Tylko taką gościnę mogę ci tu zaproponować. Oraz moje towarzystwo.

Sharina przysiadła w kucki, jak robiła to setki razy w chacie pustelnika. Nonnus usiadł naprzeciw niej.

– Zawsze cię obserwuję, dziecko – rzekł. – Mam nadzieję, że wiesz o tym, nawet jeśli mnie nie widzisz.

Na ziemi obok nich był ułożony, z kolorowych kamyków wyjętych z dna strumienia, wizerunek Pani. W lesie otaczającym Barca's Hamlet Nonnus wyrzył podobiznę Pani na pniu wielkiego drzewa. Teraz, chociaż miał na sobie starą czarną tunikę z koziej wełny, Sharina nigdzie nie widziała pewlańskiego noża, który Nonnus odpinał od pasa tylko wtedy, kiedy się modlił.

Spojrzała na nóż, który trzymała w dłoni, a potem znów napotkała spojrzenie pustelnika. Znowu się uśmiechnął.

– Nie potrzebuję go tutaj – rzekł. – Ponadto jest w dobrych rękach.

Sharina wsunęła ostrze z powrotem do pochwy z foczej skóry.

– Na zewnątrz jest człowiek, który... – zaczęła. Przełknęła ślinę. – Który podaje się za ciebie. Jest czarodziejem.

Nonnus skinął głową.

– To Nimet or-Konya – rzekł. – I chyba po raz pierwszy jestem zadowolony z tego, że ktoś posłużył się magią. Wątpię, czy zdołalibyśmy się spotkać, gdyby nie czary, jakie rzucili Nimet i jego pani, żeby pożyczyć sobie moją postać. Podejrzewam, że sami nie zdają sobie sprawy z tego, jak bardzo naruszyli granicę. – Zachichotał ponuro. – Oczywiście, nie tylko czarodzieje nie rozumieją ubocznych skutków swoich działań – dodał. – Gdybym rozumiał to, kiedy byłem młodszy, nie musiałbym teraz żałować tylu rzeczy.

Sharina nachyliła się i ujęła silne, żylaste dłonie pustelnika. Płakała.

– Nonnusie – powiedziała – czy mogę tu z tobą zostać? Proszę!

Trzymał ją tak delikatnie, jak matka nowo narodzone dziecko.

– Tu nie jest twoje miejsce, Sharino – odrzekł łagodnie. – Kiedy przyjdzie czas, a modłę się do Pani, żeby nie nastąpiło to szybko, znajdziesz inny dom.

– Nonnusie, co mam robić? – zawołała. Ścisnęła jego dłonie, wiedząc, że prędzej sprawiłaby ból hikorowemu drzewu. – Będę z nimi walczyć, ale chyba nie zdołam..

– Zabić sześciu żołnierzy, a do tego Nimeta? – dokończył Nonnus. Uwolnił jedną dłoń i położył ją na ręce dziewczyny. – Nie, nie sądzę, żebyś mogła to zrobić. I myślę, że właśnie dlatego znalazłaś się tutaj.

Sharina otarła twarz rękawem tuniki. Napotkała spojrzenie pustelnika i uśmiechnęła się. Usiłując opanować wywołane ulgą drżenie, zapytała:

– Wrócisz, żeby mi pomóc, Nonnusie? Możesz?

– Ja nie mam ciała, dziecko – odparł. – Ale ty je masz. Jeśli mi pozwolisz, mogę go użyć w taki sposób, w jaki ty nigdy byś nie mogła.

Obdarzył ją uśmiechem tak twardym jak skały wyspy Pewle, o które rozbijają się fale przyboju.

– Wyrzekłem się wielu rzeczy, które robiłem za młodu. Mimo to nie zapomniałem, jak się je robi.

Stali, trzymając się za ręce i ciesząc się ze spotkania.

– Wiedziałaś, że mi pomożesz – powiedziała Sharina. Nie rozumiała, jak kiedykolwiek mogła czuć się samotna.

Pustelnik spoważniał i puścił jej dłonie.

– To nie będzie dla ciebie łatwe, dziecko – powiedział. – Będzie to okropne uczucie, jakiego jeszcze nigdy nie doznałaś. Może byłoby lepiej, gdybyś popłynęła z Nimetem do jego pani – królowej.

– Nonnusie – powiedziała Sharina – potrzebuję twojej pomocy. Zrób wszystko, co sumienie pozwala ci zrobić. Ja również się postaram. I niech Pani ma nas w opiece.

Nonnus uśmiechnął się i tym razem jego twarz miała łagodny wyraz.

– Przez ostatnie osiemnaście lat mojego życia, Sharino – powiedział – jedyną rzeczą, jakiej pragnąłem oprócz odkupienia, była możliwość pomagania tobie. Myślę, że Pani spełniła moją prośbę.

Palcami prawej dłoni dotknął policzka dziewczyny.

– Idź spać, dziecko – powiedział. – Zobaczymy, co się stanie, gdy nadejdzie świt.

Śpiew Łuskowatych przeszedł w chrapliwe crescendo i Ilna poczuła lekki wstrząs, który poruszył nie tylko statkiem, ale całym otaczającym ich światem. Cozro krzyknął i nietoperz gryzący drewnianą kratę zaledwie kilka centymetrów od twarzy Ilny, z gniewnym warknięciem obejrzał się przez ramię.

„Ptak fal” wypadł z mrocznego świata i z pluskiem uderzył o powierzchnię morza. Zerwały się pospiesznie i niedbale zaciągnięte węzły, którymi załoga zabezpieczyła klapę luku po wrzuceniu Ilny do ładowni. Promyki słońca wpadły przez kratkę i przez szparę przesuniętej pokrywy.

Skrzydlate stworzy skręcały się jak liście w płomieniach. Ich ciała czerniało i odpadało od kości. Łączące kości ścięgna kurczyły się, zmieniając szkielety w bezkształtne kupki, podobne do nie strawionych resztek wydalanych przez sowy w postaci wypluwek.

Ilna oparła obie ręce i ramię o pokrywę luku, żeby przesunąć ją w bok. Cozro po prostu odrzucił ją, chociaż bez pomocy Ilny ciężka klapa mogłaby zamknąć się z powrotem. Kapitan nie wziął pod uwagę tego, że zdrętwiały mu mięśnie związanych przez wiele dni rąk.

Ilna wyszła z ładowni, trzymając w dłoniach luźny zwój liny. Przed nadbudówką nadal stało miedziane palenisko, z którego jeszcze unosiła się smużka kolorowego dymu. Łuskowaci rozpalili ten ogień i zostawili go, po czym uciekli do dusznej sterówki. Skrzydlaci, pomimo ludzkich rysów tylko nierozumne zwierzęta, nie ugasili ognia, kiedy zaatakowali statek. Teraz ich wyschnięte ciała zwisały z olinowania i zalegały na pokładzie. *Jak jętki*, znów pomyślała Ilna z ponurym uśmiechem. Szczątki zabitego i pożartego marynarza leżały obok luku, z którego zsunęły się, gdy Cozro pchnął klapę. Ciało było ogryzione do kości. Czaszka zabitego była duża i płaska, a szkielet znacznie bardziej różnił się od ludzkiego niż żywy Łuskowaty od normalnego człowieka.

Drzwi sterówki zadygotały, gdy od wewnątrz odsuwano rygiel. Cozro chwycił kordelas rozpaczliwym ciosem wbity w maszt.

Niebo było jasnoniebieskie i bezchmurne. Słońce opadało za horyzont, lecz wciąż oświetlało morze i kołyszący się na nim statek. Żagiel zwisał luźno, z głębokim brzuchem nie wypełnionym magicznym wiatrem, który wydymał płótno na morzu tamtego świata. Kilometr dalej, po prawej burcie, z powierzchni morza sterczała wysepka, niewielka, lecz porośnięta gęstą roślinnością. Stado morskich ptaków, przestraszone pluskiem spadającego w fale statku, wzbiło się w niebo.

Łuskowaci musieli mocno pchać drzwi, żeby odsunąć na bok stertę szkieletów nietoperzowatych stworów. Skurczone ciała przywarły do pokładu, jakby wtopiły się w drewno. Cozro lewą ręką chwycił palenisko.

Ilna szykowała się, by zarzucić pętlę na szyję pierwszego wychodzącego marynarza, zostawiając drugiego kapitanowi.

– Zajmij się, tym po prawej! – powiedziała. Była tak wściekła, że o mało nie popełniła błędu, zakładając, że w takich kryzysowych sytuacjach inni myślą tak samo jak ona.

Pierwsi dwaj Łuskowaci, którzy wyskoczyli z nadbudówki, byli uzbrojeni w kordy. Obaj krwawili z głębokich ran, lecz byli zdolni do walki. Za nimi podążał trzeci żeglarz, trzymający włócznie, a ostatnim był mocno obandażowany nieszczęśnik, który usiłował napiąć kuszę.

– Żaden z tych łotrów nie umiał pływać, kiedy byli ludźmi! – zawołał Cozro. – Miejmy nadzieję, że nie nauczyli się po przemianie. Łódka nadal jest przywiązana na rufie. Dopłyn do niej i dotrzemy do tej wyspy, wiosłując rękami.

Czterej Łuskowaci ustawili się przed nadbudówką. Najwidoczniej czekali, aż kusznik napnie swoją broń, żeby zastrzelić uciekających więźniów lub zmusić ich do kapitulacji.

– Ja też nie umiem pływać! – powiedziała Ilna. Gdyby oboje zaatakowali teraz, mogliby pokonać marynarzy, ale musieli to zrobić razem. Każdy z Łuskowatych odniósł lżejsze lub cięższe rany, lecz ona i Cozro byli osłabieni głodem i mocnymi więzami.

– Przykro mi! – powiedział kapitan, odwrócił się i cisnął płonąca zawartość paleniska w obwisły żagiel. Grube płótno zapaliło się jak chrust. Cozro wyskoczył za burtę. Łuskowaci wydali chrapliwy okrzyk przerażenia. Ilna znalazła się między marynarzami a płonącym żaglem. Popękany od długotrwałego działania soli i słońca maszt także zaczął się palić.

Żeglarz z włócznią zrobił krok naprzód. Ilna zarzuciła mu pętlę na szyję i mocno zacisnęła sznur. Zrobiła to odruchowo, wcale nie planując. Ten wieprz Cozro pozostawił jej tylko dwa wyjścia:

mogła utonąć albo spalić się żywcem. Chyba wolała utonięcie, ale jeszcze nie była gotowa do podjęcia decyzji.

Kopniakiem wytrąciła włócznię z ręki marynarza, który dusił się na pokładzie u jej stóp. Drugi zaatakował ją, unosząc kordelas. Wolnym końcem sznura smagnęła go po wybałuszonych oczach. Odskoczył z wyciem.

Powietrze przy prawej burcie statku zgęstniało, tworząc tarczę promieniującą zimnym, intensywnie błękitnym światłem. Ina spojrzała na nią przez ramię. Ponownie kopnęła Łuskowatego, tym razem w krocze. Za tą świetlistą tarczą dostrzegła jakieś sylwetki.

Bez wahania wskoczyła na reling i zanurkowała w tę błękitną poświatę. Mogło to oznaczać śmierć, lecz na pokładzie „Ptaka fal” nie czekało ją nic innego.

Ina żałowała, że musiała zostawić arkan, lecz miała wiele innych powodów do żalu i nauczyła się jakoś z tym żyć.

W blasku tej trzaskającej błękitnej poświaty, która rozjaśniała noc, Cashel widział kości swoich rąk. Nadal skupiał całą uwagę na głazie. Ten drgnął i teraz wszystko inne mogło poczekać, aż Cashel zrobi to, do czego się wziął.

Zahag i księżniczka krzyczeli, lecz krew tak głośno szumiała mu w uszach, że ich głosy były ciche jak brzęczenie os. Uniósł głaz nad głowę. A przecież nie powinien był go podnieść.

Ostrożnie obrócił się. Mocno trzymany w tej pozycji ciężar przy nieostrożnym ruchu może złamać ci kręgosłup lub skrzyć nogę w kolanie. Wszystko to kwestia zrównoważenia sił...

Gdy Cashel miał pewność, że głaz nie przygniecie jego lub towarzyszy, wypuścił go z rąk. Zatoczył się do tyłu, a kamień, podskakując, poturlał się po zboczu.

Nogi ugięły się pod Cashelem, a kiedy próbował podeprzeć się ręką, ta zgięła mu się w łokciu. Aria złapała go za rękę, ale nie wiedział, czy próbowała go podtrzymać, czy też zrobiła to ze strachu.

Zbocze pod nimi zadygotało jak podczas trzęsienia ziemi. Trzasnął błękitny płomień i skalisty stok pękł aż do podnóża góry. Z długiej szczeliny wyskoczył skąpany w skwierczącym blasku szkielec – jak koń zrywający się z ziemi. Miał ciało jaszczurki, lecz stał na dwóch nogach tak grubych jak najstarsze dęby w okolicy Barca's Hamlet.

Stwór odwrócił się z gracją tancerki, przy czym wszystkie stawy zaiskrzyły mu się lazurowymi błyskami. Machnął długim ogonem z ciężkich i sztywnych kości, równoważąc ciężar masywnej czaszki. Ryknął, aż zadrżały niebiosa, a potem kłapnął paszczką, chwytając w nią najbliższego z trolli, które ścigały Cashela i jego towarzyszy.

– To twój przyjaciel, wodzu? – krzyknął Zahag. Za każdym razem, gdy ziemia zatrzęsała się, małpolud podskakiwał w miejscu. – Ty go wezwałeś?

– Ja nie... – wymamrotał Cashel. – Nie wiem...

– Proszę! – błagała Aria. – Możemy już iść?

Stwór przeszedł przez szczelinę, z której wyszedł. Jego ogon śmigał w powietrzu jak bicz ostrego światła. Szponiastymi przednimi łapami pochwycił następnego trolla, złamał utrzymaną przez ofiarę maczugę i wrzucił zmiażdżone ciało do paszczy, w której zmieściłoby się pół chaty.

– Moja laska – wymamrotał Cashel. Spróbował wstać. Zastanawiał się, czy mu się śni, że jest bezradny, podczas gdy wokół dzieją się takie dziwne rzeczy.

Stwór z kamienia i światła ścigał umykające trolle, kłapiąc paszczą z precyzją węża polującego na myszy. Ząbkowane płytki na jego ogonie kołysały się z boku na bok.

– Ja mam twoją laskę! – powiedziała Aria. Tak też było, chociaż dopiero co ją podniosła. – Proszę! Proszę!

Towarzysze nie mogli go podnieść, ale nie zamierzali go zostawić. W porządku. Zaraz wstanie. Może to zrobić!

Cashel zaczął iść na czworakach w kierunku jaskini. Ziemia drżała przy każdym kroku potwora, który wyskoczył ze szczeliny. Podobnie jak Cashel, poruszał się zwinnie i szybko, na pozór bez wysiłku.

Trolle wyły z bezsilnego gniewu i przerażenia, uciekając po zboczu przed stworem. Przy jego dudniących krokach basowe porykiwania trolli brzmiały jak rechot żab.

Potwór nie wydawał się wrogo nastawiony do Cashela i jego towarzyszy. Gdyby był, niewiele mogliby zrobić. Cashel zachichotał na myśl o wymachiwaniu laską przed nosem takiego ogromnego stworzenia. Śmiech dodał mu trochę sił. Ponownie spróbował i tym razem zdołał wstać. Zahag pobiegł przodem, ale przystanął przy rozświetlonym wejściu do jaskini.

– Och, dzięki ci, Boska Panienko! – bełkotała księżniczka, chwiejnie podążając za Cashelem. – Och, dzięki ci!

Cashel wpadł do jaskini. Jego towarzysze szli za nim. Wyczuwał ich obecność, chociaż nie obejrzał się, żeby to sprawdzić. Skóra trzeszczała mu i mrowiła niesamowitą mocą. Poszedł dalej, mając wrażenie, że to ona, a nie ciało, porusza jego kończynami i niepowstrzymanie popycha naprzód.

Przez kaskadę błękitnego światła dojrzał jakieś postacie. Król Folquin siedział na tronie, otoczony przez dworzan, i wysłuchiwał petentów.

Cashel ruszył ku nim, lecz nagle napotkał rozgałęzienie jaskini. Po prawej Ilna stała na pokładzie jakiegoś statku, walcząc z potworami bardzo podobnymi do tego, którego zwłoki Cashel wytrząsnął z beczki na nabrzeżu Erdinu.

– Ilno! – zawołał. Nie słyszał własnego głosu, zagłuszonego przez pulsujące, gromowe echa jaskini. – Idę do ciebie, Ilno!

Odwróciła się plecami do niego i skoczyła do dwóch mężczyzn, których sylwetki dojrzał w powietrzu. Jednym był jakiś nieznajomy inwalida, a drugim chudy młodzieniec – nadworny czarodziej Folquina.

– Il...

Ilna znikła. Statek rozpadł się w błysku lazurowego światła, które rozdarło kadłub na strzępy i rozerwało Łuskowatych jak dziecko muchę.

Ściany jaskini otwały się. Cashel wraz z dwojgiem piszczących towarzyszy runęli w oblane słońcem morze, którego spienioną powierzchnię pokrywały kawałki ciał i połamanego drewna.

DWUDZIESTY SZÓSTY DZIEŃ CZAPLI

– Pozwólcie, że od razu wam powiem, że nie zamierzam zrobić niczego, co byłoby skierowane przeciwko królowi Valence'owi! – rzekł Pitre. – Jeśli chcecie o tym rozmawiać, to opuszczę ten pokój i wrócę, kiedy skończycie.

Garric siedział na końcu stołu, który przenieśli z jadalni dla służby do ogromnej owalnej komnaty, która była prywatnym apartamentem królowej. Ze skrywanym zdziwieniem spojrział na Pitre'a, zastanawiając się, co też roi się w głowie człowieka, który mówi coś takiego.

– *Za moich czasów było więcej tchórzów niż odważnych ludzi, chłopcze* – rzekł głos w jego umyśle. – *I nie spodziewam się, że przez ostatni tysiąc lat coś się zmieniło.*

– Nie musimy robić krzywdy Valence'owi – rzekł krótko Waldron. Konspiratorzy byli bez masek, a ich ludzie jawnie nosili barwy swoich panów. – A przynajmniej jeśli okaże się rozsądny. Nie będę nawet żądał jego natychmiastowej abdykacji, chociaż oczywiście wyznaczymy regenta. Ród Valence'a wciąż cieszy się dużym szacunkiem wśród drobnej szlachty i nie zamierzam wywoływać żadnych zamieszek, dopóki nie weźmiemy władzy w nasze ręce.

Zanim Garric i jego wspólnicy dotarli do pokojów królowej, tłum zdążył już roztrzaskać turmalinowe lustro o kamienną podłogę. Tenoctris z aprobatą skinęła głową i powiedziała, że zniszczenie tego lustra było bardzo ważną sprawą.

To pomieszczenie znajdowało się pod kopułą na środku jednego z pięciu skrzydeł budynku. Na granitowych ścianach nie było żadnych gobelinów, a wokół żadnych mebli – tylko to wielkie lustro i pusty okrągły stolik na smukłych nóżkach. Królowa nie potrzebowała krzesel, szaf, a nawet łoża.

W Valles niedawno minęła północ. Na zewnątrz bryza znad morza zasnuła niebo chmurami, zza których migotało zaledwie kilka gwiazd. W pozbawionym okien pomieszczeniu byłoby równie ciemno nawet w słoneczne południe.

Garric przypomniał sobie, że obraz, jaki widział w zaczarowanym lustrze Tenoctris, rozjaśniało łagodne światło. Słudzy spiskowców przynieśli latarnie, lecz ich dymiące i pełgające płomyki jeszcze pogłębiały mrok, który miały rozpraszać.

– Mianowanie regenta mogłoby wywołać błędne wrażenie, że jeden z nas w jakiś sposób góruje nad pozostałymi – rzekł lord Tadaï, składając przed sobą dłonie, jakby oglądał swój nienaganny manikiur. – Myślę, że nazwiemy się Szlachecką Radą Konsultantów i w ten sposób unikniemy niepotrzebnych dyskusji. Co wy na to?

Waldron poczerwieniał. Oprócz doradców i sekretarzy – również szlachciców – każdemu z konspiratorów towarzyszyła straż przyboczna. Z tej piątki może tylko Waldron był prawdziwym wojownikiem, lecz wszyscy najemni żołnierze wyglądali na twardych i kompetentnych. Ktoś, kto w tych okolicznościach wszcząłby zwadę, z pewnością zostałby zabity przez połączone siły pozostałych spiskowców.

Garric uśmiechnął się. Przeciągnął długim mieczem po osetce, którą umieścił przed sobą na stole.

– Czy on musi robić tyle hałasu? – zapytał głośno Sourous. Młody szlachcic zacierał ręce, jakby je mył. Wskazał Garrica lekkim ruchem koziej bródki.

– Owszem, musi, Sourousie – rzekł Royhas, zabierając głos po raz pierwszy, od kiedy na jego nalegania konspiratorzy zbrali się w apartamencie królowej. – Kiedy ja stałem w tłumie, a reszta z was kryła się w domach, pan Garric osobiście zabił olbrzyma, którego szkielet minęliście,

wchodząc do tego budynku. Ostrzy miecz na wypadek, gdyby musiał ponownie go użyć.

Prawdę mówiąc, ostrze było w lepszym stanie niż Garric – czy też ukryty w jego umyśle Carus – oczekiwał po tak zaciętej walce. Nie stępiło się na kościach cyclopa. Co więcej, wytrzymało nawet brutalne szarpnięcie, jakim Liane odcięła potworowi stopę.

Wszyscy spojrzeli na Garrica. Uśmiechnął się, odwrócił miecz i ponownie przeciągnął nim po kamieniu, płynnym ruchem, całą długością ostrza. Zauważył niewielką szczyrbę na końcu, gdzie ostrze odcięło okryty żelazną rękawicą palec cyclopa. Wystarczyło kilka pociągnięć i klinga znów stała się gładka.

– Mam do tego służbę! – warknął Waldron, mówiąc raczej do Royhasa niż Garrica. Zdaniem ziemianina z północy Garric w ogóle się nie liczył, lecz Waldron wiedział, że wśród konspiratorów Royhas jest jego najgroźniejszym rywalem.

– Obecność naszego młodego towarzysza daje nam pewną interesującą możliwość – powiedział Tadaï, lekko obracając się na znak, że kieruje te słowa również do Garrica. – Król Garric, prawy dziedzic króla Carusa i Dawnego Królestwa, mógłby lepiej wyglądać na tronie niż król Valence. Oczywiście, wraz ze Szlachecką Radą Konsultantów – dodał z nikłym uśmiechem Tadaï.

– Valence jest szalony – mruknął Sourous. – Zupełnie szalony!

Jego rozgoryczenie trochę zdziwiło Garrica. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że młody szlachcic potrafi odczuwać coś poza obawą o własną skórę... Chociaż, prawdę mówiąc, coś go przecież skłoniło do wzięcia udziału w spisku. Garric kolejny raz uświadomił sobie, jak bardzo mało wie o tych wszystkich, z którymi złączył swój los – nawet o Liane i Tenoctris.

Wytarł ostrze gałgankiem z szorstkiej wełny i zerknął przez ramię. Za jego fotelem Liane i Tenoctris zastępowały świętę, jaka towarzyszyła każdemu ze szlachetnie urodzonych spiskowców.

Garric uśmiechnął się. Nie zamieniłby tych dwóch kobiet i króla Carusa na setki takich doradców, jakich zatrudniali ci lordowie.

– Nie, nie – powiedział Pitre. Mówiąc, skręcał i rozkręcał jedwabną chustkę, zastępującą mu drewnianą układankę, którą rzucił o podłogę w domu Royhasa. – Valence zostanie władcą, ale pozbedziemy się tego parszywego czarodzieja Silyona. Teraz nie ma już królowej, a kiedy nie będzie Silyona, wszystko wróci do normy.

– Twierdzą... – zaczął Waldron.

Garric wstał. Wepchnął miecz do pochwy, czemu towarzyszył cichy zgrzyt i stuk, z jakim jelec uderzył o jej okuty otwór. Wszyscy obecni w komnacie znów spojrzeli na młodzieńca. Chociaż Garric chował broń, a nie dobył jej, ten gest był wyraźnie agresywny.

– Wcale nie pozbyliśmy się królowej, panowie – powiedział. Wypowiadał własne myśli, lecz to doświadczony Carus podpowiadał mu właściwe słowa i ton głosu. – Zyskaliśmy trochę czasu, wypędzając ją z Valles, lecz pierwszą rzeczą, jaka czeka odrodzone Królestwo Wysp, to odparcie kontrataku królowej i ostateczne jej pokonanie.

Tadaï uniósł brew – nieco kpiąco, ale tylko trochę. Pitre ze zdumieniem spojrzał na Garrica, Sourous na swoje dłonie, a Royhas uśmiechnął się pod nosem. Siedział wygodnie wyciągnięty na fotelu, założywszy nogę na nogę i oparłszy łokieć o blat stołu.

– Tak, oczywiście – rzucił Waldron, niedbale machnąwszy ręką. A do swoich szlachetnie urodzonych towarzyszy rzekł: – Oczywiście, ja obejmę dowodzenie nad armią. Później zdecydujemy, czy jako...

– Panowie – powiedział Garric. Celowo nie podniósł głosu, a mimo to zauważył, że Tadaï oderwał wzrok od Waldorna i obrzucił go badawczym spojrzeniem.

– ...marszałek czy regent – dokończył Waldron. Dowódca jego straży przybocznej, zwalisty

mężczyzna o włosach, brodzie i oczach barwy stali, nie patrzył na swego pana, tylko na Garrica. – Teraz...

– Panowie! – powtórzył Garric głosem, jakim przywoływał zabląkane na wzgórzach owce.

Waldron zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Dowódca straży złapał go za rękę, nie pozwalając wyjąć ostrza z pochwy. Pozostali arystokraci, nawet Royhas, drgnęli. Sekretarz upuścił kilka ksiąg pod nogi Tadaia.

– Panowie – ciągnął Garric, nadal donośnym, lecz już nie groźnym głosem. – Nie możecie powierzyć żadnemu z was władzy absolutnej ani żadnej innej, która może taka się stać. Możecie powierzyć ją mnie. – Uśmiechnął się ponuro, ale nie wrogo. – W ten sposób będziecie mieli pewność, że żaden z was nie uzyska przewagi nad pozostałymi.

– To absurd! – powiedział Waldron tonem wskazującym na to, że bynajmniej nie uważa tej uwagi za absurdalną. Szybkim i gniewnym ruchem wyrwał się strażnikowi, ale nie chwycił za miecz.

– Ja tak nie uważam – rzekł poważnie Tadaia. – Chociaż...

– A co z Valence'em? – spytał Pitre. Napotkał spojrzenie Garrica, który zaczął się zastanawiać, czy ten młodzik nie jest dzielniejszy, niż się zdawało.

– On nie jest złym człowiekiem – powiedział Garric. Tenoctris nie miała prawa głosu na tym zebraniu, ale wraz z Liane przygotowała odpowiedź na pytanie, które z pewnością miało paść. – Nie ma potrzeby strącać go z tronu, jeśli tylko pozbedziemy się jego czarodzieja, który jest złym człowiekiem, a przynajmniej świadomie czyni zło.

Przerwał, spoglądając na siedzących na drugim końcu stołu wielmożów. Fakt, że żaden z nich mu nie przerwał, najlepiej świadczył o autorytecie, jaki Garric zawdzięczał duchowi Carusa.

– Valence nie jest ważny – podjął Garric. – Może uznać mnie za swego dziedzica, jednocząc stary królewski ród Haft z obecnym, z Ornifal.

– Ha! – zakrzyknął Tadaia, klasnąwszy w dłonie, jak na widok celnego ciosu podczas walki kogutów.

Pitre szarpnął chusteczkę.

– Tak – rzekł, z entuzjazmem kiwając głową. – Owszem, Valence to dobry człowiek. Te kłopoty to naprawdę nie jego wina.

Waldron zbladł jak chusta, ale milczał. Tylko wciąż zaciskał i otwierał prawą dłoń.

– Wydaje mi się – powiedział Royhas, nadal w niedbalej pozie wyciągnięty na fotelu – że na pewien czas rozwiązuje to wszystkie nasze problemy. Pan Garric już cieszy się w całym mieście sławą człowieka, który zabił olbrzyma. W istocie, znaczna część ludności widzi w nim raczej odrodzonego króla Carusa niż potomka starego królewskiego rodu.

– Racja! – rzekł z nieoczekiwanym ożywieniem Sourous. – Damy tłumowi bohatera, a sami będziemy rządzili królestwem tak, jak powinno być rządzone!

Nawet Waldron spojrział na niego ze zdumieniem. Liane z sykiem wciągnęła powietrze, słysząc bezczelność młodego szlachcica. Garric tylko zaśmiał się. Jak mógł się złościć na durnia, który tak bezmyślnie obrażał stojącego tuż obok człowieka z ostrym mieczem?

– Lordzie Sourousie – rzekł Garric. Z przyjaznym uśmiechem skinął głową Waldronowi i dowódcy straży, który z nieprzeniknioną miną stał u boku Sourousa. – Mam nadzieję, że nadal jesteśmy przyjaciółmi. Wy, panowie, wiecie o Ornifal więcej, niż ja kiedykolwiek się dowiem. Wasze urodzenie, bogactwo i patriotyzm skłoniły was do działania, którego nie mógł podjąć wasz król, co czyni was najlepszymi doradcami, jakich mógłby sobie tyczyć każdy władca.

Z nalanej twarzy Tadaia znikł kpiący uśmiech, a oczy czujnie spoglądały na mówiącego. Pitre patrzył wyczekująco, a Sourous wyglądał na lekko wylęknionego. Jego strażnicy przysunęli się bliżej

stołu, stając po obu stronach młodzieńca, i najwidoczniej ciasny mózdek Sourousa zrozumiał powód ich zaniepokojenia.

– Musicie jednak zrozumieć – ciągnął Garric, wypowiadając słowa podsuwane mu przez starożytnego władcę – że chociaż chętnie wysłucham waszych rad, jak również rad innych mądrych i szlachetnie urodzonych obywateli królestwa, nie będę wykonywał waszych rozkazów. To wy będziecie wykonywali moje.

Waldron do tej pory trzymał na wodzy napięte jak sprężyna nerwy. Teraz skoczył na równe nogi, przewracając fotel.

– W tej komnacie – krzyknął – widzisz przedstawicieli najstarszych rodzin Ornifal! – Spojrzał na przestraszonego Sourousa. – Choć niektóre z nich fatalnie podupadły, to nawet Sourous nie jest takim głupcem, żeby słuchać rozkazów pasterza z Haft!

Garric wyszedł zza stołu i powoli szedł w kierunku Waldrona. Siedzący między nimi Pitre zerwał się z fotela i cofnął pod ścianę. Jego strażnicy ustawili się w półkole, osłaniając go.

– Waldronie bor-Warrimanie – powiedział Garric. Ręce miał luźno opuszczone po bokach. – Masz trzy możliwości. Możesz uznać we mnie prawowitego władcę, ponieważ jestem potomkiem króla Carusa w linii prostej.

– Tak twierdzisz! – rzekł Waldron. Dowódca jego straży przyjął taką samą pozę jak Garric, z opuszczonymi rękami i mięśniami napiętymi jak cięciwa łuku.

– Albo – ciągnął Garric, nieco podnosząc głos, lecz był to donośny tenor bez śladu piskliwych nut – możesz oddać swoje rodowe dobra uprawiającym je wieśniakom, gdyż jeśli nie uznasz moich rządów, stracisz do nich prawo.

– Gdybym kłaniał się każdemu szaleńcowi, który nazywa się królem, nigdy nie zdołałbym się wyprostować! – warknął Waldron.

– Natomiast trzecia możliwość, lordzie Waldronie... – zaczął Garric. Zadrżał. To ciało nie było już tylko jego własnością. Drżało pod wpływem dzikiej, chłodnej żądzы krwi króla Carusa. – Jeśli uważasz, że jestem kłamliwym pasterzem z Haft, a nie Władcą Wysp – dodał Garric/Carus – spróbuj dowieść, że kłamię. Będziemy się pojedynkować przed rezydencją przy blasku pochodni albo zaczekamy do świtu. I nikt z tych, którzy to zobaczą, nie będzie miał cienia wątpliwości, że każde słowo, jakie powiedziałem, od kiedy przybyłem na Ornifal, jest prawdą!

– Zrobimy to teraz – rzekł Waldron zgrzytliwym głosem. Chwycił rękojeść miecza i do połowy wyciągnął go z pochwy, zanim dowódca jego straży stanął przed nim i złapał go za obie ręce. – Puść mnie, głupcze! – krzyknął szlachcic. – Myślisz, że boję się jakiegoś pasterza?

– Panie, spójrz, jak on się porusza! – zawołał strażnik. – Jeśli to pasterz, to ja jestem grabarzem. I przysięgam na moją duszę w ramionach Pani, że jeśli zechcesz z nim walczyć, będę twoim grabarzem!

Waldron próbował go odepchnąć. Krępy i niezwykle silny strażnik mocno trzymał swego wysokiego i chudego pana. Przycisnął Waldrona do ściany. Pozostali strażnicy noszący na płaszczach koci łeb, który był herbem Warrimanów, odgradzili Waldrona od Garrica, chociaż nie próbowali powstrzymać pana tak, jak zrobił to ich dowódca.

Przez chwilę było słychać tylko zdyszane oddechy i zgrzyt podeszew na posadzce. W końcu Waldron poniechał prób wydobycia miecza i uspokoił się, a jego zbrojny puścił go.

– Lordzie Waldronie – powiedział cicho Garric. – Potrzebuję cię i darzę głębokim szacunkiem, ale to ja jestem twoim królem.

Waldron nadal z trudem łapał oddech. Twarz miał szarą jak popiół. Miał trzy razy tyle lat co Garric. Szlachcic wiedział równie dobrze jak Carus, że na polu bitwy odwaga i umiejętności liczą

się bardziej niż młodość, lecz widział w życiu dosyć bitew, by równie przenikliwie jak dowódca straży ocenić Garrica. Ta walka byłaby takim samym pojedyńkiem jak zmagania świni z rzeźnikiem, który trzyma zwierzę stalowymi kleszczami za nos i podrzyna mu gardło.

Garric pochylił się i podniósł przewrócone krzesło.

– Proszę, lordzie Waldronie.

Nie czekając na reakcję szlachcica, Garric podszedł do swojego fotela na końcu stołu. Liane nieznacznie kiwnęła głową. Kiedy Garric odwrócił się i usiadł, Waldron również siadł przy stole. Jego dowódca straży przysunął mu fotel.

– Jak najszybciej musimy omówić sytuację z Valence'em – powiedział Royhas, podejmując przerwana rozmowę. – Pitre, ty pewnie mógłbyś nas umówić, nie sądzisz?

– Zastanawiam się, jak będziemy żyć pod rządami prawdziwego króla – rzekł Tadaï. W jego śmiechu słysząc było nutę hysterii.

Gruba warstwa pyłu złagodziła upadek Ilny, dzięki czemu dziewczyna nie połamała sobie kości, lecz o mało nie udusiła się chmurą kurzu. Dziewczyna gramoliła się w górę, nie tyle pnąc się, co płynąc w pyle. Kiedy w końcu wydostała się z wybitej uderzeniem dziury, przekonała się, że nadal trudno jej oddychać.

Znalazła się na pustej równinie, rozpościerającej się aż po horyzont. Słońce wściekle prażyło, lecz niebo było ciemne, a powietrze tak rozrzedzone, że widziała gwiazdy. Nie wyglądały znajomo.

Halphemos, kaszląc i kichając, wyciągał wózek z Cerixem z drugiego płytkiego krateru w pobliżu. Ilna podeszła do nich, wysoko podnosząc nogi, jakby brodziła w bagnie. Pył nie przywierał do nóg i już nie unosił się duszącą chmurą – szczególnie to ostatnie było ważne w tym rozrzedzonym powietrzu.

– Gdzie jesteście, Halphemosie? – zapytała Ilna. Jej głos zabrzmiał jak pisk nietoperza. Uśmiechnęła się krzywo. – Nie narzekam. Nic się tu nie pali, a więc znalazłam się w przyjemniejszym miejscu, niż byłam przed chwilą.

– Nie wiem – wymamrotał Halphemos. Wyglądał na oszołomionego i wyczerpanego. Posłużył się swoją sztuką. Musiał użyć czarów, żeby uratować Ilnę. – Ja nie... Ceriksie, a ty wiesz?

Ilna pomogła wyciągnąć fotel na kółkach z dziury, jaką wybił, lądując. Kółka były za wąskie na taki pylisty grunt i zapadały się po osie niczym koła wozu po wiosennej odwilży. Sanie byłyby lepsze, lecz na tym pustkowiu nie było żadnego drzewa, z którego można by je zrobić.

Cerix wypluł grudkę flegmy i kurzu, którego się najadł, gdy impet wyrzucił go z fotela. Ostre światło jeszcze bardziej pogłębiało bruzdy na twarzy kaleki, ale Ilna uznała, że wyglądałby okropnie w każdym oświetleniu.

– To nie chłopiec nas tu sprowadził – rzekł Cerix. Potrząsnął głową, oszołomiony lub wściekły. – Otwieraliśmy ci przejście przez krąg mocy, lecz weszłaś weń, zanim tu przybyliśmy. I ściągnęłaś nas tutaj.

– Zobaczyłam was w powietrzu – powiedziała Ilna. Nie podniosła głosu. W tonie kaleki słyszała przyganę, ale od tak dawna żyła we własnym świecie, że czasami słyszała wymówkę tam, gdzie wcale jej nie było. – Skoczyłam do was, ponieważ inaczej pochłonąłby mnie ogień lub woda.

– Weszła do kręgu, który utworzyliśmy? – zapytał Halphemos swojego mentora. – Przecież to niemożliwe, prawda?

Otarł twarz rękawem szaty. Materiał był ciemny i gęsto obsypany szarym pyłem, który osiadł na nim przy lądowaniu. Halphemos wyglądał jak ucharakteryzowany na czarnoskórego komediant, grający rolę sługi Siostry.

– Niemożliwe dla mnie, a nawet dla ciebie, chłopcze – odparł Cerix – ale najwyraźniej ona właśnie to zrobiła.

Spojrzał na Ilnę.

– Kim jesteś, panienko? I nie mów mi, że jesteś tkaczką z jakiejś wioski na końcu świata. Jeśli mamy się stąd wydostać, musimy wiedzieć o sobie wszystko!

Ilna zmarszczyła brwi. Oddychając w tym rzadkim powietrzu, miała wrażenie, że dusi się pod poduszką. Niezależnie od tego, jak głęboko wciągała powietrze w płuca, wciąż brakowało jej tchu. To ją irytowało i zapewne powinna wiedzieć, że jej towarzysze są zirytowani z tego samego powodu.

Nigdy nie była skłonna wybaczać nieuprzejmości ani sobie, ani innym ludziom.

– Jeśli myślisz, że chciałoby mi się was okłamywać – warknęła – to straciłeś nie tylko nogi. Skoro jednak to nie wy uratowaliście mnie ze statku, to niczego sobie nie zawdzięczamy. Poszukam sobie miłszego towarzystwa.

Odwróciła się, by odejść. Każdy kierunek był równie dobry – a wszystkie jednakowo kiepskie. Pagórkowaty teren był kompletnie pusty. Ten krajobraz mógł być symbolem życia, przynajmniej życia takich osób jak Ilna os-Kenset. Na samą myśl uśmiechnęła się, mocno zaciskając wargi. Dostrzegła coś w oddali. W tym dziwnie ostrym świetle trudno było rozpoznać nawet znane kształty, ale wydało jej się, że widzi szkielet jakiegoś ogromnego stworzenia.

– Panienko, proszę! – powiedział Halphemos. – Cerix o nic cię nie oskarża. Próbowaliśmy cię uratować. Skoro zamiast tego znaleźliśmy się tutaj, zapewne popełniłem jakiś błąd. Tak jak wtedy, kiedy pozwoliłem, by zniknął twój brat.

Ilna obejrzała się przez ramię. Pozwoliła, aby kierował nią gniew. To było jeszcze gorsze od tego, co Cerix pomyślał – lub w co wierzył.

– Panienko – rzekł kaleka. – Boję się. Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale nie sądzę, żebyśmy mogli tu żyć. Modłę się o to, żebyś umiała wydostać nas stąd, ale nie mam pojęcia, jak mogłabyś to zrobić. Źle się wyraziłem, ponieważ jestem głupcem. – Z krzywym uśmiechem dotknął kikutów nóg. – Czego dowodzą moje nogi – dodał.

– No dobrze – odparła Ilna. – Sama popełniłam wiele głupstw, więc chyba powinnam być bardziej wyrozumiała dla innych.

Wcale tak nie myślała, ale skoro Cerix przeprosił, zobowiązywało ją to do innego zachowania. Skrzywiła się.

– Nie mam pojęcia, jak się tu dostaliśmy ani jak się stąd wydostać. Jeśli nie macie lepszego pomysłu, proponuję pójść w tym kierunku... – Ruchem brody wskazała północ. – Ponieważ w ten sposób będziemy mieli słońce za plecami. Już piecze mnie skóra. Wprawdzie słońce wydaje się za słabe, żeby wywołać oparzenia, ale tak właśnie się czuję.

– Czemu nie – rzekł niepewnie Halphemos, mrużąc oczy i spoglądając na północ. Wydało mu się, że na horyzoncie dostrzega góry, ale mogło to być złudzenie.

– Jeśli ona mówi, żebyśmy szli na północ – powiedział Cerix – to tam pójdziemy.

Zmarszczył brwi i przyznał:

– Ja nie mogę sam się poruszać. Mógłbym obracać kołami, ale to nic nie da w tym pyle. Jeśli chcecie mnie zostawić...

– Nie mów głupstw – przerwała mu Ilna. – Halphemosie, wykorzystamy twój pas jako sznur. Jest z jedwabiu i wydaje mi się dostatecznie długi.

Gdy młodzieniec zdejmował szarfę, Ilna mówiła do kaleki:

– A co do tego, kim jestem... Mój ojciec zapił się na śmierć po tym, jak przyniósł do Barca's

Hamlet mnie i mojego brata. Nigdy nie znałam mojej matki. Domagam się tylko takiego szacunku, jaki należy okazać uczciwej kobiecie płacącej swoje długi. To wszystko, co zamierzam powiedzieć o moich prywatnych sprawach. Rozumiesz?

Cerix parsknął głośnym śmiechem. Halphemos, który wiązał pas do przedniej osi wózka, podniósł głowę. Z troską spojrzął na swojego mentora. Stary przestał się śmiać i znów wypluł z płuc grudę flegmy. Otarł usta i śmiejąc się z siebie, spojrzął na Ilnę.

– Nie rozumiem cię, panienko – powiedział – lecz co do mojego szacunku... W ten z pewnością nie musisz powątpiewać.

Ilna kiwnęła głową, a do Halphemosa powiedziała:

– Im szybciej ruszymy, tym większą będziemy mieli szansę na to, że znajdziemy wodę, dopóki jest jasno. Chociaż nie sądzę, żeby była to duża szansa.

Młodzieniec posłał jej pełen nadziei uśmiech i chwycił prowizoryczną uprząż. Ilna złapała drugi koniec jedwabnego sznura i ruszyli.

Wózek pozostawiał za sobą głęboką bruzdę. Halphemos tak przywiązał sznur, by przód wózka lekko się unosił, i tym samym nie wbijał się coraz głębiej w pył przy każdym kroku. Ale i tak była to ciężka praca. Noszenie wiader z wodą ze studni do kotła w pralni, po dwa wiadra na nosidłach, było dla kobiety udręką, lecz ta kończyła się, gdy kocioł był pełen. Ten szlak nie skończy się, dopóki wszyscy troje nie umrą.

Uśmiechnęła się na myśl o studni we wiosce. Na tym pustkowiu jedynym miejscem, gdzie ona i jej towarzysze znajdują wodę, były wspomnienia. Czasem natrafiali na pasy przebarwień tworzących koncentryczne kręgi. Być może kiedyś w tych miejscach rosły porosty, lecz teraz pozostały po nich tylko ślady i nieco twardsza gleba.

Szli. Ilna nie wiedziała, jak długo. Tutejsze słońce poruszało się wolniej niż w jej świecie. Czasem odpoczywali, lecz na tym pustkowiu nie dało się odpocząć.

– Jesteśmy na dnie Morza Zewnętrznego – orzekł Cerix. – Rozciąga się od Lodowych Przylądków aż po południowe krainy, gdzie ludzie mają twarze na brzuchach.

Ilna zaryzykowała i zerknęła przez ramię. Zaryzykowała, ponieważ wiedziała, że jest bardzo zmęczona i przy najmniejszej zmianie rytmu marszu może się przewrócić. A powstać z ziemi będzie równie trudno, jak w zwyczajnym świecie wspiąć się na wysoki szczyt.

Cerix uśmiechał się, gdy jego wózek kołysał się, sunąc po pagórkach. Poruszał rękami jak pływak i obserwował drogę gwiazd na czarnym niebie.

Ilna znów spojrzała przed siebie. Delirium to niezła reakcja na taką sytuację. Oczywiście, to forma słabości. Narkotyk, którym upajał się kaleka i którego odór przywarł jak barwnik do jego szat, najwidoczniej osłabił siłę jego woli.

Wprawdzie siła nie ocali Ilny, lecz słabość też nic jej nie da. Ilna szła dalej, nadając tempo. Pył jak morskie fale spowalniał kroki, czepiając się nóg.

Chociaż kaleka sprawiał wrażenie szaleńca, ta równina rzeczywiście wyglądała tak, jak zdaniem Ilny wyglądałoby dno wyschniętego morza. Za jej życia szczególnie silny odpływ dwukrotnie odsłonił szeroki na kilometr pas morskiego dna na wschodnim krańcu Barca's Hamlet.

Nie wiał wiatr. Chłodne powietrze było tak rozrzedzone, że nawet pot powoli parował ze zmęczonego ciała. Zimna jak ostrze noża kropla spłynęła Ilnie po plecach. Dziewczyna oddychała przez nos, chociaż każdy wdech niczym ostry dym ogniska drażnił nozdrza. Oddychając otwartymi ustami jeszcze szybciej odwodniłaby organizm.

– Co to? – wychrypiał Halphemos. Wskazał na jakieś porzucane resztki leżące kilkaset metrów na prawo.

Z pyłu sterczały metalowe żebra, przypominające wręgi kadłuba. Pozostało na nich kilka kawałków metalu, lecz za mało, by można ocenić rozmiary statku. Mimo daleko posuniętego rozpadu te płyty nadal były błyszczące – odbijało się w nich słońce i gwiazdy.

– To nam nie pomoże – powiedziała Ilna. Chrypiała jeszcze gorzej od Halphemosa. Śmierć byłaby ulgą.

– Żeglujemy w przestworzach – majaczył Cerix, radośnie się uśmiechając. – Widzisz, jak tańczymy w chmurach, Halphemosie? Och, nigdy nie czułem się tak wolny!

Młodzieniec skrzywił się. Ze spuszczoną głową szedł dalej, jakby nie słyszał majaczenia przyjaciela.

Ilna nie poddawała się, nigdy bowiem tego nie robiła. Palily ją płuca, miała wrażenie, że ciężar wózka zaraz wyrwie jej ręce ze stawów, a pulsujący ból głowy otaczał świetlistą aureolą wszystko, na czym próbowała skupić wzrok.

Nie było sensu iść dalej, lecz życie też nie miało żadnego sensu, przynajmniej dla Ilny. Tak więc szła dalej.

– Och, spójrzcie na te fontanny! – zawołał Cerix. – Czy widzieliście kiedyś coś piękniejszego od skrzącej się w słońcu wody? Znaleźliśmy raj, Halphemosie! Pani zesła z niebios i uratowała nas!

Ilna miała ochotę zakneblować kalekę kawałkiem tuniki. Zastanawiała się, czy wystarczy jej siła, żeby oderwać pas materiału. Uduszenie Cerixa sprawiłoby jej większą radość niż tylko zatkanie mu ust.

– Jacy zgrabni! – powiedział Cerix. – Złociści i tacy piękni!

Halphemos zaczął się zataczać. Szarpnął za sznur, wybijając Ilnę z rytmu.

– Obudź się! – powiedziała. – Uważaj, co robisz.

Nawet nie była pewna, czy te słowa padły z jej ust. Wargi miała suche i pokryte pyłem.

W ziemi przed nimi utworzyła się owalna zapadnia, emanując światłem barwy zimowego świtu. Z otworu wyszli ludzie i pomaszerowali w kierunku trojga przybyłych. Byli złociści, piękni i jarzyli się własnym blaskiem.

Halphemos potknął się i upadł jak pchnięty w serce. Nawet nie wyciągnął rąk, żeby złagodzić upadek. Nie zauważywszy tego, Ilna dalej ciągnęła wózek. Gdy koła natrafiły na nogi leżącego młodzieńca, szarpnięcie przewróciło Ilnę na kolana. Z trudem usiłowała obrócić Halphemosa. Ten pył udusi go równie pewnie, jak zrobiłaby to woda oceanu, o którym wciąż mamrotał Cerix. W końcu chwyciła go rękami za włosy i uwolniła z pyłu jego usta i nos.

Złocisty lud z halucynacji delikatnie podniósł młodzieńca. Inne ręce pomogły Ilnie wstać. Jej ciało wydawało się lekkie jak pyłek dmuchawca.

– Odpręż się i pozwól nam się nieść – rzekł melodyjny głos. Ilna płynęła nad ziemią w kierunku owalnego otworu i tryskającego zeń światła. Nie widziała towarzyszy. Pomyślała, że już umarła.

Namaczona w słodkim winie gąbka dotknęła jej ust. Alkohol boleśnie zapiekł popękane wargi. Ten ból wydał się realny. Znowu skupiła wzrok. Jakiś mężczyzna, wysoki i szczupły, podawał ją przez otwór równie posągowo zbudowanej blondynce. Przed nimi podobne postacie znosiły Halphemosa i Cerixa w dół po krętej pochylni. Dalej wszystko było światłem, roślinnością i architekturą równie delikatną jak rzeźby w cukrze. Wśród zieleni woda migotała dziesiątkami strumyków i fontann. Blask zdawał się przenikać Ilnę. Słyszała śpiew – głosy bardziej czyste i ekstatyczne niż kardynałów na wiosnę.

Wpadła w jezioro złotego blasku i znikła w jego ciepłej toni.

Czarodziej Nimet, który w obecnym wcieleniu przybrał postać Nonnusa Pustelnika, nakreślił krąg

mocy na goncie wyjętym z ruin chaty Unarca. Postukał weń rytualnym sztyletem ze skamieniałej kości i zaintonował:

– *Barbliois eipsatha athariath...*

Sześciu żołnierzy Nimeta czekało przy wejściu do dziupli w baobabie. Osan udawał, że ogląda krawędź swej okrągłej tarczy i nie zdaje sobie sprawy z tego, że kilka kroków dalej ktoś odprawia czary. Żaden z pozostałych nie miał zadowolonej miny, chociaż ich twarze wyrażały rozmaite uczucia – od znudzenia po niepokój Crattusa, ich dowódcy. Dziewczyna była dzielna i zręczna, a pewlański nóż to nie żarty, obojętnie, kto go trzyma.

– *Pelchaphiaon barbatlueaoth io* – powiedział Nimet. Słońce weszło kilka minut wcześniej, chociaż jeszcze ani jeden promień światła nie przedarł się przez baldachim liści. Nad kręgiem mocy utworzył się sferyczny obraz porannego nieba wraz z chmurami i stadem wracających do domu owocożernych nietoperzy. Widziane w tej kuli były maleńkie jak drobinki kurzu.

Żołnierze trzymali w dłoniach lewych rąk małe tarcze. Mieli proste hełmy z brązu i kamizelki z usztywnionego lnu, już mokre od potu. Denalt i Bies, którzy pierwsi mieli wejść do jaskini, trzymali włócznie drzewcami naprzód, zamierzając użyć ich jak pałek. Osan i Seno dobyli mieczy. Mieli pójść następni.

– *Marmarauoth ieaoth* – powiedział czarodziej. Gdy wymówił te słowa, złocista kula z pogodnym niebem uniosła się na wysokość jego głowy. Zaczęła lecieć w kierunku szpary w pniu baobabu. Jej zimna poświata, chociaż słaba, w mroku pod baldachimem drzew wydawała się świecić jak pochodnia.

Crattus i Bayen byli weteranami o trzydziestoletnim doświadczeniu. W razie potrzeby przybijają włóczniami do ściany ręce dziewczyny, wierząc, że bogini fortuny nie pozwoli im uszkodzić tętnicy. Nimet chciał schwytać dziewczynę żywcem, ale wyraźnie dał do zrozumienia, że jeszcze bardziej zależy mu na tym, żeby samemu pozostać przy życiu.

Crattus nie spierał się z pracodawcą. Ponadto sam wyznawał podobne poglądy.

– *Achrammachamarei!* – zawołał Nimet. Z trudem podniósł się z klęczek. Złudzenie, pod każdym względem będące obrazem nieba nad dżunglą, przeleciało przez szczelinę do wnętrza baobabu. Wlatując, oświetliło dziuplę.

– Czas zapracować na zapłatę – rzekł Crattus i skinął na Denalta. Pierwszy żołnierz wcisnął się do środka, trzymając tarczę bokiem, aż otwór stał się dostatecznie duży, aby mógł nieść ją prosto.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze nie zapracowaliśmy? – spytał Bies ze smętnym grymasem. Poszedł za Denaltem. Osan, a potem Seno, przecisnęli się za nimi przez szczelinę. Każdy odczekał chwilę, żeby nie deptać po piętach poprzednikowi.

Złudzenie zawisło na środku dziupli, rzucając miękki blask na drewniane ściany. Naprzeciwno, na drewnianej ławie, leżał ktoś okryty niebieskim płaszczem. Obok stał oparty o ścianę oszczep.

– Nie żyje? – zapytał Denalt. Ostrożnie zrobił krok w kierunku płaszcza, zasłaniając się tarczą.

– Uważaj!... – wrzasnął Bies.

Nonnus zeskoczył znad otworu wejściowego, gdzie przywarł do ściany. Wylądował między właśnie przeciskającym się przez szczelinę Osanem a żołnierzami, którzy byli już w środku. Pewlański nóż przeciął gardło Osana.

Nonnus obrócił się w miejscu. Bies usiłował odwrócić się i zadać cios włócznią. Pewlański nóż, ostry i ciężki jak topór, wniknął pod dolny skraj krótkiego pancerza Biesa i przeciął ciało jak kosa łan zboża. Taki sam cios rozciął ścięgna i tętnice pod kolanami Denalta, zanim ten zorientował się, że zawinięte w płaszcz Shariny śmieci nie są jego prawdziwym wrogiem.

Osan wpadł do środka, brocząc krwią jak bezgłowa kura. Potknął się o wnętrze Biesa i obaj

stracili równowagę, wpadając na wrzeszczącego Denalta.

– Co jest? – krzyknął Seno, przeciskając się przez szczelinę, żeby sprawdzić, dlaczego Osan tak nagle rzucił się do środka. Miał lekko pochyloną głowę. Nonnus od tyłu rozrąbał mu kark i niczym krwawy cień wślizgnął się w szczelinę.

– Wracajcie! – zawołał Crattus. Wrzaski w dziupli nie miały znaczenia, ale wyczuł odór krwi.

Bayen odsunął się na bok, żeby przepuścić Seno przez wąski otwór. Otworzył usta, chcąc powiedzieć coś do Crattusa. Nonnus chwycił włócznię Bayena tuż powyżej grotu i odepchnął go silnym szarpnięciem. Bayen puścił włócznię, lecz na chwilę stracił równowagę, co wystarczyło, by pewlański nóż przeszył mu gardło. Wypluł odcięty język wraz z fontanną krwi.

Crattus zadał pchnięcie nad ciałem padającego kamrata. Nonnus nie uchylił się, lecz schował za Bayenem.

Crattus głośno zaklął i uskoczył. Cięcie pewlańskiego noża rozcięło mu do kości lewe udo. Przecięte mięśnie skurczyły się, odsłaniając końce arterii udowej. Z dolnej sączyła się krew; z górnej tryskała strumieniem w rytm uderzeń serca.

Crattus upadł na wznak. Był dzielnym człowiekiem: jeszcze z tej pozycji cisnął włócznią w Nonnusa, chociaż nie liczył na to, że pocisk trafi w cel.

Zamiast uchylić się, Nonnus odbił grot klingą noża. Wolałby szybko i litościwie uśmiercić Crattusa, lecz stary żołnierz dobył miecza, lewą ręką zaciskając brzegi rany. Nic mu to nie dało, ale Nonnus uszanował tę próbę. Crattus nie był człowiekiem, którego można by lekceważyć.

Na widok okrwawionego demona wyskakującego z otworu w pniu, Nimet rzucił się do ucieczki. Nonnus pochylił się i otarł ostrze noża o rąbek tuniki Bayena, po czym wepchnął broń do pochwy. Niespiesznie ruszył w ślad za czarodziejem. Ta dżungla nie była dla niego znajomym środowiskiem, lecz w każdym miejscu obowiązują podobne prawa: uważaj na otoczenie i niczego nie rób pochopnie.

Znalazł Nimeta pięćdziesiąt kroków dalej. Czarodziej wpadł w kępę bambusów. Nonnus uśmiechnął się. Nimet równie dobrze mógłby próbować przecisnąć się przez granitowy głaz jak przez ten gąszcz grubych na palec pędów.

Czarodziej wszedł dwa metry w głąb twardej jak drut gęstwiny. Teraz usiłował się wydostać i walczył ze sprężystymi łodygami, które równie zaciekle zagradzały mu drogę powrotną. Ujrzał Nonnusa czekającego pod szerokimi liśćmi w kształcie słoniowego ucha.

Nimet wrzasnął i próbował wyjąć miecz. Ręka uwięzła mu w łodygach bambusa. Liście, drobne, lecz o ząbkowanych brzegach, pokryły jego skórę pajęczyną skaleczeń.

– Poznajesz mnie, Nimecie? – zapytał Nonnus.

Lewą ręką sięgnął w gąszcz, chwycił czarodzieja za kark i wyciągnął na ścieżkę. Stanęli twarzą w twarz. Nimet zacisnął palce na trzymającej go za gardło dłoni, lecz nie zdołał rozluźnić chwytu. Czarodziej usiłował coś powiedzieć, lecz z jego ust wydobyły się tylko pęcherzyki śliny.

– Skalałeś moją pamięć! – rzekł Nonnus.

Rzucił czarodzieja twarzą w warstwę liści. Zanim Nimet zdążył się podnieść, Nonnus przydepnął mu kark.

– Ja!... – wrzasnął Nimet.

Nonnus złapał go za włosy i szarpnął w górę. Kręgi szyjne pękły z głośnym trzaskiem. Pustelnik cofnął się, ciężko dysząc. Wykonał swoje zadanie.

Spojrzał w górę, w gwiazdzisty kawałek czystego nieba. Uśmiechnął się. Zmiana zaszła z gwałtownością tropikalnego zachodu słońca. Ciało i kości płynnie przybrały poprzedni kształt.

Tam, gdzie przed chwilą stał czterdziestoletni mężczyzna, osunęła się na ziemię nieprzytomna,

wysoka i smukła dziewczyna. Jej ręce i szata były czerwone od krwi.

Cashel nie mógł oddychać. Pająki pełzały po jego twarzy. Poruszył ciężkim jak ołów ramieniem, żeby je strącić.

Leżał twarzą w dół w słonej wodzie, tonąc. Aria krzyczała mu do ucha, usiłując utrzymać jego nos nad wodą. Cashel odwrócił się, sapnął jak wieloryb i znów się zanurzył. Zupełnie nie miał siły i nie pamiętał, jak znalazł się w morzu.

– Zahagu! Pomóż mi! – zawołała księżniczka. Teraz ciągnęła za kołnierz tuniki Cashela.

Cashel próbował nabrać tchu, połknął trochę wody i gniewnie zamachał rękami. Tym razem wynurzył się na powierzchnię. Zobaczył łódkę, która kołysała się na fali kilka metrów dalej. Siedzący w niej człowiek...

Tym człowiekiem był Cozro, kapitan statku, który przywiózł do Erdinu ciało Łuskowatego. Co on tu robił?

Cozro siedział na rufie, niezdarnie wiosłując rękami. Nie zwracał uwagi na Cashela i dziewczynę. Aria krzyczała, jakby chciała, żeby usłyszano ją na Pandah.

Zahag wciągnął się na burtę łódki. Cozro przestał wiosłować i chwycił zardzewiały kordelas. Małpolud odskoczył na dziób, zwinnie przenosząc ciało na długich ramionach. Jego wrzaski przeszły w niemal owadzi świergot.

Cashel kilkoma gwałtownymi uderzeniami rąk i nóg dopłynął do bączka. Był tak zmęczony, że słyszał plusk, ale nie czuł wody, w której płynął. Cozro zobaczył go i wcisnął się w kąt łodzi.

– Kim jesteście? – krzyknął.

Cashel chwycił się burty. Nie był pewien, czy potrafi się wciągnąć do łódki. Zdołał dopłynąć tak daleko, ponieważ bał się o Zahaga.

– Odłóż ten miecz! – krzyknął do Cozro.

Aria też chwyciła burtę łodzi.

– Zahagu! – zawołała. – Pomóż Cashelowi wejść!

Księżniczka unosiła się jak puch dmuchawca na wodzie, podtrzymywana przez wyдутą szatę. Kiedy materiał nasiąknie wodą, pociągnie ją jak kamień na dno, ale dopóki między warstwami materiału było powietrze, suknia utrzymywała Arię na powierzchni.

– Skąd mam wiedzieć, że jesteście ludźmi? – powiedział Cozro. Opuścił kord, ale nie odłożył go. – Wyglądacie mi raczej na... na...

Nieludzko silną ręką Zahag złapał Cashela za ramię i zaczął wciągać na łódź. Chociaż małpolud przytrzymał się drugiej burty, łódka o mało nie przewróciła się do góry dnem. Cozro wrzasnął ze strachu i przeniósł na drugą burtę cały ciężar swego sporego ciała. Cashel zebrał siły i wciągnął się na pokład.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Bączek zakołysał się, gdy Aria wdrapała się do niego z pomocą Zahaga.

– Kim jesteście? – powtórzył Cozro. Odłożył kordelas i najwyraźniej bał się ponownie go chwycić. Wiedział, co Cashel myśli o tym, że kapitan zamierzał ich zostawić i sam popłynąć na wyspę.

Cashel ciężko dyszał. Jeszcze nie był w stanie usiąść na ławeczce, więc tylko oparł się o nią, powoli odzyskując siły. Uniósł głowę i spojrzał na Cozro. Zduszonym z gniewu głosem powiedział:

– Płynąłeś ku wyspie. Bierz się do roboty. Moi przyjaciele i ja będziemy patrzeć.

Cozro kiwnął głową, przełknął ślinę i zaczął młócić wodę rękami. Pewnie sądził, że jeśli Cashel wpadnie w gniew, znajdzie siłę, by zrobić wszystko, cokolwiek zechce.

Cashel pomyślał, że kapitan ma rację.

DWUDZIESTY SIÓDMY DZIEŃ CZAPLI

Garric podparł głowę rękami, zmęczony jak jeszcze nigdy w życiu. Praca na wsi czasem była znojna i często długotrwała – na przykład koszenie od świtu do zmierzchu w długie letnie dni w obawie, że następny ranek może przynieść deszcz.

Natomiast teraz był wyczerpany psychicznie – zupełnie inne, ale nie mniej przykre uczucie. Od dziesięciu godzin nie wstawał z krzesła.

Uśmiechnął się. Nie było aż tak źle. Korzystał z łazienki przylegającej do tej komnaty, która przedtem była salą audiencyjną królowej, a teraz jego biurem. Liane zasugerowała, że lepiej będzie, jeśli Garric założy główną kwaterę w rezydencji królowej niż w domu należącym do Royhasa.

– Następnym petentem jest Nimir bor-Nummermann, ziemianin z półwyspu Routan, na zachodnim końcu wyspy – oznajmiła Liane, trzymając woskową tabliczkę, na której robiła notatki przy świetle trzypalnikowej lampki oliwnej. – Powiedział mi, że przychodzi złożyć hołd w imieniu swojego dystryktu, lecz Tadaï twierdzi, że toczy spór o spadek ze swoimi dwoma przyrodniymi braćmi.

– Mimo to może będziemy musieli go poprzeć – mruknął Garric przez splecione palce. – Jego bracia mogli nabyć prawa do spadku dzięki królowej. Niech Pani kieruje moimi krokami!

Garric nie myślał tak często o Wielkich Bogach, od kiedy jako mały chłopiec obserwował procesje z okazji święta Tithe. Kapłani z Carcosy co roku ciągnęli przez wioskę wózki z wielkimi posągami Pani i Pasterza, zbierając roczną daninę. Garric już wiedział, że te figury były z pomalowanego drewna, lecz wówczas ich kolorowe jedwabne szaty i złożone ozdoby wyglądały naprawdę bosko w oczach, które jeszcze niewiele widziały.

Teraz myślał o Wielkich Bogach, ponieważ chciał wierzyć, że ktoś rozumie sprawy, których on nie może pojąć.

– Mam go wpuścić? – spytała Liane.

Royhas – i każdy ze spiskowców – chętnie podesłałby Garricowi doświadczonego sekretarza, znającego już wszelkie niuanse polityki Ornifal. Liane była od nich lepsza. Garric miał pewność, że jest wierna tym samym ideałom co on, jakkolwiek niesprecyzowane były to poglądy. Potarł palcami skronie.

– Liane – powiedział. – Nie sądzę, żebym zdołał dziś jeszcze kogoś przyjąć.

Pociągnął łyk wody z sokiem cytrusowym z dzbana ozdobionego wizerunkiem dwóch herosów walczących ze skrzydlatymi demonami. Był to sandrakkański wyrób – czerwone postacie na czarnym tle, a nie czarne na kremowym, jak nakazywała konwencja przyjęta na Ornifal. Podniósł głowę i uśmiechnął się do Liane. Poprzedniego dnia kupiła całe wyposażenie tego biura.

– Czy przybył już szyper, który ma zabrać list?

– Nazywa się Ansulf – powiedziała, wstając. – Nie sądzę, ale sprawdzę w poczekalni. Czy mam powiedzieć innym, że dziś już nie przyjmujesz?

– Będiesz tak dobra? – odparł Garric. Oczywiście petenci wrócą jutro wraz z setkami innych ludzi, którzy sądzą, że mogą uzyskać coś od Garrica or-Reise’a. – Jeszcze nie napisałem tego listu. Ja...

– Zostawię cię samego – powiedziała Liane, spełniając prośbę, której nie wypowiedział głośno. Potrzebował odrobiny samotności – zarówno on, jak i Carus. – Kiedy przyjdzie Ansulf, zapukam w drzwi, dobrze?

Garric skinął głową. A raczej książę Garric, bo chyba taki teraz nosił tytuł. Na samą myśl ścisnęło go w gardle. *Pani, proszę, prowadź mnie*, szepnął, gdy drzwi cicho zamknęły się za Liane.

Podszedł do drzwi. Na ulicy za nimi już od kilku godzin było ciemno. Inni spiskowcy byli zajęci formowaniem rządu – a przynajmniej Royhas, Tada i Waldron. Pitre powinien skontaktować się z królem i zaaranżować spotkanie, a Sourous miał zwołać zebranie miejskich cechów rzemieślniczych. Jego rodzina kontrolowała na Ornifal handel odzieżą. Royhas twierdził, że cokolwiek można myśleć o samym Sourousie, trzeba przyznać, że ma bardzo sprawny personel.

Niezależnie od tego, jak dobrzy są podwładni, nawet jeśli są nimi szlachcice o rodowodzie sięgającym tysiąc lat wstecz, zawsze znajdują się ludzie, którzy nalegają na spotkanie z przełożonym. Garric jęknął. Kiedy naprawdę znajdzie się na samej górze, to będzie nie do zniesienia.

Oparł się o parapet okna i uśmiechnął ze znużeniem. Oczyszczył umysł z wszelkich myśli, po czym pograżył się w zadumie, stając u boku króla Carusa.

Pod nimi był zatłoczony plac, okolony monumentalnymi budowlami. Garric miał wrażenie, że poznaje świątynię naprzeciwko, chociaż we współczesnej Carcosie pozostały z niej tylko trzy kolumny.

– Świątynia Pasterza Strzegącego Królestwa? – zapytał.

Carus skinął głową.

– Oto moja uroczystość adopcyjna – rzekł Carus. – Król Carilan uznał mnie za swego syna i przyszłego dziedzica. A byłem tylko dalekim kuzynem. Miał bliższych krewnych, lecz wraz ze swymi doradcami uznał, że ja zapewnię rządu silnej ręki, potrzebne do utrzymania jedności królestwa w czasach narastających niepokojów.

Dym uniósł się z ołtarza wzniesionego w połowie świątynnych schodów. Po jego obu stronach stali kapłani i dworzanie w złotych lub wielobarwnych szatach dostojników. Carilan i klęczący przed nim nastoletni Carus nosili odświętne szaty z białej wełny.

– Jak ci się podoba bycie królem, chłopcze? – zapytał z uśmiechem Carus.

– Nienawidzę tego – odparł ponuro Garric. – Ludzie, z którymi mam teraz do czynienia, to sami desperaci, którzy przychodzą do mnie, ponieważ nie udało im się uzyskać audiencji u Valence’a. – Zaśmiał się niewesoło i dodał: – Ani niczego innego. Royhas twierdzi, że król nie pokazuje się publicznie od sześciu miesięcy, chociaż czasem wzywa kogoś, aby wyznaczyć mu jakieś szczególne zadanie. Tak jak kazał Royhasowi, żeby mnie zamordował.

Carus przestał się uśmiechać i pokiwał głową.

– Mówisz, że tego nienawidzisz, chłopcze – rzekł z goryczą. – Ja tak bardzo nienawidziłem spraw związanych z rządem, że szukałem wymówek, żeby tego nie robić. Każda była dobra, ale najlepsza była kampania wojenna. W końcu po to zrobiono mnie królem, no nie? Miałem rządzić silną ręką!

Carilan był szczupłym mężczyzną, wyglądał na siedemdziesięciolatka, chociaż z historii napisanej przez Adilera wynikało, że miał zaledwie pięćdziesiąt lat i słabe zdrowie. Na placu poniżej Carilan zdjął ze środkowego palca lewej ręki ciężki złoty pierścień i włożył go na palec Carusa, który wciąż klęczał.

– Ten pierścień ważył ćwierć kilo – powiedział Carus, z rozbawieniem kręcąc głową na samo wspomnienie. – Noszono go tylko podczas takich ceremonii. Znikł, kiedy dalopańscy piraci złupili Carcosę po tym, jak zatonałem wraz z moją flotą. Podejrzewam, że jakiś niewolnik wyklepał go młotkiem na blachę, którą pokryto tron jakiegoś kacyka z kością w nosie.

– Przecież koronowano cię po to, żebyś rządził silną ręką, prawda? – spytał Garric zaniepokojony gniewem, jaki usłyszał w głosie króla, który śmiał się nawet w sytuacjach, w których

inni uciekali z krzykiem. – Musiałeś to robić.

– Musiałem – przytaknął Carus – ale powinienem był robić znacznie więcej. A nie robiłem. Jeśli jedynym narzędziem, jakiego używasz, jest topór, to wszystkie problemy zmieniasz w drzewa, które należy ścinać.

Potrząsnął głową z żalem, ale już wyzbywszy się gniewu.

– Powiedziałem lordom Ornifal, że spustoszę ich wyspę od końca do końca, jeżeli nie przestaną przekupywać moich wrogów, żeby oszczędzali ich statki handlowe. O czym wtedy myślałem? Dlaczego nie przewidziałem, co się stanie, a co teraz tak łatwo mi zrozumieć?

– Przestali przysyłać podatki do Carcosy? – domyślił się Garric. – Pomyśleli, że płacąc je, tylko ukrecają sobie powrót na szyję?

– A także podwoili daniny, jakie po cichu składali earlom Cordin i Blaise – przyznał ze smutkiem Carus. – Doszli do wniosku, że jeśli tamci będą gotowi wszcząć bunt, to nie odważę się przeprowadzić z moją flotą przez Morze Wewnętrzne, żeby uderzyć na Valles.

– A jednak zrobiłeś to – rzekł Garric. Na stopniach świątyni Carilan ujął dłoń Carusa i podniósł go z klęczek. Wstali i unieśli złączone ręce. Niżsi rangą kapłani ostrożnie weszli po schodach, prowadząc byczka z girlandą na karku i złożonymi rogami. – Przeprowiłeś się przez morze, żeby zniszczyć diuka Yole.

– Nie tylko ja popełniałem błędy – powiedział Carus i znów sposepniał. – Myślałem, że zdołam z zaskoczenia podbić Yole, w powrotnej drodze powiesić tuzin arystokratów z Valles, a potem rozprawić się z Blaise i Cordin. To mogło się udać. Szybkie i nieoczekiwane manewry zapewniają zwycięstwa nie tylko na wojnie, ale i w pojedynku, chłopcze.

– Tylko że diuk Yole miał czarodzieja – powiedział Garric. Przypomniawszy sobie Zakapturzonego, stojącego w swym czarnym majestacie, gdy wokół walił się świat. – A może na odwrót.

– Tak czy inaczej, zniszczyli mnie i moją flotę – rzekł Carus. – A także królestwo i całą cywilizację wyrastającą powyżej poziomu trzech chat i muła do zaprzęgu. Gdyby nie zdarzyło się to w Yole, w innym miejscu przeliczyłbym się z siłami i posłużył mieczem zamiast językiem.

Kapłan uderzył ostro zakończonym młotem w czoło byczka. Zwierzę wierzgnęło nogami w agonii i runęło na podium. Jeden z kapłanów przeciągnął połączonym nożem po gardle byka, a drugi nadstawił płaską misę na krew.

W czasach ubóstwa, jakie nadeszły po upadku Dawnego Królestwa, zaprzestano składania krwawych ofiar. Garric cieszył się, że nie wskrzeszono tego zwyczaju w miarę wzrostu dobrobytu w następnych wiekach. Misy gorącej, świeżej krwi nie miały nic wspólnego z jego wyobrażeniem Pani, a bezmyślne zabijanie tym bardziej nie należało do obowiązków Pasterza.

– Zrobiłem sobie wrogów z ornifalskich wielmożów – rzekł cicho Carus – którzy wcześniej byli tylko głupcami. Choć nie tak wielkimi jak ja, który sądziłem, że mieczem rozwiążę wszystkie moje problemy. Ty lepiej się spiszesz, chłopcze. Już to robisz.

Plac pod nimi powoli zniknął. Gdzieś w oddali Garric usłyszał stukanie brązowego rylca Liane w drzwi komnaty.

– Jest tu pan Ansulf – szepnęła.

– Natomiast co do problemów, które rzeczywiście trzeba rozwiązywać mieczem – rzekł Carus, znów uśmiechnięty – to przekonają się, że na tronie zasiada ktoś, kto mocno dzierży broń w dłoni. Na Pasterza i honor Haft, zobacz!

Garric znowu był sam w wysoko sklepionej komnacie rezydencji królowej. Opierał dłonie o polerowany marmur, tak chłodny i gładki, jak oblicze władczyni, gdy dwa dni temu uciekała z Valles. Po tarasie przeleciał podmuch nocnego wiatru. Na ulicach w dole nosiciele pochodni

przewodzący rozradowaną gromadę, śpiewającą o słońcu i wolności.

– Proszę, wprowadź go, Liane – powiedział Garric, odwracając się od okna. Jeszcze nie napisał listu.

Usiadł za biurkiem, ale najpierw uśmiechnął się, witając Liane i towarzyszącego jej mężczyznę. Ansulf był jasnowłosy i żółtoskóry. Jego opończa, dłuższa o szerokość dłoni od tuniki pod spodem, była uszyta w ornifalskim stylu i ozdobiona miejscowym haftem, lecz jej właściciel pochodził z Cordin, a może z Tisamur.

– Panie Ansulfie – rzekł Garric, zanurzając koniec pióra w inkaucie – wybac mi zwłokę. Za chwilę skończę pisać.

Ansulf spędził większą część dorosłego życia w służbie u seriańskich kupców. Serianie, o odrębnej kulturze i religii niż inni mieszkańcy Wysp, zawsze byli traktowani podejrzliwie i często prześladowani. Ich osiągnięcia, umiejętności i zdolność prowadzenia interesów, zamiast budzić szacunek, powodowały jeszcze większą nienawiść.

Ze względów religijnych Serianie nie stosowali przemocy, więc do pilnowania swoich statków i posiadanych za granicą budynków wykorzystywali karłowatych kanibali, zamieszkujących wyżynne tereny ich wyspy. Z tych samych powodów wynajmowali takich ludzi jak Ansulf, którzy pełnili funkcję ich przedstawicieli w miejscach, gdzie rodowici Serianie mogliby zostać obrabowani lub zabici. Rodzina Liane korzystała z usług seriańskich bankierów i dzięki takim kontaktom dziewczyna znalazła posłańca, którego potrzebował Garric.

Garric napisał równym, eleganckim pismem, jakiego nauczył go ojciec:

Jeśli u Ciebie wszystko w porządku, to dobrze. U mnie też.

Mam tu kilku przyjaciół i wielu takich, którzy podają się za moich przyjaciół. Jeśli Bogowie pozwolą, jutro będę księciem i we wszystkich sprawach będę działał tak, jakbym piastował stanowisko Władcy Wysp. Mam aż nazbyt wielu ludzi, którzy twierdzą, że mogą nauczyć mnie, jak rządzić królestwem, ale mam również pałac, który potrzebuje służby i zarządcy, a nie ma tu nikogo, komu mógłbym powierzyć te obowiązki.

Potrzebuję Cię. Doręczyciel tego listu dostarczy Ci wszelkie fundusze i środki niezbędne do podróży. Zdaję sobie sprawę, jak liczne czekają Cię niebezpieczeństwa, lecz nie ma nikogo innego, kogo mógłbym o to prosić. Mam nadzieję, że przybędziesz niezwłocznie.

Garric or-Reise

Napisano w Valles na Ornifal, w rezydencji królowej.

Garric trzykrotnie złożył list na pół. Napisał adres, a potem odwrócił pismo i sięgnął po jedną ze świec, żeby zapieczętować je woskiem. Zawahał się, po czym otworzył list i starł z podpisu „or-Reise”. Nad swoim imieniem dopisał drobnymi literami „Twój kochający syn”. Dopiero wtedy zapieczętował list i wręczył go Ansulfowi.

Szyper obrzucił dokument fachowym okiem, a potem wepchnął go do skórzanej sakwy, wzmocnionej żelaznym drutem.

– Rozmawiałem o tamtejszym porcie z kupcami, którzy znają te rejony, Wasza Lordowska Mość – powiedział.

– W Barca’s Hamlet? – zdziwił się Garric. – Tam nie ma portu. To oznacza, że nie zawinie tam nic większego od łodzi rybackiej.

Ansulf wzruszył ramionami.

– Myślę, że damy sobie radę – rzekł. – Dobijając tam, zaoszczędzimy co najmniej tydzień drogi

ładem z Carcosy. Oczywiście, wszystko jest w rękach Pani, ale...

Uśmiechnął się ze spokojną pewnością siebie, jaką Garric widywał na twarzach wielu ludzi, którzy w pełni zasługiwali na miano ekspertów w swoim fachu.

– Słyszałem o tobie wiele dobrego, panie. Ośmielę się rzec, iż z ust tych samych ludzi, którzy zapewniali cię, że można mi zaufać.

Garric zaśmiał się. Wstał i uściśnął rękę Ansulfa, ujmując ją w łokciu.

– Niechaj strzeże cię Pasterz – powiedział. – A kiedy już dopłyniesz do Barca's Hamlet, mógłbyś w moim imieniu złożyć kawałek sera w ofierze Duzi? Mój ojciec pokaże ci wzgórze, na którym stoi jego posąg.

Szyper uśmiechnął się.

– Nigdy nie byłem tak dumny, żeby wzdragać się przed proszeniem bogów o pomoc – powiedział, otwierając drzwi, żeby wyjść. – I nigdy w niczym mi to nie zaszkodziło.

Drzwi zamknęły się za nim z cichym szcękaniem. Liane oparła się o nie i oznajmiła:

– Otrzymaliśmy wieści od wszystkich oprócz Waldrona. Zasadniczo reorganizacja administracji przebiega nawet sprawniej, niż oczekiwaliśmy. Sourous umówił cię na spotkanie z Papnotisem, jutro w królewskim pałacu. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zaraz potem zobaczysz się z królem.

Garric z roztargnieniem kiwnął głową. Kręciło mu się w głowie, gdy usiłował przypomnieć sobie wszystko, co mówił i robił tego dnia.

– Nie wiem, co oznacza milczenie Waldrona – dodała Liane, uważnie przyglądając się Garricowi.

Wzruszył ramionami.

– To, że dumą Waldrona można by obdzielić trzech ludzi – rzekł. – O czym dobrze wiedzieliśmy. Gdyby były jakieś kłopoty z rekrutowaniem żołnierzy pod nasze sztandary, Royhas zawiadomiłby mnie o tym. Ma swoich szpiegów w otoczeniu Waldrona.

– A zatem... – zaczęła Liane.

– Ciekawe, czy przyjedzie – mruknął Garric. Nie zwrócił uwagi na to, że chciała coś powiedzieć. – W końcu nie jestem jego synem.

– Człowiek, który cię wychował – powiedziała cicho Liane – nie wykręci się od tego obowiązku. Natomiast co do tego, że nie jesteś synem Reise'a... Dlaczego tak mówisz?

Garric zmarszczył brwi. Poczul się trochę nieswojo. Był pewien, że mówił o tym Liane...

– Jestem dzieckiem księżnej Tery – powiedział ostrożnie. – Reise był jej sekretarzem. Kiedy uciekał z Carcosy po zamieszkach, podczas których księżę i księżna zginęli, przedstawił mnie jako swego syna, żeby mnie uratować.

Liane skinęła głową. Garric nagle pojął, że Liane, wychowywana jak szlachcianka w tym czasie, gdy on pasł owce w Barca's Hamlet, jest znacznie bardziej wyrafinowana niż on.

– Wiem, że księżna Tera była twoją matką – odparła. – Z tego jednak wcale nie wynika, kto był twoim ojcem, Garricu. – Podeszła, uściśnęła go i szybko cofnęła się. – W każdym razie Reise przybędzie najszybciej, jak będzie mógł. A teraz...

Drzwi otworzyły się, gwałtownie i bez uprzedzenia. Garric, z reflekssem wyćwiczonym w innym życiu, wyrwał miecz z pochwy, zanim zaskoczony Royhas stanął jak wryty w progu. Idący za nim Waldron spojrzał na to z przelotnym uśmiechem rozbawienia, jaki Garric po raz pierwszy dostrzegł na jego twarzy.

– Przepraszam – powiedział Garric, wsuwając długie ostrze do pochwy.

Royhas miał na sobie dworski strój ze zwykłego beżowego jedwabiu, z naszytym na prawym boku szerokim czerwonym pasem, będącym oznaką godności kanclerza. Pas został świeżo przyszyty

do szaty, która choć bynajmniej nie znoszona, nie była też nowa.

– Lord Waldron przyniósł wieści – oznajmił i dał znak przybyłemu, żeby sam je przekazał.

– Dowódcy czterech regularnych regimentów – oprócz Krwawych Orłów – zgodzili się do nas przyłączyć – powiedział Waldron. Skrzywił się z niesmakiem. – Chociaż ci tchórze i tak nie zamierzali nic zrobić, dopóki Valence sam nie skapituluje. Czekałem tylko, aż bankierzy Tadaia przeleją na ich konto pierwsze raty łapówki.

Garric ze zrozumieniem pokiwał głową. Zawodowa armia Ornifal – gdyż nazywanie jej „królewska” byłoby nadmiarem uprzejmości wobec Valence’a – była źle opłacana, kiepsko dowodzona i bardzo słaba. Te cztery stacjonujące w pobliżu Valles regimenty liczyły łącznie zaledwie tysiąc pięćset żołnierzy, chociaż każdy z nich powinien liczyć tysiąc. Mimo to mogły znacznie utrudnić życie spiskowcom, występując przeciwko nim. Gdyby poparły króla, mogły stawiać opór tak długo, dopóki do Valles nie dotrą przysłane z północy posiłki i umożliwią Waldronowi zwycięstwo. Pozbawiony ich poparcia Valence będzie musiał dojść do porozumienia z Garrikiem.

Garric nie spodziewał się oporu. A gdyby nawet doszło do walki, ani on, ani Carus nie obawiali się jej wyniku. Wierzył jednak Tenoctris, która ostrzegała go, że nie zostało im wiele czasu.

– Wóz ze skrzynią pieniędzy już był w zasięgu wzroku – rzekł z goryczą Waldron. – A wtedy z arsenału floty przybył posłaniec z wieścią, że flota na Eshkol właśnie uznała za Władcę Wysp admirała Nitkera, który wkrótce przybędzie objąć tron. Regimenty pomaszerowały do arsenału. „Aby oczekiwać na dalszy rozwój wydarzeń”, jak powiedział mi ten bezmózgi pokurcz Pior, który dowodzi harkeńskim regimentem.

– W bazie morskiej na Eshkol jest dziesięć tysięcy ludzi – przypomniał Royhas, marszcząc brwi.

– Osiem – poprawiła Liane, sięgając po jeden z tuzina notatników, jakie miała w walizeczce, ale i bez niego pewna tej liczby. – Im też brakuje ludzi, chociaż nie aż tak jak armii.

– Zgnieciemy ich jak karaluchy, kiedy przybędą tu posiłki z północy – rzucił niecierpliwie Waldron. – Szlachta przyprowadzi tu prawdziwych żołnierzy, a nie morskich rabusiów z kordelasami w rękach.

Zarówno znajomość historii, jak i żywe wspomnienia Carusa mówiły Garricowi, że Waldron zbyt pochopnie wyciąga wnioski, co może doprowadzić do nieszczęścia. Zdyscyplinowane załogi, umiejące współpracować, mogą być groźnym przeciwnikiem dla zbieraniny gnuśnych szlachciców, nawet jeśli ci mają lepsze zbroje i więcej doświadczenia w walkach lądowych. Głośno powiedział:

– No cóż, na razie nie ma to dla nas znaczenia. Zaczniemy...

Korytarz za plecami obu szlachciców był pełen ich uzbrojonych strażników i petentów, którzy nie poszli do domów mimo nalegań Liane. Dym z dodatkowych lamp, wniesionych przez nowo przybyłych, mieszał się z tym, który już snuł się z wiszących na ścianach. Pod kasetonowym sufitem unosiła się ciemna chmura.

– Co takiego? – rzekł Waldron, raczej z gniewem niż zdziwieniem. – Nitker nie jest aż takim głupcem jak większość marynarzy i najwyraźniej jest ambitny. Jeśli...

– Na razie, powiedziałem – podjął Garric. Zmęczenie nie pozwalało mu ubierać tej riposty w grzeczne słówka. Poza tym w przypadku Waldrona uprzejmość tylko wypaczyłaby sens wiadomości, którą Garric zamierzał mu przekazać. – Chodziło nam o to, żeby regimenty stacjonujące w Valles nie poparły Valence’a. W tej chwili nie jest ważne, kogo popierają, byle nie jego. Jutro zawrzemy umowę z królem, tak jak planowaliśmy, a potem zajmiemy się Nitkerem...

Uśmiechnął się, a potem wybuchnął śmiechem, będącym w tym samym stopniu jego własną reakcją, co jego przodka.

– Chciałem powiedzieć, że zajmiemy się nim z przyjemnością – ciągnął – chociaż nie spodziewam się, żebyście chcieli się nią długo cieszyć. Natomiast teraz...

Ponownie uśmiechnął się, łobuzersko i przyjaźnie, na co Royhas uniósł brwi, a gniew Waldrona zmienił się w czujność. Obaj arystokraci zastanawiali się, czy Garric nie oszalał.

– ...zamierzam się przespać, jeśli mam się do czegoś nadawać podczas rozmowy z Valence'em. Mam nadzieję, że mi wybaczycie, lecz w tym momencie nie mogę zrobić niczego innego, co bardziej przysłużyłoby się naszej sprawie.

Skłonił się. Liane stanęła między Garrikiem a szlachcicami, a ci ukłonili się i zamknęli za sobą drzwi.

Sharina najpierw upewniła się, że jednym z dwóch mężczyzn jest Hanno. Opuściła kryjówkę, wyskakując zza pnia araukarii złamanego na wysokości kilkunastu metrów.

– Wszystko w porządku – zawołała. – Nie ma tu wrogów.

Hanno wyłonił się spomiędzy płataniny podporowych korzeni drzewa, między którymi skrył się, gdy usłyszał muchy.

– Unarcu – powiedział – to jest dziewczyna, o której ci opowiadałem. Chyba nie kłamałem, kiedy mówiłem, że jest dzielna. Panienko, to jest Unarc i najwyraźniej nie jest aż tak martwy, jak sądziłem.

Towarzyszający Hanno mężczyzna był niski i zbudowany jak pniak. Był też zupełnie łysy. Miał tak gęstą brodę i wąsy, że jego głowa wyglądałaby zwyczajnie, gdyby odwrotnie osadzono ją na karku. W dłoni trzymał nóż długości przedramienia, o ciężkim ostrzu wygiętym do wewnątrz jak hak. Prawą rękę miał przymocowaną do klatki piersiowej kawałkiem skóry, służącym jednocześnie jako bandaż i temblak.

– Właśnie wydobył łódź, kiedy dopadły go Małpy, które spaliły jego chatę – wyjaśnił Hanno. – Znów zrobiło się zamieszanie...

Wskazał włócznią na ramię Unarca.

– A kiedy było po wszystkim, łódka odpłynęła tak daleko w morze, że jednoręki nie zdołałby do niej dopłynąć.

– Miło mi cię poznać, panienko – rzekł Unarc. Było to chyba najbardziej oczywiste kłamstwo, jakie Sharina usłyszała z ust dorosłego człowieka. Łysy myśliwy wbił w ziemię wielki palec u nogi i mówiąc, patrzył nań przez cały czas. – Chyba zajrzę...

Nie tyle odszedł, ile skoczył w kierunku baobabu. Obecność kobiety niewymownie go krępowała.

Hanno drzewcem włóczni dotknął żołnierza z mieczem w dłoni. Trup miał żółtawą skórę, a krew, tworząca kałużę pod głęboko rozciętym udem, była jeszcze lepka.

– Widzę, że byłaś zajęta podczas mojej nieobecności – powiedział łowca. I przeproszającym tonem dodał: – Gdybym wiedział, że będą kłopoty, nie zostawiłbym cię tu.

– Na świętą laskę Pasterza! – Głos Unarca odbił się echem w dziupli. – Tu leży jeszcze czterech! Hanno uniósł brew, lecz nie odezwał się.

– Właściwie to nie ja – powiedziała Sharina. – Mój przyjaciel Nonnus... Pomógł mi.

Była zmęczona i niechętnie mówiła o tej rzezi. Wepchnęła pewłański nóż do pochwy i stała, żałując, że nie zdążyła pogrzebać ciała. Oczywiście i tak nie zdołałaby ukryć tego, co się stało.

Unarc wyszedł z dziupli i otworzył usta, żeby wygłosić jakąś uwagę. Zobaczył jednak, że Sharina rozmawia z Hanno, i nic nie rzekł.

– Chcesz powiedzieć, że to on cię nauczył tak posługiwać się nożem? – spytał Hanno.

Jakieś stworzenie w koronie drzewa zaczęło zawodzić bez końca: o-och, o-och! Łowca z błyskiem w oczach zerknął w górę. Zaraz jednak rozluźnił mięśnie i nie cisnął włócznią na oślep.

Posłał Sharinie słaby uśmiech. On też był zmieszany.

– Nie – mruknęła Sharina, odwracając wzrok. Wyprała tunikę w strumieniu. Zimna woda zmyła większość krwi, lecz doświadczone oczy myśliwego nie dały się zwieść.

– On wrócił i... zrobił to dla mnie. Sam. Teraz znów odszedł.

Hanno kiwnął głową, jakby wszystko rozumiał. Unarc dołączył do nich.

– Nonnus – rzekł w zadumie Hanno. – Czy to ten twój przyjaciel, który zjadłby mnie na śniadanie?

– Przepraszam. Nie powinnam była tak mówić. Byłam zła i wzięłam cię za następnego wroga.

Olbrzymi myśliwy uśmiechnął się wesolo. Trącił nogą dłoń żołnierza, sprawdzając, czy uda mu się wyjąć z niej miecz, ale trup kurczowo ścisnął rękojeść.

– Och – powiedział łowca – może miałaś rację, chociaż wielu ludzi chętnie zapłaciłoby sporo pieniędzy, żeby zobaczyć taką potyczkę. Jak myślisz, Unarc?

– Brednie, Hanno – wykrztusił łysy. – Pokonałbyś go. Chyba żeby wszedł do dziupli.

– W każdym razie, panienko – rzekł rzeczowo Hanno – ten twój Nonnus to zacny człowiek. Jestem rad z tego, że poznałem jego przyjaciółkę.

Machnął włócznią.

– Doszliśmy z Unarkiem do wniosku, że skoro nie możemy na razie opuścić wyspy, to powinniśmy dowiedzieć się, co też się na niej dzieje. Przyłączysz się do nas?

– Zdaje się, że ona nie będzie dla nas takim ciężarem, jak myślałem – przyznał Unarc, wbijając wzrok w ziemię. – Przepraszam, że wątpiłem w twoje słowa, Hanno.

– Owszem – przytaknęła Sharina. – Sądzę, że powinniśmy dowiedzieć się, co się tu dzieje. I może zapobiec temu.

Kiedy wylądowali poprzedniego dnia po południu, Cashel był tak zadowolony z tego, że znów ma pod nogami stały ląd, a nad głową zwyczajne niebieskie niebo, że nie zastanawiał się nad tym, gdzie się znajdują. A właściwie nie zastanawiał się, czy wrócili do tego świata, z którego on i Zahag zostali przeniesieni z dziedzińca pałacu króla Folquina.

Morze falowało prawie tak samo jak przy wybrzeżu Haft. Konstelacje wyglądały znajomo, przynajmniej większość, chociaż znajdowały się nieco wyżej na niebie, a na południowym horyzoncie pojawiły się gwiazdy, jakich wcześniej nie widział nawet Cozro, który twierdził, że za młodu pływał aż do Shengy. Wszystko to oznaczało, że znaleźli się bardzo daleko od uczęszczanych szlaków, a nie w innym świecie.

Mimo to Cashel nadal czuł swędzenie, które zaczął łączyć z czymś... złym. Z czarami. No właśnie, pomyślał.

– Hej! – zawołał Zahag, przetrząsając plażę. – Chodź i zobacz te jajka!

Cashel podniósł głowę. Na tej wyspie nie znaleźli śladów żadnych stworzeń groźniejszych od karłowatych świń, lecz jeszcze nie mieli czasu, by dokładnie ją przeszukać. Zahagowi nic nie groziło, a Cozro – nawet bez kordelasa, który Cashel zabrał mu jako jedyne narzędzie nadające się do cięcia drewna – prawdopodobnie też był bezpieczny, ale Cashel nie chciał zostawiać Arii samej.

– Masz ochotę na spacer, księżniczko? – zapytał ją.

Aria siedziała w cieniu, obejmując ramionami kolana i spoglądając na piasek u swoich stóp. Popatrzyła na niego bez entuzjazmu. Od słonej wody miała zlepione włosy i przekrwione oczy. W otartych przez materiał miejscach pojawiły się zaczerwienienia, a nawet rany.

– A jakie to ma znaczenie? – odparła, ale wstała.

– Masz tu kordelas – rzekł Cashel, wręczając jej broń. – Ja wezmę laskę, dobrze?

Cashel wystrugał z pnia palmy wiosło. Wynik był zadowalający. W każdym razie lepszy, niż Cashel oczekiwał. Jeszcze nie zdecydował, czy zbuduje większą łódź, czy też opuszczą wyspę w tej łódce, kiedy wystruga dwa wiosła i osadzi maszt.

– Powłókłbyś mnie, gdybym nie poszła, prawda? – powiedziała kwaśno dziewczyna. W trakcie ostatnich burzliwych wydarzeń przestała wierzyć w to, że została poddana próbie jak Cierpliwa Muzira. Wielka szkoda, ale Aria była teraz znacznie odporniejsza od tej kapryśnej panienki, którą Cashel i Zahag uratowali z wieży czarodzieja. Dokonała wiele i sporo miała jeszcze zrobić, chociaż uważała to za okropną niesprawiedliwość.

Ruszyli piaszczystą plażą w kierunku, z którego dobiegał głos Zahaga. Gdzieś pod ziemią musiała płynąć słodka woda, wokół rosła bowiem bujna roślinność, a nie tylko tamaryszki o drobnych i gorzkich listkach, jakie Cashel widywał na podobnych wysepkach Wewnętrzznego Morza. Na razie rozbitkowie ugasili pragnienie owocami, lecz może będą musieli wykopać studnię, żeby odpływając z wyspy, zabrać zapas wody pitnej.

Cashel nie wiedział, czy w łódce zmieszczą się wystarczające dla czterech osób zapasy żywności i wody, ale nie był również pewien, czy sam zdoła zbudować żeglowną łódź, a wszystko wskazywało na to, że będzie musiał. Aria nie nadawała się do niczego, Zahag potrafił się skupić na czymś najwyżej przez dwie minuty, a Cozro... No cóż, Cozro znalazł na wyspie owoc wielkości moreli o twardej skorupie. Odkrywszy, że otwarty orzech fermentuje po zaledwie kilku godzinach, kapitan niczym więcej się już nie interesował.

– Zastanawiałem się, czy w ogóle przyjdziecie! – rzekł gniewnie Zahag na widok Cashela i Arii. Małpolud stał na dwumetrowym kopczyku wodorostów, tuż za linią wody. Odgarnął wierzchnią warstwę i oburącz grzebał wewnątrz. – Jeśli myślicie, że wszystko zrobię sam, to się mylicie!

– Wcale tak nie myślę – rzekł sucho Cashel. Przyzwyczał się do małpoluda. Zahag i Aria starali się, jak umieli. Często niezbyt im się udawało, lecz porównawszy ich z Cozro, Cashel znacznie wyżej ocenił swoich towarzyszy. – Mówisz, że znalazłeś jajka?

W odpowiedzi Zahag oburącz uniósł bladokremowe jajko wielkości arbuza.

– Jak myślisz, co za ptak je składa?

I zadawszy to pytanie, z nagłym niepokojem spojrzał w niebo. Cozro wyszedł spomiędzy listowia i pomaszerował w głąb wyspy.

– Jasne! – powiedział. – Tylko że to nie jest jajko ptaka, lecz żółwia. Taki wielki ptak nie mógłby latać.

Kapitan popijał z połówki skorupy orzecha kokosowego. Cały rząd takich naczyń z fermentującą w słońcu zawartością stał na plaży w pobliżu miejsca, gdzie Cashel wyciągnął bączek na brzeg. Sporządzanie takich połówek i napełnianie ich kokosową miazgą było jedynym zajęciem Cozro, od kiedy wylądowali na wyspie.

Zahag położył jajko na stercie wodorostów, które utrzymywały ciepło w gnieździe. Wprawdzie nie wyglądało to na gniazdo żadnego znanego Cashelowi ptaka, ale...

– Ma twardą skorupę – rzekł. – Żółwie jaja mają skórzastą. Ponadto musiałyby to być naprawdę wielki żółw.

Cozro prychnął.

– W morzu żyje mnóstwo stworzeń większych od tego, co złożyło to jajko – oznajmił i pociągnął łyk alkoholu. – Tymczasem nie zobaczysz nad nim niczego większego od albatrosa, a te mimo sporej rozpiętości skrzydeł ważą tyle co piórko. No nic, żółwie jaja też są smaczne.

Dopił trunek, czknął i odszedł, nie zwracając już uwagi na swoich towarzyszy. Chciał pewnie wziąć następną skorupę albo napełnić pustą.

Cashel spróbował tego trunku. Wiedział, że ma niewyszukany gust w porównaniu z ludźmi, którzy mieszkali w większych miejscowościach i częściej podróżowali, więc starał się wziąć to pod uwagę.

Piwo, jakie Reise warzył w gospodzie, było robione z rosnącej w górskich lasach ożanki, a nie z importowanego z Sandrakkanu chmielu. Ożanka nadawała napojowi ciemny kolor i gorycz, lecz właśnie do takiego smaku Cashel był przyzwyczajony.

W Barca's Hamlet wino było rzadkim i luksusowym artykułem. Wypił kilka łyżków i chociaż niezbyt mu posmakowało, grzane z korzeniami dobrze rozgrzewało w zimowe wieczory.

Starał się uwzględnić swój niewyrobiony gust, lecz niewiele to dało. Napój Cozro smakował sfermentowanym owocem i tyle. Cashel wolałby napić się morskiej wody, niż ponownie skosztować tego oleistego, lepkiego płynu.

– Czy jest ich wiele? – zapytała Aria, podchodząc do Zahaga, ale nie mając ochoty wspinać się na stertę gnijących wodorostów. – Naprawdę możemy je zjeść?

Księżniczka bywała niemiła dla Cashela i małpoluda, ale kapitana kompletnie ignorowała, jakby nie zdawała sobie sprawy z jego istnienia. Tam, gdzie potrzebna była jego pomoc, rzeczywiście nie istniał, ale Cashel domyślał się, że szybko zażąda swojej części jajka, gdy usmażą je na ognisku, które rozpalą za pomocą zrobionego zaraz po wylądowaniu łuku.

– Po cztery w każdej warstwie – odparł Zahag. – A tych warstw jest tu chyba co najmniej trzy. Zeskoczył ze sterty, trzymając w rękach jajo.

– Natomiast co do jedzenia – dodał – to nie widzę...

– Nie rozbijaj go! – krzyknął Cashel. Za późno. Zahag upuścił jajo, które pękło, lecz nie rozbiło się. Małpolud pospiesznie obrócił je największą całą częścią do spodu.

– O co chodzi? – zapytał ze zdziwieniem. Wepchnął obie ręce w otwór i następnie wyjął ociekające białkiem i żółtkiem. – Nic się nie wylało, a poza tym jest ich dużo.

– Fe – powiedziała Aria, gdy Zahag wielkim jęzorem zaczął zlizywać resztki jajka ze swojego włochatego łapska. Odwróciła się plecami do małpoluda.

– Tak, ale chciałem mieć całą skorupę – odparł Cashel. – Żeby nabrać do niej wody, zanim stąd odpłyniemy.

– Cóż, jest ich dużo – powtórzył małpolud z typowym dla niego brakiem zainteresowania. Wszedł na stertę, oblizując palce.

– Nie, niech na razie zostaną w gnieździe – powiedział Cashel, już układając w myślach plan wyprawy. Może powinien zbudować tratwę, która utrzyma zapasy. Od początku zastanawiał się, czego użyć jako pojemników na wodę, więc te gigantyczne jaja wyglądały jak dar bogów.

Nie rozumiał małpoluda. Ten, chociaż umiał czytać i mówić równie dobrze jak Garric, nie widział żadnego powodu, by robić jakieś plany na przyszłość.

– Robię się głodna – powiedziała Aria, zerkając przez ramię na jajko. – Ale na surowo?...

Cashel chwycił jajko w obie ręce. Mógł unieść je w jednej, ale obawiał się, że zrobione przez Zahaga pęknięcie może się poszerzyć i cała zawartość wyleje się na ziemię.

– Podsmażę je na wolnym ogniu – obiecał Arii. Nie mieli garnka, żeby je ugotować. Nawet w Barca's Hamlet tej wielkości jajo zmieściłoby się tylko w wielkich kotłach na pranie, jakie były w kilku domach. – Może zdołamy trochę usmażyć, jeżeli znaję dostatecznie płaski kamień.

Poszli w kierunku ogniska i odwróconej do góry dnem łódki. Cashel usłyszał, jak Cozro klnie, skaleczywszy się przy zbieraniu orzechów na napój. Podróż we troje byłaby łatwiejsza, lecz w głębi serca Cashel wiedział, że nie podejmie takiej decyzji. Chociaż przez chwilę żałował, że nie jest takim człowiekiem, który zostawiłby kapitana na wyspie – i nie miał potem złych snów.

Ilna tonęła. Wolno jak sunący lodowiec wyciągnęła rękę. Wystawiła ją na powierzchnię. Gwałtownie uderzyła ramionami i ocknęła się, gdy jej głowa wynurzyła się z wody. Kaszłąc, spojrzała wokół i nagle zdała sobie sprawę z tego, że jest naga.

Kilku smukłych, idealnie zbudowanych ludzi cofnęło się przed bryzgami cieczy, w której znajdowała się Ilna. Nie była to woda, lecz jakiś gęsty płyn. W dotyku lepki jak olej z oliwek, ściekając z ciała Ilny, rozpadał się na miniaturowe kropelki. I wcale nie utopiła się w nim, chociaż zanim się obudziła, całe jej ciało oprócz nosa i ust było zanurzone w tej cieczy.

– Gdzie ja jestem? – zapytała Ilna. – Kim jesteście?

Brodaty mężczyzna trzymający kubek i dzban otworzył usta, żeby jej odpowiedzieć. Zanim zdążył wymówić choć słowo, Ilna dodała:

– I gdzie moje ubranie? Oddajcie mi moje rzeczy!

Tym bardziej zapragnęła je odzyskać, że żaden z otaczających ją obcych ludzi nie był ubrany. Powietrze było czyste i pachnące jak kwiaty o zmierzchu. Kiedy wyszła ze zbiornika, przeszedł ją miły dreszczyk.

– Oczywiście, oddamy ci twoje ubranie, gdy tylko będzie gotowe – rzekł brodaty. – Teraz jest czyszczone. Jeśli chcesz, możesz dostać inne, chociaż my tutaj nie nosimy żadnych.

– To Ogród, panienko – powiedziała dziewczyna mniej więcej w jej wieku. – Ja nazywam się Cory. To jest Wim...

Brodaty skłonił się.

– A ja jestem Bram – przedstawił się młodzieniec, który mógłby być bliźniaczym bratem Cory. – Ach... Nazywamy się Ludźmi Piękna, choć to pewnie brzmi bardzo chępliwie. Nie musisz nas tak nazywać.

– Nazywaj nas przyjaciółmi – rzekła Cory z szerokim uśmiechem. Podeszła do Ilny i uściśniła ją. Była tak piękna, że Ilna spodziewała się ciała chłodnego jak pszczeli wosk, tymczasem było zupełnie normalne w dotyku.

Szła ku nim jeszcze jedna smukła kobieta, niosąc przerzucone przez ramię szaty Ilny. Nie biegła, lecz poruszała się szybko długimi krokami. Za jej plecami po łące przebiegło stado jeleni z długimi, zagiętymi kłami w górnych szczękach.

Zdaniem Ilny nazwa „ogród” jak najbardziej pasowała do tego miejsca, lecz nie mówiła jej niczego, co chciałyby wiedzieć. Drzewa owocowe rosły tu pojedynczo i w małych kępach. Między nimi spacerowały kozły i miniaturowe sarny, lecz wcale nie ogryzały kory z pni, czego Ilna oczekiwałaby na podstawie własnych doświadczeń.

Wody było pod dostatkiem. Z pobliskiego dużego stawu sterczała bajecznie piękna różowa fontanna, same linie proste i zakrętasy. Ptaki siadały na niej i czasem zanurzały się w wodzie. Kiedy wypływały, trzymały w dziobach ryby lub żaby. Ogród wcale nie był sielankowo spokojnym miejscem.

Jednak niewiele się od takiego różnił. Żyrafa, którą Ilna rozpoznała z motywów na materiałach z Cordin, ale nigdy wcześniej nie widziała żywej, statecznie podeszła do stawu i rozstawiła przednie nogi, żeby się napić. Para antylop o wygiętych jak jatagany rogach odsunęła się na bok i nadal piła.

Ilna spojrzała w górę. Na zachodzie niebo pokryło się wszystkimi odcieniami czerwieni, podczas gdy na wschodzie migotały pierwsze gwiazdy.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała. Kobieta z tunikami doszła do niej. Ilna wzięła od niej szaty, lecz – nie wiadomo dlaczego – ubieranie się w obecności obcych wydało jej się bardziej krępujące niż sterczenie przed nimi nago jak oskubana kura. – Myślałam, że znajdę się pod ziemią.

– Zgadza się – odparł Wim. – Nad nami jest sklepienie jaskini. Pokrywa je szkliwo, które przybiera kolor nieba w górnym świecie, gdzie żyliśmy, zanim schroniliśmy się tutaj, w Ogrodzie.

Z dzbana nalał jakiegoś płynu do pucharu z cyzelowanego metalu i podał go Ilnie.

– To wino – wyjaśnił. – Zwilży ci gardło i wargi. Strasznie ci wyschły.

– Dlatego wsadziliśmy cię do wanny, kiedy sprowadziliśmy cię na dół – rzekł Bram. – Twoja biedna skóra była zniszczona, zupełnie zniszczona, po tak długim pobycie na powierzchni.

Ilna skrzywiła się. Pospiesznie włożyła tunikę przez głowę. Kiedy materiał zasłonił jej oczy, zdołała zebrać myśli. Całe to miejsce było jakieś dziwne. Nie wrogie, nie niebezpieczne, lecz dziwne. Nie powinno go tu być. Nie pasowało do wzoru tego świata, po którym wędrowała z czarodziejami.

Głowa Ilny wynurzyła się z dekoltu tuniki. Materiał został idealnie wyprany – lepiej niż Ilna zrobiłaby to sama. Można by rzec, iż tunika była czystsza, niż kiedy wełnę wyciągnięto z kadzi farbiarza.

– Gdzie moi przyjaciele? – zapytała Ilna, znów nabierając podejrzeń. – Halphemos i Cerix?

Bram wyciągnął rękę do Ilny.

– Zaprowadzimy cię do nich – rzekł. Czworo Ludzi Piękna – gdyż kobieta, która przyniosła ubranie Ilny, dołączyła do pozostałych – ruszyło w kierunku innego stawu, odległego o pół kilometra.

Minęła ich grupka młodych mężczyzn i kobiet, jadąc w przeciwną stronę na rozmaitych zwierzętach, z których żadne nie było koniem. Do najdziwniejszych rumaków należał jeleń o wyrastających z nasady nosa rogach w kształcie litery „Y” oraz gryf z dziobem i przednimi łapami ptaka, a tylnymi psa. Duży górski kozioł nie był sam w sobie dziwny, lecz fakt, że roześmiana dziewczyna kierowała nim za pomocą uprząży splecionej ze wstążek, był bardziej niezwykły niż gryf.

Drugi stawek zasilają dwa strumienie spływające z różowych stiukowych fontann, z których woda tryskała tuzinami otworów. Ilna dostrzegła wzór tworzony przez różowe pasma, ale wątpiła, by ktokolwiek w Barca’s Hamlet – a może na całym świecie – zdołał go zauważyć. Uśmiechnęła się ponuro. Tego, co rozumiała pod pojęciem „świata”, z pewnością tutaj nie było. I bardzo wątpiła, by Ogród naprawdę był częścią jakiegokolwiek świata, nawet tego, z którego czarodzieje przenieśli siebie i ją.

Na brzegu stawu rosła gruba jak męskie ramię winorośl, z której starczały przezroczyste wyrostki w kształcie strąków groszku, lecz wielkości człowieka. Niedaleko stawu stała grupka nagich Ludzi Piękna, a z nimi odziany w czerwoną szatę mężczyzna.

– Halphemosie! – zawołała Ilna głośniejsz, niż zamierzała. Od kiedy się ocknęła, tłumiała obawę, że została tutaj sama.

Młodzieniec odwrócił się z uroczym uśmiechem.

– Ilno! – wykrzyknął. – Chodź tutaj i zobacz, co robią dla Cerixa!

Ilna przyspieszyła. Jej towarzysze bez trudu dotrzymali jej kroku. Było gorzej, niż kiedy maszerowała z długonogą, zwinnie poruszającą się Shariną po plaży Barca’s Hamlet. Te istoty naprawdę były Ludźmi Piękna – a także gracji, uprzejmości oraz wszelkich innych zalet, jakich Ilna nie mogła przypisać sobie.

Halphemos wskazał na staw. Otaczający go Ludzie Piękna rozstąpili się na boki, żeby mogła lepiej widzieć. Chociaż niebo powoli ciemniało, fontanny, z których tryskała woda, spowijała łagodna różowa poświata, oświetlająca łąkę wokół nich.

Ilna nachyliła się i zajrzała do jednego strąka. Tkwił w nim mężczyzna z zamkniętymi oczami. W pierwszej chwili Ilna nie rozpoznała go, chociaż powinna już dobrze znać twarz Cerixa.

Jednak Cerix był bez nóg, a ten mężczyzna je miał. Wprawdzie bezwłose i tego samego koloru co

światło, lecz niewątpliwie były to kończyny.

Ilna bez słowa spojrzała na Halphemosą.

– Czy to nie cudowne? – zawołał Halphemos, podczas gdy Ludzie Piękna spoglądali na to z pobłażliwymi uśmiechami. – Znowu będzie miał nogi! Znowu będzie zdrowy!

Ilna kiwnęła głową, żeby pokazać, że go słucha. Usiłowała zebrać myśli i odnaleźć wzór, lecz nie było go tutaj.

W głębi stawu cudowna jasnowłosa syrena igrała z innym stworzeniem, które też było półrybą. Górna połowa ciała tego drugiego stwora była owadzia, z chitynowym pancerzem i głową o wielkich, siateczkowatych ślepiach.

– Tak – powiedziała w końcu Ilna. – Nasi gospodarze najwidoczniej są bardzo zręczni. Oczyszczili moje szaty lepiej, niż zrobiłabym to sama.

Jej uwaga zapewne zabrzmiała głupio w uszach każdego, kto jej nie znał. Każdy, kto wiedział, jak dumna była ze swoich umiejętności, zrozumiałby, jak głęboki jest jej podziw.

Dała Halphemosowi znak, żeby poszedł za nią. Zastanawiała się, czy Ludzie Piękna również ruszą. Oni jednak, równie taktowni jak urodziwi, odwrócili się do nich plecami i zaczęli rozmawiać łagodnymi, miłymi głosami. Młodzieniec, zaskoczony, lecz zbyt uradowany, by protestować, ruszył za Ilną wzdłuż brzegu stawu.

– Ocknąłem się prędzej niż ty, pani – rzekł przeprasząco Halphemos. – Obawiam się, że przez ostatnią godzinę lub dwie pracowałaś za nas dwoje, chociaż jesteś... Chciałem powiedzieć, że ja jestem silniejszy.

Ilna obojętnie machnęła ręką. W głębi stawu zamigotały światełka. Małeńcy ludzie jechali na rybach wyglądających jak nadęte pęcherze. Świeciły całą gamą pastelowych kolorów.

– Sądzę, że ten ogród nie jest prawdziwy – wypaliła. – Tak samo jak mieszkający tu ludzie.

– Naprawdę? – zdziwił się Halphemos. Uszczypnął się w rękę, a potem wyciągnął ją do Ilny. – Dotknij mnie – rzekł. – Ja jestem rzeczywisty i ty też.

Ilna lekko uściśniła jego dłoń i puściła ją.

– Sądzę, że masz rację – powiedziała. – Tylko to, co widzimy wokół nas...

Po rozgwieżdżonym niebie nad nimi przepłynął stwór przypominający ogromną latającą rybę. Usłyszeli perlisty śmiech jadących na jej grzbiecie jeźdźców.

– Halphemosie – powiedziała. – Sądzę, że to halucynacja. Złudzenie twojego przyjaciela. Ma tak silny atak delirium, że stworzył wokół nas uludę raj. To chyba najbardziej prawdopodobne rozwiązanie tej zagadki.

– Przecież... – zaczął Halphemos. Dochodzili do jednego ze strumieni zasilających staw. Lekko zwolnili kroku. – Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić, pani?

Ilna wzruszyła ramionami.

– Postanowiliśmy odnaleźć mojego brata – przypomniła. – Nie mogę wam mówić, co macie robić, ale ja zamierzam szukać dalej, aż znajdę Cashela lub zginę. A tutaj go nie ma.

– Tak, rozumiem – rzekł Halphemos.

Jaszczurka o trzech łbach przepłynęła strumieniem do stawu, śpiewając wielogłosową pieśń i miarowo machając ogonem. Halphemos wyprostował się z poważną miną. Odwrócił się na pięcie, pociągając za sobą Ilnę.

– Powiedziałaś, że najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest to, że znaleźliśmy się w halucynacji Cerixa. Jakie są inne możliwości?

– Jest tylko jedna – odparła Ilna. – Może umarliśmy. Może mój mózg wysycha na dnie morza starszego niż czas, a to miejsce jest ostatnią rzeczą, o jakiej myślę.

Stado czarnych i białych jaskółek zatoczyło krąg na niebie. Szczebiotały wesoło. Halphemos spojrzał na nie, nie zwalniając kroku.

– Rozumiem – powiedział w końcu.

Strąk otworzył się i wyszedł z niego Cerix, wesoło machając do nich ręką.

DWUDZIESTY ÓSMY DZIEŃ CZAPLI

Na sztandarach niesionych przez dwóch heroldów, którzy jechali na czele orszaku, widniały czarne orły Ornifal, lecz na niebieskim, a nie czerwonym tle, które było godłem panującej rodziny królewskiej. Żołnierze, zbieranina zbrojnych zmobilizowanych przez wszystkich pięciu spiskowców, nosili płaszcze z takim samym herbem.

– Król Carus! – wiwatował tłum na widok Garrica. – Niech żyje król Carus!

W umyśle Garrica zazwyczaj wesoły monarcha ponuro spoglądał na flagi. Garric zwrócił się do Liane, niesionej w lektyce i mającej głowę niemal na wysokości jego oczu.

– Powinniśmy byli umieścić na nich Złoty Pierścień Dawnego Królestwa. Symbolizował zarówno królewski diadem, jak i cały krąg Wysp, a nie tylko jedną.

Liane popatrzyła na niego.

– Naprawdę? – zapytała. – Nie wiedziałam. Skąd o tym wiesz?

Garric odkaszlnął.

– Zdaje się, że przeczytałem o tym w *Przyjęciu* Aldebranda – wymamrotał.

Zapewne można było to znaleźć gdzieś w ogromnym zbiorze rozmaitych wiadomości o literaturze Dawnego Królestwa – które upadło czterysta lat przed tym, zanim Aldebrand zebrał te informacje i nadał im formę rozmowy prowadzonej podczas przyjęcia przez dawnych uczonych. Ponieważ Aldebrand miał dostęp do zbiorów ogromnej biblioteki świątynnej Wist na Cordin, dawno spalonych lub rozproszonych, jego dzieło zawierało wiadomości, jakie nie przetrwały nigdzie indziej. Niestety, Aldebrand był przesadnym głupcem i niestarannym kopistą, tak więc jego informacjom nie można było wierzyć.

Prawdę mówiąc, Garric dowiedział się o Złotym Pierścieniu, obserwując, jak kapłanka Pani wyklada Carusowi moralne aspekty rządzenia, dziesięć lat przed tym, zanim Carus założył koronę. Czy ktoś próbował uczyć Valence’a zasad królowania? Jeśli tytuł Władcy Wysp oznaczał tylko przywileje i politykierstwo, sojusze i przekupstwa... Czyż można było oczekiwać czegoś lepszego od obecnych niepokojów i niesprawiedliwości?

Ty wiesz, że ten tytuł oznacza znacznie więcej, szepnął głos z otchłani czasu.

Tłum wiwatował przez całą drogę z rezydencji królowej do centrum miasta. Wielu obserwujących ten pochód ludzi dołączyło do niego, a równie wielu już czekało tam, dokąd zmierzał Garric. Od ich okrzyków i prażącego słońca szumiało mu w głowie.

Jeden z heroldów podjechał do bramy królewskiego pałacu i zastukał laską w okute metalem dębowe drzwi.

– Otwórzcie księciu Garricowi! – zawołał głosem tak donośnym jak dźwięk srebrnej trąbki.

Pałac stał w miejscu, które pięć wieków wcześniej znajdowało się na północnym krańcu Valles. Miasto wchłonęło tę dzielnicę, lecz solidne kamienne mury otaczały kilka akrów ogrodów i rozrzuconych między nimi budynków.

Royhas kazał swym ośmiu tragarzom zatrzymać się po prawicy Garrica. Tenoctris, siedząca w lektyce za Liane, pochwyciła spojrzenie rozglądającego się wokół Garrica, ale nadal szeptała zaklęcie. Na kolanach miała drewnianą tablicę, pokrytą symbolami tworzącymi trójkąt. Szpaler zbrojnych nie pozwalał nazbyt rozentuzjasmowanym widzom zatrzymać Garrica i jego towarzyszy.

Garric spojrzał na swojego kanclerza, wygodnie wyciągniętego na poduszkach palankinu.

– Szkoda, że nie ma tu Pitre’a – powiedział. – On umie się dogadać z Valence’em.

Zazwyczaj brama królewskiej posiadłości była szeroko otwarta, a w przejściu stał oddział Krwawych Orłów. Dzisiaj i przez cały ubiegły tydzień rezydencja była strzeżona jak forteca.

– Nie żałuj – odparł Royhas. – W najlepszym wypadku trząsłby się jak galareta. Mógłby rozkleić się i rozplakać na oczach tłumu.

Mając na sobie długą szatę urzędnika, Royhas nie dosiadł konia. Mógł wybierać między bocznym siodłem a palankinem, gdyż lektyki były dla kobiet lub posągów bogów, niesionych podczas procesji, a przybywając do pałacu powozem, złamałby zarówno prawo, jak i – co ważniejsze – tradycję.

Garric zerknął na Liane. Wymienili uśmiechy. Chciałby uścisnąć jej dłoń, ale podejrzewał, że tak nie wypada. Pewnie nawet nie powinien o tym myśleć.

Otworzył się judasz w prawym skrzydle wrót. Stojący wewnątrz człowiek powiedział coś do herolda, lecz Garric nie dosłyszał jego słów przez gwar tłumu. Herold odpowiedział pytającemu.

Garric zastanawiał się, jakie zaklęcie rzuca Tenoctris. Mamrocząc magiczne słowa, dotykała znaków łabędzim piórem, a nie rylcem z brązu. Im częściej był używany dany przedmiot, tym większej nabierał mocy i tym trudniej było go kontrolować w stopniu zapewniającym bezpieczeństwo. Tenoctris nie była najpotężniejszą z czarodziejek, lecz jej zaklęcia zawsze ściśle spełniały swój cel. Każda siła jest w jakiś sposób kontrolowana, jeśli nie przez użytkownika, to przez prawa kosmosu, który nie jest przyjacielem ludzkości.

Herold okręcił swoją gniadą klacz, po czym podjechał do Garrica i Tenoctris.

– Wasza Wysokość – rzekł. Był jednym z ludzi Waldrona. – Mówią, że możesz wejść, ale sam.

– Porozmawiam z nimi – uciął Garric. Zsiadł z konia. Potrzebował pomocy Carusa w ważniejszych sprawach niż utrzymywanie się na końskim grzbiecie. Podeszedł do bramy, precyzyjnie się obok herolda, zanim ten zdążył usunąć się z drogi.

Royhas chciał zaprotestować, ale tylko rozkazał tragarzom, by postawili palankin, po czym dołączył do Garrica. Kątem oka młodzieniec zauważył, że lektykę Liane również postawiono na ziemi. Tenoctris nadal koncentrowała się na słowach zaklęcia.

Przybyli tu tylko we czwórkę. Waldron organizował oddziały wojska z pierwszych posiłków przybywających z północy wyspy, a Tadaï powiedział, że nie chce i nie zamierza spotykać się z Valence’em w takich okolicznościach. Odmowa Tadaia posłużyła jako pretekst Sourousowi, a Pitre też skorzystał z okazji i wymówił się od wizyty.

Ponieważ Royhas znał królewskich doradców, mógł wyjaśnić Garricowi, jak rządząca elita zapatruje się na sytuację. Jednakże sukces lub porażka misji zależała głównie od samego Garrica.

Młodzieniec uśmiechnął się. Zawsze dobrze wiedzieć, kto ponosi winę, jeśli coś się nie uda.

Z okienka grubej bramy spoglądało na niego oko mężczyzny w żelaznym hełmie. Garric miał na sobie czerwone bryczesy, wysokie buty i krótką niebieską tunikę, ściągniętą pasem z mieczem. Ten bogaty strój bardziej odpowiadał gustom Carusa niż pochodzeniu Garrica, ale nie był tak prowokacyjny jak zbroja.

– Jestem pan Garric z Haft – rzekł Garric, usiłując zwracać się do ludzi króla bardziej dyplomatycznie, niż zrobił to herold. – Moi doradcy i ja mamy spotkać się z królem i jego kanclerzem.

– Kanclerz Papnotis wrócił do swojej posiadłości – rzekł wartownik. – Możesz wejść, ale sam.

– Wejdem z lordem Royhasem, którego znacie – warknął Garric. Jego głos przybrał zgrzytliwy ton, przypominając chrzęst trących o siebie żaren. – Oraz z tymi dwiema kobietami. I wejdem teraz, tak jak to zostało uzgodnione. Ja dotrzymuję umów i zapewniam cię, że szybko rozprawiam się z tymi, którzy je łamią!

Groźbą niewiele wskóraliby z żołnierzami Krwawych Orłów. Ludzie, którzy do tej pory wytrwali przy królu, nie ulękną się groźby tortur czy śmierci. Jednakże zarzut łamania umowy to zupełnie inna sprawa, nawet jeśli spotkanie uzgodniono z kanclerzem, który uciekł.

Garric nie widział, co robi Royhas.

– Otwierać! – zawołali towarzyszący Garricowi żołnierze. – Otwierać! Otwierać! – ryknął zebrany na placu tłum.

Garric odwrócił się i podniósł ręce, uciszając ich. Siedząca w lektyce Tenoctris, wciąż mamrocząca słowa zaklęcia, górowała nad otaczającymi ją ludźmi.

Tylko ludzie stojący w pierwszych szeregach widzieli Garrica, ale nawet oni ciągle krzyczeli. Doskonale. Gest Garrica miał na celu przekonać wartowników, że przybyły reprezentuje siłę, z którą należy się liczyć. Ponownie odwróciwszy się do bramy, Garric zawołał tak, aby go usłyszano:

– Waszym obowiązkiem jest strzec króla Valence’a przed atakiem. Jest was za mało, żebyście zdołali tego dokonać. Tylko pozwalając mnie i moim doradcom porozmawiać z Jego Wysokością, możecie go ocalić.

Człowiek za drzwiami odwrócił się, by porozumieć się z kimś, kto stanął za nim. Nagle otworzyły się drzwi w drugiej połowie wrót. Były tak wąskie, że można było przez nie przejść tylko pojedynczo. Też dobrze. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął Garric, było otwarcie wrót na oścież. Rozgorączkowany tłum wpadłby przez nie do pałacu jak ryba wpada w paszczę szczupaka.

Garric wszedł do środka, pochylając głowę pod okutym żelazem nadprożem. Był gotowy zaatakować wartowników, gdyby próbowali zamknąć drzwi przed Tenoctris, Liane i Royhasem.

– Przepuścić ich! – rozkazał oficer w złoconej zbroi. Zmierzył wzrokiem Garrica. – Jestem Attaper bor-Atilan – powiedział. Chociaż miał na sobie elegancki strój, kościana rękojeść jego miecza była wytarta od częstego używania. – Legat Krwawych Orłów.

Skinął głową wchodzącemu za Tenoctris Royhasowi, po czym z niesmakiem uśmiechnął się do Garrica.

– W pałacu zostali tylko moi ludzie i ja. Wszyscy pozostali uciekli, kiedy Papnotis umknął zeszłej nocy. Czarodziej Silyon pojawia się i znika, ale wykazałbym nadmierny optymizm, sądząc, że już go nie ujrzymy.

Przy bramie stał oddział czterdziestu Krwawych Orłów. Cały regiment liczył trzystu ludzi – za mało, by obronić rozległą rezydencję, gdyby zaatakował ją tłum. Garric zauważył wartowników rozmieszczonych w regularnych odstępach między klombami i alejkami. Nosili półpancerze, lepiej od zbroi nadające się do walki w luźnym szyku.

– Nie mam złych zamiarów wobec króla, lordzie Attaperze – oznajmił Garric, wypowiadając słowa, które podpowiadał mu król Carus. – Natomiast co do ciebie i twoich żołnierzy... W żadnym królestwie nie ma zbyt wielu ludzi honoru, więc nie zamierzam pozwolić na to, aby czyniono im krzywdę.

Uśmiechnął się złowrogo jak weteran do weterana, a legat zdziwił się, widząc taki uśmiech na młodzieńczej twarzy Garrica.

– Aczkolwiek nie sądzę, abyście się tego obawiali. Krwawe Orły wytrwały pod Kamiennym Murem.

Attaper machinalnie przesunął palcem po starej bliźnie, biegnącej od kości policzkowej po szyję.

– To było dawno temu – powiedział. – Od tego czasu wiele się wydarzyło.

I chrapliwym głosem, z gniewem nie skierowanym przeciwko Garricowi, legat dodał:

– Chodź więc. Zaprowadzę cię do Jego Wysokości.

– Czy mam?... – zaczął Garric, ujmując sprzączkę pasa z mieczem.

Odziany w urzędowe szaty Royhas nie miał miecza. Pojawianie się z bronią przed obliczem władcy było uznawane za zniewagę, jeśli nie groźbę. I jedna, i druga była karana śmiercią.

Attaper spojrzał na Garrica. Ton jego głosu wyraźnie wskazywał na to, że ten zwyczaj budzi w nim taki sam niesmak.

– Wierzę, że jesteś człowiekiem honoru, panie Garric. Nawet gdybyś nim nie był, nie potrzebowałbyś broni, żeby uśmiercić w obecnym stanie króla.

Garric spojrzał przez ramię i zapytał:

– Wszystko w porządku, Tenoctris?

Wiedział, że rzucanie czarów kosztuje staruszkę sporo wysiłku, a nie miał pojęcia, jak trudne było rzucane przez nią po drodze zaklęcie. Uśmiechnęła się i odparła:

– Najzupełniej, dziękuję.

Powiedziała to różnym głosem. Obróciła się i urwała gałązkę forsycji, zastępując nią pióro, które gdzieś wyrzuciła, wstając z lektyki. Liane przyjaźnie wzięła ją pod rękę.

Attaper poprowadził Garrica i troje jego towarzyszy ścieżką wybrukowaną płytami miękkiego żółtego wapienia, wytartego przez wieki używania. Oddział wartowników pozostał przy bramie. Drewniana krata nad ich głowami była porośnięta winoroślą, która miała już liście, lecz jeszcze nie zawiązała owoców.

Liane przystanęła, a potem przeskoczyła przez jedną z kamiennych płyt. Garric obejrzał się za siebie. W kamieniu była odcisnięta spiralna skorupa amonitu. Był mały, nie większy od zaciśniętej pięści, a dziesiątki jego falujących ramion rozsypały się w proch przed wieloma wiekami. Ten amonit nie był jednym z wielkich jak dom stworów, jakie Garric często widywał w koszmarach, a raz we wzburzonym morzu. Mimo to zauważył, że idąca obok Liane Tenoctris również ominęła skamielinę.

Attaper skręcił do parterowego bungalowu o stromym dachu i ścianach ozdobionych niebieskimi seriańskimi kafelkami. W porównaniu z innymi stojącymi w ogrodzie budynkami ten wyglądał na nowy. I chociaż projektant tej budowli niewątpliwie miał gust bardziej wyszukany niż Garric, młodzieńcowi spodobało się, że ten budynek wzniesiono według czyichś upodobań, a nie dla upamiętnienia czegoś.

Przy frontowych drzwiach stali dwaj żołnierze Krwawych Orłów. Następny wyjrzał zza rogu, słysząc nadchodzących, po czym schował się, widząc, że prowadzi ich legat. Wartownicy wyprężyli się na baczność, lecz zachowali czujność nawet w obecności dowódcy.

– Co nowego, Melusie? – zapytał Attaper.

– Nic szczególnego nie zaszło, panie – zameldował jeden z wartowników. Zerknął na partnera. – A... – zająknął się. – Sytuacja przy bramie?...

– Jest opanowana – rzekł Attaper. Uśmiechnął się krzywo do Garrica. – Na razie.

Wartownicy rozstąpili się na boki, żeby Attaper mógł otworzyć pomalowane w czarno-białe pasy drzwi.

– Wasza Wysokość – oznajmił. – Przyprowaździłem kilka osób, które chcą się z tobą zobaczyć.

– Co takiego? – spytał kłótlivy głos w środku. – O czym ty mówisz? I gdzie jest Papnotis?

Attaper wprowadził Garrica i jego towarzyszy do środka, po czym zamknął za nimi drzwi. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

Valence III, Władca Wysp, był młodszy od ojca Garrica. Wyglądał staro: chudy i szary na twarzy, z poplamioną winem kocią bródką i w błękitnej szacie.

– Kim jesteście? – zapytał. Zerknął na Royhasa i w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania, lecz zaraz skupił wzrok na mieczu Garrica. – Kto was przysłał?

Spojrzął na szlachcica i dodał, podnosząc głos:

– Royhasie, kto cię tu przysłał?

– Przysłał nas lud Wysp, Wasza Wysokość – rzekł Garric. – Przybyliśmy tu, by ocalić królestwo, dla ciebie i wszystkich jego obywateli.

Valence odwrócił się z chrapliwym śmiechem. Wielka komnata była urządzona jako sala narad – ze stołami, kanapami i wolnym miejscem pod ścianą, gdzie mogli stać doradcy, kiedy ministrowie omawiali sprawy wagi państwowej. Na końcu pomieszczenia znajdowało się dwoje drzwi. Jedne z nich, zrobione z orzechowego drewna, były otwarte na oścież i Garric zauważył stojące dalej łóżko. Dyskretnie zasłonięty kotarą portal zapewne wiodł do pomieszczeń służby i kuchni, a może do innego budynku.

Król najwyraźniej spał na jednej z kanap. Na kredensie stała nietknięta patera z owocami, lecz na podłodze leżały puste butelki po winie. Jedna z nich, trącona przez otwierane drzwi, jeszcze się toczyła.

Król otworzył dolną szafkę kredensu i zajrzał do środka.

– Och, Pani, pomóż mi! – jęknął. Wyprostował się i zawołał w przestrzeń: – Przynieście mi wina! Jak śmiecie zostawiać mnie bez wina?

Tenoctris podeszła do króla i dotknęła jego czoła gałązką forsycji.

– Siądź przy mnie, Wasza Wysokość – powiedziała łagodnie. – Poczujesz się lepiej.

Valence pozwolił się zaprowadzić do kanapy nakrytej miękką skórą antylopy o barwie kreciego futerka i zaczął płakać. Tenoctris ponownie dotknęła gałązką jego czoła i wyszeptwała kilka słów, których Garric nie dosłyszał. Głowę władcy otoczyła słaba różowa poświata, jak puch na brzoskwini.

– Umrę – powiedział Valence. – Trzy dni temu miałem złożyć ofiarę Bestii, ale moi słudzy uciekli z powodu zamieszek. Zabije mnie jedna lub druga – królowa albo Bestia. Zginę!

– Wypędziliśmy królową z Ornifal – rzekł Garric. – Opowiedz nam o tej Bestii.

– Silyon powiedział mi, że ona ma ogromną moc – rzekł Valence. Miał otwarte oczy, lecz mówił jak we śnie. – Obiecał mi, że ona i tylko ona może obronić mnie przed królową. Skoro jednak Bestia jest tak potężna, dlaczego musiałem ją żywić? Dlaczego sama nie mogła znajdować sobie dziewcząt? To nie w porządku!

Garric dostrzegł, że Liane znieruchomiała. Miał nadzieję, że sam zachował nieprzeniknioną minę, gdyż nie powinien okazywać niechęci człowiekowi, którego zgoda miała tak doniosłe znaczenie dla Garrica i królestwa.

– Gdzie on jest? – zapytał. – Ten człowiek, którego nazywasz Bestią?

– Człowiek? – powtórzył Valence, a potem znowu zaniósł się piskliwym śmiechem. – To nie człowiek. I nie wiem, gdzie jest, lecz rozmawialiśmy z nią przy studni w ruinach pałacu tyranów. Niczego nie zobaczycie, jeśli tam zajrzycie, ale Silyon pokazał mi Bestię w lustrze. I dziewczyny... ona znajduje dziewczyny, które tam opuścimy.

Valence próbował wstać. Tenoctris dotknęła jego ręki, zatrzymując go na kanapie.

– Och, dobra Pani, pomóż mi! – jęknął. – Proszę, dajcie mi wina. Proszę!

– Tenoctris – rzekł Garric. – Czy chcemy dowiedzieć się jeszcze czegoś o Bestii?

Stara czarodziejka wciąż szeptała zaklęcia. Zaprzeczyła nieznacznym ruchem głowy.

– Wasza Wysokość – powiedział Garric. – Ze względu na twoje dobro i dobro królestwa musisz podejść z nami do bramy i oznajmić tłumowi, że jestem twoim synem i spadkobiercą. Wtedy będziemy mogli obronić cię przed królową i innymi wrogami. Nawet przed Bestią.

– Nic mnie nie uratuje! – krzyknął Valence. – Oszalałeś? Nic nie rozumiesz! Bestia jest

najpotężniejsza! Myślałem, że mnie uratuje, ale teraz wiem, że wcale nie miała takiego zamiaru. Gdybym jednak mógł ją nakarmić, może pożarłaby mnie na samym końcu. Rozumiesz? Zjadłaby mnie na końcu!

– Rozumiem, Wasza Wysokość – odparł Garric. Trzymał otwarte dłonie przed sobą, ale prawdę mówiąc, wcale nie miał ochoty chwycić za miecz. Patrzył na Valence’a jak na karalucha przemykającego po podłodze spiżarni jego matki.

– Pozwól, Wasza Wysokość – rzekł Royhas, podając rękę Valence’owi. – Księżę Garric uratuje cię. Powiesz ludowi, że adoptowałeś go jako twego syna i dziedzica, a my zajmiemy się resztą.

– Co? – zdziwił się król, znów mówiąc swoim zwyczajnym, urażonym tonem. – A kim on jest? I dlaczego nosi miecz? To ja jestem Władcą Wysp!

– Istotnie, jesteś, Wasza Wysokość – uspokoił go Garric, biorąc go pod drugie ramię. Wraz z Royhasem łagodnie poprowadził króla jak dziecko uczące się chodzić. – Mój miecz obroni cię przed wszystkimi wrogami. Powiedz ludowi, że ma mnie słuchać, a my zrobimy resztę.

– Te zamieszki – mamrotał Valence, gdy powoli wiedli go do wyjścia. – Oni mnie zabiją! Wiedzą, że nie obronię ich przed królową!

Liane w milczeniu otworzyła drzwi. Tenoctris szła za trzema mężczyznami, nadal mamrocząc zaklęcia, lecz już nie dotykając różdżką czoła władcy. Poświata przygasła i była widoczna tylko jako słabe zaczerwienienie skóry Valence’a.

– Rozprawimy się z królową w twoim imieniu, Wasza Wysokość – obiecał Garric. – Staniemy po twojej stronie.

Czuł, że nie potrafi nienawidzić takiego tchórza. Mężczyźni reagują na wyzwania, a ten drżący jak osika człowiek nie był dla nikogo wyzwaniem, obojętnie, jak wiele zła uczynił ze strachu.

Attaper szedł na czele grupki. Na jego znak czterej wartownicy podążyli za idącymi, czujnie wypatrując zagrożenia w krzakach po obu stronach ścieżki.

– *Lojalności nie można sobie kupić ani nawet zaskarbić* – szepnął głos w umyśle Garrica. – *Musi być dobrowolna. I naprawdę nie ma znaczenia, że Valence nie jest jej godny. Choć bogowie wiedzą, że nie jest!*

Dotarli do bramy i liczniejszego oddziału Krwawych Orłów. Przez gruby mur i deski słychać było głuche pomruki tłumu, przypominające odgłos zbliżającej się burzy.

– Wypuście mnie przez drzwiczki – powiedział Garric do Attapera. – Każę im się cofnąć. Potem szeroko otwórzcie bramę i niech Jego Wysokość wyjdzie, żeby wygłosić oświadczenie.

– Zróbcie tak – rzekł oficer do żołnierza trzymającego ręce na ryglu drzwiczek. Garric zanotował w pamięci, że Attaper nawet nie spojrzał przy tym na Valence’a.

Garric wyszedł na ulicę. Tłum powitał go ogłuszającym okrzykiem. Strażnicy przysłani przez spiskowców stali w dwuszeregu przed bramą, nastawionymi włącznikami broniąc do niej dostępu. Garric wskoczył na lektykę Tenoctris i powiedział tragarzom:

– Ponieście lektykę, żeby wszyscy mnie widzieli!

Kiedy znalazł się w górze, pewnie stojąc na fotelu, podniósł obie ręce. Tłum ryknął jeszcze głośniejsze, po czym trochę przycichł. Garric jeszcze nigdy nie widział tylu ludzi zebranych w jednym miejscu, chociaż pamięć króla Carusa zachowała wspomnienia o podobnych zgromadzeniach i wydarzeniach.

– Obywatele Wysp! – krzyknął Garric. Część ludzi usłyszała go. Ci powtórzą jego słowa innym, a poza tym najważniejsze było to, żeby go widziano. – Wasz król chce wygłosić oświadczenie!

Główna brama otworzyła się. Garric dał znak tragarzom, żeby ustawili obok drugą lektykę, po czym zaryzykował i zerknął przez ramię.

Krwawe Orły ustawiły się ósemkami w pięciu szeregach, zagradzając przejście swoimi opancerzonymi ciałami. Między czwartym a piątym szeregiem dreptał Valence, w złotym diademie na głowie, który przyniósł dla niego Royhas. Nie mieli pewności, czy zdążą znaleźć złoconą koronę obecnie panującej dynastii. Za królem szła Tenoctris, lekko opierając się o Liane. Wciąż mamrotała słowa, które nie pozwalały Valence'owi zamienić się w bełkoczącego ze strachu idiotę.

Attaper pomógł Valence'owi wejść do lektyki, po czym silną ręką chwycił udo władcy, przytrzymując go, gdy tragarze podnieśli lektykę.

– Obywatele Wysp! – zawołał Garric. – Jego Wysokość król Valence Trzeci uznał mnie za swego syna i ogłosił regentem Królestwa Wysp!

Valence rozdziawił usta jak okoń na haczyku. Chociaż podtrzymywany przez legata, chwiały się na nogach. Liane stanęła po drugiej stronie lektyki i też go podtrzymała, bo pod Valence'em w każdej chwili mogły ugiąć się kolana.

Garric zdjął diadem z jego głowy i nałożył na swoją. Przymierzył go, kiedy Royhas przyniósł go do rezydencji królowej, żeby upewnić się, że nie będzie wyglądał w nim śmiesznie. Wtedy był to tylko kawałek metalu, ciężki, choć cienki, a także nieco niewygodny w noszeniu. Teraz...

Garric ujrzał złociste światło. Skrzyły się w nim obrazy nie pochodzące z jego pamięci ani nawet ze wspomnień króla Carusa, lecz dziesiątków pokoleń monarchów. Przez chwilę wszyscy starożytni władcy Dawnego Królestwa byli z Garrikiem, złączeni jak ścianki diamentu.

Potem ten obraz znikł. Odgłosy wiwatującego tłumu były niczym dźwięk spiżowych trąb. Przez radosny zgiełk Garric usłyszał głos Tenoctris. Odwrócił się. Liane również. Żadne z nich nie zrozumiało słów czarodziejki, lecz stojący w lektyce Garric miał dobry widok nad głowami tłumu.

Chudy mężczyzna w szacie haftowanej w znaki Dawnego Pisma nadszedł ścieżką od strony bungalowu, w którym schował się Valence. Starzec miał kawałki kości w małżowinach usznych. Przez otwartą bramę zobaczył koronowanego Garrica i stojącego obok Valence'a. Garric wskazał go palcem.

– Zatrzymać tego człowieka! – krzyknął. – Zatrzymać Silyona!

Czarodziej jednak, zrzuciwszy ciężką szatę i pozostawszy tylko w przepasce biodrowej, znikł w krzakach, zanim Krwawe Orły odwróciły się i zdążyły go zobaczyć.

Halphemos nosił złoty strój. Ten ważył mniej niż gaza, lecz ponieważ każde jego włókno niczym maleńkie zwierciadło rozpraszało światło, młodzieniec był odziany tak skromnie, jakby miał na sobie szatę z grubego brokatu.

Cerix nie miał na sobie niczego. Stary czarodziej był zbyt zadowolony ze swego zregenerowanego ciała, żeby je zasłaniać. Włosy na jego nogach od połowy ud były krótkie i jasne, w przeciwieństwie do czarnych kłaków na ramionach i torsie, lecz kości i muskulatura wyglądały zupełnie normalnie. Cerix potrafił zgubić wątek w środku jakiegoś zdania, zafascynowany ruchem swojego dużego palca u nogi.

Ilna nosiła tunikę, którą utkała sobie w Erdinie, przepasaną szarfą bliźniaczo podobną do tej, którą dała Liane. Widok towarzyszy – Halphemosa tak samo jak Cerixa – pyszniących się darami Ludzi Piękna irytował ją, chociaż nie zamierzała ich mitygować. Ponadto w głębi serca czuła, że zachowuje się głupio.

No i co z tego? Ilna os-Kenset nie chciała się zmieniać.

Przełknęła kawałek truskawki wielkości głowy, soczysty i rozplływający się na języku. Spojrzała na czarodziei oraz troje Ludzi Piękna, którzy powitali ją tu po przebudzeniu, a następnie oświadczyła:

– Zamierzam wrócić do świata, z którego zostałam porwana przez Łuskowatych. Jeśli można się dostać do tego ogrodu, to można również się stąd wydostać. Zamierzam dowiedzieć się jak.

– Ależ pani – rzekł ze zdumieniem Wim. – Dlaczego chcesz stąd odejść? Czy jest coś, czego pragniesz, a czego ci nie daliśmy?

Halphemos miał niewyraźną minę. Unikał spojrzenia Ilny, bawiąc się mankietem swojej powiewnej szaty. Cerix przeszył ją gniewnym wzrokiem, wiedząc, do czego doprowadzi ta rozmowa, i wściekły, czując, co miało to dla niego oznaczać. Ilna zmarszczyła nos. Cerix równie dobrze jak ona wiedział, że miała rację, lecz pozwolił, by kierowały nim osobiste korzyści.

– Mój brat wpadł w tarapaty – powiedziała Wimowi. I zerknąwszy na Halphemosa, dodała: – Lub wpakowali go w nie inni. Zamierzam spróbować mu pomóc, a w tym celu muszę wrócić do mojego świata.

– Chłopiec nie był odpowiedzialny za to, co przydarzyło się twojemu bratu! – warknął Cerix.

– To nie ma znaczenia – odparła Ilna i tak też było. Nie wierzyła w to, że Halphemos rozmyślnie skrzywdził Cashela czy kogokolwiek innego. – Możesz mi pomóc, panie Wim, czy też sama mam szukać drogi?

Minęła ich smukła dziewczyna, grając na podwójnym teorbanie grupce młodzieńców, którzy szli razem z nią, oczarowani. Ilna podziwiała precyzyjne ruchy palców dziewczyny, lecz choć struny lutni wibrowały, nie wydawały najcichszego dźwięku.

– Możemy pokazać ci drogę, której szukasz – rzekł Bram. – Jednak w tej rzeczywistości nie ma miejsca równie pełnego radości i szczęścia jak Ogród.

Ilna o mało nie parsknęła śmiechem.

– Ośmielę się twierdzić, że masz rację – odparła – lecz nie mam pojęcia, jakie, waszym zdaniem, ma to dla mnie znaczenie.

Wstała. Najadła się ogromną truskawką, choć większa część owocu pozostała nietknięta. To marnotrawstwo niepokoiło Ilnę również dlatego, że podkreślało dostatek Ogrodu, lecz nic nie mogła na to poradzić. Może przechadzający się po pobliskim pomarańczowym gaju jednorożec o kopytach jelenia dokończy owoc.

– Zaprowadzicie mnie tam? – spytała Brama. Jej szorstki głos i zachowanie nie pasowały do tego miejsca. Na świecie za wszystko trzeba płacić. Natomiast tutaj, w tym Ogrodzie, wszystko było za darmo. Tak więc zdaniem Ilny Ogród nie mógł istnieć i nie istniał. Ilna os-Kenset po prostu nie mogła uwierzyć w coś tak wyjątkowo dobrego.

– Ja ją zaprowadzę, Bram – powiedziała Cory do wyraźnie zakłopotanego młodzieńca.

– Pójdziemy tam wszyscy – zdecydował brodaty Wim, wstając zwinnie jak kot. Ludzie Piękna bardziej wylegiwali się, niż siedzieli na trawie. Murawa pod nogami Ilny była miękka i sprężysta jak worek z wełną. – Rzadko bywamy w tym gaju, pani Ilno.

– To okrutne przypominać nam, jak nędzna jest egzystencja innych w porównaniu z naszą – rzekł Bram. Oderwał wzrok od horyzontu i ponownie spojrzał na Ilnę. – Naprawdę wolałbym, żebyś ponownie przemyślała tę decyzję.

Wyciągnął ręce i ujął dłonie Ilny. Równie wysoki jak Garric, chociaż szczuplejszy, był zwinny i silny jak wszyscy Ludzie Piękna. Jego rysy były tak doskonałe jak twarze posągów, które kapłani Pasterza obnosili po Barca's Hamlet podczas procesji święta Tithe. Ilna pospiesznie cofnęła się.

– A zatem życzę wam miłego dnia – powiedziała do Halphemosa i Cerixa.

Halphemos wstał.

– Idę z tobą – powiedział, z wzrokiem wbitym w ziemię.

– Niech cię porwie Siostra, chłopcze! – zawołał Cerix, także zrywając się na równe nogi. – Nie

jesteś za to odpowiedzialny! Nie skrzywdziłeś jej brata!

– Proszę – powiedziała Cory. – Tutaj wszyscy jesteśmy przyjaciółmi i kłopoty...

Halphemos uciszył ją machnięciem ręki. Z bynajmniej nie chłopięcą powagą spojrzął w oczy staremu czarodziejowi, swojemu nauczycielowi.

– Ceriksie – rzekł. – To ja wypowiedziałem zaklęcie, które miało powstrzymać Zahaga i jej brata. Zamiast tego zniknęli. Nikt z nas nie wierzy, że to był przypadek.

– Ale... – zaczął Cerix. W kąciku jego lewego oka zabłysła łza, a druga spłynęła mu po prawym policzku. – Alos...

– A nawet gdybym nie sądził, że jestem za to odpowiedzialny – dodał Halphemos – poszedłbym z nią. Tak samo jak ona przysłaby z pomocą nam, choć prawdopodobnie... – krzywo uśmiechnął się do Ilny – niezbyt nas lubi.

Cerix ze zniechęceniem i smutkiem potrząsnął głową.

– No tak, oczywiście, pójdziemy – powiedział. Gniewnie spojrzął na Wima. Ludzie Piękna odsunęli się od nich, jak rozsądni ludzie robią na widok walczących psów. – Powiedzieliście, że nas zaprowadzicie – warknął Cerix. – Zatem zróbcie to!

Ilna spojrzała na towarzyszy i nagle poczuła obrzydzenie do siebie. Zmusiła Halphemosa i Cerixa do podjęcia decyzji, która nie była dla nich korzystna, z czego doskonale zdawali sobie sprawę. A ponieważ pomimo swoich ludzkich słabości byli ludźmi honoru, przyszło jej to bez trudu.

– Jeśli was to pocieszy – powiedziała – to lubię was obu bardziej niż siebie. Chociaż to niezbyt budujące.

– Oczywiście, nie zamierzamy odbierać wam prawa do podejmowania samodzielnych decyzji – rzekł niechętnie Wim. – Ja... oczywiście, zaprowadzimy was do gaju.

Złapał za ręce Brama i Cory. Nie sprawdzając, czy troje przybyszów idzie za nimi, Ludzie Piękna ruszyli w kierunku pobliskiego wzgórza. Jego idealnie obły kształt zdawał się równie sztuczny jak mostek przerzucony przez strumień płynący u jego podnóża. Chociaż niezbyt wysokie, drzewa na szczycie pagórka miały grube pnie. To czyniło je niezwykłymi w tym miejscu, gdzie wszystko, co widziała Ilna – rośliny i zwierzęta oraz ludzie – było smukłe i zgrabne.

– W koronach tych drzew nie ma ptaków – zauważył Halphemos. – I żaden nad nimi nie przelatuje.

– To pierwsze miejsce tutaj, które wygląda normalnie – powiedziała Ilna.

Cory obejrzała się przez ramię, zerkając na nią kątem oka. Nie odezwała się.

– A co ty o tym myślisz, Ceriksie? – zapytała z naciskiem Ilna.

– Ja nic nie myślę – odparł. Stok był łagodnie nachylony. Już dochodzili do gaju. Rosnące w nim drzewa były różnymi gatunkami dębów. Na niektórych zawiązały się już żołędzie. – Gdybym myślał, nie robiłbym tego.

Ludzie Piękna przystanęli przy szypułkowym dębie i poszeptali między sobą. Potem dwoje młodszych wróciło do przybyszów. Wim zwrócił się do Ilny:

– Sam poprowadzę was dalej, pani i panowie. Nic wam nie grozi i nie sądzę, żeby było to bardzo nieprzyjemne przeżycie.

Ilna skinęła głową. Bram spojrzął na nią błagalnie, kiedy go mijała, ale nie odwróciła głowy. Słyszała szelest liści pod nogami idących za nią towarzyszy. Pień każdego dębu przecinała pionowa szczelina, sięgająca na wysokość głowy dorosłego człowieka. Chociaż kora drzew i poszycie lasu były skąpane w słonecznym świetle, w szczelinach kłębiła się czarna mgła.

– Tam coś jest! – zawołał z ożywieniem Halphemos. Ilna obejrzała się. Młody czarodziej chwycił za ramię Cerixa, chcąc pokazać mu metalicznie połyskujące kształty, widoczne przy

uważnym spojrzeniu na mgłę w drobnolistnym dębie. Wim przystanął ze zrezygnowaną miną. Cerix nie odwrócił głowy. Wymienił spojrzenia z Ilną. Poszła dalej, przestępując przez wielki korzeń wijący się wśród ściółki. Wim poważnie skinął głową i poszedł dalej.

Ilna widziała ten krajobraz i wszystkie pozostałe, po jednym w środku każdego mijanego drzewa. Przeważnie widoczne wewnątrz światy nie robiły na niej wrażenia. Były równie niehumanitarne jak wnętrze rozłupanej przez kamieniarza bryły krzemienia. Niektóre były niewypowiedzianie paskudne. Ilna nie zmieniła wyrazu twarzy, lecz teraz zrozumiała niechęć gospodarzy do zapuszczania się w ten zagajnik.

– Daleko jeszcze? – spytała.

– Niedaleko – odparł Wim. Obejrzał się przez ramię. – Na pewno?... – zaczął.

– Tak – odparła Ilna, ale łagodniej niż kiedy namawiała Ludzi Piękną, żeby ją tu przyprowadzili. Może nie widzieli żadnej różnicy między jej rodzinnym światem a tym, na którym dwunogi potwór z kolczastym ogonem spoglądał na nich znad szczątków pożeranego dziecka w ruinach pałacu. Ilna uśmiechnęła się ponuro. Wiedziała, że w jej świecie też były miejsca, w których podobne sceny były równie realne jak błoto na uliczkach Barca's Hamlet. Może Ludzie Piękni mieli rację.

Oczywiście, to nie miało żadnego znaczenia. Wzywały ją obowiązki, a tych nie mogła wykonać tutaj, w Ogrodzie.

– To – oznajmił Wim, wskazując pień białego dębu, niewiele różniącego się od tego, jakie rośnie na zachodnim krańcu Barca's Hamlet, rozszczępionego przez piorun na długo przed narodzinami Ilny. Piorun oderwał konar i wyrwał krętą bruzdę w korze, aż do ziemi. Tutaj jednak, zamiast zwietrzałej żywicy, w szczelinie tkwiła budząca lęk, czarna mgła.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu – rzekł ich brodaty przewodnik – to teraz was opuszczę. Wolałbym jednak, żebyście wrócili ze mną.

Ilna kiwnęła głową, uważnie przyglądając się wzorom we mgle, dostrzegając ulice nie znanego jej miasta. Widziała strome, pokryte gontem dachy oraz ozdobne rzygacze w kształcie dziwacznych zwierząt.

– Dziękuję – powiedział serdecznie Halphemos. Mocno uściśnął dłoń Wima. – Za waszą gościnność, a szczególnie za to, co zrobiliście dla mojego przyjaciela Cerixa.

Wim pospiesznie oddalił się, jakby usiłował uciec przed nieprzyjemnym widokiem. Czarodzieje odprowadzali go wzrokiem i dopiero kiedy znikł im z oczu, popatrzyli na Ilnę.

– Nie musieliście tu przychodzić – powiedziała. – Pewnie nie powinniście tu być.

Halphemos minął ją bez słowa i zniknął we mgle.

– A niech to Siostra... – zaczął z gniewem i zdumieniem Cerix.

Ilna weszła w szczelinę. Nic nie poczuła, tylko podmuch chłodnego wiatru wiejącego po ulicy między drewnianymi budynkami. Potknęła się.

Ulica nie była brukowana, tylko pośrodku miała ocembrowany kanał ściekowy. Tuman kurzu zawirował i znikł za rogiem.

Jakaś kobieta stała w progu domu po lewej stronie ulicy, trzymając wiadra z pomyjami, które miała zamiar wylać do ścieku, żeby splukał je pierwszy deszcz. Stała jak wryta, z przerażeniem patrząc na Ilnę i Halphemosa.

– Nic się nie stało – warknęła Ilna. Gniewnie spojrzała na kobietę, hipnotyzując ją wzrokiem. Zauważyła, że Halphemos ma na sobie starą tunikę, a nie tę, którą dali mu Ludzie Piękni.

– Co to za miasto, pani? – zapytał Halphemos uprzejmym, lekko zatroskanym głosem. – Pozwól, że pomogę ci nieść te wiadra.

– No, przecie to Divers na Trzeciej Atarze – odparła kobieta. Przez moment trzymała wiadra,

a potem puściła je, pozwalając młodzieńcowi zanieść je do ścieku. Halphemos po prostu znów był sobą. Było to bardziej kojące niż cokolwiek, co zdołałaby powiedzieć Ilna.

Na ulicy było pusto, tylko powóz przejechał przez skrzyżowanie dwa domy dalej.

– Skąd się wzięliście? – zapytała kobieta. – Nie było was tu, a potem nagle...

Cerix wyłonił się znikąd i potoczył po ulicy przed kobietą. Jego tunika była czarna od pyłu dawno wyschniętego morza. Chwycił się za kikuty nóg i zaczął wrzeszczeć.

Wtedy atarańska kobieta wrzasnęła również.

Cashel patrzył na drzewo o prostym pniu, zastanawiając się, czy nada się na część tratwy, którą właśnie budował. Zahag siedział w pobliżu, pogryzając czerwone pestki, które wyjął ze znalezionej owocu. Mięsz był bez smaku, ale nasiona najwyraźniej były smakowite – a przynajmniej jeśli ktoś miał takie kły jak Zahag.

Przy pniu drzewa zwinął się kaktus o miękkich liściach. Kilka biało-szkarłatnych wielopłatkowych kwiatów zwisało bezsilnie jak suszące się na słońcu mątwy. Kwitły tylko przez kilka godzin, lecz zeszłej nocy ich aromatyczny zapach dotarł aż na cypel, na którym rozbitkowie spali obok łódki.

Cashel spojrział na obóz. Cozro leżał w cieniu na posłaniu z gałęzi, a Aria próbowała upleść sobie kapelusz z wąskich liści. Była w tym absolutnie beznadziejna, ale przynajmniej się starała. Księżniczka dowiodła również Cashelowi swoich dobrych chęci, wiosłując rano, zanim słońce stanęło wysoko na niebie. Miała do tego talent, choć oczywiście obtarłaby sobie miękkie dłonie, gdyby pozwolił jej to robić dłużej niż kilka minut.

Niewątpliwie księżniczka Aria bardzo się zmieniła, od kiedy Cashel ją spotkał. Może pewnego dnia nawet wybaczy mu to, że ją uratował.

Cashel przecisnął się przez gąszcz, by obejrzeć następne rosnące na półwyspie drzewo. Był to jakiś rodzaj eukaliptusa, o pniu rozwidlonym na wysokości metra. Cashel doszedł do wniosku, że lepiej będzie zrębać osobno oba odgałęzienia niż pień tuż nad ziemią. Przykłęknął i zamachnął się kordem, który w innej pozycji zawadziłby o nisko zwisające gałęzie. Wystarczającym utrudnieniem była konieczność posługiwania się kordelasem, a nie toporem, ale jakoś sobie poradził.

Zahag wskoczył na splątane łodygi pnącza. Drzewo, na którym pnącze wspierało się przez pierwsze dziesięć lat życia, zupełnie spróchniało i rozpadło się. Nie pozostał po nim żaden ślad oprócz zdrewniałych pędów rośliny, która je zamordowała.

– Co się nie zgadzało z tamtym drzewem? – zapytał małpolud. Mówił bełkotliwie, ponieważ nadal przeżuwał nasiona.

– Ten kaktus, który przy nim rośnie – odparł lekko zmieszany Cashel. – Ma...

Zastanowił się. Zawsze miał kłopoty z liczeniem.

– No – zakończył – ma więcej pączków, niż było owiec w jakimkolwiek stadzie, którego pilnowałem. Myślę, że większość z nich zakwitnie dziś wieczorem.

Otarł ostrze korda o liść palmy, oczyszczając stal ze żrących soków. Nawet Cashel, który nie znał się na mieczach, wiedział, że nie była to zbyt poręczna broń, ale miała mocne ostrze, które nie złamie się przy tak ciężkiej pracy jak ścinanie drzew.

Zahag odwrócił się i spojrział na kaktus, w skupieniu marszcząc pociągłą, wyrazistą twarz.

– I co z tego? – zapytał.

– Hm – mruknął Cashel. – Podobał mi się ten zapach zeszłej nocy. A w blasku księżycy kwiaty wyglądają po prostu pięknie.

Nie miał ochoty tłumaczyć małpoludowi, dlaczego lubi kwiaty. Sam nie wiedział dlaczego, po

prostu lubił je. Słyszając to, większość mieszkańców Barca's Hamlet byłaby równie zdziwiona jak Zahag. Cashel zamachnął się kordem, trzymając oburącz rękojeść, żeby uderzyć z całych sił. Aria krzyknęła.

Cashel wbił kordelas w twardą ziemię i zostawił go, rzucając się pędem w kierunku plaży. Nawet nie pomyślał o tym, żeby wykorzystać tę broń. Kord tylko przeszkadzałby mu w użyciu pałki opartej teraz o porośnięte kaktusem drzewo.

Nie miał pojęcia, co zobaczy, kiedy spojrzy na zatoczkę, w której pozostawił Arię. Może wilki morskie, te wielkie drapieżne jaszczury, wychodzące z wody, a może jakiegoś innego lądowego drapieżnika, chociaż podczas tych kilku spędzonych na wyspie dni nie znalazł śladów żadnego z nich. A może był to demon przysłany przez Ilmeda lub innego czarnoksiężnika, zamierzający porwać księżniczkę.

Zamiast tego zobaczył Arię wywijającą wiosłem jak pałką i Cozro, który podnosił się z piasku. Nietrudno było się domyślić, co tu się działo w czasie, kiedy Cashel nie widział dwojga swoich towarzyszy.

A właściwie tylko jednej towarzyszki. Cozro właśnie stał się problemem, który Cashel zamierzał szybko rozwiązać.

– Cozro! – krzyknął przez pas dzielącej ich wody. – Dotknij jej jeszcze raz, a nie zostanie z ciebie nawet przynęta na ryby!

Cozro odwrócił się i spojrzał na Cashela. Znajdowali się zaledwie dwieście kroków od siebie, lecz dzielił ich pas głębokiej wody. Cashel umiał trochę pływać, gdyby jednak próbował przepłynąć szybko przez zatokę, prędzej poszedłby na dno, niż zdążył na czas, żeby pomóc Arii.

Aby dotrzeć do księżniczki brzegiem zatoki, Cashel musiał przebyć kilkakrotnie dłuższą drogę. Zaczął biec.

Oszołomiony Cozro potrząsnął głową. Krew płynęła mu z rozciętej lewej skroni. Jeśli usłyszał Cashela, to zignorował groźbę. Ponownie skoczył na Arię, szeroko rozkładając ręce.

Ponieważ Cashel zamierzał później popłynąć w głąb zatoki, żeby nzbierać małży, nie wciągnął łódki na brzeg po tym, jak Aria uczyła się wiosłować. Zamiast uciekać, czego się spodziewał, albo walczyć, jak zrobiłby na jej miejscu mężczyzna, Aria wskoczyła do łódki i odrzuciła linę cumowniczą.

Cashel natychmiast zrozumiał, że dokonała słusznego wyboru. Cozro nie był szybki, ale o wiele silniejszy od księżniczki. Gdyby pobiegła w głąb wyspy, zaplątałaby się w gąszczu, zanim przebyłaby dwadzieścia kroków. Ponadto Cozro znajdował się między nią a Cashelem, a uciekając w przeciwną stronę, dotarłaby do gigantycznego gniazda na końcu cypla, gdzie dalszą drogę zagroziłaby jej woda.

Cozro z gniewnym rykiem wbiegł za nią do wody. Aria chwiała się na rufie, odpychając łódkę od brzegu wiosłem, którym posługiwała się jak długą tyczką. Cozro umiał pływać: po trzecim uderzeniu rękami znalazł się tak blisko łodzi, że prawie mógł chwycić ręką burzę.

Aria ponownie rąbnęła go w głowę wiosłem. Cashel, biegnąc i balansując pałką – biegał lepiej, niż pływał, chociaż nie był dobrym biegaczem – zareagował triumfalnym okrzykiem.

Gdyby księżniczka uderzyła kantem wiosła jak mieczem, zapewne roztrzaskałaby czaszkę kapitana. Uderzenie na płask nie wyrządziło mu poważniejszej krzywdy, ale przekonało go, że lepiej nie próbować wchodzić na pokład bączka. Cozro wygramolił się z wody.

– Biegnę, księżniczko! – zawołał Cashel resztką tchu, jaka pozostała mu po szybkim kłusie po miękkim piasku. Naprawdę miał nadzieję, że Cozro będzie próbował z nim walczyć. W przeciwnym razie Cashel stanie przed poważnym problemem, co zrobić z człowiekiem, który okazał się zbyt

niebezpieczny, aby dzielić z nim tę wysepkę.

W pierwszej chwili Cashel pomyślał, że kapitan wrócił na brzeg po jakiś kij, którym mógłby parować wiosłami. Widocznie Aria pomyślała tak samo, ponieważ osadziła oba wiosła w dulkach i niezdarnie odplynęła dalej. Jeżeli wypłynie z zatoki, może nie wystarczyć jej siła, żeby tu wrócić...

Cozro biegł po plaży. Cashel zastanawiał się, czy w napoju z owoców było coś, co odebrało kapitanowi rozum. Cozro mógłby zrobić z Arią to, co zamierzał, ale nie miał żadnej szansy na ucieczkę, chyba żeby postanowił powiosłować na otwarte morze. A wtedy czekałaby go śmierć równie pewna jak z ręki Cashela, tylko nieporównanie bardziej bolesna.

Cashel odnalazł swój rytm. Nie poruszał się szybko, ale mógł tak biec, jak długo by chciał. Aria też odnalazła właściwe tempo i ciągnęła oboma wiosłami jednocześnie. Cashel zastanawiał się, jaką byłaby dziewczyną, gdyby urodziła się jako córka rybaka z Barca's Hamlet. Nie mógł sobie tego wyobrazić. Równie dobrze mógłby wyobrazić sobie słońce wschodzące na zachodzie.

Zahag, obserwujący wydarzenia ze swojego miejsca w gęstwinie pnączy, zapiszczał z ożywieniem. Cashel wiedział, że małpolud nie umie pływać i nie biega dostatecznie szybko, żeby dopaść Cozro, zanim on to zrobi, ale zirytowało go to, że Zahag nawet nie próbował. Pewnie uważał, że samice to sprawa wodza plemienia, a nie jego.

Cozro zbiegł z końca cypla do wody. Cóż, jeśli chce się utopić, to jego...

Bączek osiadł na piasku. Wstrząs rzucił Arię na dno na dziobie. Przez chwilę machała nogami w powietrzu, zanim znów wgramoliła się na ławeczkę. Cozro wydał okrzyk triumfu. Oddalił się już od brzegu, a mimo to woda sięgała mu zaledwie po kostki.

Cashel przystanął. Bieganie po piasku nie pozwalało mu zebrać myśli, a wiedział, że musi zrozumieć, co się dzieje, zanim coś zrobi.

Wyjaśnienie było bardzo proste. Aria wysiadła z łódki i bezskutecznie usiłowała ją ściągnąć z mielizny. Stała na twardym gruncie tuż pod powierzchnią wody. Cozro był z pewnością pijany i być może szalony, ale był marynarzem. W przeciwieństwie do Cashela zauważył łachę piasku przy ujściu zatoki. Podczas odpływu musiał na niej osiąść nawet płaskodenny bączek.

Księżniczka odwróciła się i rozpryskując wodę, pobiegła w kierunku brzegu, gdzie wcześniej pracował Cashel. Cozro powoli zmniejszał dzielący ich dystans. Cashel dotarł prawie do podstawy cypla i znalazł się daleko od nich. Gdyby był pozostał na miejscu...

Nawet nie westchnął, zanim pobiegł z powrotem. Popełnił błąd – nie pierwszy raz. Zrobi, co będzie mógł, chociaż podejrzewał, że zanim dopadnie Cozro, pozostanie mu tylko pomścić Arię.

Co też na pewno uczyni.

Zahag zaczął przeraźliwie piszczeć jak koło wozu obracające się na ośce, kiedy kowal próbuje je ustawić. Małpolud oburącz chwycił zdrewniałe łodygi pnączy i bębnił nogami po konarach, aż cała wysoka roślina zdawała się dygotać. Patrzył na morze.

– Pomóż Arii! – wrzasnął Cashel.

Gdyby Zahag zagroził drogę kapitanowi, zdołałby zatrzymać go do czasu, aż Cashel przyjdzie mu w sukurs. Gdyby... lecz Zahag nie był człowiekiem i z pewnością nie myślał tak jak Cashel. Wciąż krzyczał, wyciągając długie ramię i pokazując coś na morzu.

Księżniczka była pięćdziesiąt kroków od brzegu, a Cozro dwadzieścia kroków za nią i wciąż zmniejszał tę odległość. Obejrzała się przez ramię i stanęła jak wryta. Cozro krzyknął:

– Teraz dostaniesz nauczkę, ty mała zarazo!

Cashel pomyślał, że Aria wpadła w panikę, zobaczywszy, że jej prześladowca jest tak blisko.

– Co ty!... – zawołał.

Całą uwagę skupił na kapitanie i księżniczce, więc dopiero teraz dostrzegł długie zębate paszcze wylaniające się z morza. Cozro zawrócił z krzykiem. Zdażył zrobić trzy kroki w kierunku bączka, zanim dopadły go potwory. Kiedy wyszły na mieliznę, Cashel uświadomił sobie, że to ptaki – a przynajmniej miały ptasich przodków. Pióra na ich brzuchach były kremowe, a na górnej powierzchni ciała ciemnoszare z białymi plamkami. Jediną pozostałością skrzydeł były niewielkie narośla, wyraźnie widoczne, gdy potwory z rykiem ruszyły do ataku.

Od czubka pyska do końca ogona miały po siedem metrów, a ich pomarańczowe i zębate dzioby były prawie półmetrowej długości.

Cozro wrzasnął ze strachu i zakrył twarz rękami. Siostra wie, co w ten sposób chciał osiągnąć. Ptaki uderzyły jednocześnie. Chwyciły Cozro za kolana i ramiona, a potem rozdarły na dwoje, potrząsając głowami jak kury walczące o robaka. Spienione fale splamiła krew.

Po chwili Cozro przestał krzyczeć.

Cashel dalej biegł brzegiem. Teraz zrozumiał, dlaczego Aria stanęła jak wryta. Nadal stała nieruchomo, podczas gdy ciało kapitana poruszało się – szarpane przez szaro ubarwione ptaki.

Mądra dziewczyna, mądra i z reflekssem. Nikt nie dopatrzyłby się tych cech u Cashela, który mimo to wiedział, że nie powinien ukrywać się w krzakach, kiedy księżniczka sterczy tam w wodzie, widoczna jak wrzód na tyłku.

Cashel dotarł do pnącza, mniej więcej dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie Aria wyszłaby na brzeg, gdyby znów zaczęła biec. Zahag opadł na cztery łapy i skulił się, upodabniając do pokrytego futrem głazu. Wytrzeszczonymi oczami patrzył na to, co dzieje się na cyplu. Cashel też przystanął, oddychając przez szeroko otwarte usta i lekko pochylając się naprzód, żeby przepona mogła łatwiej rozciągać klatkę piersiową.

Ptaki właśnie rozprawiły się z Cozro. Podniosły się, pierś w pierś, sycząc jak wylana na rozgrzane kamienie woda i usiłując połknąć ostatni kęs. Miały wielkie pomarańczowe łapy. Zamiast błon, które pomagały w pływaniu gęsiom z Barca's Hamlet, tym stworom po obu stronach każdego palca wyrosły łuski.

Jedno z ptaszysk przewróciło kompana wężowym ruchem szyi, co Cashel, jako doświadczony zapaśnik, mógł tylko podziwiać. Oba ptaki z donośnym pluskiem runęły na bok, lecz gdy padały, zwycięzca połknął nogę Cozro. Spod ciała walczących wypłynęły kawałki zgruchotanej łódki.

Jednocześnie i najwidoczniej w znakomitym humorze, ptaki umknęły z powrotem na głębszą część zatoki i popłynęły w kierunku przeciwległego brzegu, na którym znajdowało się ich gniazdo. Sunęły z głowami i szyjami wysoko nad wodą, posykując z satysfakcją.

Aria zaczęła pełznąć w kierunku łądu. Za nią resztki łódki pływały na wodzie, która szybko rozpuszczała krew. Na powierzchnię wyskoczyła rybka, trzymając coś w pysku.

Cashel ruszył w kierunku miejsca, gdzie księżniczka miała wyjść na brzeg. Poruszał się ostrożnie, żeby nie zwrócić uwagi tych stworów na tę stronę wysepki. Zahag, mamrocząc coś, doczołgał się do Cashela, bardziej obawiając się zostać sam, niż poruszyć się w obecności ptaków.

Te wyszły na plażę obok splądrowanego gniazda. Ich krzyki wściekłości nie przypominały żadnego znanego Cashelowi dźwięku: wysokie, przenikliwe i tak głośne, że niepodobne do niczego, co dobywało się z gardła jakiegokolwiek żywego stworzenia. Zanurzały łby w stercie liści oraz wodorostów, wydając i oglądając po kolei każde pozostałe jajo. Dzioby, którymi rozdarły Cozro na krwawe strzępy, teraz z matczyną delikatnością dotykały matowo lśniących kul.

Aria dotarła do brzegu. Miała otwarte usta i wybałuszone oczy. Była przerażona, ale nie aż tak, by nie móc myśleć i działać. Cashel poczuł do dziewczyny przypływ sympatii, o jaką nigdy by się nie podejrzewał. Wyciągnął do niej wolną rękę. Z jej otartych wioślami dłoni zwisały strzępki skóry,

choć słońca woda powstrzymała krwawienie.

Wrzasnął ptak. Aria obejrzała się i krzyknęła. Oba wielkie stwory ze złowrogą gracją zanurzyły się w wodę.

Cashel szarpnięciem pociągnął dziewczynę za siebie. Nie było czasu na ceregiele.

– Trzymaj się blisko, ale nie wchodź mi w drogę! – zawołał. – Ty też, Zahagu!

Zaczął kręcić młyńca pałką. Mosiężne okucia utworzyły rozmazany, złocisty krąg, gdy laska obracała się coraz szybciej.

Jeśli zaatakują ich tylko jeden ptak, a Aria i Zahag pozostaną tuż za plecami Cashela, może uda im się uciec z tego z życiem. Widział, co potrafią te wielkie dzioby. Ptaszyska miały zęby jak wilki morskie, a ich długie pyski potrafiły zacisnąć się z siłą stalowych wrót fortecy.

Jednakże ptak napotka zaporę wirującego drzewca, ilekroć spróbuje trafić dziobem w wyborne mięso, które kryje się za tą tarczą. Każdy z tych ptaków ważył tyle, co tuzin zaprzęgowych mułów. Któryś z nich mógł przedrzeć się przez zaporę Cashela – lecz przypłaciłby to bolesnymi obrażeniami, a może nawet złamanym dziobem. Cashel i dwoje jego towarzyszy mieliby całkiem niezłe szanse.

Dwa ptaki atakujące razem, tak jak przed chwilą... no cóż, zakończą walkę w mgnieniu oka. Aria i małpolud wystarczą na dwa kęsy, a pożarcie Cashela zajmie im tylko nieco dłuższą chwilę.

W środku wirującego kręgu trzaskał błękitny ogień. Cashel zobaczył, że otaczający go świat zaczyna blaknąć. Wydawało mu się, że Aria powiedziała coś, ale nie dosłyszał.

Ptaki przepłynęły zatokę pod wodą. Teraz gramoliły się na brzeg. Miały otwarte dzioby i poruszały różowymi językami, lecz Cashel nie słyszał ich syczących krzyków. Jego pałka tworzyła krąg skwierczącego niebieskiego blasku, ryczącego, trzaskającego i wypełniającego świat. Po drugiej stronie Cashel widział jakieś postacie, lecz gigantyczne ptaki zmalowały i znikły.

Tarcza przed Cashelem zmieniła się w tunel. Wpadł weń, a Zahag i księżniczka za nim.

Leżał w pyłe na dziedzińcu pałacu króla Folquina na Pandah.

– Straż! Straż! – krzyknął czyjś głos.

Cashelowi pociemniało w oczach. Zahag popiskiwał. Aria jękliwie wzywała Panią, a król Folquin swoją gwardię przyboczną. Jakaś kobieta z dalopańskim tatuażem pochyliła się i spojrzała Cashelowi w twarz. Rozpoznał w niej tę, która przyglądała mu się z tłumu petentów tego ranka, kiedy on i Zahag zostali przeniesieni z tego świata do pierwszego z miejsc, jakie przemierzali, zanim wrócili tutaj. Dalopanka nosiła teraz kosztowną brokatową szatę, haftowaną srebrną nicią w astrologiczne symbole. Wyprostowała się.

– Cofnąć się! – rozkazała. – Potrzebuję go do mojej sztuki!

Ciemność jak morska toń pochłonięła wyczerpanego Cashela.

Coś w koronach drzew zawodziło „ka-ka-ka-ka” nad przechodzącą Shariną i Unarkiem. Nawet nie spojrzała w górę. Wiedziała już, że i tak niczego nie zobaczy, a poza tym nie chciała marnować energii na podziwianie widoków.

Maszerowała z rannym łowcą od... sama już nie wiedziała, jak długo. Pewnie nie przeszli wiele kilometrów, lecz i tak był to dłuższy i trudniejszy szlak od tych, do jakich była przyzwyczajona.

Unarc poruszał się jak duch. Tylko od czasu do czasu przypominał sobie o niej i oglądał się przez ramię, sprawdzając, czy dziewczyna nadal idzie za nim. Sharina była bardzo dumna z tego, że zawsze tam była, kiedy patrzył. Nie widziała Hanno od rana, kiedy ruszyli w drogę. I nie spodziewała się go zobaczyć. Unarc miał ją prowadzić, a wielki myśliwy krążył w pobliżu, sprawdzając, czy ktoś ich nie tropi lub nie zwabi w zasadzkę. Nonnus postąpiłby tak samo.

Sharina uśmiechnęła się. Być może Nonnus naprawdę robił to samo.

Unarc przystanął w kępie rozłożystych drzew i ostrzegawczo podniósł nóż. Zagięte ostrze chwyciło promyk światła i zamigotało niczym oko węża. Sharina stanęła jak wryta. Otworzyła usta, by cicho złapać oddech, a potem powoli obróciła głowę i spojrzała za siebie.

Nic. Nie dostrzegła żadnego śladu niebezpieczeństwa. Dzięki Nonnusowi wiedziała, że może zaufać swoim przeczuciom, chociaż nie przestała w pełni korzystać ze swoich zmysłów.

Sharina spojrzała na Unarca, a kiedy skinął głową, podczołgała się do niego. Wskazał nożem na gąszcz korzeni mangrowca zwisających nad stromym brzegiem rzeki. Przez większą część dnia szli wzdłuż niej, lecz teraz po raz pierwszy Sharina zobaczyła wodę, a nie tylko słyszała jej szum.

Okropnie brzydkie zwierzę wyłoniło się spomiędzy mangrowców, brodząc w wodzie. Było chyba wielkości osła, lecz budową ciała bardziej przypominało gigantycznego jeża o szerokim i nisko zawieszonym ciele. Rogowe kolce sterczały mu z obu boków, a szczególnie długie z karku i łopatek. Idąc, zajadało resztki pierzastego liścia, przy każdym posuwistym ruchu szerokich szczęk wciągając do pyska kawałek twardej rośliny.

– To na nie polujemy, żeby zdobyć rogi – szepnął Unarc. Od kiedy łysy łowca uwierzył, że rzeź w pniu baobabu była dziełem Shariny, traktował ją z najwyższym szacunkiem i nie był w jej obecności tak strasznie skrępowany jak przy innych kobietach. – I wiesz co? Teraz, kiedy wypadłem z interesu, napotkaliśmy najładniejszy okaz, jaki widziałem na Bight w ciągu ostatnich siedmiu lat.

Zwierzę znikło w listowiu po drugiej stronie labiryntu korzeni. Sharina zdziwiła się, że takie wielkie i pozornie niezdarne stworzenie poruszało się bez trudu w gęstwinie. Szepnęła:

– Jego pancerz jest...

„Brzydki jak kora drzewa”, już miała na końcu języka.

– ...taki zwyczajny.

Unarc skinął głową.

– Jak szylkret – powiedział. – Jeśli zedrzesz zewnętrzną warstwę, wypolerujesz ją i wysuszysz na słońcu, będzie piękniejsza, niż sobie wyobrażasz. My tego nie robimy, ponieważ prawdopodobnie piekielnie podrapałaby się podczas przewożenia, ale uwierz mi, że był to pierwszorzędny egzemplarz.

Sharina błyskawicznie obróciła się, chwytając ręką pewlańskiego noża. Hanno, wyłaniający się spomiędzy dwóch krzewów imbiru, nie poruszając przy tym ociekających rosą różowych kwiatów, uśmiechnął się z ponurą aprobatą.

– Dobrze, że ona jest z tobą, Unarcu – powiedział. – Gdybym był Małpą, już zjedliby cię na obiad, chyba żeby najpierw postanowili cię ugotować.

– A niech cię Siostra, Hanno! – powiedział łysy. – Cały czas wiedziałem, że tam jesteś!

Sharina puściła rękę noża. Nie wiedziała, czy Unarc mówił prawdę. Mimo wszystko z przyjemnością znów zobaczyła ogromnego myśliwego.

– Nad rzeką nie ma żadnych Małp – oznajmił Hanno, poważniejąc. – Chyba możemy dotrzeć na szczyt, zanim się ściemni. Niech mnie Siostra, jeśli przez ostatni miesiąc nie przeszła tędy każda Małpa na wyspie! I nie znalazłem żadnych śladów wiodących z powrotem.

Unarc pokręcił łysą głową.

– No, z pewnością coś się tu dzieje, inaczej... – wskazał na swoje obandażowane ramię – nie nosiłbym tego. Zobaczmy, o co tu chodzi.

– Na jaki szczyt? – zapytała Sharina.

Nie trzeba było prowadzić jej za rękę, ale ci dwaj myśliwi byli tak przyzwyczajeni do samotności i kontaktów z równie milczącymi, że mogli nie powiedzieć jej o sprawach, które powinna wiedzieć dla dobra ich wszystkich. Często porozumiewali się monosylabami, których postronna

osoba nie była w stanie właściwie zinterpretować.

Hanno kiwnął głową, dając jej znać, że rozumie i aprobuje to pytanie. W innych okolicznościach Sharina miałaby ochotę udusić myśliwego, ale znalazła się tu dzięki jego poświęceniu i była wolna, ponieważ Hanno bez wahania ryzykował dla niej życie, chociaż czasem traktował ją jak niedorozwinięte dziecko.

– Cały północny koniec wyspy zajmują wulkany – powiedział głośno. – Zatoka, do której najwyraźniej kierują się Małpy, to także wulkan, tylko jego północna ściana zawaliła się pod uderzeniami fal. Wejdziemy tunelem w pozostałym zboczach i podejdziemy do nich tak, że nawet nas nie zauważą.

Unarc poważnie pokiwał głową i rzekł:

– Lawa wylała się z krateru i utworzyła tunel, spływając po jego zboczach. Jej zewnętrzna warstwa zastygła i skamieniała, podczas gdy środek płynął dalej, aż dotarł do rzeki. Widziałem to – nie tutaj, oczywiście, gdyż ten wulkan jest bardzo stary, ale po drugiej stronie wyspy, pierwszego lata, jakie spędziłem na Bight.

Sharina znów uświadomiła sobie, że chociaż uważała myśliwych za prostych ludzi – nawet według standardów Barca's Hamlet – ci mężczyźni widzieli na własne oczy wydarzenia, o jakich nie śniło się uczonym z dawnych i obecnych czasów. Byli gwałtowni – dowodem zebrana przez Hanno kolekcja zębów – lecz nie dzicy i żaden z nich nie był głupcem. Nawet przed tą nieoczekiwaną zmianą zachowania Włochatego Ludu puszcze Bight nie miały litości dla głupców.

– Wejdziemy do rzeki – powiedział Hanno – zanurkujemy, żeby dostać się do tunelu, a potem będziemy się wspinać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że trochę się zmoczysz.

Uśmiechnął się z własnego żartu. Kąpiel w rzece nie zmoczy Shariny bardziej niż codzienne deszcze. Odpowiedziała mu z uśmiechem:

– Wygląda na to, że w rzece jest mnóstwo błota, więc nie przemoknę tak bardzo jak na deszczu. Mój przyjaciel Cashel zaraz zapragnąłby ją zaorać.

Wymawiając jego imię, poczuła ukłucie żalu. Pozwoliła, by podstępny czarodziej odwiódł ją od poszukiwań przyjaciela. To, co później przydarzyło się Nimetowi, nie zmieniało faktu, że popełniła błąd.

– Trzymaj się mojej włóczni, kiedy będę szukał tunelu pod wodą – powiedział Hanno. – Tam jest ciemno jak w świńskiej...

Urwał i odkaslnął.

– No, w wodzie nic nie widać. Albo może lepiej chwyc mnie za pas. Unarc popłynie za nami.

Łysy myśliwy potakująco kiwnął głową.

– W tunelu też nic nie widać – powiedział. – Dopóki nie pokona się połowy drogi, gdzie są dziury. Tyle że kiedy już zaczniesz się iść, nie można się zgubić.

Sharina zastanawiała się, jakie stwory mogą kryć się w kompletnych ciemnościach takiego tunelu. Uśmiechnęła się krzywo. Była pewna, że żadne z tych stworzeń nie jest równie groźne jak Hanno i jego włócznia.

– Jestem gotowa – oznajmiła.

Chwyciła palcami lewej ręki za zrobiony z jaszczurczej skóry pas myśliwego. Weszli do rzeki. Niespodziewanie silny nurt sprawił, że Sharina lekko napała ręką na plecy Hanno, zanim złapała równowagę i stawiała opór prądowi. Myśliwy jakby tego nie zauważył. Niespiesznie przeszli dwadzieścia kroków w dół rzeki. Woda sięgała Sharinie do piersi, a przez chwilę po szyję, lecz ani na moment nie zakryła jej ust. Minęli rosnące tuż nad wodą mangrowce. Gdyby Sharina szła sama, pomagałaby sobie rękami, chwytając się ich korzeni tak samo, jak robiłaby to, wspinając się po

skalnej ścianie. Dalej rósł gąszcz palm, których pnie wyrastały po trzy i cztery ze wspólnych podstaw, lecz między nimi a mangrowcami ciągnął się garb czarnej skały, na której rosły tylko paprocie lub prymitywniejsze formy roślin. Garb ciągnął się w górę zbocza i znikał w gęstwinie.

– Oto nasz tunel, panienko – ostrzegł Hanno.

Wszedł głębiej w wodę, a potem – kiedy ta sięgała Sharinie do brody – zanurzył głowę pod powierzchnię. Dziewczyna poszła w jego ślady, starając się iść po śliskim glinianym dnie, wygładzonym przez rwący prąd. Wciskająca się między jej zaciśnięte wargi woda miała gorzkawy smak. Sharina zamknęła oczy, ścisnęła jedną ręką pas łowcy, a drugą pewlański nóż, którego szorstka rękojeść dodawała jej otuchy. Nie była pewna, ale wydawało się jej, że Hanno skręcił w bok. Prąd osłabł. Pod nogami poczuła twardą skałę, znacznie wygodniejszą dla stóp dziewczyny z Barca's Hamlet. Po chwili jej głowa znów wynurzyła się z wody.

– Dzięki ci, Pani! – powiedziała.

Jej słowa odbiły się drżącym, wielogłosym echem w ciemnej rurze lawy. Puściła pas Hanno i poszła w górę stromym tunelem. Plusk wody pod jej nogami przeradzał się w pomruk nieprzebranego tłumu. Nawet oddechy Shariny oraz jej towarzyszy świszcząły jak zimowy wichur.

– Nic nas tu nie trzyma – mruknął Hanno. Jego buty z miękkiej skóry wydawały chlupoczące dźwięki, gdy ruszył naprzód. Sharina poszła za nim, a za plecami słyszała Unarca.

Sklepienie tunelu znajdowało się zbyt wysoko, żeby zdołała go dotknąć palcami wyciągniętych rąk. Dno było jak szeroki bulwar, po którym wszyscy mogliby iść ramię w ramię, gdyby chcieli. Sharina wyczuwała obecność towarzyszy dzięki znakom, których nawet nie umiałyby nazwać. Oczywiście jednym z nich był dźwięk, choć echa i odbicia jej własnych kroków czyniły go zdradliwym przewodnikiem. Czasem wydawało jej się, że wyczuwa ciepło ich ciał, a czasem po prostu wiedziała, że są przy niej.

Uśmiechnęła się. Nonnus zrozumiałby to. Wyczuwała jego bliskość w tym niemal namacalnym mroku, tak jak w tej duchowej pustce, gdy czekała na śmierć w pniu baobabu.

Droga wiodąca w górę nie była bardziej stroma od górskiej łąki, na której pasą się owce. Towarzysze nie rozmawiali ze sobą, lecz Sharina wyczuwała podmuchy wiatru wpadającego górą do tunelu oraz nieznaczne zmiany ciśnienia w uszach, wywołane przybierającą i opadającą na dole wodą. Nie miało znaczenia to, że nic nie widziała. Miała podążać w górę i była to równie dobra wskazówka jak ta, którą mogły dać jej oczy. Od czasu do czasu napotykała wgłębienie w miejscu, gdzie głęboko zakorzenione drzewo przetrwało dostatecznie długo, by pozostawić swój ślad w skale, zanim zostało spalone na węgiel i starte na pył przez następne wieki. Sharina nauczyła się omijać takie wgłębienia, chociaż nie potrafiłaby powiedzieć jak.

Ujrzała światło. Z początku myślała, że to złudzenie jak płamki latające przed oczami. Jednakże to było szaro-białe, a sylwetka Hanno wyraźnie odcinała się na jego tle. Zbliżali się do wyjścia prowadzącego na świat, o którym prawie zdążyła zapomnieć.

Na początku swojej drogi w dół zbocza góry lawa zalała korzenie sosny. Gdy organiczna materia rozłożyła się, pozostały otwory w ścianie tunelu. Sharina mogłaby wystawić przez któryś z nich rękę i pomachać palcami w powietrzu, lecz żaden z mężczyzn nie zdołałby tego zrobić.

Hanno położył się na brzuchu, żeby spojrzeć przez otwór tuż nad dnem tunelu. Unarc przykucnął i zerknął przez inny.

– Jak pragnę łaski Pani! – powiedział. – Hanno, co te stuknięte Małpy tam robią?

– Domyślam się, co to jest – mruknął drugi myśliwy.

Nie mówiąc nic więcej, podniósł się na klęczki i odsunął na bok, gestem przywołując Sharinę do dziury. Okręciła pas tak, by nie przeszkadzała jej długa pochwa z nożem. Zobaczyła zatokę ponad sto

metrów niżej. Całą powierzchnię wody pokrywały pnie drzew wszelkich gatunków i rozmiarów. Mnóstwo Włochatych gramoliło się na pływające kłody. Dyrygowały nimi zjawy podobne do tej, która dowodziła grupką Małp, gdy te zaatakowały ją i Hanno.

Sharina nie była w stanie zliczyć, ile ich tam jest. Ich chaotyczne ruchy przypominały jej ten dzień na początku miesiąca Czapli, kiedy termity całymi rojami wychodzą z kopców, szykując się do odlotu na poszukiwanie nowych siedzib, a wrony i sójki cieszą się tą nagłą obfitością pokarmu.

– Czyżby przeszła tędy burza? – zapytała Sharina, odrywając się od tego widoku i patrząc w oczy Hanno. – Czy to sztorm wyrzucił te wszystkie drzewa na brzeg?

– Nie wyrzuciły ich fale, panienko – powiedział Unarc, który także wyprostował się. – Zostały ścięte. Wszystkie. Wprawdzie mają konary, ale nie widać korzeni, więc nie zostały wyrwane. Ponadto ostatnio nie było tu burzy.

Hanno kiwnął głową.

– Zrobiły to Małpy – powiedział. – Oni...

– Małpy nie mogły tego zrobić! – zaprotestował Unarc. – Nie mają na to rozumu!

– Miały dość rozumu, żeby poważnie cię zranić i rozbić obie nasze łodzie! – przypomniał Hanno.

– Już nie jest tak jak dawniej, Unarcu. One słuchają rozkazów tych białych zjaw. I z tego, co widziałem, kiedy na mnie napadły, śmiertelnie się ich boją! – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Chociaż teraz pewnie jeszcze bardziej boją się panienki i mnie. Przynajmniej te, które uszły z życiem.

– Tam na dole są tysiące Włochatych – powiedziała Sharina. – Dziesiątki tysięcy.

Znów spojrzała na naturalny port. Masa pni przesuwiała się w kierunku wyjścia z zatoki. Widocznie drzewa były nie tylko połączone splątanymi gałęziami, ale także powiązane ze sobą.

– Musieli na wiele staj wyrąbać las nad brzegami Wschodniej Rzeki, żeby zgromadzić tyle drewna – rzekł Unarc. – Zauważyłem też kilka ściętych drzew, kiedy podążaliśmy wzdłuż Zachodniej...

Sharina nie zauważyła żadnych zwalonych drzew. Przez większość tej całodniowej wędrówki rzeka była tylko cichym szumem w tle.

– ...ale nie zastanawiałem się nad tym.

Na kłodach kłębiły się setki Włochatych Ludzi...

– Zbudowali tratwy – powiedziała Sharina, ponownie przykucnąwszy. – Wyprowadzają je w morze, ciągnąc na linach. Inni Włochaci na końcach przyładek trzymają końce sznurów. Myślę, że część tratw już jest na otwartym morzu.

Hanno przysiadł tak nagle, że Sharina o mało nie upadła, odsuwając się.

– A niech mnie ugotują! – powiedział ogromny myśliwy. – Rzeczywiście to robią. Na pewno.

Unarc zmarszczył brwi.

– Chcą się potopić? – powiedział.

– Hanno? – spytała Sharina. – Mówiłeś, że prąd tu płynie na zachód, aż do Ornifal. Czy oni mogą?...

– Wypływają następni – zawiadomił ich Unarc ze swojego posterunku obserwacyjnego. – Niech Pasterz ostrzyże mi tyłek, jeśli się mylę!

– Tak, to możliwe – odparł Hanno, podnosząc się z ziemi. – Nie wiem, co zamierzają zrobić na Ornifal.

– Jest ich bardzo dużo – zauważył w zadumie jego łysy towarzysz. Podniósł się na klęczki i zanim zupełnie wstał, sprawdził ostrze swego zakrzywionego noża.

Hanno skinął głową. Obaj łowcy znowu ruszyli w górę stoku. Zaskoczona Sharina musiała wydłużyć krok, żeby dogonić ich, zanim zajdzie słońce.

Teraz było łatwiej oddychać. Morska bryza, wiejąca wyżej, w górach, wślizgała się do tunelu powietrze przez otwory po korzeniach drzew. Dopiero teraz Sharina poczuła, jak stęchłe i wilgotne powietrze zalegało w dolnych partiach tunelu. Po nurkowaniu w czarnej od mułu wodzie z wdzięcznością łapała je w płuca, nie narzekając na jakość.

Z początku myślała, że ten odgłos, który słyszała i niemal czuła, to świst wiatru odbijający się echem w głębi tunelu. Garric wydobywał podobne dźwięki z fletni, zrobionej z zatkanych woskiem kawałków trzciny o różnych długościach.

Sharina pięła się w górę. Teraz między podmuchami wiatru słyszała niewyraźne słowa. Gdzieś z góry sączyło się światło. Strumień stopionej skały wyrzeźbił poziome bruzdy w rurze zastygającej lawy. Hanno oburącz trzymał włócznię. Prawą dłoń zacisnął na środku, a lewą tuż za szerokim grotem, przygotowany do pchnięcia lub rzutu.

Sharina zobaczyła wylot tunelu. Lawa przelała się przez szczelinę w krawędzi wulkanu i zastygła, spływając po zboczu. Erupcja, w wyniku której powstał tunel, widocznie nastąpiła później, gdyż pochłonęła wysokie drzewa rosnące na zboczu. Na początku tunel miał cieńsze ścianki niż na dole, kiedy dochodził do rzeki. Zapadły się w odległości sześciu metrów od szczeliny, lecz ta też pogłębiła się w wyniku erozji.

Sharina wyjęła pewlański nóż. Nie odwracając się, Hanno gestem kazał jej i Unarcowi poczekać. Łowca zaczął skradać się w kierunku wylotu tunelu. Wydawało się, że wcale nie idzie, tylko sunie jak wąż po pniu drzewa. Rozejrzał się wokół, po czym wyślizgnął się z tunelu i zajrzał za krawędź szczeliny.

Machnięciem ręki przywołał towarzyszy. Powietrze pulsowało donośnym, chóralnym przyśpiewem, lecz Sharina nadal nie potrafiła rozróżnić słów. Wyszła z tunelu, nisko pochylona, lecz nie na czworakach, gdyż porowata powierzchnia skały zdarłaby jej skórę do kości. Widocznie nawet Unarc nie potrafił poruszać się tak jak Hanno, ponieważ skulił się tak samo jak Sharina. Chociaż znaleźli się na szczycie wulkanu, część wierzchołka zasłaniała im widok na zatoczkę.

Sharina wyjrzała zza krawędzi skały, spodziewając się zobaczyć otwór pełen bulgoczącej magmy. Tymczasem wulkan był nieaktywny od tak dawna, że dno krateru porastała trawa. Zwiertzałe skały miały rdzawą barwę.

– Och! – szepnęła Sharina. Mocniej ścisnęła rękę noża.

Dwunastometrowy stożek pozostał na środku krateru, kiedy grunt wokół niego zapadł się i wyrównał. Ktoś nadał tej skale postać Włochatego z kulą w prawej ręce.

– Pół roku temu nie było tutaj tego – szepnął Unarc. – Hanno, co te Małpy wyrabiają?

Sharina przełknęła ślinę. Posąg miał głębokie otwory w miejsce oczu i ust. Snuły się z nich pasma kolorowego dymu, tworząc nad głową stwora chmurę podobną do wystrzępionej szmaty. Przyśpiew dochodził od strony posągu. Chociaż wciąż nie rozumiała słów, Sharina rozpoznała charakterystyczny rytm zaklęcia.

– Tu nie ma Małp – oznajmił Hanno. – Oprócz tej, która siedzi w posągu i robi ten hałas. Pewnie wszystkie poszły do zatoki.

– Ta chmura – szepnęła Sharina. – Ma kształt demona!

Powinna była natychmiast rozpoznać tę postać z dymu: to trupie ciało, powykęcane w stawach kończyny, podłużną głowę i cofniętą szczękę. Kierujące Włochatym Ludem zjawy były podobne do siebie i z tej samej półprzezroczystej substancji, ale zwiódła ją ich wielkość.

– Nie widzę sensu... – zaczął Unarc, cofając się w kierunku wylotu tunelu.

Demon z dymu poruszył się. *Unosi się z wiatrem*, pomyślała Sharina, lecz przecież nie było tu wiatru.

Dym spojrział na nich żółtymi ślepiami.

– Biegiem! – krzyknął Hanno, zrywając się na równe nogi. Gdy Sharina przystanąła, żeby puścić go przodem, łowca złapał ją i na pół pociągnął, a na pół pchnął w kierunku wylotu tunelu.

Sharina w popłochu pobiegła tunelem. Niespodziewana ucieczka zaskoczyła ją tak, że nawet nie usiłowała patrzeć pod nogi i nie przejmowała się groźącym upadkiem. Biegła jak w transie, czując się jak ryba w wodzie i tak samo jak ryby instynktownie wyczuwając otoczenie. Schowała nóż do pochwy. Solidne ostrze nie obroniłoby ich przed obecnym niebezpieczeństwem, a nie musiała ścisnąć rękojeści, żeby pamiętać o Nonnusi.

Dotarła do miejsca, gdzie światło sączyło się przez dziury w ścianach i minęła je kilkoma godnymi gazeli susami, ani na chwilę nie zwalniając kroku. Obaj myśliwi biegli za nią ile sił w nogach, lecz teraz wydawali się ociężali i niezgrabni w porównaniu z pędzącą przodem towarzyszką.

Sharina nie zastanawiała się, co zrobi, kiedy dotrze do rzeki. Czy głęboko wierzący ludzie kiedykolwiek odczuwają taką bliskość Bogów, jaką ona czuła teraz? Wszystko było jednością, a ona była jej częścią!

Ściany tunelu zaczęły jarzyć się czerwonym blaskiem, jakby biegła przez rozświetloną zachodzącym słońcem chmurę. W tyle usłyszała zaskoczone okrzyki Hanno i Unarca. Widocznie oni też zobaczyli to światło.

Sharina pokonała kolejny metr. Ściany światła przed nią nagle wybrzuszyły się do środka. Ogromna szponiasta łapa z szarego dymu, lecz mimo to twardsza od skały, przez którą przeszła, wyrosła tuż przed Shariną i zaczęła się zaciskać.

Hanno znów krzyknął. Sharina chciała się zatrzymać, lecz siła rozpędu i emocje poniosły ją dalej. Usiłowała wyrwać z pochwy pewlański nóż, gdy dłoń zacisnęła się, wpychając ją w ciemność i cofając się tam, skąd się pojawiła.

DRUGI DZIEŃ PIĄTEGO MIESIĄCA (KUROPATWY)

– Ach, nadchodzi brontother barona! – powiedział Ascelei, tyleż dając upust złości, co informując Ilnę i Cerixa. – Kosztował tyle, że za te pieniądze można by kupić wszystkie domy stojące przy tej ulicy, a wszystko z naszych podatków!

Cerix wyciągnął szyję, żeby lepiej przyjrzeć się wielkiemu zwierzęciu, które powoli wyłaniało się zza rogu ulicy. Dom Asceleia stał przy alei Parad, najszerzej ulicy w Divers, lecz nawet ona wiła się i skręcała między pałacem barona Robilarda a portem.

Ascelei Bławatnik, od czterech dni gospodarz i pracodawca Ilny, był jednym z najlepiej sytuowanych ludzi w mieście. Kazał dobudować ozdobne balustrady do tego, co przed stuleciem lub wcześniej, gdy powstał ten dom, zapewne było szerokim tarasem. Płaskie, gruszkowate balaski były ładne i czyniły balkon bezpieczniejszym dla ludzi, którzy musieli się czegoś trzymać, żeby nie spaść na ulicę. Ze swego wózka Cerix widział przez balustradę więcej, chociaż i tak tylko trochę, niż gdyby znajdował się na ulicy i patrzył zza pleców innych gapiów.

– Mam cię podnieść? – zapytała Ilna. Nie odrywała oczu od idących, tak że gdyby chciał, kaleka mógł uniknąć kłopotliwej sytuacji, udając, że nie słyszał.

Brontother bardziej niż jakiegokolwiek inne zwierzę, jakie widziała Ilna, przypominał konia, ale ważył kilkanaście razy więcej i miał łeb jak olbrzymie siodło. Szeroki, rozwidlony róg sterczał z jego nosa jak łęk, a nieckowate czoło łączyło się z grubym karkiem. Pomimo sporych rozmiarów w czaszce zwierzęcia niewiele było miejsca na mózg.

– Nie, wszystko widzę – mruknął Cerix, przyciągając się, by spojrzeć przez balustradę. Musiał wkładać dużo siły w to, aby przemieszczać swoje beznogie ciało, ale najwyraźniej wolał to, niż korzystać z czyjejś pomocy.

Ilna uśmiechnęła się krzywo. Niewiele miała wspólnego z tym inwalidą i gardziła jego słabością, która zmuszała go do zażywania uśmierzających ból narkotyków, ale mogła tylko podziwiać jego chęć obywatela się bez pomocy.

Na widok brontothera ludzie zaczęli wznosić wesołe okrzyki, chociaż nie tak entuzjastyczne, jak Ilna mogłaby oczekiwać po tak widowiskowej paradzie. Przodem jechał oddział konnych w polerowanych pancerzach – zaledwie dwudziestoosobowy, Trzecia Atara była bowiem niewielką wyspą, zatem potrzebny do wyżywienia koni obrok trzeba było sprowadzać. Potem szła orkiestra z rogami, cymbałami, a nawet miedzianym kotłem, osadzonym na ramie niesionej przez dwóch ludzi. Dwaj następni szli obok i wybijali rytm. Za nimi maszerowało prawie dwustu marynarzy równo i w zwartym szyku.

Widok marynarzy zaskoczył Ilnę, lecz Ascelei wyjaśnił, że to załogi galer wojennych barona. Nawykli do wiosłowania, łatwiej niż inni ludzie potrafili utrzymać krok.

A teraz szedł brontother, który nawet sam mógłby wywołać sensację. Jednakże jedynymi widzami na ulicy, szczerze ucieszonymi tym widokiem, byli łachmaniarze, którzy najwidoczniej nie płacili żadnych podatków. Bardzo możliwe, że nie tylko tacy bogaci kupcy jak Ascelei odczuwali ciężar przepychu Robilarda.

– Twierdzi, że jest spadkobiercą Eldera Romiego – zauważył złośliwie Ascelei. – Hm! Jego

dziad był ochroniarzem mojego dziada, gdy ten handlował na Sandrakkanie. Jeśli Robilard jest szlachcicem, to ja jestem Panią! A poza tym wszyscy wiedzą, że Romi żył w celibacie.

Cerix odchylił głowę, żeby spojrzeć na Ilnę.

– Romi był czarodziejem, który władał Trzecią Atarą po śmierci króla Carusa – wyjaśnił. – Żył sto lat i przez cały ten czas na Trzeciej Atarze panował pokój, podczas gdy pozostałe Wyspy pogrążyły się w zamęcie.

– Słyszałeś o Elderze Romim, panie Ceriksie? – W głosie Asceleia po raz pierwszy pojawił się ton szacunku dla kaleki. Pozwolił mu oglądać procesję z pierwszego piętra – poddasza nad jego sklepem – tylko dlatego, że nalegała na to Ilna, a Ascelei nie chciał jej stracić.

Bławatnik był ponurym człowiekiem, chociaż swoje interesy prowadził sprawnie, skrupulatnie i uczciwie. Ilna w ciągu kilku minut znalazła schronienie w jego domu, kiedy cztery dni wcześniej wraz z dwoma czarodziejami przybyła do Divers. Kupiec właśnie miał atak kolki. Ilna splotła odpowiedni wzór i wyleczyła dolegliwości żołądkowe Asceleia, czego nie udało się dokonać żadnemu z uzdrowicieli przez kilkadziesiąt lat.

– Byłem już kiedyś na Trzeciej Atarze – rzekł Cerix. – O Romim jednak dowiedziałem się z ksiąg. Był jednym z największych czarodziei wszech czasów.

Brontother majestatycznie kroczył środkiem ulicy, swoimi trójpalczastymi łapami rozgniatając twarde wapienny żwir na proch. Dwaj mężczyźni maszerowali obok niego, trzymając oplecione wstążkami sznury przymocowane do jego obroży, lecz nikt się nie łudził, że zdołaliby powstrzymać zwierzę, gdyby postanowiło uciec. Prawdziwą kontrolę nad zachowaniem brontothera sprawowali jadący po obu jego bokach jeźdźcy, którzy trzymali lance wymierzone w jego klatkę piersiową.

– Robilard, baron Robiman – rzekł Ascelei. – Twierdzi, że zamierza przywrócić czasy chwały swego przodka, Eldera Romiego. Gdyby rzeczywiście mógł wskrzesić Romiego i złoty wiek, nie narzekałbym na wzrost podatków, lecz wszystko, co otrzymujemy za nasze pieniądze, to takie pompacyjne widowiska, złożone broje i brontothery z Shengy!

Wskazał na przystojnego młodzieńca z bródką i sterczącymi wąsami, noszącego – tak jak rzekł bławatnik – połączoną broję, lśniąca w słońcu. Ilna myślała, że do powozu Robilarda jest zaprzężony brontother, lecz teraz zauważyła, że rydwan jest popychany przez podążających za nim ludzi. Widocznie baron wąpił w dobre maniere zwierzęcia i wołał nie przywiązywać do niego swojego pojazdu.

– Cóż to za zabawne przedstawienie! – powiedziała Ilna. Widywała zbyt wiele przejawów ludzkiej głupoty, żeby mogło ją to zdziwić, a mimo to każdy taki spektakl budził w niej głęboki niesmak.

– Romi odizolował Trzecią Atarę od pozostałych Wysp – rzekł Cerix. Ramiona omdlewały mu z wysiłku, więc niezgrabnie opadł z powrotem na fotel. Ciężko sapiąc, dodał: – Dopóki żył, żaden okręt nie zdołał przybić do wyspy bez jego zezwolenia. Te statki, które próbowały tu zawinąć bez jego zgody, mogły żeglować całe wieki, a wyspa odsuwała się od nich z taką samą prędkością, z jaką płynęły. Kiedy Romi w końcu umarł, Trzecia Atara niczym się nie różniła od innych wysp i piraci złupili ją także.

Ilna zauważyła coś za szpalerem gapiów. Przechyliła się przez balustradę, żeby lepiej widzieć. Ponieważ piętro tego domu, tak samo jak innych stojących wzdłuż alei Parad, było nieco przewieszane nad parterem, trudno było dostrzec przechodniów idących tuż przy murze. Mimo to wzrok jej nie mylił.

– W końcu nadchodzi Halphemos – powiedziała. – Oczywiście, wcale nie musiał tu przyjść. Zaproszenie to nie rozkaz.

Usłyszała rozgoryczenie w swoim głosie i skrzywiła się.

– Zdaje się, że ja też powinnam o tym pamiętać – dodała.

Halphemos i Cerix zatrzymali się w gospodzie „Pod Psem i Kotem”, za ostatnie pieniądze. Ilna w ramach wynagrodzenia korzystała z gościny swego pracodawcy. Czarodzieje dawali przedstawienie uliczne, a Ilna znowu zaczęła tkąć, żeby zarobić na życie, dopóki nie zorientuje się w sytuacji.

Ascelei szybko docenił wartość pozytywnych odczuć, jakie budziły tkane przez Ilnę kilimy. Płacił jej dość pieniędzy, by mogła przenieść się „Pod Psa i Kota”, gdyby tylko chciała. Nie widziała powodu, aby to robić, lecz oczekiwała, że obaj czarodzieje przyjmą jej zaproszenie i zechcą oglądać paradę z piętra domu kupca.

Cerix sam przyjechał swoim wózkiem i z lekkim zakłopotaniem wyjaśnił, że Halphemos miał umówione spotkanie, ale niebawem się zjawi. Nie chciał – a może nie mógł – wyjaśnić, z kim miał się spotkać młody czarodziej. Ilna zakładała, że z jakąś kobietą. Chociaż nie żywiła jakichkolwiek romantycznych uczuć w stosunku do Halphemosa (tego chłopca!), zirytowała ją odrobina zazdrości, z jaką przyjęła tę wiadomość.

– Twój drugi gość, pani? – spytał Ascelei.

Rydwan minął jego dom i zbliżał się do następnego zakrętu alei Parad, za którym zaraz miał zniknąć. Baron Robilard przez cały czas stał sztywno wyprostowany. Ilna uśmiechnęła się krzywo. Baron zrobiłby lepiej, umieszczając w rydwanie swój posąg i wykorzystując ten czas, żeby zrobić coś pożytecznego – na przykład opróżnić nocniki w pałacu.

Za rydwanem Robilarda niesiono kilkanaście lekyk z dworzanami obojga płci. Niektórzy z nich przynajmniej wyglądali na zawstydzonych, chociaż z tego, co Ilna wiedziała o szlachetnie urodzonych, zapewne obawiali się, że nie wyglądają tak dobrze jak ich rywale w innych lekykach.

Mieszkając w Barca's Hamlet, Ilna nie miała żadnego kontaktu ze szlachetnie urodzonymi i jeśli w ogóle o nich myślała, to tylko ze zdziwieniem, jak ludzie mogą uważać się za lepszych od innych z powodu tego, czego kiedyś dokonali ich przodkowie. Od kiedy wyruszyła w szeroki świat, nie widziała niczego, co skłoniłoby ją do zmiany zdania na ich temat.

Trzecia Atara, ostatnia z wysepek opodal największej Atary, eksportowała na wszystkie pozostałe Wyspy swoje wina i kolorowe marmury. Ilna zauważyła, że – być może z powodu tych szeroko rozbudowanych kontaktów handlowych – dworskie stroje były utrzymane w kolorach morza. Widziała błękity, zielenie, a nawet jasny fiolet, który najwidoczniej uzyskano ze skórki bakłazana. Jednolita barwa materiału dobrze świadczyła o zręczności farbiarza.

Wśród materiałów dominowały jedwabie, kupowane przez przedstawicieli handlowych na Seres i Kanbesie. Klientela Asceleia w większości należała do tej samej klasy co on – bogatych kupców preferujących wełny i futrzane obszycia. Teraz małe kilimy, jakie Ilna tkąła z cienkiej wełny, już wywołały zainteresowanie pałacu, co sprawiło ogromną satysfakcję bławatnikowi.

Jego majordomus przyszedł na balkon i szepnął coś do ucha Asceleia. Kupiec z irytacją machnął ręką i rzekł:

– Tak, oczywiście, że należy go wpuścić! Nie ma znaczenia, że przyszedł osobno!

Przepraszająco spojrzął na Ilnę. Ze zrozumieniem kiwnęła głową. Oprócz subiektów pracujących w sklepie na dole, Ascelei miał jeszcze tuzin osób służby. Jak wyjaśnił Ilnie, musiał tyle zatrudniać ze względu na swoją pozycję. Jej zdaniem, gdyby Ascelei pozbył się nawet dziesięciu tych obiboków, poczułby się znacznie lepiej.

Pod domem przechodził już sam koniec pochodu – dwóch doboszy i grupa pałacowych sług. Wśród tych ostatnich znaleźli się zapewne tylko ci, których było stać na ładne stroje, a mimo to szło

tam kilkadziesiąt osób.

Ilna uśmiechnęła się. Wyobraziła sobie hordeę obdartych pomywaczek, stajennych i ogrodników za pochodem, by pokazać ludziom, ile potrzeba służby, żeby zapewnić dobre samopoczucie jednemu firecykowi w pozłacanej zbroi. Z tego, co powiedział Ascelei, wynikało, że podatnicy Trzeciej Atary doskonale zdawali sobie sprawę, ile to kosztuje.

– Pan Halphemos, który nie podał swego rodowego nazwiska – zapowiedział majordomus, okazując swoją pogardę dla człowieka, którego pomimo jedwabnych szat czarodzieja uznał za zwykłego szarlatana.

Prawdę mówiąc, trochę tłumaczyło go to, że ten czerwony brokat bardzo ucierpiał wtedy, kiedy Halphemosa wtrącono do więzienia.

Ilna nie miała ochoty go usprawiedliwiać. Halphemos porzucił dla niej miejsce, które wydawało mu się rajem. Z zimną furią odwróciła się i chwyciła kołnierz szaty majordomusa. Przesunęła palcami po materiale, mocnym suknie obszytym koronką. Zaciśnęła powieki i pozwoliła, by jej świadomość ogarnęła cały wzór. Potem otworzyła oczy, puściła szatę i wróciła do rzeczywistości. Majordomus krztusił się, Ascelei patrzył pytająco, ale spokojnie, a Halphemos przysunął się bliżej, trzymając prawą dłoń w lewym rękawie szaty.

– A czy ty wiesz, kim był twój ojciec? – zapytała szorstko Ilna, patrząc w oczy sługi. – Bo ja wiem.

– Jestem Othem or-Almagar! – rzekł majordomus. – Moim ojcem był osobisty kamerdyner barona Orde'a!

Pogładził kołnierz, upewniając się, że Ilna nie podarła go. Jakby chciała wyładowywać swój gniew na niewinnej tkaninie!

– Twój ojciec nazywał się Garsaura i był stajennym w pałacu – powiedziała Ilna, podnosząc głos tak, by wyraźnie usłyszało ją kilka osób służby, które stały tuż za drzwiami balkonu. – Czy chcesz dowiedzieć się więcej o twoim prawdziwym ojcu, panie Othemie?

– To nie... – zaczął majordomus i nie dokończył. Odwrócił się, z otwartymi ustami. Opuścił balkon szybciej, niż godność pozwalała mu na to zaledwie kilka minut wcześniej.

Halphemos uśmiechnął się z aprobatą, chociaż był lekko zmieszany tym, że kobieta musiała stanąć w jego obronie.

– Dziękuję, pani – powiedział. Ruchem głowy wskazał na drzwi, za którymi znikł majordomus i dodał: – Nie zaśnie, dopóki nie udowodni, że przed czterdziestoma laty nie było w pałacu stajennego imieniem Garsaura, prawda?

Ascelei wodził oczyma od Halphemosa do Ilny. Cerix rzucił przez ramię, ponieważ na balkonie było za mało miejsca i nie mógł obrócić fotela:

– Tylko że wówczas w pałacu pracował stajenny Garsaura. Prawda, pani?

– Tak – odparła Ilna z uśmiechem, którym można by przecinać szkło. – Skoro o to pytasz, był tam taki, panie Ceriksie.

– Ona nie blefuje, chłopcze – rzekł kaleka do swojego zdumionego opiekuna. – Ani nie kłamie. I zaklinam cię na jakichkolwiek bogów, w których wierzysz, nigdy jej nie denerwuj.

– Przepraszam, panie Ascelei – powiedziała Ilna, czując, że zaczyna ścisnąć ją w dołku od pogardy do samej siebie. Zawsze tak się czuła, kiedy uświadomiła sobie, że wykorzystwała swoje umiejętności do czegoś, czego nie mogła usprawiedliwić chęcią uczynienia świata lepszym. – Jestem gościem w twoim domu. Nie do mnie należy karcenie twojej służby, a poza tym nie powinnam robić tego w taki sposób.

– Othem często obrażał gości – czasem moich przyjaciół lub dobrych klientów – jeśli uważał, że

nie są dostatecznie wysoko urodzeni – powiedział kupiec. Mówił, starannie dobierając słowa, co wskazywało na to, że doskonale rozumiał, co przed chwilą zrobiła Ilna. – Nie wiedziałem, jak go tego oduczyć, a nie chciałem go zwolnić, gdyż poza tym jest bardzo przydatnym sługą. Jestem twoim dłużnikiem, pani.

Skinął Ilnie głową gestem, który był niemal czołobitnym ukłonem. Ilna skrzywiła się. Trochę niepokoiło ją to, że najwyraźniej uczyniła coś dobrego, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że miała złe zamiary. Nie oczekiwała od życia sprawiedliwości, ale takie niezasłużone podziękowania wydawały się jej wyjątkowo niewłaściwe.

Halphemos, nadal prawą dłonią ściskając to coś, co chował w rękawie szaty, przysunął się do Ilny.

– Chcę ci coś pokazać na osobności – oznajmił scenicznym szeptem.

Miała ochotę go spoliczkować. Zamiast tego powiedziała głosem, który zdawał się nadlatywać prosto z Lodowych Przylądków:

– Mój gospodarz, pan Ascelei, zaprosił cię tutaj, robiąc mi grzeczność. Jeśli masz jakieś tajemnice, których nie chcesz mu wyjawić, chłopcze, to proszę, zabierz je ze sobą i wyjdź z tego domu. Dołączę do ciebie, kiedy zdołam strawić twoją nieuprzejmość, a zapewniam cię, że nie nastąpi to szybko.

Halphemos otworzył usta, by zaprotestować, a potem zamknął je, zgnębiony. Mimo wszystko był wyraźnie podekscytowany.

– Zostawię was tutaj – powiedział spokojnie Ascelei. – Dopilnuję, żeby wam nie przeszkadzano.

Uśmiechnął się. Poczucie humoru, a nawet osobowość, kupiec miał podobne do Ilny.

– Zresztą nie sądzę, żeby pan Othem zamierzał wam przeszkadzać.

Ilna chciała zaprotestować, ale tylko wzruszyła ramionami. Ten balkon był równie dobrym miejscem do wyjawiania sekretów jak każde inne w Divers. Widzowie rozchodzili się, lecz normalny ruch uliczny wystarczająco zagłuszał cichą rozmowę na otwartej przestrzeni. Oczywiście, sługa mógł przyłożyć ucho do...

– Tylko wyjaśnij swojej służbie... – powiedział głośno Cerix. Wycofał wózek w kąt balkonu, skąd mógł obserwować wszystkich obecnych. – ...że pani Ilna nigdy nie wykorzystałaby swojej mocy, by uczynić szpiega głuchym i ślepym.

– Co? – Ascelei ze zdziwieniem spojrzał na kalekę. Znów się uśmiechnął. – Tak, rozumiem. Powiem im to.

Kupiec zamknął za sobą drzwi balkonu. Ilna opanowała wywołany sugestią Cerixa gniew, po czym też się uśmiechnęła. Sprytny podstęp i zupełnie nieszkodliwy. Halphemos przyklęknął i wyjął z rękawa sakiewkę z miękkiej czerwonej skóry.

– Spójrzcie na to! – powiedział, rozwiązując rzemyki. – Kiedy ją sprzedam, wystarczy na opłacenie podróży do Valles i jeszcze sporo zostanie!

Wytrząsnął na dłoń perłę wielkości i kształtu gołębiego jajka. Była noszona jako wisiołek ze złotym uszkiem, ale brakowało jej łańcuszka lub sznurka.

– Czy widzieliście kiedyś coś tak pięknego? – zapytał Halphemos.

– Rzadko – powiedziała Ilna, choć podejrzewała, że wzór przechodzącego przez opalizujące warstwy klejnotu światła mówi jej więcej niż innym ludziom. – Tak jak rzadko widywałam rzeczy, które byłyby niebezpieczniejsze dla rozbitków wyrzuconych na obcy brzeg, Halphemosie. Bardzo rzadko.

– Skąd ją wzięłeś, Alosie? – zapytał cicho Cerix. Zaciskał dłonie na udach tuż powyżej kikutów nóg. Był tak bardzo zaniepokojony, jak Ilna była wściekła.

– Tego nie mogę wam powiedzieć – rzekł Halphemos, urażony brakiem entuzjazmu towarzysza. – Nie ukradłem go, a tylko to się liczy.

– Nie – zaprzeczyła zimno Ilna. – Nie tylko to się liczy. Najlepsze, co mógłbyś zrobić z tym klejnotem, to cisnąć go do morza.

Halphemos drżącymi dłońmi schował perłę do sakiewki. Wstał, pobladły z gniewu.

– Po prostu mi zazdrościcie! – wypalił. – Cóż, pani Ilna, czas, żebyś zrozumiała, że inni ludzie potrafią robić rzeczy, jakich ty nie umiesz! Opłacę podróż do Valles dla nas trojga. Zdecyduj, czy chcesz nadal szukać brata, czy zostać tu i dąsać się, że to ja zarobiłem te pieniądze. Dzięki mojej sztuce!

Szarpnięciem otworzył drzwi. Najwidoczniej zapomniał o mieszk, który teraz całkiem otwarcie trzymał w dłoni...

– Ceriksie – powiedział – chodź ze mną. Panienska niewątpliwie musi omówić ważne sprawy ze swoimi bogatymi przyjaciółmi.

Kaleka ruszył za nim, przetoczywszy swój wózek przez próg. Posłał Ilnie zaniepokojone spojrzenie. Skinęła głową. Halphemos odszedł wściekły, nie spojrzawszy jej w oczy. Ilna miała nadzieję, że pozwoli, by słudzy Asceleia znieśli Cerixa ze schodów, a nie będzie próbował zrobić to sam. W takim stanie Halphemos mógł spuścić przyjaciela ze schodów. Tylko tego im brakowało!

Choć tak naprawdę upadek Cerixa ze schodów byłby mniej niebezpieczny dla kaleki i całej trójki niż to, co Halphemos zamierzał zrobić z perłą. Takie klejnoty głośiły imię swego właściciela donośniej niż woźny sądowy. Może Cerix zdoła wyperswadować chłopcu tę głupotę. Ilna nie widziała innego wyjścia. Jednakże Halphemos był tak zdeterminowany, że nie liczyła na jego rozsądek.

– Obudź się, Cashelu or-Kenset – mówił chrapliwy głos. – Twoje ciało odzyskało siły, a duch odrodził się. Zbudź się i pomóż mi, tak jak ja pomogłam tobie!

Cashel dryfował w oparze purpurowego dymu. Nie zaniepokoił się – dym unosił go jak słona woda, lecz można nim było oddychać.

– Obudź się, Cashelu – mówił głos. – Ja, Silya, rozkazuję ci przez moce, jakie wezwałam, by opatrzeć twoje rany!

– Kim jesteś? – zapytał oszołomiony Cashel. Poczuł, że jego wargi poruszają się, co dowodziło, że powiedział to głośno. Otworzył oczy, chociaż zdziwił się, że przyszło mu to z takim trudem.

Leżał na plecach na desce. Przesunął palcami po gładkiej powierzchni, poczuł chłód i zrozumiał, że to nie drewno, ale gładki kamień. A więc tak. Leżał na kamiennej płycie zupełnie nagi, w komnacie oświetlonej przez kaganki, dające wielobarwne dymy oraz ponurą poświatę.

Leżał jak trup przygotowany do pochówku.

– Hej! – powiedział. Spuścił nogi za krawędź płyty, wstał i pospiesznie rozejrzał się wokół. W pomieszczeniu nie było nikogo poza nim i Silyą, kobietą noszącą w małżowinach usznych kawałki kości, zgodnie z modą przyjętą wśród Dalopan. Ona też była naga, lecz jej ciało pokrywały tatuaże niczym szata z wielobarwnej koronki.

– Cashelu or-Kenset – powiedziała, machając kościaną grzechotką. Ta była zrobiona z psiej czaszki, lecz przymocowana do niej jako rączka kość udowa należała do człowieka albo Cashel był ślepy. – Sprowadziłam cię z powrotem z bramy śmierci. Teraz pomożesz mi i...

Pomachała mu przed nosem grzechotką. Cashel z trudem opanował chęć zgniecenia tego paskudztwa w garści.

– Razem staniemy się panami Bestii na tym świecie!

– Gdzie moje ubranie? – zapytał Cashel. Dym drażnił go, choć zapewne miał uspokajać. – I gdzie moi przyjaciele, Zahag oraz Aria?

Rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł swojej tuniki ani niczego, czym mógłby się okryć. Migotliwe płomienie kaganków tyleż ukrywały, co ukazywały. Na podłodze obok kamiennej płyty widniał wielobok z nakreślonymi wzdłuż krawędzi symbolami.

Czarodziejka spojrzała na niego ze zdziwieniem. Cashel domyślił się, że oczekiwała innej reakcji niż niesmak i chęć opuszczenia jej towarzystwa. Nie obawiał się jej i z pewnością nie był jej wdzięczny.

– To ty wysłałaś mnie i Zahaga na inną Pandah, prawda? – rzekł. – Trzymaj się ode mnie z daleka z tą zabawką, którą trzymasz w ręku, albo wepchnę ci ją do gardła, klnę się na Pasterza!

– To była pomyłka – powiedziała. – Mam dla ciebie ubranie w sąsiedniej komnacie.

Silya podeszła do drzwi, które wyglądały tak, jakby niedawno je zbito: z drzewa jeszcze płynęła żywica. Podobne drzwi zamykały pięć innych przejść, chociaż nie osadzono w nich framug. Komnata znajdowała się w podziemiach jakiegoś dużego budynku, zapewne pałacu Folquina.

Cashel zamknął za sobą drzwi, z ulgą zostawiając za nimi dymiące kaganki. Głośno odkaslnął, oczyszczając gardło z drażniących oparów. Ta komnata również była pomieszczeniem oddzielnym przepierzeniami od innych, lecz tu ściany były pokryte matami z kolorowych traw, splecionych w ciekawe geometryczne wzory. *Zainteresowałyby Innę*, pomyślał. Na wbitych w kącie hakach wisiał hamak. Pod ścianami stały zamknięte pokrywami kosze, a wieszak na ścianie mieścił rozmaite narzędzia. Równie dobrze mogły służyć do gotowania, torturowania lub rzucania czarów.

Pomieszczenie oświetlała lampka oliwna. Uchwyty trzech knotów miały kształt męskich genitaliów. Cashel skrzywił się.

– Myślałam, że najważniejsza jest dla ciebie Sharina – powiedziała Silya, podnosząc pokrywę jednego kosza. Ten był tak sprytnie zrobiony, że trzeba było obrócić dekiel, żeby go otworzyć. – Ponieważ mój brat uważał, że ta dziewczyna wywodzi się ze starego rodu i może doprowadzić go do tronu Malkara.

Zamilkła, po czym wyjęła z kosza tunikę, rozwinęła ją i podała Cashelowi. Strój miał prosty krój – w rzeczy samej, zapewne uszyto go z worka – ale to nie przeszkadzało Cashelowi. Wziął ubranie. Nie wiedział, czy cokolwiek zawdzięcza tej kobiecie, ale zawsze darzył sympatią każdego, kto mu pomagał. Oczywiście, to Silya spowodowała te wszystkie kłopoty...

Cashel okrył się tuniką. Gdy wkładał na siebie grube płótno, w myślach przetrawiał to, co przed chwilą powiedziała mu dalopańska czarodziejka. Kiedy już miał na sobie tunikę, zapytał bardzo spokojnie:

– Co zrobiłaś z Shariną?

Zrobił krok naprzód. Wszystko wokół zmętniało oprócz przestraszonej czarodziejki i ceglanej ściany za jej plecami. Silya zerknęła na wieszak z przyborami, a potem uważnie spojrzała Cashelowi w oczy. Odrzuciła kościaną grzechotkę, którą trzymała w dłoni.

– Dziewczynie nic się nie stało! – powiedziała. – Nie była dla mnie ważna, więc pozwoliłam jej odpłynąć z tym młodym czarodziejem, którego zastąpiłam na Pandah.

Cashel odetchnął.

– Przecież powiedziałaś...

Próbował przypomnieć sobie, co dokładnie powiedziała Silya. Przez chwilę nie mógł zebrać myśli. Spojrzał na swoje dłonie i zacisnął je, żeby powstrzymać drżenie.

– Mój brat sądził, że ona jest ważna – powiedziała Silya, oddychając szybko i z ulgą. – Przyciągał ją do siebie. Obserwowałam jego poczynania i tutaj, na Pandah, zamierzałam

pokrzyżować mu plany. Okazało się, że jest w błędzie, więc pozwoliłam dziewczynie odejść.

Nie kłamała. Cashel wiedział, kiedy ludzie usiłovali go okłamać. Nie było to tak łatwe, jak się im zdawało, i rzadko im się to udawało. A nigdy nie udawało się, jeśli Cashel był zły tak jak teraz. Wtedy potrafił przejrzeć ich na wylot.

Silya zamierzała podnieść szatę, która wisiała przerzucona przez hamak, ale zostawiła ją i skupiła całą uwagę na stojącym przed nią młodzieńcu.

– Mój brat Silyon ukradł mi Kamień Połączenia – oznajmiła. – Za jego pomocą porozumiewa się z Bestią. Razem możemy odebrać mu kamień, a potem stać się panami Bestii!

Cashel nie potrafił ocenić, ile ta czarodziejka ma lat. W pierwszej chwili pomyślał, że jest dość stara, co najmniej pięćdziesięcioletnia, lecz Silya mówiła głosem znacznie młodszej kobiety. Tatuże postarzały ją. Ponadto podróżnicy twierdzili, że Dalopańczycy wyglądają na starych, zanim dojdą do trzydziestki – co Cashel uważał za już podeszły wiek.

– Dokąd popłynęła Sharina? – zapytał. – I gdzie są Aria oraz Zahag?

– Nie słuchasz mnie? – krzyknęła Silya. – Proponuję ci połowę władzy nad Bestią, a ty pytasz o dziewczynę. Jeśli się do mnie przyłączysz, będziesz mógł mieć każdą dziewczynę na świecie!

Cashel zrobił krok w jej kierunku, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Nie powinna była mówić w ten sposób o Sharinie.

– Tej Arii nic się nie stało! – zawołała pospiesznie Silya. – Jest przy królu i cieszy się jego względami. Małpolud też pewnie ma się dobrze, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego się o niego troszczysz. Ich mięso jest żyłaste, a samce są w dodatku niebezpieczne.

Cashel z trudem rozluźnił mięśnie.

– A Sharina? – zapytał.

– Odplynęła do Valles z dwoma czarodziejami – odparła Silya. – Z chłopcem i kaleką. Mój brat przyciągał ją do siebie, jak już ci mówiłam, ale mylił się, sądząc, że ona ma moc. To tylko dziewczyna.

– Tak – mruknął gardłowo Cashel, ruszając w kierunku drzwi. – Dziewczyna.

– Cashelu or-Kenset, zaczekaj! – powiedziała czarodziejka. Uniósła obie ręce, zwracając dłonie do Cashela, chociaż zeszła mu z drogi. – Przeszedłeś z jednej płaszczyzny do drugiej tylko dzięki swojej sile. Kiedy pokieruję tobą, nikt nie zdoła nam się oprzeć! Odbierzemy Kamień i może będziemy mogli rządzić Bestią, zamiast wykonywać jej rozkazy!

– Zamierzam odnaleźć moich przyjaciół – rzekł Cashel. Głos miał tak gardłowy z gniewu i obrzydzenia, że ledwie sam rozumiał swoje słowa. – Nie wchodź mi w drogę.

Obrócił rygiel i pchnął drzwi. Nie ustąpiły. Popchnął mocniej, obalając całą ścianę. Patrząc na połamane grube drzwi, zauważył, że otwierały się do wewnątrz.

– Nigdy nie wchodź mi w drogę! – powtórzył, maszerując w kierunku światła wpadającego do beczkowacie sklepionej piwnicy.

Gromadka chichoczących ze strachu dzieci uciekła na jego widok. Przestraszył je łoskot walącej się ściany. Nie szpiegowały go, tylko bawiły się pośród grubych kolumn.

Cashel uśmiechnął się. Wystraszył również Silyę, jeśli miała choć tyle rozumu, ile Pani daje gęsi. Spoważniał. Dobrze byłoby znowu mieć w rękach hikorową laskę, chociaż ta, którą zastąpił ją na innej Pandah, też była całkiem niezła.

Schody wiodące na parter były zasypane kurzem, suchymi liśćmi i śmieciami. W kamiennym progu były dziury w miejscach, gdzie kiedyś tkwiły obrotowe drzwi, lecz ich drewno dawno rozsypało się w proch.

Cashel przystanął na szczycie schodów, mrużąc oczy w jasnym słońcu i osłaniając je lewą dłonią.

Dochodziło południe, ale nie wiedział jakiego dnia. Znalazł się na tyłach pałacu, a wszystkie bawiące się tam dzieci i odpoczywający dorośli gapili się na niego. Choć Cashel przyjaźnie uśmiechnął się do nich, dzieci zbiły się w ciasną grupkę, a rodzice objęli je ramionami. Zastanawiał się, co też opowiadano tu o nim. Z niepokojem uświadomił sobie, że ci ludzie zapewne uważali go za przyjaciela dalopańskiej czarownicy. Prędzej zaprzyjaźniłby się z wilkiem morskim.

Biegająca wokół pałacu alejka była odgradzona od reszty posiadłości murkiem, który miał tylko symboliczną wysokość. Cashel oparł dłoń na spowitym pnączem słupku, zamierzając go przeskoczyć.

Zahag opadł z góry jak pająk trzema zwinnymi susami. Niewiele brakowało, a byłyby to ostatnie ruchy, jakie wykonał w swoim życiu. Cashel, wciąż spięty i o wiele bardziej zły, niż przypuszczał, krzyknął „Hej!” i wyciągnął potężne ręce, żeby odeprzeć to, co uznał za niespodziewany atak.

– Hej! – zawtórował mu przerażony Zahag. Zamiast wylądować u boku Cashela, małpolud odbił się od ogrodzenia i wskoczył na słupek pięć kroków dalej.

Dzieci i dorośli też rzucili się do ucieczki. Zafrasowany Cashel potarł dłonią czoło. Najwyraźniej miał równie zły dzień jak ten osioł Piriego, kiedy giez uciał go tuż pod nasadą ogona.

– Nie chciałem... – wymamrotał Cashel. Od kiedy ukończył siedem lat, wiedział, że nie powinien wpadać w gniew. I patrzcie no tylko! Wszystko dlatego, że martwił się o Sharinę, ale Sharina na pewno nie potrzebowała osła, który biega wkoło, kopiąc i gryząc.

– Musiałem ukrywać się cały czas, kiedy spałeś – powiedział Zahag urażonym tonem. Zapomniał o strachu, zszedł po słupku na dół i ostrożnie przysunął się do Cashela, gotowy znów uciec, gdyby okazało się, że źle ocenił sytuację. – A teraz ty też na mnie napadasz. To nie w porządku!

Cashel milczał chwilę. Potem, gdy małpolud zaczął drżeć, powiedział mu:

– Wolałbym, żebyś nie zaskakiwał mnie w taki sposób, Zahagu. Miałbym wyrzuty sumienia, gdybym rzucił cię o ziemię i połamał ci wszystkie kości, a przed chwilą o mało tego nie zrobiłem.

– Och, nie, wodzu, to się już nie powtórzy! – zapewnił go Zahag. Odwrócił się tyłem, opuścił głowę między nogi i spojrzał na Cashela. U człowieka taka pozycja byłaby zdecydowanie obraźliwa, lecz małpolud w ten sposób pokornie prosił o wybaczenie. – Na pewno nie!

Cashel kiwnął głową.

– Gdzie Aria? – zapytał. – Nic się jej nie stało?

– Och, zamierzasz dać mu teraz nauczkę! – powiedział Zahag, podskakując z uciechy. – Chodź, wodzu, on jest na dziedzińcu. Och, teraz pożałuje!

Złapał Cashela za rękę i pociągnął z przyjaznym zapałem. Nastroje małpoluda zmieniały się tak gwałtownie jak letni wietrzyk, lecz to nie martwiło Cashela. Owce zachowywały się tak samo, więc był do tego przyzwyczajony. Farmerzy nie musieliby płacić pasterzom, gdyby wszystkie zwierzęta były tak grzeczne i spokojne jak osły. A i te nie zawsze.

Cashel przeszedł przez płot. Zahag wskoczył na słup i na alejkę, a potem z powrotem, nerwowymi ruchami jak mucha na świeżym mięsie. Obecna na placu dzieciarnia i pałacowa służba szeptała między sobą, widząc, że nie zanoszą się na rozlew krwi. Pierzchli, kiedy Cashel powiódł po nich wzrokiem, chociaż uśmiechał się przy tym, najserdeczniej jak umiał. Przystanął.

– Pytałem, czy Arii nic się nie stało – rzekł do Zahaga. – Kto ma pożałować?

Małpolud był już w połowie drogi na dziedzińcu. Odwrócił się i ściągnął wargi w gniewnym pomruku.

– Folquin, oczywiście!

Zaledwie to powiedział, a uzmysłowił sobie, o kim mówi. Chrząknął przepaszająco, po czym wyjaśnił:

– Król Folquin, który kazał straży zabić mnie za kłopoty, jakie mu sprawiłem, a które były

dziełem tej dalopańskiej dzikuski. Ona jest jego nadworną czarodziejką, masz pojęcie? A Folquin chce ci ukraść samicę, wodzu!

– Ukraść mi... – zaczął Cashel. – Ach – zrozumiał. – Mówisz o księżniczce. No cóż, chodźmy do niej.

Podążając za Zahagiem, nucił pod nosem wesołą piosenkę. Przypomniały mu się tańce na początku miesiąca Czapli, po zakończeniu orki.

Cashel nie grał na fletni ani na lirze i znał prostsze kroki niż podskoki i salta, jakimi popisywali się przed tłumem niektórzy zręczni młodzieńcy, lecz potrafił tańczyć dłużej niż jakikolwiek chłopiec z wioski i dłużej niż każda z dziewczyn, oprócz Shariny. Wiele razy wirowali bez końca, kiedy inni byli już tak zmęczeni, że mogli tylko bić brawo.

Małpolud szedł na czworakach, często spoglądając przez ramię na Cashela. Naprzeciw nich pojawił się sługa z pustymi kielichami, zobaczył ich i uciekł z powrotem na dziedziniec. Mógł precyzyjnie się obok nich – było sporo miejsca.

Aria samicą Cashela! Ciekawe, jak długo wytrzymałaby księżniczka na wiejskiej potańcówce! Zahag odsunął się na bok, przepuszczając Cashela na dziedziniec. Tam panowało okropne zamieszanie. Folquin zerwał się ze stołka. Sługa stał obok niego. Rząd rozrzuconych od drzwi do stołu kielichów najlepiej świadczył o tym, w jakim pośpiechu służący biegł ostrzec króla o nadejściu Cashela.

Sześciu strażników stanęło między królem a Cashelem. Jeden z nich naparł kolaniem na łuk, usiłując założyć cięciwę, lecz oficer ofuknął go:

– Odłóż to i stój prosto!

Aria siedziała obok Folquina. Wstała z monarszą gracją. Miała na sobie tunikę z fioletowego jedwabiu ściągniętą pod biustem i w talii. Fałdy szaty lekko falowały jak poruszany wiatrem mech na gałęzi drzewa.

Ku zdumieniu Cashela księżniczka trzymała w wyprostowanej ręce jego laskę niczym drzewce sztandaru. Chociaż oparła koniec drzewca o ziemię, ręka wyraźnie jej drżała. Zwróciła się do Folquina, mówiąc donośnym głosem:

– Wasza Wysokość, widzę, że pan Cashel, mój rycerz, odzyskał przytomność. Czy mogę mieć zaszczyt oficjalnie ci go przedstawić?

– Wszystko w porządku, Ario – rzekł Cashel. – Król i ja już się spotkaliśmy. Zanim jeszcze poznałem ciebie.

Gapie i petenci patrzyli na niego tak samo jak tamtego ranka, kiedy złapał Zahaga. Nie było wśród nich Silyi. Cashel zerknął przez ramię, upewniając się, czy czarodziejka nie przysłała za nim. Nie było jej, lecz Zahag pilnował pleców swego wodza, szczerząc kły i warcząc, aż banieczki śliny pękały mu na wargach.

– Tak – potwierdził Folquin. Przechylił głowę na bok, najwyraźniej też wypatrując czarodziejki za plecami Cashela. – Owszem, narażając się na ogromne niebezpieczeństwo, pan Cashel powstrzymał tego okropnego małpoluda, który zamierzał mnie zaatakować. Ufam, że dobrze się czujesz, panie Cashelu?

– Ja... hmm... cieszę się, że tu wróciłem – powiedział Cashel. – Zahag również czuje się dobrze. – Obrócił głowę i warknął: – Zahagu, przestań! Zachowuj się!

Oficer rzucił rozkaz i strażnicy rozstąpili się przed Cashelem. Sam oficer stanął z boku, czujnie mierząc wzrokiem młodzieńca i króla, w napięciu zastanawiając się, czy podjął słuszną decyzję. Aria wręczyła Cashelowi laskę.

– Ufam, że dobrze się czujesz, Cashelu – powiedziała. Naprawdę wydawała się zadowolona

z tego, że go widzi, chociaż zwróciła się do niego bardzo oficjalnie i starannie dobierając słowa. Na nogach miała posrebrzane sandałki, sznurowane wysoko na łydkach.

– Doskonale – odparł Cashel, ponieważ naprawdę tak było, a poza tym musiał coś powiedzieć. Uśmiechnął się na widok pałki. Chętnie zawinałby nią młyńca, żeby upewnić się, że nie wyszedł z wprawy podczas długiego snu – zbyt długiego, jak na niego, więc zapewne także będącego dziełem czarodziejki – ale z pewnością wybuchłaby panika i mógłby kogoś zranić.

Cashel zmarszczył brwi i znów spojrzał na króla. Stojący obok Folquina sekretarz pisnął ze strachu i zamknął oczy.

– Hm – powiedział Cashel – nie chcę kapryścić, ale zastanawiam się, czy może jest tu gdzieś ta hikorowa pałka, którą tutaj zostawiłem? Sam ją zrobiłem, kiedy jeszcze byłem małym chłopcem, i nie chciałbym jej stracić.

Aria spojrzała na sługę trzymającego pustą tacę, z której spadły kielichy.

– Słyszałeś pana Cashela! – rzekła. – Znajdź tę pałkę i natychmiast ją tu przynieś. Ruszaj! Dlaczego stoisz i wytrzeszczasz oczy?

Folquin otworzył usta, najwyraźniej zamierzając powtórzyć polecenie księżniczki. Sługa wcale nie czekał na to. Rzucił tacę na ziemię i pobiegł w kierunku wejścia do budynku, wołając:

– Wyckli! Abdorn! Jego Wysokość...

Wpadł do środka. Z głębi korytarza dobiegł jego głos:

– ...każe przynieść pałkę z pokoju wielkiego barbarzyńcy!

Cashel uśmiechnął się. Nazywano go gorzej, chociaż ci, którzy to robili, szybko tego pożałowali.

Aria najwidoczniej była w swoim żywiole. To trochę utrudniało mu zadanie.

– Królu Folquinie – powiedział Cashel – byłeś niezwykle uprzejmy, udzielając gościny księżniczce i mnie. Myślę, że powinieneś wiedzieć, iż to nie Zahag, lecz dalopańska czarodziejka Silya była przyczyną tych wszystkich kłopotów, zanim jeszcze ją zatrudniłeś. Mimo wszystko nie żywię do ciebie urazy.

– Silya? – powtórzył Folquin, marszcząc brwi. – Nie...

Ucisząc króla, Cashel stuknął laską w twardą ziemię. Był niezadowolony z siebie. Nie umiał przemawiać i zgubił wątek.

– W każdym razie – ciągnął – doceniam wszystko, co zrobiłeś. Teraz jednak zamierzam odejść, ponieważ muszę odnaleźć moją przyjaciółkę Sharinę. – Nabrał tchu. – I muszę zabrać księżniczkę Arię – dodał – ponieważ obiecałem jej matce...

Folquin, Aria i co najmniej sześć innych obecnych osób zaczęło mówić coś jednocześnie. W tym zgiełku Cashel usłyszał słowa Zahaga:

– Wcale nie, wodzu. Obiecałeś jej matce, że uwolnisz Arię od Ilmeda. Ten czarodziej ani razu jej już nie niepokoił, od kiedy się z nim spotkałeś.

– Hm – mruknął Cashel. – No cóż, chciałem tylko...

Sam nie wiedział, czego właściwie chciał, kiedy stał przed królową Sosią. Trudno mu było zebrać myśli, ponieważ pozostali terkotali jak najęci.

Księżniczka Aria także słuchała Zahaga.

– Bądźcie cicho, wszyscy! – warknęła. – Pamiętajcie, że stoicie przed waszym królem!

Cashel uśmiechnął się. Miała rację, król Folquin także zamilkł wraz z tymi, na których krzyknęła.

Aria w milczeniu położyła dłoń na rękę króla, zwracając jego uwagę, po czym lekko pociągnęła go do Cashela. Nie było wątpliwości, kto w tym stadle będzie kierował pługiem, a kto go ciągnął – zakładając, że są parą, czego w tym momencie Cashel nie wiedział.

– Panie Cashelu – zaczął król. Cashel wiele razy niósł Arię i wiedział, że ważyła tyle co nic,

a tymczasem teraz wszyscy kulili się w jej obecności. – Uznaję przybycie księżniczki Arii na Pandah za wyraz woli Bogów. Najwidoczniej uważają, że to ona powinna zostać moją żoną i królową Pandah. Tak więc...

– Przedtem byłeś równie pewny, że to Sharina ma zostać twoją małżonką – rzekł Cashel z lekkim gniewem, który go zaskoczył. – Myliłeś się wtedy i nie sądzę, że masz rację teraz. Nie jestem urzędnikiem, żeby żonglować słowami, które powiedziałem królowej Sosi...

Zerknął przez ramię. Małpolud iskał się i rozgniewał paznokciami złapane pchły. Nie zauważył groźnie zmarszczonych brwi wodza.

– ...czy komukolwiek. Zamierzam obronić...

Aria zaczęła płakać. Cashel urwał tak nagle, jakby runęło na niego drzewo. Aria rzuciła mu się w ramiona i jęknęła:

– Och, Cashelu, czy musisz nadal poddawać mnie próbom? Nawet Muzira nie przeszła przez to, co ja musiałam znieść!

– Posłuchaj, Ario... – wymamrotał bezradnie Cashel.

– Jeżeli powiesz mi, że muszę iść, pójdę – rzekła księżniczka. Jej łzy już zrobiły mokrą plamę na jego nowej tunice. – Proszę cię, Cashelu!

Król Folquin spojrział na kapitana swojej gwardii przybocznej. Oficer zmarszczył brwi i lekko klepnął się w lewy policzek, co na Pandah oznaczało „nie”. Cashel trochę żałował, że żołnierz okazał tyle rozsądku, ponieważ walka byłaby najłatwiejszym wyjściem z tej niezręcznej sytuacji, w jaką się wpakował. Dlaczego życie nie może być prostsze?

– Uważam, że jest mnóstwo samic, które mają więcej mięsa na gnatach – zauważył Zahag, nie przestając się iskać. – Ta jednak jest lepsza, niż myślałem. Kiedy tu wróciliśmy, trzymała strażę z daleka ode mnie, chociaż wołałem im nie ufać, jeśli nie było jej w zasięgu wzroku.

Cashel zerknął na niego. Zahag uparcie nie zwracał na niego uwagi. Dwaj słudzy wybiegli z budynku, niosąc hikorową łaskę z taką pompą, jakby taszczyli nie kij, a upolowanego jelenia. Aria cofnęła się o krok i spojrzała mu w oczy. Mówiła prawdę, kiedy powiedziała, że pójdzie z nim, jeśli każe jej to zrobić. I nie żartowała, mówiąc, że przeszła więcej niż Cierpliwa Muzira. Z całą pewnością.

– Aria – zaczął Cashel. – Księżniczko... Czy jesteś pewna tego, że chcesz tutaj zostać? Bo jeśli nie, to nieważne, ilu ich tu jest, nie pozwolę...

Aria uciszyła go, przykładając palec do jego ust.

– Wiem, Cashelu – powiedziała. – Moje miejsce jest tutaj. Myślę, że Folquin będzie bardzo dobrym mężem. Dokładnie takim, jakiego wybrałaby mi Pani.

– Hm, panie Cashel – odezwał się król. Folquin był tylko trochę starszy od Cashela. W tym momencie wydawał się małym chłopcem, zaledwie wyrosłym z pieluch. – Chcę, żebyś wiedział, że możesz objąć dowolne stanowisko w moim pałacu. Może kapitana gwardii albo...

– Nie, nie! – powiedział Cashel. Słyszac tę propozycję, nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Chłopak pewnie kupiłby pierwsze stado owiec, jakie gryzłoby trawę na Pandah, gdyby Cashel oznajmił mu, że chce zostać królewskim pasterzem! – Wasza... hm... Wysokość, naprawdę muszę odplynąć stąd jak najszybciej. Prawdopodobnie do Valles, jeśli tam właśnie udała się Sharina.

– Nie zostaniesz na weselu? – zapytał podejrzenie skwapliwie Folquin. – Oczywiście, przygotowania do takiego wydarzenia zajmą trochę czasu.

Cashel zauważył, że Aria obrzuciła przyszłego małżonka groźnym spojrzeniem, więc pospiesznie zabrał głos, zanim księżniczka zdążyła wymóc na nim obietnicę przyspieszenia przygotowań. Jedyne, co Cashel pragnął przyspieszyć, to swój wyjazd z Pandah i powrót do przyjaciół.

– Jeśli w porcie jest jakiś statek, na którym będę mógł odpracować podróż, to wyruszę natychmiast – rzekł.

Trzymający hikorową laskę słudzy stali obok, lecz nie śmieli się odezwać, żeby nie przeszkadzać w rozmowie. Cashel wyciągnął rękę i wziął od nich pałkę. Chwyciwszy gładkie i twarde drzewce, poczuł się, jakby wrócił do domu.

– Panie Cashelu – powiedział Folquin. – Jeżeli zechcesz poczekać do rana, oddam do twojej dyspozycji jedną z królewskich birem. – I przepraszająco dodał: – Naprawdę potrzeba kilkanaście godzin, żeby zebrać załogę. Jednakże ten okręt jest znacznie szybszy od kupieckiego żaglowca.

– No cóż – rzekł Cashel. – Tak chyba będzie najlepiej. Będę bardzo zobowiązany, jeśli zechcesz to zrobić, Wasza... hm... Wysokość.

Folquin zwrócił się do jednego ze sług. Stanowczym tonem, znów mówiąc jak król, polecił:

– Zajmij się tym, Mousel. Natychmiast.

– No cóż, ja... – zaczął Cashel. Czuł się głupio, trzymając obie pałki, ale nie wiedział, co zrobić z dodatkową. – Może znajdzie się tu jakieś miejsce, gdzie mógłbym coś zjeść? Umieram z głodu.

Jeśli przespał cztery dni, to przez tyleż nic nie jadł. Jego ostatnie śniadanie składało się z jajka i owoców. Było dość smaczne, ale nie dość pożywne, żeby wystarczyło na tak długi czas.

Tym razem król nawet nie wydał rozkazu. Skinął na sługę, który pobiegł, jakby ścigało go stado psów.

– Cóż, ja... – znowu zaczął Cashel.

– Cashelu – powiedziała Aria. – Zamierzasz zatrzymać tę laskę, którą miałeś, kiedy mnie ratowałeś?

– Co? – zdziwił się. Wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał laskę z jodłowego drewna i uważnie przyjrzał się pałce. Mosiężne okucia na końcach zabłysły w słońcu. Zostały starannie wypolerowane, kiedy spał w komnacie Silyi. – Hm, to niezła broń i lżejsza od mojej hikorowej, ale... – Urwał, nie kończąc myśli. – Chodzi o to – powiedział – że nie chciałbym, żeby skończyła jako podpórka na sieci. Wiem, że to tylko kawałek drewna, ale...

– Nie będzie podpórka na sieci – obiecała księżniczka. – Jeśli mi ją podarujesz, Cashelu, umieszczę ją na honorowym miejscu.

– Oczywiście, zapłacę ci... – zaczął Folquin.

Aria obróciła się i spojrzała na swego przyszłego męża.

– Bądź cicho – powiedziała, nie podnosząc głosu.

Cashel mimo woli uśmiechnął się. Nawet Ilna nie zrobiłaby tego lepiej.

– Pewnie. Oczywiście, że możesz ją wziąć, księżniczko – powiedział głośno. – Żałuję, że nie mogę dać ci lepszego prezentu z okazji twojego ślubu, ale...

Wzruszył ramionami. Nawet ta tunika, którą miał na sobie, nie była jego własna. Słudzy wychodzili z budynku, niosąc tace z jadłem. Cashel nie zamierzał jeść tutaj, na dziedzińcu, który pełnił funkcję sali tronowej Folquina. Jednak najwidoczniej nikomu to nie przeszkadzało, a on był okropnie głodny.

– Cashelu? – zapytała Aria. – Czy twoja Sharina jest piękna?

Młodzieniec zastygł, trzymając pączek w połowie drogi do ust.

– A jakże! – zawołał. – I zgrabna! Nigdy nie widziałeś tak zgrabnej osoby!

– Ma szczęście – powiedziała księżniczka, odwróciła się do Folquina i nawiązała z nim uprzejmą rozmowę.

Siedząc w kącie dziedzińca, Cashel – z pomocą Zahaga – prawie uporał się z pierwszą tacą przysmaków, kiedy przypomniał sobie jej słowa. Zmarszczył brwi.

– Zahagu? – zapytał. – Ona chyba chciała powiedzieć, że to ja mam szczęście, prawda?

– Wodzu – powiedział małpolud z ustami zapchanymi chlebem z masłem orzechowym. – Już ci mówiłem, że spotykałem owce, które mają więcej rozumu niż ty. No nic, to nieważne.

Sharina stała w oświetlonej czerwonym blaskiem komnacie, wykutej w litej skale, nieruchoma jak posąg Pani w niszy przy palenisku. Mogła patrzeć i słuchać. Chóralny śpiew był tak cichy, że trudno było pochwycić go uchem, więc może wyczuwała go w inny sposób.

W ścianach wokół niej były pionowe szczeliny. Za każdym otworem widać było inny obraz, widziany jak przez tafłę nieskazitelnego rubinu. Z pół tuzina tych, które widziała unieruchomiona Sharina, cztery mogły ukazywać znany jej świat. Dwa inne na pewno nie.

Na lewo od niej, pod czarnym niebem, aż po horyzont rozpościerała się równina pokryta długimi kryształami niczym źdźbłami słomy. Nigdzie nic się na niej nie poruszało. Gwiazdy tkwiły nieruchomo na swoich miejscach, a ich odbicia w kryształach tworzyły linie proste jak nadproża drzwi. Pozbawiona powietrza atmosfera nawet nie załamywała światła.

Następny otwór ukazywał spore miasto. Jeszcze niedawno Sharina wzięłaby je za metropolię dorównującą wielkością Carcosie, Ragos czy starożytnemu Cordin – o których czytała, lecz które wyobrażała sobie jako nieco większe Barca's Hamlet, gdyż tylko tę miejscowość знаła.

Po oblanych światłem księżycy ulicach podążała jakaś skulona postać. To Cerix, popychający swój fotel krótkimi kijami, których używał poza domem. W jednej z bram rozdrażniony turkotem kół pies szarpał łańcuch, bezgłośnie szczekając i machając łapami w powietrzu.

Ten sam chłód, który unieruchomił Sharinę, zdawał się mrozić jej serce. Patrzyła, lecz nie przejmowała się tym, co widziała za rubinowym szkłem.

Trzeci otwór ukazywał stworzenia wydobywające ziemię z dołu i wnoszące ją na szczyt kopca. Dopiero po kilku godzinach bezczynnego przypatrywania się tym obrazom Sharina zrozumiała, że nie patrzy na zniszczone przez burzę mrowisko. To trudzili się ludzie, popędzani przez demony o szponach ostrych jak noże.

Później, ponieważ była w Erdinie na Sandrakkanie, rozpoznała zrujnowane budynki na horyzoncie. Kiedy widziała je poprzednio, były rezydencjami bogatych szlachciców przy placu Pałacowym. Ten obraz był złudzeniem, nie rzeczywistością. Halucynacja, a może przepowiednia...

W czwartym oknie Sharina widziała Cashela leżącego na deskach, z których zrzucił pościel. W domu w Barca's Hamlet Cashel spał na kamiennej podłodze pokoju, który dzielił z siostrą w starym młynie. Nie dla niego miękkie pierze i pościel, a ponadto najwidoczniej noc była ciepła.

U stóp łoża, zwinięty w gnieździe z odrzuconych koców, leżał małpolud – zapewne ten sam, z którym Sharina grała w szachy na Pandah. Pamiętała go tak samo jak uczucia, jakie żywiła wobec Cashela, kiedy walczył z demonem, żeby ją uratować. Teraz jednak, w tym stanie, nie czuła nic.

Cashela spowijała drżąca pajęczyna czerwonych promieni, chociaż on ich nie widział. Wytatuowana kobieta z kawałkami kości w uszach śpiewała i tańczyła w miejscu, z którego wychodziły te promienie, zgodnie z prawami rządzącymi normalną przestrzenią, poza komnatą Cashela.

Naga czarodziejka wirowała, potrząsając kościaną grzechotką, a pajęczyna czerwonych promieni coraz ciaśniej spowijała śpiącego młodzieńca. Cashel rzucał się niespokojnie, lecz nie zbudził się, tak samo jak śpiący przy jego łożu małpolud.

Piąty otwór ukazywał budowlę z czarnego kamienia, którą Sharina poznała, chociaż nigdy przedtem jej nie widziała. Dostrzegła nie tylko jej grube bazaltowe mury, ale i to, co znajdowało się za nimi. Kilka poziomów niżej przez labirynt pomieszczeń podążały dwie postacie. Coś, co

obserwowało je z mroku, znajdowało się na innej kosmicznej płaszczyźnie niż tych dwoje ludzi. Przenikało mury rzeczywistego świata. Poruszało łbami i dotykało jęzorami niewidzialnej ściany, jaka oddzielała je od Tenoctris i Garrica.

Staruszka usiadła ze skrzyżowanymi nogami, nakreśliła krąg na kamieniu i wyszeptała zaklęcie. Obserwujący to stwór sprężył się do skoku. Rozdziawił pyski i raz po raz wysuwał ostre szpony. Bariery stały się cieńsze, lecz nie ustąpiły, a Garric, siedzący obok czarodziejki w podziemiach rezydencji królowej w Valles, bardziej z przyzwyczajenia niż obawy położył dłoń na rękojeści miecza.

Tenoctris wstała. Garric zastąpił ogarek nową świecą i poszedł za nią, wysoko unosząc latarnię. Stwór ślinił się, a Sharina spojrzała w ostatnie okno, niewzruszona jak lodowy posąg.

Obraz w tym ostatnim otworze nie zmienił się, od kiedy znalazła się w tej skalnej komnacie. Ukazywał pomieszczenie wyposażone jedynie w niski postument, na którym stała plansza do gry. Sharina nie potrafiła powiedzieć, ile kamiennych figurek znajdowało się na tej rozległej tablicy. Miały dziwne kształty i nie było wśród nich dwóch takich samych, lecz za każdym razem, gdy Sharina spojrzała na planszę, wydawały się inaczej ustawione. Ten fakt nie niepokoił jej, gdyż teraz nie przejmowała się niczym.

Ponownie spojrzała na Cashela, którego wytatuowana czarodziejka otaczała jeszcze ciaśniejszym kokonem czerwonych promieni. Kątem oka Sharina zarejestrowała jakiś ruch. Skupiła myśli – gdyż nie mogła poruszyć nawet gałkami ocznymi – na szóstym otworze w skale.

Do komnaty weszła kobieta o twarzy tak pięknej i zimnej, jak błysk w oczach sokoła. Nosila białą suknię z długimi rękawami, cienką, lecz tak nieprzezroczystą jak granitowe ściany komnaty, w której stała. W talii była przepasana szarfą ze złotogłowiu, a rąbek i dekolot sukni miała ozdobione złotą koronką. Spojrzała na Sharinę i uśmiechnęła się.

– Czy wiesz, kim jestem, Sharino os-Reise? – zapytała.

Mówiła płynnym kontraltem, od którego drżał kosmos.

– Jesteś królową – powiedziała Sharina, chociaż wiedziała, że jej wargi nie poruszyły się, nie mogły.

– Tak, Sharino – potwierdziła kobieta. – I wkrótce zaprowadzisz mnie do Tronu Malkara.

Dotknęła jednej z turmalinowych figurek. Sharina poczuła, że każdą komórkę jej ciała przeszywa lodowaty dreszcz.

Królowa zaśmiała się i puściła figurkę.

– Jeszcze nie, Sharino – powiedziała. – Najpierw muszę załatwić inną sprawę.

Jej idealnie piękna postać znikła jak szron w słoneczny zimowy ranek. Przez chwilę na jej miejscu stała inna postać, tylko trochę podobna do człowieka, lecz i ta zaraz znikła.

Jednak plansza do gry pozostała, a śmiech królowej dźwięczał w mózgu Shariny, odbijając się echem w mrocznych korytarzach pamięci, wieczny i nieuchronny.

Nie było tu szcurów ani nawet owadów. To dziwiło Garrica.

– Tenoctris? – zapytał, unosząc latarnię tak, żeby ich cienie nie zasłaniały widoku starej czarodziejce. Filary podtrzymywały labirynt prostokątnych komnat. Jego zdaniem żadna z nich niczym się różniła od innych na tym poziomie czy na kilku poprzednich. – Szukamy czegoś czy też?...

Nie miał nic przeciwko wizycie w podziemiach rezydencji królowej. Prawdę mówiąc, od kiedy przybył wraz z przyjaciółmi do Valles, był to prawie wypoczynek. Kiedy Tenoctris oznajmiła, że musi przeszukać podziemia budynku, mógł posłać z nią eskortę żołnierzy. Książę, a właściwie nieformalny król, ma ważniejsze zajęcia niż błąkanie się w kurzu i ciemności, wśród umykających

w popłochu, niewidzialnych stworzeń.

Jednak Garric przywykł do tego, że jest podporą, na której w razie potrzeby może się wesprzeć niepokromiona Tenoctris. Dzięki temu czuł się naprawdę przydatny. Rozumiał potrzebę starannego planowania i godził się z tym, że „książę Garric” stanowi symbol nowych rządów dla kapłanów, gildii Valles oraz szlachty, która mogłaby w najtrudniejszej chwili odmówić swego poparcia, gdyby uznała, że rządzi nimi uzurpator.

Tymczasem stojąc z mieczem przy boku, pomagając i chroniąc kruchą staruszkę, od mądrości której zależał los Wysp... Czuł, że żyje.

Król Carus zachichotał w głębi jego pamięci.

– *Nie ty pierwszy tak się czujesz, chłopcze* – szepnął przez korytarze czasu. – *I dopóki panujesz nad tym lepiej niż ja, nie ma w tym niczego złego. Ani ja, ani Wyspy nie mielibyśmy z ciebie żadnego pożytku, gdybyś uważał, że najważniejsze są słowa.*

Garric uśmiechnął się. Były takie niebezpieczeństwa, które mogły przerazić nawet zahartowanego w bojach weterana. Garric w przeszłości stawiał już czoło cesarzom i dawał sobie z nimi radę.

Tenoctris usadowiła się na posadzce z bazaltowych sześciokątów. Te płyty zostały wycięte z naturalnych skalnych kolumn, a nie uformowane ludzką ręką.

– Szukam przejść, Garricu – powiedziała. – I staram się dowiedzieć, dokąd prowadzą.

Podniosła głowę z uśmiechem, który zawsze rozjaśniał otaczający ją świat.

– Nie mówię o sekretnych przejściach w ścianach. Mam na myśli te rodzaje przejść, które wiodą na inne płaszczyzny niż ta, gdzie jesteśmy. Królowa wybudowała swoją rezydencję w miejscu zbiegu kilku takich połączeń i myślę, że potem stworzyła jeszcze kilka. Jest naprawdę potężna.

Jednym z wiązki bambusowych patyków, które Garric zabrał specjalnie w tym celu, nakreśliła krąg na podłodze.

– Sądzę, że mogłabym użyć tego samego do każdego słowa zaklęcia – mruknęła przepraszająco. – W końcu rzucam bardzo słaby czar. Jednakże przy każdym wypowiedzianym słowie nawet ta gałązka nabiera mocy, a w tym miejscu bałabym się zrobić coś więcej, niż zamierzam.

– Chętnie je poniosę – rzekł spokojnie Garric. Każdy patyk miał długość ludzkiej ręki. Wszystkie razem ważyły niewiele więcej niż sprzączka jego pasa, masywna kłama z żelaza ozdobionego cyną i niello. – A na pewno nie mam nic przeciwko temu, że nie podejmujesz zbędnego ryzyka.

Tenoctris napisała na brzegu kręgu kilka magicznych słów. Garric usłyszał, jak mamrocze: „*Asstraelos chraelos phonno...*”, lecz reszty zaklęcia nie wychwycił uchem i nie zrozumiał.

Słabe błękitne płomyczki zabłyśły i zatańczyły w powietrzu wokół nich. Gaśły szybciej niż skry skrzęsane przez młot kowala, niektóre tak szybko, że Garric nie był pewien, czy dostrzegł je naprawdę, czy tylko je sobie wyobraził.

Czekając, rozglądał się wokół, chociaż nie spodziewał się niczego zobaczyć. Według Royhasa, rezydencję królowej zbudowali miejscowi robotnicy. Być może było to prawdą w przypadku części nadziemnej. Te podziemia były zbyt rozległe, aby ludzie mogli je wydrążyć nawet przez wiele miesięcy pracy. Objętość usuniętej ziemi i skały wystarczyłaby do zasypania portu, gdyby wrzucano do niego usuwany gruz. Ten jednak po prostu znikł, a istnienia tych lochów nawet nie podejrzewano, dopóki Garric nie poprowadził ataku, który zmusił królową do ucieczki.

Tenoctris westchnęła i odłożyła bambusowy patyk. Oparła obie dłonie o posadzkę, zamierzając wstać. Garric szybko wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać. W drugiej, wyciągniętej, trzymał latarnię, tak by nie poparzyła ich rozgrzana metalowa obudowa.

– Nie udało się? – zapytał. Podniósł się trochę, lecz przez cały czas mocno podtrzymywał staruszkę.

– Och, nie, wprost przeciwnie – odparła Tenoctris. – Z tego, co dotychczas ustaliłam, wynika, że królowa miała co najmniej tuzin dróg ucieczki do innych miejsc w naszej rzeczywistości i nie tylko. Znalezienie tej, z której skorzystała, jest...

Znów się uśmiechnęła. Zawsze wyglądała przy tym o wiele młodziej.

– Chciałam powiedzieć, że to niemożliwe, ale muszę to zrobić, żebyśmy byli bezpieczni. Żeby Wyspy były bezpieczne.

Tenoctris skinęła na Garrica, pokazując mu następny korytarz. Poszedł obok niej, gotowy wesprzeć ją w razie potrzeby. Zastanawiał się, ile takich prób zamierzała przeprowadzić w tych podziemiach i czy poniżej znajduje się jeszcze jeden poziom.

Ich cienie drżały, tworząc skomplikowane wzory na kamiennych ścianach. Kontury filarów zniekształcały ludzkie sylwetki. Garric był prawie pewien, że niczego więcej nie widzi.

– Tenoctris – rzekł, gdy przechodzili łukowato sklepionym portalem do prawie identycznej komnaty. Na środku posadzki, na spojeniu dwóch sześciokątów, błyszczała woda. – Królowa zamierzała korzystać z tych przejść, które teraz znajdujesz, prawda?

– Tak – odparła krótko Tenoctris. Rozejrzała się wokół, szukając oznak rzeczywistości, której Garric nie mógł dostrzec. Nie usiadła, lecz skinęła ręką, żeby szedł dalej. – Na pewno właśnie w tym celu zbudowała tu swoją rezydencję.

– Ale nie zrobiła tego – przypomniał Garric. – Uciekła, kiedy tu wtargnęliśmy. Nie skorzystała z żadnego... hm... przejścia. Czyżby nie zdążyła rzucić odpowiedniego zaklęcia? Czy też?...

Tenoctris zatrzymała się pod następnym łukowatym portykiem i usiadła na zimnej posadzce.

– Powinam była zabrać poduszkę – mruknęła. – Albo przynajmniej włożyć grubszą szatę.

Ponownie spojrzała na Garrica.

– Nie sądzę, żeby królowej zabrakło czasu – powiedziała. – Otwarcie przejścia to prosta sprawa, nawet dla osoby nie posiadającej większej mocy niż ja.

Uśmiechnęła się. Garric próbował odpowiedzieć jej tym samym, ale był zbyt spięty.

– Myślę, że problem polegał na tym – ciągnęła – że jedno z przejść prowadzi prosto do innej... istoty. Takiej, z którą nawet królowa nie chciała się zmierzyć w obawie, że ten stwór może dopaść jej, gdyby otworzyła przejście z tej strony.

– Mówisz o Bestii – rzekł Garric.

Tenoctris zaczęła rysować następny krąg mocy. Bambus zostawiał srebrzyste ślady na szorstkim czarnym kamieniu. Tylko ten, kto nakreślił te znaki, zdołałby je rozpoznać – stara czarodziejka oraz moce przywoływane przez te symbole.

– Tak, Bestia – powiedziała Tenoctris, nie przestając rysować. – Podejrzewam, że królowa zamierzała uzyskać dodatkową moc, zanim spróbuje odesłać Bestię tam, skąd nie ma powrotu. Jest potężną czarodziejką, ale nie była pewna, czy ma dostateczną moc, by samotnie pokonać to stworzenie.

– My jednak musimy pokonać ją i Bestię – powiedział Garric. Wskazującym palcem dotknął gałki swego długiego miecza.

Tenoctris uśmiechnęła się do towarzysza.

– No cóż – powiedziała. – Musimy spróbować.

TRZECI DZIEŃ KUROPATWY

Ilna pościeliła sobie na parterze domu Asceleia w komórce z drewnianymi drzwiami. Poprzednio to pomieszczenie było wykorzystywane do przechowywania zapasów, lecz skrawki materiałów, jakie wyniesiono stąd, żeby zrobić dla niej miejsce, już dawno powinny zostać zużyte na obszywki ubrań lub do wypchania poduszek.

Usłyszała turkot blaszanych obręczy kół na bruku przed sklepem. Natychmiast wstała i narzuciła tunikę na nocną koszulę z cienkiego lnu. I tak miała wkrótce wstać. Gniew, jaki teraz ją ogarnął, był wywołany głównie świadomością tego, że z jej powodu Halphemos popełnił jakieś głupstwo.

Odzwierny Asceleia powinien spać w sieni, ale związał się z kucharką – wdową. Większość nocy spędzał w jej chacie obok kuchni na tyłach domu. W ten sposób Ilna przejęła obowiązki odzwiernego i Ascelei nigdy nie miał na tym stanowisku nikogo lepszego.

Cerix załomotał do frontowych drzwi.

– Otwórzcie! – zawołał. – Muszę porozmawiać z panią Ilną!

Wewnętrzne drzwi były zrobione z modrzewiowego drewna, gładko heblowanego i ozdobionego rozetkami z mosiężnych gwoździ. Ilna otworzyła je na oścież i weszła do wąskiej sionki, na końcu której znajdowały się zewnętrzne drzwi z okutego żelazem dębu. Służba już trajkotała w popłochu. Ktoś głośno zastanawiał się, czy nie należy obudzić pana Asceleia.

Robili tyle hałasu, że zbudziliby umarłego.

– Cicho! – rzuciła Ilna w głąb korytarza. – Ja się tym zajmę.

W końcu to była jej wina. Potraktowała Halphemosa jak dziecko, więc to całkiem zrozumiałe, że w końcu zrobił coś dziecinnego. Można formować ludzi równie pewnie jak wzór na tkaninie, lecz nie można robić tego w ten sam sposób, gdyż ludzie reagują na to zupełnie inaczej niż nitki.

Cerix zamilkł, gdy usłyszał głos Ilny. Kiedy odsunęła modrzewiowy rygiel, odtoczył swój fotel na bok, tak by nie uderzyły go otwierane drzwi. Spojrzał na Ilnę. Strach zatarł grymas bólu, jaki zazwyczaj wykrzywiał rysy jego twarzy.

– Przyszli po niego ludzie barona, pani – rzekł. – Sporządził dla lady Tamany amulet, którego miała użyć na barona. – Otarł wargi wierzchem dłoni, a potem dodał: – Tamana była faworytą barona, lecz on teraz ma już inną przyjaciółkę.

Ktoś próbował otworzyć drzwi, które Ilna zamknęła za sobą. Zatrzasnęła je piętą.

– Ja się tym zajmę, za pozwoleniem! – warknęła.

Cerix narzucił koc z szorstkiej wełny na tunikę, w której spał. W zamieszaniu wywołanym aresztowaniem Halphemosa kalece udało się opuścić gospodę wraz z częścią posłania. No cóż, karczmarz pewnie uzna to za niewielką cenę za pozbycie się współnika przestępcy.

– Halphemos sporządził amulet, który miał skrzywdzić barona? – zapytała beznamietnie Ilna. Jeśli tak, to Robilard może wypruć chłopakowi flaki i włóczyć go końmi po ulicach, a Ilna nie kiwnie palcem, żeby pomóc byłemu towarzyszowi podróży.

– Nie zrobiłby czegoś takiego, pani – odparł karcąco Cerix. – Alos może jest głupcem, ale nikomu nie wyrządziłby krzywdy.

Znowu otarł usta i wymamrotał:

– Mógł jednak zrobić miłosny amulet. Kiedyś przyglądał się, jak je robiłem.

Ruchem brody Cerix wskazał na kikuty swoich nóg.

– A lady Tamana wiele by dała za powrót do łask barona.

Gdyby nie miłość, na świecie byłoby o wiele mniej głupców, pomyślała Ilna. *O czym ja sama wiem najlepiej.*

A głośno powiedziała:

– Rozumiem. Halphemos sprzedał wisior z perłą jakiemuś jubilerowi. Ten poznał ozdobę, jak każdy mieszkaniec Trzeciej Atary, prawda? Powiedział baronowi, że jakiś włóczęga miał perłę należącą do dawnej kochanki wielmoży, a baron wypytał damę w taki sposób, że wydobył z niej prawdę.

– Widziałem Tamaną, kiedy po raz pierwszy przyszła do Halphemosa – przyznał ze smutkiem Cerix. – Nie zaniepokoiłem się. Myślałem, że chce, by przepowiedział jej przyszłość albo... No cóż, jest przystojnym chłopcem. Nie mogę psuć mu zabawy.

Ilna prychnęła.

– Niewątpliwie – powiedziała takim tonem, jakby odpowiadała komuś, kto właśnie przyznał, że lubi okradać ślepych żebraków. – Czy lady Tamana powie prawdę, czy też będzie twierdziła, że to był pomysł Halphemosa?

– Ona może powiedzieć wszystko – skrzywił się Cerix. – Nie sądzę, żeby Robilard musiał ją tknąć choć palcem, żeby zaczęła gadać, co jej ślina przyniosła na język.

– Owszem, są takie kobiety – powiedziała spokojnie Ilna. – No cóż, zobaczę, co mogę zrobić.

Pociągnęła za sznur rygła, lecz ktoś pchnięciem otworzył drzwi od wewnątrz, zanim zaczęła ciągnąć za ozdobną żelazną rączkę. Ilna już chciała warknąć na intruza, ale na tle światła pochodni trzymany przez stojących za jego plecami służących rozpoznała sylwetkę Asceleia.

– Panie Asceleiu – powiedziała ze skruszonym ukłonem. O mało nie skarciła swego gospodarza. – Przepraszam za to zamieszanie. Muszę wyjść i nie wiem, kiedy będę mogła wrócić.

– Słyszałem – odrzekł ponuro kupiec. – Ilno, mój kuzyn ma gospodę na zachodnim krańcu wyspy, w małej portowej wiosce. Jeśli chcesz, możesz zatrzymać się tam przez kilka dni, zanim lepiej rozeznasz się w sytuacji. Nikt nie będzie wiedział, jak się nazywasz.

– Mam się ukryć? – powiedziała Ilna. – Dziękuję, ale jeszcze do tego nie doszło i nie dojdzie, dopóki żyję.

Ascelei zeszywniał. Pamięć podsunęła Ilnie słowa, które dopiero co wyszły z jej ust. Przyklęknęła w progu, uścisnęła prawą dłoń kupca i powiedziała:

– Panie Ascelei, twoja propozycja była bardzo uprzejma, a ja zachowałam się tak jak mój wuj Katchin. Przepraszam cię. – Wstała i dodała: – Gdybyś znał mego wuja, wiedziałbyś, jak szczerze były te przeprosiny.

Kupiec z zadowoleniem skinął głową.

– Nigdy nie wątpiłem w twoją prawdomówność, Ilno – rzekł. – A chociaż nie przeproszę za tę propozycję, powinienem wiedzieć, że z niej nie skorzystasz.

Ilna spojrzała na kalekę.

– Asceleiu – zapytała – czy podczas mojej nieobecności pan Cerix mógłby schronić się pod twoim dachem? Wprawdzie nie ponosi winy za to, co się stało, ale wątpię, czy byłby mile widziany tam, gdzie dotychczas mieszkał.

– Powiniennem pójść z tobą – rzekł Cerix. – Mógłbym pomóc...

– Nie – ucięła ostro. – Nie mógłbyś. Będę miała dość kłopotów bez popychania twojego wózka.

Ascelei skrzywił się.

– Tak, oczywiście – powiedział. – Ceriksie, czy zechcesz?...

Kaleka miał zgnębiającą minę. Mimo to Ilna nie zamierzała przeproszać za swoją zjadliwą uwagę.

Cerix naprawdę przeszkadzałby jej, a nie byłoby tego zamieszania, gdyby stary czarodziej nie pokazał chłopcu, jak sporządzać miłosne amulety. Miłość to przekleństwo.

Ilna uśmiechnęła się. Ascelei wyszedł z drzwi, a Cerix bez słowa wtoczył swój fotel do środka.

– Pani? – rzekł bławatnik, zaskoczony wyrazem jej twarzy.

– Mam ochotę powiedzieć, że miłość to przekleństwo – odparła Ilna, co było szczerą, chociaż niewiele znaczącą odpowiedzią. – To jednak nie czas na filozoficzne dysputy, jeśli kiedykolwiek jest na nie czas. – Nabrała tchu. – Lepiej ruszę już do pałacu, panie – powiedziała. – Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś, i żałuję, że nie mogłam lepiej się za to odwdziżyć.

– Jestem ci winien pieniądze – rzekł kupiec, kiedy odwróciła się, by odejść. – Może zechcesz skorzystać z mojej lektyki? Mogę zaraz obudzić tragarzy.

– Taka zwyczajna kobieta jak ja wyglądałaby głupio w lektyce – odparła Ilna nieco ostrzej, niż zamierzała. – Możesz przekazać moje pieniądze Cerixowi. Albo zatrzymać je sobie, Asceleiu.

Wsunęła dłoń do rękawa, sprawdzając, czy ma tam ukryty motek przędzy.

– Mam wszystko, czego mi trzeba – rzuciła przez ramię, odchodząc aleją Parad.

Prawie we wszystkich domach służący już wstali – zamiatali i wyrzucali śmieci. Większość budynków składała się z części mieszkalnej na piętrze i sklepu na parterze. Wynoszono z nich nieczystości i wylewano do biegnącego środkiem ulicy kanału. Kupcy, nie spodziewający się tak wcześnie rano klientów, nie przejmowali się tym, co i gdzie wyrzuca ich służba.

Ilna skrzywiła się z niesmakiem – na taki zwyczaj, a nie na zapach. W porządnej społeczności, takiej jak Barca's Hamlet, gdzie ludzie uprawiają ogródki, nie marnuje się nawozu.

Szła różnym krokiem. Pojawili się już pierwsi przechodnie. Niebo pojaśniało dostatecznie, żeby można było odróżnić czerń od bieli, więc na ulice wyszli ludzie, którzy nie zamierzali płacić za oświetlanie im drogi.

Pałac barona Robilarda znajdował się kilometr na południe przy alei Parad. Żadna odległość, chociaż Ilnie niezbyt wygodnie się szło po żwirze. Mieszkańcy Divers nosili ciężmy o miękkich skórzanych podeszwach, odpowiednich na takiej nawierzchni z drobno potłuczonego wapienia.

Ilnę rozbawiło to, że ona i Ascelei rozmawiali tak, jakby miała nie wrócić ze spotkania z baronem. Wprawdzie wszystko jest możliwe, lecz Robilard nie miał opinii okrutnika. Baron miał prawo rozgniewać się na Halphemosa, lecz Ilna była przekonana, że znajdzie jakiś sposób, żeby uwolnić chłopca. Oczywiście, będą musieli opuścić wyspę, ale i tak zamierzali to zrobić.

Pałac baronów Trzeciej Atary był o wiele skromniejszą budowlą, niż oczekiwała. Och, był znacznie większy, niż potrzebował tego każdy normalny człowiek, lecz w Erdinie mieszkała w większej rezydencji, kiedy zło nie miało zręczniejszej służki niż Ilna os-Kenset.

Właśnie dobudowywano portal z wielkimi kolumnami z pasiastego marmuru. Jeśli Robilard przebuduje resztę posiadłości w takim samym stylu jak ten portyk, to będzie miał rezydencję okazalszą od tej, jaką ma earl Sandrakkanu.

Przeszła przez owalny podjazd do drzwi. Tam żwir zastąpiły płyty z wzorzystego wapienia. Żwir, który przywarł do stóp Ilny, zazgrzytał na ich gładkiej i chłodnej powierzchni. Uśmiechnęła się. Nie tak gładkiej ani śliskiej jak błoto na wiosnę w rodzinnej Barca's Hamlet. Znajome rzeczy niekoniecznie muszą być miłe.

W pałacu paliły się światła i panował ruch. Małe szybki okien nie były dostatecznie przezroczyste, aby dostrzec szczegóły, lecz poruszające się przy świetle lamp postacie robiły to z większym ożywieniem, niż powinny o tak wczesnej porze.

Pod latarnią w kształcie trójgłowego smoka stali dwaj żołnierze, pilnując drzwi. Na widok lampy Ilnę z niewiadomego powodu ścisnęło w dołku. Zmarszczyła brwi.

Żołnierze obrzucili ją spojrzzeniami, upewniając się, że nigdy jej nie widzieli. Potem jeden z nich zapukał w okienko osadzone w jednej z połówek wielkich, okutych brązem drzwi. Wyszedł z nich oficer, włożył na głowę zwieńczony piórami hełm i zamienił kilka słów z wartownikami.

Ilna wyjęła z rękawa włóczkę, odmierzyła odpowiednią długość i urwała. Pozostały postrzępione końce, lecz nie była to odpowiednia chwila, by wywijać nożem – nawet po to, żeby uciąć wełnę.

Napierśnik oficera był odlany w kształcie muskularnego torsu półboga. Pierwsze promienie słońca odbijały się od pancerza i końców nawoskowanych wąsów. Ich właściciel zrobił krok w jej kierunku i rzekł:

– Przykro mi, pani. Dziś nie wpuszczamy domokrażców.

– Nie jestem handlarką – powiedziała Ilna, podchodząc do niego na odległość wyciągniętej ręki.

– Przyszłam porozmawiać z baronem o czarodzieju, którego aresztował. Myślę, że po rozmowie ze mną zechce uwolnić chłopca.

– A już na pewno nikt nie zobaczy się z baronem w sprawie tego czarodzieja, pani – powiedział znacznie chłodniejszym tonem oficer. – Jeśli masz z nim coś wspólnego, to radzę ci jak najszybciej opuścić wyspę. Wpław, jeśli nie znajdziesz żadnego statku.

– Gdyby zechciała wrócić po południu, kiedy kończymy służbę – powiedział jeden z żołnierzy – może mógłbym zapłacić jej za to, co ma.

Drugi żołnierz i oficer roześmiali się. Ilna z kamiennym wyrazem twarzy splatała w palcach włóczkę. Potem podniosła głowę.

– Spójrz na mnie – powiedziała krótko.

– Co? – zdziwił się oficer i znów odwrócił się do Ilny. Rozłożyła ręce, pokazując mu wzór. Oficer wydał zduszony jęk i zastygł. – Zaprowadź mnie do barona Robilarda – rozkazała. Oficer skłonił się, odwrócił i pomaszerował do drzwi. Wychodząc, zostawił je otwarte.

– Hej! – zawołał ten żołnierz, który żartował sobie z wdzięków Ilny. – Co się stało kapitanowi?

Usiłował chwycić halabardę, którą oparł o marmurową framugę drzwi. Broń wypadła mu z palców i z brzękiem uderzyła o próg. Przyklęknął, chcąc ją podnieść.

– Nic mu nie będzie – powiedziała Ilna. – Jeśli okażesz się głupcem i spróbujesz stanąć mi na drodze, potraktuję cię zupełnie inaczej. Rozumiesz?

Żołnierz wytrzeszczył oczy, na osłep usiłując chwycić drzewce halabardy. Drugi wartownik złapał go za ramię i odciągnął na bok. Żaden z nich nie odezwał się, kiedy Ilna weszła za oficerem do pałacu.

Przedsiónek był pusty, nie licząc krzesła, na którym kapitan siedział plecami do drzwi, obserwując wydarzenia w sali audiencyjnej. Ta ostatnia była pretensjonalnym pomieszczeniem, sięgającym do połowy wysokości budynku i zwieńczonym kopułą. Stojące pod dwiema ścianami kolumny były ozdobione reliefami ukazującymi sceny z historii wyspy.

W każdym razie Ilna zakładała, że to historyczne sceny, gdyż wśród postaci nie zauważyła żadnych bóstw. Rzeźby były zręcznie wykonane, co trochę lepiej usposobiło ją do Robilarda. Wiedziała, że nie powinna zakładać, iż człowiek, który umie docenić dobrą robotę, musi być z gruntu porządny. Mimo to podświadomie przyjęła takie założenie.

Choć światło poranka wpadało między filarami na wschodnim końcu sali, paliły się także zawieszane na ścianach lampy oliwne. Śludzy jeszcze zapalali ostatnie z nich. Dziesiątki obecnych w wielkiej sali ludzi bynajmniej jej nie zapełniało, lecz szmer ich kroków i szepty odbijały się echem jak głosy cykad w letnią noc.

Baron Robilard siedział na tronie z wzorzystego marmuru. Wyglądał na niewygodny, lecz stary, a Ilna potrafiła docenić wartość tradycji. Tego ranka Robilard ubrał aksamitny kubrak i spodnie –

strój nienagannie skrojony i elegancko noszony. I chociaż barona najwyraźniej trawił gniew, wyglądał teraz znacznie lepiej niż jako napuszczona postać z procesji, która odbyła się poprzedniego dnia.

Lewą ręką podrzucał welurowy miś i gniewnie spoglądał na ciemnowłosą kobietę, która klęczała przed podium, na którym stał tron, pilnowana przez dwóch żołnierzy. Niewątpliwie była to Tamana. Bełkotała coś urywanymi zdaniami, które i tak były prawie niezrozumiałe.

Po lewej ręce barona siedziała jego żona, Cotelina. Podczas parady jechała tuż za rydwanem Robilarda, w lektyce z lazurowym daszkiem. Miała jasne włosy i z kamiennym wyrazem idealnie pięknej twarzy udawała, że przygląda się bliźniętom pozostającym pod opieką siedzącej obok niańki.

Lady Regowara, piersiasta brunetka bardzo podobna do Tamany, tylko o pięć lat młodsza, stała z drugiej strony tronu, władczy gestem opierając się o jego poręcz. Z niezdrową satysfakcją przyglądała się Tamanie, co zdaniem Ilny dowodziło, że obecna kochanka barona była równie głupia jak poprzednia. Kobieta z odrobiną rozumu powinna dostrzec swoją przyszłość w tym, co spotkało Tamane. Jednak kobiety rzadko wykazują choć trochę rozsądku – a zdaniem Ilny mężczyźni jeszcze rzadziej, przynajmniej w sprawie wyboru odpowiednich partnerek.

Obecny w sali tłum składał się z żołnierzy, służby i dworzan. W nerwowym oczekiwaniu obserwowali przebieg wydarzeń. Stojący przy Tamanie żołnierze przynajmniej wyglądali na zmieszanych. Ta biedaczka ledwie trzymała się na nogach, a z pewnością nie była takim zagrożeniem, żeby trzeba jej było pilnować.

Żołnierze trzymający Halphemosa znacznie poważniej potraktowali swoje zadanie. Chłopiec miał ręce związane na plecach, podbite jedno oko i rozcięty policzek.

Kapitan gwardii utorował jej drogę przez tłum, chociaż ten nie był tak gęsty, żeby Ilna nie mogła przejść sama. Lekkie zamieszanie sprawiło, że Halphemos spojrzał w tym kierunku.

– Ilno! – zawołał. – Nie powinnaś tu przychodzić!

Jeden z żołnierzy uderzył go w brzuch. Halphemos zgiął się w pół i byłby upadł, gdyby nie trzymali go za ramiona. Ilna spojrzała w oczy temu, który uderzył Halphemosa. Żołnierz otworzył usta, żeby warknąć na nią, lecz spojrzał jej w oczy i pospiesznie odwrócił głowę.

– Misiaczku – jęczała Tamana, patrząc na podłogę, na którą kapały jej łzy – nie chciałam twojej krzywdy, tylko żebyś znów kochał mnie tak jak przedtem. I nie wzięłabym tego, ale on z czarował mnie, żeby dostać mój wisiołek z perłą. Wiesz, że nigdy nie rozstałabym się z żadnym klejnotem, jaki mi dałeś, gdyby mnie nie czarował!

– Trzymajcie czarodzieja prosto! – rozkazał Robilard zimnym, gniewnym głosem. Strażnik chwycił Halphemosa za włosy, lecz ten zdążył się już wyprostować po uderzeniu w brzuch. Na gniewny wzrok barona odpowiedział spokojnym i dumnym spojrzeniem. Ilna nabrała o nim odrobinę lepszego mniemania.

Robilard upuścił amulet na podium, wstał i przydepnął woreczek obcasem. Zachręściła miążdżona zawartość.

– Splamiłeś mój dwór swoimi czarami – rzekł baron. – Rzucę cię na pożarcie rybom, które raz na zawsze położą kres twoim paskudnym czaram.

Skinął na jednego ze stojących w pierwszym rzędzie dworzan, mężczyznę w podeszłym wieku, jedyne, który nosił napierśnik i miecz.

– Zamknij go w żelaznej klatce, Hostenie, a potem wrzuć do morza. Spory kawałek od portu.

Dworzanin skinął głową. Przypominające chór cykad szepty przeszły w głośny gwar. Ilna wyszła z tłumy i powiedziała donośnym głosem, żeby być dobrze słyszaną:

– Baronie Robilardzie, rozumiem i podzielam twoje oburzenie, lecz oboje wiemy, że jedyną winą

pana Halphemosa jest głupota. Jeśli mi go wydasz, dopilnuję, żeby nie rzucił tu więcej czarów i w zamian ofiaruję ci coś cennego. Z pewnością cenniejszego od karmy dla ryb.

– Kto to? – zawołał baron, przekrzykując zgiełk. – Co ona tu robi?

– To Ilna os-Kenset – odparł bezbarwnym tonem kapitan gwardii. – Przyszła zobaczyć się z tobą.

Ilna uśmiechnęła się. Kapitan zachwiał się, kończąc prezentację, a potem z rosnącym zdumieniem rozejrzał się wokół. Zrobił przerażoną minę, jakby nagle znalazł się na dworze, nie mając na sobie nic poza suspensorium.

– W ciągu tygodnia – powiedziała Ilna wśród szmerów zdziwienia – mogę utkać dla ciebie gobelin, który zmusi wszystkich przychodzących tutaj, aby mówili prawdę.

I była gotowa to zrobić, przekonana, że taki arras nie szkodziłby ludziom, ponieważ baron zniszczyłby go po kilku dniach. Tylko ludzie, którzy nigdy nie zaznali prawdy, łudzili się, że jej pragną – a także ci nieliczni jak Ilna os-Kenset, którzy byli gotowi pogodzić się z konsekwencjami.

– Lub inny wzór, który przyniesie korzyść tobie i twoim bliskim – dodała Ilna. – Zdaję sobie sprawę z tego, że Halphemos nadużył swojej mocy, lecz możesz uznać to za przestrożę, aby nigdy nie popełniać takiego błędu.

Propozycja utkania gobelinu zmuszającego do mówienia prawdy była kompromisem pomiędzy tym, czego zdaniem Ilny pragnął Robilard, a tym, czego powinien chcieć. Wolałaby zrobić dla niego jeden z takich kilimów, jakie robiła w Erdinie, zanim zniknięcie Cashela zmusiło ją do opuszczenia wyspy. Większość ludzi nie ceniła sobie dobrego samopoczucia i radości, przedkładając seks, bogactwo i zemstę. Tych trzech ostatnich Ilna nie zamierzała nikomu zapewniać.

Już nie.

– Jesteś czarodziejką – powiedział Robilard, podnosząc głos przy każdej sylabie.

– Jestem tkaczką – odparła Ilna. – Jestem porządną kobietą z Barca's Hamlet na Haft i zrobię, co mówię.

Gwar w sali ucichł, chociaż szuranie skórzanych podeszew odbijało się echem od sklepienia, gdy ludzie cisnęli się, żeby zobaczyć nowo przybyłą. Kapitan gwardii przemknął pod ścianą i znikł za drzwiami. Inni żołnierze byli zbici z tropu. Ci, którzy trzymali berdysze, przekładali je z ręki do ręki, czekając na rozkazy.

– Następna czarodziejka – rzekł Robilard spokojniejszym głosem. Citolina zmierzyła Ilnę taksującym spojrzeniem, lady Regowara schowała się za tron i chwyciła za amulet, który nosiła na szyi. – Chyba oszalałaś, że przychodzisz tutaj. No cóż, chyba to samo lekarstwo posłuży wam obojgu. Hostenie...

– Nie! – krzyknął Halphemos. – Ona nie brała w tym udziału!

Próbował wyrwać się strażnikom. Z trudem przytrzymali go, ale Ilna zauważyła, że żaden go nie uderzył.

– Halphemosie, bądź cicho – powiedziała mu. – Ja się tym zajmę. Dość już narobiłeś kłopotów.

– Ona jest zupełnie niewinna! – wrzasnął Halphemos do barona. – Jeśli ją skrzywdzisz, to...

Tylko bogowie wiedzieli, co chciał powiedzieć. Pewnie rzucić jakieś czeze pogróżki, które jeszcze bardziej pogorszyłyby sytuację. Stała przed nim i napięła nitki przędzy.

– Stój i milcz, dopóki nie pozwolę ci mówić! – rozkazała.

Była wściekła na siebie i na ten niesprawiedliwy świat. Chłopiec działał w dobrej wierze i wszystkie kłopoty, jakich im narobił, wypływały z dobrych chęci. To nie w porządku, że ktoś tak niewinny jak Halphemos mógł wyrządzić tyle szkody!

Żołnierze cofnęli się, słysząc jej słowa. Kiedy znów odwróciła się do Robilarda, zasłonił twarz rękami. Ilna prychnęła i rzuciła nitkę przędzy na podium.

– Baronie – powiedziała – przyszedłam tu po sprawiedliwość, nie po litość. Oddaj Halphemosa pod moją opiekę, a zapłacę każdą rozsądną cenę.

Przemknęło jej przez myśl, że zapatrywania jej i barona na to, co jest „rozsądną ceną”, mogą się różnić. No cóż, jeśli będą różnić się za bardzo, to baron szybko się dowie, co ona o tym myśli.

Robillard opuścił ręce. Trząśnięty z wściekłości – ponieważ przestraszył się i dlatego, że ta dziewczyna widziała jego strach.

– W porządku, tkaczko! – powiedział. – Przyszedłeś tu zaproponować mi coś za uwolnienie twojego przyjaciela. Dziś wieczorem zamierzam uczcić rocznicę moich rządów jako barona Trzeciej Atary. Idź do mojego przodka, Eldera Romiego, i poproś go, żeby zaszczycił mnie swoją obecnością. Jeśli przyjdzie, uwolnię...

Wskazał na Halphemosa, oniemiałego i skamieniałego między gwardzistami.

– ...tego, który zamierzał użyć przeciwko mnie swoich czarów. W przeciwnym razie dołączysz do swojego przyjaciela, jeżeli nie zdążysz do tego czasu opuścić mojego królestwa.

– Dobrze – powiedziała Ilna.

Była wściekła. Na Robilarda, na Halphemosa, a także na siebie z powodu tego, co przyrzekła zrobić. Nie bała się śmierci, ale wiedziała, że spełniając polecenie barona, będzie musiała zbliżyć się do granicy dobra i zła, której poprzysięgła unikać.

– Będę potrzebowała przewodnika.

Hosten z niepokojem spojrzał na barona.

– Milordzie – rzekł. – Czy mówiłeś poważnie, że?...

Robillard obrzucił go władczy spojrzeniem.

– Zrób to, lordzie Hostenie! – rzekł. – Chyba że się boisz?

Ilna nikłym uśmiechem skwitowała bufonadę młodzieńca. Uśmierzył jej własny lęk. Może źle postąpi, ale obiecała to zrobić. Tak więc to koniec dyskusji.

Hosten zacisnął wargi. Zwrócił się do najbliższego gwardzisty, mówiąc bezbarwnym tonem:

– Wy czterej, pójdziecie ze mną. – Podeszedł do Ilny, skłonił się i powiedział: – Pani Ilno os-Kenset? Zaprowadzimy cię do grobowca Eldera Romiego.

– Tak – przytaknęła. Ignorując resztę gapiącego się i szepczącego tłumu, dotknęła czoła Halphemosa i powiedziała: – Teraz możesz się zbudzić, Alosie. Nie sprawiaj już żadnych kłopotów. Wróć.

Zrobiła dwa kroki w kierunku drzwi, po czym przystanąła i odwróciła się.

– Przysięgam na mój honor – powiedziała do Halphemosa i pozostałych. – Wróć tu.

Cashel wyszedł na biegnącą wokół pałacu alejkę. W komnacie za jego plecami Zahag chrząkał i sarkał na wczesną porę. W świetle, gdzie jedzenie przynosiła służba, małpolud nie widział potrzeby wstawania przed południem.

Cashel wcale go do tego nie zmuszał, lecz Zahag nie był pewny swego bezpieczeństwa na Pandah, jeśli nie znajdował się w zasięgu wzroku Cashela lub Arii. Może miał rację, ale Cashel nie zamierzał zmieniać swoich planów ze względu na bezpieczeństwo małpoluda.

Silya siedziała ze skrzyżowanymi nogami na poręczy, wciśnięta między pędy winorośli. Pokazując się w publicznym miejscu, ubrała lekką jedwabną tunikę, a nie tę z grubego brokatu, w której Cashel ujrzał ją, wróciwszy na dwór króla Folquina. Przystanął.

– Nie mówiłem, że chcę się z tobą widzieć – ostrzegł.

Silya spokojnie rozłożyła ręce.

– Rozumiem, panie Cashelu – odparła. – Chcesz się jednak spotkać z moim bratem, którego nie

mam powodu lubić. Mogę udzielić ci paru dobrych rad. Nie stracisz czasu, gdyż twój statek nie będzie gotowy wcześniej jak po południu. Oczywiście, jeśli się obawiasz...

Ponownie rozłożyła ramiona. Chociaż nie była już młoda, mówiąc to, z niezwykłą zręcznością balansowała na wąskiej poręczy. Cashel uśmiechnął się, wyobrażając ją sobie jako strzyżyka. Te bezczelne, kłótlive ptaszyska często używają swych mocnych dziobów, by rozbijać jajka sąsiadów...

Jednak Cashel nie był jajkiem i nie bał się Silyi ani nikogo na świecie.

– Co chcesz mi pokazać? – zapytał, trzymając pałkę u boku, tak by nie wyglądało na to, że się nią zasłania.

– Zejdź do mojej kwatery – odparła Silya. – Nie obawiaj się. Dowiodłeś, że łatwo możesz z niej wyjść, a ja nie wzniosłam nowej ściany, tylko zasłoniłam dziurę matami.

– Nie obawiam się – warknął Cashel.

Przeskoczył przez poręcz, czując się jak niezgrabny jeź w porównaniu ze zwinną jak ptak czarodziejką. Mimo to jeże docierają tam, dokąd chcą dojść. On też dojdzie.

Pałacowi kucharze już krzatali się przy stołach za głównym budynkiem. Stewardzi targowali się z dostawcami, głównie kobietami, które przyniosły owoce, warzywa i kosze z rybami.

Cashel nie zauważył, aby na Pandah jadano mięso. Przynajmniej tutaj, w pałacu, z pewnością nie było to spowodowane ceną.

Zszedł za Silyą do podziemi. Czarodziejka nie przyniosła latarni, lecz z odgradzonych przepierzeniem pomieszczeń w kącie piwnicy sączyło się światło. Było dostatecznie jasne, by Cashel zdołał dojrzeć kolumny. Czasem z pluskiem wchodził w niewidoczne kałuże, lecz nawet przy dziennym świetle nie nakładałby drogi, żeby ominąć takie drobne przeszkody. Błoto i gorsze rzeczy były częścią życia na wsi, więc Cashel nawet ich nie zauważał.

– Hej! – usłyszał z tyłu głos Zahaga. – Zaczekaj na mnie!

Silya poprzestawiała przedmioty w komnacie, w której przetrzymywała Cashela – tam, gdzie może pomogła mu wrócić do sił. Nie przejmował się nią, ale wiedział, że po powrocie na dwór króla Folquina był zmęczony jak jeszcze nigdy w życiu.

Teraz na kamiennej płycie, na której przedtem leżał, stała duża taca pokryta kolorowym piaskiem. Na każdej z czterech kolumn podtrzymujących sklepienie wisiała potrójna lampa. Jak powiedziała Silya, zwalona ściana została zastąpiona matą splecioną z trawy. Kiedy Cashel wszedł do środka, czarodziejka zasłoniła nią dziurę w ścianie.

– Mogę zostawić otwarty, jeśli?... – nie dokończyła.

– Nie – uciął Cashel. Wiedział, że Silya wciąż wspomina o strachu, żeby nie wycofał się, co powinien był zrobić. Tak czy inaczej, dopięła swego.

– Bardzo dobrze – powiedziała. Zrzuciła tunikę, po czym wzięła kościaną grzechotkę. – Rzucę zaklęcia, które tu napisałam.

Wolną lewą ręką wskazała na symbole, które usypała białym piaskiem na brązowej posadzce. Cashel potrafił odczytać tylko swoje imię, a i to z trudem. Garric mówił mu o różnicach między Dawnym Pismem a współczesnym, ale dla Cashela oba były tylko rzędami kurzych śladów.

– Od czasu do czasu przerwę i zapytam cię, co widzisz. Opowiesz mi własnymi słowami, a potem znów zacznę czytać.

– Dlaczego miałabyś to robić? – rzekł Cashel. Płonące lampy wypełniały powietrze ciepłym odorem, który uznał za niepokojący. – Albo ja?

– To obroni cię przed czarami mojego brata – odparła Silya. – On spróbuje podporządkować cię swojej woli.

Cashel skrzywił się. Silya powiedziała:

– Możesz w każdej chwili odejść. Może nie będziesz potrzebował mojej pomocy. Jednak nie znam przyszłości. I nie wiem też, czego będziesz potrzebował, kiedy dotrzesz do Valles.

– Rób swoje – mruknął Cashel. – Będę cię obserwował.

Silya machnęła grzechotką. Wysuszony groch zagrzechotał we wnętrzu czaszki.

– *Barouch ino anoch* – powiedziała czarownica. Przy każdym słowie wskazywała grzechotką następny wypisany piaskiem symbol. – *Uoe aeanthoukoia...*

W komnacie zrobiło się cieplej. Ten skwar nie powinien przeszkadzać młodzieńcowi, który orał w tak upalne lata, że drżało powietrze, a jednak lekko zakręciło mu się w głowie. Zapewne wciąż był jeszcze zmęczony po powrocie na Pandah z... no, stamtąd, gdzie był.

– *Arthaemmiem* – powiedziała Silya. Powoli krążyła wokół długiego stołu, nie patrząc na Cashela. – *Thar barouch maritha*.

Piasek na środku tacy uniósł się i zawirował, jakby podniesiony przez niewyczuwalny podmuch wiatru. Wirujące ziarna ułożyły się w wizerunek twarzy. Gdy czarodziejka mamrotała słowa zaklęcia, piaskowe oblicze stawało się coraz wyraźniejsze, aż w końcu Cashel zdołał je rozpoznać.

– Garric! – zawołał ze zdumieniem.

– Cashelu os-Kenset – powiedziała zduszonym głosem Silya. – Czy ta postać przed tobą to twój przyjaciel?

– Tak – odparł. – Gdzie on teraz jest?

Wirujący piasek osypał się w kopczyk i wygładził jak powierzchnia wlanej do garnka wody. Czarodziejka znów zaczęła mamrotać zaklęcia.

– *Uoea eanthoukoia, arthaemmiem...*

Cashelowi było bardzo gorąco, chociaż wcale się nie pocił. Potarł kciukiem o suche drzewce swojej pałki, która przypominała mu o rzeczywistości i dawnym życiu w Barca's Hamlet.

Piasek znowu się uniósł, tym razem tworząc twarz Tenoctris. Lśniące w świetle lamp kryształki doskonale imitowały błysk w oczach starej czarodziejki, kiedy patrzyła na Cashela.

– Cashelu os-Kenset – powiedziała Silya. – Czy powierzyłbyś swój los umiejętności tej, którą tu widzisz?

– Tak – powiedział Cashel. Był oszołomiony, ale wiedział, co mówi. – Ufam jej. Chciałbym, żeby tu teraz była.

Piasek opadł. Powierzchnia stołu zaczęła się poruszać. Symbole wiły się, nie tracąc swego kształtu. Białe znaki wirowały wokół krawędzi stołu. Zamiast chodzić wokół stołu, Silya wciąż nuciła i trącała grzechotką przesuwaną się obok niej znaki.

– *Thar barouch maritha...* – powiedziała.

Płomienie lamp zakołysały się, gdy poruszyła się mata za plecami Cashela. Nie obejrzał się. Słyszał zaklęcia Silyi, choć te słowa już nie padały z jej ust. Grzechotka z psiej czaszki poruszała się w górę i w dół, w pozornej ciszy.

Na powierzchni stołu powstawał nowy obraz. Jasne włosy, spływające jak płynny miód, roześmiane niebieskie oczy, wysokie czoło i usta, z których płynął najśłodszy na świecie głos.

Cashel chciał wyszeptać imię Shariny.

– Cashelu os-Kenset – powiedziała Silya. – Czy przysięgniesz oddać życie za postać, którą...

Zahag, skrzecząc, wskoczył na stół. Taca była szersza od kamiennego blatu i wywróciła się, rozsypując piasek po podłodze. Silya wrzasnęła i zamierzyła się grzechotką na Zahaga. Małpolud, wściekle warcząc, skoczył i złapał się uchwyty lampy na przeciwległej ścianie. Cashel poczuł przyjemny chłód. Znowu rozjaśniło mu się w oczach. Taca upadła tak, że jednym bokiem opierała się o podłogę, a drugim o kamienny postument. Kolorowy piasek jeszcze przesuwał się, przybierając

naturalny kształt. Szybko rosnący kopczyk dotknął stóp Cashela.

Na blacie stołu leżał, wcześniej zakryty przez tacę, namalowany na kawałku jedwabiu obraz. Spadająca taca rozerwała materiał, lecz Cashel rozpoznał podobiznę czarownicy Silyi.

– Bądź posłuszny tej postaci! – wrzasnęła rozpaczliwie Silya. – Bądź mi posłuszny, Cashelu os-Kenset!

– Ostrzegalem cię! – krzyknął Cashel i pchnął pałką jak włócznią, nie w Silyę, lecz w jej portret na jedwabiu.

Żelazne okucie pałki uderzyło o twardy kamień i ześlizgnęło się po nim, krzesząc skry. Cienki materiał buchnął nienaturalnie żywym ogniem. Czerwone płomienie wiły się i skręcały, pochłaniając jedwab.

Cashel napiął mięśnie, mocniej chwytając pałkę. W tej komnacie nie było dość miejsca, żeby mógł wprawnie zawinąć młyńca, lecz poparte całą jego siłą pchnięcie twardym hikorowym drzewcem mogło zmiażdżyć każdego przeciwnika, jakiego spodziewał się tu spotkać. Ręce mrowiły go po uderzeniu w twardy granit, lecz mocno dzierżył laskę.

Zahag wrzasnął:

– Tam niczego nie było! Tego, co widziałeś, wcale tutaj nie było, wodzu!

Silya wrzeszczała piskliwie. Wokół niej pojawił się czarny opar, nie w powietrzu, lecz w samej strukturze rzeczywistości. Cashel widział zarówno czarownicę, jak i ścianę za nią, lecz patrzył na to jakby dwiema parami oczu. Z ciemności wyciągnęły się macki czerwonego światła. Pochwyciły Silyę jak ramiona ośmiornicy otwierającej muszlę. W miejscach, gdzie jej dotknęły, ciało Silyi poczerniało i zwiędło.

– Powiedz, że będziesz... – zawodziła Silya, jak z niezmierzonej dali, po czym zamilkła. Komnatę oświetlały tylko drżące płomyki lamp. Ta, z której zeskoczył małpolud, wciąż kołysała się, rozpryskując olej na kamienną podłogę.

Ogień całkowicie pochłoniął jedwabny portret, z którego nie pozostał nawet popiół. Mata, którą Zahag oderwał, wchodząc do komnaty, zwisała krzywo na pozostałych zaczepach.

– Wynośmy się stąd – wymamrotał Cashel. Dostrzegł błysk dziennego światła przedzierający się przez las kolumn. – Może ten statek będzie gotowy prędzej, niż zapowiadali.

– Co się z nią stało, wodzu? – zapytał zgarbiony małpolud, krocząc przez podziemie i trzymając się blisko Cashela. Już się uspokoił. – Zrobiłeś jej coś?

– Nie sędzę – zaprzeczył Cashel. – Nie mam pojęcia, co się stało.

Przystanął tuż przed drzwiami na zewnątrz i uściśnął wąską dłoń małpoluda.

– Zahagu? – rzekł. – Dziękuję.

Cashel nie pamiętał, by słoneczny blask kiedykolwiek ucieszył go tak bardzo jak teraz, kiedy we dwóch wyszli z podziemi.

Sharina poczuła przedziwne ciepło, które przepłynęło przez jej ciało, budząc je z lodowatego letargu, w jakim trwała, od kiedy dłoń demona porwała ją z rzeczywistego świata. Obróciła się. Wąskie okno po prawej mknęło ku niej, rosnąc tak, aby stać się całym jej otoczeniem.

Znajdowała się w komnacie z białego marmuru, bez okien. Przed nią stała plansza zastawiona figurkami z różnokolorowego turmalinu. Nawet teraz, kiedy Sharina była zupełnie przytomna, nie potrafiła zliczyć wszystkich figur.

Królowa stała po drugiej stronie planszy. Jej uśmiech był doskonały i zimny jak ona cała.

– Dobry wieczór, Sharino – powiedziała. Jej głos brzmiał tak, jak Sharina pamiętała go z tamtego świata uludy, w którym była przetrzymywana. Niski kontralt, skrywający uczucia jak atlasowa

draperia drzwi do izby tortur. – Czas, żebyś mi pomogła. Bez trudu odzyskam moją pozycję i uporam się z wrogami...

W ścianach komnaty były tylko maleńkie skazy. W białym kamieniu tkwiły słabe szare plamki, choć jego powierzchnia była wygładzona tak idealnie, że światło odbijało się od niego jak od drogich kamieni.

Królowa nieznacznie kiwnęła wskazującym palcem. Ściany, podłoga i sufit pociemniały, a potem stały się tak przejrzyste, jak nieskazitelny diament. Sharina westchnęła. Stała na niewidzialnym wzniesieniu, dwanaście metrów nad falującą powierzchnią ultramarynowego morza.

Razem z królową spoglądały na nieforemną tratwę z drzew tak splątanych, jak powoli dryfujące z południowych mórz wodorosty. Wprawdzie było w niej więcej dziur niż drewna, lecz pnie drzew pokrywały zbyt wielką powierzchnię, by Sharina mogła ogarnąć ją wzrokiem – nawet z takiej wysokości.

Płynące drzewa były połączone lianami i splątanymi koronami. W niektórych miejscach tworzyły osobne kępy, które wraz z innymi, podobnymi do nich, składały się na wielką tratwę.

Jakby patrzyła na wodę rozlewającą się w bruzdach zaoranego pola. Poszczególne strumyczki mogą płynąć w rozmaite strony, lecz całość tworzy jedną tafelę wody. Wszystkie porusza ten sam prąd i zbiegają ku temu samemu przeznaczeniu.

Na tratwie płynęły niezliczone rzesze Włochatych Ludzi. Gramolili się na konary, niańczyli młode na pniach i przez dzielące ich wstęgi wody wrzeszczeli na siebie gniewnie jak dwuletnie dzieci.

Królowa milczała. Sharina nawet w myślach nie chciała nazywać tych stworzeń Małpami, choć ich poczynania na tej tratwie sprawiały, że nadana im przez myśliwych nazwa wydawała się jak najbardziej właściwa.

Włochaci jedli owoce, orzechy i bulwy, które zabrali ze sobą. Niektórzy zrywali owoce z drzew tworzących część tratwy, chociaż po kilkudniowej powolnej podróży te zapasy były już na wyczerpaniu.

– Co oni piją? – zapytała Sharina. Zdziwiona, prawie zapomniała, do kogo mówi.

– Mają tam drzewa, które magazynują wodę w swoich pniach – odparła królowa. – Chciałam, by ta podróż odbyła się jesienią, kiedy mogłyby wysysać deszczówkę ze swoich futer, ale to też wystarczy.

Uśmiech, który posłała Sharinie, mógłby zmrozić ognisko.

– Zanim dopłyną do Valles, pragnienie tak im dokuczy, że będą gotowi pić krew – dodała. – To też mi odpowiada.

Od czasu do czasu któryś z Włochatych Ludzi wymieniał obelgi z krążącą nad nimi mewą. Sharina i królowa pozostali niewidoczni dla patrzących z tratwy, chociaż sami mogli dostrzec wszystko na wiele mil wokół.

Sharina wyobraziła sobie, jak tratwa z pasażerami przybija do brzegu Ornifal. Wiedziała, jak wściekle atakują te stworzenia, i mogła przewidzieć, jaki będzie rezultat takiego ataku na zaskoczonych mieszkańców Valles. W końcu osobiście pogrzebała ogryzione kości towarzysza Hanno.

Z tym obrazem w myślach Sharina rzuciła się do gardła królowej. Zanim jednak zdążyła dać sygnał swoim mięśniom, całe jej ciało już zmieniło się w kamień. Znow znalazła się w marmurowej komnacie, gdzie królowa z nieodłącznym nikłym uśmiezkiem dotykała palcem jednej z turmalinowych figurek.

– Jak widzisz – powiedziała gładko i uprzejmie – przygotowałam niespodziankę dla moich

nieprzyjaciół. Jest jednak inny problem. Królewski czarodziej szukał sługi, a zamiast niego przywołał pana. A tego nie będzie łatwo pokonać.

Oderwała palec od figurki. Sharina odzyskała swobodę ruchów, lecz tylko rozmasowała ramiona, zamiast podejmować następny bezskuteczny atak. Skóra mrowiła ją i swędziała jak wtedy, gdy była dzieckiem i piorun uderzył w pobliskie drzewo. Uśmiech królowej poszerzył się niczym koci pazur wysuwający się z opuszki.

– Pomożesz mi, Sharino – powiedziała. – Zaprowadzisz mnie do Tronu Malkara, który twój przodek ukrył tak, że tylko jego potomkowie mogą go odnaleźć.

– Prędzej umrę, zanim ci pomogę – odparła cicho Sharina. Palcami masowała mięśnie przedramion.

Przez chwilę w stojącej po drugiej stronie planszy postaci zaszła dziwna zmiana. Idealnie piękna twarz królowej znikła, a na jej miejscu pojawiła się szczerząca zęby nieludzka maska. Ten obraz znikł równie gwałtownie jak odbicie słońca w białym skrzydle mewy. Wszystko wyglądało tak samo jak przedtem i Sharina ledwie mogła uwierzyć w to, co widziała.

– Mogłabym sprawić, że błagałabyś mnie o śmierć, Sharino – powiedziała królowa słodkim jak miód głosem. – Zamierzam jednak użyć innego sposobu. Mimo to zrobisz to, czego od ciebie żądam, możesz być tego pewna.

Sharina poczuła przenikliwy chłód. Biała komnata znikła, a ona znów stała w niszy pomieszczenia o wąskich oknach, z nikłym zainteresowaniem obserwując przesuwane się w oddali sceny.

Plansza pozostała za szóstym oknem, lecz ten pokój był już pusty. Jednak Sharina raz po raz przypominała sobie groźny uśmiech królowej.

– Słyszałem, jak ludzie mówili, że jedyna różnica między regularnym wojskiem a Krwawymi Orłami – rzekł pogardliwie Attaper do Garrica, gdy jechali do arsenału morskiego na spotkanie z wysłannikiem admirała Nitkera – polega na tym, że my mamy lepszych oficerów.

Setka żołnierzy z regimentu Harkera, wchodzącego w skład zawodowej armii Ornifal, stała wokół swego dowódcy, Piora bor-Piriala. Sąsiednie przystanie, zwykle wykorzystywane przez okręty przywożące zapasy, których z takich czy innych względów nie można było pomieścić w ogromnym ceglany Arsenalu, były teraz puste. Wszystkie statki, które mogły podnieść żagle, zrobiły to, gdy doszło do zamieszek, a Nitker utrzymywał blokadę Valles ze swojej bazy na wysepce Eshkol, niedaleko wyspy.

Attaper splunął, o włos chybiając czubek wypastowanego buta.

– To bzdura – rzekł obojętnie. – Zgadzam się jednak, że lepsi oficerowie bardzo by im się przydali.

Uśmiechnięta postać w podświadomości Garrica wymamrotała:

– *Dobrzy oficerowie i staranne przeszkolenie są znacznie ważniejsze od liczebności oddziałów, chłopcze. Poza tym zwerbowanie rekrutów na Haft czy w północnych okręgach Ornifal zajmie ci sporo czasu.*

Garric i ośmiu eskortujących go Krwawych Orłów jechali konno, lecz te konie były tylko środkiem transportu. Tak jak samo jak Garric, królewscy gwardziści najlepiej czuli się pieszo. Militarną siłą Ornifal zawsze była ciężkozbrojna piechota. Wprawdzie wspierała ją szlachta na koniach, lecz kiedy dochodziło do bitwy, prawdziwym wsparciem na flankach były oddziały najemników, konnicy lub lekkiej piechoty, które mogły powstrzymać szarżę kawalerii wroga.

Rzeka Beltis w tym miejscu rozlewała się najszerzej. Drugi brzeg był ledwie widoczny przez

mgłą wysysaną z powierzchni wody przez popołudniowe słońce. Statek, który stał na końcu przystani, w odległości strzały z łuku, był triemą wyposażoną w prawie dwieście wiosł w trzech rzędach. Kilkudziesięciu wiosłarzy starało się utrzymać pod prąd jej zakończony ostrogą z brązu dziób.

Od rufy okrętu odbiła szalupa z siedmioma osobami, które zeszły do niej po sznurowej drabince. Zza relingu na rufie oficerowie w czerwonych płaszczach wraz z odpoczywającymi wiosłarzami obserwowali przebieg wydarzeń.

– Zaraz tu będą – mruknął Garric. Chwycił przedni łęk siodła i przerzucił prawą nogę przez tylny, po czym z ulgą zeskoczył na ziemię. Żołnierze Krwawych Orłów przytrzymali wierzchowce, podczas gdy Garric z sześcioma towarzyszącymi mu osobami pomaszerowali po molo na spotkanie nadpływającej łodzi.

Maszerując w tempie przyjętym przez żołnierzy falangi z Haft w czasach Dawnego Królestwa, Garric z rozbawieniem zauważył, że po każdym dwóch krokach wysuwa się odrobinę przed swoją eskortę. Attaper zaklął pod nosem, a potem ofuknął swoich ludzi:

– Trzymać krok, niech was Siostra!

Garric umówił się na to spotkanie za pośrednictwem Piora, wciąż zachowującego ze swoimi regularnymi oddziałami neutralność w Arsenale. Pior chciałby widzieć się w roli jęczyczka u wagi, a może nawet kreatora królów. Nie był ani jednym, ani drugim. Jak powiedział Attaper, regularne oddziały, nawet jeśli miały jakąś wartość militarną, to z pewnością nie stanowiły żadnego zagrożenia dla Garrica i jego nowego rządu. Waldron mógł je rozbić lub ignorować, wedle uznania Garrica.

Sześciu towarzyszących przedstawicielowi Nitkera marynarzy sprawiało znacznie korzystniejsze wrażenie. Nosili hełmy z brązu i napierśniki z usztywnionego lnu, które mogły powstrzymać cięcie mieczem, a nawet wystrzeloną z daleka strzałę. Czterej z nich wiosłowali pomimo noszonych zbroi, a pozostali dwaj trzymali opartą o burty długą broń, piki bardziej przypominające bosaki abordażowe niż włócznie przeznaczone do rzucania.

Kiedy szalupa dopływała do końca pomostu, żołnierze Krwawych Orłów mierzyli wzrokiem potencjalnych przeciwników, a król Carus robił to samo oczami Garrica.

– *Potrzeba nam więcej takich jak oni* – szepnął dawny władca. – *Spróbowałiby cię porwać, gdyby myśleli, że im się to uda...*

– Nie uda się – mruknął Garric.

– Słucham, panie? – zdziwił się Attaper.

Garric nie zdawał sobie sprawy z tego, że powiedział to głośno.

– Zaczekajcie tutaj – rzekł zamiast wyjaśnienia.

Dwoma krokami wysunął się przed eskortę i czekał, z ramionami splecionymi na piersiach, aż ludzie Nitkera wejdą po kamiennych schodach wiodących od lustra wody na molo.

Poseł był łysawym mężczyzną w średnim wieku, który wyglądał tak, jakby lepiej czuł się w dworskim stroju niż w pancerzu z żelaznych łusek, który włożył na to spotkanie. Fakt, że był w zbroi, podkreślał wagę ostrzeżenia Carusa. Attaper też zdał sobie z tego sprawę i rzekł:

– Panie, bądź ostrożny!

Garric wy dobył swój długi miecz. Marynarze natychmiast zwarli szyk, nastawiając swoje śmiertelne piki.

– Co to ma znaczyć? – zawołał zza ich pleców wysłannik. – To miały być pokojowe rozmowy!

Garric rzucił swój miecz wysoko w powietrze. Oksydowana stal zamigotała niczym śmiertelny klejnot w popołudniowym słońcu. Garric zerknął w górę, wybrał właściwy moment i podniósł rękę. Rękojeść miecza sama wpadła mu w dłoń. Ostrze migotało jeszcze chwilę, cicho jęcząc, po czym znieruchomiało. Garric wepchnął miecz z powrotem do pochwy i uśmiechnął się do

marynarzy.

– Nawet o tym nie myślcie – powiedział leniwie do ich oficera. Cień starego króla serdecznie zaśmiewał się w jego duszy.

Ta sztuczka była specjalnością Carusa, chociaż Garric i Cashel ćwiczyli podobne popis pałkami, kiedy razem pilnowali stad w wiosce. Miecz był krótszy i lżejszy od laski, ale wirował szybciej, a ostrze dodawało element niebezpieczeństwa do ewentualnej kompromitacji.

Garric nie zamierzał się skompromitować, a pokaz takiej zręczności zrobił większe wrażenie od otwartych gróźb, dzięki czemu te rokowania miały naprawdę przebiec pokojowo.

Podniósłszy dłonie na wysokość ramion i pokazując, że są puste, Garric rzekł:

– Powiedziano mi, że mam oczekiwać Matoesa bor-Mallimana. Ty jesteś lordem Matoesem?

Wysłannik powiedział coś ściszonego głosem do swojej eskorty. Marynarze rozstąpili się tak, że stanął twarzą w twarz z Garrikiem, zamiast zerkać zza zakutych w stal pleców swoich ludzi.

– Jestem kanclerz Matoes – powiedział, używając tytułu, który pominął Garric. – Diuk Nitker przysłał mnie, abym wysłuchał twoich propozycji sojuszu... hm... księżę Garricu.

Któryś z Krwawych Orłów mruknął coś z niesmakiem na temat bezczelności Nitkera. Garric wykrzywił usta w półuśmiechu. Admirał pewnie uważał, że okazuje skromność, nie domagając się tronu Wysp.

– Admirał Nitker wkroczył na scenę, sądząc, iż w Valles panuje polityczna próżnia – powiedział spokojnie Garric i ponownie skrzyżował ręce na piersi. – Było to postępowanie prawdziwego patrioty i ani ja, ani król, który mnie adoptował, nie możemy winić za nie admirała. Jednakże dla dobra Wysp, lordzie Matoes, admirał Nitker powinien niezwłocznie dowieść, że jest lojalnym poddanym króla Valence'a. W przeciwnym razie może jedynie być uznany za zdrajcę.

Royhas sugerował, że nowy rząd powinien reprezentować on lub Waldron, skoro Nitker przysłała posła, zamiast pojawić się osobiście. Uważali, że udział księcia Garrica w spotkaniu nada zbyt wysoką rangę przedstawicielowi admirała. Garric nie przejmował się rangą. On jako jedyny członek nowego rządu w pełni zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego Ornifal i wszystkim Wyspom, tak więc to on powinien spotkać się z posłem. Natomiast co do tego, że Matoes i Nitker uznają go za słabeusza, jeśli osobiście przybędzie na spotkanie... Garric i stary król uśmiechali się na samą myśl. Jakąkolwiek wieść zawiezie poseł i jego eskorta, wracając na Eshkol, to na pewno nie taką, że spotkali głupiego młokosa prosto z farmy.

Matoes wyszedł z kręgu marynarzy, roztrącając ich na boki. Najwidoczniej nie wziął pod uwagę swego grubego pancerza. Dowodzący piechotą morską oficer lekko zmarszczył brwi, po czym gestem kazał stanąć swoim ludziom w luźnym szyku. Wolałby, żeby poseł pozostał na swoim miejscu, ale nie mógł mu tego nakazać.

Matoes zatrzymał się o krok przed Garrikiem i bezwiednie dotknął bocznych rzemieni swego pancerza, już zbytecznego. Zbroja miała ochronić go, gdyby rozkazał swoim ludziom porwać Garrica. Nowy rząd niczego by nie zyskał, uprowadzając zwykłego urzędnika, jakim był kanclerz. Najwidoczniej Matoes nie był głupcem. Zamiast recytować nieznośnie długą listę tytułów i podkreślać boskie prawo Nitkera do tronu Władcy Wysp, powiedział:

– Eshkol – księstwo Eshkol, jeśli można tak rzec – z łatwością mogłoby utrzymać swoją niepodległość. Na Wyspach nie ma żadnych sił morskich, które mogłyby zmierzyć się z królewską flotą...

Garric uśmiechnął się. Poseł skrzywił się, gdy zdał sobie sprawę z tego, że mówiąc o statkach dowodzonych przez admirała Nitkera, użył dawnej nazwy.

– Chciałem powiedzieć „flotą” – podjął Matoes. – Możesz nie wierzyć, że księżę Nitker

z łatwością mógłby odebrać ci Ornifal, ale ty z pewnością nie zdołałbyś zająć Eshkolu z takimi siłami, jakimi dysponujesz. Oczywistym rozwiązaniem jest sojusz na równych prawach. Król Valence adoptował cię jako swego syna. Równie dobrze mógłby...

Matoes podniósł dłoń i przyjrzał się swoim doskonale utrzymanym paznokciom. Garric zauważył, że wysłannik kątem oka obserwuje, jak zostanie przyjęte jego następne oświadczenie.

– ...adoptować innego księcia i współdziedzica.

– A owca może nauczyć się latać, lordzie Matoes – rzekł uprzejmie Garric. – Jednak nie za życia admirała Nitkera ani za mojego.

Jeden z marynarzy parsknął śmiechem. Poseł obejrzał się z wściekłością, lecz zanim spojrzał im w twarz, jego ludzie już zdążyli przybrać obojętne miny.

– Admirał Nitker powinien podporządkować się woli króla – dodał Garric – nie dlatego, że w przeciwnym razie królestwo go zniszczy – choć niewątpliwie tak się stanie, jeśli wcześniej nie zniszczy go jeden z naszych wspólnych wrogów.

Matoes otworzył usta, by zaprotestować. Garric machnął lewą ręką, ucinając sprzeciw.

– Nitker powinien przyłączyć się do nowego rządu z tego samego powodu, z jakiego się zbuntował, lordzie Matoes. Wyspy stanęły w obliczu nieprzyjaciela groźniejszego niż jakikolwiek inny od czasu upadku Dawnego Królestwa. Wszyscy porządni ludzie, którzy walczą z chaosem, powinni połączyć swe siły, inaczej padniemy ofiarą zła.

Krążące nad tym mocno zanieczyszczonym ujściem rzeki Beltis mewy piszczały żałośnie. Na pomoście jedynym dźwiękiem był szcęk metalu, gdy eskortujący wysłanników zbrojni kręcili się niespokojnie. Matoes drapał się wskazującym palcem po policzku, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Admirał Nitker wyraźnie powiedział, że zaakceptuje co najmniej współregencję – rzekł w końcu. – Potrzebujesz jego i floty, żeby utrzymać się przy władzy.

– Lord Waldron również zdecydowanie twierdził, że powinien zasiąść na miejscu Valence'a – odparł spokojnie Garric. Tacy arystokraci jak Waldron i Matoes z pewnością dobrze się znali, jeszcze zanim wybuchły te zamieszki, więc poseł zrozumie, co Garric chciał przez to powiedzieć. – W końcu jednak zrozumiał, że niebezpieczeństwo grożące Wyspom jest zbyt poważne, aby je ignorować z powodu własnych ambicji. Waldron został dowódcą królewskiej armii, tak jak admirał Nitker pozostanie szanowanym głównodowodzącym królewskiej floty.

Na oddalonym o dwie przecznice placu towarzyszący Garricowi regiment oraz jego straż przyboczna rozpoczęły ćwiczenia z musztry. Każda kompania kolejno maszerowała, robiła w tył zwrot i wracała na miejsce, podczas gdy pozostałe stały w gotowości na wypadek, gdyby ludzie admirała próbowali jakiegoś wypadu.

Ten pomocniczy regiment sformowano ze zbrojnych przysłanych przez tuzin ziemian z północy, a dowodził nim jeden ze szlachetnie urodzonych przyjaciół Waldrona. Attaper przydzielił do każdego z takich regimentów podoficera Krwawych Orłów.

Szlachta, która przysłała – i opłacała – te oddziały, protestowała, czasem bardzo głośno, lecz w końcu przyjęła wyjaśnienia Waldrona, że takie połączenie i przeszkolenie oddziałów sformowanych z wielu różnych włości jest niezbędne. Garric ze wspomnień króla Carusa wiedział, że niedyscyplinowanie pospolitego ruszenia w przeszłości często bardzo źle wpływało na dyscyplinę królewskiej armii.

Waldron również doskonale o tym wiedział: ten stary wojownik był z królem Valence'em pod Kamiennym Murem na Sandrakkanie. Tam, kiedy omifalska milicja wpadła w popłoch, tylko niezłomna odwaga Krwawych Orłów i potworne okrucieństwo pewlańskich najemników, którzy wymordowali kobiety i dzieci w sandrakkańskim obozie, ocaliły tron władcy. Waldron nie zamierzał

pozwolić na łamanie dyscypliny w armii, którą on dowodził.

Matoes spojrział na ćwiczące oddziały. W pierwszej chwili Garric myślał, że poseł po prostu spogląda w dal, rozmyślając, lecz Matoes bacznie przypatrywał się żołnierzom.

– Przekażę twoją wiadomość – rzekł w końcu do Garrica. – Nie wiem, jak zareaguje admirał. Jest słusznie przeświadczony o tym, że ma silną pozycję... przynajmniej na razie.

– Lordzie Matoes – powiedział Garric, przeszywając wysłannika wzrokiem – nie tyle obchodzi mnie chwila obecna, ile perspektywy Królestwa Wyp. Jego przyszłość, a raczej ewentualny jej brak.

Odwrócił się i wskazał na ćwiczące oddziały.

– Powiedz admirałowi, że tu nie chodzi o zaszczyty dla niego, dla mnie czy kogokolwiek. Chodzi o przetrwanie cywilizacji. I bardzo szybko przekona się, że w tej sytuacji nie można pozostać neutralnym.

Matoes skinął głową.

– Powiem mu – obiecał. – Jednak obawiam się...

Zaśmiał się bez cienia wesołości.

– Wierzę ci, książę – rzekł – chociaż nie mam pojęcia dlaczego. I naprawdę nie mam zbyt wielkiej nadziei, że zdołam przekonać admirała, ale zrobię, co w mojej mocy.

Odwrócił się i skinął na dowódcę swojej eskorty. Poseł i czterej marynarze różnym krokiem ruszyli do łodzi. Pozostali dwaj zostali na miejscach, dopóki wysłannik nie dotarł do schodów.

– Wszyscy musimy próbować – szepnął Garric. Zachodzące słońce malowało krwawymi barwami zbierające się na wschodzie chmury.

– *I tym razem, chłopcze* – rzekł ukryty w jego umyśle król – *dokonamy tego.*

TRZECI DZIEŃ KUROPATWY (PÓŹNIEJ)

– Wysłałam dodatkowych wioślarzy, siedemdziesięciu ośmiu, zamiast pięćdziesięciu dwóch, panie Cashelu – powiedział król Folquin. Był wyraźnie zadowolony z siebie, a jednocześnie usprawiedliwiał się. – W ten sposób będziesz mógł zmieniać połowę załogi przy każdym obrocie klepsydry i z pełną szybkością popłynąć do Valles.

Cashel przyjrzał się smukłemu okrętowi i załodze złożonej z mężczyzn odzianych tylko w bryczesy lub przepaski na biodrach. Pomimo tłoku na pokładzie nie było większego zamieszania. Próbował wyobrazić sobie, że patrzy na owce, chcąc dokładnie policzyć marynarzy, ale poruszali się za szybko.

Pięćdziesiąt dwa czy siedemdziesiąt osiem – te liczby były pustymi słowami dla Cashela. Potrafił liczyć tylko do pięciu, a pilnując liczniejszych stad, robił nacięcia na kiju lub – co wołał – wrzucał do garnka kamyki albo suche ziarna grochu. Garric i Sharina potrafili policzyć wszystko, a Garric nawet pokazał Cashelowi, jak zmierzyć wysokość drzewa, patrząc na nie z ziemi.

– Tam nie będzie nawet tyle miejsca, żeby podrapać się w tyłek – zauważył Zahag, patrząc na triremę. Mówiąc, drapał się po zadku. – No cóż, myślę, że każdy sposób jest dobry, byle tylko jak najszybciej wrócić na stały ląd. – Obejrzał się na Cashela. – Oczywiście, wodzu, niektóre ze stałych lądów, na jakie mnie zabrałeś, też nie są godne wzmianki. Chyba nie zamierzasz tego powtórzyć, co?

– Nie – odparł Cashel. – Przynajmniej nie sądzę.

– Naprawdę wygląda na bardzo ciasny – orzekła księżniczka Aria, zmrużonymi oczyma przyglądając się okrętowi. Zwał się „Arbutus” i Cashel był skłonny wierzyć królowi, który oznajmił, że to najlepsza jednostka eskadry, która zwalczała piratów u wybrzeży Pandah. – Może...

– Pan Cashel chce jak najszybciej powrócić do Valles i dołączyć do Shariny, moja droga – przypomniał Folquin. W jego głosie zabrzmiała nutka desperacji. – Jestem pewien, że pogodzi się z niewielkimi niewygodami, aby szybko dotrzeć do Valles. Jeszcze przed świtem spotka się ze swoją ukochaną.

Cashel poczuł się bardzo nieswojo, słysząc, jak ktoś mówi o Sharinie jako o jego ukochanej. Oczywiście, była nią – z pewnością nie zamierzał zaprzeczać – lecz nie było to coś, o czym chciałby mówić. Mocniej ścisnął pałkę. Z pewnością nigdy nie mówił o tym Folquinowi. Czy cały świat wiedział o tym, co dla Cashela było najstarszym skrywanym uczuciem?

– Tak, doceniam to, jak dbasz o mojego przyjaciela Cashela, Wasza Wysokość – powiedziała Aria. Sądząc z tonu jej głosu, jej także nie podobała się wypowiedź Folquina.

Obróciła się do Cashela i dotknęła czubkami palców grzbietów jego dłoni.

– Cashelu – powiedziała. – Wiem, że uda ci się wszystko, czego postanowisz dokonać. Przyprowadziłeś mnie tutaj, gdzie jest moje miejsce. Nikt inny nie zdołałby tego zrobić.

Przez chwilę patrzyła w bok, jakby zbierała myśli. Potem, unikając jego spojrzenia, dodała:

– Mimo to modlę się do Pani o twoje zdrowie. I wiesz...

Spojrzała mu w oczy. Była drobna, lecz – na Duzi! – widywał łasice, które były łagodniejsze niż ta księżniczka, kiedy wpadła w złość.

– Wiesz, że zawsze będziesz mile widziany na Pandah – dokończyła. Popatrzyła na Folquina. –

Prawda, mój drogi?

– Tak, oczywiście – rzekł król, wpatrując się w ślad, jaki jego sandał pozostawiał na ceglach mola. – Ach, zdaje się, że kapitan jest już gotowy wypłynąć, panie Cashelu.

– Racja – rzekł Cashel, z ulgą odwracając się plecami do gospodarzy. Trap zatrzeszczał pod jego ciężarem, a statek otarł się obijaczami z włókien orzecha kokosowego o nabrzeże. – Niech Pani ma cię w swej opiece, księżniczko. I ciebie także, królu.

Załoga dziobu i rufy już rwała cumy. Kobziarz, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na rufie, wydobyl przenikliwy dźwięk ze swojego instrumentu i wszyscy wioślarze na prawej burcie końcami wiosel odepchnęli statek od nabrzeża.

Cashel rozejrzał się za jakimś miejscem do siedzenia. Na wąskim pokładzie, na którym cisnęli się dodatkowi wioślarze, z trudem można było znaleźć tyle miejsca, żeby stanąć. Zahag wskoczył na tylną stewę, która wyginała się nad sternikiem i kapitanem. Ten pierwszy krzyknął, zaskoczony, lecz kapitan uciszył go gniewnym warknięciem.

Kobziarz zaczął podawać tempo, zaciskając palcami trzciny ustnik. Wioślarze złapali rytm, początkowo krótkimi pociągnięciami wiosel, dopóki statek nie nabral rozędu.

Cashel pomachał postaciom na molo, a potem przecisnął się na rufę i stanął obok kobziarza. Tam też nie było miejsca, lecz – przytrzymując się ręką – zdołał usiąść na nadburciu i wygodnie wyprostować nogi.

Zahag wciąż spoglądał na brzeg.

– Chociaż taka chuda, Aria wcale nie jest zła – powiedział małpolud. – Jestem bardzo ciekawy, co też takiego ma Sharina, czego nie miała Aria.

Cashel zmierzył go wzrokiem.

– Nigdy więcej tak nie mów – rzekł – chyba że zamierzasz dopłynąć tam, dokąd chcesz dotrzeć. Rozumiesz?

Małpolud skulił się i niczym małż przywarł do stewy. Dziób triremy z sykiem ciął wodę.

– Możesz być pewien, że to się już nie powtórzy, wodzu – obiecał. – Już nigdy.

Księżniczka Aria jak zwykle miała na sobie powiewną białą suknię, dzięki umiejętnościom miejscowych szwaczek bardzo podobną do poprzedniej. To zabawne, z jakiej odległości Cashel widział w słońcu tę białą plamkę, wciąż machającą mu ręką.

Ilna przystanęła, by dokładniej przyjrzeć się miejscu, do którego zaprowadzili ją przewodnicy. Promienie popołudniowego słońca padały na kamienny portal osadzony w ścianie wzgórza. Uwidaczniały wyrazistym reliefem delikatne płaskorzeźby na absydzie, na pół zatarte od deszczów i wiatrów.

Jedna z sześciu podtrzymujących portal kolumn upadła na wiodącą do niego drogę. Ilna zmrużyła oczy, gdy zauważyła, że trzon złamał się, a nie rozpadł na kilka kamiennych walców.

– Cały ten grobowiec został wykuty w ścianie góry – powiedziała.

W dodatku bardzo umiejętnie. Nikt nie mógł zarzucić kamieniarzom Trzeciej Atary braku umiejętności.

– Tak, rzeczywiście – rzekł Hosten. W miarę zbliżania się do grobowca on i jego żołnierze stawali się coraz bardziej małomówni. – Elder Romi wybudował go przed swoją śmiercią.

– Grobowiec został ukończony w tym samym momencie, kiedy Elder Romi umarł – dodał jeden z żołnierzy. – Dokładnie tak, jak przepowiedział.

– To legenda – rzucił ostro Hosten. – Może tak było, a może nie. – Spojrzał na Ilnę i dodał: – Pani, o Elderze Romim zawsze krążyło wiele opowieści zarówno za jego życia, jak i po śmierci. Na

twoim miejscu niezwłocznie wróciłbym do Divers i poszukał statku.

– Jeśli w ogóle umarł – mruknął inny żołnierz. Tym razem Hosten nie skarcił zuchwalca.

– Ta podróż, chociaż krótka, nie była aż tak przyjemna, żebym chciała odbyć ją na próżno – rzekła Ilna, maszerując w kierunku wejścia. – Poza tym powiedziałam, że to zrobię.

Większość prawie czterokilometrowej odległości, dzielącej grobowiec od pałacu, przejechali w powozie. Hosten proponował jej wierzchowca, lecz Ilna jeszcze nigdy nie jechała konno i nie sądziła, by poprawił jej się humor, gdyby po drodze spadła z konia i zrobiła z siebie idiotkę.

Kilkaset ostatnich kroków przeszli pieszo. Trzęsienia ziemi podobne do tego, które przewróciło kolumnę, rozbiły drogę na bezładnie poprzecyłane bloki. Z trudem można było po nich przejść, a na pewno nie przejechałoby się tędy na koniu czy w powozie.

– To naturalna jaskinia – wyjaśnił Hosten, idąc kawałek za nią. – Dodano tylko ten portal. Ludzie mówią, że można nią dojść aż pod dno morza.

Z miejsca, gdzie stała Ilna, nie było widać Morza Wewnętrznego, lecz kiedy Hosten zwrócił jej na to uwagę, Ilna usłyszała szept bijących o brzeg fal. Nie przejmowała się tym, że jaskinia może ciągnąć się aż pod dno morza. Jeśli te kamienne ściany przetrwały tak długo, to mało prawdopodobne, by morze miało zalać je akurat teraz, żeby utopić Ilnę os-Kenset.

Uśmiechnęła się. Oczywiście, w ten sposób uwolniłaby się od zobowiązań wobec Halphemosa, Cashela i wszystkich tych ludzi, których kiedyś skrzywdziła. No cóż, jeśli Bogowie istnieją, to z pewnością nie pozwolą jej tak łatwo się wywinąć.

– Trumna była zimna jak lód – powiedział żołnierz. – Mówią, że...

– Dość tego! – warknął Hosten.

Ilna spojrzała na niego.

– Pozwól mu mówić – rzekła. – Legenda czy nie, chcę to usłyszeć.

Hosten odwrócił się do niej plecami, zaciskając i rozluźniając dłoń na rękojeści miecza, usiłując opanować niepokój i gniew.

– Mów – powiedziała Ilna do żołnierza.

Ten odchrząknął. Kosmyki gęstych, ogniście rudych włosów sterczały mu na wszystkie strony spod okapu zwykłego żelaznego hełmu.

– Tę historię... – zaczął – opowiedział mi mój wuj, kiedy byłem małym chłopcem. Pochowali Romiego w srebrnej trumnie.

– Nie miał żadnych przyjaciół – dorzucił inny żołnierz. – Miał tylko zastęp sług, lecz żaden z nich nie pochodził z Trzeciej Atary. Niektórzy twierdzą, że wcale nie byli ludźmi.

– W każdym razie jego trumna była zimna jak lód – ciągnął pierwszy żołnierz. – Zanieśli ją do jaskini, aż do samego jej końca, gdzie było jezioro. Wstawili trumnę do wody, a ta zaczęła wrzeć. Wtedy wszyscy uciekli z jaskini, a para ściagała ich aż do samego wylotu.

– A kto opowiedział tę historię twojemu wujowi? – spytał gniewnie Hosten. – Może jeden z tych służących, którzy nie byli ludźmi? To tylko legenda!

– Czy byłeś kiedyś w jaskini, lordzie Hostenie? – spytał ten, który mówił o sługach Romiego. – Na przykład jako chłopiec, sprawdzając swoją odwagę? Ja byłem.

Hosten odwrócił się twarzą do nich. Stał w popołudniowym słońcu, lecz jego skóra miała niezdrowy żółty odcień.

– Byłem tam raz. Doszedłem do pierwszego zakrętu, za którym dno zaczyna stromo schodzić w dół. Zgasła mi pochodnia. Uciekłem stamtąd, jakby Siostra deptała mi po piętach. – Spojrzał poważnie na Ilnę. – Nie idź tam, pani – rzekł. – Może naprawdę niczego tam nie ma, ale z pewnością najzimniejszy z dreszczy przebiega tam człowiekowi po plecach. Nie idź.

Ilna wzruszyła ramionami i powiedziała do żołnierza, który niósł latarnię:

– Jeśli ją zapalisz, zajmę się swoimi sprawami, a wy możecie wracać do domu.

Tamci spojrzeli na swojego dowódcę.

– Zaczekamy tu na ciebie, pani – rzekł Hosten. – Będziemy czekać aż do zachodu księżyca.

Dokładnie do północy.

Żołnierz odsunął osłonkę w mosiężnej obudowie lampy. Wsunął tam tłący się lont, który trzymał w rurce przy pasie, po czym delikatnie dmuchnął. W słońcu trudno było powiedzieć, czy latarnia zapaliła się czy nie. Wręczył ją Ilnie.

– A więc mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy – powiedziała Ilna, odwróciła się i przeszła trzy krótkie kroki dzielące ją od wejścia. Jeden z żołnierzy mruknął coś w odpowiedzi – a może mówił do swoich kompanów.

Tylko w pobliżu wejścia ściany jaskini zostały wygładzone ludzkimi rękami. I tylko tak daleko sięgało światło wpadające przez portal. Zdaniem Ilny, zapalona latarnia oświetlała niewiele więcej poza swoimi rogowymi szybkami. Oczy dziewczyny powoli oswajały się z ciemnością – może dlatego, że ostatnio kiepsko się odżywiała. Mimo to z łatwością odnajdywała drogę, wiedząc, że ta powinna wieść w dół. Nie natrafiła na żadne przeszkody, znalazła tylko skórzaną czapkę na ziemi mniej więcej dwadzieścia kroków od wyjścia. Ilna przypomniała sobie rozmowę żołnierzy o chłopcach wchodzących do grobowca Eldera Romiego, żeby sprawdzić swoją odwagę. Dziewczynki mają więcej rozumu i nie popełniają takich głupstw.

Uśmiechnęła się. A co ona tu robiła, jak nie dowodziła swojej odwagi baronowi Robillardowi?

W miarę jak szła, widziała coraz lepiej. Ściany jaskini były mokre. Pod wilgotnym nalotem była lita skała, rozpuszczony wapień, który ponownie skamieniał opalizującymi warstwami. Obie odbijały światło latarni, tworząc opalizującą mgiełkę, która ukrywała detale.

Tu i ówdzie w skale widniały wykute symbole i być może imiona. Przez prawie tysiąc lat mieszkańcy Trzeciej Atary usiłowali dowieść, że są odważniejsi od zmarłego – a zamiast tego dowodzili, że są głupcami o niszczycielskich skłonnościach. Nie, żeby ta czy którakolwiek inna wyspa miała monopol na głupców.

Ilna dotarła do zakrętu, o którym wspominał Hosten. Jaskinia skręcała w lewo. Skała była wyszlizgana od rąk młodzieńców, którzy przytrzymywali się jej, żeby spojrzeć zza rogu na strome zejście. Jednakże tutaj nie było znaków na ścianach – goście nie przebywali tutaj dostatecznie długo, żeby je pozostawić.

W oddali było słychać bulgotanie wody. Ilna poczuła podmuch napływającego z głębi powietrza. Czyżby ta jaskinia miała gdzieś drugie wejście?

Tak jak zapowiadał Hosten, było tu zimno, bardzo zimno. Zapewne przez te wilgotne ściany... a poza tym Ilnie przedtem też było zimno. Zaczęła schodzić w dół. Nie lubiła kamienia, a on jej. Poślizgnęła się na mokrej skale. Złapała równowagę, uderzając dłonią o załom korytarza.

Uśmiechnęła się. Niechęć – jej własna lub skierowana przeciwko niej – nie była dla niej niczym nowym. Tak czy siak, Ilna wcale się tym nie przejmowała.

Dno jaskini wciąż opadało. Ilna zastanawiała się, jak zdołali tędy zejść ci, którzy nieśli trumnę Eldera Romiego. Chociaż to zejście wcale nie było trudne, tylko strome.

Zaczęła dostrzegać jakieś kształty w ścianach, jakby stworzeń uwięzionych w płynnej skale. Wiedziała, że to nonsens: po prostu przebarwienia głębszej warstwy kamienia, zniekształcone światłem latarni przechodzącym przez lśniąca powierzchnię wody i półprzezroczystego wapienia. Gniewnie spoglądała na te kształty, gdyż ciągłe wpatrywanie się w ścieżkę mogłoby zostać uznane za przejaw strachu.

Roześmiała się. Kto miałby tak pomyśleć? Może żołnierze czekający na nią w słońcu, w innym świecie? Poklepała to, co byłoby rozdziawionym pyskiem potwora, gdyby cienie ukazywały prawdę.

Było jej tak zimno, że gdyby ten ziąb był rzeczywisty, to wilgoć na ścianach jaskini zmieniłaby się w szron. Coś igrało z umysłem Ilny, karmiąc go iluzjami. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, poczuła gniew, który ją rozgrzał. Taką samą rolę mogłaby spełnić modlitwa dla kogoś, kto bardziej od Ilny os-Kenset wierzył w Wielkich Bogów.

Latarnia zaczęła przygasać. Ilna przystanąła i obejrzała ją. Wyczuła, że w zbiorniku jest dość cennego oleju. Spróbowała poprawić palnik, najpierw przesuwając go w górę, a potem w dół. Lekko przechyliła latarnię na wypadek, gdyby knot nie był zanurzony w zbiorniku. Płomień przygasł do słabej błękitnej poświaty. Ilna postawiła latarnię tuż przy ścianie, której występ nie pozwolił ześlizgnąć się lampie w dół. Dalej poszła po omacku, wodząc palcami po ścianie.

Robiło się coraz zimniej. Ilna wydeła usta, z których wydobył się gniewny pomruk.

Bynajmniej nie zamierzała wykręcać się od odpowiedzialności za los tych dwóch czarodziei, którzy dla niej opuścili Ogród, lecz teraz wiedziała, że nie robi tego dla Halphemosa czy Cerixa. Podjęła się tego, ponieważ baron Robilard był chłopcem mającym więcej władzy niż rozsądku. W głębi serca nie był zły, ale wyzyskiwał swoich poddanych i pomiatał towarzyszami, ponieważ nikt go nie trzymał w ryzach, a sam nie miał ochoty się powstrzymywać. To samo próbował zrobić z Ilną os-Kenset. Kiedy ta historia się skończy, baron Robilard nauczy się czegoś. Chociaż być może nie zostanie mu wiele czasu na wykorzystanie tej wiedzy.

Ilna usłyszała plusk wody w pobliżu. Podejrzewała, że to krople ze sklepienia jaskini, wzmocnione echem. Miarowym krokiem szła dalej, wodząc dłonią po skale.

Znów zaczęła coś dostrzegać. Ściany jaskini jarzyły się błękitnym światłem podobnym do słabego blasku gwiazd. Może to światło paliło się cały czas, tylko jej oczy dopiero teraz oswoiły się z mrokiem?

Dno jaskini przestało opadać. Ilna zobaczyła przed sobą jeziorko. Woda omywała jego brzegi z cichym pluskiem, który Ilna wzięła za kapanie.

Dalej nie mogła już iść – jaskinia kończyła się tym jeziorkiem. Ilna podeszła na skraj wody i uklękła. Wstrząsały nią dreszcze. Ten ziąb był bardzo realny, chociaż para jej oddechu nie unosiła się w powietrzu, tak jak w zimne poranki w Barca's Hamlet.

Ilna skłoniła się, jakby przedstawiano ją komuś starszemu i szanowanemu. Spoglądając w toń, powiedziała:

– Panie Romi, jestem Ilna os-Kenset.

Woda była czysta jak diament i świeciła taką samą błękitną poświatą jak ściany jaskini. Z jej głębi unosiły się drżące pęcherzyki powietrza i pękały z trzaskiem, gdy wypływały na powierzchnię.

– Baron Robilard, który teraz włada tą wyspą – ciągnęła Ilna – przysłał mnie, abym zaprosiła cię na dzisiejszą kolację w jego pałacu. Twierdzi, że jest twoim potomkiem.

Podziemną komnatę wypełnił głośny śmiech. Ilna podniosła głowę. Nie zdołała dostrzec, skąd dochodził ten dźwięk. Basowy głos zapytał:

– Ilno os-Kenset, boisz się?

Ilna wstała.

– Obawiam się tylko samej siebie, panie – odparła zgodnie z prawdą. Chłód ustąpił i mięśnie przestały jej drżeć. – Obawiam się zła, jakie mogę wyrządzić w gniewie.

– Czy niczego innego się nie boisz, kobieto? – zapytał bezcielesny głos, z siłą gromu odbijając się wielogłosowym echem w głębi korytarzy.

W powietrzu wokół Ilny zaczęły formować się kształty. Niektóre były okropne, a inne jeszcze

straszniejsze. Światło ukazywało martwe tkanki i takie, które nigdy nie były żywe.

– Niczego innego, panie Romi – rzuciła Ilna w zapadającą ciemność. – Moje własne zło jest wystarczająco straszne.

Głos ryknął gromkim śmiechem, który zdawał się wypełniać cały świat. Woda w stawie falowała w spazmach przerażającej uciechy.

– Wróc do pałacu tego człowieka, który mieni się moim potomkiem, pani Ilno – rzekł głos. – Powiedz mu, że Elder Romi, który nie ma żadnego żywego potomka, dziś wieczorem zaszczyci go swoją obecnością na bankiecie. Czekał z niecierpliwością na tę rozrywkę.

Ilna ponownie skłoniła się.

– Przekażę mu tę wiadomość, panie – powiedziała.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku wyjścia. Zanim doszła do miejsca, w którym dno stromo wznosiło się w górę, głos dodał:

– Powiedz baronowi Robilardowi, że przyjdę o północy, Ilno. Mam nadzieję, że będzie gotowy na to spotkanie.

Ilna pomaszerowała w górę. Powrót okazał się łatwiejszy, niż przypuszczała, kiedy schodziła do jeziora.

Basowy śmiech towarzyszył jej aż do wyjścia. Ona też uśmiechała się przez cały czas.

Wąski otwór na prawo od Shariny ukazywał białą komnatę i planszę do gry, nic więcej. Pięć pozostałych okien, widocznych z miejsca, gdzie zastygła, pokazywało morze. Zachód malował obłoki różnym światłem, które krwawo odbijało się w wodzie. Sądząc po fragmentach widocznego nieba, przez okna było widać miejsca odległe od siebie o kilka kilometrów. Mimo to wszystkie ukazywały tratwę z płynącymi na niej Włochatymi. Daleko za nimi, na tle słońca, widać było zarys wyspy.

Flota złożona z pięćdziesięciu statków atakowała tratwę. Statkami poruszali wiosłarze, a żagle i maszty pozostawiono na lądzie, co zapewniało znacznie łatwiejsze manewrowanie. Na bukszprytach powiewały proporce z orłem, będącym godłem królewskiego rodu Ornifal, lecz przekreślone pasem czerwonego materiału.

Kiedy Sharina po raz pierwszy zobaczyła ze swego więzienia ten pływający las, Włochaci wędrowali po nim zupełnie swobodnie. Teraz po tej prowizorycznej tratwie krążyły zjawy, rozkazując prymitywnym stworzeniom gestami i spojrzeniami płonących jak węgle oczu. Zamiast z wrzaskiem pobiec w kierunku okrętów wojennych lub rzucić się do panicznej ucieczki, falanga Włochatych Ludzi uzbrojonych w prymitywny oręż przyczaiła się tuż za zewnętrznym parawanem liści.

Na wąskich pokładach statków stali łucznicy ze strzałami na cięciwach. Nie widzieli lepszego celu od lekko drżących liści, którymi mógł poruszać wiatr. Mimo to kilku z nich wypuściło strzały. Te uwięzły w gałęziach, ze stukiem wbiły się w pnie drzew, a jedna przypadkiem trafiła jednego Włochatego. Rezultat był tak mizerny, że łucznicy równie dobrze mogliby opróżnić swoje kołczany do morza. Wielu z nich celowało do zjaw, które zupełnie się nie kryjąc, chodziły po tratwie. Strzały wymierzone w te demoniczne postacie przelatywały przez nie jak przez powietrze. Jedynym ich skutkiem było to, że ślepia stworów jarzyły się jeszcze bardziej.

Okręt flagowy był potężną quinqueremą, która kołysała się na fali, gdyż jej kadłub musiał być dostatecznie wysoki, żeby pomieścić pięć rzędów wioseł. Stojący przy palenisku na pokładzie rufowym sygnaliści wysłali obłoczek purpurowego dymu, który mogła dojrzeć cała flota. Każda z tworzących ją triem miała na pokładzie dziobowym katapultę. Ramiona katapult śmignęły w powietrzu, posyłając dzbany z płonąca zawartością w gąszcz płynących drzew. Tu i ówdzie plama

oleju splamiła pień drzewa, usiłując zapalić grubą i moką korę. Częściej jednak dzbany wpadały w wodę i tonęły lub tworzyły nieszkodliwe opalizujące plamy. Artylerzyści za pomocą małych kołowrotów zaczęli napinać ramiona katapult, szykując broń do następnej salwy. Dowódca floty i zapewne każdy jej marynarz doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że będzie to daremny wysiłek. Z palnika uniósł się drugi pióropusz dymu, tym razem czerwonawobiały.

Kilku wioślarzy na pokładzie każdego okrętu było w stanie utrzymywać statki z daleka od tratwy. Na dany sygnał okręty ruszyły naprzód, zamierzając staranować tratwę. Za parawanem gałęzi i pożółkłego listowia Włochaci kulili się, a zjawy śmiały się bezgłośnie.

Flota mogła w nieskończoność umykać przed nadpływającą tratwą, ale znajdująca się za nimi wyspa – nie. Sharina nie rozpoznała jej konturów, teraz skrytych w mroku, gdy słońce schowało się za horyzontem. To, co kierowało Włochatymi, chciało, by tratwa jeszcze tej nocy przybiła do brzegu, a marynarze ze swej strony nie chcieli do tego dopuścić.

Jeden po drugim okręty uderzały w tratwę. Niektóre robiły to z pełną szybkością, usiłując rozerwać barierę drzew. Równie dobrze można by próbować wiosłować po lądzie. Większość uwięzła w konarach, które z początku ustąpiły, jak elastyczna pętla, kiedy wpada w nią królik. Kilka miało mniej szczęścia i wpadło na końce zrąbanych pni, które często mają średnicę większą od wzrostu dorosłego człowieka. Nawet wzmocnione taranami dzioby trirem trzasnęły przy zderzeniu i w kadłubach pojawiły się ogromne dziury. Morze wpadło w nie, zalewając ławki wioślarzy. Inni kapitanowie dobijali do tratwy tak ostrożnie, jakby wchodzili do doku. Statki powoli podchodziły do krawędzi tratwy, a podoficerowie nerwowo wydawali rozkazy wioślarzom. Oszczepnicy i łucznicy wyszli w gęstwinę liści, a za nimi ruszyli marynarze z toporami i piłami.

Gdy żołnierze patrzyli na falującą masę pni i konarów, marynarze usiłowali rozciąć tratwę. Sharina, widząc rozpościerającą się na wiele kilometrów powierzchnię tratwy, doskonale zdawała sobie sprawę z beznadziejności takiej próby. Podejmujący ją ludzie, nawet nie mogąc w pełni ocenić ogromu podjętego wysiłku, też wątpili w jego skuteczność.

Krażące na skraju tratwy zjawy wyciągnęły swe widmowe ramiona. Włochaci usłuchali, dziesiątkami tysięcy wyskakując z ukrycia i rzucając się na grupki cywilizowanych ludzi. Sharina miała wrażenie, że patrzy na falę zalewającą zwirowy brzeg.

Łucznicy zdążyli wysłać po jednej lub dwie strzały, zanim padli pod ciosami kamieni lub pałek trzymany przez długie włochate ręce. Oszczepnicy uderzyli, lecz ich ofiary osuwały się po drzewcach, aby przed śmiercią rozszarpać gardła zabójców. Żołnierze często ześlizgiwali się z mokrych pni i wpadali do morza, natychmiast idąc na dno pod ciężarem pancerzy.

Marynarze próbowali bronić się narzędziami albo – odrzuciwszy je – wdrapać się z powrotem na statki. Jednak Włochaci mieli chwytne kończyny i w swojej ojczystej dżungli nauczyli się o wiele lepiej poruszać w gęstwinie. Przeskakiwali przez pasma wody i plątaninę gałęzi, czasem pokonując sześć metrów jednym susem.

Fala atakujących dzikusów pochłoneła wrzeszczących marynarzy. Niektórzy z nich jeszcze żyli, gdy dwaj lub trzej Włochaci wgrzali się w ich ciała w poszukiwaniu nerek lub innych smakowitych organów.

Katapulty wyrzucały pociski w skłębioną tłuszczę, co dało taki sam efekt jak kilka kropel deszczu na pożar stepu. Kapitanowie i podoficerowie, wstrząśnięci okropnym widokiem, wykrzykiwali sprzeczne rozkazy do wioślarzy, którzy jeszcze pozostali na pokładach. Kilka trirem zaczęło się wycofywać, ale zaledwie kilka. Tylko nieliczne zdołały odpłynąć od tratwy, zanim kierowani przez zjawy Włochaci chwycili się wiosła lub relingów. Kiedy napastnicy wpadli na zatłoczone pokłady okrętów, zaczęła się rzeź. Wioślarze nie byli galernikami, lecz nie mieli broni poza nożami, jakie

każdy marynarz lub robotnik nosił u pasa. Byli zbyt stłoczeni, by móc walczyć, i zbyt przerażeni niespodziewaną klęską, aby stawić zorganizowany opór.

Oficerowie zabijali wrogów kordelasami i mieczami, lecz kamienie, pałki i ostre kły napastników zabijały szybciej i brutalniej. Triremy kołysały się na wodzie, gdy przetaczała się po nich fala zniszczenia, plamiąc fale gorącą krwią.

Sharina ze spokojnym zainteresowaniem obserwowała bitwę. W tym stanie rozumiała wszystko, ale nie przejmowała się tym bardziej, niż gdyby patrzyła na wiatr porywający białą pianę z grzbietów fal.

Zwycięscy Włochaci zasiedli na ławeczkach przeznaczonych dla wyższych, szczuplejszych ludzi i chwycili za wiosła. Kierowani przez zjawy, nowi wiosłarze, podprowadzili okręty do nierównego brzegu tratwy. Kolejni Włochaci obu płci, młodzi i starzy, wskoczyli na pokłady. Okręty już wcześniej były zatłoczone, lecz teraz ci półludzie zupełnie wypełnili ich wąskie kadłuby, upchnięci jak owce w zimowej zagrodzie. Zjawy stanęły na rufach statków i dały znać swym załogom. Pomimo tłoku wiosła poruszały się teraz z precyzją drewnianych trybów młyńskiego koła.

Zdobyte triremy – mniej więcej trzydzieści z pięćdziesięciu – wycofały się, po czym zgodnie wykonały zwrot i popłynęły w kierunku wyspy, ledwie widocznej teraz w zapadającej ciemności. Tratwa z dziesiątkami tysięcy Włochatych płynęła tym samym kursem, tylko z prędkością, z jaką gnały ją prądy morskie i wiatr.

Flagowy okręt admirała i dwie towarzyszące mu triremy nadal pozostające w rękach ludzi odpłynęły z największą szybkością, jaką mogły rozwinąć. Były widoczne tylko dlatego, że księżyc oświetlał spienione ślady pozostawiane wzdłuż obu burt przez wiosła. Nie kierowały się ku wysepce, z której przypląnęły, lecz ku znacznie większej, na północnym zachodzie.

Sharina patrzyła na to jak na deszcz, który zaczyna podmywać chatę sąsiada: wiedząc, że burza zniszczy jej własny, ale nie przejmując się losem swoim i bliskich.

– Największy problem związany z walką przeciwko takiej armii, jaką przeciwstawi nam czarodziej – mówił król Carus – polega na tym, że przeciwnicy nie dbają o swoje życie.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do Garrica, po czym dodał:

– Oczywiście, często i tak już są martwi.

Garric zauważył, że król powiedział „nam”, delikatnie przypominając, że on i Garric są sobie teraz tak bliscy, jak człowiek i jego cień. Odpowiedział mu uśmiechem. Nawet bliżsi, gdyż nie było tak gęstego mroku, który mógłby pozbawić Garrica doświadczenia, umiejętności oraz niezłomnej odwagi i humoru przodka..

W dole, na oświetlonym blaskiem księżyca polu, armia Carusa walczyła z zastępami żywych trupów. Szkielety topielców, pokryte przezroczyście śluzem, rzucały się na falangę żołnierzy z bezmyślnym uporem spadającej lawiny. Atakujący trzymali zardzewiałe miecze i włócznie o drzewcach obrośniętych skorupiakami. Niektórzy mieli na sobie zbroje lub zbutwiałe strzępy odzienia, w którym utonęli, lecz większość tych bezpłciowych stworów była zupełnie naga.

– Myślisz, że królowa wyśle przeciwko nam licha? – zapytał Garric. Walczył już z tymi stworami. Atakowały nawet wtedy, kiedy posiekano je na kawałki. Tylko cios w głowę lub kręgosłup unieszkodliwiał śmiertelne licha. Carus wzruszył ramionami.

– Na pewno będą to stworzenia, które nie myślą samodzielnie – odparł. – Są też ludzie, którzy byliby gotowi wykonywać jej rozkazy, lecz nie ma ich wielu i mało który z nich byłby dobrym żołnierzem.

Oddziały ustawiły się w niewielki czworobok, którego każdy bok składał się z ośmiu szeregów.

W samym środku, na stercie ekwipunku, stał młodszy król Carus. W blasku księżycy lśniło długie ostrze jego miecza i złota obręcz przytrzymująca włosy.

– Zastanawiam się, co bym zrobił, gdyby się wycofali, zmuszając mnie do pościgu – powiedział starszy Carus, ruchem głowy wskazując pole bitwy. – Jednak nie musiałem się o to martwić. Atakowali, dopóki pozostał z nich choć jeden, który mógł pełzać. Nigdy nie spotkałem czarodzieja, którego uczyniłbym dowódcą kompanii, nie mówiąc już o armii, a ty pewnie też nie.

Ziemia z trzech stron zbrojnego czworoboku była usłana zbutwiałymi kośćmi i śliska od paskudnego śluzu, w jaki rozplływały się tkanki stworów, gdy umierały po raz drugi. Między tymi paskudnymi szczątkami leżał zardzewiały oręż.

Żaden stwór nie zdołał przerwać najeżonego włóczniami szyku. Chociaż czasem któremuś udało się odrąbać grot piki, zanim drugi żołnierz przeciął mu czaszkę lub kręgosłup, szyk pozostał nienaruszony. Samo drzewce też było skuteczną bronią.

– Ty jednak masz zupełnie inny problem, chłopcze – rzekł Carus, odwracając się i patrząc na Garrica. – Ja miałem armię, ty masz miasto, które musisz obronić, a to jest znacznie trudniejsze.

– Naprawiamy mury – powiedział Garric. – Pracami kieruje Pitre, a Tadaï zbiera pieniądze dla robotników. Dostaliśmy pożyczkę od konsorcjum seriańskich bankierów.

Pokręcił głową. Kładąc się spać, zdejmował złoty diadem i na szczęście nie nosił go w tym śnie. Kręciło mu się w głowie od problemów, z którymi musiał się uporać jako książe Garric.

– Chyba można by oczekiwać, że ludzie wezmą się do roboty, nie czekając na zapłatę? – mruknął. Zobaczył, że Carus uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Chcę powiedzieć, że przecież zginą, jeśli królowa wróci. Muszą zdawać sobie z tego sprawę!

– Nie zdają sobie sprawy – odrzekł król – a gdyby nawet, to i tak żądaliby zapłaty. – Wzruszył ramionami. – W końcu nadal muszą wyżywić swoje rodziny. Ci ludzie, którzy napelniają kosze ziemią i dźwigają kamienie, to nie szlachta i bogaci kupcy, którzy przez kilka dni mogą żyć z oszczędności. Większość z nich zje coś dopiero po zmroku, kiedy dostaną pieniądze i pójdą do domów, wcześniej bowiem nie mają za co kupić jedzenia.

Garric mocno splótł dłonie. W dole bitwa zbliżała się do końca, chociaż armia żywych trupów wciąż wiła się jak odrąbany ogon jaszczurki.

– A więc na tym polega królowanie? – mruknął Garric. – Na znajdowaniu pieniędzy dla robotników, a potem dla bankierów, którym trzeba oddać długi? Nie mam pojęcia, jak zdołamy spłacić tę pożyczkę!

– Nie jest tak jak w opowieściach, prawda? – zauważył Carus. Zaśmiał się. – Poradzisz sobie, chłopcze. – I nagle poważniejąc, dodał: – W każdym razie lepiej ode mnie, ponieważ dopilnuję, żebyś nie popełnił takich błędów jak ja.

Młodszy Carus pochylił się, aby wydać rozkaz trębaczom czekającym u stóp jego punktu dowodzenia. Dwukrotnie zagrała trąbka. Dowodzący kompaniami oficerowie obejrzeni się, by zobaczyć sygnały dawane pochodnią, ponieważ księżyc świecił za słabo, aby można było użyć chorągiewek. Dwa boki czworoboku ustawiły się na flankach stojącego między nimi batalionu, po czym cała formacja ruszyła w tym kierunku, z którego nadciągnęli napastnicy. Czwarty batalion, który prawie nie walczył z lichami, wykonał w tył zwrot i poszedł za głównymi siłami w charakterze odwodu. Żołnierze w tylnych szeregach każdej kompanii nieśli podwójny ekwipunek – swój oraz idących z przodu towarzyszy.

– Nie lubiłem nocnych działań – powiedział w zadumie Carus – ale nie chciałem dawać szansy kontrataku czarodziejowi, który kierował rebelią. Zwał się Abiba. Kazał się nazywać Abibą Wielkim, zanim powiesiłem go tamtej nocy. Może to zwyczajstwo przyszło mi zbyt łatwo.

Garric zmarszczył brwi, patrząc na pole bitwy. To prawda, że ludzie odnieśli druzgoczące zwycięstwo przy niewielkich stratach własnych, lecz armia mniej zdyscyplinowana lub mająca gorszego dowódcę z pewnością została wybita do nogi.

– Wcale mi się nie wydawało łatwe – powiedział powoli Garric.

– Może – mruknął Carus. – Tylko że doszedłem po nim do wniosku, że mając wojska, które nie wpadają w popłoch w obliczu czarów, nie muszę obawiać się czarodziejów. Zakapturzony posłał na dno mnie i moją armię, ponieważ nie potrafiłem ocenić prawdziwego zagrożenia, tylko to, z którym poradziłem sobie poprzednio.

– Ach – pokiwał głową Garric, teraz w pełni rozumiejąc jego punkt widzenia. – A mówiąc przedtem, że moje zadanie jest trudniejsze, ponieważ muszę obronić miasto, chciałeś mi dać do zrozumienia, że moi ludzie wpadną w panikę. A przynajmniej wielu z nich.

Carus ponuro skinął głową.

– Nie chodzi o to, że żołnierze są odważni, a cywile nie, chłopcze – rzekł. – To prawda, że weterani są przyzwyczajeni stawiać czoło uzbrojonemu wrogowi, lecz moi ludzie i ja nigdy nie spotkaliśmy takich stworów, zanim nie zaczęliśmy walczyć z Abibą. Znacznie łatwiej stawić czoło niebezpieczeństwu, kiedy stoisz ramię w ramię z ludźmi, którym ufasz. Na tym polega przewaga, jaką mają żołnierze.

Garric przełknął ślinę.

– Zrobimy, co w naszej mocy – powiedział. – Mury powinny pomóc i kazałem Attaperowi przygotować program szkolenia milicji. Uznałem, że nawet kiepsko uzbrojeni powinni mieć poczucie tego, że są potrzebni. Zastanawiałem się nad ewakuacją Valles, ale nie wiem, czy to sprawiłoby jakąkolwiek różnicę. Królowa może zaatakować wszędzie.

– Wieszanie czarodzieja daje satysfakcję, jakiej nigdy nie dawały mi rozmowy o polityce fiskalnej z władcami poszczególnych wysp – oznajmił Carus z łobuzerskim uśmiechem. – Mimo to powinienem więcej zajmować się podatkami i uczyć się od czarodziejów, których wieszałem. No cóż, ty znasz moje błędy i nie musisz ich powtarzać.

Na pobojuwisku została już tylko zdeptana trawa, połamany oręż i szczątki żywych trupów. Patrząc na oświetlone blaskiem księżyca pole, Garric wyznał:

– Panie, czuję się jak kawałek miedzi. Rozpłaszczono mnie tak, że jestem prawie przezroczysty. Wszyscy czegoś ode mnie chcą... I nie wiem, czy coś ze mnie zostanie, zanim przestaną mnie tłuc.

– Nie przestaną, chłopcze – odparł łagodnie Carus. – Aż do twojej śmierci, a może jeszcze po niej.

Wyjął swój długi miecz. Rękojeść i jelec stanowiły jedną część z klingą, ostrze lśniło jak warstwa oleju na wodzie, gładkie i tak ostre, że w silnych rękach bez trudu mogło przeciąć zbroję.

– Ja nie miałem innego wyboru, musiałem być królem, Garricu – powiedział Carus. – Wyspy potrzebowały silnej ręki. Mojej ręki, jak rzekł mi Carilan oraz jego doradcy. Chciałbym, żeby mieli rację. W końcu poniosłem klęskę, ponieważ nie doceniłem czarodzieja, i królestwo pogrążyło się w chaosie i rozlewie krwi.

– Nikt nie spisałby się lepiej od ciebie – rzekł Garric. Dotknął koronacyjnego medalu króla Carusa, który nosił na szyi. Uścisnął go lewą ręką.

– Tego nie możesz wiedzieć! – warknął władca w rzadkim u niego przyływie gniewu. Potem złagodniał, uśmiechnął się i dodał: – Chociaż możesz mieć rację. No cóż, teraz ważne jest tylko to, czego ty dokonasz. Ty również nie masz żadnego wyboru. Zostaniesz Władcą Wysp, ponieważ Wyspy cię potrzebują. Jesteś potrzebny wszystkim ich mieszkańcom. Właśnie ważni są ludzie, którym służysz.

Carus podniósł miecz. Nie wiadomo skąd padło światło, oświetlając ten balkon ze snu i jak pluskający po szarych kamieniach strumyk spływając po ostrzu.

– To świetna broń, dzieło prawdziwego mistrza – rzekł, mówiąc bardziej do siebie niż do młodzieńca. – Spełni swoje zadanie, dopóki się nie złamie. Tak samo jak ja, Garricu.

Carus zwrócił się twarzą do młodzieńca, stając tak blisko, że wydawał się jego lustrzanym odbiciem.

– I tak samo jak ty. Ponieważ robimy to, co do nas należy – ty, ja i nasze miecze.

Król z dawnych czasów roześmiał się i z tym śmiechem na ustach zaczął znikać wraz z całym otoczeniem. Garric podniósł głowę z ramion, na których oparł ją, zasypiając przy biurku w swoim gabinecie.

– Garricu? – zawołała Liane przez drzwi. – Przyszedł Attaper z raportem o milicji. Możesz się z nim zobaczyć?

Na zewnątrz było tak ciemno, że Garric z trudem odróżniał otwarte okno od ściany, w której było osadzone.

– Wprowadź go, Liane – zawołał.

Wstał i zaczął po omacku szukać na biurku krzemienia i stali, żeby zapalić świecę.

We śnie, mając wsparcie króla Carusa, mógł być przestraszonym chłopcem. Teraz czas znowu być królem.

Latarnia Ilny paliła się normalnie, kiedy dziewczyna podniosła ją z dna jaskini, ze zdziwieniem zauważając, jak mało oleju pozostało w dużym zbiorniku. Można by pomyśleć, że taka lampa powinna się palić całą noc bez potrzeby uzupełniania oleju.

Raźnym krokiem przeszła resztę stromo wznoszącej się drogi. Nie było jej tak zimno jak przedtem, chociaż w jaskini panował chłód, jakiego należało się spodziewać po wilgotnych kamieniach. Dotarła do zakrętu, dalej idąc równą drogą. Wylot jaskini był zaledwie niewyraźną plamą w oddali. Jeśli znad morza nie nadciągnął sztorm, to było o wiele później, niż Ilna sądziła. Widocznie spędziła w jaskini znacznie więcej czasu, niż jej się wydawało.

– Coś nadchodzi! – zawołał jeden z mężczyzn. Jego zdenerwowany głos odbił się echem w tunelu. Zabrzączała broń, ocierając się o stalowe pancerze i kamienie, o które ją oparto.

– To ja nadchodzę! – powiedziała Ilna. – Co się z wami dzieje?

Przeszła przez portal. Żołnierze jej eskorty stali oparci plecami o jedną z wielkich kolumn. Hosten trzymał uniesiony miecz, a czterej żołnierze osłaniali się tarczami, nastawiając włócznie do pchnięcia.

– To naprawdę ona? – spytał jeden z nich.

– Oczywiście, że to ja! – warknęła Ilna, podnosząc latarnię tak, by światło padało jej prosto na twarz, a nie od dołu. – Przecież wiedzieliście, że wrócę.

Hosten wepchnął miecz do pochwy.

– Mieliśmy nadzieję, że wrócisz, pani – poprawił ją spokojnie. Popatrzył w niebo. Księżyc minął już zenit. Ilna rzeczywiście przebywała w jaskini dłużej, niż myślała. – Lepiej wracajmy do pałacu, inaczej pomyślą, że nie zamierzamy wrócić. Chyba że?...

Spojrzał na Ilnę i uniósł brwi.

– Oczywiście, że wracamy – powiedziała Ilna łagodniejszym głosem, niż zamierzała.

Wiedziała, że ten dworzaniek chciał wyświadczyć jej przysługę, spełniając jeden z tych uczynków, które czynią ten świat lepszym. To nie wina Hostena, że Ilnie trudniej było zaakceptować uprzejmość niż zniewagi.

Oddała latarnię jednemu z żołnierzy. Gdyby to zależało od niej, zgasiłaby ją i wróciła do powozu przy świetle księżyca, lecz mężczyzna zostawił lampę zapaloną. Drżący żółtawy płomyk prawie wcale nie oświetlał zniszczonej drogi, ale może dodawał mu otuchy.

– I jak było w jaskini, pani? – zapytał sztucznie obojętnym tonem Hosten.

– Zrobiłam to, po co tam poszłam – powiedziała Ilna.

Już widzieli powóz. Koń zarżał, a woźnica wygramolił się spod przednich kół, między którymi spał.

– A więc te historie, które o niej opowiadają, to tylko bajki – rzekł z westchnieniem ulgi Digir. – Byliśmy jak gromadka dzieci, które boją się ciemności.

Ilna obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

– Nie – odparła. – Wcale nie. I dobrze wam radzę, żebyście traktowali Eldera Romiego z szacunkiem należnym człowiekowi, który przed długi czas dobrze służył społeczeństwu.

– Wystarczy, Digirze – powiedział Hosten. – Jeśli pani Ilna ma jeszcze coś do powiedzenia, powinna zachować to dla barona Robilarda.

– Jeszcze jedno – powiedziała Ilna, kiedy dochodzili do powozu. – Digirze i wy wszyscy. Jeżeli szacunek nie powstrzyma waszych dzieci od niepokojenia Eldera Romiego, to powiedzcie im, że powinny się go bać. Po dzisiejszym wieczorze z pewnością bez trudu wam uwierzą.

CZWARTY DZIEŃ KUROPATWY

Królowa obserwowała Sharinę z alabastrowej komnaty oczami zimnymi jak kryształ.

– Chodź do mnie, dziewczyno – powiedziała.

Niespodziewanie Sharina znalazła się w białej komnacie, odgradzona tylko planszą od królowej.

– Byłam zajęta niszczeniem królewskiej floty, Sharino – oznajmiła władczyni. Uśmiechnęła się z kocią ironią. – Pokażę ci to, żebyś wiedziała, jak daremne są wszelkie próby stawiania mi oporu. Nadszedł czas, żebyś mi pomogła.

Sharina nie odpowiedziała. Drżała jak w febrze. Ugniatała uda długimi, silnymi palcami, usiłując rozmasować skurcz, chociaż dobrze wiedziała, że nie spowodowały go drętwiejące mięśnie. Już nie czuła zimna, lecz jej ciało zapamiętało lodowate więzy, które ją pętały. Królowa wciąż się uśmiechała, lecz jej oczy były twardsze od turmalinowych figurek na planszy. Wyciągnęła wskazujący palec ku jednej z nich, a potem cofnęła go.

– Bardzo dobrze, dziewczyno – powiedziała miodowym głosem. – Miałam nadzieję, że pomożesz mi bez dalszych perswazji, ale nie wymagam, żebyś była taka mądra. Masz tylko być mi posłuszna – i będziesz.

– Nie pomogę ci – odparła Sharina. Wiedziała, że jej głos brzmi żałośnie w porównaniu z wystudiowaną słodyczą królowej. To rozgniewało ją, a gniew rozgrzał jej ciało, odrętwiało od długiego bezruchu.

Królowa machnęła ręką, jakby przesuwając dłonią po alabastrowej ścianie, chociaż ta znajdowała się kilka kroków dalej.

– Patrz, Sharino – powiedziała uprzejmie.

– Gdybyś mogła mnie zmusić, żebym zrobiła to, czego chcesz – powiedziała podniesionym głosem Sharina – nie trudziłabyś się. Jednak nie możesz, a ja nie zamierzam ci pomagać.

– Patrz, dziewczyno – powtórzyła królowa. W gładko oszlifowanej ścianie pojawiło się okno, ukazując oświetlone blaskiem gwiazd morze.

Dwa statki – poruszana wiosłami galera oraz pękaty barkas kupiecki – płynęły w przeciwnych kierunkach. Ze swoich podróży Sharina wiedziała, że na noc statek często rzuca kotwicę przy jednej z wielu wysepek, którymi jest usiane Morze Wewnętrzne.

Wiosła biremy poruszały się jak ptasie pióra, do przodu i do tyłu, zamiast falować jak odnóża stonogi. Kupiecki statek płynął pod niewielkim fokiem i z mocno zrefowanym grotzagłem. Obie jednostki mijają się w odległości strzały z łuku.

Żałogi nie pozdrowiły się nawzajem. Królestwo Wysp miało obecnie zbyt wielu niebezpiecznych rywali, aby jakkolwiek kupiec chciał nawiązywać kontakt z uzbrojonym statkiem, nawet jeśli nie był piracki, oficerowie okrętu wojennego byli zaś zbyt zajęci swoimi sprawami, żeby przejmować się mijanymi obcymi.

– Czy widzisz, kto jest na pokładzie „Arbutusa”, dziewczyno? – spytała wesoło królowa.

Okręt urósł w oczach Shariny, jakby była nurkującą mewą. Obraz rozjaśnił się. Wąskie przejście będące pokładem biremy było zapchane ludźmi. Przez jedną okropną chwilę Sharina przypomniała sobie Włochaty Lud płynący zdobytymi statkami, lecz na tym okręcie byli zwyczajni ludzie.

A przynajmniej większość z nich. Królowa uniosła wskazujący palec i obraz powiększył się jeszcze bardziej. Na stewie biremy siedziała małpa. Tylnymi łapami ścisnęła wygiętą belkę,

a przednimi iskała swe gęste futro.

Sharina zmarszczyła brwi. Ta małpa przypominała jej...

Królowa machnęła palcem jak dyrygent batutą. Obraz nieznacznie przesunął się.

– Cashel! – zawołała Sharina.

Cashel siedział na relingu, jak zwykle w dobrym humorze, i spokojnie wpatrywał się w morze. Wyglądał prawie tak samo jak wtedy, kiedy ostatnio go widziała, gdy siłował się z Zahagiem na dziedzińcu pałacu króla Folquina. Swoją hikorową pałkę trzymał pionowo między kolanami, tak by nie trącać stłoczonych wokół oficerów statku.

Królowa uśmiechnęła się szeroko jak wilk morski. Obraz znowu się oddalił. Jednostki odpływały w przeciwne strony. Kapitan kupieckiego statku wydał rozkaz i trzech marynarze wspięli się na reje, żeby postawić żagiel.

– Co byś dała za ocalenie twojego Cashela, dziewczyno? – zapytała królowa. – Czy zaprowadzisz mnie do Tronu Malkara?

Sharina spojrzała na tę idealnie piękną, złą kobietę. Milczała. Nie mogła powiedzieć niczego, co poprawiłoby sytuację.

W oczach królowej ponownie pojawił się gniewny błysk, gdyż nie zobaczyła strachu, jakiego się spodziewała. Wskazała palcem okno i widoczne za nim morze.

– Patrz – syknęła jadowitym szeptem.

Sharina przez chwilę nie patrzyła w okno, lecz na czarownicę. Była to jednak dziecinna reakcja, próba ucieczki przed rzeczywistością przez chowanie głowy pod kołdrę. Sharina os-Reise nie była dzieckiem ani tchórzem.

Obróciła głowę. *Pani, wesprzyj Cashela Twoim ramieniem*, błagała w myślach, nie poruszając wargami.

Zobaczyła płynący statek. Okręt wojenny z Cashelem na pokładzie znajdował się już daleko, widoczny tylko jako pozostawione przez uderzenia wiosł smugi białej piany. Marynarze kupieckiego stateczku rozwinęli żagiel i zeszli na pokład.

Ich statek nagle zatrzymał się. Wstrząs rzucił sternika na rumpel, a marynarz na oku wypadłby za burtę, gdyby nie zdążył się złapać brzegu foka.

Macka grubości liny okrętowej wpełzła na reling rufowy i owinęła się wokół kostki kapitana. Mężczyzna wrzasnął i wierzgnął nogą, usiłując wyrwać się z uścisku. Sternik chwycił nóż i zrobił krok w kierunku kapitana.

Dwie następne macki złapały go od tyłu.

Przez okna komnaty, w której uwięziła ją królowa, Sharina widziała gorsze rzeczy. Tym razem jednak nie tylko wszystko widziała, ale i odczuwała całym sercem. Ogarnęło ją obezwładniające przerażenie.

Marynarze walczyli gołymi rękami i każdą bronią, jaką zdołali pochwycić. Mieli przeciw sobie dziesiątki, a może setki macek, które łamały relingi i wyrwały słupki. Jeden po drugim ludzie z wrzaskiem znikali za burtą.

Statek zakołysał się i grotmaszt wraz z żaglem runął w morze przy prawej burcie. Pokład przechylił się w uścisku macek, szukających nowych ofiar, które dotychczas uniknęły schwywania. Daremnie – cała załoga statku już została wciągnięta do morza.

Stateczek pochylił się jeszcze bardziej. Z wody obok niego wynurzyła się perłowa masa: skorupa amonitu, ale wielkiego jak wyspa. Jedno z wąskich ślepi mięczaka spojrzało na Sharinę, gdy stwór mackami pakował sobie do dzioba jednego marynarza po drugim.

Kadłub statku wygiął się i złamał pod naciskiem. Potrzaskane belki przez chwilę unosiły się na

powierzchni, po czym poszły na dno w wirze piany i ładunku.

Opalizująca skorupa potwora lśniła w świetle księżyca. Macki gmerały w pianie, która była wszystkim, co pozostało ze statku. Nie znalazłszy już niczego, co nadawałoby się do zjedzenia, schowały się. Potwór powoli zapadł w głębinę, z której się wynurzył.

– Jak więc będzie, Sharino? – spytała królowa. – Zrobisz, o co proszę, czy mam oddać Cashela na pożarcie Pradawnym?

Ściana znów zmieniła się w gładki alabaster. Sharina spojrzała na stojącą po drugiej stronie planszy piękną kobietę, której ciało skrywało potwora. Wypranym z wszelkich uczuć głosem zapytała:

– Co mam zrobić?

Na widok wysiadającego z powozu lorda Hostena wartownicy przed pałacem Robilarda stanęli na baczność, a ich oficer wyszedł z przedsionka i nisko się pokłonił. Hosten był zbyt zaabsorbowany, aby zauważyć oddawane mu honory.

– O tak późnej porze... – zaczął. Było już dobrze po północy. – Zapewne pili od kilku godzin. To...

Zamilkł, zastanawiając się, ile może powiedzieć postronnej osobie. W końcu posłał Ilnie krzywy uśmiech.

– Baron Robilard jest porządnym młodzieńcem, ale czasem odrobinę zbyt nieobliczalnym, kiedy za dużo wypije. Jesteś pewna, że chcesz się z nim teraz widzieć?

– W takim samym stopniu, w jakim w ogóle chciałam się z nim widzieć – mruknęła Ilna. Wzruszyła ramionami. – Muszę go ostrzec. Nie usłucha mnie, ale muszę to zrobić.

Hosten skinął głową.

– Zaprowadzę cię prosto do sali bankietowej – rzekł i ruszył w kierunku pałacu.

– Panie? – zaczął jeden z żołnierzy. – Czy my?... Chcę powiedzieć, czy musimy?...

– Odeślij ich do domów – poradziła Ilna, zanim Hosten zdążył coś powiedzieć. – Nie ma powodu, żeby ich w to mieszać. I sama trafię do barona.

– Możecie odejść – rzekł Hosten żołnierzom eskorty. Woźnica uznał, że ten rozkaz dotyczy i jego. Powóz turkocząc, odjechał z podjazdu. Czterej żołnierze pobiegli za nim truchtem, jakby Siostra deptała im po piętach. Ilna uśmiechnęła się samymi wargami. Jeśli dobrze odczytała wzór, nie było to dalekie od prawdy.

– Zaprowadzę cię tam – powtórzył Hosten. I uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Jestem bor-Horial, pani. Nie mam w takich sprawach wyboru, tak samo jak ty.

Ilna roześmiała się głośno po raz pierwszy od... No, z pewnością od długiego czasu.

– Chodźmy więc – powiedziała i poszła krok w krok z dumnie wyprostowanym szlachcicem.

Nigdy nie rozumiała, dlaczego ludzie bywają dumni ze swego pochodzenia, zamiast ze swych osiągnięć. Z drugiej strony była dostatecznie rozsądna, by wiedzieć, że Ilna os-Kenset, której ojciec przepił spuściznę, zanim zapił się na śmierć, a matki nie widział żaden z mieszkańców Barca's Hamlet oprócz – jak zakładała – Kenseta, nie mogła być bezstronnym sędzią w takich sprawach. Nigdy nie spodziewała się, by jakiś szlachcic przyznawał się do jakiegokolwiek pokrewieństwa z nią. I z pewnością nie oczekiwała, że poczuje się dziwnie zaszczycona, kiedy to się zdarzy.

Komnata, w której rano spotkała barona Robilarda, była pusta, nie licząc krzątającego się sługi i cieni rzucanych przez sześć lamp, ledwie wystarczających do oświetlenia tak rozległej przestrzeni. Ilna zmarszczyła brwi. Myślała, że bankiet odbędzie się tutaj.

Hosten dostrzegł jej minę albo domyślił się, o co chciała zapytać.

– Salę bankietową dobudowano na tyłach pałacu – wyjaśnił. – Był to pierwszy pomysł, jaki baron zrealizował po objęciu tronu.

Ilna prychnęła. Łatwo jej było zrozumieć rozgoryczenie Asceleia wywołane podatkami nakładanymi przez młodego władcę – i tym, na co je przeznaczal.

Szli korytarzem między rzędami mniejszych pokoi. Zza drzwi na końcu sączyły się dźwięki muzyki, śmiechy i światło wielu lamp. Sługa wynoszący z sali wielki dzban na wino – zapewne pusty, bo trzymał go za jedno ucho – przycisnął się do ściany, robiąc im przejście.

Po jednej stronie trzech długich stołów, ustawionych wzdłuż trzech ścian, na wyściełanych fotelach siedzieli goście. W środku uwijali się słudzy z jadłem i winem. Teraz jedynym jedzeniem, jakie roznosili, były paski solonej wołowiny, które tylko podsycaly pragnienie.

Sala była tak wielka, że nawet tak licznie zebrani w niej goście nie zdołali jej zapełnić. Podłogę pokrywały liście paproci, a nie trzciny, które rozkładano w lepszych domach Barca's Hamlet, by zbierały błoto i resztki spadające ze stołu. Biedacy raczej budowali nowe chaty, kiedy polepa podniosła się na wysokość zmuszającą do pochylania głów.

Na środku sali ustawiono żelazną klatkę. Halphemos siedział w niej ze skrzyżowanymi nogami i posępną rezygnacją kury, którą ze związanymi nogami niosą na kiju na targ.

W pierwszej chwili niewielu gości zauważyło Hostena i Ilnę. Niektórzy dworacy byli tak pijani, że ledwie widzieli na oczy. Baron Robilard nie był aż tak nietrzeźwy, choć miał zaczerwienione policzki i gorączkowy błysk w oczach. Siedział na honorowym miejscu na środku, z lady Regowarą po prawej ręce i z jasnowłosą żoną, Cotoliną, po lewej.

Ta ostatnia z lodowatym spokojem obserwowała wejście Ilny. Za jej plecami stała podwójna kołyska. Piastunka karmiła jedno z bliźnięt, podczas gdy drugie spało.

Ilna zdziwiła się, kiedy ujrzała lady Tamanę na przyjęciu. Jej zdziwienie opadło, gdy ujrzała, że Tamanę usadowiono na samym końcu stołu, a siedzący obok niej mężczyzna z całą pewnością nie jest szlachcicem. Był ubrany krzykliwie i bez smaku, jak urzędnik zbierający podatki od mieszkańców Barca's Hamlet po procesji z okazji święta Tithe. Ten człowiek zapewne wykonywał podobną pracę u Robilarda. Jedynym powodem obecności poborcy na tym przyjęciu była chęć upokorzenia Tamany w oczach nawet najbardziej tępych gości.

W odległym kącie stał minstrel akompaniujący sobie na harfie. Deklamował:

– Gdy Turnus uniósł wojenny proporzec z cytadeli Meriem, a trąby wydały swój ochryply krzyk...
– Mój lordzie! – przerwał mu Hosten donośnym głosem, który mógł usłyszeć każdy w tej wielkiej sali.

Wszyscy spojrzeli na niego. Halphemos ścisnął kraty i z przygnębieniem potrząsnął głową.

– ...popędził swe ogniste rumaki... – ciągnął minstrel.
– Milcz! – krzyknął Robilard, podnosząc dłoń. – Już myślałem, że mnie opuścisz, Hostenie. Chyba powinienem poszukać sobie innego wojskowego doradcy, jeśli tak opieszale wykonujesz swoje obowiązki.

Szlachcic chciał coś powiedzieć. Ilna wysunęła się przed niego i splotła ramiona na piersi.

– Lord Hosten wykonał twoje rozkazy, mój lordzie – powiedziała. Jej głos dźwięczał jak cymbały, odbijając się od wysokich marmurowych ścian. – Trwało to dłużej, niż przypuszczałam, ale ja także zrobiłam to, czego chciałeś. Elder Romi powiedział mi, że przybędzie na twój bankiet, kiedy zajdzie księżyc.

Robilard zachwiał się i spróbował wstać. Przy pierwszej próbie bezwładnie opadł na fotel. Cisnął srebrny puchar na stół i zdołał wstać z pomocą zdenerwowanego lokaja, który trzymał go za łokcie. Baron wycelował drżący palec w Ilnę.

– Jesteś głupia! – wrzasnął. – I kłamiesz!

– Często bywałam głupia – odparła Ilna, a każde jej słowo było jak trzaśnięcie batem – ale nigdy nie widziałam potrzeby, by kogoś okłamywać. I ostrzegam cię, baronie, że bardzo wątpię, aby Elder Romi kłamał.

– Wsadźcie ją do klatki razem z tamtym! – rozkazał Robilard. – Rano zabierzcie ich oboje i wrzucicie do morza. Niech próbują okłamywać ryby!

– Mój lordzie! – rzekł z rozpaczą Hosten. – Naprawdę myślę...

– Milcz! – wrzasnął Robilard. – Chcesz do nich dołączyć?

Baron zachwiał się i o mało nie upadł na twarz. Lokaje zdołali go złapać, tak że ciężko usiadł na fotelu. Ilna zwróciła się do Hostena.

– Tak, bądź cicho albo sama zamknę ci usta – powiedziała. Uśmiechnęła się. – Ponadto myślę, że powinieneś już iść.

Hosten pokręcił głową.

– Poręczyłem moim honorem – rzekł stanowczo. Zaprowadził Ilnę do klatki i odsunął rygiel zamka. Ilna dygnęła szlachcicowi i pochylając głowę, weszła do środka. Drzwiczki zamknęły się za nią z trzaskiem.

Podjęto przerwane rozmowy, a minstrel stał, nie wiedząc, co robić. Bawił się pokrętlami na gryfie, co chwila zerkając na Robilarda. W ostatnim poleceniu baron nakazał mu milczeć. Nie wiadomo, czy chciał utrzymać ten rozkaz w mocy, lecz harfista nie był jedynym obecnym, który uznał, że w tym momencie lepiej niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi Robilarda.

Lord Hosten usiadł na wolnym miejscu obok lady Cotoliny. Sługa przyniósł mu puchar wina. Hosten przyjął trunek, ale nawet go nie skosztował.

– Nie powinnaś była tu wracać – rzekł ochrypłym szeptem Halphemos.

– Nie zostanę tu długo – powiedziała Ilna. – Księżyc pewnie już zaszedł.

Nagle w sali zrobiło się chłodno. Ilna wypuściła powietrze szeroko otwartymi ustami. Nie zobaczyła pary.

– Naprawdę niedługo – mruknęła.

Lampy też zaczęły przygasać. Rozmowy ucichły i wszyscy obrócili się w kierunku drzwi. Lady Regowara, która ze swojego miejsca przy środku stołu miała dobry widok na korytarz, nagle wrzasnęła i próbowała wstać.

Do sali bankietowej weszła postać z błękitnego lodu. Kroczyła jak człowiek, lecz zamiast głowy miała tylko niekształtną bryłę. Przeszła pod ścianą sali. Za pierwszą szedł rząd identycznych postaci, a każda skręcała przy drzwiach w lewo lub w prawo, niczym szereg lokajów zajmując miejsca za plecami uczujących.

Minstrel rzucił instrument i chwiejnie ruszył do wyjścia. Odchylił zasłonę i odskoczył do tyłu, jęcząc z przerażenia. W progu stały już następne lodowe postacie.

Służący Robilarda stali jak skamieniali. Intruzi znaczącym gestem pokazali im drzwi. Słudzy powoli zaczęli zmierzać do wyjścia, a potem rzucili się do panicznej ucieczki. Dopiero kiedy znaleźli się na korytarzu, dali upust przerażeniu, wydając bełkotliwe okrzyki ulgi.

Lodowy stwór, który zastąpił drogę harfiście, odsunął się na bok i skinął palcem na minstrela. Ten nie poruszył się, dysząc jak wyjęta z wody ryba. Postać z lodu ponownie skinęła palcem. Minstrel przebiegł obok niego. Jego przeraźliwy wrzask odbił się echem w korytarzu.

Ilna pomyślała o Garricu czytającym fragmenty epickich opowieści, których piękna nie potrafiła ocenić. Słyszała tylko wzór słów – z których wielu nie znała. Nawet taki nędzny tchórz jak ten minstrel, mógł dzielić z Garrikiem wzruszenia, których ona – znając go całe życie – nie rozumiała.

Dłoń Ilny dotknęła luźnego końca szarfy, bliźniaczo podobnej do tej, którą utkała dla Liane. Nitki podążają tam, gdzie umieści je tkaczka, a życie Ilny nie było jej własnym wzorem.

Siedzący naprzeciwko niej Hosten spojrział na Inę i próbował wstać. Lodowy stwór za jego plecami, który zastąpił sługę-człowieka, położył dłoń na ramieniu szlachcica.

– Puść mnie! – krzyknął lord. – Chcę ją uwolnić!

Przez chwilę zmagali się: mężczyzna usiłował wstać, a nieczłowiek przytrzymywał go na fotelu. W końcu Hosten, zdyszany i jakby o dziesięć lat postarzały, zrezygnował z dalszych prób.

Halphemos wskazującym palcem nakreślił krąg na podłodze klatki. Chociaż narysowany od ręki, krąg był tak regularny, jakby czarodziej zrobił go cyrklem. Młodzieniec pospiesznie zaczął rysować magiczne symbole.

– Cerix nauczył mnie otwierać drzwi – szepnął do Ilny. – Wprawdzie te są z żelaza, lecz wokół nas jest tyle mocy, że chyba dam radę...

Postać z lodu podeszła do kołyski, przy której kuliła się piastunka. Kończyny stwora poruszały się płynnymi łukami, zamiast zginać się w stawach jak u człowieka. Gestem odprawił niańkę, a potem sięgnął do kołyski.

Cotolina wrzasnęła i chciała wstać. Inna postać z lodu przytrzymała ją na fotelu. Pierwsza wyjęła bliźnięta. Ich wrzaski przycichły, jakby dobiegały z oddali niczym zawodzenie potępionych dusz.

Lodowy stwór, poruszając się z majestatem burzowej chmury, podał niemowlęta ich matce. Cotolina przytuliła je do swych płaskich piersi. Szeptala puste słowa pociechy, roniąc łzy na ich wykrzywione płaczem twarzyczki.

Halphemos odarł łodygę paproci z liści. Używając jej jako różdżki, zaczął dotykać kolejnych symboli, które narysował z pamięci na podłodze. Zamknął oczy, usiłując przypomnieć sobie nauki Cerixa, i powiedział:

– *Aeo io ioaeoeu, eeouoai...*

Poborca ścisnął kielich w dłoniach. Dwukrotnie próbował podnieść go do ust, lecz ręce drżały mu tak mocno, że rozlewał trunek, gdy tylko oderwał podstawę pucharu od blatu stołu.

Lodowy stwór klepnął poborcę w ramię. Mężczyzna zamknął oczy i udawał, że tego nie czuje. Stwór jedną zimną ręką podniósł go z fotela. Zrobił to delikatnie, lecz stanowczo, jak kotka przenosząca kocię. Drugą ręką chwycił krzesło i odstawił je na bok. Poborca nadal nie otwierał oczu. Drżącymi wargami mamrotał w kółko tę samą modlitwę. Wszyscy obecni w sali poza Halphemosem przyglądali się temu jak urzeczeni. Lodowy stwór puścił poborcę i lekko popchnął go w kierunku drzwi. Mężczyzna potknął się, rozejrzał wokół i wreszcie rzucił się do ucieczki. Dwukrotnie jego obute w sandały stopy pośliznęły się na liściach paproci. Przytrzymał się framugi drzwi, po czym z ochryplym wyciem znikł w głębi korytarza.

– *Ouo ehe damnameneus* – powiedział Halphemos. Wokół zamka zadrżały różowe macki. Klatka miała prosty zamek, lecz żelazna płyta i wąskie kraty nie pozwalały więźniom dosięgnąć rygla.

Oprócz klatki wszystko w wielkiej sali jarzyło się błękitem lub kryło w mroku. Płomyki lamp były zaledwie punkcikami światła, lecz lodowe postacie emanowały zimną poświatą.

Na korytarzu rozległy się miarowe kroki. Nie były donośne, lecz odbijały się echem, jakby dobiegały z długiego tunelu.

Do sali bankietowej wszedł Elder Romi, wysoki mężczyzna z laską z jakiegoś jasnego drewna w prawej dłoni. Nosił czarną szatę ze złotym haftem wokół szyi, rąbka i mankietów. Twarz miał pociągłą, lecz nie trupią, a włosy czarne z purpurowymi plamkami jak skrzydło gwarka. Gdyby Ilna spotkała go na ulicy, dałaby mu najwyżej trzydzieści lat.

Tylko jego oczy były starsze niż czas.

Spojrzał na Ilnę, po czym obdarzył ją ukłonem i sardonycznym uśmiechem. Później skupił uwagę na baronie Robilardzie, który siedział nieruchomo za stołem. Lady Regowara wepchnęła do ust knykcie obu rąk. Przygryzła je tak mocno, że kropla krwi pociekła po jej białym nadgarstku.

Cotolina mamrotała coś do swoich dzieci. Poza jej szeptem i ich popłakiwaniem, jedynym dźwiękiem w sali był głos Halphemosa. Młodzieniec rzucał swoje zaklęcie, jakby nie zdawał sobie sprawy z obecności starego czarodzieja.

– Przybyłem na twoje zaproszenie, baronie – rzekł Romi. – Gdzie mam usiąść?

To był ten sam głos, jaki Ilna słyszała w jaskini. Wciąż rozbrzmiewał gromkim echem, chociaż zauważyła, że to ogromne pomieszczenie ma wyjątkowo kiepską akustykę. Robilard otworzył usta. Zabułgotał, po czym zwymiotował na stół i swoją prawą rękę. Romi uśmiechnął się.

– A zatem zajmę wolne miejsce – powiedział uprzejmie. Podeszedł tam, gdzie uprzednio siedział poborca. Jeden z lodowych stworów przystawił mu fotel. Romi usiadł, wciąż trzymając laskę w dłoni.

– *Io churbureth* – mamrotał Halphemos. – *Beroch tiamos!*

Kolce różowego światła pełgały na płycie zamka niczym upiorne ogniki, które w mroźne zimowe noce czasem pojawiały się na konarach drzew i okapach domów Barca's Hamlet. Rygiel przesunął się ze zgrzytem. Trzy mocujące go do płyty skoble pękły, jeden po drugim. Potem sam rygiel z brzękiem upadł na kamienną podłogę.

Halphemos wyciągnął rękę do drzwi, lecz zabrakło mu sił. Osunął się tylko na posadzkę, wyczerpany wysiłkiem, jakiego wymagało rzucenie zaklęcia. Ilna przytrzymała go i oparła jego głowę na swoim ramieniu. W tym momencie klatka była całkiem przyjemnym miejscem.

Lodowi ludzie w milczeniu napełnili puchary biesiadujących. Kilku dworzan opróżniło je duszkiem, inni szlochali lub siedzieli jak przytwierdzeni do foteli. Lord Hosten obrócił się i odmownie pokręcił głową, gdy stwór próbował dolać do jego i tak pełnego jeszcze kielicha.

Lady Tamana gapiła się na siedzącego obok czarodzieja. Jedną dłoń trzymała na stole, a drugą przyciskała do odkrytej jedwabną suknią piersi. Tylko szybkie pulsowanie żyłki na szyi było dowodem, że Tamana żyje, a nie jest jednym z kamiennych posągów, które stały w niszach wzdłuż korytarza.

Czystą serwetką ze stolika pod ścianą lodowy sługa wytarł dłoń i rękaw barona Robilarda z wymiocin. Potem starannie otarł baronowi usta i wąsy. Robilard drżał, lecz się nie poruszał.

Przed Elderem Romim stał puchar odlany z cyny, bez żadnych ozdób. Zdaniem Ilny był ładniejszy od wysadzanych drogimi kamieniami i ozdobionych kwiatowymi wzorami kielichów, które otrzymali dworzanie. Romi podniósł naczynie. Wino spieniło się i wyparowało, skwiercząc raczej jak smażony boczek, a nie zmieniający się w parę płyn. Romi odwrócił puchar do góry dnem, tak by wszyscy mogli zobaczyć, że jest pusty. Odstawił go na stół.

– Czy tak wygląda twoja gościnność, kuzynie? – spytał donośnym, wesołym głosem. – Bo chyba powiedziałaś, że jesteśmy kuzynami?

– Proszę – rzekł Robilard, odzywając się po raz pierwszy od początku tej wizyty. – Proszę. Nie wiedziałem.

Romi wstał ze straszliwą gracją. Lodowy stwór odsunął jego krzesło sprawniej, niż zrobiliby to służący. Oczy wszystkich były zwrócone na czarodzieja.

– Przyjąłem twoje zaproszenie, kuzynie – powiedział Romi. – Teraz ty przyjmij moje.

Stwory z jarzącego się lodu odsuwały od stołu fotele Robilarda i pozostałych. Niektórzy z dworzan upadliby na podłogę, gdyby nie podtrzymały ich niesamowicie sprawne dłonie. Romi wskazał laską na drzwi. Jego wąskie wargi wygięły się w obojętnym uśmiechu dorosłego, który

obserwuje poczynania grupki dzieci. Uczestnicy przyjęcia ruszyli do wyjścia. Wyglądało to jak pochód zmarłych. Szli na sztywnych nogach, niektórzy podtrzymywani z obu stron przez lodowe stwory. Lord Hosten szedł wyprostowany, nie odrywając oczu od szyi idącej przed nim kobiety.

Lady Cotelina tuliła niemowlęta do piersi. Potykała się, oślepiona łzami. Za każdym razem, gdy lodowy sługa dotykał jej, oferując pomoc, odsuwała się z rozpaczliwym krzykiem. Procesja wyszła z sali bankietowej. Elder Romi ponownie uklonił się Ilnie, a potem się odwrócił i poszedł za innymi.

Halphemos doszedł do siebie na tyle, że podniósł głowę. Ilna puściła jego rękę i pchnięciem otworzyła drzwi klatki.

– Zostań tu – powiedziała, chociaż prawdopodobnie nie było to wcale istotne, co robi.

Wyszła z klatki i przeciągnęła się. Trochę zeszywniała w tej ciasnocie, lecz napięcie wywołane tym, co musiała teraz zrobić, było gorsze niż zdrętwiałe mięśnie. Polecenie Robilarda wykonywała w gniewie. Jeśli teraz nie zdoła tego naprawić, runie w otchłań.

Lampy w sali bankietowej znowu paliły się normalnie. Oświetlały cały bałagan – porzucane sztuce, rozlane wino, części odzieży upuszczone i zapomniane w zamieszaniu.

Ilna obejrzała się przez ramię. Halphemos z mętym wzrokiem próbował wyjść z klatki. Ilna przeszła przez salę i pusty korytarz różnym krokiem, gdyż Romi i jego więźniowie odchodzili szybciej, niż się spodziewała.

Już wyszli z pałacu. Romi schodził po schodach ostatni. Ilna stanęła w nie dokończonym portyku i zawołała:

– Elderze Romi! Chcę ci zadać pytanie.

Lodowi ludzie stanęli. Elder Romi powoli się odwrócił.

– Pytaj, Ilno os-Kenset – rzekł.

– Panie – powiedziała Ilna wyraźnie i stanowczo. – Czego się boisz?

Romi parsknął głośnym śmiechem, który przetoczył się po niebie jak grom.

– Nie bałem się niczego za życia – odparł. – I niczego nie boję się teraz!

– Czy nie obawiasz się własnego gniewu i zła, jakie przez to czynisz? – zapytała Ilna.

Zeszła po schodach po czarodzieja. Większość dworzan obserwowała ją, chociaż niektórzy stali ze zwieszonymi głowami, pogrążeni w rozpacz. Ilna wskazała ich machnięciem ręki.

– Oni nie są niewinni – powiedziała. – Być może żaden z nich, nie licząc dzieci. Jednak wiesz, że nie uczynili niczego, żeby zasłużyć na taki los. Nawet...

Spojrzeniem i pogardliwym tonem wskazała Robilarda.

– ...ten chłopiec!

Twarz Eldera Romiego wykrzywił grymas wściekłości. Czarodziej uderzył laską o bruk. Błyskawica strzeliła w górę. Bezksiężycowe niebo było czyste, lecz teraz w mgnieniu oka chmury napłynęły ze wszystkich czterech stron świata. Przelatywały między nimi kolejne błyskawice i deszcz ścianą wody spadł na ziemię. Czegoś takiego Ilna jeszcze nigdy nie widziała.

Ale ani jedna kropla nie spadła na tych, którzy stali przed pałacem Robilarda. Ilna założyła ręce na piersi i spokojnie patrzyła w groźne oczy Eldera Romiego. Ten roześmiał się i niedbale machnął laską. Chmury znikły. Deszcz błyskawicznie ustał, choć kałuże wody stały w każdym zagłębieniu oprócz tych, które znajdowały się między czekającymi przed pałacem postaciami.

Lodowe stwory rozwiały się w powietrzu jak tuman pyłu porwany morską bryzą. Lady Regowara, już nie podtrzymywana przez idących obok niej służących, z histerycznym śmiechem osunęła się na ziemię.

Elder Romi zgiął się w pokłonie. Zmienił się w mgłę i wyparował. Jego wesoły głos huknął donośnie:

– Kiedy miałem ciało, Ilno os-Kenset – Kiedy miałem ciało!

Te słowa przez dłuższą chwilę odbijały się echem. Potem Ilna słyszała tylko deszcz wylewający się z pysków gargulców na pałacowym dachu i szlochy ulgi dworzan stojących na drodze, która mogła przedwcześnie zaprowadzić ich do grobu. Zachwiała się. Za plecami usłyszała jakiś dźwięk. Spojrzała przez ramię i zobaczyła schodzącego po stopniach Halphemosa. Twarz miał ściągniętą, ale wyglądało na to, że dochodzi do siebie. Niebo na wschodzie pojaśniało. Wkrótce wszędzie słońce.

Lady Cotolina, wciąż trzymając niemowlęta, rzuciła się na bruk przed Ilną i próbowała ucałować jej stopy. Ilna cofnęła się, zła i zmieszana.

– Przestań! – powiedziała.

Podszedł do nich baron Robilard z towarzyszącym mu Hostenem. Położył dłoń na ramieniu żony. Krzyknęła, a potem podniosła głowę i zobaczyła, że dotyka jej człowiek. Hosten pomógł jej wstać, chociaż nie pozwoliła mu wziąć jednego dziecka. Halphemos usiłował stanąć między baronem a Ilną, lecz ta powstrzymała go gestem. Młodzieniec zawahał się, ale ostatecznie przekonało go jej gniewne spojrzenie. Czy myślał, że to ona potrzebuje ochrony?

Baron Robilard klęknął.

– Czego sobie życzysz? – zapytał. Przez ostatnią godzinę postarzał się o dziesięć lat. – Dam ci wszystko, co chcesz.

Zanim Ilna zdążyła coś powiedzieć – nie przygotowała się na taką ewentualność, nie wybiegając myślami poza konfrontację z Elderem Romim – Robilard dodał:

– Tak mi przykro. Nie wiedziałem. Przysięgam na Panią, nie wiedziałem!

– Ani przez chwilę nie sądziłam, że wiesz – odparła Ilna, uśmiechając się z rozbawieniem. Rozejrzała się wokół, zbierając myśli. Pojawiła się część służby, a wśród nich piastunka. Stała jak wryta, a potem rączym galopem rzuciła się do lady Cotliny i swoich podopiecznych. – Wstań – rzuciła Ilna do barona. Patrząc, jak przed nią klęczy, czuła się gorzej niż wtedy, kiedy uważał, że to ona powinna przed nim klękać. – Myślisz, że mam ochotę oglądać czubek twojej głowy?

Teraz wszyscy dworzanie spoglądali na nią i na barona, lecz większość robiła to z bezpiecznej odległości. Wydawało się, że Ilna budzi w nich taki sam lęk, jak przedtem Elder Romi. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Być może ci dworzanie mieli wszelkie powody po temu, żeby się jej bać. Powiedziała głośno:

– Moi towarzysze i ja chcemy popłynąć do Valles, baronie. Byłabym wdzięczna, gdybyś mógł nam pożyczyć pieniądze na tę podróż. Nie musisz się obawiać o zwrot tego długu, przynajmniej...

Ponownie uśmiechnęła się.

– ...jeśli przeżyję.

Robilard wstał, tak jak mu kazała. Ilna z rozbawieniem zauważyła, że skrzywił się, gdy jego kolana oderwały się od bruku. Może ta lekcja nauczy go czegoś więcej niż tylko tego, że nie powinien bezpodstawnie rościć sobie praw do sławnych przodków.

– Nie ma mowy o tym, żebyś oddawała mi cokolwiek, pani – rzekł. Jego głos z każdym słowem odzyskiwał siłę i nie było po nim widać, że całą noc pił. – Ja...

Spojrzał wokół na swoich dworzan.

– My wszyscy jesteśmy twoimi dłużnikami do końca naszych dni. Nie mogę zaproponować ci przeprawy na statku handlowym, ponieważ żaden nie popłynie do Valles, od kiedy zaczęły się te kłopoty, ale...

– Jakie kłopoty? – przerwała mu Ilna, nie mogąc się powstrzymać. Nagły lęk o Cashela – o niego i innych – sprawił, że słowa same wyleciały z jej ust. Wiedziała, że powinna poczekać, aż baron skończy mówić.

– Tam wybuchły zamieszki – wyjaśnił Hosten. Pozostał u boku barona. Cotelina i piastunka siedziały na kamiennych stopniach, usiłując uspokoić niemowlęta. – Czary i nie tylko. Mamy agentów na wszystkich większych wyspach, z którymi prowadzimy interesy, a nasi przedstawiciele na Ornifal ostrzegli nas, żebyśmy nie ryzykowali utraty ładunków, dopóki nie zrobi się tam spokojniej.

– Oczywiście, to was nie dotyczy – podjął raźnie Robilard. – Popłyniemy na pokładzie jednego z moich okrętów. – Spojrzał na stojącego obok szlachcica. – Chyba na „Erne”, prawda, Hostenie?

Dworzanin skinął głową.

– Na niej lub na „Kormoranie” – rzekł. – W tym momencie na obu nie ma załóg, ale w ciągu paru dni zdołam je zebrać.

– Oczywiście, będę wam towarzyszył – rzucił nonszalancko baron. – Kiedy chcecie wypłynąć?

Ilna już zamierzała zaprotestować, ale zaraz zorientowała się, że nie ma powodu. Chciała jak najszybciej dostać się do Valles. Wieść o zamieszkach jeszcze utwierdziła ją w tym zamiarze, a jeśli Robilard uważa, że zawdzięcza jej życie... No cóż, właściwie miał rację.

– Im prędzej, tym lepiej – odparła i spojrzała na Halphemosa. – Kiedy możecie być gotowi?

– Cerix i ja nie mamy niczego, co musielibyśmy pakować, pani – odparł. – I tylko dzięki tobie zachowaliśmy jeszcze życie.

– A zatem odpływamy za godzinę – rzekł stanowczo baron. – Chciałem powiedzieć... Czy w tym czasie zdołasz zebrać załogę, Hostenie?

– Załoga będzie gotowa do rejsu – odparł Hosten z ponurym uśmiechem. – Albo zrobię lepszy niż ty użytek z tej żelaznej klatki, baronie. Jeszcze przed zachodem słońca znajdziemy się w Valles.

Pobiegł na tyły pałacu, głośno wołając do stajennych, żeby przyprowadzili mu konia.

Próbując wejść za Royhasem do prywatnych apartamentów króla, Garric wpadł na framugę drzwi. Liane przytrzymała go. Zaniepokojony Royhas odwrócił się i zapytał, chyba nieco ostrzejszym tonem niż zamierzał:

– Dobrze się czujesz?

– Kiedy już będzie po wszystkim – odparł Garric – zamierzam spać cały tydzień. – Zachichotał i dodał: – Zakładając, że wszyscy nie zaśniemy na wieki.

Liane skrzywiła się. Poznała już to jego nowe poczucie humoru. Niezbyt jej się podobało.

– *Wisielczy humor pasuje tylko na polu bitwy, chłopcze* – szepnął głos Carusa. – *Może jeszcze na szubienicy, chociaż w tym względzie nie mam żadnych doświadczeń.*

Kiedy Royhas wszedł, czterej żołnierze Krwawych Orłów pozostali w przedsionku przed drzwiami. Na widok nadchodzącego za kanclerzem Garrica rozstąpili się na boki. Dowódca warty zasalutował zaciśniętą pięścią i powiedział:

– Znów są u niego kapłani. Powiedział, żeby nikogo nie wpuszczać.

Garric wiedział, że żołnierze Krwawych Orłów bez wahania zginęliby w obronie Valence’a. Jednak obrona króla już nie oznaczała wykonywania jego poleceń, jeśli były sprzeczne z rozkazami rzeczywistego Władcy Wysp. Zastukał w grube drzwi, a potem nacisnął drewnianą klamkę, zanim ktoś z obecnych w środku zdążył ją zablokować.

Garric uśmiechnął się. Istotnie, był władcą Valles i większości Ornifal, a także był na najlepszej drodze do tego, aby włączyć całym Królestwem Wysp – przynajmniej jeśli zdoła przeżyć kilka następnych dni. W porównaniu z tym pilnowanie owiec – głupich, upartych stworzeń, które trzymały cię pod gołym niebem w każdą pogodę – wydawało się sielanką.

Valence jęknął z urazą:

– Powiedziałem, żeby nikogo...

Zamilkł, kiedy uświadomił sobie, że to Garric jest tym intruzem. Zamiast dworskich szat z cienkiego jedwabiu, jakie szlachcic nosi w swoich prywatnych pokojach, miał na sobie włosienicę, w której zapewne czuł się jak nagi w pokrzywach.

Garric poznał już dwóch kapłanów, którzy znaleźli się w najbliższym otoczeniu króla. Głównym hierofantem Ornifal była siedemdziesięcioletnia kapłanka o skórze jak kość słoniowa i spojrzeniu twardym jak stal. Przed nominacją założyła zakon szpitalników, który teraz utrzymywał prawie sto hospicjów w różnych częściach wyspy. Towarzyszył jej przełożony świątyni Pasterza Opiekuna Valles. Był zażywnym mężczyzną, który nigdy niczego nie przeoczył – i nigdy nie wypuszczał z rąk tego, co raz w nie wpadło.

– Wasza Wysokość – powiedział Garric – mamy ważne sprawy do omówienia.

Duchowni już wychodzili z pokoju. Za pierwszym razem, kiedy Garric przyszedł porozmawiać z królem, spodziewali się, że wezmą udział w tej rozmowie. Szybko przekonali się, że byli w błędzie.

Valence z rozpaczą potrząsnął głową.

– Czy to konieczne? – jęknął. – Nie rozumiesz, jakie to ważne, żeby Pani wybaczyła mi moje grzechy!

Garric z trudem powstrzymał szyderczy uśmiech. Prawdę mówiąc, Valence miał rację: Garric nie sądził, aby to, czy władca uzyska przebaczenie Wielkich Bogów, miało jakieś znaczenie. Jednakże w rzeczywistości Valence mówił w ten sposób: „Nie masz pojęcia, ile wyrządziłem zła”, a to wcale nie było prawdą.

– Sytuacja normalizuje się, tak jak przewidywaliśmy, panie – powiedział Garric, ignorując narzekania króla. – Na zachodzie wyspy przechodzi na naszą stronę więcej zwolenników królowej, niżbym chciał, lecz przeważnie są to członkowie rodzin, które od pokoleń przewodziły w swoich okręgach. Trzeba będzie ich pilnować, ale nie mamy innego wyboru.

Chociaż Valles zaakceptowała nowe rządy, na pozostałej części wyspy nie było to takie proste. To, że Waldron i inni ziemianie z północy poparli księcia Garrica, wystarczyło, by drobna szlachta z południa i wschodu ociągała się z poparciem, a nawet groziła secesją i ustanowieniem odrębnego okręgu. Podpis Valence’a na rozkazach Royhasa i Tadaia w takim samym stopniu utrzymywał jedność Ornifal, co siła wojsk Waldrona.

Liane rozłożyła nóżki przenośnego stolika, w którym trzymała ostatnie dokumenty. Był to przemyślnie skonstruowany sprzęt z cyprysowego drewna z mosiężnymi okuciami, niegdyś własność jej często podróżującego ojca. Royhas przyszedł tutaj, aby odpowiedzieć na wszelkie pytania związane z tymi dokumentami, aczkolwiek ostatnio Valence interesował się wyłącznie swoim życiem pozagrobowym. Royhas od wielu lat był przyjacielem Valence’a, ale i to nie miało już dla władcy znaczenia.

Garric musiał wziąć udział w tym spotkaniu, ponieważ tylko on mógł anulować rozkaz wydany przez króla Krwawym Orłom, a ponadto Valence tylko jego był gotów wysłuchać. W myślach usłyszał śmiech.

– *To nieważne, któremu z nas przypada zasługa, byle tylko osiągnąć cel* – mruknął jego przodek przez otchłań wieków.

– Jeśli zechcesz podpisać... – powiedziała Liane, kładąc na blacie stoliczka pierwszy z dokumentów.

Valence wyjął zza pleców bicz i smagnął się nim po plecach. Rzemienie z trzaskiem uderzyły o czarną włosienicę.

– Bestia pożre nas wszystkich! – krzyknął.

Garric jedną ręką złapał za przegub władcy, a drugą chwycił bat. Valence stawiał słaby opór.

– Bestia porwie mnie! – jęknął.

– Przestań! – krzyknął Garric i cisnął batem o ścianę. Bezwiednie potrząsnął Valence'em. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, puścił króla i cofnął się o krok. – Panie! – warknął gniewnie. – Musisz być mężczyzną! Ludzie umierali za ciebie!

Valence osunął się na podłogę i zaczął szlochać. Troje pozostałych patrzyło na to z obrzydzeniem i mieszanym. Royhas wzruszył ramionami.

– Nie ma tu niczego takiego, co nie mogłoby poczekać dzień czy dwa – rzekł cicho. – Powiem wartownikom, żeby dali mi znać, kiedy... hm... król będzie w lepszej formie.

Garric odwrócił stolik i złożył nóżki.

– Obiecałem Tenoctris, że znajdę chwilę czasu, żeby zaprowadzić ją do rezydencji królowej – powiedział, myśląc już o innych sprawach.

Valence był nominalnym Władcą Wysp i rzeczywistym królem Ornifal. Teraz...

Kiedy Garric składał stolik, Liane podeszła i podniosła leżący w kącie bat. Oczywiście, Valence mógł zdobyć inny. Mógł też powiesić się na sznurze swojej włosienicy, gdyby chciał... I w jakiej wtedy znaleźliby się sytuacji?

Garric wyszedł za swymi towarzyszami do przedsionka i cicho zamknął za sobą pięknie rzeźbione drzwi.

Czy ze mną będzie tak samo, jeśli napięcie stanie się nie do zniesienia?, pomyślał.

Prędzej słońce szernieje i wyschną wszystkie morza!, huknął głos w jego umyśle. *A nawet później!*

– Och! – mruknął Cashel, podrzucając pionowo pałkę i przez chwilę balansując nią na wskazującym palcu lewej ręki. Kiedy za bardzo się przechyliła, pozwolił jej upaść i chwycił w prawą dłoń. – Czyż to nie przyjemnie znowu mieć tyle miejsca, Zahagu?

Małpolud siedział w kucki, prawą ręką drapiąc się po żebrach i odchylając głowę tak daleko w lewo, jak nie zdołałby tego zrobić żaden człowiek. Birema, którą przyплыnęli do zewnętrznego portu Valles, już wracała do Pandah.

– Miejsca jest sporo – przyznał bez entuzjazmu Zahag. – Tylko nie podoba mi się to miasto. Myślę, że powinniśmy poszukać lepszego miejsca. I to szybko.

– Och, tu jest całkiem nieźle – rzekł Cashel, choć prawdę mówiąc, kiedy o tym pomyślał, też czuł się tu trochę nieswojo. I mrowiło go w kościach. – W każdym razie muszę znaleźć sobie jakąś pracę, żebyśmy mogli coś zjeść. Myślałem, że bez trudu dostanę robotę przy rozładunku statków, ale...

W porównaniu z ruchliwym Erdinem czy Divers na Pandah port Valles wyglądał jak wymarły, mimo że nie był całkowicie opuszczony. Załedwie połowa licznych przystani była zajęta, a większość zacumowanych przy nich statków nawet niedoświadczony w tych sprawach Cashel uznał za nie nadające się do żeglugi. Na pomostach nie leżały sterty towarów, a tawerny i stragany, na których sprzedawano samodzielną odzież i mile sercu marynarza drobiazgi, przeważnie były pozamykane. A przecież o tej porze dopiero powinien zaczynać się największy ruch.

– A zatem dokąd idziemy? – zapytał marudnie małpolud. – Na statku nie zjedliśmy nawet tyle, żebyśmy napełnili sobie żołądek, i nie zamierzam opuścić następnego posiłku.

– No to go sobie zdobądź – warknął Cashel. Skręcił w pierwszą lepszą uliczkę, ponieważ uznał, że to równie dobry kierunek jak każdy inny. On też był głodny. Teraz, kiedy minęła już pierwsza radość z powrotu na stały ląd, burczało mu w brzuchu i bolały go wszystkie mięśnie, zeszywniałe po całodniowym pobycie na pokładzie statku, na którym nie było nawet tyle miejsca, żeby się odwrócić.

Z przeciwnej strony nadeszły trzy kobiety w średnim wieku z piwem w skórzanych nosidełkach. Rozmawiały ze sobą, ale na widok Cashela i Zahaga zamilkły i przeszły na drugą stronę ulicy. Cashel chciał zapytać je, gdzie mógłby znaleźć posiłek i kąt do spania, za który zapłaci rano, lecz ich podejrzliwe zachowanie sprawiło, że ugryzł się w język.

Takie sytuacje sprawiały, że zastanawiał się, czy w ogóle powinien był opuszczać Barca's Hamlet. Oczywiście, musiał to zrobić, ponieważ Sharina wyjechała z wioski, ale czasem żałował, że to zrobiła. W Barca's Hamlet Cashel często też bywał głodny, zmarznięty i zmęczony, a w dodatku wyśmiewany jako ociężały. Nigdy jednak nie myślał o tym, gdzie jest jego dom, dopóki go nie opuścił.

– Aria mogła dać ci pieniądze – rzekł ze złością Zahag.

– Dlaczego miałyby to robić? – zdziwił się Cashel. – Poza tym Aria nie miała żadnych pieniędzy.

Była gościem Folquina, tak samo jak my.

– Właśnie – mruknął małpolud. – A on oddałby ci cały swój skarbiec, gdybyś zagroził, że zostaniesz, jeśli tego nie zrobi. Jesteś chyba...

– Zahagu – warknął ochryple Cashel.

– Racja, wodzu – rzekł pospiesznie małpolud. – Racja, nie wiedziałem, co mówię.

W pobliskiej bramie stał mężczyzna w dwóch tunikach. Wierzchnia była lekko znoszona i skrojona tak, by ukazywała bogaty haft tej pod spodem. Mężczyzna wyszedł z bramy i powiedział:

– Cześć, koleś. Czyżbym słyszał mówiącą małpę?

– Być może słyszałeś rozmawiającego małpoluda, mój dobry człowieku – rzekł Zahag tonem, jakiego rzadko używał w obecności Cashela. – A jeśli tak, to z pewnością zauważyłeś, że ma znacznie lepszą dykcję niż alfons z portowej dzielnicy.

– Rany! – ucieszył się mężczyzna. – Nie chcesz go sprzedać?

Zahag zjeżył się, a potem z nagłym niepokojem spojrzał na Cashela. Ten położył dłoń na jego włochatym ramieniu.

– Nie – powiedział – ale byłbym rad, gdybyś mi powiedział, gdzie znajdę pracę, łóżko i posiłek, panie.

– No, za taką tresowaną małpę mogę znaleźć ci łóżko i kogoś, kto je ogrzeje! – rzekł tubylec. – Dla takiego dżentelmena jak ty mogę znaleźć nawet więcej chętnych do ogrzania łóżka i jeszcze zapłacę ci kupę forsy. Ile chcesz za...

– Nie – powiedział Cashel. Nie podniósł głosu, ale lekko stuknął pałką o bruk, aż trysnęły skry. W pierwszej chwili uznał, że Zahag nazwał nieznanego alfonsiem w przyływie złego humoru, lecz najwidoczniej małpolud znał się na tych sprawach lepiej niż Cashel – i niech tak zostanie. – Chcę tylko znaleźć miejsce, gdzie dadzą mi pracę. Uczciwą pracę.

Alfons skrzywił się i odwrócił.

– Idź do pałacu – rzucił przez ramię. – Zatrudniają silnych ludzi do noszenia kamieni.

– Panie? – powiedział Cashel. Nie wiedział, gdzie znajduje się pałac. Alfons odchodził. – Panie! – powtórzył młodzieniec nieco głośniejszym głosem, aż zaskrzypiały okiennice.

Alfons potknął się i odwrócił.

– Proszę, powiedz mi, jak dojść do pałacu? – powiedział normalnym głosem Cashel. U jego stóp Zahag klepał się po udach i entuzjastycznie chichotał.

Alfons zdołał przywołać na usta profesjonalny uśmiech. Wskazał w tym kierunku, w którym poprzednio zmierzali.

– Trzy przecznice stąd jest szeroki bulwar, wzdłuż którego stoją posągi – powiedział. – To aleja Posągów. Skręcisz w lewo i pójdziesz dalej, aż dojdiesz do pałacu.

Cashel spojrzął na swoje dłonie, ze skupieniem marszcząc brwi. Zahag pociągnął go za skraj tuniki.

– Wiem, która to lewa ręka – powiedział. – Chodźmy. Na Pandah rozdają żebrakom resztki z królewskiego stołu. Może tutaj też są cywilizowani.

– Nic się nam nie stanie, jeśli opuścimy jeden posiłek – mruknął Cashel. Mimo to ten pomysł coraz bardziej mu się podobał, może dlatego, że Zahag tak stanowczo go forsował. Słońce chyliło się już ku zachodowi, więc wydłużył krok, aby dotrzeć do pałacu, zanim król zamknie swój dom na noc.

Zahag sadził długie susy na czworakach. Jeśli nawet ocierał knykciami o bruk, to nie zwalniał tempa. Cashel zachichotał. Małpolud spojrzął na niego i zapytał:

– Co cię tak śmieszy?

Powiedział to kwaśnym tonem, jakby rzeczywiście otarł sobie knykcie na bruku.

– Pomyślałem sobie, że tylko raz pędziłem tak szybko – gdy musiałem nadążyć za osłami zmierzającymi do wodopoju po popołudniowej orce. Każdy, kto uważa je za powolne stworzenia, nie widział, co potrafią, kiedy się je wyprężnie.

– Nie znasz żadnych mądrych zwierząt? – prychnął Zahag.

Kiedy Cashel z Zahagiem opuścili port, znaleźli się na ruchliwej ulicy. Ostatnie kłopoty najwidoczniej miały większy wpływ na handel morski niż na codzienne życie Valles. Minęli kilka spalonych niedawno budynków przy alei Posągów. W powietrzu wokół unosił się zapach spalenizny, a nie tylko dymu.

– Hmm – mruknął Zahag. – Tutaj zginęli ludzie. Czujesz ten odór?

– Taak – odparł Cashel. – Czuję.

– Mówiłem ci, że powinniśmy udać się gdzie indziej – wymamrotał małpolud. Teraz szedł tak blisko Cashela, że przy każdym kroku ocierał się ramieniem o jego łydkę.

Duży oddział wojska wypełniał połowę szerokości ulicy, po której podążali. Wprawdzie żołnierze szli raźniej niż równie liczne stado owiec, ale...

Stanąwszy na skrzyżowaniu alei z wąską, boczną uliczką, młodzieniec zerknął pod słońce. Jeśli pałac nie znajdował się bliżej, niż Cashel sądził, oddział maszerował zbyt wolno, jak na jego gust.

– Przejdźmy na drugą stronę – rzekł do Zahaga. Druga strona ulicy była zapchana przez podążający w przeciwnym kierunku tłum, ale może uda im się wrócić na tę stronę, kiedy już wyprzedzą żołnierzy. Chodnik był zatarasowany straganami handlarzy, które rozstawiono w każdym wolnym miejscu między kamiennymi postumentami posągów z brązu.

Zahag przemknął pod wozem dostawczym, podczas gdy Cashel przecisnął się między pojazdem a małym stoiskiem, za którym kobieta o piskliwym głosie sprzedawała smażone ryby na bambusowych patykach. Kiedy razem z małpoludem przeciskali się przez tłum, Zahag obejrzał się na żołnierzy, których właśnie wyprzedzili.

– Hej, popatrz na ich mundury – powiedział. – Oni nie są stąd. Błękit i morska zieleń to barwy Trzeciej Atary. Kiedy byłem mały, pracowaliśmy tam przez tydzień z kaleką, ale to, co zarabialiśmy, ledwie wystarczało na jedzenie. Baron nie zostawia swoim poddanym wielu pieniędzy.

Zahag poruszał się na trzech kończynach, jedną ręką wpychając do ust banana. Jadł go ze skórką, a Cashel domyślił się, że lepiej nie pytać, skąd go wziął.

– Nigdy tam nie byłem – rzekł Cashel, gdyż uprzejmość wymagała jakiejś odpowiedzi. Do tej chwili nawet nie słyszał o takim miejscu. Pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy tragarze nieśli lektyki. Obok podróżujących na nich bogaczy szło kilka osób, mężczyzn i kobiet.

– Wyglądają na szlachetnie urodzonych, nie uważasz?

– Spójrz! – wrzasnął Zahag. – Spójrz!

Przystanął na środku ulicy i zaczął podskakiwać, bełkocząc w jakimś swoim języku. W każdym razie nie był to żaden język znany Cashelowi.

– Co się stało? – spytał ze znużeniem Cashel. Miał dosyć kłopotu, przedzierając się pod prąd, a jeszcze gorzej było stać jak słup na ulicy i znosić potrącanie. Może małpolud zakrztusił się ostatnim kęsem banana i zaczął się dusić. Bo z pewnością pochłonał go w rekordowym tempie.

– Chłopak i kaleka! – krzyknął Zahag. – Chłopak i kaleka!

Wszyscy wokół gapili się teraz na Cashela i Zahaga albo na idących drugą stroną ulicy żołnierzy. Ci wraz z podążającymi między nimi cywilami obrócili głowy, szukając przyczyny tego zamieszania.

W jednej z lektyk podróżował mężczyzna bez nóg. Cashel nie rozpoznał go, lecz był pewien, że młodzian w czerwonej szacie obok niego to czarodziej, którego spotkał na dworze króla Folquina, kiedy przybył tam z Shariną.

Człowiek w drugiej lektyce z pewnością był szlachcicem. Miał na sobie połączony pancerz, w którym na pewno było mu niewygodnie na poduszkach lektyki. Równie bogato zdobiony hełm leżał u jego nóg. Idąca obok lektyki smukła kobieta spojrzała na Cashela. Nie poznał jej od razu, ponieważ nie przyszło mu do głowy, że mogłaby tu być. Rozdziawił usta.

– Dobry wieczór, bracie – zawołała uradowana Ilna. – Miałam nadzieję, że cię tu znajdę.

CZWARTY DZIEŃ KUROPATWY (PÓŹNIEJ)

Ilna uściskała brata i poczuła przeszywający żal. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo...

Nie polegała na nim, gdyż Ilna nie liczyła na nikogo oprócz samej siebie, ale przyzwyczała się do jego spokojnej obecności. Dopiero odzyskawszy go, poczuła, czego jej brakowało.

Miała go tylko na jakiś czas. Ilna nie spodziewała się bowiem, by przeznaczenie zaprowadziło Cashela do Erdinu, gdzie wzywały ją obowiązki.

Halphemos i Cerix rozmawiali z małpą. Tragarze postawili lektykę Cerixa na bruku. Halphemos i małpolud przykucnęli obok niej. Małpiszon drapał się tylną łapą po brzuchu. Wszyscy trzej spoglądali na siebie czujnie niczym dawni wspólnicy podejrzewający, że pozostali mogą czuć się urażeni.

Robilard wysiadł z lektyki. W porcie chciał wynająć taki środek transportu dla Ilny, ale odmówiła z pogardą. Baron pewnie miał ochotę odprawić swoją lektykę, ale słusznie obawiał się, że Ilna uznałaby go nie tylko za rozpuszczonego maminsynka, ale w dodatku za niezdecydowanego słabeusza. Uśmiechnęła się. Robilard, jak na szlachcica, nie był aż takim złym człowiekiem. Kiedyś może wyrośnie na prawdziwego mężczyznę.

Cashel spojrzał na Halphemosa.

– Czy ten czarodziej powiedział ci, co się dzieje z Shariną?

Ilna przecząco pokręciła głową.

– Zostali rozdzieleni, zaraz po tym jak opuściłeś Pandah – powiedziała. – Teraz, kiedy cię odnalazłam, możemy jej poszukać. Wszystko po kolei. – Odchrząknęła. – Zastanawiałam się, czy słyszałeś coś o Tenoctris i... i pozostałych.

– Nic – potrząsnął głową Cashel. – Kiedy widziałem ich ostatnio, pochłonął ich... – Wzruszył ramionami. – To coś, co połknęło statek – dokończył. – Myślałem, że to burza, ale Halphemos twierdzi, że to było coś innego.

Towarzyszący Robilardowi oddział składał się z uzbrojonych w oszczepy i krótkie zagięte miecze wioślarzy w hełmach. Ci ludzie byli ćwiczeni do walki na morzu, nie na lądzie, a mimo to tworzyli kordon, którego przechodnie, choćby nie wiem jak rozgniewani, nie mogli przerwać. Teraz czekali, aż ich dowódcy podejmą decyzję. Sądząc po ich nonszalanckim zachowaniu, nie było to dla nich niczym nowym.

Lord Hosten maszerował na czele kolumny, ponieważ znał Valles. Teraz przyprowadził do nich cywila w średnim wieku.

– To jest pan Talur, nasz przedstawiciel w porcie i południowych okręgach, baronie – powiedział do Robilarda.

Talur, człowiek o cerze ciemniejszej niż zwykle widywana w Valles, skłonił się baronowi.

– Nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj, milordzie – rzekł. – Hm... szczerze mówiąc, sytuacja jest bardzo skomplikowana. Wolałbym, żebyś wybrał sobie inny moment na wizytę.

Przedstawiciel miał na sobie tunikę ściągniętą szeroką jedwabną szarfą i krótki płaszcz haftowany w geometryczne wzory. Ilna wiedziała, że ten strój to ostatni krzyk mody w Valles, lecz w głosie tego człowieka usłyszała wyraźne ślady akcentu Haft. To odkrycie sprawiło jej

nieoczekiwaną przyjemność.

– Sprowadziła mnie tu sprawa honoru – rzekł poważnie Robilard.

– Mimo to chętnie dowiemy się, jak wygląda sytuacja, żebyśmy mogli uniknąć kłopotów – wtrącił Hosten. A widząc, że jego młody pan marszczy brwi, pospiesznie dodał: – Jeśli tylko nie będzie to kolidowało z poczuciem honoru. Z pewnością zamierzamy chronić panią Ilnę przed podejmowaniem zbytecznego ryzyka, kiedy jest pod naszą opieką.

Ilna poczuła, że kąci jej ust unoszą się w uśmiechu. Nie sądziła, że kiedykolwiek zmieni zdanie na temat ludzkości jako takiej, lecz podczas swoich podróży napotkała zdumiewająco wielu godnych szacunku ludzi. Lord Hosten był jednym z nich.

– Tak, oczywiście – odparł z widoczną ulgą Talur. – Zamieszki, w wyniku których wypędzono królową, skończyły się, lecz plotka głosi, że admirał Nitker z królewską flotą zamierza uderzyć na Valles, a królowa chce odzyskać władzę za pomocą cesarzy.

– To chyba tylko plotki? – zdziwił się baron. – W porcie powitano mnie z najwyższą kurtuazją, a nie jak potencjalnego wroga.

– Plotki – przytaknął Talur – ale bardzo wiarygodne, obie. Mimo wszystko nowy rząd przygotowuje miasto do obrony, a co do cesarzy... No cóż, przecież wypędzili stąd królową. – Rozejrzał się wokół, po czym dodał: – I w samą porę. Gdyby jej nie powstrzymali...

Rozłożył ręce.

– No cóż, to w niczym nie zmienia naszych planów – powiedział Robilard. – Oczywiście, muszę złożyć wizytę królowi Valence'owi i zapytać go, czy pomoże mi odszukać przyjaciół, których zamierza znaleźć tu pani Ilna.

Skinieniem głowy przedstawił Ilnę Talurowi. Ilna zmarszczyła brwi. Wiedziała, że baron próbował jej pomóc, ale to stawiało ją w fałszywym świetle. Nie zaprotestowała, wiedząc, że kontakty Robilarda na królewskim dworze mogą jej znaleźć Tenoctris i Liane... a także Garrica... szybciej, niż zdołałaby to zrobić sama czy nawet razem z dwoma czarodziejami.

– A także omówić kwestię zakwaterowania załogi, panie – dorzucił Hosten.

– Tak, oczywiście – przyznał baron. – Nie byłoby jednak uprzejmie wmaszerować do Valles i umieścić setki zbrojnych w gospodach, nie powiadamiając o tym króla Valence'a.

– Kiedy miniemy świątynię Pani Granic, znajdziemy się w pobliżu pałacu – oznajmił Talur, kiwając głową na zgodę, lecz nieznacznie marszcząc brwi. – To niedaleko, jak widać.

Wskazał na przysadzisty gmach z piaskowca, z filarami wzdłuż bocznych ścian i przed wysokim frontem.

– Tylko że zapewne będziecie musieli rozmawiać z przedstawicielami nowych władz. Valence pozostał królem, lecz wiele swoich obowiązków przekazał swojemu następcy, księciu Garricowi.

Ilna zaniemówiła. Poczowała, jak wszystkie nitki układają się w czytelny wzór, lecz jej umysł nie mógł zaakceptować tego, czego tak bardzo pragnęła. Cashel nie miał takich oporów.

– Garric? – zapytał. – Mówisz o Garricu or-Reise z Barca's Hamlet?

Talur obrócił się, po raz pierwszy spojrzawszy na Cashela i odparł:

– Księżę Garric przed nominacją był Garrikiem bor-Haft. A przynajmniej tak twierdzą urzędnicy z pałacu, chociaż przyznają, że bardziej od jego pochodzenia interesują mnie przyszłe konsekwencje jego nominacji.

– Czy jest z nim starsza dama imieniem Tenoctris? – spytał Cashel. – I dziewczyna zwana Liane os-Benlo? Jest prawie tak ładna jak Sharina.

Ilna skrzywiła się, słysząc radość w głosie brata. Mieli podobne zapatrywania, ale Ilna mogła tylko z daleka patrzeć na słoneczne piękno świata Cashela. Była pewna, że postrzeżę wszystko

wnikliwiej od brata, ale czasem myślała, że dobrze byłoby zapomnieć o rzeczywistości i żyć w świecie szczęśliwych iluzji tak jak on.

– Owszem – zdziwił się Talur. – Czy znasz księcia Garrica, dobry panie?

– Kiedyś znaleźliśmy go – powiedziała stanowczo Ilna. – Poza tym i tak szliśmy do pałacu, więc... – Uśmiechnęła się kpiąco. – Myślę, że powinniśmy zrobić to, co zamierzaliśmy.

– Mannor był earlem Sandrakkanu, kiedy Vales Piąty był Władcą Wyp... – powiedziała Liane, poprawiając brązowy płaszcz na ramionach Garrica. – Zwykł wychodzić nocami w przebraniu razem ze swoim kanclerzem, żeby dowiedzieć się, co jego poddani naprawdę myślą o jego rządach.

Stali razem z Tenoctris w chatce dozorczy w pobliżu głównej bramy pałacu. Do kompleksu można było wejść przez tuzin innych zarówno tylnych drzwi, jak i otworów w miejscach, gdzie mur zawalił się lub został uszkodzony przez służbę, która używała takich przejść do własnych celów. Ponieważ jednak Garric udawał się do miasta w przebraniu, nie chciał korzystać z normalnej bramy. A Tenoctris była zbyt słaba, żeby wspiąć się po linie na drzewo.

– To był tylko pretekst – rzekł Garric. – Założę się, że w rzeczywistości robił to, żeby spokojnie zjeść posiłek lub przespać się kilka godzin, a wiedział, że nie zdoła, jeśli wszyscy będą wiedzieli, gdzie go znaleźć.

Liane cofnęła się i wnikliwie obejrzała Garrica, ale w końcu z aprobatą skinęła głową. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Młody hodowca była z Haft, który zwiedza Valles po przywiezieniu doborowego stada na Ornifal. – Lekko spoważniała. – Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, Garricu? Wyglądasz na okropnie zmęczonego.

Tenoctris przeglądała kuferek ze sproszkowanymi minerałami, ziołami i tkankami zwierząt, drobno zmielonymi i umieszczonymi w posegregowanych pojemniczkach z krowich rogów, zamkniętych miedzianymi zatyczkami. Podniosła głowę i zauważyła:

– Garricu, ktoś inny mógłby...

– Nikomu innemu nie ufam! – wypalił Garric i zaczerwienił się. Naprawdę był bardzo zmęczony, skoro nie potrafił zapanować nad gniewem. – Przepraszam – rzekł. – Poza tym to nieprawda, że nie wierzę, by paru żołnierzy Krwawych Orłów nie mogło ochronić cię równie dobrze jak ja, Tenoctris. Tak naprawdę, to po prostu chcę się stąd wyrwać i poczuć, że coś robię, zamiast tylko...

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Zamiast tylko rozmawiać z ludźmi o tym, co ktoś kiedyś powinien zrobić – dokończył. – Chociaż wiem...

Lewą ręką postukał w koronacyjny medal na swej piersi, żartobliwie salutując w ten sposób królowi w swoim umyśle.

– ...że to ważne i nie zamierzam tego poniechać. Jednakże nie zamierzam robić tylko tego, gdyż w przeciwnym razie wkrótce zacznę bełkotać i tańczyć nago na ulicach. Muszę choć na chwilę przestać być królem.

– Wróc szczęśliwie – powiedziała Liane z uśmiechem, którym nie zdołała zamaskować troski. Nie próbowała odwozić Garrica i Tenoctris od tej samotnej wycieczki, ale chciała, żeby poszli we trójkę, tak jak robili to kiedyś.

– Wrócę – obiecał Garric.

Zarzucił na plecy sakwę Tenoctris i podał staruszcze ramię. Prawą rękę pozostawił wolną – na wszelki wypadek.

Dawniej było inaczej. Teraz ktoś w pałacu musiał wiedzieć, gdzie podział się książę Garric,

gdyby nagle go potrzebowano. Liane była jedyną osobą, której Garric mógł zaufać, że wezwie go z rezydencji królowej w razie rzeczywistej potrzeby, a nie będzie niepokoić go tylko dlatego, że przybył poseł z Blaise lub jakiś dziedzic z północy wytarzał królewskiego sędziego w końskim łajnie, po czym wygnał go ze swych włości.

Poszli w kierunku bramy, lecz Liane pozostała dwa kroki za nimi. Przy tym wejściu zawsze panował ożywiony ruch. Rządzenie wymagało personelu i dostaw, włącznie z jadłem i napojami. Oprócz urzędników i dostawców przechodziło tamtędy więcej ludzi, niż Garric sobie wyobrażał – mimo że Carus uprzedzał go o tym ze śmiechem – zamierzających prosić króla o sprawiedliwość, monopol na coś lub po prostu o audiencję.

Zgodnie z propozycją Liane zarówno Tadaï, jak i Royhas przysłali urzędników, którzy odsiewali petentów. Rywalizacja między tymi dwoma wielmożami sprawiała, że żaden karierowicz nie zdołałby przekupstwem dostać się przed oblicze króla. A oddział Krwawych Orłów gwarantował, że ci, którym odmówiono audiencji, pogodzą się z odmową.

Oprócz ludzi próbujących wejść do pałacu w interesach było też sporo zwyczajnych gapiów. Ci z kolei przyciągali drobnych handlarzy, którzy z wózków sprzedawali wszystko – od pasztecików po srebrne amulety w kształcie skrzydlatego smoka, na którym uciekła królowa (według sprzedawcy, niezawodnie skuteczne przeciwko napadom i przegranym procesom). Kobieta tak ładna jak Liane zwróciłaby uwagę, a gdyby towarzyszył jej Garric, z pewnością zostałaby rozpoznany.

Słońce schowało się za horyzontem, choć na tle jasnego nieba wciąż widać było kontur zachodniego muru pałacu i najwyższych ze stojących dalej budynków. Brama była otwarta jak zwykle. Słudzy właśnie zawiesili lampy oliwne na uchwytych umieszczonych w obu połówkach wrót, tak by urzędnicy przy wejściu mogli pracować przy świetle.

Jednakże na ulicy panowało większe niż zwykle zamieszanie. Cała dwudziestka Krwawych Orłów stała przy bramie. Kiedy Garric zbliżał się do niej, oficer dowodzący wartą posłał łącznika do przełożonego po instrukcje.

Tuż za bramą stał liczny oddział zbrojnych. Przepchnęli się przez tłum gapiów, lecz podążający na przdzie mężczyźni w cywilnych ubraniach uprzejmie rozmawiali z dowódcą warty. Ten obcy oddział eskortował dygnitarzy, którzy czekali w lektykach, aż niższe szarże obu stron dojdą do porozumienia.

– Oni są z Trzeciej Atary – powiedziała Liane. Kiedy Garric zwolnił kroku, żeby ocenić sytuację, zanim się wtrąci, znowu znalazła się obok niego. – Widzisz konika morskiego i błękitne obszywki na ich kubrakach?

– Zauważyłem – odparł Garric – ale nic mi to nie mówiło.

Reise zapewnił swoim dzieciom doskonałe klasyczne wykształcenie, ale nie zaśmieszał im głów szczegółami dotyczącymi aktualnych stosunków politycznych, chociaż z pewnością je znał. Był zatrudniony w królewskim pałacu, a później na dworze księcia i księżnej Haft. Jego zdaniem, takie sprawy nie miały większego znaczenia ani żadnego wpływu na interesy gospody w Barca's Hamlet.

Dowódca gwardzistów, porucznik imieniem Besimon, zauważył i rozpoznał stojącego w pobliżu Garrica. Stropiony, zacisnął usta, ale nie zawołał księcia po imieniu i nie zdradził jego obecności. Jednak byłoby nie w porządku, gdyby Garric nie pomógł Besimonowi w sytuacji, która najwyraźniej przekraczała jego kompetencje.

– Muszę się tym zająć – mruknął Garric i ruszył naprzód. Wcale nie zdziwiło go to, że Tenoctris i Liane poszły za nim. Staruszka wspierała się na ramieniu dziewczyny.

– Poprosiłem, żeby kanclerz przyszedł do bramy... hm... panie – rzekł Besimon, dając Garricowi kolejną szansę ukrycia swojej tożsamości. Porucznik był mężczyzną po trzydziestce, młodszym synem

szlacheckiej rodziny z północy Ornifal. – Baron Trzeciej Atary przybył z gośćmi, którzy twierdzą, że znają księcia Garrica.

– Garric! – huknął Cashel. Przedarł się przez stojących na jego drodze żołnierzy jak lemiesz przez miękką glebę. – Och, myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę!

Garric uściskał przyjaciela, lekko odchylając głowę na bok, żeby pałka, którą Cashel trzymał w ręku, nie stuknęła go w głowę. Fakt, że Cashel nie połamał mu kości w serdecznym uścisku, najlepiej świadczył o tym, jakim krzepkim młodzieńcem był Garric. Cashel znał swoją siłę, ale w podnieceniu czasem przeceniał możliwości innych ludzi.

– Nie znaleźliśmy cię na Brzegu! – powiedział Garric, prawie krzycząc z radości i chcąc zagłuszyć głosy innych ludzi. – Już się obawiałem..

Nie powiedział, czego się bał. Starał się nie myśleć o tym, co stało się z Cashelem i Shariną aż do tej chwili, kiedy...

Kiedy przekonał się, że Cashel nie jest topielcem o wydętym ciele i twarzy wyjedzonej przez ryby. Od chwili, gdy ocknął się na błotnistej plaży Brzegu, taki obraz podsuwała mu wyobraźnia za każdym razem, gdy spojrzał na morze.

Inne postacie przepychały się ścieżką, którą utorował Cashel.

– Czy Sharinie nic się nie stało? – spytał Garric, odsuwając się i odchylając w bok, żeby spojrzeć zza szerokich barów przyjaciela. W smugach cienia rzucanych przez lampy ujrzał smukłą kobiecą postać. – Shar...

Głos uwiązał mu w gardle.

– Ilna! – zawołał ze zdumieniem i zobaczył, jak Ilna, słysząc to, skrzywiła się.

Wyszedł jej naprzeciw. Usiłowała się cofnąć. Garric wziął ją w ramiona i podniósł w górę, chociaż się opierała.

– Ilno, myślałem, że jesteś bezpieczna w Erdinie – rzekł. Poczł, że rozluźniła mięśnie. Garric nie był tak silny jak Cashel, lecz w stajni ojca gołymi rękami powalał krnąbrne konie na kolana, chwytając za uzdy. – Martwiłem się o Sharinę i nie wiedziałem, że ty też jesteś w niebezpieczeństwie.

Kiedy postawił ją na ziemi, Ilna uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Uśmiechnęła się z przymusem.

– Cashel jest bezpieczny i ty też – powiedziała. Wyciągnęła z rękawa sznurek i zaczęła go zawiązywać, żeby zająć czymś ręce. – Znajdziemy Sharinę, Garricu. Znajdziemy ją.

Te słowa, wypowiedziane przez kogoś innego, byłyby tylko pobożnym życzeniem. W ustach Ilny były czymś więcej.

Młody człowiek w szacie noszącej ślady długiej podróży raczej prześlizgnął się, niż precyzyjnie do Ilny. Stał z rękami założonymi na plecy, gniewnie spoglądając na Garrica. Ten nie przypominał sobie, żeby spotkał go wcześniej. Ilna zauważyła rozbawione spojrzenie Garrica. Odwróciła się, zobaczyła młodzieńca i powiedziała:

– Garricu, ten oto pan Halphemos i jego przyjaciel Cerix są czarodziejami. Uratowali mi życie i przybyli ze mną na ratunek Cashelowi, co wiele ich kosztowało.

Posłała Garricowi ten dobrze mu znany, krzywy uśmiech.

– Wprawdzie Cashel nie potrzebował pomocy, ale to w niczym nie zmniejsza ceny, jaką zapłacili Halphemos i Cerix.

Garric skłonił się młodemu czarodziejowi. Wyciągnąłby do niego rękę, lecz błysk w oczach czarodzieja ostrzegł go, że tamten mógłby nie podać mu swojej. Garric wolał uniknąć takiej kłopotliwej sytuacji, szczególnie na oczach tylu widzów.

– Każdy, kto pomógł Ilnie, jest moim przyjacielem – rzekł Garric. Nie rozumiał, co też Halphemos ma przeciwko niemu. Czyżby myślał, że Garric specjalnie opuścił Ilnę?

– Wasza Wysokość – cicho powiedziała stojąca obok Liane. Rozumiał, dlaczego uważała, że w publicznym miejscu powinna zwracać się do niego tak oficjalnie, lecz jej słowa tak kontrastowały z ich bliską zażyłością w Barca's Hamlet, że każde „Wasza Wysokość” w jej ustach Garric odbierał jak policzek. – Może inne miejsce byłoby?...

– Tak, oczywiście – przytaknął Garric. On też to wiedział, ale jeszcze nie zdążył tego powiedzieć, zajęty powitaniem z przyjaciółmi. Spojrzał na kłębiący się przed bramą tłum.

Royhas i jego dwaj doradcy nadchodzili po brukowanym dziedzińcu, poprzedzani przez łącznika, którego wysłał po nich Besimon. Kanclerz jeszcze zawiązywał szarfę ze złotogłowiu na beżowej opończy, którą zarzucił na siebie, kiedy otrzymał wiadomość. Przed bramą, razem z żołnierzami, czekał sztywno wyprostowany młodzieniec ze starszym mężczyzną, który przedtem rozmawiał z Besimonem.

– A... – zaczął Garric, zwracając się do młodego człowieka.

– To baron Robilard – szepnęła mu do ucha Liane. Albo знаła władcę Trzeciej Atary z czasów, kiedy chodziła w Valles do szkoły, albo – co bardziej prawdopodobne – w ramach swych obecnych obowiązków nauczyła się na pamięć rodowych nazwisk i herbów wszystkich wielmożów Wysp.

– Baronie Robilardzie – rzekł Garric – mój kanclerz Royhas bor-Bolliman zajmie się tobą i twoimi ludźmi.

Skinął na Royhasa. Ten już wyjmował woskową tabliczkę, by zanotować na niej polecenia dla służby i kwatermistrzów.

– Mam nadzieję, że w pierwszej wolnej chwili... – rzekł Garric z uprzejmym uśmiechem, mówiąc całkowicie szczerze – ...a takich nigdy mi nie brakowało jeszcze tydzień temu, pozwolisz mi należycie cię uhonorować za uprzejmość, jaką okazałeś moim przyjaciołom.

– *Niewątpliwie odważny* – chłodno ocenił król Carus. – *I nawet niegłupi, chociaż to nie powstrzymuje takich jak on przed popełnianiem głupstw. Niewłaściwie pojęte poczucie honoru nie pozwala mu przyjmować dobrych rad, chyba że są starannie polukrowane.*

Jakiś cywil ubrany zgodnie z modą obowiązującą w Valles nachylił się i szepnął coś do ucha Robilarda. Baron wytrzeszczył oczy. Nisko się skłonił, tak energicznie, że hełm o mało nie spadł z jego głowy.

– Wasza Wysokość! – powiedział, prostując się. – Nie miałem pojęcia!

Garric przypomniał sobie, że ma na sobie zwyczajną opończę, a pod nią prostą i siermiężną tunikę.

– A tak, miałem wyjść w prywatnych sprawach – rzekł. Pani wie, co też Robilard sobie o tym pomyśli, ale rozmaite możliwości powstrzymają go od drażenia tego tematu. – Jeśli mogę coś zaproponować, to teraz przejdę wraz z przyjaciółmi do mojej kwatery, a kanclerz Royhas zajmie się moimi szacownymi gośćmi z Trzeciej Atary!

Zahag wspiął się na Cashela, opierając stopę na lewym biodrze młodzieńca i obejmując długim ramieniem jego plecy.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Cashel. Nie przeszkadzał mu ciężar, ale zdziwiło go zachowanie małpoluda.

– Nie zostanę tu bez ciebie, wodzu! – odparł Zahag. – Mówiłem ci, wyczuwam tutaj coś niedobrego i nie zamierzam sam stawić temu czoła!

Ilna szturchnęła Cashela.

– Sprowadź Cerixa – powiedziała, wskazując kalekę, który właśnie ulokował się na fotelu umieszczonym wraz z nim w lektyce. Żołnierze obserwowali to, ale nie próbowali mu w tym ani pomóc, ani przeszkodzić. Cashel domyślił się, że nie otrzymali rozkazu.

– Siostra kazała mi, żebym ci pomógł, panie Ceriksie – powiedział uprzejmie Cashel, przekładając pałkę do lewej ręki. W końcu Zahag trzymał się sam.

Cashel pochylił się i chwycił fotel na kółkach, po czym podniósł go razem z czarodziejem.

– Postaw mnie! – warknął Cerix, ale nie próbował się opierać. W przeciwnym razie mógłby runąć głową na bruk.

Lekko uginając się pod ciężarem małpoluda i wózka, Cashel przeszedł przez bramę. Siostra spojrzała na niego z niesmakiem i powiedziała:

– Popisujesz się. Niczego nie musisz im udowadniać.

– No... – zaczął Cashel.

Kobiety czy, jak mawiał Zahag, samice nie zawsze patrzyły na świat takimi samymi oczyma jak mężczyźni.

– Hej, ty! – warknęła Ilna, mierząc Zahaga spojrzeniem. – Złaż natychmiast. Zajmij się fotelem, a mój brat poniesie Cerixa.

Cashel wcale się nie zdziwił, kiedy małpolud zeskoczył na ziemię i oburącz chwycił wózek. Cerix złapał się ramienia Cashela, który na chwilę przycisnął go do piersi jak matka dziecko.

Stojące przy bramie Krwawe Orły zwały szeregi, gdy Ilna weszła za Zahagiem i Cashelem na teren rezydencji. Mężczyzna, nazywany przez Garrica kanclerzem, rozmawiał z baronem, który przywiózł tu Ilnę.

Kanclerz Garrica, księżę Garric... Cashel ze zdumieniem pokręcił głową.

Zahag maszerował rozkołysanym krokiem, trzymając fotel wysoko nad głową. Wyglądało to komicznie, ale małpolud nie robił tego celowo. Po prostu jego krótkie nogi nie poruszały się w taki sam sposób jak nogi człowieka.

Garric i Liane prowadzili grupkę ku czemuś, co z zewnątrz wyglądało jak pozbawiony okien budynek o płaskim dachu. Po wejściu do środka okazał się kolumnadą otaczającą dziedziniec, na którym zasadzono purpurowe i białe bratki tworzące sylwetkę orła. Patio było oświetlone lampionami z kolorowego papieru.

Cashel rozejrzał się wokół. Tenoctris rozmawiała z Halphemosem. Gdyby dostrzegła w młodym czarodzieju coś niepokojącego, byłaby uprzejma, ale nie gawędziłaby z nim tak przyjaźnie. Tak więc Halphemos musiał być porządnym człowiekiem.

Zahag postawił fotel na tarasie, a potem jedną ręką złapał się rynny i wskoczył na pochyły, pokryty dachówkami dach. Oprócz małpoluda i dwóch czarodziejów Ilny, obecni byli tylko Garric i jego przyjaciele z Barca's Hamlet. Żaden z kręcących się przy bramie żołnierzy i urzędników nie wszedł za nimi do budynku.

– Nie mogę się przyzwyczaić do tylu ludzi pozostających na nogach po zachodzie słońca – rzekł Cashel, kręcąc głową. To samo widział w Erdinie, a jednak wydawało mu się to dziwne, jakby wszyscy siedzieli na suficie, a nie na podłodze. – Przecież nie mają tu owiec, których musieliby pilnować.

– Właściwie do tego sprowadza się to, co my robimy, Cashelu – powiedziała Tenoctris, w znajomy sposób szybko odwracając głowę i uśmiechając się. – To bowiem, co nadchodzi z ciemnościami, będzie gorsze od najgroźniejszego stada wilków.

– Przepraszam – mruknął Cashel, czując się trochę głupio. Nie mógł się oswoić z myślą, że tylu ludzi zajmuje się tym samym. Pracuje razem.

– Nie wiem, czy słyszeliście o tym, co się dzieje w Valles – powiedział Garric do całej grupki. Cashel zauważył, że choć Garric nie zaciskał lewej dłoni na gałce swego miecza, to w znany sposób wepchnął lewy kciuk za pas, tuż obok rękojeści. – Królowa jest złą i bardzo potężną czarodziejką.

– Świadomie czyni zło – dodała Tenoctris. – Kiedy moce rosną w siłę, tak jak to dzieje się teraz, nieostrożny czarodziej może mimo woli zaszkodzić ludziom. Królowa jest ostrożna, ale wyrządziła bardzo wiele złego.

– Przegnaliśmy ją z Valles – podjął Garric – ale obawiamy się jej powrotu. I jest jeszcze... – Spojrzał na Tenoctris. – Czy ona ma czarodziejską moc? – zapytał. – Mówię o Bestii.

– Nie – odparła Tenoctris. – Bestia jest... – Staruszka również urwała. Po chwili ostrożnie dokończyła: – W innym miejscu i czasie Bestia była czczona jako bóstwo.

Garric skinął głową.

– Valence – a raczej czarownik Silyon, który mu służył – przywołał Bestię. Tenoctris usiłuje znaleźć sposób, żeby ją – czy też to – odesłać z powrotem tam, skąd przybyło. Przedtem jednak musimy rozprawić się z królową. Dziś wieczorem Tenoctris i ja pójdziemy do rezydencji królowej, żeby sprawdzić, czy nie uda się nam znaleźć jakiegoś sposobu.

– Słyszałem o tej Bestii – rzekł Cashel. Istotnie tak było, a mimo to dziwił się, że rozmawia o czymś takim tutaj, na Valles, zaledwie jak tu przybył. – Chyba nawet słyszałem o tym Silyonie. A przynajmniej spotkałem jego siostrę, Silyę.

– Po tym spotkaniu z wodzem wiedźma już nigdy więcej nikogo nie usidli swoimi sztuczkami – powiedział Zahag z dachu. Małpolud siedział na rynnie, która odprowadzała wodę do sztucznego stawku. W świetle lamp migotały rybki.

– To prawda – mruknął Cashel, usiłując przypomnieć sobie, co dokładnie Silya mówiła o swoim bracie. – On ma jakiś kamień, który jej ukradł i dzięki któremu może rozmawiać z Bestią.

Tenoctris obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem.

– Naprawdę? – spytała. – A czy...

Szybko odwróciła się do Garrica. Kiedy wchodzili na to miniaturowe podwórko, Tenoctris wzięła od niego worek z tłoczonej w łuski skóry, który najwyraźniej był jej własnością. Teraz trzymała go na kolanach.

– Garricu? – spytała. – Czy mogę na osobności porozmawiać z Cashelem? Być może mógłby mi pomóc, a nie chcę przeszkadzać wam w rozmowie, bo wiem, że macie jeszcze wiele spraw.

Garric skrzywił się.

– Jest jeszcze wiele do omówienia i zrobienia – powiedział – i wszystko to trzeba zrobić jak najprędzej. Nie chciałbym odwlekać twoich poszukiwań w rezydencji królowej, ale nie mam pojęcia, jak zdołam pójść tam z tobą jeszcze dzisiaj.

– Ja pójdę z Tenoctris – zaproponował Cashel i zaraz zmieszał się. – Chyba że trzeba tam będzie... no wiesz... coś przeczytać. Jeśli jednak chodzi tylko o noszenie worka, to mogę to zrobić.

Tenoctris wodziła wzrokiem od Garrica do Cashela.

– Chodzi o coś więcej niż tylko noszenie moich przyborów – powiedziała z szerokim uśmiechem – ale z pewnością nie jest to nic takiego, czego nie mógłbyś zrobić, Cashelu. A jeśli sprawy potoczą się tak, jak przypuszczam, to będę bardzo zadowolona, mając twoje silne ramię do pomocy.

Wszyscy spojrzeli na Garrica. Ten zaczerwienił się, chociaż opalenizna sprawiała, że przy tym świetle zauważyliby to tylko ci, którzy znali go od dawna.

– Ja nie mogę rozkazywać Cashelowi – powiedział. – Nie zamierzam rozkazywać nikomu z was. Jesteście... – Spojrzał na Halphemosa. – Jesteście moimi przyjaciółmi. Wszyscy. Nadszedł czas,

kiedy królestwo potrzebuje przyjaciół, a ja potrzebuję ich jeszcze bardziej.

Zmieszany Halphemos wbił wzrok w ziemię. Energicznie pokiwał głową.

– Możemy iść już teraz, jeśli chcesz, Tenoctris – zaproponował Cashel. Sprawdził sprzączki sakwy, a potem zarzucił ją sobie na ramię. Była dość ciężka, a na pewno zbyt ciężka dla staruszki.

Zahag zeskoczył na ziemię. Nic nie powiedział, tylko lekko obnażył kły i rozejrzał się wokół, najwyraźniej czekając, by ktoś mu powiedział, że nie może iść. Cashel uspokajająco pogłaskał go po zjeżonej sierści na łbie.

Liane pisała coś pędzelkiem na cienkiej deseczce z bukowego drewna.

– Powiem Maurunusowi, by przygotował pokoje dla nowo przybyłych – wyjaśniła, ruszając do drzwi. Otworzyła je, zamierzając zawołać gońca, który zaniósłby tę wiadomość majordomusowi. Tuż za drzwiami stała grupka wzburzonych ludzi z Royhasem na czele. Kanclerz właśnie unosił swoją kościaną laseczkę ze złotą gałką, żeby zastukać nią w drzwi.

– Wasza Wysokość? – powiedział, spoglądając przez ramię Liane na Garrica. – Wezwałem Attapera i Waldrona, ale obawiam się, że muszę ci przeszkodzić.

W stojącej za plecami Royhasa grupce znajdowali się dworzanie w cywilnych ubraniach oraz czterej żołnierze Krwawych Orłów. Ci ostatni pilnowali nie kanclerza, ale mężczyzny w wysadzonym drogimi kamieniami napierśniku na tunice z haftowanego złotem jedwabiu. U pasa nosił równie bogato zdobioną pochwę, z której strażnicy wyjęli miecz, zanim przyprowadzili nieznanego przed oblicze Garrica.

– Admirał Nitker przybył z trzema ocalałymi okrętami królewskiej floty – ciągnął Royhas. Mówił beznamiętnym tonem, za którym – jak podejrzewał Garric – skrywał niesmak. – Dowódca portu poinformował mnie, że załogi są niekompletne. Najwidoczniej dobry admirał stracił połowę ludzi nawet na tych kilku statkach, które zdołał uratować.

– Myślisz, że spisałbyś się lepiej? – warknął Nitker. Zbliżał się do czterdziestki, chociaż w przypadku szlachcica trudno było trafnie ocenić wiek. Ponadto postarzało go przerażenie. – Na pewno nie i szybko się o tym przekonasz, kiedy spróbujecie się tu bronić! Przybyłem do Valles tylko po to, żeby dać wam szansę ucieczki w ciągu kilku następnych godzin!

– Jeśli przybyłeś tylko dlatego, to widocznie wioślarze na twoich statkach nie potrzebują jedzenia ani snu – rzekł odziany w połacaną zbroję mężczyzna o surowej twarzy, który właśnie nadszedł z głębi pałacowego kompleksu. Nowo przybyły obrzucił Cashela baczny spojrzeniem, pod wpływem którego młodzieniec lekko zeszytniał: nie wrogim, lecz taksującym w doskonale znany mu sposób. – To zadziwiające, że tacy wojownicy nie rozbili wroga w proch i pył.

Nitker poczerwieniał i obrócił się na pięcie, sięgając do pustej pochwy. Dwaj gwardziści złapali go za ręce i wykręcili je.

– Dość! – rzucił ostro Garric. – Lordzie Attaperze, nie chciałem walczyć z admirałem przedtem i z całą pewnością nie sądzę, żeby miało to jakiś sens teraz. Czy zgadzasz się ze mną?

Zahartowany żołnierz natychmiast wziął się w garść. Skłonił się.

– Wybacz, Wasza Wysokość. Najwyraźniej w ciągu ostatnich lat... zapomniałem, co oznacza słowo dyscyplina. – Wyprostował się i dodał: – Ciebie również przepraszam, lordzie Nitkerze. Potrzebujemy twoich informacji o zagrożeniu i siłach wroga, żeby odeprzeć atak.

Cashel z zaciekawieniem spojrzał na Garrica. Zawsze darzył go szacunkiem, ale nigdy nie podejrzewał, że przyjaciel potrafi jednym zdaniem postawić na baczność kogoś takiego jak Attaper. Może prędzej rozbić mu głowę pałką, chociaż to też nie byłoby takie łatwe. Cashel uśmiechnął się i przesunął dłonią po gładkim hikorowym drzewcu.

– Nie zdołacie go odeprzeć, powiadam wam! – wybuchnął admirał. Cashel ocenił, że Nitker jest

zupełnie rozkojarzony, bliski płaczu lub ataku szału. – Są ich setki tysięcy, wszystkie stada małąp z wyspy Bight. I płyną tu na tratwie. Zabiją wszystkich mieszkańców Valles. Zjedzą wszystkich ludzi, mówię wam!

– To nie są małypy! – wtrącił Zahag. – Ani nie małopoludy, jeśli ktoś z was wie, na czym polega różnica.

Cashel klepnął go w ramię, niezbyt mocno, ale wystarczająco, by przypomnieć mu o dobrych manierach.

– Ach – rzekł Zahag. – Przepraszam.

Garric spojrział na Tenoctris i uniósł brew. Stara czarodziejka skinęła głową.

– To możliwe – powiedziała. – Włochaty Lud z Bight... – ciągnęła, na chwilę pogrążając się we wspomnieniach. – Często byli wykorzystywani do rzucania czarów, ponieważ są ludźmi, ale nikt nie przejmuje się nimi bardziej niż dziećmi znikającymi z sąsiednich wiosek. – Uśmiechnęła się ponuro. – Oczywiście do takich czarów, jakimi ja się nie zajmuję. Kierowanie taką ogromną liczbą Włochatych wymaga ogromnej mocy. Nawet większej niż stworzenie armii żywych trupów.

– A królowa ma taką moc? – zapytał Garric. Wydawał się zainteresowany, lecz nie przejęty. Czubkiem palca gładził trzy podłużne wgłębienia na gałce swego miecza.

– Tak – odparła Tenoctris. – Wydaje się, że ma.

Garric wzruszył ramionami.

– No cóż, wiedzieliśmy, że będziemy musieli walczyć – powiedział. – Lordzie Attaperze, zbierz wszystkie szczegóły od admirała. Uzbrojenie, liczebność... – Uśmiechnął się ponuro. – Z tego, co usłyszałem, wynika, że jest ich bardzo wielu. Taktyka, sposób dowodzenia, zaopatrzenie i tym podobne. Powiem Waldronowi, żeby postawił na nogi milicję. A teraz chyba najlepiej będzie, jeśli odwiedzę Arsenał i powiem Piorowi, że diuk Eshkol...

Znów się uśmiechnął. Był to uśmiech Garrica, którego Cashel znał od dziecka, lecz płynące z jego ust słowa o uzbrojeniu i taktyce wydawały się czymś równie nieprawdopodobnym, jakby Garric zaczął unosić się w powietrzu.

– ...powrócił ze swoją flotą do królewskiej służby, tak więc nadszedł czas, by regularna armia zrobiła to samo.

Cashel spojrział na nogi przyjaciela. Ten miał je lekko rozstawione – i obute w mocne, zwykłe sandały, jakie młodzieniec z Barca's Hamlet nosił w zimie lub podczas długich podróży. Cashel uśmiechnął się.

– Nie słuchałeś mnie! – powiedział Nitker. – Nie możecie walczyć z tymi bestiami! Za kilka godzin, najdalej jutro, wylądują na brzegu Ornifal i zabiją każdego, kogo spotkają na drodze. Możecie tylko uciekać!

– Słuchałem cię, lordzie Nitkerze – odparł Garric głosem, który zdawał się dochodzić z zalegającej na zewnątrz ciemności. – Po prostu nie zgadzam się z tobą. – I ciągnął z uśmiechem: – Nie zdołalibyśmy w porę ewakuować wszystkich mieszkańców tak dużego miasta, a poza tym mamy tu mury i zorganizowaną obronę. To może nam pomóc.

– Nie da się uciec przed złem – powiedziała beznamiętnie Ilna. Zawiazywała i rozwiązywała kawałek sznurka, lecz nie odrywała oczu od Liane. – Nie można uciec przed samym sobą.

– Attaperze, admirał? – rzekł Garric. – Myślę, że będzie lepiej, jeśli pójdziemy do Arsenалу razem. – Zmarszczył brwi. – Czy sądzisz, że powinienem włożyć jakiś okazalszy strój, czy też Pior wysłucha głosu rozsądku z ust człowieka w zwyczajnej opończy?

– Jeśli w ogóle wysłucha, to będziemy mieli więcej szczęścia, niż się spodziewam – odparł ponuro Attaper. – Zanim się przebierzesz, Wasza Wysokość, wezwę kilka regimentów Waldrona.

W tej sytuacji lepiej będzie wykorzystać również argument siły. Ponieważ ten dureń może nie uwierzyć w prawdziwe zagrożenie.

– Tenoctris? – spytał Cashel. – Czy nadal?...

– Bardziej niż przedtem – odparła staruszka, podnosząc się z kanapy, na której siedziała w czasie tej rozmowy. – Wokół rezydencji królowej nagromadziły się takie zasoby mocy, że z trudem znajduję tę warstwę, której potrzebuję. – Uśmiechnęła się promiennie, lecz w oczach miała troskę. – I mamy niewiele czasu, Cashelu. Zarówno my, jak i Wyspy.

Królowa uniosła kryształową różdżkę. Uśmiechnęła się do Shariny, a potem powiedziała „*Eidoneia neoieka!*” i uderzyła w podłogę. Różdżka rozbłysła pulsującym czerwonym ogniem. Gdzieś coś z trzaskiem rozpadło się na kawałki.

Sharina znajdowała się w rubinowej kuli. Wokół kłębiła się mgła, w której tylko jej wyobrażenia formowały jakieś kształty. Królowa stała obok dziewczyny. Wklęsła powierzchnia podłogi sprawiała, że prawie się dotykały. Sharina próbowała się odsunąć, wchodząc nieco wyżej.

– Nie ruszaj się! – powiedziała królowa. Ponownie dotknęła podłogi. Rozległ się głośny trzask. Obeszła Sharinę wokół, kreśląc różdżką krąg o zaledwie metrowej średnicy. Koniec różdżki pozostawił na rubinowej podłodze cienką kreskę, jak nóż krojący ser. Czarodziejka pozostała na zewnątrz tego kręgu. Potem zaczęła rysować wokół symbole Dawnego Pisma.

– Gdzie teraz jesteśmy? – spytała Sharina.

– Nie odzywaj się, dopóki ci nie pozwolę – odparła zimno królowa.

Sharina roześmiała się. Była nie tyle zrezygnowana, ile nie przejmowała się tym, co się dzieje. Chociaż dotykała palcami rękojeści pewłańskiego noża, wiedziała, że nic nie może zrobić królowej. Natomiast jeśli królowa ją zabije, Sharina nie będzie się musiała martwić o to, czy podjęła właściwą decyzję, postanawiając jej pomóc.

Rozejrzała się wokół, ale nie dostrzegła niczego interesującego. Kula, w której się znajdowały, miała chyba sześć metrów średnicy, chociaż trudno to było ocenić. Rubinowe ściany odbijały ich sylwetki miriad małych obrazów.

– Skąd pada to światło? – zapytała Sharina. Gdyby jarzyła się sama kula, nie powinno być tych odbić na ścianach... a przynajmniej tak się zdawało. Była pewna, że wewnątrz nie było żadnego źródła światła. Królowa spojrzała na nią. Sharina dodała: – Powiedziałam, że ci pomogę. Nie mówiłam, że będę twoim pieskiem.

Królowa znowu zaczęła kreślić po rubinie. Krzywizna ścian utrudniała jej zadanie, ale władczyni nie ślizgała się na gładkiej powierzchni. Sharina nie widziała jej stóp, ponieważ skrywała je powiewna szata. Niektóre z odbitych obrazów ukazywały Sharinę, a inne postać, która nie mogła być ludzką istotą, choćby nie wiadomo jak zdeformowaną. Sharina zacisnęła wargi. Królowa skończyła kreślić znaki wokół kręgu. Teraz zaczęła rysować nowe, tym razem na jego zewnętrznym brzegu. Przy każdym dotknięciu różdżki z kryształu tryskały płomyki o nieco innej barwie niż rubinowy kolor ścian. Sharina próbowała odczytać jeden ze znaków. Królowa szybko podniosła różdżkę i dotknęła nią brody dziewczyny. Wargi i język Shariny zdrętwiały od zimna straszliwszego niż to, jakie panuje w sercu Lodowych Przylądków.

– Nie rób tego – ostrzegła kobieta. – Nie dlatego, żebym przejmowała się tym, co może ci się stać, ale nie chcę tracić czasu na wskrzeszanie cię, żebyś mogła powtarzać słowa zaklęcia. Zrobię to jednak, jeśli będę musiała, dziewczyno. Wierz mi!

Opuściła różdżkę. Sharina odzyskała czucie. Tylko skóra na brodzie szczypała ją jak od mrozu.

Królowa skończyła pisać magiczne słowa drugiego kręgu. Spojrzała na Sharinę i jej usta

wykrzywiły się w kiepskiej imitacji uśmiechu. Sharina tak obojętnie spoglądała na władczynię, jakby w takiej sytuacji postąpił – jak postępował – Nonnus. Królowa mogła ją zabić, a nawet zrobić coś o wiele gorszego, ale nie była w stanie zmusić ją do okazania strachu.

– Przeczytam słowa w zewnętrznym kręgu – zapowiedziała królowa. Lekkie wahanie w jej słodkim jak miód głosie zdradziło irytację wywołaną spokojem Shariny. – Może będę musiała przeczytać je kilka razy, żeby uzyskać rezultat, jakiego oczekuję. Kiedy skończę, odczytam słowa wewnątrz. Wokół nas zobaczymy to, co widział twój przodek...

Uśmiech królowej był przerażający nawet dla opanowanej Shariny.

– ...albo mój, za swojego życia.

Różdżka w dłoni królowej poruszyła się jak obdarzona własną wolą. Jej koniec stuknął w ścianę na wysokości oczu. Tym razem kryształ nie rozjarzył się i nie zostawił śladu na rubinowej powierzchni.

– Będziemy powtarzać to, aż dotrzemy do czasów króla Lorcana, założyciela twego rodu i Królestwa Wysp – oznajmiła królowa. – Jakby ludzkie rządy miały jakieś znaczenie! Wtedy nasze dzieło będzie zakończone.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Może nawet daruję ci życie.

– Król Lorcan i jego czarodziej ukryli Tron Malkara – powiedziała spokojnie Sharina. – Myślisz, że zdobędziesz go dzięki mnie.

Poczuła radość, widząc, jak szyderczy uśmiech królowej zmienia się w grymas zwierzęcej wściekłości.

– Nie mów o sprawach, których nie rozumiesz, dziewczyno! – warknęła królowa. – Albo rozpruję ci brzuch i zmuszę twoje martwe usta do wymawiania słów, które musisz wypowiedzieć!

Sharina założyła ręce na piersi, jakby patrzyła na niesforne dziecko. Obawiała się tego, co czarodziejka może zrobić Cashelowi, i tego, co sama robi, aby uratować przyjaciela. Jej twarz była zimna i niewzruszona jak stalowe ostrze pewłańskiego noża.

Jak dużo rozumiała królowa? Nie aż tyle, ile jej się wydawało, Sharina była tego pewna. Ponieważ królowa miała ogromną moc, uważała się za nadzwyczaj mądrą. Sharina nauczyła się od Tenoctris, że są moce tak potężne, że niszczą tych, którzy próbują je wykorzystać. Jeśli królowa dotrze do Tronu Malkara, źródła wszelkiego zła, będzie zgubiona.

– *Ousiri aphí mene phri* – powiedziała władczyni. Powoli chodziła wokół kręgu, pewnie krocząc po wklęsłej i śliskiej powierzchni. – *Katoi, house...*

Za rubinowymi ścianami pojawiały się tylko cienie. Sharina spojrzała pod nogi na znaki, które miała odczytać, gdy przyjdzie czas.

– *Bachach bachachuch bazachuch* – rzekła królowa, choć jej głos zdawał się dobywać z samych ścian. – *Bazachuch bachaxichuch...*

Sharina usiłowała myśleć o Pani, lecz zamiast tego jej myśli wypełnił obraz wijących się macek ogromnego amonitu. Stała, milcząca i poważna. Jej twarz nie zdradzała lęku, jaki wypełniał jej serce.

PIĄTY DZIEŃ KUROPATWY

Sharina nie wiedziała, ile minęło czasu. Jej obecne zubożenie niewiele różniło się od stanu, w jakim po porwaniu przez demona utrzymywała ją królowa. Głos czarodziejki był jak plusk wody na czarnych kamieniach. Może to on ją zahipnotyzował.

W tym stanie umysł Shariny nie rejestrował stopniowo zachodzących za rubinowymi ścianami zmian jeszcze długo po tym, jak jej oczy zauważyły różnice. Skupiła uwagę. Poczwała ciepło, a potem chłód, który zdawał się rozchodzić po jej ciele, jakby właśnie odzyskała przytomność.

Ściany znikły, lecz świat, na który spoglądała Sharina, spowijała czerwona poświata podobna do tej, którą rzuciła różdżka królowej. Liście poruszały się wokół polanki w dżungli Bight. Powoli prostowały się gałęzie przygięte od rześkiego deszczu.

W polu widzenia pojawiła się jakaś postać: dorosła samica Włochatego Ludu o lśniącym futrze, świadczącym o dobrym zdrowiu. Wrzasnęła z przerażenia i próbowała wskoczyć w gęstwinę liści po drugiej stronie polany. Przestraszone muchy zawirowały nad owocem, który gnił pod gigantycznym durianem. Napastnik złapał ją zręcznym ruchem jak modliszka swoją ofiarę. Zaatakował tak błyskawicznie, że Sharina zobaczyła go dopiero w ostatniej chwili. Atakującym był demon o ciele podobnym do ludzkiego, lecz wyższy od najwyższego z ludzi i chudy tak, jak druciany szkielet, który rzeźbiarz oblepia gliną. Spod jego szponiastych stóp z wilgotnej ziemi tryskała para, a futro na ramionach ofiary poczerniało w miejscach, gdzie zacisnął palce. Samica wrzasnęła rozpaczliwie krzykiem ofiary, dla której śmierć będzie wybawieniem od potwornego cierpienia. Paszczyka demona otwarła się na podwójnym stawie, zamiast rozchylić się jak dolna szczęka człowieka. Kły wyglądały jak kawałki krzemienia i zachodziły na siebie jak nożyce.

Z pyska demona buchnął strumień niebiesko-białego ognia, spływając kaskadą po czerwonym drewnie. Gąbczasta kora pnia eksplodowała w chmurze pary i zwęglonych szczap. Krzyki ofiary utonęły w huku wybuchu. Strumień ognia znikł, gdy demon zamknął paszczę, lecz drzewo nadal syczało i trzeszczało. Ślepie demona jarzyły się czerwienią jaśniejszą od jakiegokolwiek światła w tej dżungli. Obrócił w rękach ofiarę. Z jego krocza, które dotychczas było nagie jak rozwidlenie pnia, wyłonił się penis i wszedł w samicę.

Znieruchomiała. Zamarła jak pajak sparaliżowany ukłuciem osówki, której potomstwo będzie się żywić jego ciałem. Demon odsunął się od skulonej na ziemi ofiary. Jego członek znów skrył się w cienkim jak u węża podbrzuszu. Demon otworzył paszczę i triumfalnie wypuścił następną lancę ognia, tym razem osmalając gałąź, która znajdowała się dziesięć metrów wyżej. Mchy i wrośnięte w korę epifity buchnęły czerwonym płomieniem, sypiąc zwęglonymi liśćmi i ciałami małych zwierząt, zabitych nagle i okrutnie.

Przez cały czas demon nie wydał najcichszego dźwięku, chociaż tryskający z jego pyska płomień ogłuszająco huczał. Wszelkie życie w dżungli zamarło, a potem świergoty i piski wybuchły z podwójną siłą, gdy w powietrze uniosły się pierwsze smużki dymu.

Skóra demona pociemniała. Zaczął znikać – nie stopniowo, ale też nie od razu. Przez moment jego ślepie jarzyły się w falującym od żaru powietrzu, a potem i one znikły.

Ofiara podniosła się z wilgotnej ziemi. Na ramionach miała pręgi, a futro na jej zadzie jeszcze dymiło.

Sharina poczuła mdłości. Nic nie powiedziała i nawet nie spojrzała na królową, która

z triumfalnym uśmiechem stała na zewnątrz kręgu.

Kulejąc, ofiara odwróciła się w tym kierunku, z którego nadeszła. Na polankę wyszedł inny Włochaty, a za nim następni. Pytająco zaskrzeczeeli do samicy, ale odskoczyli, kiedy próbowała ich objąć.

Obraz powoli znikł.

Zamiast podjąć przerwane czary lub powiedzieć Sharinie, żeby zaczęła czytać magiczne słowa wewnątrz kręgu, królowa machnęła różdżką. Z mgły zaczęło wyłaniać się wnętrze rozległej komnaty. Sharina i królowa unosiły się w powietrzu. Pomieszczenie nie miało okien, lecz brakowało mu dwóch przeciwległych ścian, za którymi rozpościerało się miasto z dachami domów wznoszącymi się jak dziobnice statków. Te oblane światłem księżycy dachy były zrobione z palmowych liści, a nie z trawy, jak najczęściej robiono to w Barca's Hamlet.

Na ścianach wisiały długie miecze o zębatych ostrzach i tarcze ozdobione złotymi guzami w kształcie zwierzęcych łbów. Sześć metrów nad podłogą mały wiatrak, przymocowany do środkowej belki powały, obracał się w podmuchach wiatru. Na każdym śmigle widniały znaki, które Sharina rozpoznała jako pismo używane na Sirimat, chociaż nie potrafiła przetłumaczyć ani nawet wymówić tych słów.

W miniaturowym hamaku zasłoniętym purpurowym jedwabiem leżało niemowlę. Niańka, jedyna dorosła osoba obecna w pomieszczeniu, siedziała ze skrzyżowanymi nogami obok, pociągając za krótki sznurek, który ścisnęła w palcach lewej stopy, i łagodnie kołysząc hamakiem. Nuciła prostą melodyjkę, często milknąc, by ugryźć owinięty w liść orzech lub splunąć czerwoną śliną na ulicę.

Odwróciła się do otworu w ścianie i wydeła wargi. Powietrze między nią a uszpionym miastem zgęstniało jak lód tworzący się na powierzchni stawu. Wyłonił się z niego demon z zawiniątkiem w rękach.

Piastunka wrzasnęła, upuszczając resztki narkotyku. Podskoczyła. Hamak rozkołysał się i dziecko zaczęło płakać. Demon wyciągnął prawą nogę jak skorpion kleszcze. Jej zakrzywiony tylny palec był ustawiony przeciwstawnie do trzech pozostałych niczym szpon ptaka. Łapa pochwyciła niańkę i zacisnęła się. Jej krzyk urwał się bulgoczącą czkawką, gdy szpony przecięły ją na pół.

Demon podszedł do hamaka, ostrożnie jak pajak zbliżający się do czegoś, co wpadło w jego sieć. Jedną szponiastą ręką podniósł niemowlę, ostrożnie strząsając spowijający je becik. Gruby materiał był nasiąknięty krwią piastunki. Demon włożył przyniesione niemowlę do hamaka. Ludzkie dziecko w jego drugiej ręce płakało. Otworzył paszczę. Wepchnął w nią niemowlę i zacisnął szczęki. Płacz ucichł.

Z balkonów po obu stronach wbiegli do komnaty mężczyźni z bambusowymi łukami i mieczami takimi samymi jak te, które wisiały na ścianach. Demon wyszczerzył się do nich, a potem znikł, tak samo jak w dżungli Bight. Ostrza mieczy i czarne groty strzał przeszły tylko powietrze.

Twarz podrzutka w pierwszej chwili miała demoniczne rysy, a potem stała się twarzą Włochatego. Kiedy jednak przestraszeni strażnicy pochyliłi się nad hamakiem, a mężczyzna w stroju z kolorowych ptasich piór przybiegł z doradcami zobaczyć, co się stało, spojrzała na nich twarz niczym nie różniąca się od ludzkiej. Dziecko płakało jeszcze chwilę, a potem uśmiechnęło się do ludzi, którzy myśleli, że je uratowali. Była to bardzo ładna dziewczynka.

– Moim ojcem – wyjaśniła królowa – był demon Xochial.

Machnęła różdżką. Obraz wtopił się w cień i kłębiącą się mgłę.

– A teraz, dziewczyno – powiedziała, przeszywając Sharinę zimnym spojrzeniem. – Twoja kolej.

Tenoctris przestała nucić i zachwiała się, lecz zdołała się wyprostować, zanim podtrzymał ją

Cashel. Spirala błękitnego dymu na środku małego kręgu, który stara czarodziejka narysowała głęboko w podziemiach rezydencji królowej, skurczyła się powoli i znikła, pozostawiając tylko wspomnienie.

– Czy słońce jest dumne lub księżyc? – mruknął Zahag. – Nawet chatka biedaka jest lepsza od życia w chmurach.

Cashel zacisnął wargi. Tenoctris powiedziała, że małpolud cytuje fragmenty wierszy, które słyszał na Pandah. Kiepskich wierszy, pomyślał Cashel. To przypominało mu, że małpolud jest bliski kompletnego załamania. Cashel nie miał Zahagowi za złe jego strachu, ale wolałby, żeby jego towarzysz został z Garrikiem, zamiast wygadywać bzdury.

– Idziemy dalej? – spytał Cashel, głównie po to, aby się upewnić, że Tenoctris jest naprawdę przytomna. Podparła się wyciągniętymi rękami i oddychała głośno, spazmatycznie.

– Rano wstań, ciężko pracuj i często myśl o swej duszy... – powiedział Zahag. Cashel znów zacisnął zęby.

– Nie, nie – powiedziała stara czarodziejka. Jej uśmiech jakby rozjaśnił czarne ściany podziemi i poprawił humor Cashelowi. – Jesteśmy w dobrym miejscu i nawet wydaje mi się, że znalazłam klucz. Przepraszam, że trwało to tak długo.

– Ha! – odparł Cashel. – Nigdzie nie byłoby mi lepiej niż przy tobie, pani. I nie należę do tych, którzy wolą robić coś szybko, zamiast tak jak należy. – Odchrząknął. – Co mam robić? – zapytał.

Do tej pory jego obowiązki przypominały pilnowanie stada: miał oko na wszystko, podczas gdy jego podopieczni spokojnie zajmowali się swoimi sprawami. Nie miał pojęcia, czego powinien wypatrywać, ale wiedział, że coś tu jest w pobliżu. Mrowiło go w kościach i czuł, że obserwują go jakieś niewiarygodnie wrogie ślepie – nie tylko wrogo usposobione do Cashela os-Kenseta i jego towarzyszy, lecz do wszelkiego życia.

– Jeśli zdołasz wyrwać klejnot z pyska morskiego wilka – mówił Zahag. – Jeśli zdołasz przepłynąć Morze Zewnętrzne na skrzydłach burzy...

Cashel wyciągnął rękę. Małpolud skulił się, oczekując ciosu. Zamiast uderzyć go, Cashel pogładził go po łbie.

– Masz prawo się bać, Zahagu – rzekł. – Ale Tenoctris dobrze wie, co robi.

Stara czarodziejka uśmiechnęła się. Była tak znużona, że Cashel dziwił się, że światło lampy nie przechodzi przez nią jak przez mgłę.

– Owszem, tak mi się zdaje – powiedziała. – Nie wiadomo tylko, czy wystarczy mi sił, żeby to zrobić, ale... – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Przecież muszę, prawda?

Cashel odpowiedział jej uśmiechem. Lubił ludzi, którzy się nie poddają. Tak jak Tenoctris. Ona nie podda się, aż do śmierci.

Czarodziejka nabrała tchu i wyprostowała się.

– Jest tu ścieżka, która wprowadzi do królowej – oznajmiła. – Jeśli uda się ją pokonać, a choćby odwrócić jej uwagę, utraci panowanie nad Włochatym Ludem. A wtedy przestaną być zagrożeniem, nawet jeśli dotrą do Ornifal.

Mówiła spokojnie, lecz nie nonszalancko, jak mistrz wyjaśniający łatwo zrozumiałymi słowami czeladnikowi tajniki zawodu. – Otworzę tę drogę i mam nadzieję, że zdołam utrzymać ją otwartą, ale będziesz musiał pójść nią sam, Cashelu.

– Nie sam! – wrzasnął Zahag. – Nie sam! Nie! Nie zostanę sam w tym miejscu!

Cashel spojrział na Tenoctris. Skinęła głową.

– Jeśli Zahag chce ci towarzyszyć – rzekła – to nie ma powodu, żeby nie mógł tego zrobić. Obawiam się jednak, że on nie rozumie...

– Rozumiem, że nie zamierzam zostać tu sam! – zawołał małpolud. – Nie w tej piekielnej dziurze ani nigdzie indziej na tej wyspie. Nie czujecie tego? Nie wiecie, co tam się czai?

– Owszem – odparła spokojnie Tenoctris. – Ja wiem.

Cashel wzruszył ramionami.

– Chciałbym mieć to już za sobą – mruknął. Starał się, by nie zabrzmiało to niecierpliwie, ale kiedy wiesz, że czeka cię walka, najtrudniejszą rzeczą na świecie jest oczekiwanie. Zważył w dłoni pałkę, krytycznie przyglądając się jej w świetle lampy.

– Ma żelazne okucia, prawda? – zauważyła Tenoctris, marszcząc brwi. – To może się przydać, jeśli będziesz dość silny.

Cashel zerknął na nią.

– Chyba wkrótce się przekonamy, no nie? – powiedział groźnym basem. – Zrobmy to!

– Dobrze – przytaknęła stara czarodziejka. Wzięła nowy bambusowy kijek z wiązki schowanej w sakwie i usadowiła się przed narysowanym w pyłe kręgiem. – Zrobie to.

– I tak nie zdołasz przekonać skończonego głupca – dokończył cytat małpolud, tuląc się do łydki Cashela. Drżał. Cashel znów pogłaskał go po łbie.

Biedny małpison... On też się nie poddawał.

– *Ochusoioio nuchie narae, eaeaa...* – powiedziała Tenoctris, przy każdej sylabie dotykając bambusem innego znaku. Jej głos był spokojny jak woda w stawie, lecz wymawiając każde magiczne słowo, krzywiła się z wysiłku. – *Aritho skirbeu!*

Bazaltowe ściany zaczęły znikać w mroku. Cashel wciąż kątem oka widział ich cienie, lecz oczami duszy ujrzał już jasną sieć mocy. Rozpościerała się w nieskończoność. Linie czerwonego i błękitnego światła spotykały się i czasem łączyły ze sobą, lecz często wypełniały pozornie tę samą przestrzeń, nie dotykając się.

Tenoctris nadal nuciała. Sieć pulsowała w równym rytmie ze słowami mocy.

To, co widział Cashel, było piękne i straszne, jak konstelacje nocnego nieba. Stał jak urzeczony, lecz nawet zdjęty podziwem żałował, że Ilna nie może tego zobaczyć. Co dostrzegłaby w tym wzorze, którego jej brat nie był w stanie pojąć?

Przed Cashelem był tunel czerwonego światła, jedna z wielu nici tej nie kończącej się sieci. W oddali linie sił zdawały się cienkie jak pajęczyna, lecz otwór w tym lochu miał wielkość spustu starożytnego młyna, którego właścicielem był teraz wuj Cashela. Człowiek mógł przezeń przejść – jeśli był mężczyzną.

Cashel zrobił krok naprzód. Włosy stanęły mu dęba i trzasnęły błękitnymi skrami, kiedy dotknął stopą tej widmowej powierzchni. Parsknął śmiechem i poszedł dalej. Zahag, skrzecząc z przerażenia i nie chcąc patrzeć na malejący w oddali korytarz, wgramolił się za nim.

Z zewnątrz tunel zdawał się bieć w górę, lecz znalazłszy się w nim, Cashel odczuwał tylko niewielki opór, jakby brodził w głębokiej wodzie. Uśmiechnął się. Kiedyś robił i to, w dodatku niosąc na plecach wyrwaną powodzi owcę. Nie mógł dostrzec, gdzie kończy się ten tunel. A kiedy ciekawość sprawiła, że obejrzał się przez ramię, nie dostrzegł już mamroczącej zakłęcia Tenoctris.

– Teraz nie możemy zawrócić – mruknął zrezygnowany Zahag. – Już za późno.

– Tylko patrzę, jak to wygląda – odparł Cashel. – Wcale nie zamierzałem wracać.

Małpolud zmarszczył swą pociągłą, poważną twarz.

– Oczywiście, że nie – powiedział. – Dlatego jesteś wodzem. A poza tym musimy iść dalej albo nie będzie do czego wracać.

Cashel spojrział na niego, lecz Zahag nie miał już nic więcej do powiedzenia i na czworakach ruszył naprzód, wpatrując się w gładką podłogę z blasku. Od czasu do czasu poruszał wargami,

mamrocząc następną zwrotkę wiersza.

Cashel wyciągnął ramiona w bok, a potem do tyłu, napinając różne mięśnie. Zastanawiał się, co też znajdą na końcu tego korytarza.

– Pewnie wkrótce się przekonamy – powiedział głośno.

– A nawet jeszcze prędzej – rzekł trzeźwo Zahag. – O wiele za szybko, jak na mój gust.

Ilna podejrzewała, że można by powiedzieć, że ma ważniejsze rzeczy do zrobienia, niż sprzątać te pokoje, które przydzielił jej steward, ale na razie nikt nie wyjaśnił jej, co też miałyby robić. A nie zamierzała spędzić jeszcze jednej nocy w chlewie, jeśli nie było po temu bardzo ważnego powodu.

Królewski pałac składał się z szeregu oddzielnych budynków, bardziej oddalonych od siebie niż chaty w Barca's Hamlet. Kobięce kwatery znajdowały się we wschodnim końcu kompleksu, oddzielone od pozostałych murem wyłożonym gładkimi kafelkami zdobionymi kwiatowym motywem. Wszystko wskazywało na to, że ta część pałacu nie była wykorzystywana, od kiedy królowa zbudowała sobie osobną rezydencję w centrum Valles.

Ilnę zirytowało to, że steward automatycznie umieścił tutaj ją, Liane i zapewne Tenoctris, tylko dlatego, że były to „kobięce kwatery”. Przypuszczała, że inne budynki wchodzące w skład kompleksu pałacowego są w niewiele lepszym stanie. Służąca, która zaprowadziła Ilnę do tego trzypokojowego domku, należała do prywatnej służby kanclerza Royhasa. Ściągnięto ją tutaj do pomocy, ponieważ w ciągu ostatniego roku prawie wszyscy słudzy opuścili króla Valence'a, przestraszeni wiszącym nad nim niebezpieczeństwem.

Ilna zwawo machała miotłą, wymiatając resztki kurzu i pajęczyn przez otwarte drzwi domku. Była to porządna ryżowa szczotka, a nie z brzoźowych witek, jakich używali niektórzy w Barca's Hamlet, ponieważ były twardsze i wystarczały na dłużej. Oczywiście, nie Ilna.

Odebrała szczotkę służącej i odesłała pokojową. Jeszcze nigdy nie spotkała służącej, która spełniłaby jej wysokie wymagania, a poza tym nie lubiła, kiedy wyręczał ją ktoś inny.

Ostatni raz sprawdziła pomieszczenie, które było połączeniem przedsionka z recepcją. Zamiotła je, wytrzepała poduszki z kurzu i zdjęła ze ścian zżarte przez mole draperie.

To zbrodnia, że ludzie tak traktują wytwory ludzkiej pracy! Jeden z gobelinów, ukazujący starożytnego bohatera wypływającego z portu Valles, był tak piękny, że Ilna byłaby dumna, gdyby sama go utkała. Cóż, można go naprawić. Ilna weszła do sypialni. Mole napoczęły też pościel na miękkim łożu, lecz tym specjalnie się nie przejęła. Pozbieranie luźnego pierza zajmie trochę czasu, ale wolała spać na słomianej macie lub na gołych deskach podłogi, tak jak poprzedniej nocy.

Usłyszała jakiś dźwięk i odwróciła się. Przez otwarte frontowe drzwi wszedł admirał Nitker i sześciu innych ludzi.

– Tak? – powiedziała Ilna, opierając szczotkę o ścianę. Między wspornikami obok drzwi stało lustro z posrebrzonego brązu. Ujrzała w nim swoją ściągniętą lodowatą furią twarz.

Rzeczywiście, Ilna była wściekła. Nie wiedziała, czego szuka tu Nitker, ale w Barca's Hamlet nie wchodziło się do cudzego domu bez zaproszenia.

Od poprzedniego wieczoru admirał zdążył zmienić strój. Teraz nie nosił już zbroi, lecz w pochwie u pasa miał prosty miecz. Pięciu z jego ludzi najwidoczniej było marynarzami – tatuowanymi i ogorzałymi, a dwóm z nich brakowało kilku palców. Oni też byli uzbrojeni.

Ilna nie przejęła się tym. Nie obawiała się ani broni, ani tych intruzów.

Siódmy mężczyzna był Dalopańczykiem – chudym i śniadoskórym – o skórze jeszcze ciemniejszej niż mieli mieszkańcy Haft, który nosił w małżowinach usznych kawałki starannie rozłupanych kości. Gdyby był owadem, Ilna rozdeptałaby go bez chwili namysłu.

Sięgnęła do rękawa tuniki i wyjęła kilka krótkich kawałków sznurka. Zaczęła supłać węzły, mierząc wzrokiem gości.

– Pani Ilno – powiedział Nitker, kłaniając się jej. – Pan Silyon...

Wskazał na Dalopańczyka. Pięciu marynarzy rozstawiło się po obu stronach drzwi, chociaż na razie nie zbliżali się do Ilny.

– ...uważa, że możesz nam pomóc. Był czarodziejem króla Valence’a, dopóki w wyniku ostatnich zamieszek król nie odwrócił się od niego. Silyon przyszedł do mnie, ponieważ ja rozumiem, jak poważne jest niebezpieczeństwo. On znalazł siłę, która sama może pokonać królową. Zwyczajna broń jest bezużyteczna, powtarzam, bezużyteczna.

Jeden z marynarzy zadrzał. Gwałtownie pokiwał głową, kiedy admirał powtórzył słowo „bezużyteczna”.

– To nie moja sprawa – powiedziała Ilna tonem, jakim mówiłaby do mężczyzny proponującego jej seks. – Porozmawiaj z Garrikiem – dla ciebie księciem Garrikiem. A skoro Valence odwrócił się od tego śmiecia, który stoi obok ciebie i uśmiecha się drwiąco, to nie jest aż takim godnym pogardy nędznikiem, jak mi opowiadano. Widywałam już, co potrafią czarownicy, i nie mam ochoty więcej tego oglądać.

Silyon zachichotał radośnie. Ilna powątpiewała, czy ten człowiek jest zdrowy na umyśle, choć to nie miało teraz żadnego znaczenia. Jej palce wiązały węzły.

– Nie rozumiesz, pani – rzekł Nitker. Obliznął spierzchnięte wargi. Admirał był chyba jeszcze bardziej przerażony niż wtedy, kiedy widziała go poprzedniego wieczoru, tylko że teraz pokrywał strach maską oglądy. – Księżę Garric wciąż uważa, że miecze...

– Jeszcze nie spotkałam człowieka, którego nie można by usieć mieczem – ucięła ostro Ilna. – A śmiem powiedzieć, że również małpy. Oczywiście, jeśli miecz trzyma prawdziwy mężczyzna. Może właśnie dlatego poniosłeś tak druzgoczącą klęskę.

– Brać ją – rozkazał ponurym głosem Nitker.

Marynarze ruszyli naprzód. Ilna rzuciła w powietrze powiązane sznurki. Cofnęli się z wrzaskiem, usiłując dobyć mieczy, których – jak sądzili – nie będą potrzebowali. Ilna podeszła do kołka w ścianie, na którym zawiesiła jedwabny arkan. Zdjęła go, z posępnym uśmiechem patrząc na rozgrywającą się przed jej oczami scenę. Sznurki upadły na podłogę. Ilna zobaczyła w lustrze to, co widzieli napastnicy: amonita, którego spiralna muszla prawie wypełniała pokój. Jego wijące się macki wyciągały się do Nitkera i jego marynarzy, grożąc wciągnięciem w rogowy dziób.

Tylko Silyon zignorował złudzenie. Wycofał się do kąta, żeby nie stratowali go wrzeszczący żołnierze. Wykazywał nie większą chęć zaatakowania Ilny, niż towarzyszący mu mężczyźni mieli ochotę stawić czoło iluzorycznemu potworowi.

– Odwróćcie się! – wrzeszczał piskliwie. – Nie patrzcie na nią!

W drzwiach stanęła Liane.

– Ilno? – zawołała. – Czy nic ci?...

– Liane, uciekaj! – krzyknęła Ilna, a jednocześnie Silyon wrzasnął: – Bierzcie tę drugą! Szybko! Bestia...

Marynarz, odwrócony plecami do amonita, złapał Liane za ramiona. Natychmiast jęknął i zgiął się wpół, lecz dwaj następni i admirał chwycili dziewczynę, zanim zdołała uciec. Jeden z marynarzy wyrwał jej z ręki zakrwawiony sztylet. Liane ugryzła go. Drugi uderzył ją w czoło ręką wyciągniętą jak kordelasa.

Ilna zarzuciła pętlę na szyję Nitkera i mocno szarpnęła. Admirał runął na wznak, chwytając palcami za sznur. Ilna zapała się nogą o jego pierś. Twarz mężczyzny przybrała purpurową barwę.

Czterej marynarze wynieśli Liane za drzwi, owiniętą długim szalem, który prawdopodobnie zabrali w tym celu. Piąty klęczał, szlochając z przerażenia i usiłując wepchnąć wnętrzności wypadające z rozciętego brzucha. Grawerowane ostrze sztyletu Liane było nie dłuższe od palca, ale wystarczająco długie i ostre jak brzytwa.

Ilna zmierzyła wzrokiem Silyona, rozważając różne możliwości. Dalopańczyk cisnął w lustro szczyptę jakiegoś proszku. Metalowa powierzchnia rozbłysła bezgłośnie jaśniej niż słońce, oślepiając Ilnę.

Dziewczyna zatoczyła się i uderzyła plecami o ścianę. Wraz ze zdolnością widzenia straciła poczucie równowagi. Zamknęła oczy – za późno! Nie spodziewała się takiego ataku. Przed oczami wirowały jej pomarańczowe i purpurowe płatki. Słyszała, jak Silyon i marynarze uciekają przez zarośnięty ogród, oddzielający poszczególne budynki pałacowego kompleksu. Dźgnięty przez Liane mężczyzna osunął się na podłogę i rzeził w kałuży krwi. Nitker przestał się szamotać.

Ilna zdjęła mu pętlę z szyi i ruszyła do drzwi. Znów mogła dostrzec zarysy przedmiotów, chociaż te przy każdym uderzeniu serca zmieniały kolor z pomarańczowego na purpurowy i odwrotnie.

– Straż! – krzyknęła, stanąwszy w progu. – Straż!

Biegły ku niej jakieś postacie. Przesunęła arkan w palcach, upewniając się, że krew i wymiociny nie zlepiły sznura.

– Pani? – powiedział młody męski głos, którego nie rozpoznała. – Co się stało?

Zobaczyła trzech żołnierzy uzbrojonych we włócznie. Większość gwardzistów, którzy zazwyczaj strzegli pałacu, teraz szkoliło i wzmacniało oddziały milicji, przygotowując je na atak najeźdźców niesionych przez prąd po Morzu Wewnętrznym.

– Widzieliście pięciu mężczyzn z kobietą owiniętą w szal? – warknęła Ilna, rozwścieczona tym, że wciąż dobrze nie widzi. Nawet nie miała pojęcia, w jakim kierunku uciekł czarownik i jego pomagierzy.

– Pani? – powtórzył gwardzista. Ilna nadal widziała tylko ich sylwetki, choć już zaczęła odróżniać błysk pancerzy od ciemniejszych owali twarzy.

– Natychmiast zaprowadźcie mnie do Garrica! – rozkazała. – Nic nie widzę, więc musicie mnie poprowadzić.

Dobiegający z domku cichy jęk przypominał jej o Nitkerze. Podejrzewała, że dobrze się stało, że przeżył i będzie mógł wyjaśnić powód tej napaści, chociaż Ilna wcale nie zmartwiłaby się, gdyby zabiła go, tak jak zamierzała. Wskazała ręką.

– Zabierzcie go. Garric będzie chciał go przesłuchać. Tylko nie pozwólcie mu uciec!

Dwaj żołnierze weszli do domku, a trzeci wziął Ilnę za rękę.

Garricowi nie spodoba się to, co Ilna ma mu do powiedzenia. Dotknęła pasa. Szarfa bliźniaczo podobna do tej, którą utkała dla Liane, wciąż znajdowała się na swoim miejscu. Ilna sądziła, że niebawem zdoła wynagrodzić Liane swoją niesprawiedliwą wrogość, z jaką traktowała ją na początku.

Uśmiechnęła się. Pomoże Liane uniknąć grożącego jej niebezpieczeństwa albo zginie. Tak czy inaczej, spłaci dług, jaki miała wobec tej dziewczyny.

Garric oparł dłoń na ramieniu Ilny. Przytrzymał przyjaciółkę, kiedy uzdrowiacz smarował jej oczy maścią, a teraz sam potrzebował jej wsparcia.

– Tylko Bestia może pokonać siły królowej – mówił ochryłym szeptem admirał Nitker. – Silyon powiedział, że może wezwać Bestię za pomocą swej sztuki, ale Bestia nie pomoże nam, dopóki...

Nitker zamilkł i zaczął kaszleć. Pętla Ilny pozostawiła krwawy ślad wokół jego szyi. Uzdrowiciel

podał Nitkerowi sole musujące w winie do przepłukania gardła, żeby admirał mógł mówić, ale opuchlizna w każdej chwili mogła zakończyć to, co zaczęła Ilna.

Uzdrowiciel trzymał fajansową miseczkę, w której zmieszał kolejną porcję płynu. Spojrzał na Garrica. Ten przecząco potrząsnął głową.

– Mów – powiedział – albo nie będzie powodu, żebyś miał nadal żyć. Jeśli jeszcze raz zaczniesz udawać, że nie możesz mówić, sam cię zabiję.

To był jego własny głos i słowa. Król Carus posępnie pokiwał głową w głębi świadomości Garrica, lecz ten zimny gniew był własnym uczuciem młodzieńca.

– Bestię trzeba karmić – szepnął Nitker. – Silyon powiedział, że powinniśmy zanieść tę kobietę, Ilnę, do krypty Bestii, ale ona przywołała przeciw nam potwora. Kiedy ta druga dziewczyna stanęła w drzwiach, najwidoczniej Silyon zdecydował, że lepiej będzie schwytać ją, niż odejść z pustymi rękami.

– Dlaczego? – spytała Ilna. – Dlaczego ja?

Oczy miała przekrwione, a oczodoły lśniące od mazidla, ale znów widziała. Garric nie chciał, żeby patrzyła na niego tak jak na admirała, ale sam spoglądał na niego w bardzo podobny sposób.

Halphemos i kaleka Cerix weszli do sali konferencyjnej. Kurier, którego Garric posłał po nich za radą Ilny, skłonił się i zniknął za drzwiami.

– Nie wiem – rzekł Nitker, kuląc się i zaciskając dłonie. – I nie mam pojęcia, gdzie jest ta krypta! Nie jestem czarodziejem!

Ani mężczyzną, pomyślał z zimnym gniewem Garric. Chociaż Nitker kiedyś musiał być odważny, skoro domagał się tronu po rzeczywistej abdykacji Valence'a.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Royhas. Ku zdziwieniu Garrica, kanclerzowi towarzyszył król Valence. Władca poruszał się małymi kroczkami, jakby był dwa razy starszy. Za nim szli zaniepokojeni słudzy, gotowi podtrzymać go, gdyby miał upaść.

– Pomyślałem, że Jego Wysokość powinien być przy tym obecny – powiedział Royhas. – On... prawie już doszedł do siebie.

– Bestia nadchodzi – powiedział cicho Valence. Wszyscy obecni w komnacie patrzyli na niego. – Wkrótce będzie po wszystkim.

– Zapewne, tak czy inaczej – odparł łagodnie Garric. – Wasza Wysokość, czy wiesz, dokąd Silyon udał się z...

To słowo nie chciało mu przejść przez gardło, ale wykrztusił je bez zająknięcia.

– ...ofiara?

– Do podziemnej komnaty w pałacu tyranów Valles – odparł Valence. – Attaper zna to miejsce, jak pewnie większość Krwawych Orłów. Często zabierałem ich tam.

Władca miał na sobie tunikę ozdobioną prostym haftem na rękawach i dekolcie. Szata nie była poplamiona jedzeniem ani wymięta, tak jak do niedawna.

– Silyon mówił mi, że właśnie tam Bestia przejdzie do naszego świata.

– Dobrze – powiedział Garric, wstając z fotela, na którym niechętnie usiadł. Odrobinę wysunął miecz z pochwy i wepchnął go z powrotem, upewniając się, że broń łatwo wychodzi. – Wezmę kilku Krwawych Orłów i wrócę tu najszybciej, jak będę mógł.

– On już na pewno spuścił ją do środka, książę – powiedział Valence z prostotą człowieka, który pogodził się ze śmiercią i nie obawia się cierpień, jakie niesie życie. – A jeśli znalazła się w krypcie, nie będzie mogła wyjść. Nikt nie wydobędzie się z tego więzienia, dopóki sama Bestia nie rozwali ścian, w których jest zamknięta.

Garric zacisnął dłonie. Posłałby po Tenoctris, ale wiedział, że minie co najmniej godzina, zanim

czarodziejka zdąży wrócić z rezydencji królowej. Chociaż bardzo potrzebował jej rady, zdawał sobie sprawę z tego, że Tenoctris postanowiła najpierw rozprawić się z królową, a dopiero potem z Bestią.

Ilna rozwiązała szarfę, którą była opasana. Rzuciła ją na podłogę pod nogi zebranych. Ku zdziwieniu Garrica materiał zaczął się poruszać. Wijące się pasma wyglądały jak...

– To słowa w Dawnym Piśmie! – zawołał Garric.

– Ceriksie – powiedziała z chłodnym gniewem Ilna. – Czy one coś ci mówią?

Kaleka pochylił się na swoim wózku. Oblizął wargi i odparł:

– Pani, pierwsza część to chyba Żółty Królewski Klucz, zakłęcie otwierające. Ale...

Ilna podniosła szarfę, zmięła ją w dłoniach i ponownie rzuciła na podłogę.

– A to? – zapytała, gdy materiał ułożył się w inny wzór.

– Tak, to następna część – powiedział Cerix. Ból, który teraz wykrzywił mu twarz, nie był wywołany fizyczną męką obciętych nóg. – Te dwa fragmenty to wszystko, co pozostało z tego Klucza. Tylko że nawet gdybyś zdołała odnaleźć całe zakłęcie, nie ma takiego czarodzieja, który by je rzucił.

Cerix rąbnął pięścią w kikuty swoich nóg. Miał łzy w oczach.

– Ja nie potrafię! – powiedział. – Nie potrafię, choćbym próbował na wszystkie sposoby!

– Jeśli napiszesz dla mnie te słowa, Ceriksie – rzekł cicho Halphemos – rzucę to zakłęcie. Tak jak zawsze.

– Alosie, nawet tobie się to nie uda! – zawołał z rozpaczą Cerix. – Nikt nie zdołał rzucić tego zakłęcia od czasów Żółtego Króla, a on był tylko mitem!

Młody czarodziej spojrzał na Ilnę.

– Chcesz tego, pani? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała Ilna. – Tak.

Halphemos skinął głową, a do Garrica rzekł:

– Będzie nam potrzebny powóz dla Cerixa. Mój rytualny sztylet mam przy sobie. – Pokazał kościany nóż, który trzymał w dłoni. – Ceriksie, czy będzie mi potrzebne coś jeszcze?

– Więcej siły niż masz, Alosie – odparł kaleka. – Żałuję, że nie wierzę w Wielkich Bogów.

– Dobrze – powiedział Garric. – Chodźmy...

– Garricu – rzekł Royhas, nie podnosząc głosu. – Książę. Masz armię, którą musisz dowodzić, i kraj, którym trzeba rządzić. Zostaw tę sprawę innym.

– Nie przestałem być mężczyzną, kiedy zrobiliście mnie księciem! – warknął Garric.

Royhas nie ustępował.

– Wiesz, że mam rację – powiedział. Zagradzał mu drogę do drzwi. Garric mógł go odepchnąć albo usieć go mieczem, ale kanclerz nie zamierzał ustąpić dobrowolnie. A Garric wiedział, że nie złościłby się tak, gdyby w głębi serca nie zgadzał się z Royhasem.

– Myślisz, że zapominam o wszystkim, ponieważ zależy mi na Liane – rzekł. – W porządku, zależy mi na niej! Wszyscy jednak widzieliście, do czego jest zdolna królowa, a powiadam wam, że przywołana przez Silyona Bestia stanowi takie samo zagrożenie. Wiesz o tym, Royhasie!

Nikt się nie odezwał. Król Carus, posępny jak granitowy głaz, spoglądał na to z głębi świadomości Garrica. Tym razem nie udzielał mu żadnych rad. Są takie decyzje, które król...

W nagłym przeblasku zrozumienia Garric zwrócił się do Valence'a.

– Wasza Wysokość – rzekł. – Twój lud znalazł się w niebezpieczeństwie. Idź i poprowadź ich. Będziesz miał najlepszych generałów i doradców, lecz żaden z nich nie zastąpi króla.

Valence popatrzył na Garrica oczami starego człowieka.

– Ja? – rzekł z powątpiewaniem. – Ja nigdy nie byłem prawdziwym królem.

– To nieprawda – odparł Garric, twardym, ale nie szorstkim głosem. – A nawet gdyby tak było, Wasza Wysokość, to teraz jest dobra chwila, abyś zaczął nim być. Twój lud cię potrzebuje.

Valence zwrócił się do stojącego przy nim kanclerza.

– Royhasie, pomożesz mi? – zapytał. – Wiesz, że zawsze ci ufałem.

– I nadal możesz mi ufać, Wasza Wysokość – powiedział cicho kanclerz. – Zaraz odziejesz się w królewskie szaty. Twój widok bardziej doda ducha oddziałom niż dziesięciotysięczne posiłki!

Ramię w ramię ruszyli do drzwi jak przyjaciele, a nie jak pokojowy prowadzący chorego. Royhas obejrzał się i z aprobatą skinął głową Garricowi.

On naprawdę jest przyjacielem króla, uświadomił sobie Garric. W dodatku lepszym niż którykolwiek z otaczających władcę dworaków. Chociaż nawet on w końcu chciał zastąpić Valence'a, żeby ratować królestwo.

Spojrzał na pozostałych, którzy czekali na jego decyzję. Skrzywił usta w uśmiechu.

– No to chodźmy – rzekł. – Im prędzej zaczniemy, tym prędzej...

Roześmiał się i ponownie sprawdził miecz, z przyzwyczajenia, które początkowo nie było jego własnym.

– ...skończymy, prawda? – dopowiedział.

W jego umyśle król Carus śmiał się razem z nim.

– *Allasan* – powiedziała Sharina. Już po raz trzeci powtarzała słowa zaklęcia i za każdym razem z coraz większym trudem. Miała wrażenie, że w ustach ma pełno suchych kamyków. – *Eomaltha beth iopa kerbeth...*

Zauważyła, że przenikliwy ziąb ustąpił, i znów zrobiło jej się ciepło. Światło zmieniło się z czerwonego na błękitne, jakby ktoś zdjął osłonę z gazy i zastąpił ją filtrem o innej barwie.

Sharina i królowa obserwowały oblany księżycowym blaskiem ogród, patrząc na fronton okazałej altanki. Po obu stronach budowli kamienne nimfy bawiły się w fontannie, z której woda spływała kanałami między rabaty azalii.

Na ławce kochała się para ludzi w bogatych strojach. Ich twarze skrywał cień. Jedna ze sztukaterii przedstawiała pierścień na tarczy, herb starożytnej królewskiej rodziny Haft. Obok, wśród porośniętych mchem dekoracji, widniał nowy narwał bor-Nallialów, szlacheckiej rodziny z Ornifal.

Para z jękiem odsunęła się od siebie. Oboje byli ubrani. Kobieta wygładziła przód sukni, a mężczyzna zapiął bryczesy i krótki kubrak. Stroje obojga były bogato haftowane, z licznymi metalowymi ozdóbkami.

Nad klombami bzycały nocne owady. Od czasu do czasu przemykał tam nietoperz chwiejnym lotem, zdecydowanie innym niż ptasi.

Mężczyzna odwrócił się, ostrożnie popatrzył wokół i wyszedł. Sharina poznała go z miniaturowego portretu, który dawno temu znalazła w rzeczach matki: był to Niard bor-Nallial, księżę Haft w wyniku małżeństwa z księżną Terą. Został zabity przed osiemnastoma laty w trakcie zamieszek, podczas których rodzice Shariny uciekli z Carcosy.

Niard odszedł, nie oglądając się. Przez pewien czas w mroku nocy słyhać było tylko owady i szmer kołysanych wiatrem kwiatów. Odczekawszy chwilę, kobieta wyszła z altanki i ruszyła w przeciwną stronę.

Sharina wstrzymała oddech. Tą kobietą nie była księżna Tera, lecz jedna z jej pokojówek.

Z księciem Niardem była matka Shariny, Lora.

Królowa najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia tego, co przed chwilą widziała. Uśmiechnęła się do Shariny i machnęła swoją kryształową różdżką, zmieniając tę idylliczną scenkę

na obraz totalnego chaosu. Sharina patrzyła na to ze zmrożonym sercem. Akuszerka w czarnym fartuchu swej profesji pomagała Lorze na słomie w królewskiej stajni. Przez otwarte wrota było widać przebiegających zbrojnych oraz ludzi wymachujących najróżniejszym orężem – kuchennymi nożami, różnami lub nogami od stołów. Niektórzy trzymali pochodnie i w wielu oknach pałacu już pojawiły się płomienie.

Lora parla z krzykiem. Akuszerka wyciągnęła dziecko do połowy. Lora jeszcze raz napięła mięśnie i ciężko dysząc, opadła na słomę, a położna przecięła i zawiązała pępowinę.

Obok czekał muł z zasłoniętymi oczami. Zwierzę było wprzęgnięte do dwukołowego wózka, jednego z tych, jakich używali kurierzy na zachodniej stronie Haft, gdzie drogi były znacznie lepsze niż w pobliżu Barca's Hamlet. Pomimo kłapek na oczach, muła niepokoiły krzyki i zapach dymu.

Od strony pałacu nadszedł mężczyzna, niosąc coś w grubym brokacie. Akuszerka pisnęła ze strachu i uspokoiła się, gdy w blasku płomieni płonącego budynku ujrzała twarz przybysza.

Sharina też go rozpoznała, chociaż nie tak szybko jak Lorę. Minione lata wycisnęły swoje piętno na obliczu Reisego or-Lavera, człowieka, którego Sharina zawsze uważała za swego ojca.

Akuszerka owinęła dziecko Lory w cienki wełniany becik. Reise podał jej tłumoczek, w którym był inny noworodek. Pochylił się i najpierw pomógł półprzytomnej Lorze wstać, a potem wejść do powozu. Pojazd miał wąską ławkę, a za nią kosz, w którym kurierzy umieszczali listy i paczki. Teraz wymoszczono go słomą. Reise po kolei wziął od akuszerki niemowlęta i umieścił je w koszu. Lora jęczała i wiła się z bólu, chwiejąc się na koźle.

Reise dał położnej monetę. W blasku księżycy zabłysło złoto. Wsiadł do powozu i niezgrabnie szarpnął lejce, podrywając oślepiętego muła. Zwierzę usłuchało, choć zareagowało nerwowo. Gdy pojazd wyjeżdżał na ulicę, spowite w gruby jedwab niemowlę rozkopało becik.

Dzięki czarom królowej wszystko było widać jak na dłoni. W blasku łuny pożarów nie było najmniejszych wątpliwości, że dziecko, które Reise przyniósł z pałacu, było płci męskiej.

Obraz znikł we mgle. Sharina spojrzała na królową. Przez moment widziała ludzką twarz, wykrzywioną grymasem wściekłości, a potem zaszła zmiana i królowa przemieniła się w demona wstrząsanego potworną furją.

– Nie pochodzisz z królewskiego rodu! – wrzasnął demon głosem przypominającym skwierczenie płonącego tłuszczu. – To twój brat jest potomkiem króla Lorcana, nie ty!

Sharina nic nie powiedziała. Miała wrażenie, że ujrzała błysk, a teraz czeka, aż trafi ją grom.

Królowa i kula zniknęły. Sharina stała w komnacie, w której została uwięziona na początku. Teraz mogła się ruszać. Za pionowymi szczelinami okien widać było tylko litą ścianę czerwieni.

Sharina próbowała precyzyjnie się przez jedno z tych okien. Jej smukłe ciało prześlizgnęło się przez otwór w ścianie, ale potem zatrzymała ją bariera twardsza niż kamień. Sharina pchała, aż omdlewały jej ręce, a przed oczami zaczęły tańczyć czarne płatki. Potem osunęła się na podłogę celi.

Gdzieś w pobliżu słychać było śpiew.

PIĄTY DZIEŃ KUROPATWY (PÓŹNIEJ)

Besimon, oficer dowodzący oddziałem gwardii i wskazujący Garricowi drogę do legowiska Bestii, ściągnął wodze rumaka, zatrzymał się przy jedynym pozostałym filarze dawnej kolumnady i gniewnie rozejrzał się na boki.

– Nigdy nie byłem tu za dnia – wyjaśnił przepaszającym tonem. – Muszę...

Garricowi i Besimonowi towarzyszyli dwaj żołnierze Krwawych Orłów. Następni dwaj jechali obok powozu, który z turkotem wiozł pozostałych członków wyprawy. Garric zdecydował, że nie chce i nie potrzebuje liczniejszej eskorty.

– Tędy – zdecydował Besimon, wskazując pustą ręką na prawo. Skierował konia w porośniętą drzewami alejkę. Po drugiej stronie były zwalone kolumny i architrawy z rzeźbami zbyt zatartymi, by Garric mógł dostrzec, co przedstawiały.

Wyjechali na dziedziniec niegdyś otoczony owalnym portykiem, który runął, pozostawiając rząd podstaw kolumn i żłobkowanych kamiennych walców, porozrzucanych w zaroślach. Silyon klęczał przy cembrowinie starszej od otaczających ją ruin. Towarzyszący mu uprzednio marynarze uciekli, zapewne zanim jeszcze usłyszeli zbliżających się jeźdźców.

Na srebrnym trójnogu była zawieszona łaza z zielonego wulkanicznego szkła. Silyon zawodził do niej:

– Wielka Bestio, panie tego i wszystkich światów, przyjmij naszą ofiarę. Zniszcz królową, która jest twym wrogiem...

Polaną wstrząsnął śmiech, trójgłosy i tak głośny, że zdawał się rozrywać niebo. Obsydianowy paciorek tańczył w rytm tego piekielnego dźwięku.

– ...oraz jej zwierzęce sługi! – wrzasnął Silyon. Nie zauważył przybycia jeźdźców.

Garric zeskoczył z siodła. Mały puklerz, przymocowany na plecach, uderzył go w nerki. Powinien był lepiej go przymocować. Puścił zdenerwowanego rumaka wolno, ponieważ nie miał czasu go uwięzić. Złapał Silyona za ramię i poderwał go z ziemi. Trójnóg upadł na trawę.

– Gdzie jest Liane? – krzyknął, chociaż już wiedział.

Przymocowana do leżącego na ziemi gzymsu lina biegła ku krawędzi cembrowiny, gdzie niedawno została odcięta.

– Przyjmij naszą ofiarę! – wrzasnął Silyon. Z dzikim śmiechem runął na wznak na ziemię. – Przyjmij...

Besimon przeszył mieczem jego pierś, a potem na wszelki wypadek przeciął jeszcze gardło.

– Powinienem zrobić to już rok temu – mruknął, ocierając ostrze o tunikę czarownika.

Garric zajrzał do studni. Sam nie wiedział, co spodziewał się zobaczyć: pewnie tylko kamienie i ciemność.

Piętnaście metrów niżej zobaczył Liane. Obok leżała szarfa, którą dostała od Ilny, teraz zmięta i rzucona na ziemię. Ślady na cembrowinie studni świadczyły, że w przeszłości opuszczano tu jakieś ciężary, lecz na dole nie było po nich śladu. Liane i skałę, na której stała, oświetlała pulsująca pomarańczowoczerwona poświata. Dziewczyna obróciła głowę, jakby usiłując znaleźć źródło jakiegoś dźwięku lub spojrzeć na coś, co dostrzegła kątem oka.

– Liane! – zawołał Garric. Nie spojrzała w górę. Dłonie miała złożone czubkami palców i wydawała się medytować.

Powóz zatrzymał się z turkotem tuż za plecami Garrica. Żelazna obręcz przedniego prawego koła rozgniotła zmurszałe marmurowe nadproże. Garric obejrzał się. Ilna wyskoczyła z powozu, a za nią dwaj żołnierze Krwawych Orłów. Młodszy czarodziej pomógł kalekiemu towarzyszowi wysiąść z pojazdu, podczas gdy woźnica wstrzymywał czwórkę koni. Zaprzęg przywykł raczej do jazdy po drogach, a nie zarośniętych leśnych traktach, lecz zwierzęta nie tylko dlatego były zdenerwowane. Wyczuwały unoszące się wokół zło.

– Przynieście sznur – polecił Garric Besimonowi. Sprawdził rzemienie mocujące pochwę z mieczem do pasa, a potem zacisnął sprzączkę tak, by okrągły żelazny puklerz nie obijał się o jego plecy podczas zjazdu. – Liane tam jest, więc zejść na dół.

Jeden z żołnierzy rzucił oficerowi zwój liny, którą wyjął z powozu. Besimon zawiązał jeden jej koniec wokół fragmentu kolumny i przyniósł zwój do studni.

– Zjadę pierwszy, Wasza Wysokość – rzekł.

– Nie – odparł Garric. – Nic podobnego. Opuszczę się tam sam, a ty i twoi ludzie przypilnujecie sznura oraz moich przyjaciół, gdy będą rzucali zaklęcia.

Wziął linę od Besimona i zrzucił ją do studni. Opadając na dno, sznur wił się jak żywe stworzenie.

– Musimy wszyscy troje być w tej komorze, jeśli mamy otworzyć ją, żebyś mógł wyjść – powiedział Cerix. – Alos, pani Ilna i ja.

Halphemos podtrzymywał ramieniem Cerixa jak jeden żołnierz drugiego. Kiedy szli, kikuty nóg czarodzieja dyndały w powietrzu. Małe koła wózka nie nadawały się do jazdy po tych wertepach.

– Wszyscy? – zdziwił się Garric, patrząc na nich z powątpiewaniem. – Myślałem, że możecie... – wzruszył ramionami – zrobić to tutaj, tak jak Silyon.

Cerix uśmiechnął się ponuro, gdy niosący go mężczyźni opuścili go na ziemię.

– Zastanawiam się, co też otworzylibyśmy, gdybyśmy wypowiedzieli tu zaklęcie Klucza Żółtego Króla? – rzekł w zadumie. – Na pewno nie kryptę Bestii, lecz miałoby to równie oplakane skutki dla świata.

Twarz starego czarodzieja wykrzywił skurecz bólu. Garric zmrużył oczy, widząc kalekę w takim stanie.

– Ramiona mam całe! – gniewnie rzucił Cerix.

Ilna trąciła stopą głowę martwego czarownika i spojrzała mu w twarz. Prychnęła.

– Zastanawiam się, ile kobiet odbyło tę wycieczkę przede mną? – mruknęła. – No cóż, może ja będę ostatnia.

– Dobrze – rzekł Garric. Podniósł linę i owinał nią lewą stopę, przytrzymując czubkiem drugiej. Twarda skóra podeszwy sandała będzie najbardziej narażona na tarcie podczas zjazdu.

Przełożył nogi za krawędź cembrowiny i zaczął zjeżdżać w dół. Nie zdziwiło go to, że Ilna uparła się zjechać następna. Miecz u pasa zakołysał się. Tarcza, chociaż teraz dobrze zamocowana do pleców Garrica, zmieniła środek ciężkości ciała, tak że zawisł prawie poziomo. Hełm, który nosił na głowie, miał miseczkowaty kształt i siatkę żelaznych ogniwi, osłaniającą kark. W połowie drogi na dół spadł młodzieńcowi z głowy.

Pierwszą reakcją Garrica była ulga wywołana tym, że pozbył się niewygodnego ciężaru, a kiedy zastanowił się nad tym, nie znalazł niczego, co przemawiałoby przeciwko temu. Uśmiechnął się. Ukryty w jego umyśle król Carus, który na głowie nosił tylko diadem, zaśmiał się. *Czasem sprawy przybierają lepszy obrót niż pozwoliłby im na to zdrowy rozsądek, chłopcze*, powiedział starożytny władca.

Chociaż Garric nie słyszał szczęku, hełm musiał upaść niedaleko Liane. Kiedy wahadłowo

kołyszący się na linie Garric znów ją zobaczył, dziewczyna spoglądała w górę. Osłaniała oczy dłonią, ale wydawała się go nie widzieć, mimo że do tego czasu znalazł się najwyżej sześć metrów od niej.

Lina nie sięgała aż do dna jaskini. Garric zawisł na rękach. Gdyby ucieczka sprowadzała się tylko do osiągnięcia sznura, mógłby podnieść Liane tak, aby zdołała chwycić zwisający koniec. Uśmiechnął się. Tak, a wtedy pewnie pojawiłaby się królowa, aby błagać męża o wybaczenie. To bardzo uprościłoby sprawę, no nie?

Zeskoczył, kiedy znalazł się dwa metry nad ziemią. Uderzył podeszwami sandałów o kamienne dno. Liane odwróciła się z cichym okrzykiem i dopiero teraz zauważyła Garrica.

A on zobaczył ich więzienie.

Znajdowali się w ogromnej komorze o kopulastym sklepieniu, większej od jakiegokolwiek, jaka mogła znajdować się tak blisko Valles. Jej ściany były z twardej litej skały, nie z wapienia, jak głazy sterczące z ziemi na terenie zrujnowanego pałacu. Ognisty blask jarzył się w rozpadlinie, znajdującej się zaledwie kilka kroków od Garrica i Liane. Na drugim końcu pasmo światła oświetlało wygięte ściany ciągnące się w dal. Liane padła Garricowi w ramiona.

– Nie powinieneś tu przychodzić! – zawołała, mocno go uściskawszy. Zanim zdążył odpowiedzieć, cofnęła się o krok. – W jaki sposób?... – zaczęła, patrząc na coś za jego plecami.

Spojrzał w górę, spodziewając się zobaczyć zwisającą linę. Nie ujrzał niczego poza gładką ścianą jaskini, zabarwioną przez posępny blask padający z rozpadliny. Powietrze było suche i bardzo gorące.

Ilna opadła znikąd na kamienie obok nich. W dłoniach trzymała arkan, swoją ulubioną broń. Sapnęła, z impetem uderzywszy stopami o kamień, po czym odsunęła się na bok.

– Będziesz musiał złapać Cerixa – powiedziała. – On będzie następny.

– Dobrze – rzekł Garric. Stał w tym miejscu, gdzie przed chwilą wylądowała Ilna, i odchylił się do tyłu, wyciągając ręce. Nie widział Cerixa ani liny, ale chyba czarodziej...

Cerix wpadł mu w ramiona. Pod Garrikiem ugięły się kolana, ale odzyskał równowagę i opuścił czarodzieja na ziemię. Ponieważ beznogi kaleka nie był wyższy od dziecka, Garric podświadomie spodziewał się niewielkiego ciężaru. Tymczasem Cerix był muskularnym mężczyzną o normalnej wadze ciała.

Potem pojawił się Halphemos. Opadł na dno jaskini i podparł się ręką, lecz kościany sztylet wypadł mu przy tym zza pasa i z trzaskiem uderzył o kamień. Czarodziej podniósł go, uważnie obejrzał i z zadowoleniem kiwnął głową.

Ilna owinęła się arkanem w pasie i wyjęła z rękawa szarfę. Podeszła do rozpadliny, przystanąła krok od krawędzi i spojrzała w dół. Garric odpiął puklerz i trzymając go w lewej ręce, stanął u boku dziewczyny.

Dwa metry poniżej krawędzi rozpadliny szerokim na dziesięć metrów kanałem płynęła pomarańczowa lawa. Nawet z tej odległości od żaru stopionej skały skręcały się włosy na brodzie i prawym przedramieniu Garrica. Dotknął ręki Ilny i odciągnął ją do tyłu.

– Bierzmy się do roboty – rzekł ochrypłym głosem Cerix.

Mówił zrezygnowanym tonem człowieka, który już uważa się za martwego albo pragnie śmierci. Z sakwy przy pasie wyjął ołowiany pręt grubości swego małego palca.

– Nie potrzebujemy kręgu? – spytał zdziwiony Halphemos.

– Klucz otwiera wszystkie drzwi, chłopcze! – uciał kaleka. Przeciągnął prętem po skale. Metal zostawił srebrzystą smugę, ledwie widoczną na tle czarnego kamienia. Cerix spojrzał na Ilnę i powtórzył: – Bierzmy się do roboty!

Ilna spojrzała na niego. Gdyby nie widział wyrazu jej twarzy, Garric nie uwierzyłby, że Ilna potrafi się nad kimś litować.

– Tak, oczywiście – odparła spokojnie i rzuciła szarfę na ziemię.

Materiał ukazał znaki Dawnego Pisma. Cerix przyjrzał się im, a potem swym ołowianym pisakiem napisał je prostymi, współczesnymi literami.

– *Rouche* – przeczytał Halphemos. – *Dropide tarta iao*.

Ilna podniosła szarfę i rzuciła ją ponownie. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Wełna ukazała inne znaki, równie dobrze widoczne. Cerix pospiesznie przepisał je, lewą ręką przesuwając swoje ciało tak, by mieć więcej miejsca. Garric próbował odczytać na głos znaki Dawnego Pisma, gdy Halphemos spoglądał na tekst przetłumaczony przez mistrza. Garric zrobił to zupełnie nieświadomie, wiedział jednak, że częściowo kierowała nim młodzieńcza chępliwość: *Jestem lepiej wykształcony niż ty!*

Tak też było, Reise dał bowiem swoim dzieciom wykształcenie lepsze od tego, jakie zapewniały najlepsze akademie Valles i Erdinu. Jednakże zdolność czytania Dawnego Pisma była raczej sprawą znajomości magii niż liter. Język przywarł Garricowi do podniebienia, zanim skończył wymawiać pierwszą sylabę. Młodzieniec brał już udział w rzucaniu czarów, pomagając Tenoctris przy zaklęciach, które wymagały więcej niż jednego mówiącego. Tym razem było to coś zupełnie innego, co przekraczało jego możliwości tak samo jak rozbicie ścian jaskini gołymi rękami.

Garric poczuł szacunek do Halphemosa i po raz pierwszy zrozumiał udrękę Cerixa. Kaleka nie tylko musiał wziąć się w garść, jak początkowo sądził Garric, z arogancją płynącą z własnego kwitnącego zdrowia. Cerix nie miał nóg, a zdolność wypowiedzenia tych magicznych słów z pewnością wymagała tyle samo siły, co pokonanie bez odpoczynku odległości z Barca's Hamlet do Carcosy.

– *Abouas sioun serou...* – mówił Halphemos. Ilna podniosła szarfę i znowu ją rzuciła. Cerix napisał słowa, a Halphemos przeczytał je.

Liane stała obok Garrica, spoglądając w dal. Młodzieniec ponownie sprawdził, czy jego miecz gładko wysuwa się z pochwy. Był spięty, a w tym momencie nie miał czym zająć ani swojego umysłu, ani mięśni. Wszystko zależało od czarodziei, od nich i od Ilny.

– *Katebrimopiste agaleision...* – rzekł Halphemos. Twarz miał jak wykutą z kamienia, lecz pot perlił się na jego czole, mimo że powietrze w jaskini było bardzo suche.

Ilna rzuciła szarfę zamaszystym ruchem, jakby rozwieszała na krzakach upraną chustę, żeby wyschła. Ile ją to kosztowało? Sądząc po wyrazie jej twarzy, nie więcej wysiłku niż podnoszenie i rzucanie szarfy... A przynajmniej tak się zdawało.

Jednak żaden z czarodziei nie potrafił zrobić tego, co robiła Ilna os-Kenset, a ona nigdy nie zdradzi, ile ją to kosztuje. Być może największą zaletą Ilny była siła jej ducha, lecz w tą nikt nie mógłby wątpić.

Garric zdjął prawą rękę z gałki miecza i delikatnie położył dłoń na ramieniu Liane.

– *Aelgoso bitto aikisos!* – powiedział Halphemos, z pobladłą twarzą zabarwioną teraz na czerwono blaskiem lawy.

Garric zdrętwiał. Liane zerknęła na niego. Wyciągnął wskazujący palec. Rozpadlina w pobliżu miejsca, gdzie stali, zwęziła się. Po przeciwnej stronie dno jaskini zaczęło tworzyć nad nią łukowaty most.

Liane chwyciła Garrica za rękę. Po raz pierwszy, od kiedy umieszczono ją w tej krypcie, dostrzegła nikłą szansę ucieczki.

Ilna z nieprzeniknioną miną rzuciła szarfę. Czy zauważyła to? Czy obchodziło ją coś więcej niż

tylko dokładne wykonanie zadania, jakie sobie postawiła?

– *Opelion ophelime uriskos...* – powiedział młody czarodziej.

Garric prędzej wyczuł śmiech, zanim go usłyszał, a nawet potem wychwycił go raczej myślą niż uchem. Patrzył, jak brzegi rozpadliny wyciągają się ku sobie niczym załamujące się na plaży fale. Odwrócił się gwałtownie. Z przeciwnej strony coś się ku nim zbliżało.

Garric natychmiast odsunął Liane na bok. Bez pośpiechu wyjął miecz z pochwy, szykując się do walki. Klinga z cichym brzękiem wyszła z żelaznego wylotu pochwy, lecz ostrze nawet nie musnęło przy tym okucia.

Król Carus był z Garrikiem, pojawiając się i znikając, jakby ciało młodzieńca było szatą, a duch króla debiutantem niepewnym swego wyboru stroju. To była walka Garrica i młodzieniec już nie uzależniał się od swego przodka, gdy tylko dotknął rękojeści miecza lub gdy ogarnęła go fala palącego, niepohamowanego gniewu.

Stwór maszerował na wszystkich czterech łapach, chociaż chwilami stawał jedynie na tylnych, jak niedźwiedź. Nie jak człowiek. Zupełnie nie był podobny do człowieka.

Miał trzy łby na węzowych szyjach. Boczne głowy były gadzie, klinowate jak u żmij, a nie wąskie i wypukłe jak czaszki morskich wilków, które czasem wychodziły z wody, aby napadać na stada owiec Barca's Hamlet. Rozwidlone języki wynurzały się i chowały w lesie stożkowatych, długich na palec kłów. Środkowy łeb mógł należeć do psa lub pawiana, gdyby któreś z tych stworzeń osiągnęło kiedyś rozmiary Bestii. Ta miała w kłębie dziesięć metrów i z rozdziawionymi pyskami kroczyła ku ludziom.

– Doceniam twoje wysiłki, żeby mi dogodzić, Garricu or-Reise – powiedział psi łeb. Płonąca skała wezbrała w rozpadlinie w rytm tych słów. – Przeprowadziłeś mi tę, która może mnie uwolnić z więzienia.

Przez jej syczący, potworny śmiech Garric usłyszał zmianę tonu głosów swoich towarzyszy. Nie mógł się odwrócić, żeby sprawdzić przyczynę.

– Za tę pomoc... – rzekła środkowa głowa. Wężowe wciąż zanosily się śmiechem przypominającym trzask palących się liści. – Zjem ciebie i twoich towarzyszy na samym końcu. Czyż nie jestem uprzejma, Garricu or-Reise?

– Jeśli podejdziesz bliżej – ostrzegł ją Garric – zabiję cię.

– Kiedy Żółty Król uwięził mnie tutaj, byłam tak wielka jak cała ta jaskinia – powiedziała Bestia. Jej głos wstrząsał skałami, chociaż z pełnej psich kłów paszczy nie wydobywał się żaden dźwięk. – Głodowałam tu i kurczyłam się... lecz nie sądzę, abyś zdołał mnie powstrzymać, Garricu or-Reise.

– Garricu! – zawołała za jego plecami Liane. – Most jest otwarty! Wracaj, żeby Halphemos mógł go zamknąć!

Bestia ryknęła ogłuszającym śmiechem i ruszyła naprzód. Wydawała się przebierać nogami w miejscu, lecz przy każdym kroku zbliżała się z szybkością kłusującego konia.

Garric cofnął się o krok, a potem drugi. Bestia była już tak blisko, że mogła go zaatakować swymi gadzimi łbami. Na łydkach poczuł żar lawy. Czyjaś dłoń – dłoń Liane – dotknęła jego ramienia, wskazując mu kierunek.

– *Rouche* – powiedziała środkowa głowa Bestii. – *Dropide tarta iao!*

Cerix jęknął, pojmując plan Bestii.

– Pisz słowa! – krzyknęła Ilna. – Twoim zadaniem jest pisać słowa!

Garric zrobił krok naprzód i zamachnął się mieczem.

– Widzę koniec – oznajmił Zahag. – Jesteśmy wolni. Chodź, wodzu!

Małpolud wyciągnął rękę, by ująć dłoń Cashela i pociągnąć go za sobą, a potem zmienił zamiar i sam pogalopował naprzód. Cashel poszedł za nim miarowym krokiem, tak jak chodził zawsze.

– Zwolnij – i tak tam dojdziemy – powiedział dostatecznie głośno, by Zahag usłyszał go przez pulsowanie powietrza. – Jeśli tylko w ogóle jest jakieś „tam”.

Zahag uniknął kuksańca, który zapewne zarobiłby, gdyby złapał go za rękę. Cashel wiedział, że kończy mu się cierpliwość, a nie miał pojęcia, co będzie dalej. Nie lubił niepewności. Zahag przystanął, a potem doskoczył do Cashela.

– Nie widzisz tego? – zapytał. – Prosto przed nami?

Położył długą dłoń na biodrze Cashela. W ten sposób upewniał się, że nie jest sam, a nie próbował nakłonić go do zrobienia czegoś, czego młodzieniec nie chciał. Cashel nie odpędził go. Miał spore doświadczenie w uspokajaniu przestraszonych zwierząt, a Zahag miał teraz więcej powodów do niepokoju niż owca w czasie burzy.

– Widzę coś – przyznał. – Kiedy tam dojdziemy, zobaczymy, co to takiego.

W głębi korytarza światło zmieniło się, chociaż zachowało granatową barwę. Czyżby stało się jaśniejsze?

Cashel ze zniechęceniem potrząsnął głową. Nie lubił zagadek. Chciałby, żeby ktoś mu powiedział, co ma robić. Jeśli trzeba będzie walczyć, to dobrze. Cashel nieczęsto walczył, ale na tym przynajmniej się znał. Przekonał się już, że nie sposób prawidłowo ocenić odległości w tym przejściu, które otwarła dla niego Tenoctris. Mimo to zdziwił się, gdy razem z Zahagiem niespodziewanie wyszli na rozległą, lekko nieckowatą równinę. Cashel stanął. Zahag, z nerwowym zdziwieniem rozglądając się wokół, powiedział:

– Tylko gdzie jesteśmy? To miejsce jest równie paskudne jak poprzednie!

– No, jest inne – rzekł Cashel. Przede wszystkim sprawdził, czy korytarz za nimi wciąż jest otwarty. Był. Młodzieniec bacznie rozejrzał się wokół i stwierdził, że teraz ma dość miejsca, żeby trzymać pałkę poziomo.

– Jest prawie takie samo – mruknął pokornie Zahag i Cashel musiał przyznać, że małpolud się nie myli.

Dno i ściany krateru oraz kolumna na środku jarzyły się takim samym czerwonym światłem, jakie rozjaśniało korytarz, którym tu przyszli. Powierzchnia była lita i gładka jak lód, ale wydawała się nierealna, nie jak skała czy drewno.

– Na swój sposób bardzo się różni – orzekł Cashel. Wzruszył ramionami. – Podobałoby mi się bardziej, gdyby była tu jakaś błotnista płycizna albo coś w tym rodzaju. Jak sądzisz, Zahagu?

– Myślę, że wolałbym być znowu na Sirimat, z tym stadem, z którego mnie porwano – odparł Zahag. – Nikt z nich nie był szalony. Byli o wiele mądrzejsi niż obecni ludzie.

Cashel zaśmiał się.

– Sądzę, że znajdujemy się w jednym z tych węzłów, które widzieliśmy w podziemiach, gdzie zbiegają się linie. Chodźmy zobaczyć, co znajduje się w środku.

Marsz nie był ciężki. Na czerwonym świetle pod naciskiem stóp nie powstawała warstewka ciecicy tak jak przy chodzeniu po lśniącej lodzie. Tutaj wystarczyło tylko utrzymać równowagę. Nie było to trudniejsze od chodzenia po mokrych kamieniach, gdy wylewał Wzorzysty Potok.

Zahagowi było jeszcze łatwiej, gdyż maszerował na czworakach. Cashel domyślił się, że małpolud znowu mamrocze strofy wiersza, lecz robił to tak cicho, że młodzian nie był tego pewny.

– Nie lubię przeciskać się przez takie wąskie przejścia jak ten tunel – rzekł Cashel. Wydało mu się, że za warstwą czerwonej mgiełki dostrzega chmury, a był prawie pewny, że pod tym światłem, po którym szli, widzi prawdziwe skały i chyba trawę. – Tu jest znacznie lepiej, nie sądzisz?

Zahag nie odpowiedział. To zresztą i tak nie było pytanie.

Na razie nigdzie nie było widać królowej ani żadnego żywego stworzenia. No, może w tym stożku na środku...

Cashel nie wydłużył kroku, ale zakręcił pałką, żeby rozluźnić mięśnie ramion. Za żelaznymi okuciami ciągnęły się nitki błękitnego ognia. Zdziwiło go to, ale nie za bardzo. I tak wiedział, że to niesamowite miejsce.

– Pamiętasz, jak uwolniliśmy księżniczkę Arię z wieży? – zapytał Zahaga.

– Pamiętam – odparł małpolud. Nie powiedziałaby tego bardziej ponurym tonem, gdyby właśnie usłyszał, że umarła mu siostra.

Cashelowi wydawało się, że w górze widzi słońce, ale było ono ledwie widoczną plamką na czerwonym niebie. Głównym źródłem światła były tu jarzące się powierzchnie, tak jak w tunelu wiodącym na tę równinę. Trudno było ocenić odległość, ponieważ w ogóle nie było tu cieni.

Cashel z trudem powstrzymał się i nie pobiegł w kierunku słupa światła.

– Ha! – powiedział, śmiejąc się z siebie.

Od kiedy wyszli z tunelu, poprawił mu się humor. Był przekonany, że zbliżają się do celu. Przynajmniej będą mieli okazję coś zrobić.

Cashel lewą ręką trącił kolumnę. Była prosta i gładka jak pałka, którą trzymał w drugiej dłoni. U podstawy nie była grubsza od wielu drzew, jakie zrębał w swoim życiu, lecz na górze poszerzała się w kulę. Teraz łatwiej było to dostrzec na tle nieco bledszego nieba niż na tle jasnoczerwonej ściany niecki.

Nawet Zahag wyglądał na zaintrygowanego. Obwąchał podstawę kolumny, wodząc po niej palcami lewej ręki i obchodząc ją wokół.

Cashel wyczuł rytm. Śpiew, pomyślał. Może to Tenoctris utrzymująca dla nich otwarte przejście.

A może wcale nie ona.

– Hm, czy myślisz, że mógłbyś się na nią wspiąć? – zapytał Cashel, ważąc w dłoniach laskę. Spojrzał przez ramię, lecz oprócz niego i Zahaga w tej niecce światła nadal nie było nikogo.

– Ma ponad piętnaście metrów wysokości – zauważył małpolud, spojrzawszy w górę; Dostrzegł, że Cashel patrzy na swoje palce. – To dziesięć twoich podwójnych kroków, wodzu, lewą i prawą nogą.

– Aha – mruknął Cashel. Zahag nie powiedział tego opryskliwie ani szyderczo, przedstawiając odległość w zrozumiałym dla niego sposób. Sam ten fakt lepiej niż słowa świadczył o tym, jak zdenerwowany był małpolud.

– Nie zdołam wejść na sam czubek – orzekł Zahag, ponownie rozważywszy problem. – Jest za bardzo rozdęty. Na pewno jednak mogę wspiąć się na kolumnę.

– Byłbym zobowiązany, gdybyś to zrobił – powiedział Cashel, przesuając w dłoniach hikorowe drzewce. – Wydaje mi się, że na górze widzę jakieś okienko, więc może w środku...

Oczywiście, nawet jeśli królowa była w środku, to wcale nie ułatwiało Cashelowi zadania. Nie miał jednak lepszego pomysłu, a jeśli Zahag miał jakiś, to nie kwapił się, żeby go wyjawić.

Powinni wejść tam razem. Cashel podejrzewał, że niebawem będzie musiał zabrać się do roboty.

Małpolud podskoczył i chwycił się kolumny na wysokości głowy Cashela. Cashel mógłby podnieść go wyżej, pomagając sobie pałką, ale gdyby Zahag nie mógł utrzymać się na tym słupie, to lepiej dowiedzieć się o tym, zanim znajdzie się na niebezpiecznej wysokości.

Zahag jednak trzymał się dobrze. Rozłożył ręce i nogi na całą szerokość, przy czym wyglądał jak pajak, który czatuje w płatkach kwiatu na ofiarę. Mógł spleść dłonie po drugiej stronie kolumny, a nawet krótszymi tylnymi nogami obejmował ją dostatecznie dobrze, żeby przesuwać ręce wyżej.

Przytrzymując się na przemian rękami i nogami, małpolud wspinał się po słupie niewiele wolniej, niż idąc z Cashelem przez równinę. I wyglądał prawie tak samo, jak kiedy podskakiwał na czterech łapach. Cashel słyszał, że jego towarzysz znów mamrocze pod nosem wiersze.

– Duzi, pomóż Zahagowi, jeśli możesz – szepnął. Spojrzał wokół, upewniając się, że nic nie zbliża się do nich niepostrzeżenie. – Tylko on może mi tu pomóc, a nie ma swoich bogów, do których mógłby się pomodlić.

– Jestem na miejscu, wodzu! – zawołał Zahag. – Wszedłem!

Zahag dotarł do miejsca, gdzie kolumna rozszerzała się jak kozioł do podtrzymywania palącego się drewna na kominku. Bardziej piskliwym głosem dodał:

– Widzę...

Zahag zrobił coś, co Cashelowi wydawało się nieprawdopodobne: trzymając się kolumny tylnymi łapami, podniósł przednie w górę, żeby złapać cebulowato rozdętą część wieży. Młodzieniec miał wrażenie, że patrzy na chodzącą po suficie muchę. Małpolud ważył prawie tyle samo, co dorosły mężczyzna. Jeśli spadnie z tej wysokości...

– Widzę jakąś kobietę! – zawołał z entuzjazmem Zahag. – To dziewczyna! Jest jasnowłosa i macha do...

Odchylił się w tył i błyskawicznie wyciągnął ręce. Zrobił to tak szybko, że gdyby na kolumnie był jakiś uchwyt, na pewno zdołałby go złapać. Niestety, nie było – tylko gładka powierzchnia, na której nie mógł utrzymać się nawet on, mając do pokonania nie tylko siłę ciężenia, ale i wahadłowy ruch swego ciała. Klasnął rękami o słup i zdołał przytrzymać się go przez moment, po czym koziołkując, poleciał w dół.

Cashel wypuścił z rąk pałkę i ocenił okiem odległość. Zrobił krok w lewo i krok dalej od słupa. Podjął ryzykowną decyzję, lecz i tak związaną z mniejszym niebezpieczeństwem niż ta, w wyniku której budziłby się w środku nocy ze świadomością, że nie próbował ratować przyjaciela.

Okucia pałki uderzyły o ziemię, krzesząc błękitne skry. Cashel podniósł ramiona i spojrzał między nimi w górę. Tutaj przynajmniej nie musiał się obawiać, że oślepi go słońce...

Stał na lekko rozstawionych nogach, uginając kolana i ręce w łokciach. Powinien zamortyzować wstrząs mięśniami, a nie usztywnionymi stawami. Inaczej impet uderzenia wbije go w ziemię jak kołek od namiotu i spłaszczy małpoluda, jakby nikt go nie złapał.

– Aaa! – wrzasnął Zahag i wpadł w objęcia Cashela. Ramiona Cashela zgięły się, ale zdołał przycisnąć małpoluda do piersi i obrócić się plecami do kolumny. Na moment przyklęknął na jednym kolanie, po czym upadł na bok, ślizgając się po gładkiej powierzchni.

Zatrzymali się kilka kroków od wieży. Cashel wciąż trzymał małpoluda. Sądząc po tym, jak Zahag skrzeczał z ulgą, nie odniósł żadnej innej szkody poza szturchnięciem łokciami w żołądek, kiedy młodzieniec ugiął ręce pod ciężarem jego spadającego ciała.

Cashel wstał i wrócił tam, gdzie leżała porzucona pałka. Pomruk rzucanego zaklęcia był teraz głośniejszy. Cashel nie był w stanie wskazać miejsca, skąd dochodził ten dźwięk, a poza tym miał co innego do roboty. Wiedział już, co robić.

– Czy to królowa? – zapytał Zahag. Podskakiwał jak sprężyna. Cashel domyślał się, że to z radości spowodowanej tym, że żyje. – Czy tam na górze jest królowa, wodzu, a ty zamierzasz ją stamtąd wywlec?

– Nie sędzę, że to królowa – odparł Cashel, sprawdzając najpierw jedno, a potem drugie okucie pałki. – Teraz zamierzam coś rozbić, Zahagu. Jeszcze nie wiem, co to jest, więc może lepiej powinieneś wrócić do tunelu.

Przesunął dłońmi po drzewcu, sprawdzając, czy nie pękło, kiedy w pośpiechu rzucił je na ziemię.

Nie znalazł żadnych pęknięć. Cashel spodziewał się tego, ale wołał się upewnić.

Zakręcił pałką nad głową. Z początku powoli, rozgrzewając się i krzyżując ręce przy środku ciężkości drzewca, a potem coraz szybciej.

Zatrzeszczały błękitne płomyki. Tworzyły kręgi, które wisały w powietrzu, nawet kiedy Cashel zaczął kręcić drzewcem pod innym kątem. To skwierczenie przypominało śmiech starego człowieka.

Cashel też się zaśmiał i ze śmiechem uderzył pałką jak taranem o kolumnę światła. Włożył w ten cios całą siłę obu ramion i ciężar górnej połowy ciała.

Wszechświat zbieleł i ucichł. Nawet pomruk zakłęcia umilkł na kilka uderzeń serca.

Ryczący błękitny płomień jak błyskawica rozerwał pustkę. Cashel upadł na plecy. Przez moment nie mógł wstać, ani nawet mrugnąć okiem, tak bardzo był wyczerpany.

Na kolumnie czerwonego światła pojawiły się pęknięcia. Jej powierzchnia zmatowiała, tracąc połysk. Kawałek wielkości paznokcia odpadł i rozpląnął się w powietrzu, zanim uderzył o ziemię.

Wszystko rozsypywało się. Zahag otwierał i zamykał usta, lecz jego krzyki utonęły w łoskocie rozpadającego się wszechświata.

Słup czerwonego blasku zniknął, a na jego miejscu pojawiał się szorstki kamień. Zamiast u stóp smukłej wieży z rozdętym czubkiem Cashel leżał na szarej i twardej skale, u podnóża wulkanicznej turni, z której wykuto prymitywny posąg.

Patrząc pod tym kątem na to toporne dzieło, Cashel nie był w stanie powiedzieć nic poza tym, że jest to jakaś postać. W dłoni zaciskała skalną bułę, w której wycięto wąskie okna.

Dwaj ludzie biegli po kamieniach do leżącego Cashela. Jednym był rosły, mocno zbudowany mężczyzna z włócznią. Drugi był przeciętnego wzrostu i w rękę trzymał długi nóż, zagięty jak dziób jastrzębia.

Wszystko wokół traciło rubinową barwę i odzyskiwało naturalne kolory. Ta przemiana była jak pożar łąki: niezbyt szybka, lecz nieuchronna jak śmierć. Tu i tam na stromych ścianach niecki pojawiały się pęknięcia.

Z jednego z okien w kamiennej bule, trzymanej przez posąg, wychyliła się dziewczyna o rozwianych jasnych włosach. Wyszła przez nie, znajdując w zwietrzałej skale uchwyty i szczeliny dla stóp.

– Sharina! – szepnął Cashel. Jego wargi ułożyły się, by wypowiedzieć jej imię, lecz głos był tak słaby, że nie usłyszano by go nawet w niewielkim pokoju.

Ziemię przecięła głęboka szczelina. Z rzeźbionej skały odpadły odłamki, a wszystko wokół gwałtownie się zatrzęsło. W ciszy poprzedzającej następny wstrząs Cashel usłyszał głos Zahaga.

– To wulkan! – wrzasnął małpolud. – Wulkan zaraz wybuchnie!

PIĄTY DZIEŃ KUROPATWY (PÓŹNIEJ)

Magiczne światło zamigotało i pojawiły się w nim szczeliny. Po raz pierwszy od chwili uwięzienia Sharina ujrzała prawdziwe kolory przedmiotów, nie zabarwione filtrem posępnej czerwieni.

Przecisnęła się przez szczelinę w skale. Otwór był bardzo wąski, nawet dla niej, ale przecisnęłaby się przezeń, nawet gdyby miała obedrzeć się przy tym ze skóry. Teraz rozumiała, co oznacza wolność. Nigdy nie sądziła, że może być tak bezsilna jak w niewoli u królowej. Wolałaby umrzeć, niż ponownie w nią wpaść.

Wyszła na zewnątrz, oburącz przytrzymując się otworu i usiłując znaleźć oparcie dla prawej stopy. Znalazła się na rzeźbionej turni na środku wulkanu. Kiedyś – jakby w innym życiu – widziała ją z Hanno i Unarkiem.

Teraz ci myśliwi biegli ku niej. Kiedy została uwięziona, zamiast poszukać sobie bezpiecznej kryjówki, obaj myśliwi czekali na krawędzi krateru. Patrząc na nich, Sharina dziwiła się, jak w ogóle mogła przypuszczać, że mogliby uciec.

Cashel leżał na wznak u stóp turni, a małpolud niespokojnie kręcił się przy nim. Młodzieniec nie ruszał się.

– Jeśli on nie żyje... – szepnęła Sharina, wypróbowując ręką skalny występ. Uchwyt pękł pod ciężarem jej ciała.

Turnia była z porowatej i bardzo zwietrzałej skały. Stopy Shariny znalazły szczelinę, na której zdołała stanąć i wyszukać uchwyty dla palców rąk. Zaczęła powoli schodzić, znajdując kolejne pęknięcia w skale. Uśmiechnęła się. Cashel na pewno żyje. Nie opuściłby jej w taki sposób.

Turnia gwałtownie zadygotała. Sharina instynktownie przywarła do niej. Spadające z góry odłamki odbiły się od skały niedaleko niej.

Dno krateru pękło. Z jednej strony szczeliny zapadło się, z drugiej wypiętrzyło, a obie części drżały w różnym rytmie. W głębi szczeliny migotała magma.

Trzy metry niżej ze skały wystawała półka – kolano posągu. Skok z wysoka na twardą powierzchnię... ale czas naglił.

Sharina zeskoczyła i pewnie wylądowała na ugiętych kolanach. Krater znów zadrżał. Półka oderwała się z trzaskiem, opadając z dziewczyną w dół. Sharina utrzymała się na nogach, balansując rozłożonymi rękami. Wokół sypały się kaskady pyłu i kamyków. Hanno i Unarc podnieśli Cashela. Wszyscy trzej – jak olbrzym i dwóch wielkoludów – zeszli z drogi sunącej lawinie. Małpolud podążał za nimi na tylnych łapach, niosąc pałkę Cashela.

Skalna płyta znieruchomiała. Chmura duszącego pyłu spowiała Sharinę, a z góry wciąż spadały kamienie. Wykorzystując siłę bezwładu, pchając ją naprzód, dziewczyna zbiegła ze skały.

Wokół sypały się drobne kamyki. Sharina wiedziała, że jeśli upadnie, przysypią ją całą, a potem pochłonie ją morze ognia, w jakie krater zamieni się po wybuchu.

Nie potknęła się. Wydostała się z chmury kurzu, zanim dusząc się z braku powietrza, byłaby zmuszona wciągnąć w płuca ten pył, gęściejszy od niesionego przez burzę piaskową.

– Pani, dzięki ci za Twą łaskę! – zawołała. – Och, Cashelu, wiedziałam, że przyjdziesz!

I słysząc własne słowa, Sharina zrozumiała, że były prawdą.

Cashel nie ustałby na nogach bez pomocy Unarca, ale miał otwarte oczy i prosto trzymał głowę.

Hanno rzucił się w kierunku sunącej skalnej półki, ale stanął, widząc, że Sharina jest już bezpieczna.

– Tędy! – wrzasnął małpolud, pokazując pałką zbocze krateru. – Musimy dotrzeć do przejścia, zanim...

Potężniejszy niż poprzednie wstrząs poruszył kraterem. Zbił ich wszystkich z nóg, nawet Sharinę, która upadła, zjeżdżając na skalnej płycie. W niecce pojawiły się kolejne pęknięcia, z których zaczęła się wylewać pulsująca pomarańczowo-biała lava. Czary królowej powstrzymywały gniew wulkanu. Teraz, kiedy zawiodły, Natura ponownie obejmowała ten teren w swoje władanie, dysząc żądzą zemsty.

– Chodźmy! – zawołał Hanno.

Unarc schował do pochwy nóż. Hanno rzucił łysemu łowcy włócznię i zajął się podtrzymywaniem Cashela. Małpolud pomknął w kierunku kręgu rubinowego światła, widocznego tuż przy podstawie ściany krateru. Teraz biegł na trzech łapach, czwartą ciągnąc za sobą podskakującą na kamieniach pałkę.

Hanno zarzucił sobie lewą rękę Cashela na ramiona i zacisnął prawą dłoń na jego przegubie. Razem chwiejnie pobiegli za małpoludem. Nawet tak silny mężczyzna jak Hanno nie zdołałby sam unieść Cashela, ale ten już samodzielnie poruszał nogami, podtrzymywany przez myśliwego.

Cashel był oszołomiony, ale uśmiechnął się, kiedy napotkał spojrzenie Shariny. Truchtała obok trzech mężczyzn. Bez trudu mogła ich wyprzedzić, ale samotność była ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła teraz Sharina. Bezpieczeństwo to nie miejsce, ale przyjaciele.

– Czy to jest twój przyjaciel Nonnus, o którym mówiłaś, panienko? – krzyknął Hanno. Miał skupioną minę, ale wydawało się, że mógłby biec w tym tempie aż po kres czasu.

Sharina lewą ręką ścisnęła rękojeść pewłańskiego noża, chociaż szeroki pas dostatecznie dobrze przytrzymał broń, by nie obijała się o jej nogę.

– Nie – odparła. – To mój przyjaciel Cashel.

– Masz interesujących przyjaciół, dziewczyno! – rzekł Hanno i ryknął śmiechem.

Rubinowy kolor zniknął, poczynając od środka krateru, tak więc teraz tylko jego krawędź jeszcze jarzyła się nienaturalną czerwoną poświatą. A nawet i ona zniknęła, gdy czwórka uciekających dotarła do ściany. Wylot tunelu był ostatnią pozostałością magii w targanym wstrząsami kraterze.

Ziemia już nie drżała, ale falowała jak trzepany koc. Hanno potknął się. Cashel podparł się ręką i obaj utrzymali się na nogach. Wciąż biegli razem, ale już bardziej jak para mułów w zaprzęgu niż jak kaleka i pielęgniarz.

Małpolud dotarł do wylotu tunelu i odwrócił się. Wytrzeszczył oczy i szeroko otworzył usta. Potwornie głośny bulgot zagłuszył wszystko. Dno krateru uniosło się, a ścianę rozdarła szeroka szczelina.

Sharina zerknęła przez ramię. Stercząca na środku krateru turnia, której Włochaci nadali kształt swego idola, zapadła się w bulgoczące jezioro lawy. Rozżarzone kamienie strzeliły wysoko w niebo. W tym, co przedtem było głową posągu, a teraz podskakiwało na powierzchni lawy niczym rybi pęcherz na fali, tkwiła kula rubinowego światła. Była w niej kobieca postać.

Sharina zobaczyła, jak królowa unosi różdżkę, rozpaczliwie próbując zapobiec temu, co musiało nastąpić. Płynna skała, tryskając z trzewi ziemi, miotała kulą na wszystkie strony. Nikt nie zdołałby w niej ustać, nie mówiąc już o rzucaniu czarów.

– Sharino, chodź! – krzyknął Cashel. Stał przy wylocie tunelu, wyciągając wolną rękę. Stojący obok niego Hanno też się obejrzał, z zaniepokojoną miną.

Rubinowa kula zapadła w morze lawy. Sharina spodziewała się, że zaraz wypłynie na powierzchnię. Tymczasem płynna skała rozprysła się na wszystkie strony jak bagienna woda, kiedy

pęknie w niej pęcherzyk powietrza.

Sharina wskoczyła z przyjaciółmi do tunelu.

Cashel i Hanno byli przed nią, wypełniając całą średnicę tunelu. Z nadludzką siłą pędzili naprzód.

Sharina przypuszczała, że tunel poprowadzi w dół, gdyż od jego wylotu w ścianie krateru nie było innej drogi. Tymczasem korytarz, tak jak ta misa rubinowego światła, w której królowa miała swoją kryjówkę, nie podlegał prawom realnego świata. Sharina i jej towarzysze podążali w górę, a przynajmniej wkładali w ucieczkę tyle energii, jakby wspinali się po stromiznie.

Sharina usłyszała głuchoe tąpnięcie i poczuła, że powietrze zgęstniało. Obejrzała się. Ujrzała oślepiający blask lawy, która wtargnęła za nimi do tunelu. Na razie znajdowała się daleko z tyłu. Nic nie powiedziała towarzyszom. I tak nie mogli zrobić więcej, niż już robili.

Tak czy owak, przeżyła królową.

Coś przed nimi się zmieniło. Od czasu do czasu dostrzegała Unarca i małpoluda, którzy biegli przed Cashelem i Hanno. Teraz obaj znikli. Hanno krzyknął coś i natychmiast zniknął wraz z Cashelem, a Sharina wskoczyła w chłód i światło lampy.

Tenoctris klęczała nad narysowanym na wilgotnej posadzce pentagramem. Zachwiała się i upuściła drewnianą różdżkę, którą posługiwała się, rzucając czary. Sharina złapała staruszkę, nie pozwalając jej upaść na kamienie.

Jeszcze przez chwilę widziała wylot tunelu, z którego dopiero co wyskoczyła. Płonący czerwony krąg był równie rzeczywisty jak bazaltowa skała, w którą wnikał, nie dotykając jej. Potem światło zgasło w roju iskier.

– Nie mogłam utrzymać przejścia ani chwili dłużej – szepnęła Tenoctris. – Czy to wystarczyło? Cashelu, czy królowa?...

– Nie – odparła Sharina ponurym, wcale nie triumfalnym tonem. – Nie ma już królowej.

– Najmocniej przepraszam, panienko – powiedział Hanno – ale lawa płynęła tuż za nami. Nie sądzę, żebym chciał czekać, by sprawdzić, czy dotrze aż tutaj.

Tenoctris uśmiechnęła się, chociaż miała zamknięte oczy i nie otwierała ich ani na chwilę.

– To przejście zostało zamknięte – powiedziała, leżąc w ramionach Shariny. – Jeśli coś było w nim w momencie zamknięcia, to cóż, nie zniknie, ale znajdzie sobie inne miejsce. Jednak nie pojawi się tutaj.

Teraz otworzyła oczy i z rozbawieniem spojrzała na obecnych w lochu. Sharina odpowiedziała jej uśmiechem: istotnie, tworzyli przedziwną grupkę.

– Mimo to powinniśmy wracać na powierzchnię – powiedziała Tenoctris. – Jest jeszcze Bestia, z którą trzeba się rozprawić.

Budynek zatrzęsł się. Tenoctris próbowała wstać. Cashel i Hanno podnieśli starą czarodziejkę.

– Jeżeli nie jest za późno – rzekła Tenoctris, z kamiennym wyrazem twarzy.

Gadzi łeb na dziesięciometrowej szyi pochylił się z lewej strony nad Garrikiem. W porównaniu z ogromnym cielskim łeb potwora wydawał się dziwnie mały – niewiele większy od końskiego.

Tylko że Bestia miała ich trzy.

Ten atak był pozorowany. Garric zwrócił się w tym kierunku, jakby dając się zwieść, unosząc miecz i osłaniając się puklerzem przed syczącą paszczą. Bestia błyskawicznie zaatakowała z drugiej strony. Garric odskoczył i ciął żłobkowane łuski na żółtej szyi, gdy gadzie szczęki schwytały powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą stał.

Oba łby cofnęły się, sycząc jak uchodząca z czajnika para. Psia głowa zawyla, zakłócając rytm.

Z długiej rany pociekła purpurowa krew. W rdzawym blasku ścian wydawała się czarna.

Garric zaśmiał się i przez moment nie ruszał się z miejsca. Te gadzie szyje nie mogły poruszać się tak szybko jak węże, do których były podobne. Żmija opiera się na ziemi, a one musiały dźwigać swój niemały ciężar i utrzymywać w powietrzu łby. Mogły jednak atakować go z dwóch stron. Garric zamierzał nie zbliżać się do Bestii i przez cały czas mieć na oku wszystkie trzy jej łby.

Gdybym ja był tak duży, pomyślała któraś z dwóch osobowości tkwiących w jego ciele, wdeptałbym przeciwnika w skalę, nie przejmując się jego mieczem, ale na szczęście nie jestem.

– Pokłoń się przede mną, człowieku! – powiedział psi łeb. – Jestem twoim bogiem! Jestem nieśmiertelny! Spójrz, jak goi się ta rana!

Purpurowa krew zniknęła jak woda wsiąkająca w piasek. Pod wpływem wewnętrznego napięcia przecięte łuski wygięły się w górę po obu stronach rany. Teraz ponownie przywarły do ciała jak rozgrzany wosk, pozostawiając tylko cienką linię znaczącą ranę – a i ta zaraz znikła.

Choć Bestia może i była nieśmiertelna, lecz nie była odporna na ciosy i odczuwała ból. Co więcej, obawiała się bólu. Ciągnąc za kółko w nosie, człowiek może poskromić trzy razy większego od siebie, złośliwego odyńca, mimo że ten rozdarłby go na strzępy, gdyby tylko zdołał wziąć go na szablę.

– No to chodź! – krzyknął Garric. – Jeśli tak ci się to podobało, zrobmy to jeszcze raz!

Gadzie łby zakołysały się. Wyglądały jak padające drzewa. Nie był to poważny atak. Garric nawet nie trudził się robieniem uniku. Ze śmiechem zawołał:

– To nie ma znaczenia, czy jesteś bogiem czy nie. Aby tędy przejść, będziesz musiał dowieść, że jesteś mężczyzną!

– Przeszliśmy przez most, Garricu – zawołała Liane czystym, spokojnym głosem szlachcianki wzywającej powóz na zatłoczonym dziedzińcu.

Łeb po lewej ręce Garrica uderzył szybko i energicznie. Młodzieniec wyszedł mu na spotkanie i ciał mieczem. Ostrze przecięło łuski i cienkie kości, pograżając się do połowy w gadzim łbie.

Prawie zbyt głęboko. Ramię Garrica zdrętwiało od wstrząsu. Bestia z rykiem tak gwałtownie cofnęła łeb, że o mało nie wyrwała mu broni z ręki.

Drugi łeb uderzył, raczej odruchowo reagując na ból, niż podejmując przemyślaną próbę ataku. Garric uskoczył, zasłaniając się tarczą i nie ryzykując cięcia, dopóki nie odzyska czucia w prawej ręce.

Puklerz był mały, lecz wytrzymały, z trzech warstw bukowych desek wzmocnionych żelazem. Osadzony na środku kolec wbił się w dolną szczękę potwora. Garric miał wrażenie, że uderzył tarczą w pień dębu, ale usłyszał trzask łamanych kości.

Bestia cofnęła się. Gdyby sztorm mógł wpaść w gniew, ryczałby tak jak te trzy łby potwora.

Garric zerknął przez ramię, a potem przesunął się na środek jaskini.

– Rzućcie zaklęcie! – zawołał do czarodziejów. – Zwalcie most!

– *Betput* – powiedział wyraźnie Halphemos – *bai ai borbar...*

Fala ciepła uderzyła Garrica. Kiedy po raz pierwszy zobaczył most, ten miał szerokość jego rozstawionych rąk. Teraz skurczył się i zwęził, nie zapewniając już osłony przed żarem płonącej w dole lawy.

– *Barphor kolchoi tontonon...* – rzekł Halphemos.

Kłęcząc obok Cerixa na drugim końcu mostu. Czarodziejom, którzy się tam znajdowali, musiało być prawie tak gorąco, jak stojącemu na środku Garricowi. Ilna pomagała magom, raz po raz rzucając szarfę. Liane stała obok niej, trzymając dłoń na jej ramieniu. Nie musiała tu zostać. Blask lawy oświetlał wylot znajdującego się za jej plecami korytarza. Dziewczyna mogła nim uciec.

– *Phriou rigche alcheine...* – powiedział Halphemos.

Garric czuł, że zaczyna pękać mu skóra. Pewnie tliła się jego tunika. Czy zaraz stanie w płomieniach? Zaśmiał się, tym razem obiema połowami swojej osobowości. Gdyby tylko tym się miał przejmować!

– *Rouche!* – wrzasnęły zmijowe łby. – *Dropide tarta iao!*

Most zwęził się i był jak pień ściętej topoli, jednej z tych, które rosły w dolinie na północ od Barca's Hamlet. Gdy Bestia wypowiedziała magiczne słowa, znów odrobinę się poszerzył.

Po drodze na podwórze Secklera Rzeźnika...

– Zanim cię zabiję – huknął psi łeb – rozedrę na strzępy twoje kobiety. Wypiję ich krew i zębami zmiążdżę ich kości!

Gdyby Bestia mogła sama wypowiedzieć zaklęcie Klucza Żółtego Króla, nie musiałyby teraz mierzyć się z mieczem Garrica. Ale...

Bestia z rumorem ruszyła naprzód, trzymając wszystkie trzy łby w górze. Ten atak nie zaskoczył tej części osobowości Garrica, która przeżyła setkę bitew, lecz ogromne cielsko potwora sunęło niepowstrzymanie jak lawina.

– *Apomche moz...* – zaczął Halphemos.

Jeden z gadzich łbów zaatakował Garrica. Szczęki drugiego zacisnęły się na Halphemosie. Prawa przednia kończyna potwora przesuwiała się w kierunku Garrica. Szeroka łapa o pięciu krótkich paluchach, każdy szerokości ludzkiego torsu. Młodzieniec pchnął mieczem, wbijając ostrze w ciało nad chrzęstną wyściółką podtrzymującą ciężar ciała monstrum.

Triumfalny ryk Bestii przeszedł w ogłuszający wrzask. Przysiadła na zadzie, pociągając naprzód Garrica, który kurczowo trzymał rękojeść miecza. Żaden człowiek nie zdołałby wyrwać broni z rany, gdy Bestia spazmatycznie zacisnęła mięśnie na stali.

Garric przez moment trzymał się miecza. Halphemos zwisał z paszczy potwora. Długie kły, które zacisnęły się na jego czaszce, zabiły go w mgnieniu oka. Drugi gadzi łeb śmignął w kierunku ofiary i oddał kęs ciała. Bestia wierzgnęła zranioną nogą. Ostrze pozostało w miękkim ciele, lecz Garric odleciał w tył. Wypuścił tarczę i oburącz złapał się mostu.

Prawie mu się udało, lecz to „prawie” stanowiło o różnicy między życiem a śmiercią. Jego palce ześliznęły się z kamienia.

Ilna zarzuciła arkan na jego wyciągnięte ręce i mocnym szarpnięciem zacisnęła pętlę. Zamiast runąć w płonącą lawę, jego ciało zatoczyło łuk i uderzyło o drugi brzeg rozpadliny. Wstrząs i żar sprawiły, że niemal stracił przytomność. Widział tylko koncentryczne białe i czerwone kręgi, które rozszerzały się i wypełniały cały wszechświat. Nie mógł użyć rąk. Poczuł, jak jego ciało ociera się o krawędź ognistej otchłani i czyjeś ręce odwracają go na wznak. Osłonięty przed emanującym z rozpadliny żarem, poczuł się tak, jakby wskoczył do chłodnego strumienia. Odzyskał wzrok.

Zdjęto mu arkan z rąk. Ilna owinęła sznur wokół pasa i pomogła Liane podnieść Garrica. Z pewnością obie jeszcze się dziwiły, że zdołały wyciągnąć go z rozpadliny.

– *Sothaoth agog katochoi!* – krzyknął Cerix. Płakał, wymawiając słowa, które przetłumaczył dla martwego przyjaciela. – *Kleidia phuschi choro!*

Każdy z nich dawał z siebie wszystko.

Po drugiej stronie rozpadliny Bestia znów ruszyła naprzód. Gdy postawiła na moście prawą nogę, jeszcze głębiej wbiła sobie w nią miecz Garrica. Rycząc z bólu, gwałtownie cofnęła się.

– *Tharona perpo zoile!* – wykrzyknął kaleka.

Most znikł jak rosa w słońcu, pozostawiając ziejącą żarem przepaść. Lawa trysnęła i zabulgotała. Kropki rozgrzanej do białości płynnej skały opryskały krawędzie rozpadliny. Jedna upadła tuż obok

Garrica i zadrzała, stygnąc i wydzielając zapach palonej siarki. Płynna skała lada chwila miała wylać się ze swego koryta.

– Uciekajcie – ledwie zdołał wyszeptać Garric. Spróbował wstać. Liane podtrzymała go. – Musimy uciec wyżej.

Cerix ważył więcej niż Ilna. Mimo to podniosła go i chwiejnie ruszyła w kierunku tunelu. Garric poruszał nogami, lecz bez pomocy Liane nawet nie zdołałby się podczołgać. Zerknął przez ramię. Jak okiem sięgnąć, lawa wylewała się z rozpadliny. Bestia cofała się i ryczała słowa zaklęcia, lecz rzeka magmy wciąż się poszerzała.

Garric i jego towarzysze byli już daleko od ogromnej jaskini, kiedy usłyszeli ryk. Ten nieludzki wrzask przeszywał mózg Garrica, docierając do każdego zakamarka umysłu, czego nie potrafiłby uczynić zwyczajny dźwięk. Ryk ucichł dopiero wtedy, kiedy wzbierająca fala lawy wypełniła tunel za uciekającymi ludźmi...

A nawet wtedy Garricowi zdawało się, że słyszy skowyt istoty, która nie mogła umrzeć, chociaż całe jej ciało spłonęło.

– Jestem za ciężki, żebyś mogła mnie nieść – wymamrotał Cerix. Ilna nie usłyszałaby go, gdyby jego usta nie znajdowały się tuż przy jej uchu. – Zostaw mnie tutaj.

– Nie – odparła. – Nie mogę. Choćby dlatego, że nie mogłabym potem spokojnie spać. Jeśli chcesz zrobić coś pożytecznego, zamiast tylko jęczeć, to zarzuć mi ręce na szyję, żeby odciążyć mi trochę ramiona.

Czarodziej natychmiast usłuchał. To trochę pomogło, chociaż nie aż tak, jakby sobie życzyła. Mięśnie ud drżały jej z wysiłku, a przedramiona – bo dłonie splotła pod pośladkami Cerixa – zupełnie zdrętwiały. Szkoda, że Cerix był inwalidą, a nie karłem.

Tunel zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Ponieważ nie było tu światła, Ilna odnajdywała kierunek, trąc łokciem o ścianę. Ta była zupełnie gładka. Albo tunel wyłożono wielkimi kamiennymi blokami, albo wydrążono go w litej skale.

– Alos zrobił to – rzekł słabym szeptem Cerix. – Zabił Bestię.

– Był odważnym mężczyzną – powiedziała Ilna. Nie chciała rozmawiać o Halphemosie, ale ludzie w rozmaity sposób radzą sobie z rozpaczą. – Bez niego nie zdołalibyśmy tego dokonać.

Garric chwiejnie podążał tuż za nią. Zapewne podtrzymywany przez Liane, pomyślała Ilna. Był mocno poparzony. Ilna miała pęcherze na dłoniach, a przecież tylko pochyliła się nad płonąca otchłanią, żeby wciągnąć go na górę.

– Alos zrobił to! – Cerix prawie krzyknął. – Zrobił!

Ilna szła dalej. Czarodziej znów zaczął płakać.

Ilna chciała powiedzieć: „Nie, panie Ceriksie. Jeśli ktoś zabił Bestię, to właśnie ty, zamykając most nad przepaścią”. Jednak Cerix nie potrzebował pochwał: chciał przebaczenia za to, że żyje, podczas gdy jego przyjaciel zginął. Ilna doskonale rozumiała to uczucie. To dziwne, że ludzie uważają, że to ważne, ile co kosztuje. Doskonale utkany kilim nie staje się lepszy ani gorszy, gdy kupisz go za kilka miedziaków albo za trzos szczerozłotych monet. Halphemos dokonał czegoś. Jego czyny miały taką samą wartość, niezależnie od tego, czy zapłacił za nie życiem czy nie.

A zapłacił.

Może są gorsze rzeczy od kłamstw.

– Tak – powiedziała głośno. – Halphemos zabił Bestię.

– Ilno! – zawołała Liane. – Coś tam jest przed nami. Widzę światło.

„Światło” to za wiele powiedziane, lecz prostokąt ciemności przed nimi nie był tak kompletnie

czarny jak otaczający ich mrok.

– Widzę – powiedziała Ilna, a poczucie sprawiedliwości kazało jej dodać: – Teraz, kiedy mi pokazałaś.

– Pójdę sprawdzić, co to takiego – oznajmił Garric. Jego głos chrzęścił jak wykopana z piasków, starożytna mumia.

– Tak, a Cerix pewnie pobiegnie z tobą, żeby dotrzymać ci towarzystwa! – warknęła Ilna i natychmiast tego pożałowała. Garric nie popisywał się. Był tak znużony, że kierowało nim tylko poczucie obowiązku. Ona też była bardzo zmęczona. Znacznie łagodniejszym tonem dorzuciła: – Lepiej trzymajmy się razem, Garricu.

– Słyszę głosy – powiedziała cicho Liane.

Już nie byli w wykutym w skale tunelu. Las kolumn podtrzymywał łukowate sklepienie. Ilna uznała, że te głosy są echem ich własnych głosów i kroków, ale Liane miała rację.

Ilna uśmiechnęła się kąciakiem ust. Liane znów miała rację.

Z boku zmierzała ku nim grupka ludzi. Na przedzie kroczyła Sharina, trzymając latarnię. Za nią szli trzej mężczyźni – jednym z nich był Cashel, a za nim podążał mężczyzna prawie równy mu wzrostem, co Ilnie rzadko zdarzało się widzieć. Oprócz nich był tam Zahag i Tenoctris.

Teraz ktoś inny mógł ponieść Cerixa. Ilna przyklękała i ostrożnie opuściła go na posadzkę. Natychmiast zrobiło jej się lżej, lecz jednocześnie poczuła się taka wyczerpana, że o mało nie upadła. Garric wolną ręką podtrzymał Ilnę.

– Sharino! – zawołał. – Jestem taki szczęśliwy, że widzę was tutaj – wszystkich. Tenoctris, my... Bestia nie żyje.

Cashel, trochę oszołomiony, ale nie osłabiony – nie on – podszedł do Ilny, chwycił ją w ramiona i uściskał.

– Co ty robisz w rezydencji królowej, Ilno? – zapytał.

– Myślę, że powinniśmy sprowadzić uzdrowiciela dla Garrica – odparła, mocno uściskała brata i wyśliznęła się z jego objęć. Przy uśmiechu zapiekła ją wyschnięta skóra twarzy. – A może dla nas wszystkich.

– Jesteśmy w rezydencji królowej? – spytał Garric, spoglądając z miejsca, gdzie stał wraz z Tenoctris. Liane czuwała w pobliżu, gotowa potrzymać go, gdyby miał upaść. – Muszę dołączyć do Attapera i Waldrona, zanim Włochaci zaatakują.

Tenoctris wyglądała na zmęczoną, ale słysząc, że Bestia nie żyje, stara czarodziejka rozpromieniła się.

– Bez królowej Włochaci nie są groźni – orzekła. – Pozbawieni jej magicznej mocy są po prostu stadem biednych, wystraszonych stworzeń. Poumierają z głodu lub utoną.

Ilna doszła do wniosku, że można uznać, iż Bestia nie żyje.

Tenoctris ze smutkiem potrząsnęła głową.

– Żal mi ich – dodała – ponieważ naprawdę byli niewinni.

– Tak samo jak wiele dziewcząt, rzucanych przez lata na pożarcie Bestii – zauważył Garric. – Nie możemy zmienić tego, co się stało, ale możemy rządzić Wyspami w taki sposób, żeby to się już nie powtórzyło.

– Czy jeszcze ktoś chce się stąd wydostać? – zapytał wielki mężczyzna odziany w skóry. – Bo ja na pewno chcę!

– Tak – odparł młodzieniec, którego ustami na pewno przemawiał książę Garric. – Tenoctris, wyprowadzisz nas? Bo będzie dobrze, jeśli zdołam pokonać te trzy kondygnacje schodów o własnych siłach, nie mówiąc już o odnajdywaniu drogi. Jestem w kiepskiej formie.

Cashel podniósł Cerixa. Czarodziej wciąż opłakiwał utraconego przyjaciela, ale przestał bełkotać.

– Na szczęście dla mnie i dla Wysp – dodał Garric, kiedy ruszyli we wskazanym przez Tenoctris kierunku – nie muszę tego robić sam.

SIÓDMY DZIEŃ KUROPATWY

Garric, czując wokół zapach maści lanolinowej pani Ladry i sztywno poruszając się w bandażach, jakby był chory na słońiowaciznę, wszedł do sali audiencyjnej, pełniącej funkcję centrum dowodzenia obrony Ornifal. Teraz było w niej co najmniej trzysta osób, dwukrotnie więcej niż przed dwoma dniami, kiedy zajrzał tutaj ostatnio.

– Wszyscy wstać przed księciem Garrikiem! – krzyknął woźny.

Dyżurny pobiegł przodem, by zawiadomić Royhasa. Kanclerz już zerwał się z krzesła na środku długiego stołu i najszybciej jak mógł, kusztykał do drzwi. Garric odgadł, że Royhasowi zdrętwiała noga, choć może po prostu cały zeszywniał po kilkugodzinnym wysiadaniu i prowadzeniu zaciętych dyskusji.

– *Miałem wrażenie, że nie dostawałem odcisków na tyłku od słuchania nudnych, niezwykle ważnych dyskusji, tylko wtedy, kiedy byłem na polu bitwy. A wówczas głównie przejmowałem się tym, czy zdołam zasnąć owinięty w płaszcz i czy ostrza mojego miecza nie pokryje rdza.*

– Wasza Wysokość! – zawołał Royhas, przekrzykując gwar i szuranie setek podnoszących się z krzeseł ludzi. – Czy nie powinienes się położyć?

– Nie – stanowczo zaprzeczył Garric. Groźnie spojrzął na stojącą obok Liane. Zasłoniła dłonią usta, tłumiąc chichot. – Chociaż przyznaję, że jestem chyba jedynym, który tak myśli.

Sala audiencyjna mieściła się w największym budynku kompleksu pałacowego. Rząd smukłych kolumn na środku głównego pomieszczenia podtrzymywał kopułę sklepienia. Otwartą przestrzeń oświetlały okna w dachu, a portyki po obu stronach prowadziły do mniejszych pomieszczeń, wykorzystywanych przez urzędników lub do prywatnych rozmów.

Publiczne wejście od południa miało imponujący ganek, którego przyczółek ukazywał portret Pani schodzącej do Podziemnego Świata. Prywatne wejście od północy wiodło podziemnym tunelem do królewskich apartamentów. Garric czuł się trochę dziwnie, korzystając z królewskiego apartamentu, lecz Valence wolał pozostać w swoim bungalowu, do którego wycofał się przed kryzysem.

Nawet jeśli Valence dostatecznie doszedł do siebie, aby zostać czołową postacią – właściwym Władcą Wysp był król Garric. Brakowało mu tylko tytułu.

Waldron i Attaper wyszli z jednego z pokoi konferencyjnych i ruszyli w kierunku Garrica. Obaj byli zawodowo uprzejmi, lecz licznie towarzyszący każdemu z nich doradcy gniewnie spoglądali na siebie, gotowi do wymiany ciosów.

Garric wiedział z raportów, że spierano się, w jakim stopniu należy zreorganizować ornifalską armię. Do tej pory jednak nie zdawał sobie sprawy z tego, jak zaciekle był ten spór.

– *Milion małych z Bight już im nie zagraża – mruknął król Carus z ponurym zrozumieniem – więc teraz chętnie zaczęliby walczyć między sobą, zamiast zająć się rozwiązywaniem prawdziwych problemów, z jakimi będzie musiało się uporać młode królestwo.*

I w chwilę później – jak zwykle roześmiany głos Carusa w jego umyśle dodał: – *Gdybyś nie był ich królem, chłopcze, ale na szczęście jesteś.*

Ilna i baron z Trzeciej Atary byli wśród zasiadających przy stole i rozmawiających z kanclerzem. Podeszli do Garrica, czekając na okazję, by coś powiedzieć. Jak nazywa się ten baron?

– Baron Robilard – szepnęła Liane do ucha Garrica. Ten miał ochotę uściskać ją, wdzięczny, że

wybawiła go z kłopotu.

– Ilno – powiedział Garric. – Nie widziałem cię od czasu...

Nie wiedział, co powiedzieć. Cała tamta noc była niewyraźnym wspomnieniem, chociaż doskonale pamiętał niektóre momenty:

Zmierzając ku nim Bestię, ogromną pomimo dzielącej ich jeszcze odległości.

Szorstkie włosie wokół pazurów potwora i skórę, która ugięła się, gdy Garric wbił miecz w jego łapę.

Łzy błyszczące na policzkach Cerixa, jak wykrzykiwał słowa, których przysiągł nie wypowiadać...

– Nie widziałem cię od tamtej nocy – zakończył niezręcznie Garric. Krzywy uśmiech Ilno dowodził, że doskonale go rozumiała. – Baronie Robilardzie, nadal nie podjąłem cię tak, jak na to zasługujesz. Mam nadzieję, że w ciągu tych kilku minionych dni służba zapewniła ci wszelkie wygody?

– Baron popłynął na zwiady swoim okrętem „Erne” – powiedziała Ilna. – Miał nadzieję, że będzie mógł ci przekazać nowiny o dalszych losach Małp, księżę, chociaż lord Waldron...

Odwróciła się i przeszła nadchodzącego szlachcica spojrzeniem ostrym jak miecz.

– ...jasno dał do zrozumienia, że dowodzi nie tylko siłami lądowymi, ale i morskimi.

Waldron pokraśniał. Traktował Robilarda jak młodego, niedoświadczonego władcę jednej z pomniejszych wysp. Wszystko to było prawdą, lecz powinien był pamiętać, że baron jest protegowanym Ilno os-Kenset. Ona, która nigdy nie wzdragała się kopnąć powalonego przeciwnika, dodała:

– Pomimo że – jeśli dobrze zrozumiałam – w tym momencie jedynym okrętem wojennym królewskiej floty jest ten, którym dowodzi baron Robilard.

Attaper był zbyt dobrym żołnierzem, żeby uśmiechnąć się drwiąco. Spokojnie powiedział:

– Rada Wojskowa uznała, że najlepiej będzie, jeśli ci marynarze, którzy uciekli z nieżyjącym admirałem Nitkerem, zostaną wcieleni do oddziałów broniących miasta. Oczywiście teraz, kiedy Wasza Wysokość znów jest na nogach, zechcesz ponownie rozpatrzyć tę decyzję i wszystkie inne, które podjęliśmy.

Co się stało z admirałem Nitkerem? Garric wcale nie żałował tego parszywego wieprza, ale tolerowanie krwawych waśni i samosądów to kiepski sposób na rządzenie królestwem. Garric przypomniał sobie Liane, stojącą samotnie w oblanej krwawym blaskiem jaskini. Zaciśnął zęby i odruchowo chwycił dłonią za rękojeść miecza. Nowego miecza: ten powinien być zupełnie dobry, gdy tylko Garric poczuje się na siłach, by wypróbować jego starannie wykute ostrze. Broń była prawie równie dobrze wyważona jak ta, do której się przyzwyczaił...

Garric roześmiał się, zaskakując wszystkich obecnych jeszcze bardziej niż chwilę wcześniej swoją ponurą miną. Drażniło go, że teraz wciąż mu się przyglądano. Nie sądził, by kiedykolwiek zdołał do tego przywyknąć.

– *Ja też nie mogłem się do tego przyzwyczaić* – szepnął Carus. – *Lecz dzięki Bogom, nigdy też tego nie polubiłem.*

– Zwłaszcza król nie powinien ulegać pokusie krwawej zemsty – powiedział głośno Garric. Starał się mówić to z humorem. – A nawet księżę. – Odkaslnął i dodał: – Zakładam, że lord Nitker zginął w wyniku ciężkich obrażeń, jakich doznał, gdy z bandą porywaczy napadł na pałac... Nie chcę jednak więcej żadnych nie wyjaśnionych zgonów. Czy wszyscy mnie rozumiecie, przyjaciele?

– Prawdę mówiąc, sam się powiesił, w obawie przed zwycięstwem królowej – wyjaśniła z uśmiechem Ilna. Wiedziała, że spośród wszystkich obecnych w tej sali Garric uwierzy bez

zastrzeżeń tylko jej. – Wygląda na to, że Nitker zawsze obstawiał niewłaściwych zwycięzców, z sobą włącznie.

Garric i ukryty w nim król ryknęli śmiechem. Dworzanie spoglądali na to ze zdumieniem. Nie takiego zachowania oczekiwali na królewskim dworze.

– *Przyzwyczają się* – zachichotał król Carus. – *Tak jak przyzwyczają się mieć prawdziwego władcę.*

Garric podszedł do Robilarda i uściskał jego rękę. Starał się przy tym nie skrzywić, gdy zaboląły go oparzenia.

– Baronie – rzekł – królestwo jest twoim dłużnikiem. Wspomogłeś nas na morzu w chwili, gdy bardzo tego potrzebowaliśmy. Proszę, powiedz mi, jakie były rezultaty twego zwiadu. Słyszałem już, że Włochaci przestali nam zagrażać. Chętnie dowiem się szczegółów.

Powiedział prawdę, lecz te słowa kryły w sobie coś więcej. Robilard napęczniał z dumy, a Ilna posłała Garricowi pełen satysfakcji uśmiech, który z jej strony był najwylewniejszym z podziękowań.

W Barca's Hamlet pomagało się przyjaciółom – w małych i dużych sprawach – ponieważ oni też kiedyś mogli ci pomóc. To była dobra życiowa zasada, dla wieśniaka i dla króla.

– Usiądźmy, proszę – powiedziała Liane. – Zarówno pani Ladra, jak i Tenoctris mówią, że powinieneś jak najczęściej trzymać nogi w górze.

– Jeśli pragniesz zostać sam, Wasza Wysokość, natychmiast każę opróżnić dla ciebie jedną z bocznych komnat – powiedział Royhas. – Właściwie... Rada Wojskowa miała kilka minut temu zebrać się w pokoju numer siedem, ale widzę, że przełożono termin...

Kanclerz skinął na Attapera, Waldrona i ich doradców. Uśmiechnął się niewinnie. Nie tylko słudzy zła, jak królowa i Bestia, walczyli między sobą.

To musi się skończyć.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, lordzie Royhasie – rzekł Garric – to skorzystam z twojego stołu w środku sali. Już prawie dwa dni leżałem w łóżku i potrzeba mi trochę przestrzeni.

Obdarzył Royhasa takim samym uśmiechem, jaki kanclerz posłał żołnierzom. Tkwiący w jego świadomości król Carus radośnie temu przyklasnął. Garric ostrożnie zaprowadził barona do stołu.

– Małpy przechwyciły większość królewskiej floty – rzekł Robilard. – Widocznie za pomocą tych statków holowali tratwę, a przynajmniej jej część, ponieważ morskie prądy nie zniosłyby ich aż do samej wyspy...

Dworzanie odpychali służących, żeby zrobić miejsca dla Garrica i barona. Garric zeszywniał, chociaż miał nadzieję, że nie okazał niesmaku, jaki budziło w nim takie zachowanie.

– Proszę! – powiedział. – Sam potrafię przysunąć sobie krzesło!

Nie miał nic przeciwko korzystaniu z usług służby. Rodzina Garrica należała do najzamożniejszych w Barca's Hamlet, a mimo to w gospodzie wszyscy jej członkowie podawali sąsiadom do stołu. Każdy, kto wszedł do baru z miedziakiem w dłoni, miał prawo zażądać, by Garric nalał mu kufel piwa. Irytujące było tylko to, że ci tutaj bogaci ludzie usiłowali wykorzystać to jako okazję do poniżenia rywali. Wolny obywatel tak nie postępuje. A jeśli ci dworzacy nie wiedzą czegoś, co jest oczywiste dla wieśniaków z Haft, to – na Panią! – muszą się tego nauczyć.

– Zamierzałem przejąć któryś z tych statków i przyholować go z powrotem do Valles – mówił Robilard. – Wystrzelaliśmy Małpy na pokładzie jednego okrętu. To było łatwe, bo wygląda na to, że nawet nie umieli pływać. Jednak, prawdę mówiąc, nie mieliśmy serca, by dokończyć tę robotę. Oni tylko skamleli i...

Garric kiwnął głową i przysunął sobie krzesło. Siadając, pomyślał, że może bardziej polubi

barona Robilarda, niż wydawało mu się na początku. Sądząc z zadowolonej miny Carusa, który słuchał tego jego uszami, nie tylko Garric zmienił zdanie o baronie.

Pergola była porośnięta różami brzoskwiniowego koloru, jakich Sharina jeszcze nigdy nie widziała. Dotknęła jednej z nich, lecz nie zerwała kwiatu. Żałowała, że ani jej, ani Cashelowi nie przyszło do głowy, by spotkać się z myśliwymi i Zahagiem na otwartej przestrzeni. Hanno musiał przykucnąć, ponieważ był za wysoki, by przejść tędy, nie pochylając głowy.

– Wygląda na to, że wszystko wspaniale się ułożyło, panienko – rzekł Hanno. – To dobrze, prawda?

Tutaj, w pałacu, nie nosił swojej włóczni, a Unarc zakrzywionego kordelasa, chociaż każdy z nich miał za pasem kilka mniejszych noży. Zapewne nie uważali ich za broń, a gwardziści Garrica woleli nie robić z tego problemu ze względu na ich przyjaźń z młodym księciem.

Sharina miała u boku pewłański nóż. Tego także woleli nie widzieć.

– Racja – przyznała. – Problem, który nas dręczył, zniknął. Królowa nie żyje, a Tenoctris mówi, że ten drugi potwór również.

Cashel spoglądał na Hanno z w pełni odwzajemnionym respektem. Nie obawiali się siebie. Sharina wątpiła, by któryś z nich bał się czegokolwiek. Trochę niepokoiło ją to, że tak wymieniają spojrzenia i zastanawiają się, chociaż była głęboko przekonana, że obaj zawsze będą traktować się z najwyższym szacunkiem.

Wszędzie wokół roilo się od robotników: ogrodników, kamieniarzy, cieśli oraz przedstawicielei tuzina innych profesji. Taki ruch w tym uprzednio opuszczonym miejscu budził zdumienie Shariny.

Córka Reisego Karczmarza z zadowoleniem patrzyła, jak zaniedbane i zarośnięte budynki zostają oczyszczone i naprawione. A jako córka właściciela gospody szacowała w myślach, ile to mogło kosztować – po cenach obowiązujących w Valles!

Jednakże te prace, bardziej nawet niż wiwatujące na ulicach tłumy, świadczyły o tym, że ludzie wierzą w nowy rząd.

Sharina przypominała sobie, gdzie się znajduje. Mężczyźni, również Zahag, gapili się na nią, chociaż małpolud robił to z głową w dole. Zwiślał z pobliskiego łuku, zbudowanego ku czci władcy, który przed trzystu laty zaginął na morzu. Unarc zobaczył, że Sharina patrzy na niego. Natychmiast powrócił do poprzedniego zajęcia: wbił wzrok w kamienny kwietnik, dużym palcem u nogi trącając wyrzeźbione tam liście akantu.

– Właśnie pomyślałam – wyjaśniła lekko zmieszana Sharina – że ludzie wierzą w księcia Garrica z Haft.

– Ha! – powiedział Cashel. – Byliby głupcami, gdyby nie wierzyli.

I posłał jej leniwy uśmiech, który Hanno nieświadomie powtórzył.

– Byliby jeszcze większymi głupcami – dodał – gdyby pozwolili, żebym się o tym dowiedział.

Czterej żołnierze Krwawych Orłów w pełnym rynsztunku stali uprzejmie poza zasięgiem głosu. Mieli na oku otoczenie pergoli, ale szczególnie stojącą tam grupkę. Sharina podejrzewała, że traktowali ją i jej towarzyszy jak dostojników, których należy strzec przed takim atakiem, jaki przeprowadził admirał Nitker. Tylko jak ci czterej żołnierze mogli sądzić, że tacy ludzie jak Cashel, Hanno i Unarc potrzebują ich ochrony? Zachichotała.

– Przepraszam, Hanno – powiedziała. – Nadal...

„Dochodzę do siebie” nie byłoby odpowiednim określeniem.

– Nadal tak się cieszę z tego, że jestem wolna, że nie mogę się skupić, chociaż powinnam.

– Myślę, że robiłaś to, jak należy wtedy, kiedy było trzeba, panienko – rzekł wielki łowca.

Odchrząknął. – Chodzi o to, że ja i Unarc nie pasujemy tutaj, chociaż pewnie zostaniemy na pożegnalnym przyjęciu dziś wieczorem.

Łysy myśliwy energicznie pokiwał głową, chociaż nie spojrzął na pozostałych. Teraz, kiedy Sharina znalazła się w pałacu, najwidoczniej znów zaczął traktować ją jak kobietę.

– Wracacie na Bight? – zapytała. – Oczywiście. Pomogę wam w miarę możliwości, a na pewno załatwię wam nową łódź i resztę ekwipunku. Co tylko zechcecie. Obaj uratowaliście mi życie.

Sharina nie wiedziała, skąd weźmie pieniądze, ale znajdzie jakiś sposób. Była tego pewna.

Hanno znów odkaszlnął i odwrócił głowę. Wepchnął wskazujący palec w ziemię, z tego samego powodu, dla którego Unarc polerował kwietnik dużym palcem nogi.

– Prawdę mówiąc, panienko – wykrztusił myśliwy – pomyśleliśmy, że spróbujemy gdzie indziej. Widzisz, żaden z nas nie lubił Małp, ale bez nich Bight chyba nie byłaby taka sama. Pomyśleliśmy, że raczej spróbujemy na Sirimat. Małpolud mówi, że są tam kościane drzewa.

Z niewiarygodną u stworzenia o takich rozmiarach gracją Zahag zeskoczył z łuku. Na czworakach, nieco bokiem, podbiegł do grupki ludzi. Hanno wstał i odsunął się, robiąc mu miejsce.

– Niektóre kawałki kościanego drewna są cenniejsze od zębów Włochatego Ludu – wyjaśnił małpolud, również patrząc w ziemię. – A to dlatego, że te drzewa pożerają zwierzęta, drwali oraz małe dzieci naszego plemienia, które jeszcze nie nauczyły się, że należy trzymać się od nich z daleka.

Zahag dwoma palcami obu dłoni rozchylił sierść na udach, sprawiając wrażenie, że szuka pcheł.

– Pomyślałem, że popłynę tam z nimi, wodzu – wymamrotał. – No, wiesz, pokazać im co i jak.

Cashel wstał, podszedł do małpoluda i przykucnął przed nim.

– To dobry pomysł – rzekł. – A jeśli tak zrobisz, to może znów zobaczysz swoje stado.

– Być może – kiwnął głową Zahag. Z niepokojem spojrzął na Cashela. – Nie dlatego, że chcę cię opuścić, wodzu. Już nigdy nie będę miał drugiego takiego wodza jak ty!

– Och, myślę, że pan Hanno może mieć na ten temat inne zdanie – rzekł Cashel. Zaśmiał się, lecz Sharina usłyszała gardłową nutę w jego głosie. – I powiedziałbym, że może mieć rację, chociaż nigdy się tego nie dowiemy.

– Masz rację – powiedział Hanno, spoglądając w dal. – Nigdy się nie dowiemy.

Cashel uściskał małpoluda.

– Powiedz swojej rodzinie, że Cashel os-Kenset był zaszczycony, mając cię w swoim stadzie – powiedział. – A jeśli dowiem się, że ktoś znów cię schwytał i zamierza sprzedać cię jak owcę, cóż...

Cashelowi zabrakło słów i wyobraźni, żeby dokończyć tę groźbę. Poza tym wcale nie musiał tego robić. Wstał i wrócił do Shariny, lecz tym razem nie usiadł. Pogładził palcami hikorową pałkę, opartą o kratownicę pergoli. Jedno z żelaznych okuć znikło, kiedy Cashel rozbił więzienie Shariny, chociaż błysk zaledwie osmalił hikorowe drzewce. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Cashel po powrocie, to kazał zbrojmistrzowi Krwawych Orłów uzupełnić brakujące okucie.

– No cóż, damy sobie radę – powiedział Hanno. – Mam spory kredyt u miejscowych kupców, ale gdyby nie mogli mi czegoś dostarczyć, może przyjdziemy do ciebie, panienko.

Ruchem głowy wskazał dwie bardzo młode pokojówki w obszytych falbankami, kolorowych tunikach. Dziewczyny pojawiły się w chwili rozmowy. Nerwowo przestępowały z jednej obutej w sandał nogi na drugą, jak dzieci z zamiarem skorzystania z ubikacji.

– Zdaje się, że chcą z tobą porozmawiać – powiedział Hanno. Pochylił głowę w sposób bardziej przypominający pokłon niż skinienie. – Spotkanie z tobą było dla mnie zaszczytem, panie Cashelu – ciągnął myśliwy. – Przyjaciele panienki Shariny to najbardziej niezwykli ludzie, jakich zdarzyło mi się spotkać.

– Na szczęście miała takich przyjaciół jak ty i pan Unarc, kiedy była w potrzebie – odparł

Cashel. Jego głos zabrzmiał niezwykle donośnie i chrapliwie. – I chyba wiecie, że pomogę wam, jeśli tylko będę mógł. Zawsze.

Myśliwi i Zahag odeszli, rozmawiając ze sobą. Do pergoli doleciał głos Unarca:

– ...i mówię wam, że ludzie zapłaciliby każde pieniądze, żeby to zobaczyć!

Pokojówki zaczekały, aż upewniły się, że tamci trzej nie wrócą. Potem doskoczyły, dygnęły i prawie jednocześnie zaczęły:

– Lady Sharino...

Urwały i z przerażeniem spojrzały na siebie. Były bardzo zdenerwowane.

– Ty pierwsza – powiedziała Sharina, wskazując pannę po prawej. Nie lubiła pałacu, a szczególnie dworskiego protokołu. Uśmiechnęła się. Przecież tak niedawno przebywała w miejscach, które podobały się jej jeszcze mniej. Odnalazła dłoń Cashela i uściśniła ją.

– Odbędzie się uroczystość dziękczynienia za powrót do zdrowia księcia Garrica, pani – wypaliła dwórka śpiewnym głosem. – Już wstał i przede wszystkim chce podziękować Bogom. Chce, żebyś ty i...

Spojrzała na Cashela i zamarła.

– Lord Cashel! – syknęła druga.

– Lord Cashel oraz wszyscy jego przyjaciele poszli razem z nim w procesji – terkotała dziewczyna. – I to my was znalazłyśmy!

Cashel wyprowadził Sharinę spod pergoli.

– Lepiej pójdz z nimi i włóż strój, jaki tobie zaproponują – rzekł. – Ja znajdę Tenoctris. Wiem, gdzie ona jest. Dołączymy do was.

Ponownie dotknął jej dłoni. Potem odwrócił się i mruknął:

– Ja chyba zawdzięczam Bogom więcej niż ktokolwiek.

I odszedł, znacznie szybszym krokiem niż zwykle.

– Nie wiem, czy masz rację, przyjacielu – szepnęła Sharina. A do pokojówek powiedziała: – Czy zaprowadzicie mnie na moje pokoje, panienki?

Chichocząc z zadowolenia, dziewczęta ruszyły wybrukowaną alejką.

– Przepraszam, pani Ilna – powiedział dworzanin o jasnej skórze i włosach jak jedwab, stając u jej boku. Był jednym z pałacowych urzędników, którzy pełnili obowiązki przy bramie, kiedy Ilna przybyła ze swoimi towarzyszami. Tego popołudnia wydawało jej się, że tylko tędy przechodził.

– Tak? – rzuciła ostro. Była w kiepskim humorze, ale nic nie mogła na to poradzić.

Robillard i lord Hosten rozmawiali z Attaperem, Waldronem oraz tuzinem porządnym młodych ludzi w jednym z bocznych pokoi. Ilna byłaby tam mile widziana – tam czy gdziekolwiek w pałacu. Garric wyraźnie to zaznaczył, zanim poszedł, by zmieniono mu bandażę, zamierzając przewodzić procesji, która uda się do jednej ze świątyń, żeby złożyć ofiarę. Ta rozmowa jednak nie interesowała jej, a komnata była zapchana jak owcza zagroda w zimie, więc Ilna wolała pozostać w głównej sali. Tutaj też nie miała nic do roboty.

– Na zewnątrz jest jakiś człowiek, który chce, żebyś do niego wyszła, pani – rzekł dworzanin. Ostrożny szacunek wskazywał na to, że miał przykre doświadczenia z zajmowaniem ludzi, którzy byli w paskudnym nastroju i mieli władzę, pozwalającą im uzewnętrznić swój gniew w przykry sposób. – Mówi, że nie jest żebrakiem, więc pomyślałem, że powinienem przekazać tę wiadomość...

– Jeśli chce się ze mną widzieć, to dlaczego... – zaczęła Ilna. Potem przypomniała sobie strome schody przy wejściu do sali i jednocześnie uświadomiła sobie kilka innych faktów.

– Ha – powiedziała. – Nie, pan Cerix nie jest żebrakiem. Prawdę mówiąc, ty też zawdzięczasz

mu życie, panie. – Ruszyła do wyjścia i rzuciła przez ramię: – Które zapewne uważasz za cenniejsze niż ja!

To nie było zbyt uprzejme, choć może dworzanin nie powinien od razu zakładać, że kaleka jest żebrakiem. Ponadto nawet kiedy była w lepszym humorze, Ilna nigdy nie przejmowała się uprzejmościami.

Cerix siedział na swoim fotelu, na skraju chodnika przed wejściem do sali posłuchań. Podcienia wokół były pełne domokrażców i gapiów grzejących się w słońcu. Nie mając nikogo, kto by go chronił, kaleki czarodziej będzie nieustannie potrącany i popychany przez nieuważnych ludzi – a więc prawie przez wszystkich, jak wynikało z jej dotychczasowych doświadczeń.

– Dziękuję, pani – powiedział Cerix. – Ja...

Mężczyzna z przerzuconymi przez ramię, kiepsko utkanymi chustami, stanął pomiędzy nim a Ilną. Na wszystkich bogów! Na materiale było namalowane coś, co prawdopodobnie miało być portretem Garrica.

– Spójrz, pani! – zaczął mężczyzna głosem, który bardziej nadawał się do pokrzykiwania na zatłoczonym targowisku. – Oto wierna podobizna zbawcy Valles!

Ilna zeszywniała. Bez słowa wyjęła z rękawa trzy krótkie sznurki i zaczęła je wiązać.

– A może wolisz portret lady Liane, która... – powiedział domokrażca.

Ilna naprężyła sznurki przed jego nosem.

– Chodźmy gdzieś, gdzie nie ma tylu ludzi – powiedziała do Cerixa. Gwardziści rozstąpili się na boki, gdy wytoczyła fotel czarodzieja z publicznego placu przed pałacem do ogrodu, zarezerwowanego wyłącznie dla mieszkańców rezydencji. Za ich plecami domokrażca stał ze szklistym spojrzeniem, metodycznie szarpiąc swój towar na strzępy.

Ilna skierowała się do półkolistej sztucznej groty, w której woda tryskała z urn odlanych z brązu nimf. Witki wierzb płaczących zasłaniały siadających na kamiennych ławach – albo, tak jak teraz, stojących i siedzących obok nich.

– Chciałem powiedzieć ci do widzenia, pani – rzekł Cerix. Wyglądał na spiętego, lecz jego ubranie nie śmierdziało narkotykiem, który kiedyś zażywał. – Nie ma żadnego powodu, żebym pozostał tu dłużej, więc wracam do Ogrodu. Tam będzie czekał Halphemos i... no cóż...

Z krzywym uśmiechem poklepał kikuty nóg. Ilna milczała chwilę.

– Ach – rzekła wreszcie. – Nie rozumiem, dlaczego miałbyś to robić, panie Ceriksie, ale... – Skrzywiła się. – Ja na pewno nie powinnam mówić innym, co mają zrobić ze swoim życiem, prawda? Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić, zanim?...

– Nie, nie – odparł Cerix. – Chociaż byłbym wdzięczny, gdybyś pożegnała innych w moim imieniu. Sam bym się z nimi pożegnał, ale są zajęci. – Uśmiechnął się. – A poza tym nie zrozumieliby.

Ilna pokiwała głową.

– Nauczyłam się oczekiwać tego niemal po wszystkich ludziach i w prawie każdym wypadku – powiedziała i wstała. – Czy mogę przynajmniej zawieźć cię gdzieś?

Cerix rozejrzał się wokół.

– Nie, tu jest bardzo dobrze – odparł. – W rzeczy samej, to bardzo odpowiednie otoczenie.

– Owszem, tak mi się zdaje – przytaknęła Ilna. – W takim razie zostawię cię samego. Pozdrów ode mnie Halphemosa, jeśli będziesz mógł. Chociaż przypuszczam, że będzie miał aż nadto zajęć w tym miejscu, które uważa za raj.

– Halphemos na pewno nie zapomni cię, pani – powiedział kaleka. – Ja też nie.

Ilna precyzyjnie przeszła przez zasłonę wierzbowych witek. Za jej plecami rozległ się cichy trzask.

Odwróciła się. Fotel Cerixa pozostał w sztucznej grocie, lecz spoczywał na nim tylko ogromny kwiat brzoskwini. Przez chwilę spoglądała na kwiat, a potem podniosła go i wetknęła za ucho. Uśmiechnęła się. Co pomyśleliby ludzie w Barca's Hamlet?

Dworzanin prowadził do niej barona Robilarda.

– Ach, pani! – zawołał szlachcic. – Procesja zaraz wyruszy do świątyni Pani Granic. Książę Garric zaprosił nas, abyśmy dołączyli do niego przy głównym ołtarzu. Czy mogę ci towarzyszyć?

– Pójdę tam z tobą, baronie, ale chyba będę obserwowała uroczystość, stojąc w tłumie – odparła Ilna, podając mu ramię. – Mam spore doświadczenie w spoglądaniu na ludzi z góry. Bardziej się lubię, kiedy patrzę na nich z dołu.

Kiedy Cashel zdał sobie sprawę z tego, że Tenoctris nie słyszała, jak nadchodzi alejką, zastukał w jedną z drewnianych kolumn. Pół tuzina łuszczaków błysnęło rdzawymi bokami, umykając w krzaki.

– Co tam? – spytała Tenoctris, odrywając wzrok od planszy. Zamyśliła się tak głęboko, że nawet nie dostrzegła stojącego naprzeciw niej młodzieńca. – Och, to ty, Cashelu. Czy wszystko w porządku?

Tenoctris wolała zamieszkać w składziku na końcu długiej wiaty, wykorzystywanej podczas przyjęć na powietrzu. Na stoliku pod dachem stała teraz ta plansza do gry, którą czarodziejka i Cashel znaleźli poprzedniego dnia, kiedy wrócili do rezydencji królowej.

– Garric zamierza podziękować Bogom w pobliskiej świątyni – oznajmił Cashel. – Wiem, że ty nie...

Spojrzał w bok. Lubił Tenoctris i nie chciał powiedzieć czegoś, co nauczono go uważać za zniewagę.

– Rzadko mówisz o Bogach – mruknął. – Mimo to pomyślałem, że może zechcesz tam pójść. Garric chciałby, żebyś tam była.

Tenoctris wstała ze stołka i skrzywiła się.

– Widocznie za długo siedziałam nieruchomo – powiedziała.

Na stole obok niej stał fajansowy kubek i dzban z szeroką szyjką. Tenoctris opróżniła kubek, napełniła go ponownie i osuszyła równie łapczywie.

– Powinnam chociaż pamiętać o tym, żeby coś pić, kiedy pracuję – zauważyła, odstawiając kubek. Spoważniała. Wyszła zza stołu i położyła dłoń na ramieniu Cashela. – Widywałam różne moce, Cashelu – powiedziała. – Nigdy jednak nie widziałam Bogów. Mimo to nigdy nie sądziłam, że coś, czego nie widzę, nie może istnieć.

– Cóż, ja nie jestem kapłanem – mruknął Cashel, wciąż patrząc w ziemię.

– Mamy wiele powodów do wdzięczności i żałowałabym, gdybym nie wyraziła jej żadnej z mocy, które nam pomogły – rzekła stanowczo czarodziejka. – Zaraz będę gotowa. – Uśmiechnęła się. – Jeśli tylko znajdę moją pokojówkę. Wybrałam tę kobietę, ponieważ najwidoczniej nie przeszkadza jej to, co robię.

Ruchem głowy wskazała planszę do gry. Cashel bardzo ostrożnie przyniósł ją tutaj z rezydencji królowej, chociaż figurki wcale nie ślizgały się po gładkiej turmalinowej powierzchni. Cashel zastanawiał się, czy odpadłyby od niej, gdyby odwrócił planszę do góry nogami.

– Jednakże to chyba jej jedyna zaleta – ciągnęła Tenoctris. – Na szczęście niewiele od niej wymagam.

Na dachu wiaty skakały i świergotały ptaki. Prace remontowe jeszcze nie objęły tej części rezydencji. Był to także jeden z powodów, dla których Tenoctris wybrała sobie tę kwaterę. Cashel

także lepiej się tutaj czuł. Kwiaty to dobra rzecz i lubił je. Jednakże wydawało się niewłaściwe, aby zajmowały obszar większy od każdego z pszenicznych pól Barca's Hamlet. Tenoctris znów przyglądała się planszy, która ponownie przykuła jej uwagę, gdy czarodziejka spojrzała w kierunku stolika.

– Królowa korzystała z niej do przepowiadania zdarzeń – powiedziała Tenoctris. – Usiłowałam zliczyć pionki, ale nie mogę. Ich ustawienie wydaje się zmieniać, ilekroć mrugnę czy odwrócę wzrok. Na pewno jest ich tu kilkaset.

Wskazała palcem na prostokąt o nierównej powierzchni. Stojąca na nim figurka roztopiła się.

– Ciekawe, czy królowa zdawała sobie sprawę z tego, że ona też jest pionkiem?

Cashel w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami. Ta plansza pojawiła się w prywatnej kwatery królowej jakiś czas po tym, jak on i Tenoctris po raz pierwszy przeszukali rezydencję. Ktoś mógł ominąć nieliczne straże i umieścić ten przedmiot w pustej komnacie, lecz Cashel nie potrafił sobie wyobrazić, po co ktokolwiek miałby to robić.

– Myślę, że powinniśmy już iść – rzekł przepraszająco. Przynajmniej on powinien już ruszać. Chciał posłuchać, jak ludzie wychwalają Garrica i Sharinę, jego przyjaciół.

– Tak, oczywiście – przytaknęła Tenoctris. Wzięła w palce rękaw szaty i krytycznie jej się przyjrzała. – Może wystarczy narzucić opończę na tę...

Urwała i ponownie skupiła uwagę na planszy. Cashel też to zobaczył kątem oka: nie ruch, gdyż żadna z figurek nawet nie drgnęła, ale zmianę.

Cashel był bardzo spostrzegawczy. Często wodząc wzrokiem po linii lasu lub pastwisku pełnym owiec, od razu zauważał, jeśli coś nie znajdowało się tam, gdzie spodziewał się to znaleźć.

– Tej figurki przedtem tu nie było – rzekł, wskazując palcem.

– Nie dotykaj jej, Cashelu! – ostrzegła Tenoctris.

– Nie, pani – odparł. – Nie miałem takiego zamiaru.

Figurka była z czarnego szkliwa, może obsydianu. Zdawała się migotać. Cashel przechylił głowę na ramię, żeby spojrzeć na nią z boku. Widziana pod pewnym kątem, gładka powierzchnia rozjarzyła się oślepiającym blaskiem.

Cashel cofnął się o krok, zaciskając w dłoniach pałkę.

– Co to oznacza, Tenoctris? – zapytał.

– Nie wiem – odrzekła. – Ta plansza to dzieło ogromnej mocy, ale nie jestem przekonana, że naprawdę można z niej wyczytać przyszłość, jak zapewne sądziła królowa. To pewne, że w końcu ta plansza niewiele jej pomogła. – Posłała Cashelowi nieco wymuszony uśmiech. – Chodź, pomożesz mi przejrzeć te sterty strojów, jakie uprzejmie przysłała mi Liane. Zobaczymy, czy uda nam się znaleźć coś odpowiedniego na taką okazję.

Rażnie ruszyła w kierunku swojej kwatery. Cashel jeszcze raz spojrzał na złowrogo lśniąca figurkę. Wzruszył ramionami, uśmiechnął się i poszedł za czarodziejką.

Werble na początku pochodu grały miarowo, podając krok kompanii królewskiej armii maszerującej zaraz za orkiestrą. Co dziesiąty krok rozlegał się także dźwięk trąb. Ten hałas za każdym razem zaskakiwał Garrica, lecz jego rumak, wielki kasztanek, tylko strzygł uszami, słysząc ten zgiełk.

– *Masz niezłego rumaka bojowego, chłopcze* – szepnęła król Carus. – *I jeśli choć trochę się na tym znam, wkrótce będziesz mógł go należycie wypróbować.*

Ocierając poparzonymi nogami o końskie boki, Garric czuł przeszywający ból. Starał się nie krzywić przy każdym miarowym kroku.

– Król Garric! – krzyczał tłum stojący szpalerem wzdłuż ulicy i zebrany na dachach okolicznych budynków. – Niech żyje król Garric!

Przed nim szli najwyżsi dostojnicy rządowi. Byli spiskowcy, a teraz członkowie Rady Księżęcej, nosili dworskie szaty. Nie siedzieli na koniach czy w lektykach, tylko szli pieszo, wyrażając w ten sposób swój szacunek dla młodego księcia.

Przyjaciele Garrica szli z nimi. Tenoctris włożyła wspaniałą szatę z grubego brokatu. Wyglądała na zadowoloną i bez trudu dotrzymywała kroku wolno idącemu towarzyszom – Cashelowi po jej jednej, a Sharinie po drugiej stronie. Ci dwoje dopilnują, żeby Tenoctris nic się nie stało, chociaż Garric niechętnie godził się z tym, że staruszka nie skorzystała z lektyki.

– To nie w porządku, że muszą tam iść o własnych siłach! – mruknął.

Przez głowę przemknęły mu wspomnienia Carusa z innych procesji, w tuzinie innych miast. Dwukrotnie Garric rozpoznał budynki: jeden z nich obecnie leżał w ruinie w Carcosie, a drugi stał w Valles, gdzie niektóre współczesne budowle wzniesiono na potężnych fundamentach Dawnego Królestwa.

Tłum wiwatował bez końca.

– Król Garric! Niech żyje król Garric!

– *To należy do twoich obowiązków* – szepnął król Carus. Jego oblicze, będące zaledwie cieniem w umyśle, który dzielił, było tak ponure jak nigdy podczas bitwy czy w obliczu innych niebezpieczeństw. – *Rób to z tego samego powodu, dla jakiego śpisz pod gołym niebem i wysłuchujesz sporów spadkowych, które są tak skomplikowane, że nawet twoja przyjaciółka Ilna nie zdoła odnaleźć prawdy. Rób to, ponieważ to twój obowiązek.*

Attaper wydał rozkaz. Maszerujący na końcu procesji oddział Krwawych Orłów uderzył włóczniami o spiżowe tarcze i ryknął:

– Wiwat Garric! Wiwat Garric!

– *Tylko nigdy* – dorzucił starożytny władca głosem przeszywającym jak krzyk orła – *nie zacznij tego lubić!*

EPILOG

Sztorm ucichł, lecz szare morze wciąż się burzyło i silny wiatr pchał spienione grzywacze. Odpoczywające na falach mewy mocno przyciskały łby do piersi.

Czarodziej wisiał w powietrzu, unosząc się i opadając z falami, które wcale go nie dotykały. Mówił coś, wyciągając przed siebie ramiona. Przy każdej sylabie purpurowe błyskawice przelatywały z trzaskiem od palców jednej do palców drugiej ręki.

Morze pod nim wypiętrzyło się, jakby wezbrane powolnym przypiływem. Zamiast znów opaść, powierzchnia wciąż się unosiła. Mewy odleciały z przerażonym piskiem, gwałtownie machając skrzydłami.

Z głębin wyłonił się amonit wielkości małej wyspy, rozkładając wokół ogromny dywan dziesiątków macek. Jego spiralna skorupa była prawie czarna, lecz zachodzące słońce odbijało się nieziemską poświatą od tej mokrej muszli.

Czarodziej stanął na plecach potwora, którego przywołał. Spojrzał w niebo, które gromowym echem odbiło jego śmiech.